PISMA
IGNACEGO CHODŹKI.

II.

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

Kochanowski.

PISMA
IGNACEGO CHODŹKI.

TOM II.

OBRAZY LITEWSKIE.

SERYA IV—VI.

WYDANIE NOWE.

z portretem autora

(na stali).

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.
1880.

Дозволено Цензурою. — 20 Декабря 1879 г. Вильна.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Замковый переулокъ, N. 149).

OBRAZY
LITEWSKIE.

SERYA CZWARTA.

Jubileusz. — Duch Opiekuńczy. — Autor Swatem. — Panna Respektowa.

JANOWI CHODŹKOWI

Autorowi JANA ze SWISŁOCZY

I PISM ROZMAITYCH,

w dowód i na pamiątkę

NAJSZCZERSZEGO PRZYWIĄZANIA

poświęca

Najżyczliwszy Synowiec

Autor.

JUBILEUSZ.

I.

Najwyższy Kapłan Rzymskiego Kościoła Leon XII ogłosił Miłościwe Lato; ogłosił rok 1825 Jubileuszowym, i zawołał na cały świat Chrześcijański: „Niech słucha ziemia wyrazów Naszych! Niech wesoła przyjmuje brzmienie trąby Kapłańskiéj, ogłaszającéj Jubileusz „Święty ludowi Boga! Wołamy wielkim głosem: przyszedł rok *oczy-„szczenia*, *przejednania*, odkupienia i łaski..." *).

I czas też był wielki, aby ten rok *oczyszczenia* i *przejednania* zawitał dla Chrześcijaństwa! czas był, aby nawę świętą wiary naszéj, nadzwyczajnemi i gwałtownemi burzami skołataną, a tchem Bożym ku portowi już zawróconą, kotwicą nieśmiertelnych nadziei na skale Piotra utwierdzić.

Oczyszczenie i *Przejednanie*

Właśnie po ośmnastym wieku i po ćwierci dziewiętnastego, oczyszczenie to w czas było koniecznem. Należało oczyścić przybytek dla wszystkich cnót od Boga człowiekowi powierzony: *serce* na przyjęcie nanowo główniejszéj ich przewodniczki *Religii*, za którą i wszelkie inne powrócić doń były powinny.

Należało skłonić zarozumiały a obłąkany rozum do zrzeczenia się przewodniczenia rodzajowi ludzkiemu na drodze szczęścia i zba-

*) Bulla Jubileuszowa 1824, dnia 23 Maja.

wienia, i do pokornego *przejednania* téj świętéj pośredniczki między Bogiem i ludźmi, a którą on znieważył, z serc i ze świątyń wyrzucił, siebie na jéj miejscu nauczycielem i panem świata ogłaszając.

Ale przyszedł mu czas hańby i upadku: bo po krótkiém panowaniu przeląkł się on własnego dzieła. Rozumami, że tak powiem, pomięszał się rozum!!! Doprowadził on towarzystwo do krwawego Styxu, za którym tysiąc ofiar jego samowładztwa stanęło mu widomie i ze zgrozą nań poglądało... Wzdrygnął się więc i cofnął... Daléj postępować niepodobna! Wracać mu się trzeba było... a wracać po téj saméj drodze, na któréj wszystko obalał i niszczył w swym tryumfalnym do mniemanéj doskonałości marszu... Potrzeba mu było własne nauki na inne sofizmata tłumaczyć, aby ich widocznego nie odkrywać fałszu i oszczędzić upokorzenia dumnéj swéj zarozumiałości. Potrzeba mu było wynajdować nowe środki i sposoby uspokojania namiętności wzburzonych, i tém szaleńszych, że im celów i ofiar braknąć zaczynało.

Wszystko to jednak było napróżno. Lud stracił wiarę w jego wyroki. Czyny i skutki dobitniéj niż księgi i racyonalne systemata biły mu w oczy. Opuścił więc rozum przywłaszczone berło, a los i przyszłość obłąkanego świata oddał nakoniec na wolę Opatrzności.

Opatrzność też czuwała nad światem i ludzmi. Ona wzbudziła Mocarza, który silną prawicą zatrzymał potok rewolucyjny, podniósł z ruin ołtarze Chrystusa, i w dniu jednym nowe dążenia i wyobrażenia rozpromienił po świecie!...

Lecz potężna wola jego polityczne i ogólne na własny i obce narody wywierając wpływy, nie sięgała serc i duchownych usposobień ludzkich. Tam widoczne działanie łaski! tam duch Boży dokonywał dokonać się niemogącego przez człowieka dzieła!... Narzędzie woli jego wskrzesiło materyalny byt Religii i jéj świątynie; lecz Bóg sam cudownem natchnieniem uczył nowe pokolenia chrześcijańskich modłów i starego pacierza.

Rozum, złożywszy swe panowanie, nie wnet się poddał ogólnemu popędowi ludów; chciał on jeszcze być nieuległym, i chodząc samopas, grać rolę rozmyślającego nad przeszłością filozofa, okrywając płaszczem mędrca swą niepewność, wątpliwość, a na dobitkę, i co gorsza, czczość i bezcelność żywota...

— Pójdź! szaleńcze! pójdź do mnie! — rzekła mu religia. Widzisz, coś uczynił! gdzieś i do czego doprowadził omamioną tłuszczę!... Pójdź! ja cię zawiodę na drogę twoich poczciwych i bogo-

bojnych praojców... Bezemnie tyś słaby! tyś nieudolny! przy mnie tyś promieniem łaski Stworzyciela, tyś najcelniejszą władzą i ozdobą stworzenia!...—

I rozum upadł na kolana przed krzyżem.

Ten szybki i ogólny rys duchownéj treści wieku naszego zwróćmy do szczególnego stanu naszego kraju.

Fałszywy odbłysk religijnéj rewolucyi francuzkiéj doszedł aż do nas. Owszem, przygotowawcze do niéj jady z ksiąg sekty tak nazwanéj filozoficznéj a godzącéj na obalenie wiary chrześcijańskiéj, czerpaliśmy pół wiekiem piérwéj, wraz z całą Europą z Francyi. Resztę u nas dokonywało nieszczęśliwe naśladownictwo, które nam tyle i w tylu rozmaitych względach dało ciosów!

Jednak odbłysk ten oślepiającego ogniska, a pożegającego wszystko nad Sekwaną, u nas nie na cały naród, lecz na pojedyncze *indywidua* wywarł wpływ swój szkodliwy; wszakże tak liczne i mnogie, że całe pokolenie młodsze klass wyższych towarzystwa, trądem tym bezbożności rażoném było. Co tam się w praktyce dokonywało, to u nas w teoryi fermentowało w głowach. Tam rujnowano świątynie Pańskie, tu wchodzono do nich dla wydania szyderczém niedowiarstwem wojny Bogu w Jego własnym domu, wyśmiania obrzędów i kapłanów, i płochego popisywania się z pogardą tego wszystkiego, co dla ojców, dziadów i pradziadów świętém i najczcigodniejszém było. A Religia, jak budowa trzęsieniem ziemi w posadach wzruszona, nie runęła wprawdzie... może dla tego, że władza cywilna, tamując napływ antysocyalnych z zachodu nauk, skuteczniéj aniżeli ostygłe natenczas duchowieństwo, gromiła rewolucyjne dążenia; ale w sercach przedtém prawowiernych albo zupełnie wygasła, albo w powszechności zwątlona i zwiątpiała, łaską tylko szczególniejszą Boską do dawnego życia, czci i powagi przywróconą być mogła.

Nakoniec wielkie przesilenia polityczne stają się w Europie. Narody duszą i ramieniem skupione około wozu Zwycięzcy, i za nim idące, gdy się ten rydwan roztrzaskał, zaczynają przez się i dla siebie myśleć i działać... Jak gladyator wychodzący ze śmiertelnéj walki, opatrują swe rany okiem z oślepienia wojennéj chwały i nie-

chrześcijańskich rozprzężeń przetartém... Pojawiali się mędrcy i nowi nauczyciele ludów, których dzieła rozbierając bliską przeszłość, jéj przyczyny i skutki, opaczne dotychczasowym, rozpromieniły ideje i sądy... Świat, jakby z zadumienia i podziwu nad tém co rozważał, *przeżegnał się nanowo!*

Znowu i do nas promień téj zorzy zwiastującéj odrodzenie się w Bogu i cnotach zawitał. W rękach czytelników zamiast *Voltera*, *Helvetiusa* i innych, a szczególniéj *Wolneja*, którego *Rozwaliny* za największe u nas miano dzieło *), *Chateaubriand'a*, *Duch wiary Chrześcijańskiéj*, *Męczennicy* i inne podobnego dążenia książki ukazały się i weszły w chwalebną modę. Ustawało uprzedzenie dotąd panujące, że aby być mądrym, potrzeba było być bezbożnym. I tak coraz a coraz obłąkane *owce* powracały na łono *Dobrego pasterza.*

W takiéj właśnie epoce i usposobieniu ducha doszedł nas głos z Rzymu wzywający wiernych do powszechnéj modlitwy, do *oczyszczenia*, do *przejednania!* Jubileusz więc ten miał być, i stał się rzeczywiście, odnowieniem paktu przymierza z Bogiem dla świata wychodzącego z potopu niezbożności; i jak wprzód tęczą, tak teraz krzyżem cudownie jaśniejącym na niebie Bóg to przymierze zdał się utwierdzać **).

II.

Wezwani do pracy w winnicy Pańskiéj kapłani nasi gorliwie wzięli się do tego świątobliwego dzieła. Liczne rozmaitych reguł duchowieństwo zakonne i świeckie z miasta Wilna rozeszło się po całéj prowincyi pomagać plebanom w konfessyonałach, na ambonach i przy ołtarzach. Znaleźli się wymówni tłumacze słowa Bożego, Kaznodzieje, o których apostolskiéj wymowie nikt przedtém nie wiedział, i którzy oczekiwali, zda się, w celach klasztornych téj uroczystéj zręczności, aby wyszedłszy na świat, gorącemi i przenikającemi słowy zadziwiać i wzruszać słuchaczów.

Każdy kościół miał oznaczony czas na Jubileuszowy obchód; i gdy ten nadszedł, cały lud na mil kilka i kilkanaście naokoło wzru-

---

*) Piszę o kraju, gdzie mieszkam.

**) Mowa tu o krzyżu, który cudownie na niebie w czasie nabożeństwa Jubileuszowego we Francyi się ukazał.

szał się jakby ze swojéj posady, nieprzeliczonym tłumem garnął się do kościoła, dnie i noce jak mrowiskiem go oblegał; a niezaspokojony w jednym, przechodził do najbliższego, w którym z kolei również powtarzał nabożeństwo.

Panowie nie tylko nie ustępowali chłopkom swoim w gorliwości i modłach, lecz dając niejako przykład, wyręczali ich w posługach kościelnych zwykle przez włościan spełnianych, i w szczerém wyznaniu pokory a wyrzeczeniu się w obliczu Boga fałszywego na przyzwoitość względu, nieśli chorągwie za processyą, i w dniu ostatnim nabożeństwa na barkach swoich krzyż Jubileuszowy, na pamiątkę przed każdym kościołem wkopany.

Jeden z najpiérwszych kaznodziei czasu onego (chwała mu i uwielbienie! jeżeli żyje; a wieczny odpoczynek duszy! jeżeli się przeniósł do wieczności) Ks. Kuźnicki przybył z Wilna do naszego parafialnego kościoła, poprzedzony sławą swéj apostolskiéj wymowy i świątobliwości kapłańskiéj. Człek ten Boży w sile jeszcze wieku i umysłu, wsparty był zapewne łaską i pomocą Nieba, aby mógł podołać pracy jaką dzień i noc podejmował, przechodząc od kościoła do kościoła, a w każdym, tłumom doń cisnącym się udzielając cierpliwego ucha w spowiedziach i dwókrotnéj codzień z ambony nauki.

O ileż to najskrytszych tajemnic ludzkich z serc skruszonych i opamiętałych doń się wylało! ileż z całego przeszłego życia spowiedzi uspokoiło na całe przyszłe! jaka pogoda i spokojność rozlała się po obliczach! jaka błoga swoboda w duszach!!!

Wśród takiego nabożnego uniesienia zbliżył się u nas dzień ostatni Jubileuszu.—Czyliż doczekamy drugiego?...—pytano się wzajemnie.—Daj Boże! daj Boże! i źrenice zabiegały łzami!!!

Ach mój Boże! iluż pytających się natenczas, znalazło już odpowiedź w grobie! Ileż w tych zapytaniach nadziei i zamiarów snowanych na półwieku? a przerwanych w półroku.. lub do dziśdnia! O jakże mało było niepytających się wcale! czuli oni bowiem odpowiedź w sobie, a na osiwiałych głowach okazywali ją widoczną! Ależ natomiast starce ci, wznosząc oczy ku niebu, dziękowali Bogu, że to *daj Boże!* które się teraz w ustach wszystkich odzywało, życzone im na témże miejscu niegdyś w takąż samą uroczystą chwilę, sprawdziło się im szczęśliwie. Winszowali oni sobie wzajemnie, jakby

doczekanych świąt corocznych!..... Pół wieku przeżyte czyż nie to samo, co rok jeden.

Na dziedzińcu przed kościołem, na którym zgromadzeni wszyscy czekaliśmy ostatnich nieszporów, obok starego, pochylonego i mchem okrytego krzyża, kopano dół na nowy, i tam czuła ta wzajemnych życzeń odbywała się scena, gdy jeden ze starców postąpił do kopających, i biorąc rydel, rzekł:

— Kopałem przed pięćdziesięcią laty dół na ten krzyż co obok widzicie; niechże i na teraźniejszy pokopię. Trzeci nade mną samym wkrótce zakopiecie!

— Jakto?—zapytaliśmy ciekawie—czyż i ten stary krzyż jest Jubileuszowym?

— Tak jest—odpowiedział starzec, słabemi rękami wyrzucając ziemię z dołu.—Jam wczora Księdzu Plebanowi to powiedział; i obok wybraliśmy miejsce na ten nowy. Komu da Bóg dożyć trzeciego, niechże pamięta to miejsce; bo krzyże drewniane mogą poupadać..... choć krzyż niebieski nie upadnie nigdy!!!—

Biskup Chomiński, którego brat rodzony Stolnik Oszmiański mieszkał w tutejszéj parafii, (obadwaj już dawno przed Bogiem), przybył tu natenczas z Wilna dla celebrowania przez siedm dni Jubileuszowych; i dnia piérwszego, po solennem nabożeństwie, prowądził sam processyę, ale z krzyżem tylko, bez *sanctissimum*, o milę ztąd do dworu swojego brata; a tam, poświęciwszy w ogrodzie miejsce, położył węgielny kamień na kaplicę, którą potém własnym kosztem dokończył i pięknie ozdobił. I ta więc kaplica, do dziśdnia, chwała Bogu, w całości stojąca, jest również pamiątką Jubileuszową, jako i krzyż ten, który pod celebrą świątobliwego tego Pasterza po ostatnim nieszporze postawiliśmy...

— O Boże! wieleż to potém krzyżów w życiu mojém zniosłem!... Niech będzie na chwałę Twoję, Panie, a na zmazanie ciężkich grzechów moich...—Tu łzy potokiem popłynęły po sędziwéj twarzy starca; oddał rydel i ocierając oczy, odszedł z gromady.

— Ciężkiż to, widzę, smutek gniecie go—rzekłem do stojącego przy mnie sąsiada mego i przyjaciela. Zna nasze okolice, a przecież ja go nie znam.

— Oddalił się on z tych stron o mil kilkanaście wprzód, aniželiś tu zamieszkał—odpowiedział mój sąsiad—sprzedawszy tu swój folwark i całe mienie.

— Odprawił już on w kilku kościołach nabożeństwo Jubileuszowe; lecz za duchowieństwem przybył tutaj, chcąc, jak mi powiadał, dokończyć Jubileuszową modlitwę, gdzie ją kiedyś zaczął.

— Wielkie smutki dopuścił nań Bóg. Pokilkakrotnie i najokrutniéj serce jego udręczoném było. Rany jego zgon tylko zagoi. Znam najdokładniéj jego cierpienia. Jest to mój dawny przyjaciel. Sąsiadowałem z nim w téj parafii, i najmilsze czasy młodości mojéj odbyłem w jego domu i w jego towarzystwie, dojrzalszém ode mnie o całą młodość. Zapomniano tu prawie o nim i o nieszczęściach jego, jako o dawnéj przeszłości do któréj i on sam wkrótce zapewne należeć będzie. Lecz jeżeliś téj wiadomości ciekawy, odejdźmy z tłumu; nim kościół na nieszpory otworzą, opowiém.—

Chętnie przystałem na propozycyę.

III.

Pan Romuald (to jest imię starca tego)—mówił mój przyjaciel—odziedziczył po rodzicach dwa folwarki, a zatém piękny szlachecki fundusz, i jakem powiedział, zamieszkał w tutejszym. Przebył piérwszą swą młodość bezżennym, i ledwo w połowie czwartego krzyżyka wybrał sobie żonę. Bodaj powątpiéwał już on, aby mógł w swoim wieku podobać się kobiétom; umyślił więc wdzięcznością przywiązać do siebie jaką młodą i niezepsutą dziewczynę, którąby nie znając jeszcze tkliwszych uczuć serca, od razu obowiązkom i przywiązaniu małżeńskiemu ulegając, przeskoczyła, że tak powiém, przez miłość.

Wybrał zatém i ożenił się z ubogą, ale młodą i nadzwyczaj ładną panienką, któréj wykształceniem moralném nawet się zatrudniał, skłaniając ono do swoich widoków; i codzień ją nowemi osypując dary, mniemał, że dopiął pożądanéj i dobrze wprzód obmyślanéj szczęśliwości.

Jakoż lat kilka upłynęło mu najpomyślniéj. Córeczka, dziecko piękne i miłe, w pierwszym roku ich małżeństwa urodzone, hodo-

wała się im wybornie. Później narodzony synek umarł nagle, i śmierć jego zaczęła niejako szereg cierpień Romualda.

Wkrótce potem w okolice tutejsze, a w najbliższe sąsiedztwo Pana Romualda, przyjechał do domu Hrabiego... krewny jego, Podolanin z urodzenia, ale cudzoziemiec z wychowania. Przybywał on z Francyi, gdzie od dzieciństwa prawie z matką mieszkał. Młody, przystojny, zalotny i bogaty, posiadał on przymioty zdolne zająć nieostróżne serce i głowę.

Pani Romualdowa, Zofia (bo tak ją po imieniu odtąd nazywać będę) jaśniała natenczas dojrzałą a nieporównaną pięknością.

Młodzieniec ten codziennie prawie widując ją, czy naprawdę w niéj się rozkochał, czy oczarowany jéj wdziękami, uwieść ją tylko postanowił.

Intryga ta i usiłowania jego trwały niejaki czas bezskutecznie. Uczucia macierzyńskie dla jedynego dziecka, religia, nieodmienna dobroć i przywiązanie męża, broniły Zofię od upadku..... Ale walka ta codzień trudniejszą dla niéj była...

Romuald poznał rychło stan żony i własny; hamował się jednak jak mógł w uniesieniach zazdrości i obrażonéj miłości własnéj, pobudzanéj jeszcze codzienném urąganiem złośliwego sąsiedztwa.

Nie przeto przybrał on na się tę powierzchowną spokojność, żeby mu brakowało energii na przerwanie od razu tego nieszczęśliwego romansu i wygnanie z domu natrętnego gościa; lecz kochał żonę szczérze i tkliwie, nie chciał gorszącéj sceny, któraby jéj opinię na zawsze skalała i zostawiła wspomnienie na córkę nawet spłynąć mogące. Starszy od niéj o lat dwadzieścia z górą, uważał siebie opiekunem niejako jéj młodości i niedoświadczenia. Wiedział, że poślubiła mu wiarę z sercem zupełnie wolném i na tém właśnie opierał był przyszłą szczęśliwość swego małżeńskiego pożycia, bo miał nadzieję, że przywiązanie jéj wzajemne utworzy się po ślubie, zapełni tę próżnię w sercu i nie da miéjsca obcym uczuciom. A lubo rachuba ta omylała go widocznie, zwodził się on jeszcze, składając winę na zły los, nastręczający tak niebezpieczną pokusę. — Szał to młodéj głowy i nic więcéj — myślał i mówił nawet przed poufałemi i życzliwemi sobie przyjaciołmi, z których liczby byłem i ja. — Serce jéj jest niezepsute i niezajęte. Przejdzie

paroxyzm, i uleczona na zawsze, poznawszy znikomość bałamuctwa, wróci do poczciwych uczuć matki i do kochającego ją zawsze męża; i wówczas będzie pora pochwalić się jéj z mojém przywiązaniem i i z moją łagodną a tkliwą litością nad jéj opłakaném zaślepieniem.—

Ale rozumowanie nie koi boleści żadnéj, tém bardziéj boleści serca. Pobłażający dla żony, okrutnym on był dla siebie: bo za każdą, a prawie codzienną bytnością w domu jego, Mieczysława (takie mu było imię) musiał Romuald powtarzać sobie swoje perswazye, wbijać je gwałtem w głowę, i tym sposobem tłumić swe gniewy, gdy na każde słowo, na każdy rzut oka kochanków krew mu kipiała.

Pan Romuald nie spuszczał jednak z uwagi żadnego kroku żony ani nieproszonego przyjaciela domu; otoczył ich, że tak powiém niewidzialną dla nich siecią, w któréj więzły wszelkie projekta Mieczysława, wiadome wprzód zawsze Romualdowi, niżeli się uskutecznić mogły, i wszystkie myśli i wzajemne uczucia żony. Więc zapobiegł zawsze każdemu pokuszeniu się jednego, a słabości drugiéj, i każdéj zręczności, któraby narazić mogła Zofię na niebezpieczeństwo a Romualda z piękném rozumowaniem, na ostatnie nieszczęście i hańbę. Całą pociechą jego w utrapieniu, przez którą nawet i do serca żony kołatał, była malutka Marynia, ulubiona i piękna dziecina, w wieku, w którym małe dziatki są najmilszą pieszczotą rodziców. Brał on ją na ręce, nosił, całował, oblewał łzami; a gdy zadumana matka zwracała na nią oczy, oddawał on jéj w ręce Marynię, siadał obok, zwracał myśl na przyszłość ukochanéj córeczki, namieniał o nieszczęśliwym losie sierot, śmiercią lub z jakiéj innéj przyczyny opuszczonych od rodziców, a szczególniéj od matek; słowem, starał się obudzić czułość Zofji, zwrócić ją ku najbliższéj serca ich istocie, a odwieść od przedmiotu wciskającego się doń gwałtem.

Tym sposobem Romuald, idąc ślad w ślad za obłąkaną żoną i licząc jakby każde uderzenie jéj serca, pomiarkował, że ono coraz gwałtowniéj bije, że paroxyzm nie tylko się nie zmniejsza, ale owszem coraz silniejszego nabiera pędu. Nie uszła także oka zakochanych ciągła baczność nad niemi; a ten przymus i trudność nie tylko nie gasiły płomienia, lecz go tém mocniéj podżegać zdawały się. Łagodność i

milczenie Romualda nazywali obłudą; straż i ostróżność szpiegostwem i cichém prześladowaniem.

Nakoniec w przejmowanych listach (listy bowiem wzajemne dochodziły kochanków, ale szły piérwiéj przez ręce Romualda) doczytał się on z przerażeniem wyrazów: *rozwód*, *ucieczka;* na którą lubo żona jego nie zgadzała się jeszcze, ale coraz wolniejąc w oporze, samém rozbieraniem przeszkód, w których względu na męża najmniejszego nie było, a na córkę bardzo mały, dawała przeczuwać, że się nakoniec zgodzi, a honor męża i własny, oraz los córki, szalonej namiętności poświęci.

Wtenczas Romuald, widząc dotychczasowy swój takt, daremnym, a nawet fałszywym, i żałując po niewczasie, stanął przed żoną z listem w ręku, to jest, z odpowiedzią jéj do Mieczysława. Rozumiał on i spodziewał się, że na sam widok tego listu Zofia osłupieje.... padnie mu do nóg i błagać będzie przebaczenia.... a on tkliwém napomnieniem zakończy scenę, i zniewoli żonę do odpisania Mieczysławowi ostatecznéj odpowiedzi, zrywającéj tę intrygę na zawsze. Ale się wcale inaczéj stało....

Trzęsący się jak winowajca oczekujący wyroku, wszedł Romuald do pokoju Zofji, i siedzącéj spokojnie, podał, nic nie mówiąc, list w ręce...

Przyjęła... spójrzała... rzuciła obojętném okiem na męża... i położywszy list na stole, w milczeniu daléj wiązała siatkę.

Romuald rozumiał, że zwaryowała, albo oniemiała, albo nakoniec, że sam stracił nagle rozum, i nie pojmuje, co się dzieje?.... bo nie mógł jeszcze przypuścić i wierzyć w taką zatwardziałość kobiéty, którą niedawno aniołem dobroci nazywał.

Zdobył się wreszcie na głos, który mu był odbiegł.

— I cóż na to? Żofjo!—zapytał.

— Ponieważ masz mój list w ręku, a zatém niepotrzebne pytanie.—I znowu milczenie.

— Jak to? Zofio! nie masz mi nic do powiedzenia?

— Nie.—

— Ach! o Boże! upamiętaj się! Zofio! Ja ci przebaczam! Toż ty mnie najmniéj już nie kochasz?—

— I nigdym nie kochała.—

— Więc mnie oszukiwałaś, łudziłaś przez lat tyle?—

— Nie oszukiwałam. Czyliżeś słyszał choć raz z ust moich to słowo: *kocham*, do siebie powiedziane?—

Romuald przebiegł myślą przeszłość i musiał w duchu przyznać, że prawda.

— Na cóżeś szła za mnie?—

— Czyż ja szłam? Mnie wydano!

— Więc mnie nienawidzisz?—

— Nie.—

— Dla czegoż więc odrzucasz kochającego cię męża, a oddajesz się w ręce młodzika, którego wiekowi nawet ufać nie można? Nie gub siebie! nie gub mnie! nie gub najbardziéj drogiego dziecięcia naszego! Cóż ci ono zawiniło? *Zofjo moja!...*—

— *Jużem nie twoja!!!*—rzekła ona jakimś niezwyczajnym, ponurym głosem; wstała i wyszła z pokoju.

Romuald stał, jakby mu piorun u nóg uderzył... Te lakoniczne, wyraźne i otwarte odpowiedzi były znakiem upartego odważenia się na jedno; może przekorą mężowi spowiadającemu się żalu i zawstydzenia? może nakoniec hardém odbiciem upokarzającego a oczéwistego dowodu ukrywanych zamiarów? Lecz to: *jużem nie twoja!* zdawało się Romualdowi jawnem wyznaniem przeniewierstwa, było zatém wyrokiem zrywającym bez powrótu ich związek, wyrokiem dlań nieszczęścia i rozpaczy.

Stał on długo osłupiały bez myśli, bez czucia; wyszedł nakoniec machinalnie jak automat z pokoju, nie wiedząc gdzie go nogi poniosą... i Bóg wie coby się z nim stało; ale spotkał na dziedzińcu biegającą Marynię. Ta, podług zwyczaju, rzuciła mu się w ręce... Wziął ją... Ona go rączkami za szyję objęła, twarzyczkę swoję przytuliła do jego pałającego oblicza... Potok gorących łez rzucił mu się z oczu... i odzyskał przytomność i rozmysł; ucałował, przycisnął do serca ukochane dziecko, krzyż święty położył na jéj czole, i odszedł zadumany.

Tysiąc myśli i zamiarów cisnęło mu się do głowy, jedne drugim przeciwnych: *gwałtowne*, przeciwne i naturze nieszczęśliwego, i względom na przyszły los córki, jedynego pozostającego mu skarbu; *łagodne*, przeciwne widocznemu doświadczeniu i bezskuteczne. I odjęcie sobie życia a ukaranie wieczną zgryzotą niewiernéj, i wyzwa-

nie Mieczysława, a odpędzenie wnet Zofji, przemykały mu po głowie jak błyskawice; a po każdéj takiéj myśli ślad głębokiéj boleści, jak wyryte dno gwałtownego potoku, zostawał mu na sercu.

Ni komu się pożalić, ni z kim się poradzić! któż bowiem odważy się żebrzeć litości lub rady; wstyd swój i biedę domową jak kalectwo objawiając?.... Wszędzie rada ludzka przydać się może; ale jeszcze się ten nie narodził, ktoby złe małżeństwo zgodził. Wreszcie, los Pana Romualda był wyjątkowym: bo i w obyczajach naszych tak namiętna, a razem tak mocnéj woli i uporu kobieta była i jest, chwała Bogu, wyjątkiem.

Po długich namysłach, wrócił nieszczęśliwy do domu bez żadnego ostatecznego postanowienia; ale jednak cóś umyślił, oto myślił czekać przybycia Mieczysława, i z nim jak z człowiekiem honoru, rozmówić się otwarcie i spokojnie o losie Zofji i postąpić potém jak wypadnie. Mieczysław codzień na herbatę przyjeżdżał, i wieczorem wracał do domu, to jest, do Hrabiego, u którego od kilku miesięcy mieszkał, przybywszy na parę tygodni.

Dnia jednak tego i następnych napróżno czekał gościa. Widać że w sieci pajęczéj, którą ich otoczył, była jakaś luka, niedostrzeżona przez Romualda, a przez którą kommunikowali się kochankowie.

Między małżeństwem też była zimna obojętność, otrętwiałość, gorsza stokroć od swarów lub kłótni, kończących się zwykle prędkiem pojednaniem, którego tu nie było nadziei. Marynia tylko biegała od papy do mamy, i skarżyła się smutnie:—Mama gniewa się na mnie, bo nic do mnie nie gada; papa chory, bo płacze.—

Nie mogąc znieść długo takiego udręczenia i niepewności, Romuald, gdy Pan Mieczysław nie przybywał, zbliżył się znowu do żony, pragnąc przynajmniéj dowiedzieć się, czego ma oczekiwać i czego się trzymać?

Na mnóstwo pytań nie odpowiadała mu wcale. Na jedno tylko:—Czy Pan Mieczysław chce nas rozwieść i z tobą się ożenić—odpowiedziała:—*Tak!*—Dość jednak było i tego: bo to krótkie *tak!* rozwiązało wszelkie już wątpliwości Romualda. Któż wié bowiem, czyby jéj jeszcze nie przebaczył? czy w odpowiedziach jéj nie chciał znaleść łagodniejszego odgadnienia na: *jużem nie twoja!*...—

Po téj rozmowie nazajutrz weszła żona do jego pokoju, i z najspokojniejszą twarzą położyła mu list otwarty na stole i wyszła.

Był to list Mieczysława do niéj, tegoż dnia napisany, pełny wyrazów najgorętszéj miłości, dający poznać, że wie o jéj smutném domowém położeniu, i że wnet odjeżdża, aby rozporządził wszystko we własnym domu, a powrócił jak najrychléj dla rozpoczęcia i dokonania rozwodu i ofiarowania potém jéj swojéj ręki. Kończył, zaręczając sumieniem i honorem świętość swoich obietnic! dodając, że uważając się odtąd za opiekuna jéj spokojności, odemści śmiertelnie każdemu, ktoby się ją mięszać odważył.

Z zimniejszą już rozwagą rozbierając list ten i swoje położenie Romuald, na tymże liście szczére onego wyznanie napisał, że *odtąd* więc zrzeka się tytułu i obowiązków męża i opiekuna przyszłéj żony Mieczysława; lecz ponieważ dotąd nim był, przeto za zniszczenie szczęścia i spokojności żony, dziecka i własnéj, potrafiłby także śmiertelnie odemścić; lecz gdy w takim razie albo zupełne sieroctwo opuszczonego dziecka od matki, albo owdowienie samejże matki przedślubne nastąpićby musiało, przeto i miłość własna głęboko obrażona, chęć sprawiedliwéj zemsty, ustępują uczuciom ojcowskim i religijnemu poddaniu się woli Boga, któremu los dziecka, niewdzięcznéj żony i własny oddaje.

Odtąd całe to nieszczęście domowe Romualda wyszło zupełnie na jaw i wpadło na usta ludzkie; lecz złośliwe rozprawy i sądy rozbijały się tu o dwie przeciwne sobie, ale równie twarde tarcze: spokojną rezygnacyę męża, a dumną zarozumiałość żony.

Świat płochy przyznawał jéj nawet słuszność.—Cóż w tém złego?—mówiono—lepiéj mieć chat trzysta, niż trzydzieści; lepiéj mieć męża młodego, niż półwiecznika którego się nie lubi. Rozumna i ładna kobiéta!—

Poczciwi zaś znający dobrze Romualda, przekonani, że rezygnacya jego nie z trwogi ani nikczemnego umysłu, ale ze szlachetnego serca pochodziła—zacny a nieszczęśliwy człowiek!—powtarzali. Wszyscy zaś ciekawie oczekiwali powrótu Mieczysława.

Już trzeci miesiąc upływał od jego odjazdu. Listy każdéj poczty dochodziły odeń do Zofji, w każdym obietnice rychłego powrótu, który się jednak przewlekał, a coraz był dla obojga małżonków pożądańszym: bo życie takie *ad interim* pod jednym dachem było im nieznośne. Rodzice Zofji pomarli, rodzeństwo rozpierzchło się w różne strony. Do klasztoru, bojąc się bodaj reli-

gijnych exhortacyj, przenieść się nie chciała; więc musiała zostać na miejscu; a lubo niezajmowała się już domem, wszelako co krok spotykała się z przeszłością jak z nieprzyjacielem wyrzucającym jéj na oczy przeszłość i niewdzięczność. Całą jéj pociechą były listy kochanka, całém zatrudnieniem odpowiedzi.

Listy te, gorejącem piórem pisane, tém mocniéj zapalały wyobraźnię i tém niecierpliwiéj drażniły jéj uczucia; zwykle wychodziła naprzeciw posłańcowi przynoszącemu pocztę; szła aż póki go nie spotkała i powracała jaśniejąca radością, niosąc drogie pismo na bijącém gwałtownie sercu.

W połowie czwartego miesiąca ujrzał Romuald swoję żonę wracającą z tego spotkania nadzwyczaj śpiesznym krokiem. Posłaniec wlókł się zdaleka. Postrzegłszy męża, zwróciła się na uboczną drożynę, prowadzącą do ogrodu; nie mogła jednak tak zdaleka go minąć, aby on nie dostrzegł zaczerwienienia jéj twarzy, osłupienia oczu i nieładu w całéj postaci. Domyślił się więc łatwo, że albo listu nie było, albo był fatalny.

Nadszedł wkrótce posłaniec, i dowiedział się odeń Romuald, że aktualnie listu nie było; wniósł zatém bardzo naturalnie, że wkrótce sam Mieczysław nadjeżdża i dla tego już nie pisze. Myśl ta uspakajająca nie namknęła się w zapamiętałéj głowie jego żony. Wbiegła ona przez ogród do swojego pokoju i tam upadła na sofę. Paroxyzm jakby febry objął ją; drżała najprzód, potém się głowa jéj płomieniem paliła, myśli żadnych zebrać nie mogła, i szklankę po szklance chłonęła wody, tak, że przelękniona służąca pobiegła do Pana i opowiedziała mu stan żony. Serce Romualda, to wyborne serce, z którego on nie mógł niewdzięcznéj wyrzucić, a które go zawsze na litość naprowadzało, i teraz powiodło go do jéj pokoju. Ujrzawszy wchodzącego, rozdarła ona załamane ręce, starała się uspokoić oblicze, ale gorączką pałające oczy, usta i czoło, ale rozrzucone włosy, zdradzały prawdę.

— Zofjo! tyś chora—odezwał się Romuald, biorąc ją dobrotliwie za rękę.

Wyrwała mu ją gwałtownie.

— Po co tu Pan? Kto Panu powiedział, żem chora?

— Twoja twarz, twoje oczy, twoja cała postać.

— Proszę dać mi pokój!

— Zofjo! nie jestem twym mężem w obliczu świata, i być nim nie mogę... ale w obliczu Boga przysiągłem ci opiekę, i téj się nie

zrzekam, choć mię do tego gwałtem przymuszasz, nim kto inny téj ci przysięgi nie wykona. Natenczas moje obowiązki on przyjmie na siebie. Wreszcie jesteś matką mojego dziecka, dla tego zdrowie twoje obchodzi mnie. Przyczynę twéj rozpaczy wiém: nie odebrałaś listu od Mieczysława; a im niecierpliwiéj zawsze czekasz poczty, tem mocniéj uczułaś zawód. Gdyby nie to, łatwobyś wpadła na domysł najpodobniejszy do prawdy, że twój kochanek już w drodze i dla tego zapewnie nie pisze.—

Na te słowa Zofja zwróciła oczy na męża; patrzała nań, jakby rozplątywała jego wyrazy... nakoniec zrywa się z sofy, rzuca się przed nim na kolana... chwyta go za ręce, całuje z uniesieniem, wołając:—Ach! tak! tak! on jedzie! może dziś przybywa i dla tego nie pisze: Tyś zgadł! Bóg ciebie natchnął!... O jakżem szczęśliwa!...—

To już było nad siły i nad cierpliwość Romualda, znieść dowody przeniewierczéj miłości w żywe oczy mu pałającéj—Niewdzięczna!—rzekł on, wstrząsając zapamiętale jéj ręce—okrutna kobieto! O Boże! co za męczarnie!!!—Odrywa się na koniec od nawpółomdlałéj i ucieka z pokoju.

Przyszła druga poczta, i znowu nie było listu. Stan Zofji był nie do opisania. Znikła jéj duma i uporne milczenie; a że mąż nie przyszedł już pocieszać ją, sama się doń przywlekła, żebrząc nadziei, którą tracić zaczynała.

Nie odpędził jéj Romuald; zawarł on w sercu swém nieszczęśliwém żal swój i smutek gorzki, a jak przyjaciel dobrotliwy, jak ojciec schorzałe dziecko, uspokajał ją i koił. Każdy cień nadziei, każde prawdopodobieństwo, chciwie przyjmowała Zofja; często rzucała mu się do nóg; w objęcia bowiem rzucić się nie śmiała.—Niewdzięczna ja! niewdzięczna!—wołała natenczas. I kiedy Romuald, wzruszony i omylony tém wykrzyknieniem, chciał jéj swą miłość i przebaczenie objawić....—Czyż tylko przyjedzie?—mówiła ona, niepewne nań i oczekujące podnosząc źrenice...

Znowu więc pogrążony mąż w dawnéj toni; znowu w sercu żony, naprzeciw głosowi sumienia, szalona namiętność, zwycięzka!

Pasowaniu się takiemu codziennemu zdrowie Zofji wydołać w końcu nie mogło. Jedne już tylko z ust męża słyszała słowa:—Nakoniec czegoś doczekać się musisz, bo mimo najszczersze polito-

wanie dla nieszczęśliwéj, żadnych on pozornych nawet tak długiego milczenia Mieczysława wynaleźć nie mógł przyczyn. Lecz i w tém zwątpiałém *czegoś*, w samém oczekiwaniu... było jeszcze trochę nadziei...

Tak upłynęło parę miesięcy. Zofja żadnéj nie opuściła poczty, pisała list po liście. Aż dnia jednego przybył do nich Hrabia, w którego domu mieszkał był Mieczysław.

Niespodziana ta wizyta zapowiadała jakąś wiadomość, może stanowczą... Drżała, witając go Zofja. Romualdowi nawet gwałtownie serce biło.

Po piérwszych przywitaniach, Hrabia usiadł i wstawał, rozpoczynał rozmowy o urodzajach, o pogodzie, słowem, nie mógł ukryć złowróżbnéj niespokojności. Zofja niecierpliwym wzrokiem śledziła wszystkie jego poruszenia...

— Winszuję Państwu—rzekł on nakoniec! jąkając się, za każdem słowem—winszuję Państwu i cieszę się, jako sąsiad i przyjaciel... że, jak uważam, znikły ztąd... nieznaski i niejakieś nieporozumienia małżeńskie...

— Jakie nieporozumienia małżeńskie?—przerwała mu porywczo Zofja—Tu niema małżeństwa... Mieszkam w jednym domu z tym najlepszym i najczcigodniejszym człowiekiem, a niegdyś przywiązanym do mnie mężem: bo mnie nie wypędził dotąd; chociaż aż nadto na to zasłużyłam, ale nie jestem jego żoną, ani on moim mężem. Krewny Pański Mieczysław jest moim narzeczonym... jego czekam... Pan się uśmiechasz?...—(Zadrżała konwulsyjnie).—Więc on nie przybędzie?... Mów Pan!... mów Pan śmiało... jam do wszystkiego przygotowana, nawet do śmierci bo śmierć znośniejsza nad męczarnie, jakie dla niego i przez niego znoszę... Mów Pan! mów!—

Hrabia, patrząc na Zofję, na jéj oczy pałające i przenikające na wskróś, na twarz jéj to bladą, to gorejącą, na spiekłe usta i mowę gwałtowną, poznał niebezpieczeństwo swojego położenie, poznał, że jedno jego słowo uderzyć ją może zabójczym ciosem; przeklinał więc w duchu Mieczysława i swoje poselstwo. Gdy jednak Zofja nalegała zamiętale, i gdy Romuald odezwał się:

— Albo Panu nie trzeba było tu przejeżdżać, albo potrzeba teraz powiedzieć z czém przyjechałeś: bo widzisz Pan sam, że ta nieszczęśliwa takiego stanu dłużéj nie przetrwa.

— A więc zmuszony jestem powiedzieć—rzekł Hrabia—że okoliczności...

— Na miłość Boga bez ogródek...—przerwała drżąca jak liść Zofja—Nie przyjedzie?

— Nie, nie przyjedzie.

— Pisał do Pana?

— Pisał.

— Proszę mi list pokazać.

— Na cóżby się to Pani przydało?

— Chcę wiedzieć przyczynę. W liście ona być musi.

— Mogę ją Pani powiedzieć; ale proszę się uspokoić.

— Prosisz mię Pan uspokoić się!... Zofja się rozśmiała — ale jakimże śmiechem?—Więc przyczyna Panie Hrabio!...

— Nie dręcz Pan jéj—odezwał się Romuald.

—Przyczyna... bo... bo... się ożenił!!!—

Długie nastąpiło milczenie. Hrabia patrzał w ziemię. Romuald śledził niebezpieczeństwo żony. Ona stała jak posąg...

Nakoniec odsunęła gwałtownie będącego jéj na drodze Hrabiego, i śpiesznym krokiem wyszła. We drzwiach spotkała Marynię, porwała ją na ręce, przycisnęła konwulsyjnie do serca, ucałowała, przeżegnała, i znowu popędliwie biegła do swojego pokoju.

— Panie Hrabio!—rzekł Romuald—krewny Pański jest podły!!! Żegnam Pana, bo muszę ratować zgubioną matkę mojego dziecka.—

Pobiegł za żoną, a Hrabia wyjechał.

Okropny był stan Zofji! słowa pociechy najmniejszego jéj nie przynosiły skutku; i abym skrócił Panu opowiadanie, straszna i gwałtowna gorączka tegoż dnia ją objęła, i mimo wszelkie usiłowania lekarzy, w siedm dni nieprzytomną zebrała ze świata.

Romuald zebrał listy Mieczysława, dołączył metrykę śmierci Zofji, zszył jedno z drugiém i podpisawszy u spodu: *Zabójcy na pamiątkę*, odesłał mu umyślnym.

Wprawdzie po tém słowie: *jużem nie twoja*, które Romuald zanadto może ściśle sobie tłómaczył, a które (jak z listów przekonywał się później) było tylko dowodem niecofniętego Zofji postanowienia i słowa Mieczysławowi danego, Romuald uważał się na zawsze rozłączonym z żoną; jednak nie mogąc jéj zupełnie wyrzucić z serca, bolał nad nią za życia, bolał po niéj po śmierci. Nakoniec spokojność sumienia, oddanie się zupełnie na wolę Boską, i ukochane dziecię Maryla; dźwignęły go ze smutku.

IV.

Zawiedziony Romuald jako małżonek, zapomnieć starał się, że nim był, oddając się jedynie uczuciom i obowiązkom ojca.

Marynia podobniuteńką była do matki. Ojciec, z podobieństwa oblicza biorąc wróżbę i podobieństwa charakteru, postanowił wychowaniem działać naprzeciw upartéj naturze i twardemu sercu, któreby córka po matce odziedziczyć mogła, a w które namiętność z trudnością się wpajała, lecz raz wpojona, trwała tam na zawsze, jak rzeźba w marmurze.

W takim celu czynił on wszystko, co mógł; dobierał jak najłagodniejsze bony i guwernantki; sam codzienną pieszczotą starał się rozmiękczać, roztkliwiać to dziecinne serce, rozlewając na nie najczulszą ojcowską miłość i dobrotliwość.

Gdy się jéj pojęcie rozwijać poczynało, czuwał najtroskliwiéj, aby przed wszystkiemi innemi naukami, choćby z ich zaniedbaniem nawet, poiła się ona najczystszą treścią cnót religijnych; tępiących niesforność młodych urojeń, a jednających pokój i swobodę duszy.

Starał się też o zupełne jéj zaufanie, tém bardziéj, że kiedy niekiedy postrzegał w niéj zarody matczynéj niezłomnéj woli i przekornego umysłu; dla tego wolał się często zgadzać na jéj choćby niewczesne chęci, niżeli sprzeczką podbudzać opór, któryby potém łamać musiał władzą ojcowską, a tém samém wątlić jéj śmiałość i otwartość ku sobie.

— Na tém grunt! — myślał poczciwy ojciec—wyzna mi zawsze wszelkie swoje myśli i uczucia. W dobrych utwierdzę, złe zniszczę w samym zarodzie; w walce zaś złego z dobrem, miłość moję ojcowską ku niéj i jéj dziecięcą ku mnie, naprzeciw złemu postawię... zwyciężę, i szczęście najdroższéj mi istoty ustaliwszy, spokojny, zejdę do grobu. — Tak sobie myślił poczciwy ojciec. *O vana spes mortalium.*

— Ale ja rozgadałem się na długo, a tymczasem nieszpory...— rzekł mój opowiadacz.

— Zadzwonią na nieszpory—odpowiedziałem. Bądź Pan łaskaw kończyć.

— Dojrzała nakoniec i wyrosła—mówił on dalej, Marya, równie piękna i piękniejsza od matki. Romuald z niespojnością widział zbliżający się czas, gdy najmilszą samotności jego pociechę przeznaczenie odebrać mu mogło.—

Czas to był właśnie owych pochopów ku błędowi, owych walk ze złem, w których ojciec miał być jéj sekundantem. Jakoż stał on na straży, pilnując najtroskliwiéj piérwszego czulszego uderzenia serca córki, 'piérwszéj iskry, którąby gasić lub łagodzić należało... Ale się ta iskra nie krzesiła.

Roje młodzieży otoczyły Maryę. Wdzięki, a przy nich ziemska fortuna i wiadome kapitaliki Pana Romualda, nęciły coraz nowych pretendentów. Było wielu i bezwzględnych na posag, bogatych z siebie, a tylko zakochanych w nadobnéj dziewicy, ozdobionéj jeszcze i nabytemi przymiotami starannego wychowania. Ale żaden nie zajął jéj serca. Na niektórych Pan Romuald chętnieby zwrócił życzliwsze oko córki; ale to oko obojętnie przechodziło po wszystkich, nie zatrzymując się na żadnym, i bez zarozumienia lub dumy wyznawała ona szczerze ojcu, że nie kochała żadnego; że do żadnego nie czuła nawet owéj skłonnéj sympatyi, z któréj jeżeli nie miłość przed ślubem, to najczęściéj przywiązanie po ślubie się wyradza, i która może więcéj i szczęśliwszych daje małżeństw, aniżeli zapamiętała namiętność.

W takim stanie obojętności i otrętwienia niejakiego doszła Marya lat dwódziestu. Rozum się jéj ukształcił, wdzięki się najponętniéj rozwinęły, przymioty wydoskonaliły; a Romuald mniéj się zaczął lękać burzy, jaką piérwsza miłość zbudza w młodych sercach, bo już widział w córce siły umysłu zdolne w potrzebie wesprzeć jéj słabość, utłumić płomień, i ustalić równowagę między namiętnością i rozumem; poglądał więc z roskoszą i chlubą na wypiastowaną dziewicę.

W tym właśnie czasie zjawił się w naszą okolicę, a raczéj spadł jak z obłoków szczególniejszy człowiek, cudzoziemiec, Francuz czy Włoch, trudno wiedzieć. Nie pamiętam już, z kim on tu przybył. A był

to czas u nas gdy cudzoziemiec, a szczególniéj Francuz każdy, za najdoskonalszego uchodził człowieka. Wszyscy więc ubiegali się o jego przyjaźń, kobiety o jego piękne słówka, a każdy dom miał za honor jego gościnę.

Ten wszelakoż człowiek różnił się od pospolitych swych współrodaków, i mógł prawdziwie celować w każdém towarzystwie. Jak się on rzeczywiście nazywał, niebardzo się dopytywano; zresztą i zapomniałem: *Monsieur le Colonel*, i nic więcéj. Takim się on ogłosił, i tak go nazywano, nie dochodząc bynajmniéj prawa jego do tego tytułu. Nosił on od niechcenia wstążeczkę czerwoną przy zapięciu fraka, a rozpowiadał dokładnie wszystkie prawie bitwy i zwycięztwa Napoleona; i lubo w tych narracyach nigdy o sobié nie mówił, tak jednak umiał zręcznie prowadzić opowiadanie i jednoczyć się z wypadkami, że mu wysokiego stopnia wojskowego, męztwa, i ścisłéj znajomości z wielkiemi ludźmi, których sława brzmiała natenczas po Europie, zaprzeczyć nie można była.

Nadto, dumne jakieś lekceważenie takiéj swietnéj przeszłości, o któréj jakby z przymusu wspominał, współ-urywane słowa o swym losie i przeznaczeniu, dostatek pieniędzy, których nieskąpo, ale i niepłocho używał, rozmaitość talentów i nauk wyższém tylko wychowaniem nabyć się mogących; a przy tém wszystkiém jakiś niesmak i poniewierka życia, jakiś smutek i tęsknota w zadumaniach i głębokich niekiedy westchnieniach objawiająca się — wszystko to jednało tajemniczéj téj figurze pewny urok zagadki, twarzą nawet jego i szczególniejszym jéj wyrazem podniecany.

Kto go raz widział, już go nie zapomniał nigdy. Nie był to człek piérwszéj młodości, mógł bowiem mieć lat trzydzieści z górą. Uroda spora, ale składna ku całéj jego silnéj, zwięzłéj i szykownéj postaci; czoło wysokie otwarte, na którém głęboka myśl, czy głęboka troska, lekkie wyryła karby. Osłaniało się ono i chmurzyło gęstemi kruczemi włosami, które on niecierpliwem strząśnieniem głowy, jak lew grzywę, na skronie odrzucał. Oko czarne, pełne, a tak przenikliwe, takiego iskrzącego się żaru, że gdy je w ciebie utkwił, lękałeś się, aby cię nie urzekł lub nie oczarował. Sam tego na sobie doświadczyłem. W zwyczajnym stanie był to wzrok piękny, włoski, namiętny; ale w każdém żywszém wzruszeniu były to oczy bazyliszka.

Powiadają, że wąż grzechotnik gdy spójrzy na wiewiórkę, już zginiona: bo z pod wpływu jego zabójczego oka wydarć się nie

może, i usiłując uciekać, sama wpada na żądło. Mniemam, że tenże sam wpływ miał wzrok i tego człowieka. Reszta rysów twarzy jego przystojna i męzka. Uśmiech zwykle ironiczny, którym na wątpliwość lub głębiej dojmujące pytania odpowiadał, strzegł wprawdzie jego tajemnic, nie tłumił jednak domysłów i podejrzeń nadwerężających niekiedy wiarę w jego znakomitość zresztą, ponieważ z władzą krajową był w zgodzie, a zatém najdostojniejsze domy bez bojaźni mu się otwierały.

Jednym z takich domów, w którym z upodobaniem gościł pan Pułkownik, był zmarłéj już dawno blizkiéj krewnéj Romualda, zacnéj weteranki, wdowy po Generale b. Wojsk Polskich, która całą młodość w Warszawie i przy Dworze Stanisława Augusta przepędziwszy napoiła się uwielbieniem francuzczyzny, tém bardziéj gdy sława narodu tego tak się wzniosła. Czciła ona Napoleona jak półboga, jakże więc rada była w swym domu uczestnikowi jego zwycięztw! z jakiémże go zajęciem i rozkoszą słuchała! jak się oburzała na każde wątpliwe o nim słowo.

Generałowa przywiązaną była czule do Maryi, i Marya wzajemnie do babuni, u któréj niekiedy zostawiał ją ojciec na kilka tygodni, pewny dobrych przykładów i spokojnych godzin dla córki.

Marya od dzieciństwa okazywała zdolność do rysunku; Romuald więc starał się wspomodz ten piękny padarunek od natury; i Marya tak ochotnie się przykładała, że wyborną była kopiistką krajobrazów, któremi obwięszała ściany w pokojach Generałowéj.

— Czyjéj to ręki rysunek?—zapytał raz Pułkownik.

— Mojéj wnuczki—odpowiedziała Generałowa.

— Kobiéty?—rzekł znowu z niejakiém zadziwieniem Francuz.

— Dziewczyny, niemającéj spełna lat dwódziestu.

— Winszuję! Talent niepospolity! ale wart lepszych nauczycieli i dalszego doskonalenia się. To są kopije ze sztychów. Naśladowanie jest dokładne, pracowite, ale niewolnicze. Takim sposobem mnożą się tylko duplikaty; a wnuczka Pani zdolną jest, jak uważam, mieć wzorem naturę, i z niéj kopije na napier przenosić. Brak jéj tylko wiadomości sposobów i praktyki.

— Alboż, Pułkowniku, jesteś równie dobrym malarzem, jako i muzykiem?

— Nie wielkaby to była zaleta mojego malarstwa, gdyby się tylko równało muzyce.—(Pułkownik grał wyśmienicie na skrzypcach).— Niegdyś, mówił dalej Pułkownik — przebiegając włoską krainę — (a wzdychał głęboko, ilekroć Włochy wspominał) — okolice i wspaniałe pamiątki Rzymu udawało mi się nieźle kopjować. Ochotę miałem niezmordowaną. Często całe dni z ołówkiem w ręku błąkałem się po górach i rozwalinach, a przynosiłem do domu w szkicach i w pamięci pracę kolorowania na kilka tygodni.

— Na wieleś się odważał, Pułkowniku!—rzekła Generałowa.—Powiadają i piszą, że Włochy napełnione są rozbójnikami, a góry, wąwozy i dawne opustoszałe zamczyska są ich gniazdami.

Pułkownik zwrócił szybko wzrok na Generałowę, utkwił go w niéj przenikliwie; ale po chwili milczenia rzekł z uśmiechem:

— Pani czytałeś Rynaldiniego.

— Zgadłeś, Pułkowniku, zgadłeś—odpowiedziała śmiejąc się Generałowa.— To ulubiony mój romans i wnuczki mojéj. Czytałyśmy go kilka razy. Czy rzeczywiście istniał Rynaldini?

— W imaginacyi autora. Wiele jednak jest tam wypadków i rysów charakterystycznych, wziętych z dziejów rozbójnictwa włoskiego, które dzisiaj bagnet francuzki zniszczył i wyplenił.

— Prawdziwie szkoda... rzekła bez zastanowienia, zajęta Rynaldinim Generałowa.

Rozśmiał się może raz piérwszy na prawdę Pułkownik.— To mi prawdziwie romantyczny żal po bandytach — rzekł i spójrzał znowu po swojemu na Generałowę śmiejącą się także.

— Czy widziałeś choć raz bandytę? Pułkowniku!—zapytała ona znowu.

— Czemu nie? i nie raz, na placu exekucyi, przed wymierzonemi doń dwónastu karabinami...

— Ach mój Boże! jakże on...

— Ale wracając do mojego malarstwa — przerwał Pułkownik— potém, jako żołnierz, na koniu, nie miałem łatwych sposobności dogadzania mojéj ochocie. Jednakże gdyśmy zajmowali Szwajcarję, piękniejsze jéj góry i jeziora do mojéj teki zgromadziłem. Niektóre też nadmorskie widoki we Francyi zdjęte, pomnożyły zbiór mój, za który sztycharz w Moguncyi nieźle mi nawet chciał zapłacić. Ale kiedyż amator przedaje swoję pracę? Jednakże możebym i lepiéj zrobił; boby moje pejzaże zostały przynajmniéj własnością publiczną; a teraz w rozmaitych podróżach poginęły; ledwo mi kilka zostało,

które pozwoli Generałowa między temi pięknemi rysunkami na pamiątkę zawiesić.

— Jaka ofiara! Pułkowniku! Ale wdzięczną będąc nieskończenie, przyjąć jéj nie mogę; naprzód, że nie chcę cię pozbawić miłych przypomnień; powtóre, że rysunki mojéj Marylki straciłyby całą wartość obok twoich.

— Miłych albo niemiłych wspomnień, to mnie wiedzieć—odrzekł Pułkownik z niejaką goryczą—a oprócz tego wiém, że w błędném mojém życiu potracą się, jako i piérwsze. Więc nie odmawiaj mi Pani, proszę.

— Niech i tak będzie—rzekła Generałowa—i wierz mi, Pułkowniku, że nigdy nie spójrzę na jego pracę, abym nie życzyła wszelkiego dobra autorowi.

Pułkownik westchnął głęboko.

— Ale wiész co? Pułkowniku! ośmielasz mię do jednéj prośby.

— Gotowym na rozkazy.

— Ponieważ znajdujesz ślady zdolności w rysunkach mojéj wnuczki, czybyś nie raczył dać jéj kilka lekcyj zdejmowania obrazów z natury? Prawdziwąbyś nam zrobił łaskę, a jéj tém bardziéj: bo upodobanie jéj w rysownictwie rozmaitością i odkryciem nowego pola talentowi, stokrotnieby się podniosło.

— Uprzedzasz Pani życzenia moje, których objawić nie śmiałem. Ale obacz wprzód Pani moje obrazki, i osądź czy się zdam na nauczyciela wnuczki Pani?

Rozkazał Pułkownik podać swoję podróżną tekę, i z niéj wyjął kilka krajobrazów tak doskonale i pięknie zrobionych, że rękę mistrza przyznać mu koniecznie trzeba było. Zachwycona Generałowa posłała wnet umyślnego do Maryi, z wezwaniem, aby przybywała natychmiast z pędzlami i farbami dla brania lekcyi rysunków z natury od najdoskonalszego mistrza.

Romuald słyszał już rozmaite wieści o panu Pułkowniku; rozmyślał więc bardzo, czyli miał jechać i zgodzić się na te lekcye? Jednakowoż zaufanie nieograniczone w rozsądku Generałowéj (którego wszakże ani w wyborze Rynaldiniego na ulubioną lekturę, ani w wyborze nauczyciela rysunków, nie dała wielkiego dowodu), zaufanie w rostropności codzień rozwijającéj się samejże Maryi, zaufanie nakoniec we własnéj przenikliwości i prośby Maryi, zdeterminowały go—pojechał.

Byłem blizkim sąsiadem Generałowéj i bardzo częstym u niéj gościem; obecny więc byłem i téj rozmowie jéj z Pułkownikiem, i tém bardziéj zostałem na dni kilka, doczekując Maryi, że gdyby moje uczucia ku niéj i życzenia nawet babuni przyjętemi były.... Ale los chciał inaczéj...

Po najczulszych przywitaniach babki z wnuczką, piérwsze spotkanie uczennicy z nauczycielem wprawiło w osłupienie tego ostatniego. Oczekiwał dziecka, a przynajmniéj młodéj dziewczynki, nieśmiałéj wieśniaczki, a spotkał dziewicę dojrzałą, piękną nad wszelkie jego wyobrażenie, wybornie wychowaną, mówiącą dobrze po francuzku. Wzrok jego utopił się w niéj; a zważający troskliwie Francuza ojciec nie upodobał tego wzroku i od razu antypatyę doń poczuł; Pułkownik odszedł zadumany w jedną stronę, Romuald w drugą. O jakże różne myśli w ich głowach! jak różne uczucia w duszach!!!

Wróciwszy Romuald, znalazł ciotkę i córkę unoszące się nad pięknością obrazów Pułkownika; a ten opowiadał przy niektórych to legendy, to podania historyczne do miejsc zrysowanych przywiązane.

Romuald nie podzielał zajęcia się słuchaczów; czém inném miał on zajętą uwagę; przemyśliwał jakby zerwać zupełnie, lub przynajmniéj skrócić tę naukę Maryi? Więc przerywając historyę Pułkownika, rzucającego nań kiedyniekiedy inkwirującym wzrokiem, rzekł jąkając się (bo mu trudno mówić po francuzku, chociaż rozumie ten język):—Jak wielu potrzeba lekcyj, aby córka moja nauczyła się tak pięknie rysować?

Pułkownik przeniknął myśl i niechęć ku sobie ojca Maryi; uśmiéchnął się, a z tego uśmiechu Romuald odgadł, że jest przeniknionym. Dwie podejrzliwości wzięły się tu na próbę, ale walka nierówną była: bo Pułkownik był mistrzem w szkole fałszu i przewrótności, Romualdowi zaś troskliwość i niespokojność ujmowały baczenia i zimnéj rozwagi.

— Będzie to zależało—odpowiedział Pułkownik zawsze z uśmiechem, i odwracając się nawpół do ojca, nawpół do córki—od ochoty Pani: bo o zdolności najmniéj nie wątpię; zresztą umiejętność moja nie tak dalece przewyższa usposobienie Pani, abyśmy się wkrótce nie zrównali; i nakoniec, mimo najszczérsze chęci moje, długo pięknéj uczenicy służyć nie będę, bo wkrótce odjechać muszę do Petersburga, jakem to Pani Generałowéj już mówił.

— Z Panem Bogiem—pomyślił Romuald, i ja także.

— Czekam listów. Od tych zależeć będzie moja determinacya. Aby zaś nie tracić czasu, czy się Pani nie zgodzi dziś na piérwszą lekcyę? Zawsze, jeżeli podoba się Pani, propozycya samychże lekcyi.

Marya podziękowała grzecznie; oświadczyła tylko ze zwyczajnéj etykiety, że się boi, aby nie znudziła nauczyciela, i aby nie żałował czasu marnie użytego.

— Czas mój, Pani, na nic się nie przydaje; upływa marnie i bez celu, jako i życie moje tułacze; ofiara więc zeń nie ma żadnéj wartości; owszem, dobrodziejstwo mi czyni każdy, kto go sobie przywłaszczy, choćby na pamiątkę.

Piękne jest położenie wsi, natenczas do Generałowéj, dziś do jéj licznych dziedziców należnéj. Ogród za dworem po wzgórzach i dolinach széroko rozległy, dochodzi do brzegu czystego i pięknego jeziora, za którém na drugiéj stronie dojrzeć można murowany kościołek z klasztorem; także na wzgórzu wznoszący się i jodłowym lasem okolony. Na środku prawie jeziora, w bok od klasztoru i ogrodu, jest wysepka, na któréj kilkanaście dębów ogromnych, mały z leszczyny zarostek i licha chałupka, letni przytułek rybaków, jakby umyślnie na prospekt rysunkowi rzucona.

Półkownik wybrał nadbrzeżny wzgórek, z którego cała ta okolica w najpiękniejszy rozwijała się widok, i chwilę nachylającego się ku zachodowi słońca, gdy jaskrawe jego promienie, padając ukośnie na wyspę i odbijając się około niéj od wody, złoto-płomienną zalewały ją barwą. Daleka łuna światła błyszcząca na falującém się lekko jeziorze, dochodziła cieniów pomykających się zwolna od klasztornego lasu, ustępowała im po wodném źwierciadle i tonęła w głębiniach. Gdzieniegdzie kilka łódek i kilka stad kaczek dobijało się na nocleg do brzegów. Széroki ten i piękny plan, miał być w téj saméj chwili swojego uroku schwycony na papier. Pułkownik ustawił stolik, oznaczył miejsce dla rysowniczki i podał jéj w rękę ołówek. Nastąpiła chwila milczenia. Wszyscy wpatrywaliśmy się w ten cudny i zachwycający widok.

— O piękna naturo!—wykrzyknął nakoniec Pułkownik—jakże cię kocham! O jakże dawno serce me biło dla ciebie! Jakże dawno taką mię rozkoszą, jako w téj chwili, poiłaś!

Obróciliśmy się ku niemu. Nigdy nie zapomnę jego natenczas postaci i twarzy. Stał on jak wryty z rękami na piersiach skrzyżo-

wanemi, wzrok jego powleczony łzawą pomroką, tlał z pod niéj, jak iskra z pod zarzewia; a na czole i całém obliczu wyraz takiéj głębokiéj boleści czy zgryzoty objawił się i zastygł, że nań bez trwogi patrzéć nie można było.

Marya rękę z ołówkiem na stoliku oparłszy, podniosła nań także zdziwione oczy; wpatrywała się ona w tę postać czy posąg, jakby ją pojąć, zrozumiéć i zrysować chciała.....

Stopniami opamiętywał się dziwny ten człowiek, uśmiéchnął się gorzko i wzrok swój posępny ale gorejący, na Maryę obrócił... Spotkał oczy Maryi... Niezdolną była wytrzymać długo dziewica tego przenikającego wejrzenia, ale i oderwać swojego oka odeń nie mogła; olśnione jakby jéj źrenice błąkały się w różne zboczenia, ale gwałtem zwracały się na te dwa ogniska, z których iskry padały jéj na lica, a bodaj i na serce.

Mniemam, i dotąd wierzę, że ta jedna chwila zgubiła Maryę, że ten wzrok szatański jakąś piekielną siłą ją oczarował.

Postrzegł baczny na wszystko ojciec ten stan wątpliwy córki.— Dla czegoż nie rysujesz? Maryo!—rzekł, spozierając ostro na nauczyciela. Ten uśmiéchnął się znowu, twarz jego przybrała zwyczajny tajemniczy wyraz, oczy złagodniały.

— Prawda—rzekł—napawając się tym pięknym widokiem, zapominamy, że go wykraść mamy naturze... Zaczynajmy więc.

— Nie wiém jak i od czego?—odezwała się Marya głosem zdradzającym nieuspokojone jeszcze wzruszenie.

— Daruje więc Pani, że jéj powiém wprzód kilka ogólnych a koniecznych uwag.

Zawadą dla Pani jest dotychczasowa jéj nauka. Nawykłaś Pani z małych obrazków niewolniczo kopiować rysy i farby. Jest to praca mechaniczna, nad którą ręka i oko, nie serce, nie myśl, nie imaginacya pracuje. Tu ręka iść powinna za natchnieniem obudzoném pięknością i wdziękami natury. Tém lepiéj, gdy ręka ta posiada już niejaką wprawę. Ale wielu z najcelniejszych malarzy, bez żadnych poprzedniczych usposobień, nie mogąc oprzeć się wrodzonemu zapałowi i powołaniu, doszli mistrzowskiéj doskonałości, a przynajmniéj rozpoczęli świetny swój zawód bez innego nauczyciela, jak własne żywe uczucie i śmiała wyobraźnia. Pani chociaż tylko dla własnéj przyjemności doskonalić chcesz swój talent, uważaj jednak naukę już nabytą jako sługę uległą woli wyższéj, woli uczu-

ciem piękności i zapałem powodowanéj. Z niéj tylko wypłynąć może doskonałość i tysiące miłych wrażeń dla saméj Pani i jéj serca.

Patrz Pani! tło naszego obrazu jest piękne niebo zaczérwienione od zachodu mocnym ogniem zapadającego słońca, jakby łuną wulkanu; na wschodzie ciemno-błękitnieje, nocną już powlekając się barwą; na środku więc jest światło-cień, to jest, walka wieczoru ze dniem, która się odbija na wodzie, i to natrudniejsza sztuka dla kolorytu.

Główne pole obrazu, jezioro. W niektórych liniach zlewa się z horyzontem kończącym widnokrąg; w niektórych węższe, dozwala widzieć las, klasztor, i inne przedmioty na drugim brzegu, tak jednak odległe, że jakby przejrzystą mgłą osłonione, tają w niéj swe kształty; nakoniec wyspa blizko nas najwyraźniéj daje się rozróżniać ze swą gorejącą strefą i najmocniéj uderza w oko, a zatém najłatwiéj wejdzie do obrazu...

Daléj Pani! póki słońce na niebie, a żywe wrażenie w duszy... śmiało... zakreślajmy konturna...

Jakby natchniona nowém pojęciem i uczuciem, Marya wnet rzucać zaczęła sztrychy ręką tak pewną i śmiałą... w oczach jéj i na czole taki zapał i ochota jaśniały, że Pułkownik, patrząc to na stolik i Maryę, to na krajobraz, cisnął na ziemię ołówek, który miał w ręku dla poprawiania rysunku, i zawołał:

— To być nie może! Pani mnie zwiodłaś!

— Jakto? — zapytała Marya, zatrzymując się.

— Oczywiście Pani nie piérwszy raz rysujesz z natury, i wcale nie potrzebowałaś moich lekcyj.

— Pan żartuje — rzekła Marya.

— Wierz mi Pan — odezwał się Romuald — że córka moja nigdy nie rysowała inaczéj, jak ze sztychowanych obrazów.

— A więc to cud—rzekł z uniesieniem Pułkownik—cud obudzonego uczucia i ożywionéj duszy, rozwijającéj nagle nadzwyczajny talent.

— Kochana moja Marynia!—rzekła Generałowa, całując ją w czoło.

— Nie ma tu żadnego cudu — odpowiedziała Marya. — Słowa Pańskie dały mi nowe wyobrażenie o sztuce i niejakie zaufanie w sobie, dawna nauka wspiera mnie jakokolwiek, a więc dzięki za to Panu. I na dowód, że nie ma cudu, proszę Pana o pomoc, bo uwięznę na wyspie.

Pułkownik podjął ołówek, i pomagając Maryi, nadawał jéj rysunkowi pewniejsze formy i wyspę oznaczył.

W pół godziny ukończył się zarys.

— Otoż mamy na papierze — rzekł pułkownik, Słońce! możesz teraz sobie zachodzić. Inaczéj zawołałbym, jak Jozue: „Stój!“

— Ale — mówił daléj, wpatrując się w rysunek — obraz nasz może być pięknym wprawdzie, jednakże trzebaby go jakoś zrobić interesującym. Oko widza może go podobać; ale myśl, ale imaginacya nie znajdzie w nim do czego się przywiązać, nad czém się zastanowić i jednoczyć się z myślą malarza, lub ją zgadywać i śledzić. A przecięż to najwięcéj dodaje uroku obrazowi.

— Cóż więc tu dodać? — zapytała Marya.

— Jak się Pani zdaje? jak się nareszcie Państwu wszystkim zdaje? Proszę o projekt. — Sam też zamyślił się.

— Wyrysujcie — rzekła Generałowa — rybaków wyciągających sieć na wyspę.

— Nieźle — odpowiedział Pułkownik — ale scena ta nadto pospolita. Na wszystkich krajobrazach brzegów morza lub jezior, spotkasz się z rybołostwem.

— Wyrysować — rzekłem — mnicha przechadzającego się niedaleko klasztoru po brzegach jeziora. Domyślać się można będzie, że o zachodzie słońca odmawia wieczorne modlitwy. Żywa imaginacya wieleż to myśli nad tym mnichem rozsnuje!

— Prawda — odpowiedział znowu Pułkownik — pomysł wyśmienity. Tylko widzi Pan, klasztor tak od nas odległy, że zaledwo go dojrzéć możemy: a jakże moglibyśmy widzieć przechadzającego się mnicha, i jeszcze w cieniu, jakim teraz przy zachodzie słońca cały brzeg tamten jeziora pokryty?

— Daj Pan — odezwał się Romuald — strzelca na łódce polującego na kaczki, i przy nim pięknego wyżła.

— Rzecz także trochę pospolita, a zmieni całą treść obrazu na polowanie na kaczki

— Jakiż własny Pański projekt? — zapytała Marya.

— Widzisz Pani ten obłoczek na niebie lekkim wietrzykiem za słońcem na zachód pędzony? Sam jeden, zbieg jakiś z drugiéj części nieba, od wielkiej chmury oderwany, która nań ciążyła; goni za promieniem słońca..... Niebaczny! zginie w jego ognisku! Teraz postawmy na wyspie jakiegoś nieznajomego samotnika, opartego o dąb starożytny; wygnańca, może uciekającego od prześladowania

i przemocy, a wpatrującego się w ten obłok, który jest godłem jego losu i zabłąkania!...

— Brawo! Pułkowniku! — przerwała Generałowa. — Myśl czuła i oryginalna.

— Więc ją jutro dokonamy. Naszemu samotnikowi damy postać i ubiór bohatéra Pani upodobanego, Rynaldiniego—dodał uśmiechając się.

— Zgoda! i owszem! — rzekła śmiejąc się także Generałowa.

— Póki samotnik Pański był prześladowanym wygnańcem — odezwał się Romuald — mógłby wzbudzać interes; ale gdy go Pan masz wyobrazić bandytą uciekającym zapewne nie od przemocy, ale od miecza sprawiedliwości, to lepszy byłby mój poczciwy strzelec, a nawet wyżeł, jako wierny stróż i przywiązany przyjaciel.

— Jak się Panu podobać będzie. Jutro weźmiemy się do kolorów; zrobimy więc, co najlepiéj do obrazu przypadnie; byle słońce tak piękny, jak dziś, dało nam zachód. A nader niedługa nauka postawi panią niezawodnie wyżéj od nauczyciela, o tyle, o ile świéżość i swoboda myśli wyższą jest nad wyczerpanie ducha lub otrętwiałość serca, a zatém i ręki: bo wierz mi Pani, że źródło wszelkich w sztukach pięknych doskonałości jest w duszy; ręka jest tu tylko prostym rzemieślnikiem, duch jest mistrzem i twórcą.

Wieczór zszedł nam najprzyjemniéj. Pułkownik biorąc pochop od Rynaldiniego, opowiadał różne wydarzenia podróżnych z rozbojnikami włoskiemi; opisywał piękne okolice krajów, które przebywał; to nakoniec wojenne Napoleonowskie wypadki. Słuchaliśmy go z prawdziwém upodobaniem, bo opowiadał tak zajmującym sposobem, tyle życia, czucia i prawdy było w jego powieściach, że znać w nim było razem i malarza, i człowieka wysokiego usposobienia i nauki.

Marya oko zeń swoje wtenczas tylko sprowadzała, gdy on swój wzrok na nią obrócił; a co jednak, zwłaszcza w interessowniejszych scenach, często się zdarzało. Sam tylko Romuald, więcéj opowiadaczem jak opowiadaniem zajęty, śledził wszystkie jego wzruszenia i myśli, które lubo zdawały się najmniéj wątku powieści nie odstępować, jednakże nie wszystkie na jaw wychodziły. Niektóre, czy to strzegąc się śledczéj uwagi Romualda, czy to ze zwyczajnéj temu człowiekowi skrytości, wymknięte z ust, zdawały się wnet mu nazad do głowy powracać i tam się zatajać, zostawując pole domysłom, chlubniejszym dlań może, niżeli niedomawiana rzeczywistość.

Muzyka zakończyła wieczór. Generałowa obowiązała wnuczkę, aby grała na fortepianie ulubione jéj Polonezy Ogińskiego.

— Jakże się panu podobają — zapytała Pułkownika.

— Rzewne są i pełne tkliwego uczucia — odpowiedział; kazał potém przynieść swoje skrzypce, prosił Maryi o powtórzenie, i akkompaniował jéj z takiém serdeczném przejęciem się myślą autora, z taką harmonią i sztuką razem, że stokroć podniósł wartość kompozycyi i exekucyi na fortepianie, tak iż wierzyć trudno było, że je grał raz pierwszy.

— Któż teraz rozstrzygnie — rzekła zachwycona Generałowa — czyś lepszy malarz, czy muzyk! Pułkowniku!

Nic nie odpowiedział on na tę pochwałę; pokiwał głową, uśmiechnął się po swojemu, ani chluby, ani fałszywéj skromności nie udając.

Przy rozejściu się na noc rzekł do mnie Romuald, co i do mojego przekonania trafiało; — Szczególny człowiek! Co za rozmaitość talentów i nauki! Posiada on wszystko, czém sobie podziwienie... nie czemby sobie zaufanie mógł zjednywać. Cóżkolwiek bądź, mam jakąś doń odrazę, cóś mię odeń odpycha. Byłżeby to instynkt, lub złe przeczucie?... nie wiem. Ale przerwę naukę Maryi po jutrzejszéj może lekcyi; nie chcę dla niéj takiego nauczyciela.

V.

Nazajutrz odebrałem listy donoszące mi o zgonie mojego krewnego na Białéj-Rusi. Ważne ztąd dla mnie wywiązały się interesa, wymagające rychłego mojego tam przybycia, a nawet dłuższego zamieszkania. Bez zwłóki więc wyjechałem od Generałowéj, a nazajutrz i z domu. Nie oświadczałem się Romualdowi z mojemi uczuciami dla Maryi: bom wiedział, żem od niéj saméj nie miał wzajemności; zdawszy więc los mój na wolę Boską i na opiekę Generałowéj, obiecywałem sobie przyśpieszyć ile można najrychléj mój powrót.

Inaczéj jednak się stało: lat dwa z górą zamieszkałem na Białéj-Rusi.

W kilka miesięcy po mojém tam przybyciu, nieszczęśliwe ztąd nowiny uderzyły mnie jedna po drugiéj jak pioruny. Najprzód donie-

siono mi o śmierci Generałowéj; a wkrotce o okropnéj wiadomości, któréj z początku wierzyć nie chciałem, że Marya uciekła z domu ojca i ujechała z Pułkownikiem za granicę.

Trudno mi wyobrazić Panu, jak mię głęboko ta wiadomość dotknęła. Lecz nie moje własne, a nieszczęśliwego tego starca cierpienia mam Panu opowiadać; a i w tém nawet dokładnym być nie mogę, bom nie był obecny. Donaszano mi wprawdzie o jego rozpaczy, o jego ciężkiéj potém chorobie, nakoniec o odzyskaniu zdrowia, i o zupełném odosobnieniu się od ludzi i towarzystwa, nakoniec o wyprzedaniu tutejszego folwarku, w którym wszystko mu podwójne jego nieszczęście przypominało, i o przeniesieniu się do drugiego, ztąd o mil dziesiątek, w którym i dotąd mieszka. Powróciwszy więc w te strony, nie znalazłem już Pana Romualda. Po niejakim czasie odważyłem się go odwiedzić. Przyjął mię czule. Rozpłakaliśmy się. Poznałem, że ten człowiek nie unikał serc szczerze mu życzliwych i prawdziwie jego nieszczęściem dotkniętych, ale chronił się od fałszywego politowania, tak podobnego urąganiu.

— Byłeś przy piérwszéj lekcyi Maryi... to jest, przy piérwszym kroku jéj zguby...— rzekł mi on.— Kochałeś ją — wiém i o tém. Pamiętasz moję odrazę ku temu człowiekowi? Niestety! było to przeczucie ojcowskiego serca!... Ale nie gadajmy o tém, proszę cię i zaklinam — dodał, uprzedzając moje pytania.— Stało się i nie wróci!... Po matce wzięła ona rysy twarzy, piękność nadzwyczajną, i serce niełatwo zapalające się namiętnością, ale raz zapalone już ugasić się niemogące. Wychowaniem chciałem zmienić tę naturę, któréj się domyślałem... O Boże! czegożbym nie poświęcił dla zabezpieczenia jéj spokojnego szczęścia!... Zamilkł. A ja, nie mogąc udręczać go moją ciekawością, nie dowiedziałem się szczegółów bezecnéj intrygi, przez którą ten szatan wcielony potrafił uwieść Maryę; nie mogłem jednak nie zapytać: — Czy żadnych o niéj nie ma wiadomości?

— Uciekli do Pruss — rzekł.— Potém nic nie wiém i wiedzieć nie chcę. Przychodziły do mnie listy; ale, poznawszy rękę na kopercie, odsyłałem nazad, nie otworzywszy... Dość o tém, proszę.—

Dałem więc pokój pytaniom; zmartwiony do głębi widokiem tego wyzucia się zupełnego ojcowskiego serca z rodzicielskich uczuć.

Oto już piętnaście lat upływa po tém nieszczęśliwém wydarzeniu. Zapomniano tu o Maryi i o jéj zwodzicielu; zwłaszcza, że i Romuald podobno dziś raz piérwszy po swém ztąd wydaleniu tu

się okazał. Kto był ten zwodziciel? zagadka dotąd z zupełną pewnością nie rozwiązana. Mniemano go być wprzód szpiegiem Napoleona, wysłanym dla zbadania kraju przed przewidywaną już wojną. Ale gdy wkrótce po ucieczce jego z Maryą wyszukiwano tu ściśle, za odezwą rządu francuzkiego, niejakiego Włocha, Kallibotą zowiącego się, wodza bandytów włoskich, który był wprzód Jezuitą, a przed ostatniém święceniem uciekłszy z klasztoru w góry, niesłychane tam dokazywał excessa, aż nakoniec pojmany przez wojska francuzkie, osadzony w więzieniu i skazany na śmierć, w wigilją exekucyi potrafił umknąć, a nabytemi za młodu i w zakonie naukami i szczególniejszą zręcznością torował sobie drógę w ucieczce. Gdy nadto rysopis tego człowieka odpowiadać zdawał się postaci Pułkownika, wieść zatém piérwsza upadła, a ta druga zaczęła nabierać prawdopodobieństwa.

Wkrótce krążące nowiny o Maryi potwierdzać ją zdawały się.

Rozpowiadano bowiem, że ją widziano w Gdańsku; że tam wzięła ślub z Pułkownikiem; że ztamtąd udali się do Berlina; że tam nagle napadła policya na ich mieszkanie; i że gdy Pułkownika ująć chciano, on strzelił i zabił policyanta, a potém sobie w łeb wypalił.

Co się stało z Maryą, długo nie było żadnéj wieści.

Nakoniec przed laty kilku przybyłem ja do Wilna na czas dłuższy, i poznałem się tam z jednym z odległych ziomków naszych, bo mieszkańcem Podola, Edmundem S..., który piérwszy raz był w Litwie i nigdy nie słyszał nawet o Maryi.

Powracał on właśnie z Karlsbadu; i opowiadając szczegóły swojéj podróży mniéj zresztą interesujące, (bo wieluż to co rok mamy odbywających oną?) dodał, że w Dreźnie poznał artystkę znakomitą, Polkę, malarkę krajobrazów, a to szczególniejszym sposobem.

Instynktowa ciekawość objęła mię. Prosiłem, aby mi opowiedział to swe zdarzenie.

— Mając — rzekł Edmund — zabawić kilka tygodni w Dreźnie, nie stanąłem w domu zajezdnym, ale wyszukałem sobie kwatery, która mi się zdarzyła w kamienicy staruszka, poczciwego jakiegoś Niemczury. Gdy się on dowiedział, kto jestem, powiedział mi, że w domu jego mam ziomkę, mieszkającą od lat dwóch, która teraz jest w najbiedniejszym stanie, schorzała i w nędzy. Nim ją choroba

paraliżu w nogach dotknęła, żyła ona, dając lekcye rysunku; bo jest doskonałą w téj sztuce; ale teraz żyje tylko z jałmużny od swych uczennic i z miłosierdzia mojego — mówił Niemiec — bo nie mam serca wyrzucić ją z pokoiku na poddaszu, do którego z biedy się przeniosła, nie mogąc zapłacić lepszego. Gdy jednak przyjdzie zima, nie będę mógł dać jéj ciepłego mieszkania, i kto wie, co się natenczas z nią stanie? A żal mi téj kobiéty, bo jest cnotliwą i dobrze wychowaną, i mniemam, że nieszczęście jakieś nadzwyczajne, o którém nie mówi nikomu, popchnęło ją do tego stanu.—

Zainteresowany tém opowiadaniem gospodarza swojego Edmund, postanowił nawiedzić nieszczęśliwą, jakoż wgramolił się do jéj izdebki, i znalazł tam nędzę przechodzącą opisanie Niemca i własne wyobrażenie.

Po krótkiéj rozmowie poznał on łatwo, że ta kobiéta, młoda jeszcze i piękna, była wybornie wychowaną; że taiła ród swój i prawdziwe nazwisko; i zgodził się w duszy z gospodarzem, że ją nieszczęsne jakieś zdarzenie przywiodło do korzystania na sposób do życia z umiejętności, któréj na uprzyjemnienie tylko onego kiedyś zapewne nabyła.

Zapłakała rzewnie, posłyszawszy mowę ojczystą; rozpytywała się o stronach tutejszych; ale mieszkaniec Podola nic jéj o tém powiedzieć nie mógł.

Wrócił Edmund do gospodarza, zapewnił dla nieszczęśliwéj lepszą kwaterę i wygody, wezwał i zapłacił medyka; a na odjeździe, odwiedziając ją ujrzał nagrodę swego wybornego czynu, bo znalazł ją rysującą nad stolikiem.

Podziękowawszy ona najczuléj Edmundowi za jego dobroć i wsparcie, prosiła, aby na pamiątkę jéj wdzięczności wybrać sobie raczył kilka krajobrazów jéj ręki.

Edmund jest miłośnikiem i znawcą malowideł; obejrzawszy więc tekę, uznał, że kilka sztuk bez wyboru nawet wziętych nagrodziłoby aż nadto jego wydatki; nie chciał więc przyjąć ofiary; ale rysowniczka tak usilnie nalegała, tak czule i ze łzami błagała, aby dozwolił pracy jéj przynajmniéj być w ziemi ojczystéj, gdy sama tam być nie może, że na koniec Edmund wybrał trzy rysunki.

Jeden z nich zdawała się ona chcieć zatrzymać; był on wprawdzie najpiękniejszym. Edmund postrzegłszy tę chęć, odłożył natychmiast obraz do teki, lecz po niejakiém wahaniu się rzekła artystka:— Nie, Panie! weź go Pan, weź, proszę. Jest to wizerunek miejsca

niegdyś mi najmilszego!... jest to pamiątka... którą ja mam zawsze obecną w duszy... Łatwo mi będzie powtórzyć go... a jednak bodajbym go nigdy nie rysowała!!!! Jest to kopia z pamięci zdejmowanego niegdyś przezemnie oryginału, którego nie ujrzy już nigdy me oko...— Płacz przerwał jéj mowę.

— Z łaski Pana — mówiła potém — mam się daleko lepiéj. Paraliż dozwala mi przynajmniéj przechodzić się po pokoju; a mając ręce i głowę zdrową, będę mogła zapracować na kawałek chleba, dopóki... go potrzebować będę.—

Edmund zapytał: czy, wróciwszy do kraju, nie mógłby jéj być użytecznym, oznajmując o jéj losie familii, którą ma bez wątpienia?

— Nie — odpowiedziała z głębokiém westchnieniem.— Dla mnie wszystko się tam zawarło!... Niestety! zasłużyłam na to!.... lecz się mię Pan o nic nie pytaj..... Jam z Litwy, a pan z Podola, nie spotkasz więc nigdy może nikogo z moich. Imię moje: Marya, które Pan już wiész zapewne, i które na rysunkach masz Pan podpisane. I Marya nie zapomni nigdy dobrodziejstw twoich, które jéj biédne życie choć na krótko przedłużyły.—

Edmund pożegnał Maryę, polecił ją przed odjazdem zostającym w Dreznie ziomkom, i złożył w ręku gospodarza kilkadziesiąt dukatów na jéj potrzeby.

Słuchając opowiadania Edmunda, coraz dowodniéj przekonywałem się, że to jest nieszczęśliwa córka Romualda.

— Oto są *pejzaże* — rzekł Edmund, otwierając tekę.— Ten sobie zatrzymać chciała.

Rzuciwszy okiem, od razu poznałem dokładną kopiję owéj piérwszéj lekcyi przedkilkonastoletniéj nad jeziorem u Generałowéj. Zamiast obłoczka i samotnika, był na jeziorze w łódce myśliwy na kaczki z wyżłem. Zrozumiałem więc zwrót uczuć Maryi, i łzą mi zaszły źrenice.

— Cóż to? — rzekł zdziwiony Edmund — Pan płaczesz! znałżebyś Maryę?

— Znałem, i znam jéj nieszczęścia — odpowiedziałem.— Dzięki Panu, stokrotne dzięki za wszystko, coś dla niéj uczynił; a dzięki Bogu, że mi zdarzył tę wiadomość o jéj losie. Daruj Pan, że szanując jéj tajemnicę, nie opowiém dziś Panu całéj okoliczności; lecz gdy mi się uda wydźwignąć tę ofiarę, doniosę i objawię Panu

wszystko, abyś się cieszył zmianą losu téj, któréj najpiérwszy podałeś dobroczynną rękę.

— Jeżeli tak, to jeszcze przypominam — rzekł Edmund, — że pisano mi późniéj z Drezna, że Marya nanowo paraliżem tknięta była, że miała odjętą mowę, lecz, że znowu wyratowana. Jąkania się tylko jéj trochę pozostało, zwłaszcza w chwilach wzruszenia, i trudność paralityczna w nogach.

Porzuciwszy wszystkie interesa w Wilnie, leciałem do Romualda. Piérwszém mém doń słowem było: — Dziękujemy Bogu! córka twoja żyje! żyje Marya! Ratuj ją! Przywożę ci o niéj najpewniejszą wiadomość.

Nie dał mi skończyć nieszczęśliwy ten, ale zakamieniały starzec.

— Ja nie mam córki — rzekł zimno i bez najmniejszego wzruszenia — nie mam, mieć nie chcę, i nie słucham żadnych twych wiadomości.

— Ale ona w nędzy! w chorobie! między obcemi! w Dreźnie. Uwodziciel jéj dawno już nie żyje... Najnieszczęśliwsza! Miéj Boga w sercu!... —

Starzec pobiegł do swego pokoju, zamknął się, i mnie do siebie nie dopuścił.

Czekałem cały dzień, a nazajutrz, nim wstałem, on już wyjechał, nie mówiąc nikomu dokąd — a więc uciekał ode mnie.

Wróciłem do siebie, przemyśliwając nad sposobami skruszenia tego wyrodnego uporu, gdy nazajutrz odebrałem list od Romualda. Pamiętam go co do słowa. „Ponieważ Pan wiész, (pisał on), gdzie jest... ona (córką ją swoją nazwać, ani imienia wymienić nie chciał), i ponieważ jest w nędzy, przeto posyłam tu Panu jéj własność, to jest, zapis nieboszczki babki jéj Generałowéj, zdwojony procentem. Lecz, jeżeli nie chcesz staréj i nieszczęśliwéj głowy przyjaciela wyprawić na tułactwo, jeżeli wolisz, abym krótkie to i nieszczęśliwe życie moje w spokojności dokończył, a kości me aby w rodzinnéj spoczywały ziemi, to nie wspominaj mi nic więcéj o tém... Nie wydziedziczam jéj... nie przeklinam... Po mojéj śmierci niech wszystko zabierze — wszystko — ale... na grób mój nawet niech nie wchodzi."

Krew we mnie się ścięła na tak głęboką zatwardziałość serca ojca ku własnemu dziecku, serca tak niegdyś czułego i dobrego ku dziecku tak niegdyś ukochanemu!... Przysłane pięćset dukatów przesłałem wnet do Edmunda, prosząc, aby się postarał przesłać

je jak najrychléj Maryi, ukrywając najstaranniéj przed nią, zkąd pochodzą te pieniądze; uprzedziłem go tylko, że nie ode mnie; i prosząc go, aby mi wskazał drogę kommunikacyi z Maryą: miałem bowiem nadzieję, że prędzéj czy późniéj ojciec jéj da się zmiękczyć i ubłagać.

Wkrótce odebrałem odpowiedź. Donosił mi Edmund, że sam znowu i na lat kilka wyjeżdża za granicę; że pieniądze dójdą Maryi, jeżeli ona żyje; i że w oddaniu ich zastosuje się zupełnie do mojéj prośby, lub mi je nazad odeszle.

Z Drezna znowu napisał do mnie, że znalazł Maryę w szpitalu; że zdrowie jéj się tak pogorszyło było, że pracować nie mogąc, musiała uciec się do miłosierdzia publicznego; że skutkiem wsparcia, jakie przywiózł, wydobył ją ztamtąd, i zalokował na wsi w blizkości biegłego doktora, który, jeżeli nie zupełne uzdrowienie, to przynajmniéj znaczną ulgę jéj obiecuje; że znosi ona swoje nieszczęście najcierpliwiéj; i że nakoniec w oddaniu pieniędzy postąpił podług danéj sobie instrukcyi.

Odtąd już lat parę upłynęło, jak znowu nic nie wiémy o losie Maryi: bo Edmund dotąd bawi za granicą, a nie wiem dla czego, przez zapomnienie, czy może uproszony od Maryi, nie przysłał mi żądanego adresu. Może już zakończyła śmiercią nędzne swe, zgryzotą i utęsknieniem zatrute życie. Jeżeli tak jest, złączą się oni zapewne wkrótce z ojcem: bo starzec wiekiem i smutkiem zgnębiony niedalekim jest także zgonu. Oby przynajmniéj w ostatniéj swéj godzinie żyjącéj lub umarłéj córce swéj przebaczył! bo jakże mu i Bóg przebaczy.

VI.

Wróciliśmy pod kościół. Spójrzałem na starca, nie wiém, okiem politowania czy zgrozy...... Dziwiono się w tłumie, że tak się spóźniają nieszpory.

Ktoś odpowiedział, że Ksiądz Kuźmicki od dwóch godzin spowiada przybyłą jakąś chorą kobietę, którą z budki ladajakiéj ledwo wysadzili.

Wkrótce dzwony się odezwały, i otworzono kościół, tłum napełnił świątynie. Największa liczba spowiadając się po kilkakrotnie i

z całego życia przez wszystkie dni Jubileuszowe, miała na ostatnich nieszporach przyjmować kommunię.

Nabożeństwo rozpoczęło się od processyi, która, obszedłszy kościół, zatrzymała się nad krzyżem do wkopania przygotowanym. Poświęcił go celebrujący, a my własnemi rękami zakopaliśmy go w ziemię.

Powróciliśmy potém do kościoła, i wszedł na ambonę Ksiądz Kuźmicki. Lubo słowa jego bez przygotowania, z uniesionego serca płynące, wrażały się głęboko w pamięć, lecz po tak długim czasie treść ich tylko przypomnieć mogę. *„Pokój wam!* (mówił on). *„Pokój mój zostawuję wam!* Słowa, któremi Chrystus Pan pożegnał „Apostołów, odchodząc sam do Ojca w niebiosa, powtarzam ja niegodny sługa Jego, odchodząc od was po tych uroczystych modłach „do Boga któreśmy z całém Chrześcijaństwem w téj świątyni wznosili. Oby po nich pokój prawdziwy, pokój cnotą i bojaźnią Boską „zjednany, a łaskę Bożą wzajem jednający, był w sercach waszych „na zawsze, i całe życie wasze, i ostatnie godziny osładzał!

„Bracia moi! patrzcie jak liczne jest zgromadzenie nasze! Pół „wieku minie... któż z nas zostanie? Nowe pokolenia na grobach „naszych odmawiać będą Jubileuszowe modlitwy, tak, jak my dziś „klęczymy nad sklepem, w którém, przed pięćdziesięcio letnie pokolenie spoczywa!... Kilku, albo najwięcéj kilkunastu starców, „przypomną dzień dzisiejszy, nas, i słowa może moje, tak, jak ledwo „kilku jest dziś między nami, którzy niepewną pamięcią przypominają przedpółwieczne Miłościwe Lato; a są w pośród nas jakby „zostawieni dla przyniesienia rychléj świadectwa o dniu dzisiejszym „i o nas ojcom naszym w wieczności.

„O bracia moi! jakież to będzie świadectwo? Możecież czystém „i spokojném sumieniem wyrzec oto zaraz przed świętą kommunią „przed tym niebieskim pokarmem duszy: *Panie! otom już godzien, „abyś wszedł do przybytku serca mego!* bo słowa zwyczajne: *Panie „nie jestem godzien*, oznaczają tylko pokorę i skruchę grzesznika, „przez które właśnie staje się on godnym pożywania ciała i krwi „Pańskiéj.

„Głos Najwyższego Pasterza, głos powszechnego Ojca w Chrystusie, otwierając nam skarby duchowne Kościoła, ogłosił rok *„przejednania odkupienia* i *łaski*. Obwieściłem wam na początku te „słowa jego: na końcu chciałbym przeniknąć do głębi serc waszych, „i widzieć najskrytsze myśli wasze, i przekonać się, czyli nadzieje

„nasze i prace szczęśliwy dały skutek? Czyli przejednanie obraża-„néj długo niedowiarstwem... co mówię niedowiarstwem! sromotną „bezbożnością Religii, nastąpiło nakoniec? a zatém czy łaska Boska „ogarnęła was, i czy przeniknęła do skruszonych i odtąd już na „zawsze prawowiernych i cnotliwych serc waszych? Czyliście się od-„nowili nakoniec w najgłówniejszéj cnocie, z któréj wszystkie inne „wypływają: w *miłości* Boga i *bliźniego*

„O! jam nieudolny przeniknąć tak głęboko dusze wasze! ale wi-„dzi je i przenika Ten, przed którym nic skrytego w całém stwo-„rzeniu — Bóg, który z ołtarza tego patrzy na was; Bóg, który za „chwilę ma złączyć się z wami; Bóg, który słabości daruje, upor i „zatwardziałość potępi. W obliczu więc Jego i w Imię Jego Święte „wzywam was do wzajemnego przejednania się i przebaczenia. Oto „ostatnia chwila, w któréj półwieczne brzemię obrazy Boskiéj, cią-„żące nad nami, zniknąć ma i stopnieć przed promieniem miłosier-„dzia Jego i łaski wybłaganéj szczérą modlitwą, szczérą skruchą i „pokorą i nakoniec szczérą miłością ku Niemu i wzajemną ku so-„bie. *Venit hora! et nunc est!...*

„Ktokolwiek więc czujesz w sobie by najmniejszą kroplę gnie-„wu, nienawiści, zażalenia, krzywdy odebranéj, lub uczynionéj bli-„źniemu twemu, kwap się do przejednania go lub do odpuszczenia „mu, kwap się do jego serca i własne mu otwórz!.... Nie masz „tu, jako nie ma przed Bogiem, wyższych i niższych. Wszyscy je-„steście bracia w Chrystusie! Braterską więc miłością, miłością ja-„ką pałał ku nam Chrystus na krzyżu, niech się zapalą i goreją „dusze wasze. I niech ta chwila powszechnego przejednania się bę-„dzie najdroższą pamiątką życia waszego i tego świętego Jubi-„leuszu.

„A ja, kapłan Boga żywego, podnoszę ku Niemu ręce i modły „moje: O Boże! błogosław miłującemu Cię i jednoczącemu się „w Tobie ludowi Twemu!... Niech miłosierdzie Twoje spłynie „nań!... Rzeknij słowo, a będą zbawione dusze nasze!”....

Ruch powszechny w kościele przerwał modlitwę. Cały lud się poruszył. Zapał nadzwyczajny ogarnął wszystkich. Łzy potokami płynęły, łkania rozlegały się po kościele.... Przeciskano się w rozmaite strony. Każdy szukał i padał w objęcia niechętnéj przed chwilą ręki. Słyszałeś tylko zewsząd:—*Daruj dla miłości Boga!...*— *Przebaczam — niech mi tak Bóg przebaczy!...* — I przebaczający cisnął się w drugą stronę, równegoż błagać przebaczenia.

Zadawnione nieprzyjaźnie, zakamieniałe gniewy, mściwe nienawiści, skryte knowania, topniały we łzach. Panowie uściskali sług swych i poddanych; poddani, płacząc rzewnie całowali ręce panów; małżeństwa zaprzysięgały sobie nanowo wieczną miłość i zgodę; dzieci pełzały po nogach rodziców, rodzice błogosławili dziatkom....

O doskonały obrazie chrześcijańskiej jedności!!! o święty zalewie nauki Zbawiciela, w którym w téj chwili tłumy wiernych tonęły!..... Takiém zapewne uczuciem, taką wiarą, takiemi łzami, żegnali się niegdyś męczennicy ginący tłumami w katakumbach rzymskich, lub idący w szpony dzikich źwierząt, albo na stosy ogniste za wiarę Chrystusa!!! Ach! jeżeliby był ktokolwiek wtenczas, (a wątpię, czy był taki, któryby zachował jeszczcze w sercu choć odrobinę pychy, nienawiści lub niedowiarstwa, któryby dotrwał w uporze i nie uległ temu ogarnieniu wiary i miłości), biada mu! biada!

Wtém w ostatnich ławkach pod chorem ukazała się nagle, jakby z pod drzwi grobowych powstająca, niewiasta, a raczéj trup niewieści, i wysunęła się na środek kościoła. Postać jéj wysoka, twarz zeschła i wybladła, włosy czarne w nieładzie spadające na ramiona, ręce wychudłe, które naprzód wyciągnęła, i oczy czarne niezwyczajném płomieniem błyszczące, przeraziły wszystkich... Tłum zdziwiony się rozstąpił.— *Do oj-ca! do oj-ca!*— wymówiła ona przerywanym co syllaba głosem. Odrzuciła rękę sługi chcącéj ją wspierać, i targanym konwulsyjnym krokiem, krokiem nóg sparaliżowanych, postępowała przez kościół.— *Do oj-ca! do oj-ca!*— wymawiała zawsze, i tłum rozwierał się przed nią...

— Starzec stojący blizko wielkiego ołtarza obrócił na nią razem ze wszystkiemi wzrok swój... zadrżał...— To Marya! to córka moja!—wykrzyknął.—*Oj-cze daruj! daruj! dla mi-łości Boga! Niech sko-nam przed oł-ta-rzem Zba-wi-cie-la, u nóg twoich!*— I posąg ten chodzący runął u stóp starca!...

— Przebaczam! przebaczam? o córko moja jedyna!—rzekł starzec, zachodząc się od płaczu... W tem zabrzmiał dzwonek, kapłan u ołtarza wzniósł świętą hostyę w górę... *„Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy „świata!“*

DUCH OPIEKUŃCZY.

I.

Nad jednym z głównych gościńców prowadzących z głębszéj północnéj Litwy do Wilna, sterczą rozwaliny starego zamku Jagiellonów.

Podróżni chętnie tam dociągają na noclegi i popasy, zwłaszcza latem: bo prócz wygodnéj, niedawno od pioruna spłonionéj austeryi, nęci ich sposobność oglądania tych ruin, mieszkaniem Świętego Kazimierza, i innemi kraju tego wypadkami, dawno już w głębi przeszłości utonionemi, sławnych.

Obok nich zabudowany piękny dworek dziedzica; a wewnątrz obszernego zamku rozrasta się ogród, którego drzewa, opierając gałęzie na obwodowym murze, zdobią starca wiankami z zieleni.

Mur ten, poszczerbiony w niektórych miejscach, łatwe daje do środka przejście: a ciągnie się po wysokim wale z ziemi, na którym wydeptane z obu stron odwieczne ścieżki do każdego tam wewnątrz i zewnątrz zakątka łatwo doprowadzają.

Na jednym rogu rozwalin wznosi się, siłą czasu niespożyta, baszta wysoka. Podziwiać trzeba trwałość muru i doskonałość pionu ścian jéj grubych, przez które przebite okna zatrzymały jeszcze dawną wązką podłużną formę, i ślady żelaznego kratowania.

U spodu téj baszty wzgórze z gruzów zasypało wejście do podziemnych sklepów, które przed laty kilkudziesięcią jeszcze odkrytém było.

W chwilach wieczornych, gdy xiężyc pełne swe oblicze po litewskiém tocząc niebie, wpatrywać się zdaje z wysoka w te dawnéj

potęgi zabytki, wspanialsze i uroczystsze przybierają one kształty od baszty.

„Olbrzymim słupem łamie się cień bury,
„Spadając w fossę," *)

która rzeczywiście kiedyś otaczała zamek; a któréj ślad widoczny, i rozeznać się daje po świeższéj i zieleńszéj murawie, rosnącéj bujniéj na jéj dnie wilgotném choć już zrównaném z całą powierzchnią.

Dziedzic tego miejsca, wraz po pamiętnym 1812 roku, wrócił do tego ojczystego swego siedliska. W czasie jego nieobecności rodzice mu pomarli: a Pułkownik (taki był stopień jego) ujrzał się dojrzałym a nawet przejrzałym w pewnym względzie mężem, w pustym swym domu, który przed dziesiątkiem lat młodzieńcem opuścił.

Wejrzyjmy w stan duszy, myśli i serca jego.

Człek każdy jest *zagadką*, mniéj więcéj tajemną, mniéj więcéj zawikłaną, któréj *słowo* ukryte przed światem, a często i przed sobą samym, nosi on w najgłębszéj tajni swojego serca. Słowo to zawiązuje się tam, jak płód w żywocie matki, w najpiękniejszych dniach wiosny życia jego. Karmi go młodzieniec, a potém dojrzały mąż, najczystszą treścią swojéj krwi. Jest ono duszą jego duszy. Poświęca on dlań wszystkie usiłowania, zabiegi i prace. I czy to dojrzewając przybiera ponętne formy niewiasty, czy świetną marę sławy, czy z powszedniejszych pierwiastków wynikłe, rozwija się w żądze bogactw i światowego znaczenia, lub tym podobne, zawsze jest ono *słowem* życia spoczywającém w sercu każdego, przez które przepływając krew, odświeża się na niém, i żywiéj potém płynąc, całe jestestwo nasze nowemi siłami, nowym zapałem orzeźwia.

Póki tego słowa w człowieku, póty i szczęścia człowieka!!!!

Bo biada temu i stokroć biada, kto tę zagadkę swoję przedwcześnie rozwiązał!... komu namiętności niebacznie i bez przerwy drażnione i podżegane, *słowo* jéj żywym ogniem spaliły! lub komu zawody nadziei, gorzkie troski i niedole, czarna niewdzięczność, lub niesprawiedliwa poniewierka ludzka, zatrutym jadem rozpaczy wpłynęły do serca, i zamorzyły tam troskliwie pielęgnowany ten zawią-

---

*) Grażyna.

żek życia i szczęścia!!! Wytrawia się on natenczas i ginie; a serce zostaje próżnem, zwyczajne tylko cielesne odbywającém funkcye, bez żadnego na duchowne życie wpływu; a człowiek, nie znajdując wewnątrz siebie ożywczego źródła uczuć i wrażeń, żebrować ich musi zewnątrz, tak, jak się żebruje chleba powszedniego w głodzie lub pieniędzy w niedostatku... Ale niestety! chleba i pieniędzy rzadko kto, uczuć i wrażeń nikt nie da, ani pożyczy.

W takim stanie wyczerpania ducha, słabnie umysł, niedołężnieje ciało... i nakoniec trup gotowy dowleka się do grobu.

W różnych czasach rozmaite choroby napadały ludzi: choroby wyłącznie pewnym okresom właściwe, zarążające tłumy i po pewnym czasie przeszłe. Na nasz wiek przypadła ta, któréj symptomatów dotykam. Jest to wyczerpanie moralne sił życia przed kresem onego fizycznym; jest to rozwiązanie wczesne zagadki życia, jakeśmy to powiedzieli, właściwéj każdemu, i z właściwych każdemu przyczyn rozwiązanéj.

Lecz choroba sama wynikła z jednéj ogólnéj przyczyny, tém niebezpieczniejszéj, że zarażając towarzystwo, niszczyła razem i źródło jedynego lekarstwa.

Przyczyną tą był systematyczny zamach ośmnastego wieku na religię objawioną, i na każdą inna nawet; na wszelkie jéj prawdy i zasady, pogrążający ludzi najprzód w wątpliwość; z wątpliwości w wyrzeczenie się i wyrzucenie z serca; a nakoniec w zupełną pogardę tego jedynego światła, od Boga danego na rozjaśnienie błędnéj życia drogi, i jedynego uczucia do którego wraca zmordowana dusza, i z którego czerpa pokój, swobodę i cierpliwość na doczesność, na wieczność, nadzieję.

Epidemicznie zarażały się nią towarzystwa i indywidua; i gdy tam wyczerpanie wszelkich duchownych hamujących środków obłąkało i w szaleństwo wprowadziło cały naród, Bóg, zachowując go, od ostateczności, przez Jego samego tylko przewidzieć się mogących, rzucił weń nową zagadkę: *chwałę*, w osobie *Napoleona*. Jako nowe bóstwo, naród cały powitał ją i przyjął do serca... A jednakże, jeżeli odgadywać odważamy się cele Opatrzności, daną mu była ona może na przekonanie, że i *chwała*, jako znikomy meteor, nie zastąpi prawdziwego światła, którego Bóg sam tylko i źródłem i dawcą, a które jedynie szczęście ludziom zapewnić może.

Po dziwnych odmianach świata i wyobrażeń lubo powszechna ta przyczyna znikła w ogólności, chroniczne jednak do niéj usposobienie zostało aż dotąd; i chociaż narody w cofniętéj rotacyi wróciły zda się, na dawne swe pod krzyżem stanowisko, szczegółów jednak odskakujących z tego koła i chcących zmitrężyć wsteczny bieg jego, jest mnóstwo...

Cóż ztąd? cóż znaczą niedołężne przeciwne powszechnemu przekonaniu, przeciwne widocznéj woli Opatrzności rojenia? Bezbożności i niedowiarstwa nie nauczą nanowo świata, a same próżném usiłowaniem zmordowane, ulegną chorobie, (ba! i ulegają!), na którą lekarstwo w sobie i w drugich niszczą...

Są jeszcze inni, (a z temi najczęściéj się u nas spotykamy), którzy zmyślają tę chorobę, nie mając ani czasu, (bo są to zwykle młodzi ludzie), ani wypadków życia, ani namiętnych udręczeń, któreby im świat, ludzi i siebie obmierzić zdołały. *Słowo* ich życia jest w nich albo nierozwiniętém, albo zleniwiałém, a nie zmarłém. Budzić go dla tego tylko nie chcą, aby im codziennéj pracy nie przyczyniło, aby nie przerwało gnuśnego próżnowania: w którém zapodobali sobie. *Leniwce to są nie wyczerpańce*, niechcący pojąć, że w stanie, który małpują, jest gorycz, nie chluba; że ich rozpacz, ich ponure zadumania, ich wierszem i prozą jęki i skargi; śmiechu, nie litości są warte. Biada więc piérwszym! biada prawdziwie nieszczęśliwym! wstyd kłamiącym nieszczęście!

Mając wejrzeć w stan wewnętrzny uczuć i myśli dziedzica opisanych na początku ruin, pokrótce dotknąłem rozbioru główniejszéj dolęgliwości czasów naszych, abym nie stosował za każdym razem ogółów do szczegółu, mówiąc o człowieku tém obłąkaniem właśnie dotkniętym i napróżno szukającym sposobu wybrnienia.

Młodzieńcem, jakeśmy to powiedzieli, opuścił Pułkownik dom ojczysty; młodzieńcém, z wychowaniem, jakie najlepsze w owym czasie wziąść w Wilnie można było; z sercem żywém, zdolném do najpiękniejszych uczuć i do najszlachetniejszych uniesień, ale z głową mniéj więcéj zarozumiałą, zaprzeczającą częstokroć poczciwym pochopom serca, i napełnioną zdaniami wątpliwości i niedowiarstwa, łączącemi się wówczas najściśléj z wyższą edukacyą, wspieraną czytelnictwem albo czczych, ówcześnie modnych francuzkich roman-

sów, albo, co gorsza, dzieł tak nazwanéj filozofii, utwierdzających w niedowiarstwie, których wymieniać, jako powszechnie z treści i celów znanych, nie będę.

W takim usposobieniu wpadł on w tłumy wojskowe francuzkie, i z zapałem się poświęcił nowemu ich natenczas a jedynemu bóstwu: *chwale*, jako świetnemu celowi wszystkich usiłowań i wszelkich nadziei, dla któréj krew i życie każdy ochotnie poświęcał.

Próby nieustraszonego męztwa i zdolności w wojnach włoskich i zamorskich posuwały go rychło na wyższe coraz stopnie, i nakoniec dały mu miejsce w owym wybranym zastępie, który strzegł boku Cesarza Francuzów.

Tu na przemiany, albo w obozach i na krwawych placach niezliczonych bitew Napoleona, albo w roskoszach najświetniejszego dworu jego i najrozpustniejszego miasta, pędził i wyczerpywał życie.

I cóż to życie znaczyć mogło u tych, którzy je dziesięć razy na dzień utracić sami i odebrać drugim mogli? Puhar wina przed bitwą więcéj obchodził i zajmował, niżeli potok krwi po bitwach płynącéj. A jeżeli kiedy przy ogniskach obozowych, naprzeciw takichże ognisk nieprzyjacielskich, nasunęła się myśl posępna, że ta noc może być każdemu ostatnią, to zamiast czułego z nią i serdecznego rozmówienia się, zamiast pójścia z nią do Boga i westchnienia po Jego w niebezpieczeństwie opiekę, przepędzano ją jako niewczesną i straszącą marę, oblewano ją winem, okrywano szyderstwem, równie jak tego, który ją piérwszy objawił.

Nazujutrz znowu przy ogniskach nie doliczano się wielu wczorajszych towarzyszów; pozostali jednak, nie nienauczeni przestrogą, po dawnemu tłumili w sobie i zagłuszali głos serca, rozumiejąc, że niemęzką bojaźń śmierci głuszą i zwyciężają.

Bo prawie bez wyjątku taki był duch całéj armii Napoleona, dla któréj *chwała* była wszystkiém, a reszta niczém. Taki był duch całego narodu: bo w stare ścięte drzewo wiary świéżo wszczepiona nowa gałązka, jeszcze się była nie przyjęła dobrze, a sam szczepiący tyle ją tylko pielęgnował, ile samoistnym dumnym widokom jego posługiwać mogła. Używając zaś ludzi jak narzędzi, nie dbał, z jakiego one były metalu, byle twardemi i hartownemi były. Dla tego główniejsi ministrowie jego, niektórzy apostacy, a wszyscy

dzieci wyobrażeń rewolucyjnych, dozwalali więdnieć ideom religijnym, ku uroczystym tylko wspaniałościom pychy ludzkiéj wzywając jéj obrzędów.

Co więc w sercu i w głowie Pułkownika niweczyło się w wojsku, to się nie naprawiało w stolicy i w towarzystwach wyższych, do których i ze stopnia i z zasad osobistych należał.

Nadeszła z kolei wojna hiszpańska, wojna bardziéj idei i zasad, niżeli zaborów krwawo bronionych przez jednych, przemożnie obalanych przez drugich. Fanatyzm i nadużycia tak się tam ściśle łączyły z prawdziwą religią, że lud i duchowieństwo nie rozróżniało w tym względzie zamachów francuzkich; a Francuzi, nie mogąc także rozróżnić i rozdzielić tego odwiecznego tam małżeństwa, oboje razem niszczyli. Mógłże naprzykład charakter kapłański osłonić tego, który zajadłym gerylasom dowodził, lub w Imię Boga zaklinał lud u rzezi nawet bezbronnych?

Tam więc Pułkownik pozbył się do reszty ostatniego *słowa* dawnéj wiary, które jak zaniedbane podanie z lat dziecinnych w nim spoczywając, kiedy niekiedy się odzywało, chociaż w kilku bitwach widocznemu prawie cudowi winien był ocalenie swoje, i chociaż krzyżykowi na piersiach mu niegdyś przez matkę zawieszonemu winien był znowu życie, gdy go wziętego w niewolę zamęczyć wraz z innemi miano.

Jak duchowy stan jego uległ wpływowi powszechnego zepsucia, tak silna budowa ciała niszczyła się i więdła, nie tak bezustannym trudem i kilkakrotnemi ranami, jak bardziéj rozwiązłym zbytkiem, zadawalniającym niebacznie codzienne pokusy i żądze.

W takim stanie rok 1812 wprowadził go po długiém oddaleniu na ziemię ojczystą. Trakt, którym z Wilna brnął Napoleon daléj, nie był ten, przy którym leżała majętność Pułkownika, przez stryja w jego nieobecności rządzona. Dowiedział się tylko o jéj zupełném przez wojska zniszczeniu, i obojętny na to, szedł daléj przy boku Cesarza, w którym, jak w słońcu promienie, jednoczyły się nadzieje milonów.

Ale się to słońce wraz zaćmiło, wracającym przemarzłym tłumom zaszła drogę Berezyna; i tam raniony nanowo Pułkownik wlókł się nędznie, póki go ostatnie nie odbiegły siły; a gdy odbiegły, gdy

gorączka trawiąca go od dni kilku i rozjątrzane rany żadnéj mu nadziei życia nie zostawiały, obłąkanego prawie, porzucono w pierwszym, jaki się nadarzył przy drodze, domu...

Tym domem... (widoczny znowu cud Opatrzności) był... dom jego własny, położony, jak to widzieliśmy, przy drodze, którą teraz główne wojsko francuzkie do Wilna się wlekło—puste, dach tylko i ściany mające schronienie, zmarzłemi Francuzami napełnione, wśród których zaległ w kącie dogorywający prawie dziedzic onego.

Jeden tylko przywiązany do swego Półkownika a poczciwy, został przy nim *wiarus*, i pilnował ostatniéj jego godziny. Powywlekał on trupy jakby kłody zgniłe i zmarzłe; oczyścił i opatrzył jedną izdebkę; wyszukał w wiosce opuszczonéj od mieszkańców kryjącego się jednego włościanina, ośmielił go, kilką talarami nagrodził, i do wspólnéj posługi około chorego zniewolił; odpędzał tłumy maroderów, chcących nieraz zapalić dom i ogrzać przy pożarze skostniałe ręce i nogi. A tymczasem dni kilka między życiem i śmiercią będący Półkownik, ostatniém wysileniem mocnego swego temperamentu pokonał chorobę, i w chwili odzyskania przytomności, na piérwsze zapytanie: gdzie jest? usłyszał nazwisko rodzinnego swego domu... i łzą mu zaszły źrenice!!!

Wiarus nie wiedział wcale, że był gościem swojego Pułkownika; chłopek także nie wiedział, że posługiwał swojemu panu; gdy więc on im to powiedział, piérwszy krzyknął:—*Vivat!*—a drugi ucałował nogi chorego.

Na tę wieść przez włościanina rozniesioną, schodzić się zaczęli słudzy dworni. Niektórzy łatwo poznali swego panicza, i cisnęli się około niego, pielęgnowali go, starali się o wygody, dobywali zachowane zapasy, i skrytemi ścieżkami z Wilna nawet sprowadzali do piérwszych potrzeb nieodbite rzeczy.

Na koniec po dniach kilku zdołał Pułkownik być przewiezionym do ustronnego swego folwarku, gdzie wygodny i ciepły znalazł pokoik, i gdzie otoczony życzliwą czeladką, sprowadziwszy z Wilna chirurga, kończył szczęśliwie przez naturę zaczętą kuracyę.

Był on naturalnie jeńcem wojennym; ale okryty powszechną łaską zwycięzcy, został spokojnym na miejscu, i ukończył od razu i bezpowrótnie zawód wojskowy, któremu kwiat życia swego poświę-

ził, który pochłaniał dotąd wszystkie jego uczucia i myśli, po którym więc został bez uczucia i bez celu, jak wypróżniona szkatuła bez złota.

Tymczasem odmiany polityczne rychło jedne po drugich następowały; przechodził rok 1813 i 1814 wśród krwawéj w środku Europy wojny. Pułkownik duszą i sercem był na wszystkich bitwach, na których olbrzym walczących z nim upadkiem swym przywalał. Przebiegał on z nim potém znajome sobie pola Francyi: mordował się w ustawicznych walkach ostatnich jego usiłowań... i nakoniec upadł wraz z nim, jak grenadyer, który pod oknem byłego już Cesarza w *Fontainebleau* w łeb sobie wypalił.

II.

I takim już został Pułkownik. Wiarus jego przeszedł na ogrodnika, i z wojskową akuratnością raportował mu codzień, wiele drzew w ruinach rozkwitło, a potém wiele jabłek w nocy ukradziono; a Pułkownik przeszedł jakoby na gospodarza z różnicą, że piérwszy łatwo swój stan nowy polubił, że codzień się doń mocniéj przywiązywał, a drugi stanem swym nowym pogardzał.

Dni mu schodziły szaro; myśli tęskne, bez związku, raz mu kamieniem ciężyły na sercu, drugi raz tłumem cisnąc się do głowy, modliły go lub utrudzały. Zatrudnie nie każde, choćby dla rozrywki tylko, mordowało tego człowieka, któremu niedawno trudy wszelkiego rodzaju łatwemi były. Stronił on od towarzystwa ludzi, którzy go dumnym osądzili niewinnie, a na których on zimném i martwém, bez nienawiści, bez wzgardy ale i bez miłości, poglądał okiem.

Niekiedy, pragnąc się odurzyć niejakimś silniejszym ruchem, szedł na polowanie, ale rychło wracał, porzuciwszy myślistwo: bo piérwszy strzał uderzający źwierzynę, uderzał go także bolesném przypomnieniem całéj jego wojskowéj przeszłości..... tak niedawnéj, a tak niespodziewanie i raptownie przerwanéj, że mu się zdawać mogło, iż obłąkanie jego gorączkowe, mogło być śmiertelném przejściem do innego zupełnie życia i świata.

Wilno gorzéj go jeszcze udręczało, ilekroć go tam nieodbita zaprawowadziła konieczność. Kamienie bruku jakby go paliły i zmuszały do ucieczki z murów. Deptał on tam wprawdzie ścieżki swéj młodości, ale miłe jéj wspemnienia nie obudzały się w sercu, w którém się nic już obudzić nie mogło. Napotykanych dawnych kollegów mijał troskliwie, przypominających się zbywał zimno: bo znieść nie mógł swobodnego i spokójnego ich oblicza, i uśmiechu zadowolenia, .nienawistnego mu, jakby urągliwe wykrzywienie się szatana. Napotykał kobiéty—o! ładne i miłe kobiety! któreby może chętnie rozpędzić nudę napoleonowskiego Pułkownika, okrytego chwałą i znakami męztwa, zgodziły się! któreby na tę męzką, dorodną i przystojną ale martwą postać, czarodziejski swój urok życia narzucić chciały; ale twarz ta, kilkakrotnie tym urokiem, od piękności różnych krain obdarzana, i kilkakrotnie zeń boleśnie odarta, skrzepła i skamieniała nakoniec; a ognisko namiętnych uczuć i tkliwych płomieni, przesytem i nadużyciem zgaszone zostało do szczętu.

Pułkownik pojąn stał swój, bo się mu on dotkliwiéj codzień uczuć dawał; poznał, że to jest stan jakiéjś umysłowéj choroby, która go ogarnęła, lecz ani przyczyny jéj śledzić, ani szukać dzielnych a skutecznych dźwignienia się środków, nie miał woli, a może i siły. Owszem, gdy z czasem zwolniały przykrzejsze jéj symptomata i nieszczęśliwe z nią targania się, nastąpił stan chroniczny, stan niejakiego pojednania, w którym choroba zrzeka się codziennéj kłótliwéj władzy, a zapewnia sobie spokojne dożywocie. Chory wzajemnie ulega układowi; nawyka do nieprzerwanego, ale mniéj trapiącego, jéj obcowania, a z czasem podoba w niém sobie nawet; i tak pobłażając jedno drugiemu wzajemnie wloką się oboje przez świat bez skargi i zwady.

Dokonywając opisania stanu wewnętrznego Pułkownika, pozwolę sobie użyć wybornych wierszy znakomitego naszego poety, w których każde słowo jest charakterystyczną definicyą, w główniejszych przynajmniéj rysach, podobnych jemu ludzi.

„Jest czas, który przywodzą niedole lub lata,
Gdzie człowiek nic już w siebie nie naciąga z świata;
Tém żyje, co ma w duszy, już do swego łona
Nie przyjmie żadnéj kropli, czara przepełnioną.
Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje.
Sława mu bez uśmiechu, bez wdzięku nadzieje.

Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim serca grobie,
I żądzę nawet szczęścia już wygasił w sobie.
Jak ów robak, co w własnéj sklepi się osnowie,
Tak i on nić tę ciągnie, co się życiem zowie;
Codzień ją snuje z duszy, z tylu wspomnień marnych,
Z tylu żalów, nadziei, trosk i marzeń czarnych!
I tak codzień i codzień, długich dumań skutkiem,
Coraz grubszym, ciemniejszym osuwa się smutkiem,
Nie sądź przecież, że chętnie swym się jadem truje:
Nie odpycha on pociech... lecz ich marność czuje.
Miał on niegdyś dni swojéj młodości i chwały,
Dni miłości, dni boskie—i gdzież się podziały?
Gdzież są te szczęścia jego bogate zasoby?
Kwiatami swojéj wiosny pouwieńczał groby;
Inne zwiędły pod zimnym doświadczenia wzrokiem;
I wszystko już ochmurzył duszy swojéj mrokiem.
Spokojnym jest, lecz czemże ta spokojność bywa?
Zimném, gnuśném i martwém morzem go opływa.
Morze to nie ma burzy, lecz i portu nie ma.
Świat przecież taki pokój nieraz szczęściem mniema.
Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć lub marzeń,
Lecz inną wiarę czucia z własnych powziął zdarzeń,
Pod barwą on innego żeglował okrętu,
Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań mętu.
Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał; sama śmierć go skruszy.
Rycerz to jest, co ziemskie już zamknąwszy boje,
Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoję.
Stanął niemym posągiem w pośród świata wrzawy;
Niczém on już przybranéj nie zmieni postawy.
Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy!
Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy;
A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,
Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie, wryte trzyma *).

III

Błąkał się więc człowiek ten po ruinach, sam za godło ruiny służyć mogący. Myśl jego wprzód niestała i rozerwana, osiadać niejako, uspokajać i wiązać się w ciąglejsze zaczęła ogniwa. Jedyna

*) Morawski.

towarzyszka samotności jego stała się też jedyną treścią jego bytu, jedynym pokarmem znudniałéj duszy. Z nią dni i tęskne przebywając wieczory, zapuszczał się w długie dumania, na swą przeszłość zwykle zwracane. Lecz gdy czas coraz odleglejszy zacierał codzień obrazy przeszłości, gdy żywe ich farby codzień bledniały, gdy zgon na pustéj skale bohatéra jego dowiódł mu znikomości chwały i potęgi człowieczéj, a zatém nawiódł myśl na porównanie i oszacowanie własnych niegdyś usiłowań i krwawych wawrzynów, natenczas i ta przeszłość jego świetna, tracić dlań zaczęła swą wartość; i czyny swoje, roskosze, dostatki, honory, rozpatrując pojedyńczo, przerzucał je, jak jubiler szacowane niegdyś drogo, a dziś fałszywemi przezeń poznane dyamenta.

—„*Mój Pułkowniku! czy pamiętasz o tém* *)"—odzywał się niekiedy stary *wiarus*, gdy się Pułkownik doń kopiącego w ogrodzie zbliżył i zatrzymał. Wprzód słuchał on z niejakiém upodobaniem przypomnień żołnierza; lecz teraz na takie przypomnienia uśmiechał się smutnie, kiwnął głową i odszedł; a *wiarus*, z rękami na rydlu opartemi, długo za nim patrząc, kiwnął także głową i daléj kopał swą grzędę. Żołnierz od wodza swego szczęśliwszy!

Wkrótce więc wyczerpała się przeszłość; weszła teraźniejszość na koléj myśli i zadumań, lecz na krótko i bez powrótu: bo wszystko, jak widzieliśmy, obcém w niéj, obojętném, a nawet nienawistném dlań było. Porzucając więc tę próżnię, myśl jego pomknęła nakoniec w krainę ideów, i z ruin Jagiellońskich wzniosła się w przestwór nieograniczony swego panowania.

O, gdyby natenczas trafiła na drogę, którą myśl świętego ich przed wiekami dziedzica trafiała do Boga!!!! Po niéj się unosząc za gwiazdą objawienia, zbierałaby kroplę po kropli owéj czystéj rosy niebieskiéj, którą się karmi dusza chrześcijańska; i, jak pszczoła krople miodowe do ula, znosząc je do serca, uzbierałaby treść na nowy zaród *słowa życia;* a słowo to stałoby się *ciałem*, to jest, dałoby nową siłę *ciału* jego, zapełniłoby serce, i mieszkało w niém na wieki.

Lecz na tę błogosławioną drogę nie wpadł Pułkownik, nie pomyślał nawet o niéj, lubo codzienne dzwony kościoła, o kilkaset

---

*) Piosenka żołnierza.

kroków od domu jego tuż przy gościńcu położonego, wzywać go na nią zdawały się... A tak bez kierunku i przewodnictwa błąkał się, napotykając wszędzie tajemnice, jakby zawady, które usunąć, odgadnąć lub rozwiązać nie znajdował środka.

O, i któż je odgadnąć się nie kusił?... a któż je odgadnął?...

Wieczorem, gdy niebo miryadami gwiazd osypane widokiem tym, nad wszelki wyraz wspanialszym, zalewa duszę nieporównaném upojeniem, któż śmiałym a uniesionym duchem, minąwszy ten firmament i światy, nie stanął aż przed Bogiem i nie zapytał go:

— *Ktożeś ty?*—

Odpowiedź pewna i gotowa:

— *Jam twój i wszystkich tych cudów Twórca!*—

Odpowiedź ta wystarcza prawdziwemu chrześcijaninowi.

Wystarcza prawdziwemu mędrcowi.

Nie wystarcza wątpiącemu mędrkowi: bo zarozumiały upór jego samėj odpowiedzi zaprzeczy.

Nie wystarcza obumarłemu wyczerpańcowi: bo nie obudzi w sercu jego miłości ku Twórcy, która się tak ściśle ze czcią i podziwieniem cudów Jego jednoczy.

I Pułkownik całe nocy częstokroć takim dumaniom poświęcał. Widziałbyś go natenczas opartego, jak posąg, o basztę, lub siedzącego nieruchomie u jéj podnoża; a przenikając weń, widziałbyś żądzę wiadomości zajmującą myśli jego i ścigającą niedocieczone tajemnice stworzenia, a po długiém błąkaniu się wracającą nazad bez rezultatów.

Ktom jest? po co tu na téj ziemi? Cóż to życie? co śmierć? co po niéj? i tym podobne.

Natenczas do zadumanego podchodziła *wiara*, jakoby dawna niańka jego dzieciństwa, pragnąca ulżyć chorobie swojego piastuna; ale zimno i obojętnie zbywał ją Pułkownik, jak zbyłby i samą niańkę, gdyby przyszła doń z radą zmówienia siedmiu pacierzy na odegnanie czarów.

IV.

Nadchodziła uroczystość *Zielonych świątek*, jedna z najpiękniéj obchodzonych w kościele.

W wigilię wieczorem staruszek Pleban miejscowy przyszedł do Pułkownika. Przyjmował on go zwykle uprzejmiéj, niż kogokolwiek: bo poczciwość i prostota malująca się wyraziście na jego twarzy, a dowodzona codziennem jego życiem, nie mogły nie zjednać mu szacunku Pułkownika. Obok uprzejmości jednak nie oszczędzał on mu szyderczych żartów; nie proboszczowi osobiście, lecz stanowi jego, do jakich nawykł w wojsku i w towarzystwach patrzących natenczas na duchowieństwo okiem, jeżeli nie wzgardy, to przynajmniéj obojętnéj poniewierki; i przypisującéj mu bez wyjątku prawie wady i zdrożności, jakiemi je wiek XVIII spotwarzył.

Niepobudzany jednak nigdy sprzeczką lub gniewem poczciwego kapłana, (bo ten pospolicie skromnem milczeniem zbywał jego pociski) Pułkownik podawał mu rękę, przepraszał go nawet; a staruszek bez wymówek, pokorą i łagodnością zadawał fałsz przekonaniu i słowom Pułkownika, miłem zaś towarzystwem rozchmurzał niekiedy ponure jego godziny.

Kilkakrotnie takie próby oduczyły nakoniec Pułkownika od owych opryskliwych docinków, tak, że Pleban nie lękał się kollatora, kollator nie nudził się z Plebanem; a że jedynie z nim się tylko nie nudził, więc i sam częstym w plebanii bywał gościem, i Pleban najczęściéj odprowadzał go do dworu.

Wpływ ten jednak księdza na niedowiarka nie zaszedł daléj, jak do zwyczajnego sąsiedzkiego pożycia. Czy to, że przedsięwzięcie apostolstwa na takiego twardego człowieka osądził starzec trudniejszem nad własne siły, czy to mniemając sprawiedliwie, że umarły moralnie, jak umarły fizycznie, na głos tylko Boga zmartwychwstać może, Bogu też i polecił jego sumienie, a sobie tylko przykłady; czy to nakoniec, że oba nie pomyśleli nawet o szczerszem zgłębieniu się nawzajem.

— Przyszedłem — rzekł Pleban — prosić Pana, abyś dozwolił ubrać ołtarz przy baszcie zamkowéj na jutrzejszą solenizacyę. Przyjdziemy tu z processyą i weźwiemy intercessyi do Boga Świętego Kazimierza, którego te mury były niegdyś mieszkaniem.

— Mogłeś to zrobić i bez mojego dozwolenia, Księże Proboszczu! Owszem znajduję twój projekt arcypięknym. Dobrze! będziemy się modlili do Ś-go Kazimierza. Świadczą dzieje, że on tu mieszkał, że umarł, i został Świętym dla tego, że się nie chciał ożenić. A więc i ja, Księże Plebanie, dziedzic jego zamku, myślę go naśladować. Nie będę się żenił, mam jego imię, dane mi podobno na jego pamiątkę, i zostanę Świętym.

Pleban podług zwyczaju milczał.

— Mam jeszcze prosić Pana—odezwał się potém—o kilka kobierców dla okrycia muru za ołtarzem.

— Z ochotą każę ci odnieść wszystkie, jakie mam.

— A więc czekam Pana, da Bóg jutro, na nabożeństwo.

— A ja cię na obiad po nabożeństwie.

Odszedł staruszek, ale wrócił z pół dziedzińca.

— No, cóż jeszcze? Księże!

— Jeszcze jedna propozycya, Panie Pułkowniku! Dawny zwyczaj, a nawet *jus patrocinii*, to jest, prawo i attrybucya kollatora jest, że on ma pierwszeństwo do prowadzenia celebrującego w processyach. Może więc jutro zechcesz Pan téj, po pobożnych przodkach Pańskich odziedziczonéj prerogatywy użyć? Nie dla mnie ja pragnę tego zaszczytu, bo zresztą piastując na ręku Boga żywego, jakież ziemskie honory obchodzić nas mogą? Ale ludek pański i okoliczny, widząc Pana swego oddającego tę adoracyę Kościołowi, utwierdzi się w wierze i nabożeństwie, i Pana swego więcéj czcić i kochać będzie.—

Pułkownik uśmiechał się, odjął od ust fajkę i patrzał w oczy Księdzu.

— Nieraz — ozwał się starzec żywiéj jak zwykle — nieraz, Pułkowniku, na rozkaz człowieka szedłeś bez wahania się na kule i miecze...

— Tak—przerwał Pułkownik—ale tym człowiekiem był bohater! słowem, był Napoleon!

— Tak..... a tu wzywającym cię do posługi jest..... Bóg!—

Odszedł nie czekając odpowiedzi Pleban, a Pułkownik zamyślony, paląc niedbale fajkę, wszedł do ruin.

Chodził długo samotny, podług zwyczaju po swoim ogrodzie Pułkownik; wyszedł nakoniec przez szczerbę w murze i usiadł przy baszcie na starym odłamie rozwalin.

Słońce już zapadło, ale najpiękniejszy wieczór młodego lata roskoszą upajał zmysły. Ze wzgórza, na którym siedział Pułkownik, widział on wzdłuż ulicę całéj swéj wioski obrzeżającéj gościniec. Każda chatka, każde wrota gęsto osadzone brzozkami, każde okienko owieńczone także splotką z zielonych gałązek, i każda ściana nawet niemi natknięta, miłą, świąteczną, weselną, że tak powiém, suknią odziały wioskę; balsamiczna woń świeżych liści napełniała powietrze, a cała okolica w uroczystéj ciszy zdawała się oczekiwać jutrzejszego święta.

W życiu by najbardziéj wyczerpaném, gdy serce zwiędłe jest, lecz nie zarażone występkiem, zdarzy się zawsze chwila, w któréj się ożywi czułość, i przemknie po czarnych myślach, jak perełka po całunie. Chwile takie najczęściéj nadarza widok pięknéj natury. Ona zbytkiem swojego życia, ocuca obumarłe życie, i jakby kroplami ożywczego napoju budzi człeka z letargu i łagodne ułatwia mu tchnienie.

Takiéj właśnie chwili oddawna mu nieznanéj doznał Pułkownik dumający pod basztą. Sam się dziwił upodobaniu, z jakiém przeglądał wieś i okolice dotąd mu obojętne; przychylności niejakiéjś, skłaniającéj ku nim serce jego, i wrażeniom przyjemnym, któremi się ono poiło. Myśli jego oderwały się raz piérwszy od ponurych zaciekań, i piérwszy raz mimowolnie dotknąwszy się natury, usnęły spokojnie na jéj wdziękach. Wkrótce potrzeba spoczynku dała się uczuć i ciału—Pułkownik poszedł do domu.

V.

Nazajutrz dzień piękny zajaśniał; wszystkie dzwony kościoła razem bijące oznajmiły święto. Raźniéj niż kiedykolwiek powstał Pułkownik z pościeli, czuł się jakoś rzeźwiejszym po śnie spokojnym, bez przerw nagłych i marzeń natrętnych.

— Zapraszał mnie wczora poczciwy Plebanisko na nabożeństwo...—pomyślił sobie—i jeszcze, abym go prowadził w processyi.... Ha! cóż mi się zresztą i stanie?.... Mogę mu tę przyjemność uczynić..... Nad swój zwyczaj jednak uniosł się wczoraj

staruszek, Boga mi nad Napoleonem nagle okazawszy..... Już też on i stanął przed Bogiem...—

Po tych krótkich uwagach Pułkownik ubrał się w swój świetny mundur, we wszystkie nagrody i znaki swojego męztwa, i poszedł do kościoła.

Przed kościołem uwijał się pomiędzy ludem jego *wiarus* w swoim połatanym, ale także na przepych oczyszczonym mundurze; i ujrzawszy swege Pułkownika także jak na paradę wystrojonego, szykował chłopków w szeregi. i sam stanął *front*. Uśmiéchnął się Pułkownik, oddał mu wzajemną wojskową salutacyę, i rozmawiał uprzejmie z włościanami, nim się nabożeństwo rozpoczęło.

Gdy się processya otwierała, Pułkownik postąpił do ołtarza, i zstępującego zeń celebrującego Plebana wziął pod rękę, spozierając na twarz czcigodnego kapłana, niosiącego *Sanctissimum* i błogosławiącego niém ludowi.

Twarz ta takiém uniesieniem pałała i taką razem wielmożnością zdobiła się, tak on czuł głęboko swą świętość i godność, piastując na swém ręku Zbawiciela świata, że Pułkownik mimowolnie uderzony tém obliczem uchylił własne ku ziemi, i z dostojną skromnością prowadził go do ruin Ś. Kazimierza.

Odbyło się nabożeństwo, i przeszedł dzień jeden mniéj nudny dla Pułkownika. Z zachodem słońca zabrzmiała skrzypka przed karczmą. Wesołe odgłosy i okrzyki dochodziły Pułkownika siedzącego na swojém zwykłem na ruinach stanowisku, lub przechodzącego się po wałach.

Wśród tych hałasów wyróżniał się donośnie głos jego starego *wiarusa*, podochoconego zapewne miodkiem. W tańcach on nawet, nie zapominając swego wojennego animuszu, komenderował po wojskowemu, gdzie wesołość jedynie komendę mieć była powinna; z tą różnicą, że w takt skokom i mazurom śpiewał słowa komenderówki:

„Marsz! chłopcy! marsz!
„Plutonami marsz!
„Tara ta ta ta ta pal!.....

Pod północ ochota wolnieć zaczęła i komenda *wiarusa* umilkła; coraz w jedną i drugą stronę po gościńcu skrzypiały kolasy; gwary coraz w szersze rozpostrzeniały się koła i milkły w oddaleniu... aż nakoniec światełka wszędzie pogasły, nastąpiła cisza zupełna i głęboka; a Pułkownik znowu samotny zaczął dumać po swojemu.

VI.

Istniejeż ten świat niewidomy, świat duchów, świat nieokreślony, mglisty, świat czarownych złudzeń lub strasznych objawień, którego domyślność zdaje się być wrodzoną człowiekowi? do którego albo nienasycona żądza wiadomości, albo nieukojona rozpacz, albo pogarda rzeczywistego świata, wdarć się usiłują? którego idea nie łączy się bynajmniéj ani przeczy religijnym ideom, gdyż go jak wszystko, pod władzę Boską poddaje; lecz ten świat, pośredniczy jakiś między Bogiem i ludźmi, z którego niepojęte istoty wymykać niekiedy zdają się, jakby karty z księgi przeznaczeń naszych i nam na nie ukradkiem spójrzeć dozwalają?... z którego roje snów wieszczych w nocnych ciszach osiada na zawartych powiekach ludzkich i pociesza nieszczęśliwych lub udręcza zbrodniarzy? z którym dusza nasza w harmonii obcuje niewidomie, z którego astrolog ciągnął swe często sprawdzane horoskopy, wróżki—niechybne kabały; którego cudów pełne są dzieje;...... z którego miał posłańca Brutus przed bitwą pod Filippinami? z którego rodem miał być czerwony człowiek Napoleona?... Świat nakoniec, w który zupełna wiara, życie w obłąkanie wprowadzić może, w który zupełna niewiara pozbawia życie najpiękniejszego uroku?...

W taki świat zapuścił myśli swoje Pułkownik, w którego głowie wrażenia dzisiejsze religijne, snując się i mięszając, wpadły na jakąś mistyczną ścieżkę, wijącą się zawsze rozmaitym kierunkiem po cienistych i błędnych manowcach, obok wielkiego i prosto do prawdy prowadzącego, wiary naszéj szlaku.

W Niemczech zasłyszał on kiedyś o jakiéjś sekcie i pojedyńczych jéj członkach, posiadających jakoby tajemnicę wywoływania duchów i zaklęcia ich do odpowiedzi....—Czemużem, pomyślił sobie, nie inicyował się do tych tajemnic? Czemużem się nie nauczył i nie nabył téj potęgi, zmuszającéj czy zniewalającéj duchy niewi-

dome do objawienia się ludziom? Wywołałbym je w tych ruinach... Miejsce i czas po temu... Czyliżbym się ducha przeląkł?... (uśmiéchnął się na samą myśl bojaźni). Niechby mi odkrył tajnie, za którémi ścigam... niechby mi uchylił zasłonę, za którą wdarć się usiłuję... niechby mię ożywił i przywiązał do życia...... niechby przegnał tę nudę nieszczęsną, która mię powolnie niszczy i truje... tę niepewność każdego kroku, każdego dnia, każdéj nocy; niechby rozdmuchnął ten popioł suchy, zimny i trupi, osypujący me serce i mózg mój niepojętny...

— Wzywam cię, duchu!—zawołał nakoniec w uniesieniu powstając Pułkownik i podnosząc wzrok w niebiosa.—Na szczęście swoje zaklina cię śmiertelny!... Na nieszczęście choćby!... Wzywam cię!..... Objaw się, jeżeli istniejesz! objaw mi przyszłość moję! zmień terazniejszość!.... zapal nanowo wygasły płomień życia w mém łonie! Niech żyję!.... Ach! niech umieram wnet! bo żyć tak dłużéj niepodobna!...—

Przez chwilę stał jeszcze Pułkownik, jakby oczekując skutku swych zaklęć; w końcu opamiętał się... usiadł, zakrył sobie oczy rękami i westchnął.

— Szaleństwo!—rzekł nakoniec—urojenie próżne! Tyle mogą moje wezwania, ile i czarnoksiężkie słowa szarlatanów, kłamiących swoję nad duchami potęgę...—

Znowu się zamyślił głęboko, i znowu obrzędy rannego nabożeństwa, i oblicze kapłana, i jaśniejące w jego ręku *Sanctissimum*, zasnuły mu się po wyobraźni...—Tyle cudów opisują nam księgi Religii... tyle objawień, które Bóg czynił Świętym... We wszystko to świat wierzy... I Święci tylekroć objawiali się ludziom i przyjmowali ich w opiekę.....—

Nagle, jakby nową myślą dotknięty, upada na kolana.

— Boże!—zawołał—jeżeli Cię głos człowieka dochodzi!.... I daléj w myślach czy modłach długo trwał zanurzony.... Powstał znowu nakoniec, i już miał niecierpliwe wyrzec bluźnierstwo... gdy

---

Z drugiego końca wału i rozwalin postrzegł zbliżającą się ku sobie postać jakąś.

Obłoki gęsto przesuwające się po niebie ćmiły światłość nocną, tak, że nie mógł Pułkownik rozpoznać dokładnie kształtów téj po-

staci, i niespokojność jakaś przemknęła mu mimowolnym dreszczem po ciele...

Lecz za zbliżeniem się osoby uznał on, że to być musi jakiś ciekawy podróżny, jakich już wielu oglądających te ruiny widywał.

— Dla czegoż w nocy? Ha—pomyślił sobie—bo zapewne w nocy w dalszą musi puścić się drogę.—Chciał zatém, nie przeszkadzając ciekawemu, zawrócić się do domu, gdy ten, jakby zgadując myśl jego, podszedł spiesznie i rzekł:

— Witam dziedzica pięknych ruin.—

— Witam Pana wzajemnie—odpowiedział Pułkownik.—A zkąd Pan wiész żem dziedzic tego miejsca?—

— Wszakże tak jest!—

— Tak. A Pan zapewne jesteś podróżnym pragnącym poznać te rozwaliny.—

— O, znam je oddawna, i wszystkie inne po Litwie rozrzucone.—

— Ja nie miałem zręczności widzieć żadnych prócz tych moich własnych. Czy są inne równie obszérne i wspaniałe? i do którychby tak ważna pamiątka, jak tu, mieszkania Ś. Kazimierza, przywiązaną była?

— Obszerniejszych i wspanialszych jest kilka, z równie piękną pamiątką żadnych. W Trokach naprzykład są ruiny zamków stołecznych, więc ściśle z dawnemi dziejami kraju tego połączonych. W blizkim ztąd Krewie są większe i lepiéj zachowane, lecz pamiątka ich jest niemiłą, bo śmierci okrutnéj walecznego bohatéra Litwy, Księcia Kiejstuta. Podanie, a ja wiém zkądinąd, że pewne, oznacza pod jedną basztą trwającą dotąd, okno więzienia Kiejstutowego.—

— Prawdziwie chciałbym odwiedzić Krewo, a jeszcze z tak interesującą wiadomością. Lecz zkądżebyś Pan mógł mieć tę pewność, gdzie tylko zda mi się, domysły mieć można?—

— Skoro prawdziwie żądasz, być tam i wiedzieć wszystko możesz.—

— Zapewne że chciałbym, ale nie rozumiem.—

Nieznajomy stanął obok Pułkownika, przed oczami jego przemknął ręką, i ślad jéj błyskawicą się opisał w powietrzu... Pułkownik nie wiedział, co się z nim stało, ale w mgnieniu oka był w *Krewie*.

ŚMIERĆ KIEJSTUTA.

VII.

Przerażony Pułkownik stał oniemiały wśród ruin Krewskiego zamku.

— Opamiętaj się—rzekł nieznajomy, kładąc mu rękę na ramieniu.

I w rzeczy saméj to dotknięcie, jakby magicznym jakimś wpływem, wnet go uspokoiło, uporządkowało wyobrażenia, i myślom jego wolny bieg dało.

Zwrócił on wzrok zdziwiony na tę cudotwórczą postać. Nic w niéj odmiennego, jak gdy ją na własnych ruinach postrzegł, nie widział. Oczy jéj tylko pałały światłem nadzwyczajném, od którego tło jasne i czyste obejmować zdawało się krąg, jaki około głów Świętych na obrazach widzimy.

— Któżeś ty?—zawołał Pułkownik.—Cóż się to ze mną dzieje?—

— Odłóż pytania. Patrz na to, coś chciał widzieć. Oto Krewo. A w tém, co się z tobą dzieje, miéj dowód mojéj, a raczéj Boskiéj potęgi.—

Pułkownik rzucił okiem na ruiny; lecz w stanie takim rzeczy nie szło mu o obejrzenie ich ciekawe, które w innym razie zającby go mogło.

Przy zachodniéj stronie muru ujrzał on wejście do podziemnego sklepu, żelaznemi drzwiami zamknięte i grubym drągiem zawalone.

Przewodnik, zgadując myśl jego—To—rzekł—więzienie Kiejstuta. Zbliżmy się.—

Gdy z jednéj strony podchodzili do lochu, z drugiéj przełazili przez mur trzéj ludzie, i po przystawionéj przez czwartego wewnątrz będącego, a ułatwiającego wstęp tamtym, drabinie, spuścili się na dół.

— Oto zabójcy Księcia wkradają się do zamku—

— Jak to?— zapytał Pułkownik — czyliż cofnęliśmy się o kilka wieków?—

— Nie. Widzisz tylko karę złoczyńców. Co noc o tejże saméj godzinie, w któréj oni zbrodnię tu spełnili, duchy ich przybywają do Krewa, przybierają własne ludzkie postacie, niewidome nikomu: bo kara ich dla ich samych tylko. Krewo przybiera dla nich postać dawną; i powtarzają czyn, za który wieczne pochłonęło ich potępienie. Przypatrz się im...—

Tymczasem tamci cisnęli się koło muru, oglądali się niespokojnie na wszystkie strony. Na każdy szmer, na każdy powiew wiatru, trzéj zatrzymywali się trwożliwie, czaili się do muru; czwarty, przodkujący im stawał tylko na miejscu.

— Zajdźmy im drogę śmiało. Jesteśmy dla ich niewidomi.—

Postępujący na czele był człek wysoki, długim czarnym płaszczem obwinięty, z pod którego, gdy wiatr rozwiewał szérokie fałdy, dawała się widzieć czarna zbroja, a na piersiach krzyż z błyszczącego metalu na pancerzu wykuty.

— To Krzyżak *Kniprode*, brat Wielkiego Mistrza — tłumaczył Pułkownikowi przewodnik—wysłany tu umyślnie dla dokonania téj zbrodni i zamordowania bohatéra stającego najdzielniéj przeciw ich nieprawym na Litwę zamiarom. Wybrano go, jako znanego z twardszego od żelaznéj zbroi jego serca, jako odważnego przytém i zręcznego w prowadzeniu wszelkich knowań, a nienawidzącego Litwinów, którzy mu nieraz dali się we znaki. Posiada więc on wszystkie zdolności, któreby mu łatwém uczynić powinno wykonanie téj zbrodni, a jednakże patrz w jego serce—rzekł, kładąc znowu rękę na ramieniu Pułkownika.

I widział jak na dłoni serce Krzyżaka Pułkownik, i z myślami jego tak się zjednoczył, że najskrytsze czytał, rachował, przenikał...

Serce Krzyżaka biło gwałtownie i drżało...

— Ręczę cię, że ani razu mu tak nie drgnęło, gdy na tysiąc śmierci biegł zapamiętały w bitwach; a tu tylko bezbronnego starca ma zamordować. Ale sumienie! wiara! wiara! którą im bardziéj on zna i czuje, tém go więcéj trwoży...

— *Piąte nie zabijaj!*—pomyślił Krzyżak i stanął.—*To poganin!*... *nieprzyjaciel wiary naszéj i naszego zakonu!*—*Piąte nie zabijaj!*—powtarzało sumienie.

— Za krzyżakiem — mówił daléj przewodnik — postępuje *Prora* komendant tego zamku, któremu Krzyżak przywiózł złota i fałszywy rozkaz Jagiełły pozbycia się *Kiejstuta*, a potém i *Witolda*, lecz go strzegła i uwolniła nakoniec cnotliwa żona jego. Ten drugi, to brat Prory, *Bilgen*, duszą i ciałem oddany Krzyżakom i Maryi żonie powieszonego przez Kiejstuta *Wojdyłły*. Mściwa ta kobiéta za pośrednictwem właśnie *Bilgena* podała rękę Krzyżakom pragnącym śmierci Kiejstuta, i wspólnie ułożyli morderstwo. Utrzymywała ona w nienawiści Jagiełłę ku stryjowi, i mimo wiedzy jego dała fałszywy rozkaz *Prorze* wydania nieszczęśliwego starca w ręce *Kniprody*.

— Dwaj jeszcze idący z niemi, ten *Kuczuk* a ten *Zybentéj*. Piérwszy, nizki posługacz dworu Jagiełły, przybył z *Bilgenem*, a drugi *Krewianin*, zwyczajny oprawca, pełni ślepo *Prory* — rozkazy.—

Krzyżak stał jeszcze oparty na długim mieczu nade drzwiami lochu.

— *Ja brat Wielkiego Mistrza!... ja rycerz pasowany!... i ja zabójca!... Piąte nie zabijaj!* — odzywały się bez ustanku wiara i sumienie. Opuścił głowę, i raptem podniósł ją: bo krzyż własny na piersiach raził mu oczy!...

Prora podawał mu klucz od lochu.

— Sam odemknij — rzekł *Kniprode* — i sam spraw, co ci rozkazano...—

— Kazano mi oddać tobie w ręce *Kiejstuta;* ale sama sprawa... do ciebie należy.—

— Sprawa do nas wszystkich należy—odezwał się *Bilgen.*—Ty, *Kniprode*, masz rozkaz od twojego brata i od starszych twego zakonu; ty masz rozkaz *Jagiełły*, i złoto krzyżackie; ja mam moje rozkazy, a oni mają rozkaz od nas. Odmykaj więc...—

— Rozkaz od *Jagiełły*... rozkaz od *Jagiełły*... — mruczał *Prora*—któż to wie?... Ale tam jest z *Kiejstutem* sługa jego *Ostafi Omulicz*—dodał trwożliwie. Ja go znam. To silny i odważny chłop. On będzie pewnie bronił swojego pana.—

— A czém? — odpowiedział znowu *Bilgen.* — Broni żadnéj oba nie mają. Ale i jego żywić nie można, bo nas wyda; a trzeba, aby

myślano, że Książę sam się zadusił. Rozumiecie?... Wara koło niego z toporem lub mieczem.—

— A jakże?—zapytał *Zybentéj*.

Bilgen chwycił się rękami za szyję, i tak straszliwie się przekrzywił, naśladując skon duszonego, że Krzyżak się wzdrygnął, a oprawca nawet odskoczył.—Odmykaj—rzekł potém do *Prory*, który gdy jeszcze się ociągał, wyrwał mu klucz i założył w zamek... lecz mu Krzyżak mimowolnie zatrzymał rękę: bo niewidomy przewodnik Pułkownika szepnął mu nad uchem wyrazy jego sumienia: *Piąte nie zabijaj!*

— Kto tu jest?—zapytał on z przerażeniem—kto tu szepcze mi nad uchem?...—

— E, nikt—rzekł *Bilgen*.—Tchórz widzę jesteś choć rycerz... drżysz, jak osina.—

— Milcz!—rzekł z gniewem Krzyżak—milcz! podły! Nie tobie sądzić mnie!!! Daj Kiejstutowi miecz w rękę i zbroję na piersi, a obaczysz, czy rycerz *Kniprode* drżeć przed nim będzie. Ale...—

— Tak, rozumiém, rozumiém to *ale*... ale zakon twój tego żąda i wymaga, bo kiedy Kiejstut miecz w rękę dostanie, to i dziesięciu *Kniprodów* nie zasłoni was od jego ciosów. Kto wié, czy się osiedzicie wtenczas i w Maryenburgu?...—

— Więc odmykaj!...—zawołał z okropném przeklęctwem Krzyżak—odmykaj!—A niewidomy przewodnik jeszcze raz wymówił nad nim wyraz mający go ścigać przez całą wieczność: *Piąte nie zabijaj!*

Otworzono drzwi ciężkie, i weszli zabójcy do więzienia, a z niemi niewidomi świadkowie zbrodni.

Kiejstut zasypiał na kamiennej ławie, owinięty ferezyą na srébrny sznur pod szyją, zawiązaną. *Ostafi Omulicz* czuwał, siedząc u drzwi na osobnym kamieniu; a ciemna lampa żelazna, na sklepieniu zawieszona, słabém i wątpliwém płomieniem czarne i wilgotne oświecała mury.

— Po co tu?—zawołał powstając *Omulicz*.—Książe śpi.—

Wnet i Książę się obudził, powstał i toż samo powtórzył pytanie; lecz postrzegłszy Krzyżaka—Ha! Krzyżak! więc po życie moje przychodzicie!..—zawołał.

Tymczasem żaden postąpić ku niemu nie śmiał, a *Omulicz* zasłonił go sobą.

— Precz ztąd!—rzekł ponuro Krzyżak, odtrącając Omulicza,— Mamy pomówić z Księciem.—

Ale ten wzajemnie tak silnie odepchnął Krzyżaka, że aż się on posłonił. Zawzięty mnich ugodził *Omulicza* czekanem w głowę... skruszył czerep... a krew z mozgiem prysnęła gęsto na twarz, oczy i krzyż zabójcy... Upadł wierny Ostafi u nóg Kiejstuta.

— Niewinnego zabiłeś!—odezwał się Książę, nie zmieniając spokojnego oblicza.—Czyż twój Bóg, twoja wiara, pozwala ci zbrodni?—

Słowa te i krew ciekąca po twarzy i po krzyżu zapamiętałą wściekłością zażegły go. Krwią kipiącą oczy mu zabiegły, zgrzytnął zębami i rzucił się na starca, którego ciężarem własnym i zbroi swéj przywalił...

Synu mój Witoldzie!...—zawołał Kiejstut, i to były ostatnie słowa jego...

Pułkownik rzucił się do Krzyżaka.

Stój!—rzekł, wstrzymując go, towarzysz—zapominasz się... Potępieńcy pasują się z cieniem... Ich to męczarnia, nie Kiejstuta.—

Tymczasem *Bilgen* oderwał od ferezyi Księcia sznur srebny i na szyję mu zarzucił, oprawcy dopomogli, i zawrzało chrapanie śmiertelne. Krzyżak przerażony puścił Księcia i odskoczył, i osłupiały wzrok wytrzeszczył na miotającego się Księcia i duszących go oprawców...

Lampa zagasła, chrapanie umilkło, i zabójcy hurmem rzucili się do drzwi, jakby każdy z nich w lochu zostać lękał się.

Krzyżak ocierał konwulsyjnie drgającą ręką krew z krzyża, i starć jéj nie mógł. Obłąkany i drżący stał, przysłuchując się...— Słyszysz?—rzekł cicho do *Bilgena*—słyszysz? jeszcze chrapie!...—

— To szatan chrapie ci nad uchem—odpowiedział *Bilgen*— szatan, który i mnie opętał; i ot, jak kruk ścierwo, rozjada już moje serce i wnętrzności... Do piekła! do piekła! rycerzu *Kniprode!* do piekła rycerz chrześcijański razem z poganami!..... Cha! cha! cha! cha!

— *Piąte nie zabijaj!*—wymówił znowu nieznajomy nad uchem Krzyżaka...

— Kto tu?—krzyknął *Kniprode*—kto tu mi dziesięcioro powtarza...—

Nieznajomy przemknął nęką przed oczami Pułkownika, ślad jéj znowu się błyskawicą opisał w powietrzu, i oba w mgnieniu oka byli już na wale dziedzicznych jego ruin pod basztą.

VIII.

— Ktożeś ty?—zapytał Pułkownik.—Jestże to sen, com widział, i co się ze mną dzieje? Jakież to cuda.—

— Przypomnij sobie—rzekł stojący przed nim cudotwórca—ostatnie twoje myśli przed mém ukazaniem się na ruinach.—

— W myślach tych—odpowiedział Pułkownik—błagałem Boga...—

— Aby ci zesłał ducha, któryby cię oświecił, twe wątpliwości rozproszył, wskazał ci drogę życia, słowem, wskrzesił cię i odrodził na nowo... Tyś syn marnotrawny, tyś zmarnował bogactwa obficie tobie i każdemu od Boga w serce wlane na zapas szczęścia całego żywota, a na okupienie wiecznego, opłacając zań Bogu z tegoż samego skarbu cnotą i codziennym dobrym uczynkiem, jak ewangelicznym złotym talentem.

— Bóg głębokiego twego doń westchnienia wysłuchał... Otom jest twój duch opiekuńczy, twój anioł-stróż, na twe wezwanie do ciebie niewidomie zesłany. Ja czuwałem nad twą kolebką, jam cię w niebezpieczeństwach zasłaniał, jam cię konającego pod dach ojczysty zaprowadził, i ja nakoniec stoję przed tobą, przybrawszy z woli Boga postać ludzką, a nawet pojęcia i wyobrażenia twoje i twoich przyswoiłem... Pytaj więc. Gotowem ci odpowiadać na to wszystko, cokolwiek ludziom wiedzieć i badać godzi się. Rozmyślaj, co najważniejszego wiedzieć ci potrzeba. Od téj chwili zależy twoja przyszłoć, twoja spokojność, słowem, twe szczęście lub zguba.

— Po cóż jeszcze ta niepewność?—

Duch położył rękę na piersi Pułkownika, a wnet serce mu wolniéj bić zaczęło trwoga odbiegła, a myśli zwyczajny, ziemski, że tak powiém, wzięły obrót. Stał jednak zadumany i milczący, bo sam siebie pojąć nie mógł: czego żądać? czego się pytać?...

— Wróciłem cię—rzekł duch—do stanu twego dawnego. Objawienie się moje będzie ci tylko pamiątką miłosierdzia Boskiego nad człowiekiem, którego błąd ogarnął, a jedna chwila ucieczki do Boga tak jak i każdego zbawić może: bo każdy jest w stanie wywołać w niéj ducha Bożego oświeciciela, który lubo się mu widomie nie okaże, ale przemówi do rozumu głosem sumienia, do serca słowami tkliwego i dobrotliwego ojca, przebaczającego dziecku swemu niewdzięczność i swawolę.

— Widzę myśl twoję. Pracuje ona nad wyborem pytań, jakie masz uczynić. Ciekawość, niepewność, dawna żądza przeniknienia tajemnic życia, ustalenia własnego na pewnym celu i drodze, miotają tobą. Wszelkie dociekania i wiadomości ludzkie, nierozwiązane ostatnim rezultatatem, cisną się do twojéj głowy i pragną korzystać ze sposobności.... Niebaczne! odkryłyby może, że we wszystkich ich poszukiwaniach i odkryciach niéma i nigdy nie było prawdy. Wszystko, co was ludzi otacza, na co okiem rzucisz, jest tajemnicą, mamże ci wszystko objawiać i rozwiązywać?—Tobie idzie o szczęście własne; do tego więc stosuj i wybieraj pytania.—

Pułkownik więc nieśmiało, z cicha i z zająkaniem, jakby się jeszcze lękał ducha, czy jego odpowiedzi, zapytał:

— Jak długo żyć ja będę jeszcze?—i patrzał niespokojnie w oblicze objawiciela.

Oblicze to łagodnym się uśmiéchem okrasiło.

— Zawsze w myślach ludzkich—mówił duch—z tém pytaniem spotkać się można. Lecz pomyśl nad twém żądaniem. Wiém, że się nie lękasz śmierci, nieraz gardziłeś nią w bitwach. Lecz to wcale inna. Tam chwała, tam zapał, tam zawsze jest nadzieja, że cię kula minie; a nadziei téj, na własném łożu dopiero z życiem człowiek zwykle się pozbywa. Ale daleko trudniéj wam widzieć śmierć zbliżającą się powoli a niecofnionym krokiem długo twarz w twarz jéj się przypatrywać, licząc chwile nim cię uderzy... Więc gdybym ci powiedział, że rok tylko żyć będziesz?...—

Jakto? tak krótko!—zawołał Pułkownik.

— A widzisz, jakeś się przeraził. Nie lękaj się, kres twój nie tak blizki. Dość ci będzie życia na poprawienie twych błędów. Lecz rok ten udręczający, któryby wiedział, ostatnim, powtórzyłby ci się i na końcu najdłuższego twego życia. A tak, sądząc nawet rozumem ludzkim o dziełach Boga, widzisz w tym ukryciu człowiekowi chwili jego skonu, mądrość i dobroć Boską dla niego.—

— Na cóż-bo i ta... — pomruknął Pułkownik, ni to pytanie ni skargę; lecz jéj nieskończył, i spuścił oczy, bo się wstydził pytania...

— Na cóż-bo i ta śmierć? — chciałeś powiedzieć, i nie dokończyłeś, boś uznał niędorzeczność skargi. My istniejem, wy istniejecie, światy i słońca istnieją; ale Ten, którego istność jest bez początku i końca, a który dał w czasie nam i wam początek, zachował sobie wiadomość wszechmocnego *stań się!* przez które wszystko się stało i wszystko się kończy... —

Pułkownik milczał.

— Darmo ukrywasz — mówił duch — myśli twoje. Widzę je, jakeś ty widział myśli Krzyżaka. Powiedziałbyś teraz — A więc i wy, równie jak i my, nic nie wiecie.—Lecz ja nie jestem tu abym ci objawiał tajemnice naszéj istności, raczéj, abym cię o twéj własnéj nauczył, która że się ze śmiercią nie kończy, widzenie Krewskie przekonaćby cię było powinno. Gdybyś tego przekonania potrzebował nawet... jestem tu, abym cię wprowadził na drogę prawdy, pokoju i szczęścia, którego szukając, westchnąłeś do nieba.—

— Ach! gdzież jest to szczęście? — odezwał się Pułkownik.

— Słuchaj. Potrzebujesz źródła w twoim ogrodzie, bo nie masz czém skrapiać twych drzew i twoich kwiatów. Już od lat kilku namyślasz się, jakby zwrócić i sprowadzić doń odległy ztąd strumień... Otoż bez tak wielkich kosztów i pracy odwróć ten głaz zarosły chwastem, który ci okazuję. Znajdziesz pod nim studnię z najczystszą wodą, dawno zapomnianą, z któréj czerpali przed wiekami mieszkańcy tego zamku, którą pił i ochładzał się niegdyś święty jego dziedzic. Będziesz więc miał w łonie własnéj twojéj ziemi to, czego szukasz na odległych polach. Zrób i z sobą samym to, co masz zrobić ze swoim ogrodem. Nie szukaj w urojeniach, w zaciekaniach odległych źródła szczęścia twojego, zejdź do ruin własnego serca, i odrzuć tam leżący ciężki głaz bezbożności i niedowiarstwa, zarosły chwastem żądz niespokojnych, myśli wątpli-

wych i gnuśnego lenistwa; a wytryśnie ci wnet źródło święte wiary, które orzeźwi duszę twoję, ochłodzi serce i życiu twemu nowe, że tak powiém, da życie.—

— To co mówisz — rzekł ośmielony Pułkownik — jest nader proste i rozumowi pojętne; dla czegoż mi więc rozum mój nie natchnął tych myśli? —

— Rozum! oh! rozum ten wasz, z którego tak dumni i zarozumieli jesteście, czemże jest?... Posłuchaj jeszcze jednego zupełnie ziemskiego porównania. Zdarzało się ci widzieć kuglarza, który sztukami zręcznemi łudzi oczy pospólstwa. Daje ci on dukata w rękę, zwiera ją i każe mocno trzymać.—

— Czy masz dukata? — pyta cię.—

— O, mam! — odpowiada trzymający — mam!—

— Trzymajże mocno!—

— Trzymam! —

— Pokaż. — Otwiéra się dłoń — pusta, nie ma dukata.

— Masz ty rozum? — zapytaj każdego człowieka.

— O, mam! mam! — czuję go w mojéj głowie. —

— Okaż że go jak na dłoni, okaż go w czynie. —

— Rozwiera się głowa... i nie ma go; albo przynajmniéj tak mało, że do codziennego użycia nie wystarcza. A cóż dopiéro gdy nim jednym oświecać drogę żywota, miarkować czyny, myśli, zamiary i postępki swoje usiłujecie!... —

— Na cóż więc on się przydał człowiekowi? —

— Na wszystko i we wszystkiém, gdy jest promieniem wielkiego ogniska mądrości Boskiéj, objawionéj nam wiarą, która wspierać go, kierować nim, i karcić go powinna. Bez niéj znika rozum; jakby znikł promień słońca, gdybyś samo słońce zagasił.

— Bóg nie napróżno wlał w duszę człowieka tę władzę rozmysłu, determinacyi, działania. Radzca to jest potężny, gdy cnotliwy i bogobojny... zdrajca to jest niebezpieczny, gdy odstępca od praw Boskich, ludziom własne narzucić pragnie, lub niepewne kroki człowieka za swem jedynie światłem uwodzić.

— Przodkowie wasi odlegli, nie dozwalając rozumowi przekraczać granic religii, mieli prostotę i pobożność godłem swojego żywota. Piérwsza zapewniała im pokój codzienny, swobodę umysłu, chroniąc od żądz niesfornych i pragnień coraz nowych: druga

w przygodach życia dawała im port ochrony i słodką pociechą napawała duszę. —

— Byliż oni szczęśliwi? —

— Byli szczęśliwi i szczęściem mądrych i sprawiedliwych; szczęśliwi w duchu szczęściem niezależném od wypadków świata, któremi prawica Boga podług swych wyroków rozrządza, a którego woli oni się z pokorą poddawali. Jedno szczęśliwe doń westchnienie zjednało ci wspomożenie i ratunek, ale głęboka tylko, głęboka i stała, szczéra i gorąca wiara zjednać ci może świętą opiekę jego, i wybłagać dla serca twego kroplę nowego życia pięknego i świeżego, jak poranek odradzającéj się na wiosnę natury, czystego i spokojnego, jak te nad nami niebiosa.

— Oto droga szczęścia napróżno dotąd przez ciebie szukana. Wejdź na nią od téj chwili duchem i modlitwą... z którą ja moję połączę... —

Pułkownik upadł na kolana..... i długo z czołem ku ziemi kornie schyloném, lub niekiedy ku niebu wznoszoném, modlił się.—

— Wstań!—rzekł po niejakim czasie duch.—Przywróciłem był umysł twój do stanu zwyczajnego. Teraz obacz się i poznaj, jakim cię modlitwa uczyniła.—

Powstał Pułkownik. Oczy miał łzą zroszone; ale jakąż nieporównaną roskosz, jakąż miłą rzeźwość, jakąż pogodę, tkliwość i lekkość uczuł on w sobie!!! Zdawało mu się, że tysiąc razem źródeł ulgi i pociechy wytrysnęło mu w sercu.—

— Ach! jakżem szczęśliwy! — zawołał on, składając ręce na piersiach — jakżem szczęśliwy!... Wierzę! głęboko wierzę! z całéj duszy wierzę!!! Dla czegoż cały naród ludzki podobną nie napawa się słodyczą?!—

— Oto piérwszy błogosławiony skutek téj wiary twojéj: miłość powszechna dla ludzi twych braci. Serce chrześcijańskie duchem Bożym napełnione, pała tą czystą miłością, która jest najmilszą ofiarą Bogu, najpiérwszém Jego przykazaniem i najwyższym szczeblem mądrości i doskonałości ludzkiéj.

— Ach! czyliż ten rodzaj ludzki powstanie kiedy ze swéj nędzy? czyliż będzie szczęśliwym? Okaż mi jego przyszłość!

Lecz w tejże chwili znowu się postrzegłszy Pułkownik, że żądanie jego w upojeniu uczucia wyrzeczone, mogło być grzesznem

wtajemniczaniem się w wyroki Opatrzności.—Nie! nie!—dodał z pośpiechem—niech się we wszystkiém dzieje wola Boga!—

— Nie lękaj się — odpowiedział duch — w żądaniu twém nie z pychy, ani z próżnéj ciekawości, ale z serca uniesionego wynikłém, nie ma obrazy Boga.

— Chcesz wiedzieć przyszłość ludzkości... Wieluż to mędrców waszych fałszywych i zarozumiałych pracują nad jéj oglądaniem, a nawet nad jéj upewnieniem, podług swych teoryj i wyobrażeń!.... Ale tylko pracujący szczérze nad wykorzenieniem wad i zdrożności ludzkich, nad udoskonaleniem przymiotów duszy jego, słowem, nad ulepszeniem moralném człowieka, przykładają się skutecznie do szczęśliwszéj przyszłości.—

— Inni wszyscy którzy chcą albo chcieć będą (bo takich jest i będzie w każdym wieku) wmówić ludziom posłannictwo swoje na odnowienie objawionéj wiary; wszyscy, którzy tę wiarę i jéj tajemnice tłumaczyć będą pojęciem ludzkiém; wszyscy, którzy się męczą nad odgadnieniem mechanizmu duszy i praw jéj zjednoczenia się ze zmysłami; wszyscy nakoniec, których Bóg stworzył, a w Boga nie wierzą; słowem, wszyscy mniemani mędrcy, mieniący się natchnionemi prorokami, zarozumiali mistrze i nauczyciele, których po ich uczynkach, mowach i pysze łatwo między tłumem, częstokroć przez nich uwiedzionym, poznasz; wszyscy, mówię, takowi obłąkiwają ludzi, i sprowadzają z drogi mającéj ich doprowadzić do prawdziwego światła, a zatém i do szczęścia takiego, jakiego ty w téj chwili kosztować zaczynasz, i jakiego pojedyńczy człowiek łatwiéj dosięga: bo.... powiém ci przypowieść.

— Pewnego czasu wielka karawana pielgrzymów puściła się przez pustynie do miasta świętego dla oczyszczenia się z grzechów i zamieszkania tam w pokoju i błogosławieństwie. Karawana zbłądziła na nieprzejrzanych i wrzących pod jéj nogami piaskach. Natenczas znaleźli się pomiędzy tłuszczą mędrcy wrzekomo, z których każdy podług swéj nauki przewodniczyć jéj pragnął. Jeden radził trzymać się kierunku wiatrów; inny zalecał kompasy swojego wynalazku: inny chciał się zdać na zmysł wielbłądów czujących jakoby zdaleka źródła i oazy; lecz jeden z pobożniejszych pielgrzymów upadł sam na kolana, i radzi wszystkim modlitwę i ucieczkę do miłosierdzia Boskiego, jako jedynego środka ratunku... Oziębłe przyjęli radę i przykład pielgrzyma towarzysze; a lubo każdy jak z nałogu powtarzał, że trzeba wezwać opieki Nieba, wszyscy jed-

nak widoczniejszych i pewniejszych jakby chwytając się środków i nadziei, poszli za głosem zwodzących siebie i drugich przewodników.

— Pielgrzym został na kolanach i modlił się gorliwie do Boga aż do wieczora; a gdy weszły gwiazdy, ujrzał jedną świetniejszą nad inne, niewidzianą przezeń dotąd na niebie, za którą głos wewnętrzny postępować mu radził.

— Uznawszy więc w niéj znak widomy miłosierdzia Bożego, którego wzywał, powstał i szedł za gwiazdą poprzedzającą go zawsze. Wkrótce dochodził z kolei od źródeł do źródeł z których pokrzepiał napojem utrudzone ciało, do drzew cienistych pod któremi odpoczynkiem i pobożném rozmyślaniem pokrzepiał ducha; i tak po niedługiéj i bezpiecznéj podróży przebył pustynię, doszedł do celu i cieszył się pokojem i błogosławieństwem w świętém owém mieście; a karawana, brodząc w różne strony po nieprzejrzaném morzu piasków, nie doszła nigdzie ich granicy i zginęła na pustyni.—

— Otoż od towarzystwa ludzkiego, obłąkiwanego przez fałszywych filozofów i własne namiętności, w dążeniu do przyszłéj szczęśliwości powszechnéj, odrywają się ludzie cnotliwi i gorącego ducha, wzywają od Boga prawdziwego światła i za tém światłem idąc, wyprzedzają ród ludzki do szczęścia, i którego w pełności serca zażywając, czekają napróżno całych pokoleń błądzących po nieograniczonéj pustyni wyobrażeń ludzkich.

— Ty więc chcesz widzieć tę drogę błędu i próby, którą przebiegać mają teraźniejsze i przyszłe pokolenia...—

— Patrz!—

I znowu za ręką ducha błyskawica olśniła Pułkownika; tworzyć się potém przed nim zaczęły obrazy, w które się on ciekawym i wytężonym wpatrywał wzrokiem...

Lecz po niejakim czasie, nagle dłonią zakrywając oczy:— Dość!—zawołał—dość! O! co za długie pasmo cierpień, błędów i nieszczęść!!! Dość! Nie chcę na nie patrzeć, gdy im zaradzić nie potrafię...

— Dozwól, niech przepowiem ludom ich przyszłość.—

— Ludy ci nie uwierzą.—

— Czyliż nigdy i najdalsze pokolenia szczęśliwemi nie będą?—

— Nie grzesz wątpliwością w nieograniczoném miłosierdziu, dobroci i opiece Boskiéj nad rodem ludzkim. Skrócić lub przedłużyć

czas próby jest w mocy samychże ludzi... Co z jednym człowiekiem, to się z całém towarzystwem ludzkiém stać może.... i stać się nakoniec musi.... Ale do takowego stanu ród ludzki przygotować się ma zmianą wszelkich swych błędnych idei, odrzeczeniem się mnóstwa wad, fałszów i nałogów, nieuległych prawom Boskim, a które są dziś dlań drugą naturą.... jak chory najgłodniejszą dyetą przygotowywa się do odmiany swej krwi i zepsutych soków żywotnych... a natenczas pojmie i używać będzie w pełności i zamiłowaniu szczęścia i stanu, któregoby teraz nie pojmując, znieść nie mógł.

— Tchnieniem Bożém w łonie ludów i narodów poczęty, jak płód w żywocie matki, żyje już, porusza i daje się czuć mający się kiedyś urodzić nowy, zwiastujący szczęście i pokój światu, *duch czasu.* Mędrcy chrześcijańscy przeczuwają go.... karmią go, karmiąc matkę prawdą i nauką. Godłem jego będzie *miłość powszechna chrześcijańska w duchu! prawda i prostota w czynie!!!*

— Egoizm w najpowszechniejszém znaczeniu zatruć go w samym zarodzie i zniszczyć usiłuje... Waży się więc szala przeznaczeń ludzkich... ale nad gwichtem..... Opatrzności oko!

Z upokorzoném czołem słuchał tych wyrazów Pułkownik. Głos ustał, on podniósł oczy... ducha nie było.

Zorza już rumienić zaczynała niebiosa, i szczyt baszty po brzegach szczerb i krawędzi rozjaśniał się i złocił... a nad nim z podziwieniem postrzegł Pułkownik lekką postać młodzieńca, z białą liliją w podniesioném ręku, nieporównaném światłem jaśniejącą.

Po chwili znikła ona w promieniach wschodzącego słońca.

Pułkownik upadł na twarz... modlił się.... a w tém dzwon kościelny ozwał się na jutrznię.... wstał więc i poszedł zakończyć modlitwę przed ołtarzem.

AUTOR SWATEM.

I.

Rozrządzenie niezawisłe wolą, sercem i ręką własną, jest szczęśliwym udziałem mężczyzn; w rodzaju zaś niewieścim, *wdów*, tylko. Władza ta tém przyjemniejszą byćby im powinna, że jest przypadkową i że następuje po dwóch peryodach przymusu: *panieństwa* i *małżeństwa*. Rzadko jednak wdowy lubią się długo cieszyć tym na pozor miłym przywilejem: po dwakroć, trzykroć i cztérykroć uwalnianą rękę zdarza się im chętnie w więzy małżeńskie plątać.

— Nie mogę znieść — mówiła mi jedna pięćdziesięcioletnia a sentymentalna wdówka w wigilię czwartego swojego ślubu — nie mogę znieść smutnego a obecnego mi zawsze obrazu zgonu ukochanego ostatniego (bo o dwóch piérwszych nie było mowy) męża mego! Wolę—muszę zmienić go w méj duszy na obraz i przypomnienie wesela. Probowałem już dwa razy tego środka..... Najskuteczniejszém jest na rozpacz lekarstwem.—

— Wyborna medycyna na wdowią chorobę! — pomyślałem.

Lecz nie masz prawidła bez wyjątków. Niejedna wdowa (może dla tego, że w przypomnieniach rozstania się na wieki z mężem niewiele czuje smutku) nie śpieszy też go osładzać weselem; nie jedna, zwłaszcza z młodych i ładnych, wraca do wspomnień i nałogów panieńskich; a łącząc do nich powagę utraconego i swobodę nowego stanu, podoba sobie, czując tkliwie, panując bezpodzielnie i wybierając dowolnie. Z takich liczby była *Podkomorzyna*.

Trzeci krzyżyk mija, czwarty dobiega, a nieżonaty mężczyzna ozdabia się (chce czy nie chce) nazwaniem *kawalera marcowego*. O! bodajby tylko nazwaniem! Lecz jak owo fatalne nieśmiertelności znamie na czole *Grumdrypa* *), tak na policzkach letniego bezżeńca

*) Historja na dwie księgi podzielona, *Krasickiego*.

piątnuje się wybitnie albo obrzękłość próżniaka i samoluba, albo wychudłość skępca, albo ponura bladość nieułagodzonego zrzędy.

Przymila się doń mężatka, aby pożyczył pieniędzy mężowi. Swata mu się wdowa, aby z potomstwem pierwszego i drugiego małżeństwa wprowadzić się do gotowego gniazda. Drwi zeń dziewczyna, jeżeli zmuszona jest wolą rodziców, układających w głowie przyszłe przedślubne zapisy, cierpieć go w liczbie adoratorów ubiegających się o jéj rękę. Nakoniec, znudziwszy sam sobą, ustępuje pokusom—żeni się na złość sukcessorom z młodą... i znajduje nowego a najzawziętszego swemu szczęściu nieprzyjaciela... w sobie samym.

Przez większą połowę życia wkorzenione nałogi, spokojny i miły nieład domowy, opryskliwa samowładność, wszystko nowemu rzeczy porządkowi gwałtem ustępując, jak szatan z nawiedzonego wyparty, muszą nadwerężyć którekolwiek ogniwo małżeńskiego związku. Do tych niesmaków łączy się nakoniec podejrzliwość—choroba niedołężnych, niemogących w swém przekonaniu pogodzić wierności i przywiązania młodéj żony z własną małowartością; i ta najczęściéj niszczy do reszty ostatki spokojności źle dobranego stadła.

Lecz znowu nie masz twierdzenia bez wyjątków. Major... ma wprawdzie lat czterdzieście; lecz umysł zdrowy w czerstwém ciele; znajomość świata i tonu lepszych towarzystw, wśród których całą młodość i wiek średni przepędził, i których nie przestał być roskoszą i ozdobą; rozum wzbogacony nauką i doświaczeniem, umiejący żyć z ludźmi, a obejść się i bez nich; czynią Majora wyjątkiem z tłumu opisanych kawalerów marcowych.

Major, niegdyś młody Adolf, miał lat dziewiętnaście. Podkomorzyna, natenczas piękna Zosia, szesnastą liczyła wiosnę. Kochał ją Adolf, a teraźniejszy Major; i podobno najpiérwsze w niéj wzbudził i przejął westchnienia.

Dzisiaj po kilkonastoletniém rozłączeniu osiadł on w pięknéj wsi, odziedziczonéj po stryju, o dwie mile od rodzinnego domu Podkomorzynéj, do którego po zgonie swych rodziców i męża, miłą każdemu pociągnięta skłonnością, ładna i bezdzietna wdówka wróciła.

II.

—Podkomorzyna będzie Majorową na końcu powieści—pomyśliłeś czytelniku! I zgadłeś. Mógłbyś więc i porzucić książkę. Ale w którymże to, by najsławniejszym, szczególniéj z dawniejszych nieco romansów, od pierwszego zaraz rozdziału rozwiązania i losu głównych osób zgadnąć nie można? I dla tego współbracia moi, autorowie, ale nowych i rozumniejszych ode mnie wyobrażeń, w dzisiejszych swych płodach, pragnąc zmylić przenikliwość czytelnika, gdy on spodziewa się na końcu wesela, raptem dają mu pogrzeb.

Moja też powieść jest trochę starszéj daty i dawniejszego trybu. Świat porozumniał. Autorowie dziś mając inną jak dawniéj kanwę, z obyczajów ludzkich utkaną, i inne wzory w towarzystwie, inne też na niéj i z nich wytykają obrazy. Inaczéj być nie może, aby było prawdopodobieństwo w dziele. Mógłżebym dobrą wiarą, odmalowawszy naprzykład młodego trzpiota, żywego, zakochanego w całym rodzaju niewieścim, lecącego za wesołością i zabawami, niemyślącego wcale o jutrze, a tém bardziéj o posagach; mogącego śmiało w swobodzie myśli zaśpiewać:

„Każda piękność dla mnie równą,
„Kiedym żywy, hoży, młody,
„Czy szlachcianka, czy Królówna,
„Czyli żona Wojewody;“ *)

tracącego wprawdzie częstokroć fortunkę, ale pełnego życia i zapału, czułego, wybornego serca; dla miłości, dla przyjaźni, dla szlachetnego czynu, poświęcającego się ochoczo i bez namysłu—gdybym, mówię, taką odmalowawszy kopję, wmówić chciał, że podobną jest do oryginału z dzisiejszych czasów!—Ale gdzież tam?—powiedziałby każdy—gdzież tam! Oryginał twój dzisiejszy daleko

*) Zaleski—Duma Mazepy.

mędrszy od twojego trzpiota. Patrz! oto salon pełny piękniutkich i milutkich dziewcząt, a twój oryginał ani zważa na nie; uciekł on od nich do czwartego pokoju, bo nie lubi subiekcyi, i tam pali cygaro i gra w preferansa od którego wstanie po północy; a o dziewczętach chyba wtenczas pomyśli, gdy, z rozliczki na rozliczkę wpadając, posagi ich rozliczać zaczną. Biedne zaś dziewczęta wodzą się gęsiorem po pustych pokojach, a mamunie klną w duchu tegowieczną manierę młodzieży.—

Więc gdybym, dogadzając miłośnikom teraźniejszych szalonych romansów francuzkich, postanowił wśród nas wyobrazić podobne awantury: gdybym sobie stworzył z półtuzina zabójstw, i zakamieniałych zabójców i bandytów, szastających sztyletami na prawo i na lewo, i toczących krew rynsztokami; gdybym wmięszał pomiędzy nich parę zapamiętałych kochanków, a którzyby w dowód miłości podali sobie na końcu arszeniku, lub przywiązawszy wzajemnie kamienie do szyi, w czułém uściśnieniu poszli na dno; gdybym jeszcze dorzucił do tego z parę podłych intrygantów, bezwstydnego zwodziciela, i tym podobnych; a zmięszawszy to razem, zadał tego literackiego blekotu czytelnikom, i za każdą kartą targał ich nerwy i cały organizm; a choćbym i przydał tam, jak na próbkę trochę cnoty, trochę niewinności, trochę chrześcijańskiego ducha; czyżbym zdołał wmówić czytelnikom, że to jest obraz naszych obyczajów i naszych towarzystw?

— A mój Dobrodzieju!—powiedziałby mi niejeden poczciwiec— poczekaj ze swojém piórem, aż dojrzejem do téj doskonałości, że będziemy mieli oryginały własne tych krwawych i jaskrawych kopij. Przyrzekasz w godle swojem *„służyć poczciwéj sławie;“* a toć wyraźnie *niepoczciwéj sławie służysz*—i t. p.

Gdybym nawet (niestety! a to już może nie od nas samych tylko zawisło) chciał nasz dawny *humor* ale nie *humor* angielski, ponury i mglisty jak ich niebo, ale nasz żatrobliwy, *gadativus*, wąsaty, rubaszny, dworski wprowadzić na dzisiejszą scenę, zapytanoby mnie zapewne (i poniekąd słusznie):—Gdzież on jest? Dziś w żartach naszych bywamy złośliwi, ale nigdy prawie dowcipni; a przynajmniéj nigdy dowcipni, gdy niezłośliwi....—

A tak, gdy trudno, w naszych i o naszych czasach pisząc, zgodzić *anomalię* z prawdopodobieństwem, cofam się o lat dwadzieścia z górą i kontynuję moję powieść.

III.

—*Doux souvenir vaut mieux que l'espérance*—powtarzał Major, prowadząc pod rękę swoję niegdyś Zosię po długich lipowych ulicach starożytnego jéj ogrodu, po których przed kilkunastą laty bystre i lekkie ich wyścigały się stopy. W jakimś romansie Pani *Genlis* wyczytał on tę sentymentalną sentencyę, i dodawał jakby kontynuacyę:—*Szczęśliwy, kto jedno i drugie posiada!*—A gdy tak naturalną koleją, jakby po pochyłéj dróżce, miał zejść Major do oświadczeń uczuć swoich, które ona dawno w nim a bodaj i w sobie odgadła; gdy już się namyślił.... miał zacząć.... i zaczynał.... jąkane i nieśmiałe wyrazy.... przerywała mu je przenikliwa wdówka przypominaniem wypadków dla obojga tu niegdyś zdarzonych, już to zabawnych, już to tkliwych, w wesołe dziś przez nią zamienionych żarty. I tak zbity z toru kochanek odkładał znowu na jutro swoje oświadczenia i nadzieje.

Co z piękną wdówką, to nie z młodą dziewczyną! Ta słucha bez wstrętu oświadczeń, bo fałszywą niewinnością osłonioną, udaje, że ich nierozumie: piérwsza zaś wręcz im zachodzi: bo przenika, co powiedzieć mamy, i wylatujące, że tak powiém, wyrazy albo nazad do ust wraca, albo z wiatrem przepuszcza. Tamta zapłoniona nie śmie wznieść oczu i do woli rodziców odsyła; ta, nie mając do kogo odesłać, sama przygotować się musi do przyjęcia lub odrzucenia ofiary. Dziewicy tarczą malutka obłuda; wdowy, zalotność, częstokroć, niestety! w stanie małżeńskim, nabyta.

. Dla czegoż Podkomorzyna, kochając Adolfa, sama wzajemnie i prawdziwie odeń kochana, oddalała dobrowolnie moment wspólnego ich uszczęśliwienia?—ha! bo też, jako wyżéj powiedzieliśmy, czując tkliwie, panując bezpodzielnie i wybierając dowolnie, nie śpieszyła się piękna wdówka z wyrzeczeniem *słowa*, które, to życie jéj urocze na rzeczywiste zamienić miało; a lubo w związku z Majorem

daleko więcéj obiecywała sobie szczęścia, niżeli z piérwszym swym mężem, którego ani przed ślubem, ani po ślubie nie kochała, i któremu z woli tylko rodziców, upatrujących wszelką przyzwoitość w tém jéj zamążpójściu, znagloną oddała rękę; wszelako znała ona, że małżeństwo, by najszczęśliwsze, jest zawsze, a przynajmniéj byćby powinno, szczególniéj dla kobiéty, niejakim rodzajem uległości; i że, jak mi powiadał pewny mój przyjaciel, najszczęśliwszy na świecie małżonek: „małżeństwo jest jak stare wino reńskie: zdro-„we, wyborne, wyśmienite; ale ma w sobie zawsze trochę kwasku, „który niekażdemu podniebieniu się podoba, i niekażde podniebie-„nie go zniesie, chociaż właśnie w tym kwasku jest moc jego *sa-„nitarna.*“

Dla tego też zapewne w modzie dziś szampańskie: mussujące, jak *młodość*, upajające prędko, jak *swawola*. Nadto, gdy mi przychodzi zgadywać uczucia, sprzeczności i tajemnice serca kobiéty, mimowolnie, a to już po raz drugi w moich Obrazach, nawijają mi się dwa wiersze z Raju Utraconego, któremi *Milton* zalotne wstręty matki rodu ludzkiego doskonale maluje:

„Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,
„Co tém bardziéj pociąga, że trochę odpycha.“

Jak matka przyszłego niezliczonego pokolenia matek, jako pierwowzór niewiasty, musiała mieć ona wlane sobie zarody wszystkich doskonałości i słabości niewieścich, które spłynąć miały na całą płeć, rodowód swój od niéj wiodącą—jak ziarno zawiera w sobie zarod rośliny, kwiatu i owoców, rozplenić się zeń mających.

Przy najponętniejszych więc wdziękach ciała, musiała mieć inne jeszcze dary i zalety umysłu, które po niéj, wraz z wdziękami, w rozmaitym podziale odziedziczywszy jéj córy, panują nad nami, jak ona nad ojcem naszym Adamem; bez których wdzięki obejść się nie mogą, a które częstokroć bez wdzięków się obejdą, i przywiązują nas duszą i sercem do niepięknéj ale miłéj kobiéty.

Te wszystkie dary, zdolności, przymioty, w których cała sztuka podobania się i panowania kobiét zawiera, a które one mają wrodzone, i chowają do użycia w głowie jak broń w arsenale, razem wzięte i nazwane stanowią *rozum kobiecy*, stokroć rozumniejszy od rozum u męzkiego...

Ale gdy tak ważna materya, *materia gravis*..... *materia status*, że tak powiém, i sprawiedliwie; bo idzie tu o *status* połowy ro-

dzaju ludzkiego, od której druga połowa zupełnie zawisa, weszła na uwagę i pióro autorskie, poświęćmy więc jéj jeszcze jeden *epizod*.

Sławny *Stern* cały jest w epizodach. Jego *Tristram* *) i inne wszystkie powieści są jak parawany tak gęsto landszafcikami zaklejone, że ledwo gdzieniegdzie dostrzeżesz między niemi materyi czy papieru pokrywających ramy; opatrujący zaś, przechodząc od obrazka do obrazka, bawi się i duma nad każdym, a o kolorze i gatunku głównego pokrycia ani pomyśli.

IV.

ROZUM KOBIÉCY.

O kobiety! dałbym wam tynfę szelągami, gdybyście mniéj rozumnemi były!.... bo nasz rozum ogarniony waszym rozumem taje, topi się i niknie, jak lód wiosennem przejęty słońcem; i dla tego to właśnie najprawdziwszą jest prawdą, że zakochany głupieje.

Rozum kobiécy tak się ma do rozumu męzkiego, jak lśniący tysiącem ogniów brylant do ciężkiéj bryły złota, która, choćby najświetniéj polerowana, nie da ani takiego blasku, ani się opromieni tak wdzięczną tęczą łagodnych i miłych kolorów, ani wyrzuci tysiąca iskier elektrycznych, zażegających serca nasze... Brylant ten, osadzony w czyste złoto, jest małżeństwo *rozumnéj* kobiety z *roztropnym* mężczyzną—najszczęśliwsze bez wątpienia.

Cechą i szczególną własnością rozumu kobiécego jest to, że w najskrytszym mężczyźnie miłość ku sobie, a choćby i słabość tylko, odkryje, zgadnie, czy przeczuje..... Ach! głucho-niemegoby przeniknęła!... Wié ona, kiedy się twe serce zajęło, wié nawet, dopóki goreć będzie: bo wié, jak je podniecać i utrzymywać w zapale... słowem, wié wszystko lepiéj od ciebie co się w twéj duszy dzieje, chociażeś jéj tego nie wyznał, choć ci tego wyznać nie dozwala.

*) *Tristram Schandy*—powieść Sterna.

Lecz po tém nieomylném nigdy, sympatyczném, mogę mówić, odkryciu, właśnie dopiéro się rozwija w całéj potędze jéj rozum, i dobiera sposoby stosowne do exemplarza, jaki się jéj dostanie, jak snycerz dobiera dłóta stosowne do gatunku kloca, jaki się ma pod jéj ręką kształcić.

Zuchwałego bierze na kawecan i na wodzy trzyma, nieśmiałego do miary ośmiela, skrytemu rozwiązuje usta, a skąpemu worek; gadułę uczy trzymać język za zębami; słowem, otwiera szkołę obyczajową, w któréj studenci sami się nie postrzegają jak metodą wzajemnego uczenia kształcą się i doskonalą. A śmiało powiedzieć można, że nie poznał świata, kto przez tę szkołę nie przeszedł.

Śledząc tę doskonałą władzę duszy niewieściéj od jéj piérwszego zarodu aż do zupełnego dojrzenia i rozwinięcia, mniemamy, że się zaczyna instynktem, tak, jako i w płci męzkiéj; lecz po tym peryodzie, gdy mężczyzna wchodzi w *paragraf* romansowéj czułości i zaczyna pisać wiersze do swojéj bogini, kobiéta przebywa go owinięta, jak jedwabnik kokonem, powłoką dziewiczéj panieńskiéj skromności, w któréj dojrzewa piękny motyl, mający wraz z kobierca wziąść swój wysoki polot i świetne kolory.

Rozum ten bardzo się łączy składnie i kolligaci z dobrocią serca; a przynajmniéj gdzie jego brak zupełny, tam i o dobroci wątpić należy.

Łagodność i pobłażanie jest jego główniejszym przymiotem. Piérwsza pociąga serca, drugie je zatrzymuje lub odlatujące zwraca. *Zrzędnica*, *złośnica*, *kłótnica*, *zazdrośnica*, nie mają go *spełna*, lub są zupełnie pozbawione tego niebieskiego daru; a choćby która najładniéjszą była, wielbiciele, a co gorsza, wdzięki, nader rychło uciekną od téj znarowionéj twarzy. *Zrzęda* i *kłótnia* wykrzywią jéj usta, wykołaczą ząbki, i głos na fałszywą fistułę przestroją; *zazdrość* pokosi śliczne oczki, a *złość*, paląc nieustannie lica, jaskrawym je na zawsze zaczerwieni rumieńcem; i nakoniec na czole co chwila marszczoném, zastygną marszczki, z których sympatyczne, niewidome jéj saméj, lecz wszystkim bardzo czytelne, przedwcześnie wyformują się gzygzaki, podobne do liter: s. t. a. r...

Dokończ, czytelniku, jeżeliś łaskaw; bo ja nie mam serca.

Liter tych w dojrzalszym nawet wieku nie ujrzysz na czole rozumnéj kobiéty; na czole zawsze pogodném, zawsze wesołém, zawsze miłém; na którém myśli dowcipne, żywe, głębokie nawet, jaśnieją, migocą, przemykają się, nieujęte przymusem, nieobciążone

nudą lub przekorą, snując czarowne wniki, w które wpadamy, i wypłątać się z nich nie możemy, a nawet nie chcemy.

Pragnieszże widzieć ten rozum w praktyce? w pełném rozwinięciu się jego potęgi i delikatności razem? to się staraj być świadkiem, gdy doświaczony, śmiały, rozumny po swojemu, znający, a przynajmniéj mniemający, że zna sztukę podobania się kobiétom mąż, stanie naprzeciw rozumnéj także po swojemu kobiéty, i gdy te dwa rozumy wezmą się na próbę. Dopiéro powtarza się umysłowa walka *Peleja* z *Tetydą.*

„Chce ją nieulękniony syn Eaka pożyć *),
„Chce Tetys złamanego pod swe stopy złożyć."

I szczęśliwsza, a raczéj rozumniejsza kobiéta śmiertelna od nieśmiertelnéj wnuczki Oceanu złoży pewnie przeciwnika pod swe stopy. Uważaj ich wyrazy, odgaduj myśli: bo słowa ich natenczas sprawdzają najdawniejsze owe zdanie starego dyplomaty, że mowa dana jest człowiekowi nie na objawienie, lecz właśnie na ukrycie myśli. Ukrycie to jednak, a raczéj okrycie, jest z przezroczystéj gazy. Rozumieją one dokładnie dykcyonarz synonimów, jakiego używają, zawiązując mowę w światło-ciemne peryody.

Śmielszym krokiem postępuje mężczyzna. Modyfikuje on w prawdzie wyznania; w łagodne i gładkie obwija jedwabie, aby nie raziły od razu; lecz postępując coraz naprzód, dójść chce, choć powoli, do rozpoznania dróg do serca i miejsc doń przystępniejszych; jak wódz dobry (a to porównanie, nieraz już użyte samo się nastręcza, stara się pod ogniem fortecy rozpoznawać jéj wały, i ryć skryte podkopy, w których nagle potém zapali miny.

Ale zgaduje niezbezpieczne zamiary jego przenikliwy rozum niewieści; plącze go jedném słowem we własnych jego sidłach, zrywa je potém, jak pajęczynę, i niszczy od razu skutek długich i pracowitych omówień i wysileń!... a razem nowem słówkiem nadziei nową wzbudzając żądzę, w nowe błędy i w nowe usiłowania wprowadza. Szczęśliwszy w powtórném, trzeciem, czy czwartém natarciu, już ją tak ściśle okrążył, tak wszędzie zaszedł i zaprzeczył wycieczki, że musi nakoniec dać się przeniknąć i przyjąć wyznanie wymagające szczerszego wyrazu. Oh! próżna nadziéja!.... Zna ona, że tym wyrazem musiałaby być albo litość, któréj on wzywa, a którą zje-

*) Zofiówka.

dnawszy, nudziłby ją codziennemi skargami, jak żebrak codzień nowéj proszący jałmużny; albo wzajemność któréj nie ma, i która daleko prowadzi; albo odprawa któréj dać niechce. A tak wylatuje zręcznie z koła, którém on ją okrążył, musnąwszy mu tylko, jak liszka figlarna kitą po nosie — i bywaj zdrów, ścigajże ją teraz. Oto już na lekkich i świetnych piórach unosi się nad tobą... Uklękniesz wraz przed tém bóstwem, któregoś na ziemi ująć i uwięzić nie umiał.

Chcesz-że widzieć ten rozum w dyplomacyi? — obierz cel trudny, a do osiągnięcia konieczny, i oddaj się ładnéj a rozumnéj kobiecie w opiekę. Jeżeli szczérze ci oną zaręczy, cel twój spełniony! W próżni choćby znajdzie ona punkt oparcia się, i mędrsza od Archimeda dźwignie cię w górę. Ludzie nieznajomi tobie, jak samoruchy skrytemi sprężynami nakręcane, chodzić i działać będą dla ciebie; najupartsze podwoje otworzą ci się nawścieżaj, najdumniejsze czoła ugną się przed tobą. A tych wszystkich cudów, którychby tuzin najtęższych głów męzkich nie dokazało, jedna piękna i rozumna główka kobiéty z łatwością trudną do pojęcia dopnie.

Sprawiedliwy jest więc wierszyk w przysłowie już zamieniony:

„My rządzim światem, a nami kobiéty!“

Lecz może poeta rozumiał, że kobiéty siłą swych jedynie wdzięków rządzą nami. Otoż w tém omyłka... bo najpiękniejsza a głupia rządzić tylko będzie albo młodym gapiem, albo starym wyczerpanym ciemięgą; a tacy ichmość, chwała Bogu, światem nie rządzą.

Nie rozumiejmy wszakże, aby rozum ten pozbawiał kobiétę tkliwszych uniesień, lub gasił iskrę uczuć tlejącą bezustannie w sercu każdéj niewiasty, a rozpłomieniającą się niekiedy mocniejszym ogniem w danéj okoliczności i czasie. Nie! Rozumna kobiéta zakochać się może, jako i każda inna, niższa od niéj przymiotami umysłu. Podobać się jéj i wzbudzić w niéj miłość nie jest rzeczą niepodobną. I jakaż to chluba i szczęście!... Lecz im droższy jest to skarb, tém go trudniéj posiąść, Zaklęty on jest głęboko!.... głęboko!!! Nie prawdaż? piękna i rozumna czytelniczko moja! Wyrazów czarnoxięzkich, otwierających doń wejście, niestety! ja nie wiém, i w żadnych książkach nie wyczytałem.

Najwłaściwszym takiéj książki autorem byłaby samaż kobiéta, wydająca dzieło pod tytułem: *O skutecznym sposobie wzbudzenia*

w nas wzajemności. Cóż tu byłoby prenumeratorów!... Lecz czyliż kobieta szczérą byćby tu mogła, gdy własny ich i dobrze zrozumiany interes radzi im ukrywać drogę do ich serca, a puszczać tłumy na błędne manowce, i tylko wybranemu dać nitkę *Aryadny?*

Praktyka więc w téj sztuce idzie dotąd *usu*, to jest, po omacku. [Opisanie takowych praktyk w rozmaitych zdarzeniach ludzkich jest treścią romansów zalewających dziś świat. Z niektórych, jeżeli nie teoryę słuszną, to przynajmniéj po kilka *aforyzmów* wyciągnąćby można. Bodaj jednakże nikt z książki nie gospodárzył, z książki nie rządził krajem, i z książki się nie kochał.]

Lecz aby pewniejszą nieco *definicyą* zakończyć już to opisanie przymiotów, własności i siły tego niewieściego *umu*, téj *potęgi* (boć rozum *potęgą* i mądrzy filozofowie nazywają), o ile z fenomenów, ze skutków, z komparacyj, z prób rozmaitych, sądzić mogę, do składu rozumu kobiécego supponuję, że wchodzą takie i w takiéj mierze *ingredyencye:* weż trzy miarki *rozumu męzkiego* w najlepszym gatunku, dwie miarki *czystéj zalotności*, trzy miarki *dowcipu—misce—fiat*...

Jeżeliby która z czytelniczek moich uznała niedostateczność *preskrypcyj*, niedocieczoną *ingredyencyę* raczy na maryginesie zanotować.

Abym od razu był znowu na tropie mojéj powieści, powiem, że Podkomorzyna posiadała ten rozum w całéj okazałości. Władzą to jego trzymała ona Majora, i siebie nawet, w pewnéj odległości i za pewną granicą, za którą gdyby krok tylko.... jużby on był u nóg jéj, a ona odtrącićby go nie miała siły. Dotąd więc Pan Major był tylko przyjacielem Pani Podkomorzynéj. Nudnaż to rola być przyjacielem ładnéj kobiéty! Jest to być zawsze drugim, jest to być naprzykład *vice-Marszałkiem;* a wiadomo, że nikt nie cierpi tego *v.* malutkiego stérczącego przed swém dostojeństwem; z tą różnicą, że *vice*-urzędnik zastępuje niekiedy samego urzędnika, zaś *vice*-kochanek, czyli przyjaciel, nigdy nie zastąpi samego kochanka, chyba w codziennych posługach robienia dla pani sprawunków za swoje pieniądze.

Stronnik nowéj agronomii Major wywierał wpływ swojego systematu na wszystkich swoich sąsiadów; a u Podkomorzynéj codzienne jego rady i przestrogi do tego doszły stopnia, że mu ona

zupełny ster bezładnego swego gospodarstwa powierzyła; a że miłym jéj prośbom odmówić nie mógł, widział się więc w konieczności przynajmniéj dwa razy na tydzień dać osobiście instrukcye staremu Podpomorzynéj komisarzowi; których gdy ten, uparty przy dawniejszym trybie, nigdy należycie nie spełniał, musiał znowu Major i wykonania onych także osobiście pilnować; a tak jedno z drugiém, dwie części czasu u Podkomorzynéj, a ledwo trzecią u siebie przepędzać. Było to źle i dobrze dla zamiarów jego: dobrze, bo w codziennem towarzystwie miłéj osoby tysiączne znajdował przyjemności, bo co chwila mógł ją o swojem przekonywać przywiązaniu; źle, bo to mało przerywane *razem* przyzwyczajało doń kochankę; a przywyknienie, jeżeli częstokroć zmienia się w miłość, częściéj podobno odejmuje powab nowości, gasi ją niestety! Zsyłam się tu na dowód do wszystkich małżeństw na świecie.

Lecz w śród tych rozmaitych ustępów poznajmy się z jednym jeszcze aktorem téj powieści. Jest to o lat kilkanaście młodszy brat Majora młody Leon; przystojny, dowcipny, pięknie wychowany, pusty i żywy jak dziecko zepsute, pojętny i przenikliwy jak stary jurysta, romantyczny i sentymentalny jak poeta. On sam jeden był pieszczotą i jabłkiem niezgody wszystkich naokoło dziewcząt; on połączonemi talentami rysunku, muzyki i poezyi zawracał ich główki, a ozdabiał imionniki. Major kochał go serdecznie. Leon kochał starszego brata i poważał; a ta *rara concordia fratrum* trwała między niemi w całéj ścisłości, tem mocniejsza, że nawet przy kobiétach wiek braci oddzielał stosowne dla obu działania sfery. Leon uważał Podkomorzynę jako przyszłą bratowę, i prawie nieodstępnym bywał towarzyszem brata w jéj domu; a w chwilach, kiedy zakochani, bardziéj sobą zajęci, zdawali się zbliżać do wzajemnych zwierzeń, w chwilach, w których świadek jest niepotrzebnym i natrętnym; w których wyprawić go nie godzi się, a cierpieć go niemiło; wyrozumiały Leon siadał do fortepianu, brał na nim mocne akkorda, nócił piosnki, lub pędzał kule po billardzie, najsztuczniejszych dokazując dubletów; w innych zaś godzinach bywał najprzyjemniejszym członkiem tego małego towarzystwa.

V.

— Co Pan myślisz robić z takiém mnóstwem kartofli, któréj się spodziewać możemy, patrząc na te długie jéj sznury?—zapytał Pan Mateusz, stary kommisarz Podkomorzynéj, Majora obchodzącego z nim gospodarkę. — Za nieboszczyka Pana zasiewaliśmy jéj ledwo garncy kilkanaście, a najwięcéj kilkadziesiąt; i cała użyła się potém do sztuki mięsa; a teraz nowomodna gospodarka (niech to Pana nie obraża) sprowadzi nas podobno z żyta, a karmić będzie kartoflanym chlebkiem. Dowodzą nawet, że smaczny i wyśmienity; ale niech piérwszym kęsem się udawię, jeżeli go kiedy ukąszę...—

— Nie przeklinaj się darmo, panie Mateuszu! — odpowiedział Major, uśmiechając się z pobłażaniem wkorzenionym uprzedzeniom starego.—Nie przyjdzie do chleba z kartofli, gdy go tak nie lubisz. Przepędzimy kartoflę na gorzałkę.

— Wódka kartoflanka kwaśnieje!—zawołał stary.

— Tém rychléj wypić ją potrzeba będzie—rzekł znowu Major; i poznał po nagłym rumieńcu staruszka że go niechcący obraził: bo pan Mateusz ostatni ten dowód wziął za przymówkę, nie mogąc w duchu zaprzeczyć, że sam jeden we dworze najwięcéj się przykładał do rozchodu *aquaevity.* Nie chciał się jednak zakląć co do wódeczki, jak się zaklinał względem kartoflanego chleba: bo myślał sobie:—nie będę mógł jéj zakosztować?... a jeżeli będzie dobra?... a jeżeli najmniej od żytniej różnić się nie będzie?... oszukam się czasami i duszę zgubię...—Wszelakoż obrażony mruczał krnąbrnie, kiwał głową i szedł niechętnie za Majorem.

„Jakby niewolnik za swym panem gniewnym“ *)

---

*) *A. M.*

VI.

Dysputa i Wyzwanie.

Nastąpić mające przeproszenie ze strony powodowej, przerwała Podkomorzyna idąca z Leonom na sąd Majora w dyspucie, ale zupełnie innéj treści.

— Tak—mówiła ona, kontynując zaczętą rozmowę — lubię romanse, które staremi nazywacie, a które wyszły już z mody: bo prawdziwa czułość, bo cześć, bo poświęcenie się rycerskie bez granic dla cnotliwéj miłości, wyszło z serc i z obyczajów. Czytając romanse dawniejsze, żyjemy wprawdzie w świecie urojonym, w zachwyceniu sentymentalném; lecz żyjemy z istotami doskonałymi, przenikąmy się roskoszą, jakiéj doznają serca głęboko dotknięte i oderwane od téj nędznéj ziemi, do któréj się tak niechętnie wraca!...

— Tak, tak—przerwał Leon—czytelnik uniesiony natenczas romantycznie i sentymentalnie, a wracający potém niechętnie do ziemi, daruj Pani, podobnym jest do szlachcica, który ze wspaniałego i zbytkownego pańskiego obiadu musi wrócić do swego codziennego barszczu, który, acz zdrowy i wyśmienity, nie smakuje mu po łakociach, choć mu jest zwyczajną strawą, na któréj przestać powinien.

— Liche porównanie, Leonie! jako i wielka część waszych romansów, których ważniejsze sceny, częstokroć w karczmach lub na rozdrożach, między podłym motłochem się odbywają.

— Alboż tam w życiu pospolitém bywać częstokroć nie zmuszeni jesteśmy? alboż wszystkie wypadki onego nie zależą od osób rozmaitych klass towarzystwa nas otaczających? Powieść więc, romans, dramat, jest właśnie obrazem życia. Aby więc był prawdziwym, musi wszelkie osoby i kombinacye w rzetelnym i prawdziwym, a przynajmniéj prawdopodobnym oddawać stanie. i świetle. Ztąd wniosek...

— Cóż na to? Majorze! — przerwała wzajemnie Podkomorzyna, widząc, że Leon na długą dyssertacyę zakrawa. Przecież do twojego przychodzimy sądu.

— Nie jestem autorem, więc, zdaje mi się, nie jestem i sędzią właściwym.

— Owszem — rzekł Leon — sąd o autorach do czytelników należy, tak, jak wyrok o aktorach do parteru.

— Idzie tu, jak uważam, Państwu—mówił więc obrany na sędziego Major—nie o autorów w szczególności, ale o wartość i różnicę dawnéj i nowo rozwijającéj się szkoły romansowego pismiennictwa. Każdy tu i wszędzie sądzi podług wrażeń, jakich w czytaniu doznaje, a te znowu wrażenia wynikają nie tak z treści pisma, jak raczéj i najczęściéj z usposobienia czytelnika. Tkliwe serce Pani, nawykłe do miłego jednoczenia się z osobami i wypadkami unoszącemi wyobraźnię, a rozrzewniającemi głęboko duszę, nie podoba sobie w opisach i scenach wybitniejszych a pospolitszych, w których siła przemaga, w których więcéj czynu niż uczucia, podobniejszych do praktycznego życia, a zatem upodobańszych nam, którzy właśnie tém życiem żyjemy.

— A więc do waszego praktycznego życia nie wchodzi ani czułość, ani tkliwość serca?

— Ach! Pani! wchodzi miłość, na szczęście czy na nieszczęście nasze; wchodzi najczynniej, i rozbudza wszystkie władze duszy, i czułość i tkliwość; słowem, robi nas sposobnemi ku najwyższym zapałom i zdolnemi na bohaterów romansowych. Wszelakoż, Pani, gdy mam bez żartu powiedzieć moje zdanie o romansach, i rozwiązywać spór Państwa nie uczonemi wywodami, bo na nie się nie zdobędę, ale prostém mniemaniem, za piérwsze więc twierdzenie i fundament zakładam to, że romans jest obrazem życia, jak mowa jest obrazem myśli. Życie zaś nasze, w całéj swéj szérokości brane, ani jest ciągle zalane łzami, ani ciągle uniesione, nadziemskie, duchowe. Autor więc kłamie dziełu boskiemu, gdy rozwodząc zeń dramat, obiera je z najpiękniejszych ozdób, to jest, z chwil szczęścia, radości, wesela i ukontentowania; lub z chwil spokojnych, cichych, błogich, jednoczących człowieka z sobą samym i z naturą; lub téż z energicznych popędów, męzkim zapałem pchnących go na rozdroża; z chwil nakoniec błędu i śmieszności, tak właściwych słabemu rozumowi ludzkiemu, pnącemu się zawsze nad swoję sferę i siłę; słowem, z tego wszystkiego, co nie jest jękiem, wzdychaniem,

płaczem lub tęsknotą. Szukać on powinien na świecie i między ludźmi *prawdy* w czynach ludzkich, w czynach mądrości lub głupstwa, zapędu lub umiarkowania i rostropności; charakterów wydatnych w jednym lub drugim względzie, i przyczyn całéj plątaniny towarzystwa; słowem, *prawdy* duszy, serca i namiętności, złączonych w *prawdzie* codziennego życia, a służącéj za dowód, (na coby autorowie najpierwszy wzgląd mieć powinni), że *cnota* jest także *prawdą*...

— Być może i prawdą, co mówisz, Majorze!—rzekła Podkomorzyna—ale mi się to zdaje zanadto zwięzłe, zawikłane, ogólne i dwuznaczne, a zatém nierozwiązujące naszéj dysputy: bo twój wyrok do własnych wyobrażeń obie strony zastosować moglibyśmy; przecież to zeń tylko wnieść mogę, że w twojém mniemaniu każdy dzień życia naszego mógłby być treścią romansu, powieści, lub innego tytułu dzieła w takim rodzaju.

— Życie powszednie, pospolite, swobodne od burz miotających na świecie losami ludzkiemi—odpowiedział Major—mało wprawdzie podobném jest do jakiegokolwiek opisu; ale życie wewnętrzne, z niém połączone, taki mu interes nadać może, takim przywiązać urokiem, że najmilszą a czystą i łagodną roskoszą napełni czytelnika. Bo w tém życiu wewnętrzném, spokojnego choćby poczciwca, kopiącego szczupłą grzędę karmiącéj go ziemi, ileż bywa codzień uczuć, walk, smutków, roskoszy, uniesień, śmieszności niekiedy, które, wynurzone na jaw, w skutkach i czynach z sekretu wydane, nie jedną zacną, treściwą, a przyjemną i pożyteczną wysnułyby książkę. Ale na to potrzeba talentu...

— Na to potrzeba wszystko to z nóg do głowy przewrócić—odezwał się głos chrapowaty, przerywając perorę Majora.

Obrócili się wszyscy z podziwieniem, i postrzegli głowę Pana Mateusza wytkniętą przez zadymione okienko z gorzelni, i powtarzającą też same słowa. Podczas bowiem nieinteresującéj go sprzeczki o romansach, Pan Mateusz wszedł do gorzelni, do któréj groblą po nad stawem cała kompania się zbliżyła; i tam odbywszy jeszcze gorętszą dysputę o pędzeniu wódki z kartofli między sobą, jako Komisarzem staréj daty, i sobą, jako nowym agronomem, skonkludował na wniosku, który w uniesieniu przekonania wykrzyknął przez okienko.

Major wytłómaczył Podkomorzynie powód swéj z Panem Mateuszem sprzeczki, i wszyscy razem weszli do gorzelni.

Znaleźli tam starego łażącego po naczyniach i rusztowaniach, i rozrzucającego wszystko.

— A cóż tu dokazujesz? Panie Mateuszu!—zapytał Major.

— Stosuję wszystko do planów Pańskich—odpowiedział on tonem oznaczającym niewygasłą jeszcze urazę.

— Czyż plany moje każą wszystko rujnować i niszczyć?—rzekł Major, umykając od beczki, która, zepchnięta nieuważnie z góry przez Pana Mateusza, toczyła się doń z impetem.

— A jużciż na kartoflankę potrzeba innego przyboru, czy, jak Pan zowiesz, apparatu, który widziałem we własnéj Pańskiéj gorzelni. Kocioł ten nawet, w którym Pan przed kilkunastą laty siedziałeś, na banię przerobić wypadnie.

— Jak to, ja w tym kotle siedziałem?—zawołał zdziwiony Major.

— A siedziałeś. Przypomnij Pan sobie. Nieboszczyk Jegomość odkupił go wnet po awanturze Pańskiéj od stryjaszka Pańskiego, także już nieboszczyka—niech w kotle... tfu! chciałem powiedzieć: w niebie — spoczywają obadwaj! Dno tylko kilka razy odnowiłem, a boki też same.

— Prawda, prawda—rzekła śmiejąc się Podkomorzyna. Pamiętam ten twój kłopot, Majorze!

— Z którego, nie chwaląc się—dodał Pan Mateusz—ja, jak mogłem, wydobyłem Pana natenczas; a za to teraz.... ale gdzie wdzięczność na tym świecie?

— Pamiętam i ja—mówił także Major.—Jeżeli to ten sam kocioł, powinienbym go od Pani na pamiątkę odkupić. Śmieszne zdarzenie!—mówił daléj Major.—Nieraz, opowiadając je późniéj kollegom, i niedawno Leonowi, sam się naśmiałem. Ajednakże wpłynęło ono na los mój, i na kilkanaście lat późniejszych mego życia.

— Jak to być mogło? — zapytała zdziwiona Podkomorzyna.—Dotąd tego nie wiedziałam.

— A przecież najważniejszą mego natenczas postanowienia pobudką, było uczucie moje dla Pani!

— Jeżeli tak jest—rzekła ona, nie zważając jakoby na ostatnie słowa Majora—jeżeli to zdarzenie śmieszne wpłynęło na kilkanaście lat życia Majora, więc Leonie, oto gotowa treść do romansu w waszym teraźniejszym rodzaju. Stwierdź przykładem swoje rozumowania, napisz przynajmniéj powiastkę ze zdarzenia twojego brata, a może mnie nawrócisz do swojéj szkoły. Inaczéj, Panie, nie mam przekonania, a zatem i trwam przy swojém. Choćbyście mnie upartą

ogłosić mieli, nie będzie, to nowe płci naszéj oskarżenie. Cóż na to? Leonie! Milczysz, więc przyjmujesz wyzwanie!

— O, nie, wcale nie. Na ten raz nie bierz Pani milczenia, za zgodę—odpowiedział Leon.—Nie mam ja talentu autorów, których bronię; a z nich żaden podobno nie utworzyłby choćby tylko powiastki ze zdarzenia nader błahego i z rzeczy nic nieznaczącéj.

— Jak to nic nie znaczącéj? Alboż nie wpłynęło, jak sam wyznaje, na los Majora? Więc z małéj przyczyny wielki skutek. A w twoim ulubionym *Fieldyngu* *), w twoim *Lesażu* **), w twoim niewyczerpanym bałamucie *Piganult'cie* ***), (autora Wawerleja, który wszystkie zdania pogodził i zjednoczył, jeszcze widać nie było), nie znalazłażbym scen równie błahych i śmiesznych, a przecież, jak mówicie, malujących prawdziwe czasy i obyczaje? *Z niczego o wszystkiém!* to mi to sztuka! a podobno moda i godło dzisiejszych gienjuszów. Wszakże tylko-co mi prawił Major jak z katedry, że autor szukać powinien prawdy we wszelkich czynach ludzkich, w czynach mądrości lub głupstwa, i przyczyn całéj plątaniny towarzystw. Owoż gotowa przyczyna, która zaplątała życie jego, przyczyna z życia pospolitego, które z życiem wewnętrznem połączyć łatwo możesz. Jednem słowem, nie ustępuję ani kroku, i oto masz moje *wyzwanie.*—

To mówiąc, zdjęła rękawiczkę i rzuciła ją przed Leona. Korzystając ze zręczności i straciwszy z uwagi cel dysputy, Major ujął piękną rączkę wdówki i całował serdecznie. Leon dumał, czy ma podjąć rękawiczkę, a tem samem przyjąć powinność autorską? Czuł on, że Podkomorzyna walczyła z niemi własną ich bronią; a niebardzo mu się chciało okazać się niezdolnym do napisania choćby tylko powiastki.

Podkomorzyna zaś, przybrawszy ton i postać heroiczną, rzekła:—Obyczajem dawnego rycerstwa, którego dzieje i tkliwych dziejopisów uwielbiam, wyzywam cię Leonie, na stwierdzenie dowodem zarzutów, któreś głosem i słowy ważył się przeciw nim objawić. Zakład mój leży przed tobą. Ośmielże się go podjąć?

Leon jeszcze rozmyślał, i milczał na kilkakrotne:—No i cóż?—wyzywającéj; gdy brat jego, od którego odjęto już długo pieszczoną

*) Autor *Dom Dżona.*

**) Autor *Gilblasa.*

***) Autor wielu romansów francuzkich.

rączkę, zawołał: — Damyż się zwyciężyć? Leonie! Czyż ani kropli nie znajdziesz w sobie dowcipu na obronę własnego zdania? To być nie może!

— Pani! mówił więc Major — gdy niespodzianie twoje natarcie tak ogłuszyło Leona, że stracił zaufanie we własnych siłach, i gotów wydać na sztych reputacyę własną i przenajsławniejszych wieku naszego autorów, przeto ja, wspomagając go w téj niezbezpiecznéj dlań chwili, w jego imieniu przyjmuję wyzwanie, podnoszę zakład, i wzajemnie ogłaszam, że placem popisu będzie salon Pani, a czasem, godzina jutrzejsza ranna dziewiąta. Lecz gdy Leon spełni warunki zadania, sprawiedliwość każe dodać, że Pani wyznać się będziesz musiała zwyciężoną, i uledz zupełnie zdaniu naszemu co do romansów; a nawet spełnić warunki honorowego wynagrodzenia, jakie zwycięzca przeznaczyć raczy.

— Amen!—rzekł z uśmiechem zamyślony dotąd Leon.

— Nie! o, nie! nie zgadzam się! — zawołała Podkomorzyna — wolę zrzec się zakładu; albo raczéj zgadzam się na honorowe wynagrodzenie, ale dla obrażonych przeze mnie autorów: kupię ich wszystkie dzieła podług katalogu przez Leona ułożonego, i przeczytam. To, zdaje mi się, dosyć!

— Jak będzie, to będzie—rzekł Leon.—Obaczymy jutro, co się komu należy, i co się komu wynagrodzi. —

Spójrzała nań przenikliwie Podkomorzyna, chcąc się domyślеć jego projektu; zadawała kilka rozmaitych pytań; lecz gdy żadne się nie powiodło, więc odłożywszy rzecz całą na jutro, wesoło wszyscy do wieczerzy zasiedli.

VII.

Powieść Leona.

Nazajutrz rano zastawiono w sali kipiący samowar. Piękna gospodyni, od kwadransa oczekując swych gości, przyrządzała herbatę. Wszedł Major, a po niejakim czasie i Leon. Z oczu i cery znać było niewyspanego; ale w ręku trzymał zwój papieru, dowodzący, co go przez noc zajmowało.

— Punkt dziewiąta!—rzekła Podkomorzyna (bo właśnie wybiła na zegarze). To mi rycerska słówność. Zacznijmyż od śniadania — i podając mu szklankę herbaty — Jakiż tytuł Pańskiego dzieła? — zapytała.

— Żadnego dotąd — odpowiedział nowy autor. — Ponieważ Pani z bratem moim jesteście bohatérami téj powieści, więc, własnym dziejom nadacie, jeżeli zechcecie, i jakie zechcecie imię. —

— To szczególniejsza! A dewiza? czy tam godło? —

— A to na co? —

— Jakto na co? Czyż w każdym prawie nowym romansie nie znajdujemy nietylko na początku, ale i nad każdym rozdziałem, kilku i kilkunastu wierszy? Jest to zwyczaj wyborny; jest to jak uwertura przed zaczęciem melodramy, która duchem muzyki obwieszcza treść sztuki. —

— Jeżeli autor przedsięwziął jaką prawdę moralną dowodzić w czynach — odpowiedział Leon — natenczas dobrze robi i właściwie, gdy cel swojego dzieła kładnie widomie i oczywiście na początku; zwłaszcza jeżeli wątpi, że układem i rzeczą objawi go i wyjaśni należycie; lecz taka potrzeba wątpię, aby do każdego rozdziału nieodbitą była. Jest to więc próżny literacki zbytek; jest to jak pozłota na oprawie książki, niedodająca ani mocy oprawie, ani zalety dziełu; a jeszcze pospolitszém porównaniem, jest to jak kieliszek likieru przed obiadem. Smaczny bywa wprawdzie, zaostrza jakoby apetyt; lecz nie potrzebny jest, gdy obiad dobry: bo on sam go obudzi; niepotrzebny takoż, gdy obiad niesmaczny: bo go nie naprawi.

— A więc bez dalszych dysput i wstępów słuchamy Pańskiego dzieła — rzekła Podkomorzyna.

— Dobrze—mówił Leon, rozwijając rękopis—Zamawiam pobłażanie i cierpliwość słuchaczów do końca bez przerywania: bo jeżeli przerywać będziecie... —

— Ach! nudzisz już, Leonie! — odezwał się Major. — Wątpliwie cóś i nieśmiało występujesz w szranki. Zaczynaj!—

Leon więc czytał co następuje:

„Nadchodziły przenosiny nowo-złączonéj pary Państwa Hrabiów Z... w Gwiazdowie. Dostatek młodego, zwiększony znacznym, a co najbardziéj brzęczącym posagiem młodéj; chęć jéj świetnego

okazania się raz piérwszy w sąsiedztwie, którego odtąd wzorem i celniejszą miała być ozdobą; wzajemne przygotowania wszystkich na mil kilka w około mieszkających sąsiadek do wystąpienia jak najwytworniéj w toaletach, ekwipażach, liberjach etc.; wszystko to obiecywało taki obchód, jaki, niestety! coraz rzadziéj się wydarza. Stanowi on zawsze pewną epokę w okręgu, w którym zaświeci; a mnóstwo pamiątek miłych i niemiłych doń się uwiązując, długotrwałą zapewnia mu sławę."

W Stawiszewie wszystko było gotowo, prócz sukni, którą o mil kilka w miasteczku powiatowém biegła w strojeniu płci swojéj dama, dawno już uszyć była powinna. Dwóch do niéj za wiedzą jegomościa, trzech mimo wiedzy jego biegało posłańców, których, to skutkiem niecierpliwości swojéj, to z nowémi informacyami posyłała Szambelanowa. Nakoniec trzeba było posłać ostatniego po odebranie już skończonéj roboty i dostawienie jéj w całości na miejsce przeznaczone, to jest, na nieszpetną figurkę młodéj stryjenki Adolfa.

Lecz możnaż było skład tak drogi, tak delikatny, powierzyć prostemu z wioski pieszkowi?—nie podobna! Prosić męża o wysłanie którego z wyższych oficyalistów, licząc od lokaja do prowentowego pisarza, prosić męża... trochę ckliwo... On dziś w złym humorze... Jednakże trzeba się odważyć. Więc z minką wdzięcznopokorną szła, jak pokusa, do męża Szambelanowa.

Przy samych drzwiach zeszła się z zamyślonym Adolfem, w tęż samą stronę idącym.

— Dokąd? Adolfie!—

— Do stryjaszka.—

— A po co?

— Mam doń maleńką prośbę.

— Prośbę! Łatwiéj się skutek na jedną, niżeli na dwie razem otrzymuje prośby—pomyśliła Podkomorzyna.—Wiész co? *mon cher!* odłóż to...—

Wtém niespodzianie wyszedł Szambelan, i postrzegłszy niejakiś ambaras w postaciach i twarzach obójga, zapytał: o co idzie? a nim odpowiedzieli, zadzwonił na lokaja i kazał mu zawołać pisarza, dodając, że ma go wysłać właśnie do tegoż samego miasteczka, do którego żona i synowiec trafiać zamyślali; lecz jakże w odmiennym celu!

Słysząc to Adolf, zaproponował siebie na zastępcę mającego się wysłać sługi, i pytającemu się stryjowi o przyczynę, odpowie-

dział szczérze, że ma zrobić sprawunki i odebrać nowy frak na przyszłe w Gwiazdowie przenosiny.

— Ach! to wybornie się składa!—dodała z radością stryjenka—pojedziesz na miejscu pisarza, kupisz co ci potrzeba, i moję odwieziesz mi suknię: bo właśnie miałam prosić męża, o posłańca dla sprowadzenia już dawno gotowéj; a teraz przynajmniéj będę spokojna, że mi ją niepotartą odwieziesz.—

Ach! bo piękna stryjenka była pewna, że nadto może jak na synowca przywiązany Adolf szanować będzie jak relikwie jéj sukienkę.

— Autorze! przesadzasz — przerwał Major.

— Nie, nie — rzekła Podkomorzyna. Wiedziałam ja dobrze, że Pan Adolf, sypiąc mi dusery, jak karmelki, zawsze dobry ich zapas dla swéj stryjenki chował.—

— Co też Pani mówi? Mogłemże...—

— Dość, Majorze! nie przerywajmy. Daléj, Leonie!—

Jak relikwje jéj sukienkę (kontynuował Leon).

— Ale co wam w głowie? Jak się Adolf zabierze, a bardziéj jak wróci, na furmance prostéj, która przywieść koniecznie musi wielki kocioł do mojéj gorzelni? Pisarz prowentowy pomieści się jak będzie mógł; ale Adolf...—

Tę zrobiwszy uwagę, wyszedł na chwilę Szambelan; Adolf zaś myślał, jakby wyglądał w kotle, gdyby go jacy znajomi, lub, co gorsza, znajome spotkały?

— Cóż Adolfie! to ty nie pojedziesz?— odezwała się stryjenka do zamyślonego.

— Jakże jechać? Mniejsza o niewygodę, ale miarkuj stryjenko powrót jaki? w kotle! (i rozśmieli się oboje). Gdyby mnie kto spotkał...—

— Wiesz co?—rzekła po krótkim namyśle dowcipna stryjenka—oto tak; wybieraj się ztąd powoli, zamarudź aż pod wieczór; na dobréj trójce równo ze dniem staniesz na miejscu; przez cały dzień tam zabaw się; prześpij czas który ci od sprawunków zbędzie; i znowu zmrokiem wyjechawszy z miasteczka będziesz z nami razem pił herbatę w Stawiszewie, którą ci sama w nagrodę fatygi naleję. Zresztą jeżeli i porzucisz na miejscu to przeklęte kotlisko, cóż tam wielkiego? Pogdéra trochę stryjaszek, przeprosimy go, i koniec.— Do tych propozycyj dodała najważniejszy argument, to jest, tak piękne, tak urocze spójrzenie, że mu Adolf sprzeciwiać się nie zdo-

łał... Spójrzenie to błędne... przymglone... a jednakże długie i niebezpieczne... leżało jeszcze na zarumienionêm licu Adolfa, gdy wrócił nagle stryjaszek i.... dostrzegł tego spójrzenia."

Tu Podkomorzyna zwróciła oczy na Majora... Czyż były takie, jak niegdyś stryjenki?... Były równie piękne, ale patrzały weseléj i szczerzéj.

Dodała potém, uśmiechając się: — Autor zaczyna połączać *życie powszednie*, *pospolite*, *z wewnętrznêm;* sprawdza swoję teoryę. —

Major pokręcał głową.

Leon czytał daléj:

„Pan Adolf, dwódziestoletni panicz, skończywszy szkoły"...

— A to, widzę, zaczyna się moja biografia — przerwał znowu Major — słucham.—

„Skończywszy szkoły i otarłszy się koło uniwersytetu."

— Co to znaczy: otarłszy się koło uniwersytetu? — wrzasnął Major. — Autorze! niech cię miljon!... Przepraszam Panią, ale poszarpię tę jego ramotę, jeżeli mię tak pod różnemi względami potwarzać będzie. Przecież lat dwa słuchałem Śniadeckiego, Stubilewicza, Jundziłła, i innych; a jeżeli przytém nie zaniedbywało się wesołych a przystojnych zabaw, teatru naprzykład, wieczorów, kasyna, to dla odświeżenia spracowanego umysłu... —

— Długoby o tém mówić, jak się za czasów twoich przykładała młodzież do nauk; jak się potém, za sprawą jednego, w pilną się i przykładną przemieniła. Treść to kiedyś do poważniejszego dzieła. Nie przerywaj mi jednak. [*Finis coronat opus;* to jest, Pani Dobrodziejko: koniec wieńczy dzieło;] a zatém niech Pani nakaże milczenie memu bratu do końca; potém zaś choćbyście i spalili ramotę całą, ani ja, ani potomność gniewać się nie będziemy. —

„Otarłszy się koło uniewersytetu, (Major milczał już, ale się marszczył), Pan Adolf przybył do rodziców na parę miesięcy wolnych od nauk. A gdzież je lepiéj i weseléj mógł przepędzić, jak u bezdzietnego stryjaszka, który go lubił? jak u młodéj stryjenki, którą on lubił? jak o mil parę od pięknéj Zosi, w któréj się kochał od dzieciństwa"....

— Autorze! — przerwała teraz podkomorzyna — bajki prawisz.—

— Owszem, prawda, i najprawdziwsza prawda! — zawołał z zapałem Major.

— No, już mniejsza o to — rzekła śpiesznie Podkomorzyna, uląkłszy się uniesienia Majora — słuchamy.—

„W której się kochał od dzieciństwa. Jakoż wnet ruszył do Stawiszewa; i przybywszy, odesłał konie do domu: stajnia bowiem stryjaszka była na jego rozkazy: jezdny kasztanek do wystąpienia do Zosi, stępak do polowania, i drążki do spaceru ze stryjenką.

Nie odmówiłbym i teraz stryjaszek porządniejszego ekwipażu; a wróciwszy do pokoju, właśnie gdy miał mu to powiedzieć, trafił i ukłół się, jak szydłem w worku ukrytém, owym wzrokiem żony zawisłym na Adolfie.... a lubo ona wnet się postrzegając, zwiodła zeń uroczą źrzenicę, jednak obudziła się w nierównowiecznym małżonku maleńka podejrzliwość, którą nieuważnie znowu podrażniła żoneczka mówiąc:

— No, mężu! Adolf zdeterminował się choćby już i na niewygodną podróż, bo to jest koniecznym moim interesem; i tak być musi—dodała jeszcze z tajemniczym uśmiechem, który wpadł także do serca mężowskiego i trącił je niemile.

— Ha! jeżeli tak jest — odezwał się po krótkiém zastanowieniu Szambelan — to i dobrze. Niebawiąc nadejdzie furmanka. — I wywyszedł z zachmurzoném czołem, wzajemny podobnież naprzeciw projektom Adolfa i żony, których się domyślił, uknować spisek; a które nie inne były, jak porzucić kocieł na miejscu, a odwieźć niepotartą sukienkę stryjenki.

— Stryjaszek podobno się gniewa.—

— Bądź spokojny — odpowiedziała. — Poczciwa to dusza. Kocha ciebie i mnie trochę lubi, więc długo gniewać się nie będzie. Tymczasem chodź do ogrodu — dodała, uderzając go figlarnie po ramieniu.—Uzbieramy ci zapas na drogę: a prócz tego ja sama pomyślę o twéj wygodzie tam na miejscu.—

Jak wirtuoz podoba sobie niekiedy, probując biegłości swego talentu i na nieogranym instrumencie, tak młoda i ładna kobietka lubi niekiedy probować mocy swych wdzięków na sercach młodzieńczych, nie mogących jeszcze rozróżnić pozoru od prawdy, i ulegających z równą szczérotą i pozorowi i prawdzie. Stryjenka małéj téj igraszki dopuszczała się z sercem tkliwém synowca: Jéj maleńkie i jakby poniewolne względy, pokrewieństwem spowodowane i okryte, jéj kapryski i pojednania, jéj rozkazy i podzięki, łudziły Adolfa, wtrącały się w jego uczucia; i zwiewały z serca jakby nagłém zdmuchnięciem czysty płomień dla Zosi tam gorejący, tak dalece, że omamiony nie wiedział on w takich chwilach, w któréj się z nich kochał.“

— Doznałeś sam bez wątpienia takich chwil, Leonie! — rzekła Podkomorzyna.—Ten mały rys twój zalotnictwa naszego, a słabości i wiary waszych głów i serc młodych, słabości, która im tyle częstokroć udręczenia przynosi, tak mi się zdaje prawdziwym, żeś go nie inaczéj jak z własnego doświadczenia napisał; bo inaczéj byłby to rozum nad lata.—

Leon się uśmiechnął.

— Rys ten jego — rzekł Major — może być i prawdziwym w ogólności, ale w zastosowaniu do mojéj biédnéj, w kwiecie wieku zgasłéj stryjenki, nie jest takim. I doprawdy, Leonie, gniewać mnie zaczynają twoje, uwagi, i ta *licencia* autorska, któréj nadużywasz. Zkąd wiadomość o moich wątpliwych uczuciach? po co uszczypliwe wspomnienia osoby już dawno nieżyjącéj? *De mortuis aut bene*, *aut nihil*, Panie Autorze! —

— Ciągle mi przerywasz — odpowiedział Leon — i jeszcze wtrącasz zdania, którym z przekonania zaprzeczyć muszę. Nie wiém, kto piérwszy tę twoję *sentencyę* powiedział; ale gdyby w nią tak wierzono i spełniano jak powtarzają, historji natenczas, alboby zupełnie nie było, alboby tylko była nieprzerwanym panegirykiem tak złych, jako i dobrych czynów i ludzi. Mówić przykrą prawdę o żyjących rozmaite częstokroć bronią względy; ale o umarłych potrzeba mówić jak zasłużyli, właśnie dla nauki żyjących.—

— Ani twoja powieść jest historją, ani moja stryjenka osobą historyczną—odpowiedział uśmiechając się Major.

— Dla tego też właśnie nie stosuj do niéj zdań wysokich, któremi mię tylko z drogi sprowadzasz. Czemu nie możesz słuchać mojéj powieści jakby zupełnie dla ciebie obcéj?—

— A to mi wyborna perswazja! Pisze o mnie, i chce mi wmówić, że to nie ja. Daruję to wszystko młodości twojéj. Czytaj daléj.

„Już droga połowa pięknéj sierpniowéj upływała nocy, gdy Adolf mijał zdaleka mieszkanie swéj ulubionéj Zosi, wlekąc się po błotnistéj grobli trzema nędznemi podjezdkami. Niecierpliwił się dotąd swą powolną podróżą, bo widoczném było, że nie w nocy jak stryjenka projektowała, ale ledwo około południa stanie w miasteczku. Przeklinał ekonoma, że mu tak słabych koni i nieobrótnego głuptasa dostarczył na furmana, którego i łajał, i dawał półzłótki i prosił, aby jakkolwiek pośpieszał. Ale gdy ujrzał dach, pod któ-

rym Zosia spoczywała, dozwolił wlec się najpowolniéj wychudłym szkapom, a sam w romansowe uniósł się dumania.

Poezjo! serc czułych opiekunko! kochanków oratorko i utrapionych pociecho! tyś na promieniu rannéj jutrzenki spłynęła na kałamaszkę Adolfa; tyś go natchnęła. Twoje on słowa godząc z własném uczuciem, takie dla swéj lubéj układał *dzień-dobry:*

„Spoczywaj, o bóztwo drogie!
Niech myśl jak motylek złoty,
W uśpionéj igrając duszy,
Słodko serce twoje wzruszy
Obrazem rajskiéj pieszczoty!

A gdy piérwszy promień zorzy
W piękném oku twojém błyśnie,
Niech na piérwszą myśl się wciśnie
I piérwszy obraz utworzy
Wspomnienie!.....

Albo raczéj niech ot właśnie,
Niechaj piorun w dom ten trzaśnie!....

Płomień w jasne wionął kłęby,
Oblał dachy i ścian zręby,
W dymie światłość dnia zgaszona.
Przebóg! gdzież ma ulubiona?...
Nie masz jéj!... W płomie się rzucam,
Znajduję martwą; ocucam;
Przez płomienia jasne kłęby,
Przez oblane ogniem zręby,
Przez duszący pożar srogi,
Dla jéj życia gardząc swojém,
Na mém sercu, na mém łonie
W bezpieczne niosę ustronie,
I nad czystym składam zdrojem!!!
Jeszcze martwa—jeszcze blada...
Lecz pomału twarz dziewicy
Iskrę życia zapowiada.
Omdlałe cucą się zmysły...
Pierś obudza się westchnieniem...
Głos się tłumi rozrzewnieniem...
I w zroszonéj łzą źrzenicy
Wdzięczność... i... miłość zabłysły.“

— Dla Boga! Majorze! — rzekła śmiejąc się podkomorzyna — jaki niebezpieczny dowód miłości dać mi chciałeś! Życzyć mi nieszczęścia... —

Major uśmiechał się także, pokręcił palcem na czole, i wskazał na brata.

— Nieszczęścia? — odezwał się ten. — O, nie! wcale nie! Ale życzył Adolf, a przynajmniéj życzyć natenczas mógł sobie szczęścia stania się wybawicielem swéj ulubionéj. Jest to tak zwyczajna chęć młodych, tak ją sam często miewam, (jeżeli Pani chcesz szczerego wyznania), że i on ją mieć musiał. Przypuszczam więc to, co jeżeli nie było, to być było powinno. Jest to symptomat prawdziwéj miłości, poświęcającéj ochotnie i bez namysłu życie dla pozyskania choćby jednego tylko spójrzenia kochanki! miłości rycerskiéj. Podkomorzyno! nie prawda? a nawet nieurojonéj: bo sprawiedliwie mówi Pani Stael w którymś ze swoich romansów, że w opisaniu miłości piérwszéj a prawdziwéj przesadzić nawet niepodobna. Nie prawdaż, Adolfie, że twoja była taką?... —

— Ach! prawda! prawda!... — wykrzyknął on znowu.

— A więc odkręć palcem na czole. —

— Tak! — mówił z zapałem Major — poświęciłbym i wtenczas i teraz... —

— Cóż daléj? — przerwała znowu zakłopotana Podkomorzyna. — Ej bo ta twoja powiastka!... Czytajże już przynajmniéj. —

„Przybył więc Adolf do miasteczka. Wraz na początku stała wielka karczma, otwarta jak paszcz smoka, mająca połknąć każdego przybywającego. Konie, postrzegłszy ją zdaleka, ostatnich sił dobyły i rzeźwiéj pomknęły; gdy nagle we wrotach zjawił się żyd, i rozkrzyżowawszy ręce, krzyczał: — *Tu kamedye! tu kamedye! Nie można! nie można!* — Ale trójka, upragniona odpoczynku, leciała pędem; żyd ledwo mógł umknąć z drogi, a zdziwiony Adolf wjechał kałamaszką na parter“...

— Koniec rozdziału piérwszego — rzekł Leon, składając rękopis.

Słuchacze zdawali się namyślać nad recenzją; ale Leon nie dał im czasu do wymówienia, co myśleli; bo ledwo Major rzekł — Panie Autorze! twoja powieść ma cóś niedojrzałego — gdy Leon zaczął rozdział drugi.

VIII.

Trupa Błędna.

„Serce, które prawdziwie swoje więzy czuje,
Tyle zna miłość ważną, że z niéj nie żartuje;
Owszem, nią zaprzątnione, nią całe zajęte,
Czci ją tylko westchnieniem, jako bóstwo święte.”—

„Deklamowała na scenie, to jest, na rusztowaniu z tarcic na łokieć od ziemi podjętém, młoda i ładna kobiétka.

Posłyszawszy wiersze z komedyi Zabłockiego: *Fircyk w Zalotach*, w któréj rolę Fircyka grywał po kilkakrotnie na amatorskim teatrze w Zaborzu, i zgadując, że trafił na próbę, Adolf w dwóch susach prosto z kałamaszki był już obok niéj, i z żywém uczuciem, tak jak rola wymagała odpowiedział:

— Czy tak? Nic łatwiejszego! Wyroki twe cenię;
Kończę żarty, i czułe zaczynam wielbienie.
Masz mię Pani dla siebie odtąd hołdowniczym;
Lecz gdy stracę wesołość, zostanę przy niczém.
Ten tylko miałem w resztkach majątek na zbycie.
Żądasz więcéj? mam jeszcze krew w żyłach, mam życie.
Lać ją będę do kropli, ważę się na wszystkie
Razy śmierci, harmaty, spisy, kordy płytkie,
Niech będę postrzelany, skłóty zdratowany,
Dość szczęśliwy, jeżeli od ciebie kochany...
Na co żebym zasłużył, niechaj moję Panię
Zniewoli to najżywsze rąk ucałowanie!...
Niech mi wolno ssać słodycz z téj śliczniuchnéj dłoni.—

I stosownie, jak mówił, całował piękną rękę Podstolinéj (będę ją bowiem nazywał imieniem jéj roli).

Umykając powolnie rękę, i wpatrując się w nowego aktora, a przystojnego chłopca — Cóż to jest?...— rzekła ona z zadziwieniem.

Adolf znowu:

— Uważam? Pani wstydem płonie?
Cóż w têm złego? Uczciwe godzą się zaloty!—
— Nie godzą się! Tak tylko postępują trzpioty!—

rzekł, rozsuwając z gniewem Fircyka z Podstoliną mężczyzna w szaraczkowym fraku, podżyły, porządnéj tuszy, nizki, łysy, i w jednéj ręce trzymający perukę, a w drugiéj exemplarz probowanéj sztuki.

— Przepraszam — odpowiedział Adolf — to nie Pan mówić powinieneś, ale piękna Podstolina. Pan może grasz Arysta?—

— A tak, Arysta.—

— To Pan jesteś mężem Klaryssy; a cóż do Pana należy Podstolina?—

— Tak, na scenie; ale proszę wiedzieć, że indziéj, i zawsze, i wszędzie, jestem mężem téj Pani, która już piękne oczki do Pana robi, nie wiedząc, kto i co jesteś? A więc na piérwszą znajomość powiadam ci jak Aryst:

— A wiesz ty, mospanie Fircyku,
Że ja wyprawiam takich gości na patyku.
Do innych arwan-katu ni bronię, ni radzę,
Ale od żony wara! bo przez kij przesadzę.

Adolf na to:

— No, no, nie byłbyś dzieckiem i bajów nie prawił.
Zostaw nas tu na chwilę...—

Kilku aktorów i aktorek, stojących na scenie, zaczęło się śmiać ze swego zazdrośnego antreprenera.

— Głupiś ze swoją zazdrością — ozwała się Podstolina do męża.— Przypadek zapewne, ale szczęśliwy, zsyła nam tu wybornego, jak widzę, aktora; a ty, cobyś miał przyjąć go z otwartémi rękami, odrażasz wraz swoją niedorzecznością. Niech Pan nie uważa na tego ciemięgę. Zacznijmy na nowo próbę, a potém się bliżéj poznamy.—

— Ależ wraz zapewne przybędzie Pan Anzgary. Wiadomo, że to jego rola. Trupa moja jest pełna. Nowy aktor, nowy koszt.—

— Jako piérwszy raz występujący na dzisiejszą reprezentacyę, żadnéj nie żądam nagrody. Dość mi będzie szczęścia — dodał ciszéj do Podstoliny — że z Panią grać będę.—

— A ja oświadczam tobie — rzekła ona stanowczym tonem do męża — że z tym Panem wraz po reprezentacyi umowę uczynić muszę; bo ja z twoim pijakiem Anzgarym odtąd żadnéj roli grać nie będę, w któréj go ten Pan zastąpi.—

— Byle tylko mojéj nie zastąpił — odrzekł z przekąsem Aryst. Lecz nie uważając nań Adolf, kontynuował próbę od piérwszéj sceny, z niejakiémi jednak warjantami, stosownémi do okoliczności.

— Żyjąc w wielkim świecie,
Wiém, jak czcić piękność, jak się podobać kobiecie.—

I znowu ciszéj dodał: — O bodajby mi się to dziś powiodło!"

— Czy tak rzeczywiście było? — zapytała Podkomorzyna Majora, nie przerywając czytania.

Major się uśmiechnął. Podkomorzyna pogroziła nań wdzięcznie paluszkiem.

Leon czytał:

„Gdy Pani ztąd wyjedzie, ja za nią w też tropy,
Drugi wierny Ulisses dla swéj Penelopy.
Z tą jedynie różnicą, że tamtego nawy,
Mnie mój wóz.... nie!.... los przy tobie nieść będzie łaskawy *).
W drodze bawić cię będę. Szemrzące strumyki,
Drzewa liściem szumiące, kwilące słowiki,
Będą to wielbiącéj cię natury odgłosy!
Komuż, jeśli nie tobie, ukłonią się kłosy?
Komu kwiaty i ziółka lubéj natchną woni?
Komu zefir chłód sprawi? powieje fawoni?
Dla kogo wierne echa zejdą na doliny?
Odgadnę ja ich celu — hołd to Podstoliny!....
Mając humor tak słodki, grzeczny, żartobliwy,
Żebym cię nudził byłbym bardzo nieszczęśliwy!—

— Trzpiot jakiś! — przerwał zniecierpliwiony antreprener.

— Dla czego Pan zawsze zastępujesz śliczną Podstolinę? To nie Aryst mówi — rzekł, udając również zniecierpliwionego, Adolf.

— A tak — rzekła ona — ja powinnam odpowiedzieć. — I odpowiedziała z przymileniem:

— Co za bałamut z niego! co za trzpiot! lecz luby...—

---

*) W oryginale: „Mnie mój Hektor Angielczyk unosił cisawy."

— Niechże was zresztą i kaci porwą! — wrzasnął Aryst, ciskając o ziemię perukę i sexternik.— Przynajmniejże powiedz: kto jesteś? i zkąd przybywasz? *Unde venis? quo tendis?*—

— Jestem uczniem Szkoły Dramatycznej Warszawskiéj. Odwiedzałem familię moję w tych stronach, i dowiedziawszy się, że sławna trupa artystów mojéj professyi przybyła do tego miasteczka, stawię się tu, ofiarując mój słaby talent na usługi.—

— A to co innego! to co innego! — Wnet stanął w kroku Pan Antreprener, i ukłoniwszy się manierą kawalerów dworu Ludwika XIV — Honor mnie tedy — rzekł — równie jak i artystów, którym przewodniczę, spotyka, gdy w gronie naszém....—

— Porzuć — przerwała żona — porzuć te androny. Wiész kto jest ten Pan, to i dosyć. Ponieważ będziemy razem, to i poznamy się.—

— Nie przeszkadzaj Wasani — rzekł orator, wstrząsając głową i zamrużywszy małe swe oczki, głęboko pod kulistém czołem wklęsłe — nie przeszkadzaj Wasani uroczystemu powitaniu dostojnego gościa, którego akceptując.... akceptując którego.... (znowu zamrużył oczy i wstrząsł głową; widać, była to ulubiona akcya jego przy teatralnych perorach), mam honor wzajemnie rekomendować się. Jestem Euzebiusz *Kwetko* — *notabene* i z głową i z kredką— Antreprener....

— W kłopotach *) — dokończyła Podstolina.— A ja, mówiła daléj, dygając z miłym uśmieszkiem — jestem Emilja..... Emilja *Pięknicka:* bo nie chcę być Panią Kwetkową. Sliczne mi nazwisko!—

— Nazwisko Pani doskonale odpowiada osobie — rzekł Adolf.

— Tak, jak *Kwetko* doskonale odpowiada téj figurze xiężycowego oblicza i żółwiego kształtu. Więc mimo fatalnego małżeństwa, zostaliśmy każdy przy swojém.—

— Moja Pani! — perorował Pan *Kwetko*—pracuję, aby nazwisko to (wstrząsł głową, i z zamrużonemi oczami a ze wspaniałym gestem wykrzyknął): w potomności słynęło!....—

Śmieszna postać jego stokroć śmieszniejszą była w takiém uniesieniu.

— Dalsza prezentacya! — wołał on, nie zmieniając głosu ni postawy.— Zbliżajcie się po jednemu.—

---

*) Jest komedyo-opera pod tytułem: *Antreprener w kłopotach.*

A gdy wszyscy śmieli się i stali na miejscu, porwał piérwszego bliższego za rękę i ciągnął przed Adolfa.

— To jest Kaim! prezentuję, to *Axur, Król Ormus.* Bas, tenor, kontralt, wszystko w jedném gardle! To, chwytając z rzędu, nasza *Primadona* — nie! nie! *Secundadona:* bo moja żona, to *Prima-dona* — to, chciałem powiedzieć, *Aspazja.* — A gdy ta, wyrwawszy rękę, uciekała za kulissę, wrzasnął: *Aspazjo! gdzie się kryjesz?*...—

— Słuchaj ty *Buffo Carricato!* — przerwała mu żona — czy ty chcesz grać komedję bez publiczności? —

Niechże przynajmniéj afisze — mówił, nie spuszczając z tonu antreprener — niech afisze ogłoszą publiczności nową, świetną akwizycyę naszą, że uczeń Szkody Dramatycznéj Warszawskiéj wystąpi dziś po raz piérwszy w roli *Fircyka w zalotach*, sławnéj komedyi (zamrużył oczy i trząsł głową) nieśmiertelnego Franciszka Zabłockiego! Gdzież sufler? Niech pisze! Gdzież podział się sufler? —

— A ja tu, krótko mówiąc, ja tu — odezwał się głos chropowaty i nosowy z budy, ale nie suflerskiéj, lecz z budy kupieckiéj, wielkiéj, długiéj i szérokiéj, stojącéj na parterze obok kałamaszki Adolfa i całéj nakrytéj płótnem malowaném w fale.

— *Morze,* krótko mówiąc przeciekło w drodze — krzyczał sufler — *Tezeusz* zmokł do nitki, *Sułtan Wampun* pękł, *Tankred* rozkleił się, a *Xymenę* i *Alzyrę,* krótko mówiąc, przesuszać trzeba; z ogniów zaś bengalskich i błyskawic, kasza. —

— Gwałt! ja nieszczęśliwy! — zawołał Kwetko — zgubiony jestem! Dziś imieniny Pana Horodniczego, wspaniałego protektora naszego w tém mieście. Po reprezentacyi miałem cyfrę jego w transparencie oświecić ogniem bengalskim, dotąd tu niewidzianym; a teraz cóż ja pocznę! Zniskąd nie mam pomocy! Dawno mówiłem; i sami jadąc widzieliście, że *morze* dziurawe. —

— Do nas należy pływać po niém — odpowiedział Kaim — a do Pana, łatać je. —

— Koncept z pierza! Chodźcie waspanowie woléj ratować garderobę! —

Przerwał ratunek garderoby i dalszą próbę posłaniec od Pana Horodniczego z oznajmieniem, że za pół godziny czeka on z obiadem, na który wczora jeszcze całą trupę zaprosił.

— Będziemy służyć — odpowiedział Pan Euzebijusz — i proszę powiedzieć szanownemu protektorowi naszemu, że zaprezentujemy mu nowego kollegę, przybyłego do nas prosto z Warszawy.—

Odszedł posłaniec.

— Daruje Pan — rzekł Adolf — że nie będę towarzyszył do Pana Horodniczego. Jechałem całą noc, potrzebuję więc, zwłaszcza przed reprezentacją, wypoczynku.—

— Co tam! Wyśpisz się jutro — odpowiedział antreprener. Dobry obiad, bratku, to nie bagatela w naszéj kondycyi. A będzie wyśmienity: bo to imieniny, i gości jest wiele. A że dzisiejsza reprezentacya na benefis mojéj żony, więc po obiedzie Pan Horodniczy z benefisantką biletami traktować będą. Idź, kollego, idź, proszę cię! — i uściskał kordyalnie Adolfa.

— Ponieważ to benefis Pani, tém usilniéj przygotować się muszę; odczytam rolę: bo na próbę, jak uważam, nie będzie czasu; a zatém na obiad nie pójdę, mój Panie Euzebiuszu!—

— I w rzeczy saméj — rzekła Podstolina — bez próby będzie trudno. Mnie także odechciało się tego obiadu. Idź ty sam, mężu, i wyexkuzuj nas.—

— A, co z tego, to nic nie będzie. Oto pięknie! wczoraj przyrzekłaś, a dziś inaczéj. Zresztą kiedy dziś benefis nie uda się, co jutro jeść będziem? a bez kwesty obiadowéj pewnie się nie uda.—

Spójrzała wzrokiem nielitościwym na męża piękna Podstolina, niekontenta zapewne z objawienia takiego niedostatku przed obcym.

— Prawisz jak na mękach. Nakoniec ponieważ przyrzekliśmy, więc pójdziemy. Trzeba się zatém ubrać. Do widzenia się. Jakże mam Pana nazywać? — zapytała Adolfa.

Usłyszawszy to imie, powtórzyła je kilka razy i odbiegła za kulissę. Za nią kilka jeszcze aktorek; którym przypatrzyć się Adolf nie miał czasu.

— A suflera, krótko mówiąc czy prosił Pan Horodniczy? — wrzasnęła ruda głowa, z *morza* wytknięta.

— Nie — odpowiedział antreprener.

— A cóż ja tu będę jeść? krótko mówiąc.—

— Masz tu w karczmie śledzie i obwarzanki.—

— Piękny przysmak! krótko mówiąc.—

— Rozwieś Wasan tymczasem garderobę, i na miłość Boga przesusz ognie bengalskie, których koniecznie dziś użyć potrzeba.—

— Oj! oj! wszystko na mojéj głowie, krótko mówiąc.—

Gdy się wszyscy postroili, ładniejszéj jeszcze w świeżéj toalecie Podstolinie Adolf podał rękę. Pan Euzebijusz, zakrywszy peruką łysinę, we fraku czarnym, opierając się trzciną ze złoconą gałką, jakby godłem swego dostojeństwa, szedł poważnym krokiem na czele kalwakaty z dziesiątka osób obojéj płci złożonéj przez miasteczko.

— Z tą właśnie trzciną w ręku grywam niektóre poważne role, i dziś Arysta grać będę. To trzcina historyczna, mój Panie! — mówił on, odwracając się do Adolfa, i szedł daléj.

— Czy Pani ubrana już jak na scenę? Jakżeś ładna! — rzekł zcicha Adolf do swojéj motii.

— O, nie! wcale nie! Najprzód znikłaby illuzja, gdyby Podstolina była tąż samą zupełnie figurą, która obiad z widzami jadła; a powtóre, dla Pana chcę się ubrać tak, abyś się na prawdę we mnie zakochał — rzekła, uśmiechając się ponętnie.— Czuléj grać będziesz role kochanków.

— Na to już mię Pani dostatecznie usposobiłaś.”

— Autorze! — przerwał Major — kto sam taki, ten po drugim daje znaki.—

Nie zważając na to ofuknienie się brata; pokryte uśmiechem Podkomorzynéj, Leon czytał daléj:

„Pan Euzebijusz, odgladając się po kilkakrotnie, niespodzianie i niespokojnie, przerywał tę maroderję romansową. Nakoniec doszli do bramy Pana Horodniczego, u któréj Adolf pożegnał swą piękną towarzyszkę i powrócił do teatru.”

IX.

Nowy Aktor.

„Gdy wchodził Adolf do karczmy, postrzegł jeszcze jedną kałamaszkę na parterze, a suflera rozwieszającego po żłobach przemokłą garderobę, i rozmawiającego z niejakimś sampanem, wyciekłym a chudym, w krótkim po kolana, granatowym niegdyś, wązko go opinającym surduciku, i w cyratowym kaszkiecie na głowie; a ponieważ sam niepostrzeżony Adolf z profilu nań patrzał, ujrzał więc na twarzy jego nos niepospolitego kalibru i znaczenia; tylko, że zdrajca ten zastosował się kolorem do surduta, a tak rodził zwyczajne w takim razie podejrzenie, i tłumił wrażenia lawaterskich postrzeżeń, któreby bez téj jego barwy chlubnie na stronę właściciela tak znakomitego nosa uprzedzały.

— Jak to? — mówił ten jegomość, kontynując zaczętą przed przyjściem Adolfa rozmowę — uczeń Szkoły Dramatycznéj Warszawskiéj? a czy go tu djabli przynieśli?—

— Adolf, słysząc, że o niego rzecz się toczy, przychylił się za drzwi.

— A tak — odpowiedział sufler — i krótko mówiąc, Panie Anzgary, oświadczyła ona, że żadnéj roli grać nie będzie z Wasanem, w któréjby Wasana ten fryc mógł zastąpić.—

— Tak! bo widać będzie on miał inne jeszcze role... Ale niechaj sobie! Publiczność nas rozsądzi.... Jednakże wiész co? Mosanie Samuelu! żyjemy jak bracia od tylu lat. Ten golec, wiercipięta, może mnie zasłużonego sługę Melpomeny skonfundować. Niemiło na starość z piérwszego aktora zostać figurantem. O, znam ja Warszawczuków! Trzeba go więc na piérwszym wstępie podstrzelić. Dopomóż przyjacielowi, jak to już nieraz ci się udało: daj bąka w suflowaniu razy ze trzy w piérwszym akcie. Zmięsza się panicz,

i zmięsza scenę, rozśmieszy publiczność. Krzykną, że nie umie roli, i musi potém z nami spuścić z tonu.—

— A pięknież to na kollegę robić takie spiski i zasadzki!— odezwał się Adolf, wychodząc z za drzwi.

— Oho! masz tobie!.... i on tu!....—jąkał zakłopotany Pan Anzgary.— No... *mea culpa!* Cóż robić? Bo też i Pan przybywasz nieproszony i nastajesz na moje stare zasługi.

— Bądź spokojny, Panie Anzgary! rzekł, podając mu rękę, Adolf—pogodzimy się łatwo. A tymczasem, dla lepszego zaznajomienia się, proszę obu Ichmościów z sobą do izby. Zjemy podróżne śniadanie, podczas gdy nasza trupa u Pana Horodniczego się częstuje.—

— Krótko mówiąc, zgoda.—

— Gdy Pan tak wspaniale zapominając urazy, ofiarujesz jeszcze posiłek, którego łaknie dusza a raczéj ciało moje, to i owszem. Zmachałem dziś więcéj pieszo, niż jazdą—mil ze trzy. Licho mi dało wczora na popasie zasnąć tak twardo, że obudziłem się aż w wieczór...—

— Podaj wódki jaką masz najlepszą!—zawołał Adolf na usłużnego żydka, który się kręcił wszędzie i zaglądał we wszystkie kąty.

— Ale flaszę pełną—dodał Pan Anzgary—i kieliszek nieskąpy. Taniéj Panu przyjdzie, gdy cały sztof weźmiesz. Na kieliszki, to drożéj, i mniejsze dają. *Experto crede*, Panie Dobrodzieju!—

— Niech i tak będzie—rzekł Adolf; a poznał, że zdrajca nos Pana Anzgarego niezawodne dawał *testimonium.*

— *Dubelt-cynamonówka!*—wykrzyknął on, biorąc flaszę z rąk żyda—a właśnie mam szczególniejszą słabość do *cynamonówki*! Trafiłeś więc w słabość moję, perło synów Izraela! Zaczynajże Panie w Imie Boże!—

— Nie pijam nigdy wódki—odpowiedział Adolf—robię Pana gospodarzem.—

— A więc za zdrowie fundatora! do Wasana, Panie.....—

Przerwał toast wchodzący młody człowiek, którego wprowadzając żydek—oto ten Pan—rzekł, wskazując na Adolfa.

— Jak to? Pan Adolf—zawołał ten, stawając zdziwiony na środku izby.

— Ach to ty! mój Jasiu!—wykrzyknął wzajemnie Adolf.—Cóż cię tak dziwi?—

Pan Jan, był to Sekretarz Horodniczego, a syn zasłużonego ekonoma u rodziców Adolfa. Nagradzając poczciwość sługi, oddali oni syna jego, wraz z własnym, to jest z Adolfem, do szkół; i gdy po ukończeniu nauk szkolnych Adolf pojechał do Wilna na Akademję, Jaś poszedł szukać losu na świecie, i przyjął *ad interim* piérwsze, jakie się nadarzyło, miejsce, ufając w Bogu, że praca i i cierpliwość doprowadzą go do zgodniejszego placu i do kawałka chleba.

— A cóż tak stoisz jakbyś skamieniał?—rzekł Adolf.—Chodź, uściśnijmy się po tak długiém niewidzeniu się.—

Młody człowiek rzucił się w ręce Adolfa, z przystojném jednakże uszanowaniem: od dzieciństwa bowiem i w szkołach nawykł go uważać jako swego panicza i jako syna swoich dobroczyńców. Lat dwa rozdziału nie wymazało w sercu jego poczciwém uczuć dziecinnych, dla tego łzą odpowiedział na uściski Adolfa.

Po tém czułém przywitaniu—Cóż to ma znaczyć?—zapytał Sekretarz.—Panu Horodniczemu powiedział antreprener, że tu przybył nowy i młody aktor Szkoły Dramatycznéj Warszawskiéj, który na obiad doń razem z całą trupą iść nie chciał; a lubo żona exkuzowała go, że zmęczony podróżą i potrzebuje odpoczynku, jednak tém bardziéj Pan Horodniczy ciekawy i uparty, posłał mię, abym tego przybysza zapytał o pasport, i jeżeli go ma, zaprosił na obiad; jeżeli nie ma, zaprosił do kozy.

— Powiedzże, mój Jasiu, grzecznemu Panu Horodniczemu, że ani tam, ani tam nie pójdę.

— Dobrze. Ale jakże się stało, że Pan uchodzisz za aktora przybyłego z Warszawy?—

Adolf opowiedział, śmiejąc się, Panu Janowi historyę swego przybycia do karczmy, i niewinnego podstępu, przez który uchodzi za ucznia Szkoły Dramatycznéj Warszawskiéj, gdy rzeczywiście był tylko uczniem amatorskiéj Zaborskiéj trupy.

— A więc Wasan—rzekł Sekretarz, obracając się do Pana Anzgarego—może zastąpisz Pana Adolfa na obiedzie u Pana Horodniczego?—

— Co nie, to nie. Wolę tu zostać z zacnym amatorem i protektorem, jak uważam, Dramaturgii, i przy téj cynamonówce, z którą gdy rozprawa do mnie należy, przeto w ręce Pana Sekretarza Dobrodzieja!—

— Dziękuję. Nie pijam.—

— Sekretarz Horodniczego wódki nie pija!—ozwał się, wzruszając ramiona, Pan Samuel.—Krótko mówiąc: *fenomen.*

— Żegnam więc Pana—rzekł Pan Jan do Adolfa.—Czekają mnie. Po obiedzie wraz wyjechać muszę do Mińska w interesie Pana Horodniczego. Niech Bóg stokrotnie odda Panu dobrodziejstwa, jakie od rodziców Pańskich odebrałem.—

Czułe uściski zakończyły pożegnanie młodzieńców.

Adolf rozkazał żydowi podać krobę przez stryjenkę w pieczyste, pierogi i inne podróżne łakocie sowito uprowidowaną.

Pan Samuel, postrzegłszy wszystko na stole, i jakby na zakąskę pierniki ze smażonemi gruszkami pożenione—specyały! krótko mówiąc, specyały!—zawołał.

— Przystąpmyż do nich—rzekł, dając przykład Adolf.

— Wprzód jednak, za pozwoleniem Pańskiém, łykniem jeszcze z Panem Samuelem.—

Wśród smakowitego posiłku bliższa zawiązała się komitywa. Pan Anzgary coraz był weselszym i wymówniejszym; coraz to nowe anekdoty teatralne płynęły mu jak z regestru.

— Co tam prawisz ciągle o innych?—rzekł zapalając fajkę Adolf, gdy żydek zbierał nakrycie.—Mów o sobie: kiedy naprzykład, i jaką koleją, zacząłeś służyć *Melpomenie?*

— Ach! Panie! długoby o tém mówić.... Judaszu Iskaryoto! co chcesz czynić?—nagle wykrzyknął, wyrywając flaszę z rąk żyda, który, rozumiejąc wódkę niepotrzebną po obiedzie, chciał ją przyjąć.

Najpiérwszy warunek, Panie Dobrodzieju—mówił Pan Anzgary—aby ta cynamonówka ze stołu nie ustępowała.—*Si plus bibissem, melius dixissem*—powiedział tam jakiś orator. Otoż i ja upewniam mego Pana, że i po tym oto haušcie, który za zdrowie Pańskie *iterum* spełniam... Gdzież pierniczki? Zakąsić zawsze należy... Ach! to ty, Samuelu, ty, żarłoku, pozbawiłeś mnie słodyczy, którąm umyślnie na roskosze dla podniebienia mego zostawił.... Samuelu! bodajbyś się piernikiem udawił!—

Apostrofę tę i następne, jakie się wymykały Panu Anzgaremu, deklamowane przezeń patetycznie, jakby na scenie, dowodziły nałogu w nim aktorskiego, a rozśmieszały Adolfa.

— Otoż i po tym hauście jeszcze wymowniéj—kontynuował Pan Anzgary—dzieje mojego błędnego żywota opowiem Panu. A jeżeli zaschnie w gardle, to wypadnie uczynić toż samo... co i teraz czynię...

— Ale nim w gardle, tymczasem zaschnie we flaszy.

— No, Panie dobrodzieju, ledwo w połowie jeszcze, a zatém pociągnie, pociągnie.—

— Trzeba, abyś Pan wiedział, żem sługa, a raczéj polubieniec dwóch bóstw razem: *Melpomeny* i *Apolina*.

— Bodaj i trzeciego: *Bachusa*—przerwał Adolf.

— Krótko mówiąc—dodał Pan Samuel—pijak!

— Samuelu! Samuelu! —najpatetyczniéj wznosząc ręce w górę, zawołał Anzgary—Samuelu! gubisz mię na reputacyi!...—

— I że, gdy pociągnę z butelki, (bo bez tego i trzech przeliczyć nie umiem, co właśnie i teraz czynię), wzlatuję na Parnas. Mam już zaczętych z piętnaście tragedyj, z tyleż dramatów, a komedyj bez liku; tylko że dokończyć jakoś nie dają się. Ale z czasem, i gdybym znalazł jakiego mecenasa dobrodzieja, któryby mi chleb powszedni bez pracy, i téj kochaneczki (pstrykając po flaszy), w miarę wszakże udzielał, możebym, jak drugi Feliński, w którego Barbarze ja, jak mię Pan widzisz, ja, grałem *Augusta* w Lidzie, a *Bonę* w Wiłkomierzu...—

— Ależ do rzeczy, Mości polubieńcze *Feba* i *Melpomeny!* do rzeczy — ozwał się Adolf.

— A prawda, do rzeczy. Masz Pan Dobrodziéj racyę. A ponieważ rzecz sama i essencya jest tu, więc raz jeszcze stuknąć na zaczęcie nie zawadzi. No, teraz dobrze! O czémże to mam mówić? Aha! mam tedy zacząć moję historyę. Krótka, Panie Dobrodzieju, krótka, ale węzłowata. Wszelakoż aby godna była dostojnego słuchacza, wezwijmy natchnienia moich bóstw opiekuńczych.—

Stanął w kroku Pan Anzgary, wzniósł znowu oczy i ręce w górę, i z zapałem zawołał:

O Febie! któryś w niebie! i ty Melpomeno!
(Brawo! owoż zacząłem oratorską weną).

— Ten ostatni wiersz cóś mi przypomina.... zaraz... zaraz...

— Ukradłeś go—rzekł Adolf—z *Amfitryona*, z roli *Sozyi* *).

— A prawda! prawda! Jak Pan wszystko pamięta! To mi amator!—

Tu wpadając w entuzyazm, porwał flaszkę ze stołu, i stawiając na podłodze, jak *Sozyo* latarkę, deklamował:

To pokój, gdzie mam wpadać gońcem,
Ta flaszka niech będzie Alkmeną.
Pani! twój Amfitryo przysłał mię tym końcem,
(Brawo, owoż zacząłem oratorską weną),
Tym końcem przysłał mię tu, abym ci wesoły
Zwiastował tryumf jego nad nieprzyjacioły! i t. d.

Zapomniawszy się Pan Anzgary zupełnie, przedeklamował cały monolog *Sozyi*; a że zabawną z siebie rolę oddawał z prawdziwym talentem, nie tylko mu więc zdziwiony Adolf nie przeszkadzał, lecz owszem, umiejąc na pamięć całą tę sztukę służył za suflera, gdy pamięć aktorowi chybiała; a gdy ukończył, dał mu huczne oklaski. W omamieniu Pan Anzgary kłaniał się układnie na wszystkie strony, jakby całemu parterowi, i z ukontentowaniem nakoniec wykrzyknął:—A co? Panie Dobrodzieju! czy źle?—

— Wybornie!

— Nie chwalim się, ale nie powstydzilibyśmy się i w jakiej stolicy. Kochany Zabłocki! niezrównany! jedyny Zabłocki. Nie okradłem ja go wszelakoż, jak to Pan powiedziałeś, nie! Sam mi ten wiersz drugi wpadł na pochwałę piérwszego; a cokolwiek samo w naszą przechodzi własność, złodziejstwem nie jest. Maxyma to, Panie Dobrodzieju, za którą idą nie tylko autory i aktory, ale i ważniejsi praktykanci na scenie świata.

— Panu Anzgaremu nie zbywa widzę na dowcipie.—

— Nie chwalim się, Panie Dobrodzieju, nie chwalim się, ale możebym i na co lepszego zdał się niż na towarzysza cygańskiej naszej włóczęgi. Cóż jednak robić? *Sic fata tulerunt!* Dla czegoż wreszcie mam poniżać sam siebie, i stan, który dobrowolnie obrałem? Czyż i w nim nie można być sławnym i wielbionym? Czyż nie słyną *Garryki*, *Talmy?* a u nas czyż zapomną kiedy *Bogusławskiego*, *Werowskiego*, *Żołkowskiego*, *Skibińskiego*, i innych? A nakoniec nim sobie na wielkie imię zapracuję, tymczasem dobrze mi w moim zawodzie. Bez troski, choć często bez chleba. Dziś tu, jutro tam. Z rana prosty Pan Anzgary, wieczorem Król, Hrabia,

*) Komedya Zabłockiego.

wódz, czuły kochanek... a nawet częstokroć i w istocie bywam tym ostatnim, kiedy jaką piękną zawerbujemy aktoreczkę; nie na długo wszakże, nie na długo: bo stałość nie liczy się do moich przymiotów. Słowem, do stanu mego przywiązany szczérze; nadzieją biedę słodzę...

Tu zatrzymał się w opowiadaniu, jakby szukał czegoś w pamięci... razem potém zaśpiewał:

I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez botów chodzę!

Znowu mię o złodziejstwo oskarżysz. A wiesz Pan co? oto, przychodzi mi często projekt ułożyć jaką sztukę z wybieranych wierszy z rozmaitych sztuk i splecionych razem. Tak naprzykład: w ogromnym salonie, rozłożywszy, ileby tylko nazbierać można, tragedyj, komedyj, oper, dramatów, czułych poezyj, złych czy dobrych, byle wierszem, jak się dobierają i układają rozmaitego koloru kamienie do mozaiki; tak wybierać po jednym wierszu, i spajać w jeden ciąg, zapełniając osnowę sztuki. Byłoby to wcale nowe *potpourri*, i nigdy upaśćby nie mogło: bo naprzód wybierałoby się co najlepszego; a gdyby nareszcie jaki wierszyk i ze *Złotéj Wolności* *) chwycić przyszło, to tuż obok zastosowany drugi z *Barbary*, *Ludgardy*, albo też innéj podobnéj, naprawiłyby wszystko; i widz, nimby syknął *Kiszce*, musiałby klasnąć *Felińskiemu*. Cóż Pan na to? Samuelu! Samuelu!—zawołał daléj, nie czekając odpowiedzi Adolfa — ty śpisz! (bo w rzeczy saméj sufler siedzący na kanapie spał w najlepsze), ty nic nie czujesz! ty nie przyjmiesz z rąk przyjaciela tego nektaru niebieskiego, téj ambrozji, którą spiekłe me usta ożywić pragnę! Spoczywajże! spoczywaj! niech ci bogowie najroskoszniejsze suflują marzenia! a ja sam jeden za ciebie i za siebie... szarpnę z Alkmeny.—I szarpnął bez kieliszka tak, że już we flaszy mało się zostało... Stał potém niejaki czas w milczeniu.

— Panie Dobrodzieju!—rzekł potém niepewnym już językiem— odłożmy na jutro akt drugi komedyi mojego żywota. Teraz trudno mi zaprawdę.... trudno.... Samuelu—wykrzyknął znowu:

— Samuelu! używaj Morfeja opieki,
Z tobą piłem... przy tobie niech zawrę powieki...—

Jakoż usiadł obok Pana Samuela i drzémiącym językiem ledwo wymówił:—*Kortyna zapada.*—

---

*) Rozbiór téj tragedyi w „Brukowych Wiadomościach“ znaleźć można.

Adolf rozśmiał się, i poszedł ułatwić swoje interesa u krawca, a stryjenki u szwaczki.

X.

Przed Reprezentacyą.

Gdy wrócił Adolf, znalazł już całe grono dramatyczne z powrótem od Horodniczego.

Pan Antreprener był właśnie na drabinie i przybijał na belce ramy naciągnięte białym papierem, na którym, wielka cyfra, z sinego cukrowego papieru naszyta, jaśnieć miała w przezroczu na cześć solenizanta.

— A! otoż i nasz artysta i uczeń Szkoły Dramatycznéj Warszawskiéj. —

— Witam Pana Dobrodzieja! — zawołał on.

— Oho! poznałem ja wnet lisa! A czy będzie Pan dziś występował? he! he! —

— Dla czegoż nie? tém bardziéj, że Pański nominowany *Fircyk*, Pan Anzgary, nie wiém czy się ocknie do jutra?—

— Pan go spoiłeś, i suflera razem. Piękny figiel! ale koszt daremny! Już my znamy naszego Anzgarego. Pijany nawet grałby wyśmienicie; a tu jeszcze do reprezentacyi kilka godziń. Suflera zastąpimy łatwo. A tak pójdzie wszystko jak z płatka. Pan zaś kupuj bilet bez ceremonji: bo gratysówek dla nikogo, tém bardziéj dla Pana, niéma. Przestrzegam także prześwietną publiczność, że za kulissy się nie wchodzi.... Rozumiesz mię Pan?... Panie Felixie! podaj mi jeszcze dwa ćwieki, i windujcie rusztowanie dla Marsa i dla Minerwy: bo widzi Pan, tak ułożyłem *tablo*: *Mars* i *Minerwa* trzymać będą cyfrę Pana Horodniczego, jakoby to alluzja do jego męztwa i do jego *sapiencyi;* a gienjusz sławy w górze trochę *a latere*, to jest, z boku, z trąbą, ogłasza niby to światu te jego przymioty. Piętnaście biletów dziś rozdał na obiedzie. A jakiż obiad! na trzy dni jestem syt.... Sam dwa dukaty, dając przykład gościom, benefisantce na talerzu położył. To mi człek! mospanie! Nie

żal dlań głowy nad *siurpryzą* połamać!... Czegoż stoisz? mazgaju! — rzekł dalej do żyda, kontynując swoję mieszaninę rozkazów i uwag.—Przynoś i zawieszaj na balkach w stodole swoje świeczniki; po dwadzieścia świeczek w każdym. Jakie oświecenie!... Żyrandole, mospanie, żyrandole!... A Pan każ swojej kałamaszce ustąpić z parteru: bo wraz zédle dla publiczności wnosić będą. Moja buda, to co innego. Onaby i za lożę służyć mogła.—

— W takim razie przerwał Adolf — żłoby w Pańskim teatrze ujść mogą za paradys.—

— I zgadłeś Pan: bo uliczniki miasteczkowi, płacąc po pięciórce od nosa, stać będą we żłobach, a zatém osły zajmą właściwe sobie miejsce. A Pan dokąd—zapytał nakoniec odchodzącego Adolfa.

— Pozwolisz, że się twojéj pozalecam żonie—

odpowiedział ten słowami Fircyka.

— Oho! jest tam załoga: Pan Horodniczy. Rozprawcie się zatém. On dukatami za bilety sypie. Obaczymy, kto z Panów wspanialszy. To szlachetna emulacya.—

— He! he! he! zaintrygowałem sztuczkę! — mruczał za odchodzącym.—Rywale kłócą się, romans przerwany, heroina w kłopocie. Rozwiązanie: koniec konkurów i dukaty w kieszeni.—

Wszedł Adolf do izby, w któréj zostawił był i znalazł znowu śpiących aktora i suflera. Dwa jeszcze były pokoje, a w nich cała trupa odpoczywała i bawiła się wesoło po obiedzie Pana Horodniczego, który siedział przy Emilii, to głośno, to na ucho, słodkie jéj prawiąc zalecanki.

Skoczyła ona z kanapy naprzeciw Adolfa, i śmiejąc się—A witamy—rzekła—zacnego ucznia Szkoły Dramatycznéj Warszawskiéj! Pięknież to tak mię oszukiwać?—dodała, grożąc figlarnie.

Na te ponętne fochy Adolf znowu uciekł się do Zabłockiego i odpowiedział słowami Fircyka.

— Jak Parys dla Wenery porzucił niebianki,
Tak ja wszystkie dla ciebie rzucam Warszawianki.—

— Dobrze to i dowcipnie: ale powiedz mi Pan tylko szczérze— mówiła, patrząc niespokojnie w oczy Adolfowi — gdyby ten pijak nie przywędrował, cobyś Pan zrobił?—

— Grałbym z Panią Fircyka — odpowiedział tonem i twarzą niedopuszczającą żadnego powątpiewania.

— Na honor? —

— Na honor. —

— A wszakżeby Pana poznano.

I cóż ztąd? Lubię teatr, szacuję talenta; a jeżeliby głupcy wzięli mi to za złe, toć o ich zdanie nie dbam, gdy we własném mém przekonaniu znajduję pewność, żem nic uwłaczającego sobie nie uczynił, a ujął kłopotu poczciwym ludziom.—

— I zjednał ich wdzięczność i prawdziwe uwielbienie — dokończyła Emilja, ściskając z rozrzewnieniem rękę Adolfa.—Wierz mi Pan—dodała obracając się do Horodniczego—kto z pozoru ludzi nie sądzi, ten sam jest pewnie zacnym człowiekiem. Pan się zaś dwa razy okrótnie omyliłeś: wziąłeś tego Pana za włoczęgę i chciałeś go do kozy zaprosić, a mnie... —

— Mam nadzieję... — przerwał Horodniczy.

— Może Pan mieć nadzieję — wzajemnie mu przerwała Podstolina—bo nadzieja ma liczne potomstwo.—

Horodniczy przygryzł usta, spójrzał z ukosa na Adolfa i brał się za kapelusz, gdy wszedł Pan Kwetko z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— Wybornie! wyśmienicie! Nic nie powiém, ale siurpryzka na czyjeś imieniny będzie taka, jakiéj ta imoscina nie widziała.—

Pan Horodniczy uśmiéchnął się kwaśno i wyszedł. Resztę czasu do reprezentacyi zabrało przygotowanie i toaleta.“

XI.

Za Kulissą.

„Jest jedno wyrażenie w języku francuzkim nader trafne i właściwe, które na polski język równie dobitnie i szczęśliwie wytłumaczyć się nie daje.“

— Jakież to?—przerwała czytającemu Podkomorzyna.

— *Arrière pensée.*—

— Nic łatwiejszego: *myśl najskrytsza.*—

— To każdemu przychodzi; a jednak nie jest toż samo: bo *arriére pensée* jest myśl, która od najskrytszéj głębiéj jeszcze przedzielona zasiekiem siedzi niema i w kątku, jak zaklęty ostatni dukat w najgłębszym i nieodgadnionym potajemniku szkatułki. Bywa ona niekiedy w niespodzianéj wycieczce na czole, na licu, w oczach, ale nigdy na ustach. Kochanek radby ją zgadnąć w sercu swéj lubéj; dyplomata, ukrywając własną wykradłby ją z głowy przeciwników: wié on bowiem, że ona tam jest, jest koniecznie; chory upatruje jéj w minie doktora za puls go trzymającego, i radby uwierzył, że jest nią pocieszające: *Będziesz Pan zdrów:* handlarz koni szuka jéj napróżno w przysięgach podobnego sobie cygana etc. etc.: bo w takich poszlakach nieskończonym być można. Rozumiecie mię szanowni, słuchacze! więc dość mi na tém; a biegłym *słowo-twórcom* na próbę ich dowcipu zostawuję ten twardy orzech do zgryzienia.

Otoż za kulissą jest *arrière pensée* korporacyi aktorów, całéj reprezentacyi sztuki, a nawet pomysłów nie jednego widza. Tam wszystkie pożyczone dostojeństwa i splendory, błyszczące na scenie, tracą fałszywą wartość; tam brylant—szkiełkiem, złoto—folgą i szychem; wszelkie namiętności wielkiego rozmiaru, znaczenia i wielkich skutków, wzburzone i rozpłomienione na scenie, tam, o dwa kroki, za kulissą, nagle drobnieją, i sparodyowane powszedniém użyciem w błahe mienią się poswarki, samym kontrastem śmieszne, tak, że najczęściéj gdy *tragedya* na scenie, *komedya* za kulissą.

Tam też strzelał okiem i Pan Adolf, oczekując okazania się na scenie *Podstolinéj.* Ujrzał ją wkrótce, lecz z nią razem ukazał się i Fircyk, to jest, nawpół wytrzeźwiony Pan Anzgary, we fraku Adolfa tylko co przyniesionym przez krawca.

— Ha! nic dobrego!—pomyślał Adolf.—Zedrę mu bez ceremonji po pierwszym akcie mój frak. Co za poufałość! Gra wyśmienicie, ale jakże nieuważnie się szasta! Splami go lub rozedrze. Poczekaj, zacny polubieńcze *Apolina* i *Melpomeny!* Widzę, że i *Merkurego* rzemiosło nie jest ci obce; ale ja z ciebie zrobię *Maryasza.*—

Jakoż wnet po zapadnieniu zasłony poszedł za kulissę.

Przeciskającemu się przez zakomórki tam wiodące, zawaliło drogę szubrawstwo, malcy rozmaitego kalibru, uciekający od płoszącego ich trzciną swoją antreprenera.

— Co to jest? Mości Aryście!—zapytał Adolf.

— *Castigo mores*, Panie Dobrodzieju! i tym sposobem, a najskuteczniejszym bez wątpienia, uczę *mores* tych patrzyków, którzy, nie chcąc płacić pięciórek, przez strzechę tu się spuścili. A do żłobów szersznie! — szeptał z przyciskiem *castigando mores* nieobyczajnéj trzody. Założył potém przed Adolfem kij we drzwiach jak rogatkę i—*non licet!* — rzekł.

— Właśnie też będę uważał na twe zagrody — odpowiedział Adolf, odrzucając trzcinę.—Zapłaciłem dukata za bilet, takiego, jak i Pan Horodniczy; a do tego, mogę całą reprezentacyę w niwecz obrócić, odbierając bez ceremonji frak mój od Fircyka, w który się bez dozwolenia ustroił.—

— No, no, to wielbiciel Pański. Dozwól mu Pan dokończyć roli; a za to ja dozwalam Panu...—

— Umizgnąć się do pięknéj Podstoliny—przerwał Adolf.

— Hola! hola! — Zamrużył oczy, i trzęsąc głową—to swawola! to swawola!—wymawiał tonem napominającego sensata.—Nie, wcale nie. Dozwalam Panu wejść i... wyjść. Zresztą rozpatrz się Pan tylko w nas. Emilka grająca Klaryssę daleko piękniejsza od mojéj żony.

— Kłamiesz, ladaco! — odezwała się Podstolina, odpychając męża.—Jam ładniejsza; i ten Pan dowiódł tego swym gustem. Precz!—

— Jegomość! sznur pękł i obłoki spadną — zawołał w tém zcicha maszynista.

— Bodajbyś sam pękł — rzekł z gniewem Kwetko, odchodząc śpiesznie, a oglądając się z ukosa na pozostałą parę.—

Tymczasem na scenie zakrytéj przed publicznością każdy swoje robił interesa: ten się przeglądał w kieszonkowém źwierciadełku, muzgał się i podmalowywał palonym korkiem wąsiki i hiszpankę; tamten czytał rolę naprędce, któréj, się niedouczył; Klaryssa podróżowywyła się i podkręcała loki, a Pan Anzgary wyniósł z zakulisy flaszkę i częstował kolegów; co postrzegłszy sufler w budzie,—krótko mówiąc—odezwał się—jestem już na swojém miejscu.—

Gdy Pan Antreprener, jak drugi Atlas, podpierał obłoki, na parterze niecierpliwie zaczęło się stukanie—publiczność miasteczkowa

tak dobrze zna swoje prawa, jakby i stołeczna; więc wpadł on na scenę i rozpędził czeredę. Maszynista stanął przy sznurze od zasłony...

Adolf znając obyczaj teatralny, i nie dając czasu Panu Euzebiuszowi do rozprawienia się z sobą, klasnął trzy razy w dłoń... Maszynista pociągnął sznur — kortyna w górę — scena otwarta. Antreprener został za kulissą na drugiej stronie.

Reprezentacya podwójna.

Świstak i *Pustak* *) *Antreprener*, *Adolf* i *Podstolina* za kulissami. Reprezentacya na scenie głośna, za kulissami na migi.

Adolf trzyma za rękę Podstolinę i cóś do niéj mówi z przymileniem, cicho i bardzo cicho (nie wolno odezwać się!).

Pan *Euzebijusz* z drugiéj strony grozi palcem, trzęsie głową.

Adolf całuje rękę *Podstolinéj*.

Pan *Euzebijusz* ścisnął zapamiętale kułaki, rozkrzyżował się i boxuje niémi na powietrzu. *Adolf* i *Podstolina* śmieją się. Parter sypie brawo *Pustakowi*.

Podstolina, nie odejmując jednéj ręki z rąk *Adolfa*, drugą opiera mu na ramieniu i cała się doń jakby mdlejąca pochyla.

Euzebijusz wścieka się; stoi na jednéj nodze i kułak swój kąsa, a drugą ręką chwycił trzcinę i wywija nią jak szablą...

— *Aryst* na scenę — szepnął wtém sufler.

Akcya się odmienia.

Aryst gra rolę zazdrośnika na dwie żony; deklamuje z zapałem; oczy i głowę do piérwszéj za kulissę, figurę do drugiéj na scenie obracając; nie psuje jednak gry: bo mu nadaje postać przywiedzionego do rospaczy męża, nie chcącego nawet spójrzeć na przeniewierczą żonę.

Aryst.

No, daléj! nie przeszkadzam, dokończ Panie Młody...
O Boże! co ja widzę? co widzę? Także to
Uczciwie postępujesz ty niecna kobieto!

Fircyk.

...... Nic złego nie postrzegłeś po niéj.

---

*) Dwaj lokaje.

Aryst.

Nic złego nie postrzegłem? albo to jest mało,
Że się z takim, jako ty, bawi świszczypałą?
Alboż to jéj nie prawisz andronów tysiące,
Czém, jeśli nie największém bałamuctwem tchnące?
I ja na te krwią zimną patrzałbym swawole?
Cóż na to? Mościa Pani! Prawda w oczy kole!...

Klaryssa.

Mój mężu! żal mi ciebie. Szanuję twe błędy;
I jeśli ci wybaczam, przez te tylko względy.
Wiedz jednak: gdybym nasze chciała plamić łoże,
Lepiejbym cię oszukać potrafiła może.

Żona z za kulissy pokazuje na migi, że się zupełnie zgadza na tę odpowiedź. *Adolf* przyłożył dwa palce do czoła i ukłonił się *Arystowi.*

Aryst *(z największą passją).*

Oszukujże do licha, kiedy o to idzie,
Ale niech mąż o twoim nic nie wie bezwstydzie!
Co też to za świat teraz! Nie rozumiem, jeźli
Można sobie wystawić, jacy to ludzie źli!
O fatalne romanse! romanse niestety!
Wyście nam pokaziły młodzież i kobiéty!
Lecz kiedy gust już taki, kiedy téj morowéj
Zarazy parą wszystkie zawrócone głowy,
Niechże do licha mają na te szkodne jady
Czterech złodziejów ocet — Augustyna rady.
Niech żyją jak chcą sami, niech żyją bezbożnie,
Lecz niech będzie uczciwosć, niech będzie ostróżnie....
Chyba że się z Plebanem moim nie zobaczę.
Czego on co niedziela na kazaniu płacze?
Uroił sobie w głowie ten fantastyk czysty
Jakowychś libertynów? jakoweś deisty!
Po co to? Niech się raczéj tém ozwą ambony:
Mężowie bądźcie lepsi! poprawcie się żony!
Z uczciwością nasz honor nierozdzielnie spięty,
Kto jest człowiek poczciwy, już za życia święty.

Musiał to czuć głęboko, co mówił, i oddał wyśmienicie; a może znalazł sympatję w parterze: bo mu huczne sypnęły się oklaski. *Adolf* zaś i *Emilja*, śmiejąc się serdecznie na migach dawali mu *brawo.*

— *Podstolina* na scenę — szepnął sufler.

Adolf więc, unikając czekających go od zazdrośnika wymówek, i na los szczęścia porzucając frak swój, poszedł na parter.

Reprezentacya sztuki zakończyła się wyśmienicie; ale gdy po niéj oczekiwane zajaśniało przeźrocze, i gdy za niem Pan Euzebijusz zapalił ognie bengalskie, mocny od nich dym siarczysty rozszedł się po stodole. Więc kaszel i kichanie sypnęły się zamiast oklasków, a przekleństwa zamiast powinszowań solenizantowi.

Na dobitkę ktoś z tłumu odezwał się. — Ten warjat karczmę zapali? — Przestraszona zatém publiczność wzruszyła się razem i hurmem wycisnęła się przez wrota."

XII.

Katastrofa i Powrót.

„Nie potrzeba nigdy wymawiać złych proroctw, bo można trafić na feralną godzinę, która je ziści. Na taką bodaj trafił ten, kto, dusząc się dymem ogniów bengalskich, krzyknął. — Ten warjat karczmę zapali! —

Adolf, po reprezentacyi zabawiwszy jeszcze czas niejaki w towarzystwie aktorów, nie mógł się oprzeć potrzebie choć krótkiego spoczynku; a że, podług instrukcyi stryjenki, postanowił porzucić kocioł na miejscu, niewiele więc frasował się o czas, w którym mijać miał rezydencyę Zosi.

Oddawszy zatém grzeczne dobranoc Emilji, a nawet związawszy się słowem, że nie odjedzie bez pożegnania, o co nawet i udobruchany mąż jéj upraszał, na odstąpioném mu uprzejmie, jedynem w kwaterze męzkiéj, łóżku, które dobrém prawem do antreprenera by należało, przysposobił sobie jakiekolwiek posłanie, i z głową na węzełku, w który zebrał swą od Pana Anzgarego odebraną i podróżną z siebie zdjętą garderobę, owinięty szlafrokiem, zasnął głęboko.

— Pożar! pożar! palim się! Gwałtu! Ratujcie! ratujcie!...—

Wrzask taki rozbudził Adolfa; ale rozmarzonemu zdawało się, że mu się śni pożar; i gdy odurzony krzykiem, olśnięty łuną i duszony dymem poznaje niebezpieczeństwo, a nie wié, gdzie się rzucić.... porywa go silna ręka wpół, prze nagle i prawie wynosi na ulicę.—

Tam przy świetle prawie dniowém od pożaru poznał Adolf ratującego siebie Pana Anzgarego. I w sam czas przypadł ten ratutunek: bo karczma stara i słomą kryta cała była w płomieniach; a przepalone balki jedna po drugiéj zapadały.

— Otoż to ognie bengalskie i siurpryzy Pana Euzebijusza! Ot i *morze* spali się...— mówił Anzgary.

Zgiełk był okropny z powodu pożaru.

— Ach panie Anzgary! — rzekł Adolf — jaka pora do żartów? Czy nie możnaby raczéj cóś uratować?—

— Trzeba umieć, Panie Dobrodzieju, żartować z biedy, kiedy jéj zaradzić nie podobna. Masz Pan tu jakąś krobeczkę, którą uważałem, żeś bardzo troskliwie pielęgnował, a zatém ją razem z Panem schwyciłem. Ratując ją, rozumiałem, że tu pańskie pieniądze: ale cóś djabelnie lekka. O reszcie ani myśleć. Patrz Pan, po oknach płomień lata.—

— Tracę garderobę...— rzekł z niejakąś niespokojnością patrząc na siebie Adolf.

— Tu *Sułtan Wampun*, *Cyd Rodryg*, i tylu bohatérów i heroinek, tracą swoję garderobę, a Pan swego fraka żałujesz! Ja nic nie tracę. *Omnia mea mecum porto*. Jakem się położył, tak się i porwałem na odgłos pożaru. Ale Pan jesteś panicz, wygodniś! więc rozebrałeś się sobie szczęśliwie. To jeszcze dobrze, żeś bótów nie zrzucił.

— Cóż się dzieje z Emilją? — zapytał Adolf przerywając to paplarstwo. — Gdzież ona?—

— A!... przeciężeś Pan o niéj przypomniał! Zdrowa! Powyskakiwały wszystkie oknem jak kozy. Nawet miały czas powiązać i powyrzucać tłomoki, a przeniosły się z niémi do karczmy na drugim końcu miasta, gdzie Pan Euzebjusz układa już zapewne plan do reprezentacyi na zysk pogorzelców. Emilja zapytała mnie o Pana, tak, jak Pan teraz o nią, tylko trochę wcześniéj, i, prawdę mówiąc, troskliwiéj. — Ach! Jezus! — krzyknąłem ja — on śpi! — i skoczyłem w ogień. —

Adolf ścisnął mu rękę; a to było wymówniejsze podziękowanie nad wszelkie słówne; i czując się jeszcze bardziéj obowiązanym Emilji, pociągnął za sobą Anzgarego, aby ją koniecznie wynaleźć. Ale gdy się wcisnęli w tłumy; nie byli panami swéj woli i kroków. Pożar stał się okropnym i coraz nowe zajmował domy. Cała ludność wszelkiéj wiary, wieku, stanu i płci. wypłoszona z domów, wrzeszczała, uciekała, niosła tłomoki, lub uwoziła ruchomości na bryczkach i kałamaszkach. Pan Horodniczy stracił głowę: bo szło mu razem o ratunek i całego miasteczka, i własnego domu; wciskał się więc w tłuszczę, roztrącał, tratował, łajał, dawał rozkazy jedne drugim przeciwne, których nikt nie słuchał... Żydowstwo wyło, chrześcijaństwo klęło, a gęsto wzywani djabli na ognistych wiechach słomy i iskrzących się ożogach przelatywali, zda się, z dachu na dach i tańcowali w płomieniach.

Trudno więc było przebrnąć ciasne, gorejące i zaduszone tłumem uliczki, a nawet utrzymać się razem Adolfowi ze swoim towarzyszem. Jakoż oderwany odeń Pan Anzgary zginął w tłumie, a Adolf z krobeczką w ręku został, nie wiedząc co począć i gdzie się podziać... gdy wtem pociągnięto go za szlafrok. Obrócił się i postrzegł swego woźnicę.

— Paniczu! jedźmy—rzekł on.

— Ach! to ty! Gdzież nasz wóz?—

— Stoi caluteńki na końcu miasteczka.—

Nie było czego namyślać się. Westchnął jednak, wspomniawszy na biednych aktorów, a szczególniéj na Emilję, i przeciskając się, szedł za furmanem.

Doszli nakoniec do wozu... Kocioł nieszczęśliwy był na nim, i z kałamaszki zwyczajnéj, rozczepionéj teraz do dna, zrobiła się buda z ogromném pudłem.

Projekta więc Adolfa znalazły się zniweczonémi: bo włościanin wiozący go, mając surowy przykaz od Komissarza zabrania koniecznie kotła i zapłacenia kotlarzowi, z wieczora jeszcze spełnił to oboje; a po téj gorliwości jego poznał Adolf, że propozycyi nawet powrócenia do palącego się miasteczka i zostawienia kotła w pożarze, robić mu naprożno nie należało.

Pomyśliwszy więc nieco, zapytał:—Czy nie ma jakiéj dróżki przez manowce do domu?—

— Ja o żadnéj nie wiém — odpowiedział woźnica — a choćby i była jaka, któż po lasach i błotach jeździć będzie w nocy? Chybaby nas, Paniczeńku, djabeł wodził! —

— Czy miniem dwór Podstolego jeszcze w nocy? —

— I tego nie wiém, Paniczeńku! To półtora mili, a dziesięć pudów i funtów szesnaście przybyło ciężaru. Ale chwała Bogu dészcz zaczyna, ugasi może pożar. Leż panicz do budy. —

— Słuchaj — rzekł mu nakoniec Adolf — jeżeli miniesz w nocy dom Pana Podstolego, dam ci rubla. —

— Powiedz Paniczu dla czego? Czy to zaklęty dwór? A kiedy zaklęty, to lepiéj omijać go w Boży dzień. Ale kiedy Panicz chcesz go prędzéj minąć, to i siadaj prędzéj.

Adolf jeszcze raz zwrócił wzrok na miasteczko.

Wrzaski tam coraz przeraźliwsze rozlegały się.

Dészczyk kropił wprawdzie rzęsisto, nie tak jednak, aby mógł zalać płomień po suchych i starych dachach i domach latający błyskawicą. A zatém ulokował się nakoniec w kotle dobrze ochroniony od dészczu, nie mogąc na zupełną niewygodę narzekać.

— Co to za futro?—zapytał siadając Adolf i znajdując je przy sobie.

— To kurtka lisia Pana Komissarza, którą mi od krawca odebrać kazał. —

Ruszyli. Furman, podochocony obietnicą, nie żałował bicza, podróż więc z początku szła sporo; ale wkrótce groble błotniste opóźniać ją poczęły; a coraz chłodniejszy wietrzyk zwiastował blizką zórzę i zimny poranek.

Adolf uciekał się natenczas do lisiéj kurtki Pana Mateusza i włożył ją na szlafrok. Wnet dobroczynny wpływ ciepła objął go i powieki się ociężać zaczynały! nakoniec znużenie dwóch nocy i zwyczajna przedporanna senność skleiły je zupełnie.... Co mu się śniło? nie dochowało podanie, a raczéj pamięć bohatéra téj powieści. Coby mu się śnić mogło? tego domyślićbyśmy się potrafili, i ozdobić, a przynajmniéj przedłużyć powieść naszą fantastyczném, mglistém, dziwaczném, łudzącém a razem wieszczém marzeniem, w którém zwykle bardziéj i głębiéj brodzi na jawie myśl autora, niżeli wyobraźnia śpiącego. Ja jednak niedoświadczone pióro trzymając na wodzy, opuszczam domysły, i dozwalam spać spokojnie nie tylko Adolfowi, ale i jego furmanowi: bo i ten rozpoczął także

poranną drzémkę, przerywaną tylko kiedyniekiedy machinalném smagnięciem koni, które,

Niosąc, karki, i uszy, i głowy spuszczone,
Zdawały się szanować te ciała uśpione *)
W tém nagle huk okropny zdala się odzywa...

Lecz nie uprzedzajmy kolei wypadków.

Wlokły się więc szkapy po błocie, i przywlokły się do dróg rozstajnych...

O dobry genjuszu zakochanych! zawróć konie na prawo!... zawróć! a uchronisz młodzieńca od konfuzji, która zwróci także drogę życia jego w niespodzianą stronę... Od téj chwili przyszłość jego zawisła... Niestety! instynkt koński los jego w tym momencie determinuje.... W prawo, minie dwór Podstolego zdaleka; w lewo!... Konie stanęły—wzięły bodaj na rozwagę ważny krok, który postąpić miały.

O dobry genjuszu! rozbudź przynajmniéj woźnicę... jeszcze pora... Ach! *fatum* się spełnia... Woźnica, nie otwierając oczu, smagnął po koniach... poszły na lewo!!!

Wloką się jeszcze czas niejaki...

Wtém nagle huk okropny zdala się odzywa
I głosem przeraźliwym powietrze rozrywa,
A kocioł z swéj czeluści odpowiedném echem
Brzmi jak trąba, i śpiących obudza z pośpiechem.
Im w głąb' serca samego krew zbiegła przez żyły;
Grzywy się osrożonym koniom najeżyły;
A zły los, srożąc bardziéj ich czoła ponure,
Tuż przed wozem straszliwą wytacza figurę.... **)
Podstoli—

Ach! tak! był to Podstoli, ojciec Zosi; a ukazanie się jego okropniejszém było dla Adolfa, niż morskiéj poczwary dla Hippolita i jego rumaków.

— Stój! chłopie!—krzyczał on—stój! Co to wieziesz! Kocioł jakiś. Zkąd? dla kogo?.... A tu co we środku? Cóś kosmatego! rusza się! cóś żyjącego! Tfu! człowiek czy bies?—

---

*) Naśladowanie narracyi *Terancena* o śmierci Hippolita w tragedji *Fedra* Rassyna, tłómaczenia Chomińskiego.

**) Ibidem Fedra.

— Na cóżby ja biesa woził? tfu! — odpowiedział furman. — To nasz Panicz, Pan Adolf. —

— A dalibógże to Pan Adolf!—rzekł zdziwiony Podstoli, poznając odwracającego się ku sobie.—Cóż to jest? co tu robisz w kotle? Cha! cha! cha! (rozśmiał się do rozpuku) cha! cha! cha! cha! to jakaś awantura! —

— Żadnéj — odpowiedział opryskliwie Adolf. — Miasteczko B..., w którém nocowałem dziś, spaliło się, i w pożarze straciłem garderobę, a z palącéj się karczmy ledwo w szlafroku wyratować się mogłem. Niech mię więc Pan nie zatrzymuje.

— Jedź! —

— Stój! chłopie! — krzyknął znowu Podstoli — stój! Cha! cha! cha! Kto cię weń wsadził?... Zosiu! Zosiu!

A Zosia, używając świeżego ranku, sama świeża i ładna jak ranek, chodziła po ogródku pod oknem domu, przez nią pielęgnowanym.“

— Dziękuję za piękny komplement — przerwała Podkomorzyna.

„Zosiu!—wołał Podstoli—chodź, chodź tu! obacz swego kochanka w kotle.—

Podstoli, najpoczciwszy i najlepszy na świecie, ale rubaszny i krotofilny człowiek, ani domyślając się nawet, jakie udręczenie sprawia Adolfowi, wołał córki, aby się naśmiać razem.

Nie przyszło mu do głowy, że miłość młodzieńca dla Zosi o stokroć podnosiła w jéj obecności jego miłość własną; że kochany chciałby wszelkiémi sposoby swą powierzchowność ozdobić, we wszelkie doskonałości się ubrać przed wejrzeniem swéj lubéj; że Adolf, lubo dojrzalszéj głowy od innéj młodzieży, lecz tém samém delikatniejszego taktu i draźliwszéj wyobraźni, dotkliwiéj i boleśniéj uczuć musiał ten nieprzystojny sposób okazania się oczom kochanki“...

Uszlachetniasz, autorze—przerwała Podkomorzyna — błahe zdarzenie życia pospolitego, wiążąc je z życiem i wyrażeniem wewnętrzném; wypełniasz swoję programmę. Złapałam cię na uczynku.—

— Tak, Pani!—odrzekł Leon—wypełniam moję programmę, tylko nie tak mechanicznie, jak Pani sądzić zdajesz się, ale wypełniam, „szukając *prawdy* duszy, serca i namiętności, złączonych w *prawdzie* codziennego życia, a służyć mającéj za dowód, że miłość cnotliwa jest także *„prawdą.“*

Zręczne to było i dowcipne przerwanie lektury Leona przez Podkomorzynę: bo miało na celu dać jemu i Adolfowi poznać, że

rozbiór sentymentalny uczuć Adolfa pojętym jest przez nią jako sposób autorskiego kunsztu, uszlachetnienia i zainteresowania powieści, nie zaś jako rzeczywiste opisanie stanu jego serca. Ztąd naturalnie miała się zwrócić Podkomorzyna do źródła, z którego projekt powieści wyniknął, i z zimną rozwagą układając recenzję onéj, dysputować znowu o romansach, a zejść z niebezpiecznéj drogi, po któréj ich autor prowadził.

Odpowiedź Leona zniweczyła ten plan piękny, bo dała poznać Podkomorzynéj, że jest zrozumianą. Sama więc rzeczywiście złapana na uczynku, zamilkła; a widząc blizki koniec rękopisu, postanowiła już dosłuchać cierpliwie.

„A więc krew zbiegła (czytał Leon) w głąb serca Adolfowi, gdy posłyszał głos Zosi:—Idę, papo! biegnę!—

Podbiegła ona do ojca, nie wiedząc, o co idzie. Dobiegłszy, spójrzała, zarumieniła się, jakbyś jéj mleczne lica karminem oblał, i odeszła powolnym krokiem; Adolfowi zaś zdało się, że zabrała w oczy swoje, w serce i w głowę obraz teraźniejszy jego, który zostanie tam już na zawsze i dawny rys jego postaci zastąpi; że odtąd wspomnienie jego, śmiesznością okryte, nigdy szlachetniejszych i czulszych nie wskrzesi pamiątek; że pokazywać się przed nią byłoby obudzać jéj wzgardę, a przynajmniéj poniewierkę... Młodzieniec kochał prawdziwie, myśl więc taka była dlań męczarnią; ale razem zabijając w nim nadzieję, obojętnym go już uczyniła na stan jego teraźniejszy.

Odrzuciwszy więc futro, a biorąc tylko krobeczkę — Ponieważ Pan mię zatrzymujesz — rzekł do Podstolego — dla własnéj, jak uważam, satysfakcyi, przeto muszę pieszo kończyć moję podróż. —

— O! o! gniewa się! gniewa się. Cóż tam takiego? Naturalnie przypadek jakiś, i nic więcéj. Chodź do mojego pokoju; dam ci mój żupan, albo kapotę; przebierz się; albo zresztą siedź i w szlafroku; a tymczasem poszlémy po twą garderobę do Szambelaństwa, zaprosimy ich tu i razem śmiać się będziemy. Poczekaj, powiadam ci. —

Adolf, gwałtem wyrwawszy się z rąk jego, śpiesznie przeszedł dziedziniec.

Zapalona głowa — mruczał, wracając do budynku, Podstoli. — Powiadał podobno, że miasteczko spaliło się. Szkoda, że nie rozpytałem się, czy akta ziemskie ocalały?...—

Tymczasem Adolf, gnany fatalną swą wyobraźnią, szedł tak śpiesznie, że go furmanka dopędzić nie mogła. W parę godzin stanął w domu. Nie czuł się nawet zmordowanym: bo nadzwyczajne wzruszenie umysłu podniosło gorączkowie siłę i rzeźwość ciała. Zaszedł do Kommisarza i posłał do swego pokoju po odzież. Nie odpowiadał na zapytania pana Mateusza; który, gdy całego zdarzenia od przybyłego wkrótce włościanina się dowiedział, odniósł je stryjowi Adolfa. Obaj więc razem, patrząc na ponurą twarz młodzieńca, pocieszać go usiłowali; stryjaszek tém bardziej, że zamiast niewygody podróżnéj, jakiéj chciał tylko Adolfa nabawić, stał się przyczyną jego zmartwienia, chociaż nie pojmował, jak ono głębokiém było; i dla tego gdy Adolf wkrótce poprosił koni dla powrótu do rodziców, zatrzymać go usilnie pragnął; nakoniec się i pogniewał, biorąc za kaprys i upor tak rychłą i niespodzianą do odjazdu ochotę.

Kobieta, tylko kobieta zdolną była zrozumieć i pojąć stan serca i głowy Adolfa. Poprobowała ona, jak biegły chirurg delikatną sondą, jedno i drugie, i uznała, że rany są głębokie; że jątrzyłyby się coraz bardziéj w tych okolicach, gdzie widzenia się z przedmiotem drażniącym je uniknąćby nie mógł. Stryjenka więc, tłumacząc mężowi cały stan rzeczy, konkludowała, że jedynie czas i oddalenie, niwecząc i zacierając powoli w pamięci Adolfa niemiły obraz spotkania się z Zosią, prześladujący go, zagoi rany, a może zwyczajną koleją zgasi i samą przyczynę onych, to jest, miłość Adolfa. W tym jednak ostatnim wniosku omyliła się stryjenka; a stryjaszek, na tę perswazyę pokiwawszy głową, wpół wierząc, wpół niedowierzając i wpół litując się, uwolnił nakoniec wyrywającego się synowca."

— Nie mam końca powieści—rzekł Leon, składając rękopis.

— Jak to?—zapytali obaj słuchacze.

— Powieść, któréj miłość jest treścią, zwykle kończy się weselem. I mojéj takiż sam koniec byćby powinien.—

Podjął znowu rękopis i czytał daléj: „I w rzeczy saméj, ten, który od lat młodzieńczych aż do dójrzałego wieku zachował w sercu jedno, nieodmienne, niezachwiane, jednostajnie tkliwe uczucie dla jednéj osoby; ten, którego samo wyobrażenie jéj wzgardy i poniewierki pognało w świat daleki, w stan inny, i w nadziei zatarcia pamięci błahego zdarzenia i rażącego nieprzyzwoitością ubioru oblekło w świetną wprawdzie, ale niebezpieczną wojskową suknię; ten,

który w niéj, dawnego rycerza przykładem (tak, Pani! dawnego rycerza sercem, uczuciem i męztwem) nieraz się na śmierć narażał, w nadziei, że wieść o jego czynach dójdzie ulubionéj i wartość jego w jéj duszy podwzniesie; ten nakoniec, którego miłość oparła się najsroższéj próbie, to jest, posiadaniu ręki kochanki przez innego... ten gdy wraca nakoniec (a tu czytający rzucił wyrazisty wzrok na brata) z tąż samą żywą, młodzieńczą miłością przechowaną w wiernéj nieskalanéj duszy, i na kolanach błaga o nagrodę“...

Adolf w téj chwili był już u nóg Zofji, porwał jéj rękę i całował z zapałem. Zofja wstała w pomięszaniu i rzewném na klęczącego patrzała okiem,—„i na kolanach błaga o nagrodę.... czyliż ta nagroda odjętą mu będzie, a z nią i szczęście drugiéj połowy życia, gdy przez całą piérwszą za niém jedynie wzdychał?“...

— Zofjo!—odezwał się klęczący zawsze Adolf głosem drżącym, czułym a niepewnym—czyliż ta ręka i teraz nie będzie moją?—A przyciskał rękę jéj do swych piersi.

Podkomorzyna stała czas niejaki w milczeniu; wzniosła nakoniec piękne swe oczy w górę, jakby wzywając Niebios natchnienia i opieki... a opuszczając je potém na Majora—Niech będzie twoją!—rzekła—i oby ci szczęście przyniosła.—

Patrząc z radością na przyszłą parę, autor rzekł:—Otoż mojéj powieści

KONIEC.

PANNA RESPEKTOWA.

Rozmowa z moją Ciocią.

W oddzielnym, małym i ciepłym pokoiku z kawiarni mieszkała moja kochana Ciocia, wdowa od lat kilkudziesięciu, bezdzietna, poczciwa, spokojna babulka. Od rannego mego *dzień-dobry* aż do wieczornego *dobra-noc* modliła się tylko za mnie żyjącego, za męża zmarłego, i za dusze wszystkich zmarłych, a w szczególności krewnych od trzeciego przynajmniéj pokolenia. Kiedyniekiedy pokłóciła się trochę, między modlitewkami, z dziewczętami o śmietankę; ale zawsze dziewczęta ją przekonały i pokonały; i dla tego najlepszą jéj przyjaciółką i faworytką była koteczka ryzka, ładnie centkowana, leżąca zawsze na poduszkach: bo i za napomnienie mruczała tylko, ale się nie kłóciła.

Na stoliku, za którym ciągle siedziała Ciocia, stał krzyżyk srébrny z figurą Zbawiciela, leżało kilka książek do nabożeństwa, na nich okulary, stało lusterko w ramkach filogranowych, pultynek z natkanémi szpilkami i z wiszącą odeń siateczką; w szufladce zaś zapas bieli, igielniczki, naparstki, nożyczki, wiórka, gęsie garełka i tym podobne malutkie sprzęciki, do których babulka nawykła. Ale najgłówniejszym jéj skarbem w szufladce, starannie zwiniętym i obwiązanym, był stary wielki dokument, podklejany na schyleniach i jak relikwie szanowany. Był to, a raczéj jest to (bo go chowam na pamiątkę) zapis wyposażenia jéj przez Księżnę Ogińskę Wojewodzinę na któréj dworze wychowała się, była potém przez lat kilkanaście *Panną respektową*, i nakoniec wyszła zamąż hojnie obdarzona i wyposażona przez swoję Panią i prawdziwą dobrodziejkę.

Ileż razy odczytała mi ten papier! Umiałbym go na pamięć, gdyby zbiór słów szumnych, bez ładu nagromadzonych, mógł się zatrzymać w pamięci, umieliby go sąsiedzi moi, którzy przy każdych odwiedzinach staruszki wysłuchać go musieli; umiałyby nawet dziewczęta, które jedne z ochotą go słuchały: bo to na długo przerywało natenczas uprzykrzony im kołowrótek, tém bardziéj, że po lekturze następowało rozpowiadanie—*ciąg dalszy*, przynajmniéj na godzinę.

— Jaki to sens wysoki!—mówiła moja Ciotunia.—Kto teraz tak napisze?..—A kończyła na ucałowaniu podpisu Wojewodzinéj, i ocierając łzy z oczu składała dokument do stolika. Sens zaś ten wysoki jest takim:

„Anna z Książąt Ogińskich Ogińska Wojewodzina, czynię wia„domo etc., iż gdy przedwieczna Mądrość, w rozmiarze i rozporzą„dzeniu dzieł swoich hojnym szafunkiem naturze ludzkiéj, udziela„jąc wszelkiéj doskonałości, przeznaczyła żądze człowieka pozysku„jąc *subsidialiter* podobnychże pomocy, i zarazem wtenczas w skłon„nościach rodzaju żyjących udysponowała moc sympatyi, któréj do„skonałość i dzielność tak skuteczném utwierdzone są natchnieniem, „że wybadane serca ludzkie przenikając swoją własnością w najtęż„sze i żadną miarą nieroztargane tak dobrze łączą związki, że cnota „i przyjaźń w zobopólnéj konsekrowane ofierze, najpłytszym przeci„wności ostrzem przecięte i rozdzielone być nie mogą. A ztąd nie„śmiertelnéj sławy rodzaj chwały dzieł i zasług swoich, doskonałe „*in aevum procreat* pożytki: że tedy sprawiedliwe doskonałéj sym„patyi dzieło, utwierdzając prawo mocy swojéj żywe w osobach Pa„na *Józefa Rokickiego* Kapitana i Wielmożnéj Jmć Panny Katarzyny „Borejkówny Regentówny, przepisała regułę. Zaczém JO. Księżna „Pani i najosobliwsza Dobrodziejka *patris materisque gerens* (to się „podobno znaczy (tłómaczyła w tém miejscu moja Ciotunia), że mój „ojciec był *Vice-Regent*) w niewysłowionéj dobroci widząc, iż wzaje„mne serc inklinowanych skłonności, sposobem *simpatico impulsu*, „skryte wyroki do determinowanego końca swego doprowadzić usi„łują: natenczas takowemu *non derogando* i godnym szacunkiem „estymowane zasługi przez niemały czas *respektowéj* swojéj Panny „Regentówny Borejkówny u dworu swojego praktykowane, rekogno„skując, niemniéj dobrowolną a nieprzymuszoną *utriusque partis* „przenikając wzajemność, powagą i konsensem *haec vota coronando*, „czas ślubu na dzień 26ty Julii teraźniejszego 1777 roku determi„nuję, i wnosząc nadzieję w przyszłym czasie i należytéj wdzięczno-

„ści, *pro exdotatione in sortem* Panny *Katarzyny Borejkówny* Re-„gentówny, piętnaście tysięcy złotych Ja Wojewodzina Ogińska ze „skarbu mojego *parata pecunia* wyliczyć i dać deklaruję" i t. d. *).

— Więc, moja Ciociu! — rzekłem przy jednéj takiéj lekturze — *Panna respektowa* była to panna służąca? —

— A co Wasan gadasz? Ani służąca, ani *jurgieltowa.* —

— Ależ przynajmniéj, moja Ciociu, zdaje mi się, że była zawsze starą panną? —

— Ach! ja nieszczęśliwa kobiéta! co Wasan gadasz? Owszem, każda prawie *respektowa* wychodziła zamąż: bo pan konkurent był pewny, że będzie i posag, i wyprawa, i dalsze Pańskie fawory. Ja sama, toż widzisz Wasan z dokumentu, byłam *respektową* u księżnéj Wojewodzinéj, *Panie! świeć nad jéj duszą!* i z jéj dworu zamąż wyszłam za nieboszczyka mego Józi, *Panie! świeć nad jego duszą!*

— Ależ i Ciotunia Dobrodziejka miała z półkopy latek, gdy Pan Kapitan .... —

— A co Wasan gadasz? Miałam lat dwadzieścia z górą .... —

— Mniejsza o to, moja Ciociu! Jednakże jakież były obowiązki Panny respektowéj? —

— Obowiązki? Żadne obowiązki. Widzisz Wasan, bywało na każdym wielkim dworze było kilka godnych panienek, które składały *fraucimer* saméj Pani. Czy Wasan rozumiész, co to znaczy *fraucimer?* —

— Rozumiém, moja Ciociu, rozumiém. —

— Bo choć to słowo niemieckie, ale u nas nie po niemiecku było: wszystko bogobojnie, chędogo i pięknie. Na dworze Wojewodzinéj było nas ze sześć. Podczaszanka *Miłkowska*, która potém wyszła zamąż za Plenipotenta Pańskiego Pana *Snopkowskiego.* Za zasługi dali mu Państwo folwark w dożywocie i posag z wyprawą Pannie Podczaszance. Własną także miał on substancyę. Dziatki cóś im nie hodowały się. Z pierwszego połogu Pani *Snopkowska* miała bliźnięta, synaczka i córeczkę. Na chrzcie świętym dano im imiona: Adaś i Ewka; a do chrztu synka trzymał Pan Wojewoda ze mną, a córeczkę Pani Wojewodzina z nieboszczykiem moim potém mężem, który właśnie na tych chrzcinach powziął myśl konkurować do mnie, Już to widać taka była wola Boża: bo i ja .... —

---

*) Z oryginału prawdziwego i tamtowiecznego.

— Ale, moja Ciociu, nie o tém mowa! —

— A o czémże ja chciałam mówić? —

— O *Pannach respektowych*. Może Ciocia teraz zatrudniona, to innym czasem.... —

— O, nie! w cale nie! tylko mnie nie przerywaj, bo zbijesz z drogi. Otoż mówiłam, było nas sześć. Czasami mniéj, czasami więcéj. Najstarsza jednak *réj* wodziła; i jeżeli się Pani podobać umiała, to zostawała *respektową*, aż póki Bóg jéj losu nie dał: a młódsze to *rezydentki*, choć także były na respekcie Pani: to jest, że wszelkie miałyśmy od Pani opatrzenie, i do stołu Pańskiego siadałyśmy codziennie, choćby i przy gościach. Już to taki trzeba było na *respektową* być w stałym wieku, i mieć rozum doskonały, aby umiéć zrobić sobie *rum* w każdéj kompanii, i aby się Pani nie powstydziła za swą *respektowę*, która zawsze była przy jéj boku.

— Po Pani *Snopkowskiéj*, ja zajęłam jéj miejsce przy Pani Wojewodzinéj; i chwała Bogu, Panie! świéć nad jéj duszą! polubiła mnie bardzo.

— Bywało siedzę sobie wygalowana w pokoju paradnym; szyję cokolwiek albo tamburuje dla Pani (ale w ręku, bez krosienek: bo w krosienkach, to robota *rezydentek)*; zawsze jednak muszę być ubrana pięknie (co mi łatwo bywało było: bo Pani Wojewodzina z własnéj garderoby udzielała mi hojnie) i gotowa jestem do przyjęcia gości, zwłaszcza Dam; a choćby i Ichmościów, zastępując Państwo, nim się ukażą na pokojach. To potrzeba bywało było umiéć i dyskurs poprowadzić, i grzecznie zabawić. Ale kiedy się zebrała wielka kompanja i na dni kilka, to był osóbny obowiązek dla *Panny respektowéj*, nastręczany jéj umyślnie dla pewnych gratyfikacyi i obrywek.

— Bywało raniéj od wszystkich wstawszy i wysznurowawszy się rażnie, ubieram się w suknię materjalną, i w pięknéj chusteczce bławatnéj, zapiętéj na piersiach, w trzewiczkach atłasowych na korkach, narzucam na wierzch, kiedy zimą, *demisalopek* kitajkowy, popieliczkami oszyty, a kiedy latem, *rańtuszek* jedwabny, i idę do gości, a za mną niosą hajduki wielkie srébrne tace z kawą, z garnuszeczkami wybornéj śmietanki, i z koszami także srébrnemi cwejbaczków, takich smacznych, jak ja Wasanu piekę. Wchodzę, znajduję czasami Ichmość w łóżkach; ale to nic nie szkodzi: bo taki honor robił się tylko osobom wysokiéj godności i weteraństwu. Dygam tedy pięknie przy drzwiach. Pani moja przesyła JWW. Państwu

dzień-dobry—powiadam. Tu mnie witają solennie; przepraszają, że zaspali; a ja tymczasam rozkazuję nakryć stolik holenderską jak atłas serwetą i ustawuję kawę. Pytam się o zdrowie—czy Jejmość Dobrodziejka nie potrzebuje *ziółeczek*, albo *herbaty?*—którą teraz Wasaństwo szklankami pić zaczynacie, a któréj u nas bywało tylko dla zdrowia, kilka szczyptek w całym domu, na *raritas*, i to w aptece kupionéj. Podyskuruję trochę, i idę daléj do drugich pokojów gościnnych. I tak każdéj godnéj parze dogodzę. Powracam potém do Pani; donoszę, jak się mają goście, i czekam ciekawie w moim pokoiku powrótu tac, które hajduki prościuteńko do mnie, nic nie ruszając, odnoszą.

— Rezydentki wszystkie zbiegają się do mnie, a czasem i Pani w pudermanie przyjdzie z ciekawości, jak wystąpią gościnne Panie z swoją hojnością? Żadna taca próżna nie wróci: jedna będzie nakryta piękną chustką od kilkunastu czerwonych złotych; na drugiéj materjalna suknia, na innéj piękny rańtuszek; już to najmniéj, kiedy pudełko wstążek, albo korunka brabancka. Pieniędzy nigdy, bo to się nie godzi; ale kilka razy znalazł się i piękny pierścioneczek, i para kolczyków, i rozmaite inne cacki znacznéj ceny. A że znakomici goście często bardzo odwiedzali dóm Państwa Wojewodów, więc szlachciance przybywało wyprawy bez pracy i kosztu. Gdzież teraz tak?... gdzie teraz takie *respekta?*... gdzie takie Panie dobroczynne i bogobojne? gdzie?... *Panie! świeć nad ich duszami!*—rzekła, podnosząc wyschłe ręce w górę...—A *psik! a psik!* Kotka skoczyła na *gieranium*...—

A ja, profitując z tego roztargnienia, wyszedłem i uniknąłem dalszych dziejów młodości mojéj Ciotuni. Niestety! wkrótce na mogile ostatniéj *respektowéj* w Litwie zmówiłem: — *Panie! świeć nad jéj duszą!*—

OBRAZY
LITEWSKIE.

SERYA PIĄTA.

Dworki na Antokolu.

I.

Znikły już z ulic i nazwań miastowych *Dworki*, któremi niedawno przedmieścia miast większych, i niektóre mniejsze miasteczka gęsto były zabudowane. Były to zwykle mierniejszéj szlachty na starość schronienia, i jéj cnót i obyczajów przybytki.

Stare małżeństwa zdawszy gospodarkę dzieciom, kupowały sobie *dworki* w mieście, i spokojnie przy chwale Boskiéj pędziły wiek podeszły; karmiąc najczęściéj jeszcze, i opatrując wnuków, chodzących tamże do szkoły.

Nie jedna ciepła i podstarzała wdówka, dostawszy od nieboszczyczka męża, dworek na Antokolu, czy pod Zielonym Mostem na dożywocie; uciekła doń z gotówką od pasierzbów, wychowując także przy sobie, ze dwie siostrzeniczki lub synowiczki, z któremi nie opuszczała festów w każdym kościele, i dla których gdy podrosły i wyładniały, sprawując wieczorynki i wabiąc *Mościpanów*, sama podróżowawszy się trochę, młodsze swoje przypominała latka.

Niekiedy osiadł we *dworku*, marcowy podsiwiały kawaler, bywalec na świecie, *wędżega* spekulant, z niewielkim zapasikiem grosza; i mały przekupny, drzewem, zbożem, miodkiem, i wszelkiemi wiktuałami prowadząc handelek, nie pracowity a swobodny wiódł żywot.

W miasteczkach pańskich, przyległych zwykle wspaniałym zamkom i pałacom, *dworki* zamieszkane bywały przez wysłużonych *gracyalistów*, żyjących z ordynaryów dożywotnich i modlących się do Boga za swych *benefaktorów* i chlebodawców.

W miasteczkach zaś sądowniczych, prześwietna palestra budowała sobie dworki, i w nich bywał kantor jurystowskich *konsyliów* i statutowych *sentencyj*, z tą różnicą w ich położeniu: że gdy tu

obok dworku Pana *viceregenta* lub *adwokata*, stał często brudny szynkowy dom żydowski, w miastach większych *dworek* szlachecki, nie zniosłby tego uwłaczającego sobie sąsiedztwa, i takim lub owakim sposobem wykurzony żyd, uciekaćby musiał między swych jednowierców.

Dworki miejskie i ich gospodarze, mieli swoje jakby attynencye i śpiżarnie na wsi: krewny, przyjaciel, sąsiad dawny, ksiądz Proboszcz parafii, w któréj się piérwéj mieszkało, lub jego komendarz, przyjeżdżając do miasta za interessami, nie frasował się bynajmniéj o wikt i kwaterę. Zajeżdżał śmiało do *dworku* swych życzliwych, jak do własnego; a oddawszy do śpiżarni Imości baryłeczkę staruszki, i inne zapasy przywiezione, pewnym był smacznego barszczu, pieczeni, i jakiegokolwiek jeszcze miejskiego specyału, którym miłego gościa uprzejma gosposia częstowała. Mieścił się zaś jak mógł, bo wzgląd na wygodę, nie był jako dziś, na szczególniejszéj uwadze, a poczciwa drużba i uprzejmość wzajemna, nagradzała niedogodność lokaty.

Wśród miastowego zgiełku, *dworki* wiązały się w osobne towarzystwa: jednostajność wieku i trybu życia mieszkańców, *konfraternia* w bractwach, wspólne obchodzenie festów i uroczystości; a nadewszystko wzajemny szacunek szlachectwa, a ztąd wzajemny *affekt* i *respekt*, spokrewniały ich mieszkańców, i rozlewały pokój i zgodę na tę maleńką rzeczpospolitę, złożoną z Panów Skarbników, Podczaszych, Derewniczych, Mostowniczych, a w rodzaju żeńskim Podczaszaneczek, Skarbnikówien, i t. p. piastujących te honory *per viam haereditatis* od trzeciego częstokroć pokolenia!... Jeżeli zaś i wmięszał się między nich jaki woźny emeryt; jako szlachcic, miał wprawdzie uczęstnictwo w tém poważném gronie, lecz przybierał tytuł *Generała*, nie ubliżający ich dostojnemu kolężeństwu.

Ktoby chciał widzieć razem wszystkich tych zacnych jegomościów, niechby się udał do najbliższego ich rezydencyi kościoła, na piérwszą mszę ranną; znalazłby całą ławkę, przed którymkolwiek uprzywilejowanym ołtarzem przez nich zajętą, mógłby z niemi razem zmówić różaniec, i przypatrzyć się tym poczciwym obliczom, których czerstwość i gracki rumieniec, czynił omyłką małą czupryne siwych włosów, na wierzchu wygolonej głowy, jakby na datę

ich wieku zostawionéj; i na których prosta i prawdziwa pobożność, w serdecznych modłach, i w oczach ku świętéj ofierze wzniesionych, pałała.

Ktoby zaś chciał widzieć same Imoście, ciotulki i babulki, z assystencyą siostrzeniczek i wnuczek, miałby się wybrać na wotywę, i opuściwszy piérwsze, zlustrować drugie i trzecie ławki; spójrzeć jak zajmując rubrontami szerokie w nich miejsca, i wrzekomo modląc się gorliwie z książek, poważne matrony nie spuszczały jednak z oka swych drobniejszych krewniaczek, a śledząc za ich oczkami, często nieostróżnie ukradkiem, na bok rzucanemi, przerwały swoje *módlmy się*, gorzką panienkom przymówką: — „gdzie waspanna zirkasz, czy to obrazek w téj węgierce?“

Zachowajmy tu jeszcze i topograficzne opisanie dworków. W Wilnie kamienice wzrosły na ich miejsce, albo jeżeli gdzie został który w zakątku, to przystrojony firankami w nizkich swych okienkach, a upstrzony wewnątrz, z poczciwego jakby szlachcica, został ladajakim paniczem. Stara zaś generacya mieszkańców jego wywlekając się powoli na cmentarze, nowym ścianom i nowym dziedzicom, pozazdrościła bodaj dawnéj swéj prostoty obyczajów i przymiotów, i do grobu je z sobą zaniosła.

Dworek więc zwykle w głębi dziedzińca zbudowany, miał naprzód sień wielką; w niéj magle, pod wschodami prowadzącemi na porządne i zamczyste poddasze. Od sieni na jedną stronę mieszkanie Ichmościów; to jest: wielki pokój, drugi mniejszy za przepierzeniem, trzeci jeszcze mniejszy, graniczący przez ścianę z poważną w sieniach pieczurą, i równejże z nią obszérności; zakanurek to panienek lub chłopców uczepionych do familji.

Gdybym chciał wnętrzne ozdoby tych izb opisywać, musiałbym powtórzyć z małą odmianą opisanie *domku mojego dziadka* *), bo w każdém szlacheckiém domówstwie, obraz Zbawiciela, lub Matki Boskiéj, stanowił główną ozdobę izby i orędownictwo rodziny. U możniejszych, szafa królewiecka dębowa, w filogranowe floresy wysadzana, rzeźbą sztuczną ukoronowana, i mosiężnemi antabami ozdobnie okuta, szérokiemi plecy swemi podpierając ścianę, chlubą była gospodyni, a solą w oku sąsiadkom. Zresztą, kanapa nieco wygo-

---

*) Serya I. Obrazów Litewskich.

dniejsza i kształtniejszéj formy, kilka przy niej raźniejszych krzeseł, miejską we dworkach objawiało *politykę*: przy piecu jednak od kominka stał ukochany zedelek, na którym częściéj i chętniéj niżeli na kanapie, zwłaszcza w zimie, domowa sadowiła się gromadka. Za przepierzeniem, łóżka ichmościów, nad niemi obrazków w ramkach i bez ramek cała litania; a między łóżkami pod oknem, stoliczek imości, białemi falbanami aż do dołu opięty, na którym lusterko z szufladką i kilka a czasami i kilkanaście książek do nabożeństwa, leżało.

W ciasnym nakoniec alkierzyku, łóżeczka panieńskie, za krótkie trochę na ich wysmukłe figurki; a w kątach kuferki, na których nie tylko same ich właścicielki, ale niekiedy i *estymowany* a *akceptowany konkurent*:

„U nożek swojéj kochanki
„Trawił wieczory i ranki.“ *)

Na przeciwku jedna obszérna izba czeladna i kuchnia razem, uzupełniała rezydencyą sług i panów.

Rozporządzenie dalszego zabudowania: stajeń, spichrzów, i rozmaitych składów, zależało od *substancyi* i sposobów wybranych do utrzymania się w mieście właściciela, lecz zawsze w głównym planie jednostajne, otaczało dziedziniec, szczélną bramą zamykany, w środku którego studnia dachem pokryta, częstokroć sama jedna kilka dworków poiła.

Ogródek rozlegał się za dworkiem: w nim kilka lip starych, kilka grusz i jabłoni, pod których cieniem, ujrzałbyś jegomościa siedzącego na ławce z dobrym sąsiadem, i popijających razem *Balbierzyskie* piwko, sławne niegdyś na całe Wilno; a w *kordyalném* wynurzeniu wzajemnych *affektów*, i w spokojném zadowolnieniu ze swojego bytu i stanu, *dyszkurujących* poufale, a kończących dyskurs składaną sentencyą:

„*To pan zdaniem mojém!*“ Mospanie!

„*Kto przestał na swojém!*“ Mości Dobrodzieju! — i oba siwego pokręcali wąsa.

---

*) Dawna piosnka.

II.

Rodzina Dowiatów.

W drugiéj połowie panowania Stanisława Augusta, rodzina szlachecka *Dowiatów*, mająca w rozległym natenczas Oszmiańskim powiecie, swoje dziedzictwo i ziemię nadaną jéj, jak twierdziła, *ante unionem* jeszcze, przeniosła się prawie cała do Wilna; a tylko najmłodszy ze czterech braci został na ojcowiznie.

Najstarszy X. Ambroży, niegdyś za młodu sławny trybunalski mecenas, teraz Trynitarz, i *Procurator Causarum* klasztoru antokolskiego *Fratrum de redemptione Captivorum*, mieszkał w tymże klasztorze.

Z kolei Pan Kazimierz Podczaszy Smoleński, *sterilis* w kilkodziesięcioletnim małżeństwie; po długich naradach z ukochaną swą połowicą, i z księdzem bratem Ambrożym, mającym tak ze starszeństwa, jako i ze stanu swego najważniejszą *preponderencyę* w konsyliach familijnych, dał *valetę* gospodarce, z rozmaitém powodzeniem na possessiach prowadzonéj; a oddawszy kapitalik na *prowizyę*, kupił *dworek* na Antokolu, w którym się na resztę żywota swego, oboje Podczaszostwo zalokowało, wchodząc ochotnie w zwyczaje i obyczaje pobożnego i podeszłego jak oni sąsiedztwa.

Pan Franciszek, trzeci z rodzeństwa, od młodości przykładem najstarszego, u którego się aplikował, ująwszy się trybunalskiéj kratki, długo *dependent*, dłużéj *agent*; nakoniec *patron* najjaśniejszéj magistratury; bezżenny Skarbnik *re et nomine*, bo chodząc około interessów jednego z panów litewskich, wymówił sobie oprócz zwykłego *honorarium*; *per modum* gratyfikacyi *stallum* powiatowe. Jakoż pan Wojewoda przywiózł mu z Warszawy *Skarbnikowstwo Oszmiańskie*, *munus* i tytuł, wcale do natury pana Franciszka stosowne. Lubił on bowiem pieniążki, zbierał je skrzętnie, chował pilnie, wydawał jak najmniéj; więc miał rzeczywiście piękny skarbek

i na obligach i w szkatule, która dla bezpieczeństwa w klasztorze u księdza brata pod łóżkiem spoczywała. Kupił zaś sobie za kilkaset talarów *dworek* także na Antokolu, i w nim klientelę swą założył. Tym sposobem trzech braci znalazło się osiedlonych obok; a przy nich, i najmłódszy brat gospodarujący na wsi, ojciec jednego syna i kilku córeczek, pouczepiał starsze swoje dziatki: bo Podczaszyna wzięła do siebie Helusię ładną kilkanastoletnią jego córeczkę, którą jakby własną ukochała, a pan Skarbnik wziął pod swoją *manudukcyę* i do palestry sposobił syna ich pana Ludwika. Chłopak ten pięknemi przymiotami, obiecywał ozdobę zacnemu imieniowi Dowiatów; lecz pan Skarbnik nie upatrywał w nim, jak powiadał, ani potrzebnéj aplikacyi co pracy, ani ochoty i *animadwersyi* do *patrocynii.*

III.

Pan Skarbnik jako Mecenas Trybunalski.

Pan Franciszek Dowiat, któremu osobny jeszcze rozdział poświęcić musiemy, był w rzeczy saméj jednym z piérwszych patronów w Litwie.

Lecz potrzeba nam tu objaśnić wprzód i wytłómaczyć, charakterystykę tamtoczasowych, a nawet bliższego nam wieku prawników i prawniczych talentów; w jednostajnym zawodzie, rozmaitych wszakże, nie tak nauką prawa, bo statut i konstytucye wszyscy na pamięć umieli, jak raczéj szczególnym usposobieniem i zdolnościami ku różnym odnogom prawnictwa i processów.

Jak w wojennym rzemiośle, nie każdy wódz równie jest zdolnym do komendy wszelką bronią, ani równie biegłym w układaniu strategicznych planów, jako i w ich wykonaniu pod ogniem nieprzyjaciela; a także do głównego dowództwa, jako i do mniéjszych potyczek; tak i w mnogiéj liczbie palestry, otaczającéj niegdyś wszelkie sądownicze juryzdykcye, nie każdy z ichmościów patronów był razem *executivus* i *tęgi do planów.* Były głowy i języki zdolne szczególniéj do akcessoryjnych utarczek, jak kozaki do podjazdowéj wojny. Dwadzieścia razy zaattakował on z różnych stron przeciwni-

ka, odparł go do główněj rozprawy, zmęczył, zbił z planu, zmitrężył, i tak go zaplątał, że musiał się cofnąć koniecznie i odłożyć kampanię naprowadzoną na wątpliwą drogę: a nadto z urywkowych tych dekrecików, jak ze wstępnych potyczek, wygranych czy przegranych, wyrozumiał on *praetcr propter animusze* sędziów, siłę adwersarza, i stosowne potém układał plany, lub wróżył *ewenta.* Inny mniéj zręczny w takich obrótach *ex promptu;* do stateczniejszéj *procedury*, do oczewistéj rozprawy umiał długie sposobić indukty; które, jako niegdyś poważne znaki pancerne, przemożnie łamały nieprzyjaciela; a széroko i umiejętnie rozwinionym szykiem dowodów, artykułami statutu jakby ciężkiemi działami po lukach wspartym, patrzyły go natarczywie.

Byli znowu tacy, którym ściany izby sądowéj, przygniatały jakby głowę i wątliły dowcip: taki, trzech tam zliczyć nie umiał. Ale za toż na polu otwartym, pod gołém niebem, usta mu się rozwiązywały, gieniusz się w nim ożywiał i rozpłomieniał!!! To *natus* plenipotent sądów granicznych i podkomorskich. On z dokumentem *juris haereditatis et granicierum* stanąwszy na polu, oprowadzał naokoło wzrok szeroki.... a zadartym nosem, przenikliwą źrenicą, i jakimś jasnowidzącym zmysłem, śledził i zda się wietrzył: flasze trojniaków w kopcach dawnych, wraz z niemi w ziemię zapadłe, zaorane miedze, wyschłe wodociecze, i kléjmy w rdzeniach stoletnich dębów ukryte.... słowem, tłómaczył i stosował stary i zbutwiały *mantyk* tak ściśle i doskonale, jak gdyby sam go przed wiekami pisał, a teraz zmartwychwstał jak Piotrowin, dla dania świadectwa prawdzie.

Inni nakoniec szczególniejszym słynęli talentem, gdy *Causam facti*, przez *inkwizycye* i *indagacye* prowadzić trzeba było; i albo się obronić od zadawanéj *violencii*, albo ją na przeciwnika wrzucić.

Opinia publiczna, ták dalece te działy upowszechniała, tak one wszystkim wiadomemi były; że ktokolwiek z ważną sprawą i z možną szkatułą, przychodził do sądu; musiał stosownie do nich rozdzielać powód, czy obronę swoją, aby być pewnym, że interes z reguł prowadzonym będzie, i że nic się w nim *contra gradum juris* nic stanie.

Pan Franciszek samą swą postacią i obliczem, łatwoby dał odgadnąć, do jakiego działu jurystów należał, gdyby powszechnie nie wiedziano jego przymiotów.

Miał on lat około pięćdziesięciu, lecz wiek nie czynił żadnéj prawie różnicy, ani na jego postaci, ani na jego twarzy, w czwartym już krzyżyku tak zawiędłéj, że piąty pomarszczyć jéj nie mógł. Twarz tę z natury ściągłą i bladą, ospa poszczepała, i piegi pokropiły. Oczy szare, spuszczone zawsze ku ziemi i martwe na pozór, gdy się jednak podniosły, i stale na kogoś wlepiły, pochłaniały w sobie nie tylko wszystkie wyrazy, ale i wszystkie myśli napróżno za wyrazami kryć się usiłujące. Włosy nad brwiami równo jakby pod linię ostrzyżone, zakrywały mu czoło, a z tyłu głowy szérokim wachlarzem na kołnierz spadając, odróżniały pana Skarbnika, od starych, z mody już natenczas wychodzących łbów golonych, i młodych wchodzących w modę werżetów, a uzupełniały regularną swą składnością, postać sensata i statysty, za jakiego między kolegami uchodził, i jakim on był nie tylko z natury, lecz i z przekonania, że takim być powinien Mecenas trybunalski, i urzędnik ziemskie zasiadający *stallum*.

To też gdy w swojéj cynamonowéj, długiéj po pięty, széroko i ściśle fałdowanéj u stanu taratatce, pasem pół-litym gładko po połowie rozgraniczony, z krwawą szpinką na szyi, z krwawemi dewizkami u *pektoralika* i krwawym herbowym na ręku pierścieniem, przesuwał się poważnym krokiem pan Skarbnik między szumną i zarozumiałą palestrą trybunalską, ustawały wnet żarciki i docinki, witające każdego, rozsuwała się młodzież, a starsi uprzejmą podawali mu rękę: bo chociaż go znali twardym skępcem, i zimnym a przebiegłym pedantem, nie mogli mu wszakże odmówić pewnego respektu, wymuszającego się zwykle w towarzystwie dla podobnych rygorystów. Od razu więc jakém to powiedział, poznać można było, że pan Franciszek mniéj zdolny do akcessoryjnéj urywkowéj wojny, należał do działu znakomitszych mecenasów, ciężkie tylko i stałe podejmujących prace. Nie przyjmował nawet małych szlacheckich sprawek, na których czas marnując, małych też i oczekiwać mógł korzyści. Ale główne plenipotencye najpiérwszych panów litewskich i ich stuletnie processa, kreował lub godził: bo częstokroć półarkuszowy na jednaniu dokumencik, obustronne przynosząc *sufragia*, ważniéj się mu opłacił, niż *volumina induktów* i *replik.*

Mówiąc mało, słuchając cierpliwie, z powinną dla każdego *reverencyą*, z ręką lewą skromnie za pas założoną, a prawą do gestykulacyi także skromnéj gotową; szepcąc tu i ówdzie po słówku, ale trafnie, ale *ad rem* i *ad hominem*, pan Skarbnik więcéj sobie jednał

zaufania, niżeli nieuważny krzykacz, tłumiący bardziéj, niżeli przekonywający stronę i sędziów.

Praca i oszczędność, były natenczas godłem ludzi poświęcających się prawniczemu powołaniu: z tym podwójnym przymiotem dochodzili oni z czasem do znakomitego mienia, i do znakomitego znaczenia. Celował w obu tych przymiotach pan Skarbnik, a w drugim szczególniéj był arcy-mistrzem, korzystającym z każdéj zręczności przytrzymania grosza w kieszeni. I dla tego nie miał on własnéj kuchni: izba przeciwkowa we dworkach zwykle na ten cel przeznaczona, u pana Skarbnika była kancelaryą, w któréj aplikanci, poczciwa hołota, karmiła się tylko nadzieją, że z pod ręki takiego mecenasa powychodzą na ludzi; do strawy zaś codziennéj, nie mieli pretensyi nawet, gdy sam dostojny mecenas cudzą się posilał.

We środy, piątki i soboty, aby się nie narazić przypadkiem na uchybienie trzeciemu przykazaniu kościelnemu, szedł pan Skarbnik nieodmiennie na obiady do klasztoru do xiędza brata; a za to modyfikował się w regalizacyi, często mu należnéj za attentowanie interessów klasztornych. A gdy czasami odezwał się ze skargą, na skępstwo Prokuratora *causarum*, to ten nieuważając na braterstwo, wręcz i bez ceremonii zamykał mu usta: „Oho! dość będzie Waspa-„nu! Co tydzień zjadasz nasze szczupaki, nie licząc niedzielnéj pie-„czeni, na którą z kościoła niby przypadkiem zachodzisz: poracho-„wawszy się więc, jeszczebyś nam zdać resztę powinien. Do czego „to przyszło! Miły Boże! Dawniéj palestrant za ośminę bobu *proli-„xo sermone* dwie godziny gadał *corum judicio*, a teraz Waspanom „czy od bogatego, czy od ubogiego, a nawet od duchowieństwa, „ostatni grosz radzibyście z kality wyciągnąć.”

Pożywał cierpliwie ten duchowny obrok pan Franciszek, bo chciał zawsze pożywać i obiady, a prócz tego miał jeszcze inne powody respektowania starszego brata, o których niżéj się dowiemy.

Po przeniesieniu się pana Podczaszego do *dworku*, tam był jeszcze dlań talerz codzień gotowy na obiady i wieczerze; ale nie koniecznie go potrzebował pan Skarbnik: liczni bowiem lityganci, których on processa kreował, przemieszkujący w Wilnie, częstowali go tém ochotniéj, że skromny w napoju, wbrew powszechnemu na-

tenczas jeszcze zwyczajowi, zaspokoiwszy głód, lekkim podpiwkiem gasił pragnienie, a wina nawet cudzego nie pijał.

Nakoniec kilka dziedziczek sąsiednich *dworków*, babulek na dewocyi w mieście osiadłych, wywdzięczając się mu za opiekuństwo, protekcyę i porady, modliły się zań codziennie, i miały pilne staranie o małych wygodkach pana Skarbnika dobrodzieja, jako to: o wyśmienitéj kawie zrana z wyborną śmietanką, o ziółeczkach i essencyach w niestrawności żołądka, i o wszelkich innych, w których troskliwość ich pożyteczną mu być mogła.

Takim sposobem uwolniwszy się pan Franciszek od kłopotliwych zatrudnień względem swego wiktu i najgłówniejszych potrzeb, mógł cały czas swój poświęcać obowiązkom swego powołania.

IV.

A p l i k a n t y.

Około długiego stołu w przeciwnéj izbie pana Skarbnika, siedziało czterech młodych golców, w wyszarzanych kapotkach, i pisało pod dyktacyą jednego z nich najstarszego, jednostajne pozwy: „mieniąc oto“ *), zawołał on dobitniéj:

— A czy nie przyniosą nam dziś piwa i pirogów z makiem z klasztoru?—przerwał jeden rzucając pióro. Co myslicie, ciemno już — odpoczniem — a ja pobiegnę do szafarza i powiém, że pan Skarbnik prosi o dzban piwa i półkopy pirogów. Dziś środa: suszym jak Bóg przykazał, a Skarbnik suszy nas jeszcze gorzéj nad piórem — dobrzeby się posilić! głodny jestem jak Kapucyn.

— *Patientia omnia vincit* **) — rzekł dyktujący. Wasan chciałbyś nie popracowawszy od razu zostać mecenasem, choć jeszcze mléko pod nosem.

*) Termin zwyczajny w dawnych pozwach, przed wypisaniem treści kładnący się.

**) Cierpliwość wszystko zwycięża.

— A u wasana wąsy pod nosem, i zaraz posiwieją, a jeszcze *pizus* w kieszeni: nie wiém czy pomoże i oracya którą skoncypowałeś, i napisałeś nad naszemi drzwiami.

— Jak to nie pomoże? obaczysz jak się nam z niéj posypią talary.

— Które wasan od nas w *elbecwelba* wygrasz, pociągnąwszy po swojemu — rzekł drugi chłopak kręcąc głową.

— A gdybyśmy i zaprobowali, he? — odezwał się pan Rafał dyktujący, dobywając karty z kieszeni.

— A jak nadejdzie *insperate* Skarbnik i wsunie się z cicha — wiesz z onegdajszego, jak on kosterstwa passyami nie cierpi, kiedy wasana chciał wypędzić.

— A prawda — rzekł chowając nazad karty. — Nie da on nam próżnować, ręczę że wraz przyniesie świeczki, i każdemu pod nosem zatknie.

— I nie da wieczerzy — odezwał się drugi; — jabym miał i wyśmienitą, ale daleka wędrówka do cioci.

— Łatwiéj wasanu — rzekł znowu najstarszy, — hodujesz się jak pączek w maśle, będąc na sumptcie cioci, i jakiejże jeszcze cioci! Panny matki Ś.-Michalskiéj. Ot mnie biédnemu chudeuszowi byłoby trudno; ale powiada Pismo: *„Nie troszczcie się co będziecie jeść, albo co będziecie pić!“* Ja też żyję jak *Alcyon* nadpowietrzny, nie lubię i nie pilnuję jednego miejsca, ani jednéj kuchni, i nie troszczę się co będę jeść, pić, a nawet czém się odziewać; a widzicie przecież żem nie głodny, ani chłodny; taka to łaska Pana Boga nade mną!

— Widzim — odpowiedział kollega, widzim, że często koło waspana suto i butno, a często gołyś jak święty turecki. Gdzież ta *delia* popielicowa, w któréj onegdaj jak tuz żołędny nadymałeś się.

— Zgadłeś bratuniu, zgadłeś nie chcący. Tuz żołędny dał, a tuz dzwonkowy *kanalia* zdjął. Zgadzam się z wolą Pana Boga!... wiosna co dzień bliższa, na co te futro? —

Rozśmieli się wszyscy.

— No co wasanu ta aplikacya? — odezwał się inny. Wasan szuler i śpiewak, nigdy jurystą nie będziesz.

— A kto wasanu to wyprorokował? — przerwał zagniewany pan Rafał. — Otoż będę, a tymczasem nie mając ani ciotulek jak wasan,

ani stryjenek jak nasz pan Ludwik, który teraz pewnie u swojéj zajada przysmaki, muszę żyć z moich talentów. Bóg mi dał taką ochotę do wokału, że żadnym sposobem wytrzymać nie mogę, kiedy posłyszę jakie śpiewanie, i wnet mój dyszkant przyłączyć muszę do choru. Organista Dominikański zacny bardzo człek, i szlachcic co się nazywa; to nasz *prymier* i *prewodytor;* ma on całą kantyczkę pieśni światowych, bardzo pięknych; on dobiera głosy, a nad mój *dyszkant* nigdzie znaleść nie może. Więc i wyprawujemy się często pod ciemny wieczór, w sześciu albo siedmiu po ulicach: a kiedy hukniem pod oknami jakiego pana *).

„Mości Xiąże co to masz za huzary?"

— A nie wrzeszcz na miłość Boga! — przerwali mu koledzy. Wszak my nie śpiewaki, nie dopomożem wasanu.

— Prawda, wybaczajcie, zapomniałem, wszystko to moja ochota do *wokału*... Otoż jak hukniem tę lub ową pieśń, albo i nowoskoncypowaną na honor jakiego solenizanta, lub na powinszowanie jakiéj narzeczonéj parze; to i leci z góry drugiego czy trzeciego piątra, jak gwiazdeczka w pociemku, zapalony kawałek papieru, a w nim zawinięty już to najmniéj kiedy talar, a czasami i złoto w ogniu się znajdzie...

— Przy takich zdolnościach i związkach, czemu się woléj nie sposobisz na *dłabidudę*, pewny chleb przy chwale Bożéj.

— Tak! ale bo widzisz wasan, najprzód stan ten zgodny z moim talentem, ale nie z temperamentem; a potem, nie każdy wprawdzie organista plebejusz, ale nie każdy i szlachcic. Jest zawsze w tym jakaś mitręga, któréj ja na mój prawdziwy karmazyn nawlekać nie chcę, bo by mnie moja *parentela*, széroko w okolicy Onoszkowszczyznie bodaj od króla Łokietka osadzona, przepędziła gdzie pieprz rośnie. A teraz czeka cała na moje wyświęcenie się na adwokata, i wnet rozpoczniemy proces graniczny, ze wszystkiemi sumiężnikami, a pół powiatu wyrugujem.

— Długo jednakże czekać będą, bo z taką aplikacyą jak wasana, nie łatwo dójdziesz do kratki.

— Żartuj zdrów zacny kawalerze, piérwéj tam stanę jak wasan! Umiem ja robić moje interessa; mam już *testimonium* przez wszyst-

*) Starzy pamiętają jeszcze śpiewaków miastowych.

kich ichmościów mecenasów trybunalskich podpisane. Braknie mi tylko ręki pana Skarbnika, i dla tego moja dłań, jak widzicie, *gratis* od dwóch miesięcy pracuje, jako i każdemu z nich *captando benovolentiam* pracowała. Byle się więc tylko oporządzić trochę, ten przeklęty drużbart mię zgubił, byle się zdobyć na pasik i kuntusik; szabelki dostarczą bracia szlachta z Onoszkowszczyzny, natychmiast uprowidowany w instancye wysokich protektorów, staję u kratki subseliów prześwietnego województwa wileńskiego.... Wtém skrzypnęła fórtka od bramy i przerwała perorę przyszłego patrona; wszyscy chwycili za pióra, lecz je wnet założyli za uszy, na znak, że są gotowi do pracy, i czekają tylko na świéce.

Pan Skarbnik wszedł do swojéj izby na przeciwek, rozbudził śpiącego za piecem starego sługi, wygdérał go za ospalstwo, kazał wykrzesić ognia i zapalić świécę; a wziąwszy jeszcze kilka świéczek w rękę, szedł do panów aplikantów, lecz w sieniach przed ich drzwiami zastanowił się, bo postrzegł przyklejony arkusz papieru z pismem jakimś. Dobył zatem z za nadry, przetarł i na nos włożył okulary, potém wodząc świécą za literami, rozczytywał powoli:

„*Hic*... *vivitur*... *z grosza—frustra*... *non dantur*... *labores*...
„Kto nie płaci za pracę... nie zna... *bonos mores!*“...

Przesylabizowawszy pokręcił głową, i wszedł do izby. Aplikanci milczeli.

— A cóż to u waćpanów? *silentium* klasztorne!

— Czekamy na świéce—odezwał się któryś.

— Otoż je i przynoszę—rzekł Skarbnik, zatykając przed każdym po jednéj do mosiężnych lichtarzyków.—Proszę, dodał, *diligenter* przysiedzieć fałdów, bo jutro *summo mane* czterdzieście kopjów rozesłać potrzeba; woźni czekają... ale co to za *ludibria* wypisaliście waćpaństwo *grandibus litteris* na drzwiach swoich?

— At zwyczajnie Mości Dobrodzieju, to żarcik aplikantski, z którego gdyby jaki talarek i wpadł w naszą pustą kieszeń, byłoby przynajmniéj za co kupić zraz pieczeni.

— Waćpaństwo tylko o brzuchu myślicie.

„*Pinguis venter, non studet libenter!*“ *).

---

*) Brzuch tłusty, nie łatwo się uczy.

Przysłowie dawne.

— A łatwiéj Jegomościowi Dobrodziejowi perorować *sententie*,— odrzekł pan Rafał — po wybornym jako we środę stokfiszu, po szczupaku w szafranie, i po zawiesistych klóckach w oliwie pływających; ale nam biednym po śledziach i krupniku...

— A zkąd waćpan wiesz o moim obiedzie?

— Oj, Mości Dobrodzieju, gdyby nie klócki, których i mnie się dostało, dalipan pióra w ręku utrzymaćbym nie mógł: ale jakoś człowiek ma wszędzie przyjaciół.

— A najwięcéj jak uważam, w kuchniach klasztornych — rozumiem.

— Jednakże mimo tych pożytków *a latere*, głodny jestem i ja, i moi koledzy. Dla tego chciéj Jegomość Dobrodziéj, uraczyć nas po onegdajszemu, piwem i pirogami z klasztoru; ja sam ofiaruję moją fatygę, byle za assygnacyą pańską.

— No, no, proszę się nieodrywać od pióra, a poszlę Macieja po suchary i piwo.

— *Vivat noster mecenas!* — wykrzyknął pan Rafał, i zaczął znowu swoje: „*Mieniąc oto.*"

— Ale gdzież pan Ludwik?—zapytał znowu Skarbnik, zajrzawszy za przepierzenie, gdzie była kwatera synowca i nie widząc go tam przy stoliku.

— Poszedł zapewne na wieczerzę do stryjenki swojéj i jeszcze nie wrócił.

— O! ten ptaszek nie dostanie defektu z *sedenterii*, — rzekł Skarbnik, kręcąc głową i wchodząc za przepierzenie.

Musiał jednak, mruczał sobie, napisać manifest, do którego w sprawie rodziców jego, a zatém tak dobrze jak jego własnéj, zostawiłem należytą informacyę... A! grezmoli tu cóś przecie... obaczemy... *Coram actis*... *). Aha — *Coram actis*... do cudnéj *Elżuni*.... Co u licha? czy sfixował się....

Ciekawiéj zatém biorąc się do czytania, rozmaicie glozowanego arkusza, przetarł na nowo okulary i syllabizował.

Do cudnéj Elżuni, Starościanki Kapinowskiéj.

„Oczy twe—nie są oczy ale słońce właśnie **)
„Świecące—w których blasku każdy ogień gaśnie!

---

*) Przed aktami—zwyczajne zaczęcie manifestów.

**) Z dawnego rękopisu.

„Usta twe—nie są usta—lecz koral rumiany,
„Którego farbą zmysł nasz zostaje związany!
„Piersi twe—nie są piersi—lecz niebo surowe,
„Których kształt, wolę naszę zabiera w okowę.
„Tak oczy, usta, piersi, rozumem i wolą:
„Blaskiem, farbą i kształtem—serce me niewolą.“

— No! niéma co powiedzieć, symetrycznie wszystko przebrał.... Manifest regularny... *Coram actis* panny Starościanki zanoszący się...—W czas konkury, kiedy proces na stole trybunalskim. Kara Boska! usadzili się na krew naszą. Ojciec, a raczéj mamunia pani Starościna Dobrodzika chce zabrać zaścianek, a córka samego dziedzica!.. Otóż to dla czego niema panicz ochoty do *patrocynii*... amory mu w głowie... a niechby się zresztą i żenił.... [wilkiem nie orać....] *ultimis Mai:* lat dwadzieścia cztery podobno kończy. Jeżeli jest wzajemna sympatya....

Taki przerywany prowadząc monolog, gmerał bez ustanku Skarbnik w papierach synowca, i na każdym prawie szpargale znajdodował to cyfry *Elżuni*, to dwa serca strzałą przebite z podpisem:

„Serce moje i twoje—
„Złącz Boże oboje—

To dwie ręce ściśnięte w parolu z podpisem:

„Parol dany
„Bez odmiany.“

to jakieś pozawijane kwiatki zeschłe, wstążeczki.—Pomedytowawszy nad każdą rzeczą, kręcił głową, kładł każdą na swojém miejscu, i dalszą kontynuował kwerendę. Odsunął nakoniec szufladkę z pod lusterka i napadł na bilecik szpilką, zamiast pieczątki zaszpilony i zapisany! *(Do rąk Wielmożnéj Dulskiéj Stolnikowéj, cioci Dobrodziki).*—A to co znowu?—rzekł.—Co tu robi listek do mojéj klientki?.... Ciocia! czyjaż ona ciocia? a tak jest—tak! Starościnę i Stolnikowę rodzą dwie siostry Kościeleckie z Korony; a więc pani Dulska jest ciocią progeniturze Starosty.... *Sequitur sine dubio*, że w tym bilecie jest *arcanum spei* mojego pana synowca.

Przewracał Skarbnik bilet w ręku, jakby się lękając ukłócia szpilki. Z uczciwego względu szanowania cudzych listów, namyślał się czy ma go czytać.... ho! ho! jaka pieczęć! szeptał znowu sam do siebie, bo ten nałog djalogowania z sobą, a nawet stosownéj przy niém gestykulacyi, wraził mu się i został, od planowanych w samotności ważnych a wątpliwych indyktów i replik. Ani

Niesiecki, ani *Kuropatnicki*, o takim herbie nie wspominają.... Starosta pieczętuje się *Rawiczem*, *Panna na Niedzwiedziu*, i przystoi *inter nos loquendo* nieborakowi, którego żona za nos wodzi, taki herbowny klejnot.... Ale zresztę cóż mam robić? powinienem strzedz jakby źrenicę w oku powierzonego mnie chłopca.... odszpilił więc bilet i czytał z cicha.

„Nie uwierzysz kochana ciociu, jakeś nas zmartwiła uwiadomieniem, że nas odwiedzić nie możesz; tak wiele miałam do pomówienia i do *poradzenia się* z ciocią“...

Poradzenia się — przekasowała, i znowu napisała... to już i wiemy co się święci... a do tego rozpytam się u Stolnikowéj: „Miałaś ciocia Dobrodzika zabrać z sobą, i przywieść tu, Helusię Dowiatównę, a tak bardzobym wesoło ten czas przepędziła. Rodzice moi rozpoczęli jakiś proceder z państwami Dowiatami: nie bywają teraz u siebie, i w kościele nawet nie witają się, i z ukosa na siebie poglądają. To obraza Boska ciociu Dobrodziko, bardzo mnie to martwi; niech ciocia perswaduje panu Skarbnikowi Dowiatowi, aby się starał pogodzić tę kłótnię. On mądry człowiek, to wynajdzie na to jakiś sposób“...

Dziękuję Pannie Starościance Dobrodzice za tę o mnie opinię.

„Mama osobno pisze do cioci, a ja osobno.“

Rozumiem — to jest mama o tym listku nie wie. „A choć się gniewam na ciocię, jednak upiekłam sama, i oddałam mamie dla przesłania cioci, babkę do kawy, i proszę w zdrowiu jeść, i zaprosić na nią moją kochanę Helusię i całą jéj familię“....

Jednakowoż mnie nie prosili—a pan Ludwik pewnie babkę konsumował.

„Rączki cioci Dobrodziki całuję“

E. S.

NB. „Proszę cioci pomodlić się w piątek u Pana Jezusa Antokolskiego, na moję *intencyę*.“

Intencya zdaje mi się zrozumiana i przykładna!!! *Abyś Panom Chrześcijańskim pokój i zgodę dać raczył!*

Uśmiechając się Skarbnik, zaszpilił bilet i włożył do szufladki; potém zdjąwszy z nosa i przecierając okulary, mruczał któż wie? Może taka wola Pana Boga—trzeba wziąść panicza na konfessatę... Spójrzał na zegarek, mam jeszcze porę — poradźmy się w tym, a razem i w drugiéj okoliczności księdza brata.... A więc lisim kro-

kiem aby nie przerywać piszącym, szedł pan Skarbnik przez piérwszą izbę. Postrzegłszy wymykającego się, dyktujący pan Rafał, i lękając się aby nie zapomniał obietnicy, krzyknął jakby w kontynuacyi pozwu: „w prośbach *ante omnia!* komportacyi *in instanti sub poenis personali infamiae* pół kopy pirogów i dzban piwa, *soleniter* przyrzeczonych."

Skarbnik stanął, uśmiechnął się, i ręką dał znak zgody.

V.

Ksiądz Ambroży.

Nałog i Sumienie.

Tegoż samego wieczora szedł pan Skarbnik przez ciemne kurytarze antokolskiego klasztoru, a przed nim Maciéj z latarką w jednéj ręce, a z cynowym dzbanem w drugiéj. Doszedłszy do celi brata, wziął latarkę, odprawił Macieja po piwo i po pirogi do szafarza, a sam zapukał do drzwi.

— *Ingrede!* odezwał się głos nosowy wewnątrz. Wszedł zatém pan Franciszek do celi ks. Ambrożego.

— *Salve!* — rzekł ten składając szybko i usuwając od siebie wielką księgę którą czytał, a również szybko otwierając brewiarz i kładąc go przed sobą.—

Pan Skarbnik poznał Statut, lecz jakby tego nie dostrzegł, skrapiał się tymczasem pobożnie wodą święconą, z kropielniczki cynowéj u drzwi zawieszonéj.

— Czemuż tak późno?—zapytał zakłopotany nieco ks. Ambroży.

— Ósma *praecise* — odpowiedział Skarbnik, wskazując na własny braterski zegar ścienny.

— Niechaj sobie, ale zawsze *quid vis?* bobyś bez interesu tak późno się nie włóczył; może nowy suplement do szkatuły swoiéj przynosisz?

— Nie, Mości Dobrodzieju, coraz to trudniéj o te suplementa. Przychodzę jak zwyczajnie zasięgnąć mądréj rady brata dobrodzieja.

— Byle nie w processach! bo z temi *fara* z mojéj celi.... już mi nieraz waćpan napędziłeś grzechu i pokuty, wyzywając na jurystowskie porady, i kusząc dawnym nałogiem. Oznajmuję nawet waćpanu, że prokuratorstwa mego zrzekam się, i myślę udać się na peregrynacyę *ad terram infidelium*, dla wykupna podług naszéj reguły chrześcijan z niewoli pogańskiéj.... Jedna tu jeszcze tylko sprawka mała klasztoru naszego, o plac nad Wilją.... Ale wyrzekam się i téj.... wyrzekam się! O Chryste Jezu!—rzekł wznosząc oczy, ku figurze Ukrzyżowanego nad łóżkiém rozpiętéj, daj siły i stałość ku wytrwaniu w dobrém, na większą chwałę Twoją, a na zmazanie grzechów moich.—

W tém chwilowém uniesieniu, postać i oblicze ks. Ambrożego wyraziściéj się objawiły, i przy bladém ognisku świécy, zaledwo rozsuwającém pociemek celi, wysoki i wyschły mnich, białym habitem obleczony, z krwawym krzyżem na piersiach, ze wzrokiem gorejącym pod wysokiém, nagiém, a chmurném czołém, z twarzą pargaminową, a jednak w swojéj całości znakomitą, i upartéj a wiekiem nie złamanéj energji, noszącą piętno: łatwoby zastanowił każdego, ktoby nań w téj chwili spójrzał. Lecz stojący naprzeciw w zimnym kontraście jurysta, znał i nieraz był świadkiem, tych uniesień brata, i wiedział, że burza nagła nagle i przechodzi; a lubo często się ponawia, w przerwach jednak zapomniana, nie powściąga odzywającego się również często i łatwo, pochopu do prawnictwa za młodu weń wkorzenionego. Dla tego zapytał niespodzianie.

— Jak brat dobrodziéj rozumie dawność ziemską względem obligów?

— Co to za pytanie aplikantskie?

— Ja też Mości Dobrodzieju,—odpowiadał pokornie pan Skarbnik—uważam siebie aplikantem brata, i weneruję go nie tylko jako starszego wiekiem i powagą stanu, ale jako wyższego bez komparacyi, w nauce praw naszych, i mojego dawnego mecenasa....

— *Mirabilia* prawisz panie Franciszku!—przerwał ksiądz— przestań! dość waćpan jesteś *peritus* i *perfectus*, w swojém rzemiośle, a bodaj *discipulus supra magistrum.* Co do twojego, nie wiem dla czego zadanego mnie pytania, bo zapewna nie bez celu, to dotąd chwała Bogu rzadkie u nas przykłady, aby prowadzono kontrawersye o obligi, gdy podpis nie wyparty, gdy dług lub pożyczka jest rzeczywistą. Poczciwość i rzetelność od form prawnych nie za-

leży; a chociaż jak wiesz dobrze, liczne konstytucye opisują walutę i termina oblaty obligów: ale któż na nie patrzy? Pożyczka na kalendarzu zapisana tak bywała u ojców naszych święta, jakby najwarowniejszym zapisem umocowana. A zatém krótko mówiąc, kto zaprzecza, choćby najdawniejszemu obligowi, nie tylko własnemu, ale choćby i przodka swojego, powodem dawności, czy jakim innym wykrętem, kręciel jest mospanie, i kwita. Mniemam, że takiéj sprawy nie podjąłeś się bronić.

— Owszem przeciwnie—i cieszy mnie zdanie brata dobrodzieja, bo mam właśnie konwinkować za dług na który karta przed półtorastą z górą laty wydana, dotąd *sine ullo fructu* leżała.

— Przed półtorastą laty; od kogo i komu! — zapytał porywczo mnich.

— Od Korsaka, *quondam* fundatora XX. Karmelitów Głębockich, niejakiéj pannie Maryannie Sulistrowskiéj, a zapisanemi na funkcyą dobrami ewinkowanéj. *Qui possit bona, possit et opera* *), to wiadomo **).

— A czyż ta panna Maryanna Sulistrowska żyje matuzalowe lata, i teraz swoje kapitały zbierać postanowiła?

— Nie, *Reverendissime!* ale właścicielem *per viam haeredidatis* tego obligu jest dziś JW. Aloizy Sulistrowski Pisarz Wielki W. X. Lit. dziedzic Szemetowszczyzny *et alias*. Policzywszy zatém procenta i rekambia, wygramy na Karmelitach około miljona: a od każdego tysiąca czerwonych złotych, dekretem trybunalskim, zrealizować się mających, mam sobie zaręczonych *inter nos loquendo*, takichże sto.

W miarę słów Skarbnika, twarz księdza się czerwieniła. Milczał jeszcze chwil kilka, choć tamten przestał mówić, i odpowiedzi zdawał się oczekiwać. Nakoniec wybuchnął: — Przegrasz! — zawołał z zapałem—przegrasz! i powinieneś przegrać! albo przez całe życie przeklinać będziesz twoje od tysiąca sto dukatów. Kapturem głowę nakryjesz, pokutować będziesz, abyś na Sądzie Ostatecznym, duszy twojéj w kontrawersyach z djabłem nie przegrał!... a ze zbiorów twoich *tertius haeres non gaudebit* ***).

— Nie rozumiem Jegomości Dobrodzieja. Tylko co mi dowodziłeś, że naprzeciw żadnemu długowi choćby przodków, dawnością

---

*) Kto posięga dobra, posięga i ciężary na nich.

**) Prawdziwe.

***) Trzeci potomek cieszyć się nie będzie.

bronić się uczciwość nie dozwala; a teraz w takiejże saméj sprawie, wróżysz mi przegranę, nie tylko w Trybunale Litewskim, ale jeszcze i w trybunale mającym się kiedyś odbyć *post fata. Inter nos loquendo* *) powtarzam, że nie rozumiem brata dobrodzieja....

— Posłuchaj mnie panie Franciszku — rzekł uspokojony nieco ksiądz, — a poznasz, że nie darmo grożę ci przegraną, zwłaszcza w tym ostatnim trybunale. Przypomnij sobie, jakeście się dziwili mojéj nagłéj imprezie, wstąpienia do zakonu. Aplikowałeś się waćpan, a raczéj byłeś już dependentem przy mnie, i sam mię prosiłeś, abym został czém byłem, to jest czém waćpan teraz jesteś: mecenasem trybunalskim i plenipotentem najpiérwszych naszych dygnitarzy i magnatów. Ale ani tobie, ani komukolwiek nie dałem się namówić, bo był głos inny tu (pokazał na serce), który mię gwałtem w kaptur ciągnął; a głos ten ustawnie mi nad uchem szeptał: zgrzeszyłeś! zgrzeszyłeś! pokutuj! pokutuj!.... Nie było rady, sam to znałem, że zgrzeszyłem. Jedna minuta, jedna zła rada, i zgryzota gorzka, i pokuta na całe życie!... Oj! panie Franciszku strzeż się! strzeż! na ślizkiéj jesteś drodze.

— Ależ proszę brata dobrodzieja o jaśniejszą przestrogę. Czego mam się strzedz? jaka to chwila i rada tak fatalną była dla brata?—

— Ksiądz chodził szérokiem krokiem i w milczeniu po celi.—Czy waść spowiednik?—odezwał się nakoniec.

— Jam nie spowiednik, prawda, i nie mam prawa do tajemnic brata, i nie teolog; ale przecież osądzić mogę, że brat nie będziesz wolny na sumieniu, jeżeli nieostrzeżesz mnie jako bliźniego choćby, a tém bardziéj swego rodzonego, o grzechu, jak wnosić mogę ciężkim, za który sam pokutujesz, a w który mi, zakrywając przepaść, wpaść dozwalasz. To *materya gravis* Mości Dobrodzieju, *inter nos loquendo.*—

Słowa te zdawały się robić niejakie wrażenie na księdzu; bo często przenikliwe oczy zwracał na brata i wzdychał głęboko... a tak wzruszony, przemierzywszy jeszcze w milczeniu razy kilkanaście celę, stanął i rzekł znowu.

— Ale przegrasz panie Franciszku! przegrasz, powtarzam! i narazisz na szwank swoją reputacyę. Bo najprzód pewny jestem, że oblig niéma prawnéj waluty, stosownéj do konstytucyi, tysiąc....

*) Między nami mówiąc.

— Zapomniałeś *Reverendissime* coś dopieruteńko w téj materyi powiedział,—przerwał Skarbnik.—Oblig jest zwyczajny, na blankiecie zapisany, we śrzedzinie piérwszy pieczętarz *totum tenorem rei* wypisał, dalsi tylko wzmiankę a kilką latami od fundacyi Karmelitańskiéj dawniejszy.

— Nic to nie dowodzi, bo za cóżby pobożny fundator poświęcał na chwałę Bożą dobra onerowane? Dla czegożby właścicielka kapitału, żyjąca zapewna jeszcze, lub jéj sukcessorowie, przy samém przejściu dóbr Korsakowskich do Karmelitów nie manifestowali się przynajmniéj, lub późniéj przez lat tyle milczeli? Dla czego? powiedziałbym, Najjaśniejszy Trybunalè, a tu w zapomnieniu się kaptur z głowy na plecy odrzucił, dla czego JW. Sulistrowski nie dedukuje swojéj procedencyi od tejże Maryanny Sulistrowskiéj, i nie udowodnia jakim sposobem ma *jus ad rem* któréj dochodzi? Od tak dalekiéj daty, ileż to konflagrat w kraju naszym poniszczyło archiwów publicznych, a tém bardziéj *privatorum?* Któż zaręczy, że licznie rozrodzona, a wielce szlachetna familja Korsaków, takowym nie uległa?... a w nich, że się nie potraciły dowody opłaty, lub układów jakichkolwiek eliberujących ich fortunę? Jakiż *lumen* w takich wątpliwościach oświeci ciebie Najjaśniejszy Trybunale? Jakąż racyą? jakim argumentem justifikować będziecie wasz wyrok sędziowie, mający ująć chleb sługom Bożym a salvę duszy Korsaka w czyscu będącéj?...

Skarbnik pokręcił głową, poczuł bowiem, że ta racya ostatnia, trafiłaby sędziom w codzienne za dusze zmarłe modlitewki, a zatém najtrudniejszą byłaby do zwalczenia.

— To sędziowie, mówił bez zastanowienia się orator, to z waszém własném zbawieniem sprawa! Tu na potępienie własnéj waszéj duszy napisać możecie dekret. Oto przed wami na stole waszym sądowym, w oczy wasze, woła na was, sam niesłusznie osądzony Chrystus: *O Judices! judicium vestrum judicavero!* *).

Skarbnik dopiął czego żądał i oczekiwał: ksiądz mu rozświecił interes z najważniejszego punktu widzenia go, przerwał więc: — ale *Reverendissime* na co ta replika, kiedy produktu jeszcze nie ma. Odbędzie ją i plenipotent Karmelitów w swojém miejscu i czasie.—

Postrzegł się ksiądz Ambroży; odstąpił nagle od stolika, przy którym jak przy trybunalskich kratkach perorował, narzucił kaptur

---

*) O sędziowie! wasze wyroki Ja sądzić będę.

na głowę, i jakby z podziwienia żegnając się, rzekł: „*Deus adjutor meus!*“ tak, tak, po co mi ta replika? a choć rzeczy słusznéj dowodziłem, ale dla czegoż po adwokacku? Oh bieda moja! bieda! Idź waćpan precz! Waćpan mnie zawsze na tę nieszczęśliwą procedurę naprowadzisz! Wasan jesteś tentator!... z wasana łaski ja codzień odnawiając *vota* moje, codzień staję się relapsem!!! Wasan, wasan za to odpowiesz Panu Bogu,—mówił żywo i dotkliwie ksiądz.

— Ale bracie dobrodzieju, któż cię na te indukta nawodzi? Jeżeli szukam rady w experiencyi i mądrości brata dobrodzieja, zdaje mi się, że to nie jest grzechem. A właśnie chcąc grzechu uniknąć, prosiłem i proszę brata, abyś mię oświecił i z téj ślizkiéj drogi, o któréjś namienił, sprowadził.... bo ja jéj nie widzę. Cóż należy do sumnienia mego, zła czy dobra sprawa pana Sulistrowskiego? *Instancya* jéj na sumnieniu aktora. *Ewent* na sumnieniu sędziów: a patron broni każdéj.—

Chodził znowu zamyślony ksiądz po celi; kilka razy stawał przed bratem, jakby miał coś powiedzieć, i znowu zmieniał zdanie. Wewnętrzna sprzeczka miotała nim.... nakoniec zdeterminował się, usiadł na jednym stołku:—usiądź,—rzekł podsuwając drugi bratu— i posłuchaj krótkiéj, ale najważniejszéj życia mego historyi. Byłem, jak to wiesz dobrze, plenipotentem wielu panów litewskich; z jednym z nich odbywając peregrynacye po różnych stronach Litwy, zajechaliśmy w Słonimskie i trafiliśmy na fest do *Żyrowic.* Obraz tam słynący szczególniejszemi łaskami Matki Boskiéj; assysystowaliśmy więc nabożeństwu. Przy mszach śpiewają tam pieśń o cudach téj przeczystéj Dziewicy.

— Ja umiem tę pieśń i mówię ją często na chwałę Bożą — rzekł Skarbnik.

— No, to wiesz, że tam jest taki rym:

„Tu Pan Tryzna
„Cuda wyzna
„*Byteń* na Zakon daje!“

Siedziałem ja w drugiéj ławie za moim pryncypałem; *Byteń!* wielka fortuna! pomyślałem. Kiedyż to Tryzna tę fundacyą uczynił? Szepnąłem więc na ucho Panu mojemu. (Och! bodajbym natenczas oniemiał): „wypadałoby obaczyć w metrykach litewskich, kiedy Try-

zna oddał Byteń do Żyrowic? a nuż po konstytucyi?...“ *). Mój JW. Dygnitarz obejrzał się na mnie, kiwnął głową, i daléj się modlił. A mnie w ten moment targnęło za serce, i jakby także szepnęło na ucho: „grzeszniku! w domu własnym Boga-Rodzicy, myślisz o jéj *spoliacyi!!!*“ Ale już było po czasie. Znałem mego pryncypała, że nie zaśpi gruszki w popiele; przyszedł żal i skrucha. Nuż ja modlić się, nuż płakać rzewnie. Obejrzał się znowu na mnie mój pryncypał; zrozumiał widać przyczynę łez moich i uśmiechnął się, co mi jeszcze gorzéj dopiekło. Jakoż krótko mówiąc, zajrzał on do metryk litewskich, do których fundacya wpisaną była, i znalazłszy ją *de nova radice* erygowaną, zabrał Byteń kadukiem.

„Wkrótce sprzykrzył on sobie moje *protestacye* i *molestacye*, a zatém podziękował mi za attencyę w jego interesach; ofiarował mi nawet znaczną gratyfikacyę, do któréj jak do gorącego żelaza i ręki nie dotknąłem.

„Od tego fatalnego momentu, na żaden obraz Najświętszéj Panny Maryi oczu podnieść nie mogłem, nie mogłem spokojnie zmówić: *Sub tuum praesidium.* Szkaplerze moje nawet mię piekły na piersiach. Męczyłem się we dnie i w nocy.... Myśliłem o restytucyi klasztorowi, łatwiejszéj memu pryncypałowi, bo antenaty jego nie jeden dom Boży bogato uposażyli. Ale ja, cóż mogłem czynić za kilkaset chat odebranych z mojéj łaski? Naturalnie, spowiadałem się i ochotnie przyjmowałem ciężkie pokuty, posty, i peregrynacye dalekie; a lubo świątobliwi kapłani i spowiednicy, kazali mi ufać w miłosierdziu Bożém, wszelakoż od konfessyonału nawet, rozgrzeszony, ale nieuspokojony odchodziłem.

— Nakoniec Bóg mi zdarzył jednego mądrego teologa *Societatis Jesu*, którego w tych moich *obsydiach* poradziłem się; on mi rzekł: najprzód porzuć bez powrótu rzemiosło, które cię na tę fatalną radę naprowadziło. [Pismo ś. mówi, że łatwiéj wielblądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi do królestwa niebieskiego; otoż bodaj i adwokatowi toż samo, a może i trudniéj jeszcze.] A za restytucyę, poświęć Bogu i dodaj na usługi samego siebie. Więcéj uczynić nie możesz, zwłaszcza gdy to uczynisz sercem ochotném i skruszoném. Nie miałem co odpowiedzieć na taką radę, bo już to było ostatnie *refugium* dla mojéj biednéj głowy.

---

*) W drugiéj połowie siedmnastego wieku, stanęła konstytucya, zakazująca zapisywania dóbr ziemnych na fundusze duchowne przez testamenta.

— Pamiętasz wasan, jak nagle mimo wasze prośby, odrzekłem się *patrocinii* i wstąpiłem do zakonu. Nie mogłem wstąpić do Ks. Bazylianów, choć to rzeczywiście moja posługa im się należała, bo już mi późno było uczyć się liturgii greckiéj; więc Panu Jezusowi antokolskiemu złożyłem moje *votum*, i w jego świętéj opiece znalazłem nakoniec spokojność, a odżegnałem się *tandem* od tego nieszczęśliwego *Bytenia*, któryby mnie na świecie prześladował do ostatniéj mojéj godziny....

— Piérwszy raz przed tobą świeckim człowiekiem odkryłem tę moją tajemnicę, i przyczynę obleczenia się w habit, który jednakże za pomocą Bożą... nie jest mi ciężkim. Wszakże, bracie mój panie Franciszku,— mówił daléj wzruszonym głosem: „*Felix quem faciunt aliena pericula cautum!*“ *) i *sat sapienti!*—Skarbnik stał zamyślony.

— Zresztą, nie przychodź do mnie,—mówił Ks. Ambroży—po *consilia* patrońskie, jak to często czynić zwykłeś, luboś sam zawołany prawnik, i rad żadnych nie potrzebujesz; bo ja każdą taką między nami konwersacyę, ciężkim zawsze *miserere* odkupiam. Nie żałuję ja mojego ciała, ani oszczędzam sobie tego narzędzia, które pod krzyżem widzisz, a wisiała tam dyscyplina; Chrystus Pan więcéj cierpiał dla naszego zbawienia... ale na cóż mię naprowadzasz na myśli i mowy których się zarzekłem?

— Ależ bracie dobrodzieju,— odpowiedział Skarbnik—*inter nos loquendo*, jesteś prokuratorem *Causarum* swego klasztoru, więc musisz często obaczyć się z tą księgą— i wskazał na statut.

— To co innego mospanie! to co innego, to właśnie jest moja, choć wcale niedostateczna *restytucya* funduszom na chwałę Bożą poświęconym, że je bronię; ale do spraw świeckich, wara mi się mięszać; a przecież mię wasan wciągasz.

— Będę ostróżniejszym Mości Dobrodzieju, będę ostróżniejszym. Wszakże i teraz nawiasem tylko chciałem poradzić się brata, a tymczasem daleko zaszliśmy. Nie o to jednak rzecz idzie; przyszedłem ja pomówić z bratem dobrodziejem w interesie familijnym. Wiadomy bratu proces pana Stefana brata naszego ze Starostą Kapinowskim, sądem naszym od Dowiatowszczyzny, o zaścianek nad Wilją...

— Czy znów proces?—przerwał ksiądz—zatykam uszy!

---

*) Szczęśliwy, kto z cudzego doświadczenia korzysta.

— Ale bo widzi brat, że wyniknąć mogą *cyrkumstancye*, któreby ten proces na kombinacyi.... a kombinacye.... na kobiercu zakończyły.

— Cedzisz mi cóś jak przez zęby, czy nie myślisz tylko żenić się panie Franciszku? w takim razie powiedziałbym, że *kognicyjną* sprawę kończysz, a rozwodową zaczynasz, i przenosisz *forum* z trybunału do konsystorza.—

Skarbnik tak się zmarszczył, i machnął ręką, że ksiądz zgadł od razu, że nie trafił na tor. A wtém rozległ się po korytarzu dzwonek na *silentium*... Ksiądz machnął podobnież ręką na brata i na drzwi razem, a sam odskoczył raczej niż odszedł ku obrazowi Zbawiciela, ukląkł przed nim, i rozkrzyżowawszy ręce modlić się począł.

Skarbnik stał w milczeniu, nie wiedząc co sobie poradzić? *Silentium* bowiem przerwało główny jego interes. Nakoniec odważył się powiedzieć: proszę brata dobrodzieja, przyjść jutro po obiedzie do braterstwa podczaszowstwa, dla narady w interesie ważnym familijnym.—*„Miserere mei domine, secundum magnam misericordiam tuam“* *), mówił ksiądz, jakby nie słyszał Skarbnika, i mówiąc to zdejmował dyscyplinę z kołka. A on, pomyślał Skarbnik, gotów i mnie na ten bankiet zaprosić; zapalił więc cichuteńko świéczkę w latarce, i również cichutko wyniósł się za drzwi.

VI.

Pan Ludwik Dowiat.

Zwrótka jedna szczęśliwa w piosnce wesołéj Krasickiego, zadefiniowała nas lepiéj, niżeli wiele rozpraw i zdań, o naszym narodowym charakterze.

„Czuli, cnotni a ochotni!“

Te trzy przymiotniki, składają grunt naszego serca, przyczynę naszych publicznych czynów i błędów, a nawet naszego losu.

*) Zmiłuj się o Panie nademną, podług wielkiego miłosierdzia Twego.

Gdyby można wskrzesić całą generacyę naszą, przed ostatnim okresem naszego zepsucia i klęsk politycznych żyjącą, obaczylibyśmy towarzystwa i ludzi obyczajów *czułych*, *cnotnych a ochotnych*, to jest, prawdziwych naszych, nieskalanych rozmaitemi obczyznami, które nas po kolei zalewały.

Obaczylibyśmy to w istocie i na jawie, co dziś jak we śnie w dziejach, dokładniéj w nielicznych ówczesnych pamiętnikach, i nakoniec w pismach niektórych wybranych autorów odtwarza się nam i przedstawia. To co tak miłą w nas wzbudza harmonię! tak nam składnie w serce wpada!!! bo znajduje w niém, niezatarte jeszcze zupełnie owe charaktery *czułości*, *cnoty* i *ochoty;* to jest łatwowiernego pochopu ku wszystkiemu, który Bóg na niém, jako piętna naszéj natury, i naszego przeznaczenia wyrył.

W czasie o którym piszę, powszechna barwa narodowa, w łacińską dotąd, że tak powiem togę obleczona, ustępowała z placu, parta tak nazwaną *Augustowską* oświatą, któréj wartość dziś oszacować umiemy. Mocowała się ona jednak silnie, i nie łatwo dawała się wypędzać, zwłaszcza z serc i z zagród szlacheckich; gdzie religija jak poczciwa gospodyni, zapierała wrota przed cisnącą się gwałtem czeredą nowych nauk i nowych obyczajów. Ale wspaniałe bramy naszych magnatów, stały już dla nich otworem; tam one wkrótce samowładnie panując, kształciły modnych filozofów, zaprzańców obyczajów, zwyczajów, języka i cnót naszych rodowitych. A tak, gdy Wojewodzice, Kasztelanice, Starościce zaczynali swe nauki przy cudzoziemcach od: *„Au nom du père, du fils, et du saint esprit“* dla języka bardziéj, niż dla pacierza paplane; to *podczaszyce*, *podstolice*, słowem, nie senatorskich krzeseł, ale powiatowych *stallów* dziedzice, trzepali jeszcze z poczciwemi ojcami swemi staroświeckie *Pater noster*, albo z matkami codzienne a serdeczne: *„Błogosław Panie Boże, w komorze, w oborze, na polu i w gumnie!“* *) i błogosławił im Bóg wszędzie.

Nie tu miejsce długich w téj materyi wywodów, tylekroć już, i w rozmaitym sposobie powtarzanych; potrzebowałem tych ogólnych słów kilku, jakby na tło do obrazu, na którym wśród innych, okazuje się przedniejsza figura mojéj powieści, Pan *Ludwik Dowiat;* młodzieniec właśnie czuły, cnotny a ochotny, któremu podobni bodajby się i teraz rodzili!!!

---

*) Dawny Złoty Ołtarzyk; modlitwa w codziennych potrzebach.

Ej bo *formosus*, to był chłopiec! Miał lat dwadzieścia trzy. Wąsik mu się czarny wysypywał, płeć biała, rumieńczyk panieński, oko czarne, pełne i żywe; włos także kruczy, w lekkie pogięty kędziory, czoło gładkie, otwarte, a na całéj twarzy dowcip, wesołość i swoboda młodzieńcza, ujmujące od razu serca.

Gdy wysmukłą i udatną swą kibić, w piękną, opiętą i krótką po kolana, a złotemi na piersiach sznurami szamerowaną, ubrał węgierkę; litym pasikiem u stanu się ściągnął; krzywą, na takichże ze złota i jedwabiu tkanych paskach, zawiesił demeszkę; wdział jak ulany i skrzypiący trochę bócik na nogę, a głowę błękitną axamitną czapeczką z karogańskim drobnym, jak ze srebrnych perełek, baraneczkiem, na bakier wrzuconą, ustroił, i szedł lekkim krokiem po ulicy; roskosz nań było patrzeć. I nie jedne miluchne pięknych cząt spójrzenie, przeprowadzało gô długo i daleko; za wzrokiem zaś nie dosłyszane jemu, ale za nim rzucone powtarzały się wykrzykniki: chłopiec jak malina! *Frysz* chłopiec!!!

Nie samą też jedną gładkością lica i figury, jednał ten panicz afekta sobie powszechne, a szczególnie niewieście. Proszę go było widzieć w tańcu, jak posuwistym i podskocznym krokiem *paryerując* swojéj motyi, z wdziękiem i od serca podawał w przemienianiu rękę; z jakim uśmiechem i cudnym ukłonikiem uderzał w dłonie do *odbijanego!* Jakie milutkie słówka wrzucał w uszko idącéj obok niego dziewicy, na które, żywszy rumieniec bywał odpowiedzią; albo i ładnéj mężatce, karcącéj napominkiem, śmiałość młodzieńca, a ściśnieniem rączki łagodzącéj karę. Jako syn powszechnie znanéj szlacheckiéj rodziny, miał Pan Ludwik otwarte sobie drzwi w każdym, by najznakomitszym domie. Wszelkie więc publiki trybunalskie, assamble, kompanie i zabawy, nie obeszły się bez niego. I tém bardziéj, że jakośmy widzieli wyżéj próbkę jego talentu, był on jeszcze i poetą, a zatém nie jedną wieczorynkę, nowo-skoncypowaną piosenką uraczył; która na dobraną ze sta innych notę, wnet się kilkunastu głosami obojéj płci odezwała, i rozweseliła towarzystwo, a chlubą, dziękami i uściskami osypała autora.

Wszystko to jednak nie do smaku było stryjaszkowi panu Skarbnikowi, który jak powiadał radby mu był te wiatry z głowy wypędził, a zwrócił go na drogę pewniejszéj krescytywy. Ale zamykała mu zawsze usta, cała familijna płeć niewieścia. Mamunia słysząc sukcessa jedynaka, podsyłała mu talarków. Stryjenka skorumpowana affektem i respektem, a często i koperczakiem synowczyka,

broniła go stale i mężnie przeciw opressyi pana Skarbnika. Siostrzyczka Helusia kochająca braciszka i kochana nawzajem, patrzała nań jak na cudowny obrazek, chlubiła się nim jak drogim skarbem, i za każdą zaczepką, jak sroczka, starego kruka zagłuszała i skubała. A nawet pani Podstolina Dulska, obca familii, ale jéj stała przyjaciółka, a klientka i pupilla Skarbnika, ujmowała się za swego syna chrzestnego: „bo nie fircyk, mój łaskawco, mówiła ona, bo nie burda, bo nie kostera; i choć młody, ale bogobojny.—Zna jak szanować starszych. A że lubi zabawić się wesoło, że umie dać sobie *rum* wszędzie, to i dobrze mój łaskawco; uchodzi się piwko i będzie zeń zacny obywatel; upewniam mego łaskawcę!“

— *Nec hercules contra plures*, a tém bardziéj *mulieres* *), odpowiadał na to wszystko Skarbnik, kiwał głową i ustępował.

Od niejakiego jednak czasu, wesołość i żywość pana Ludwika zmodyfikowały się bardzo: zakochał się nieborak! Sam nie postrzegając, jak przywyknienie dziecinne do Elżuni Starościanki Kapinowskiéj, z którą w sąsiedztwie rósł i hodował się, dojrzało z wiekiem w miłość. Odmiana takaż sama, stała się bodaj i w sercu pięknéj Elżuni. Ale cóż! kiedy rodzice obojga, jakby czekali ze swojemi roztérkami wzrostu i skłonności wzajemnych swych dzieci, właśnie teraz prawować się zacząwszy, dawną sąsiedzką i stałą między sobą przyjaźń, zupełnie zerwali. Ztąd, zręcznoście nawet częstego widywania się, coraz trudniejszemi zakochanym były. A lubo pan Ludwik nie tracąc serca i nadrabiając rezonem, ilekroć z Wilna do rodziców przybył, jechał do państwa Starościństwa, jakby ten proces najmniéj doń nie należał, przecież zimne przyjęcie, szczególniéj pani Starościnéj, i smutna twarz Elżusi, zbijały go od razu z toru.

Koń jego w ręku masztalerza stał przed gankiem, lub się przeprowadzał po dziedzińcu, nie zaproszony niestety, jako niegdyś do stajni. Skonfundowany i milczący pan jego strzelał tylko okiem po tych samych kątach i pokojach, po których niedawno wesoło i poufale z Elżunią się uwijał, lub poglądał na nią, siedzącą ze spuszczoną głową nad krosienkami, i nie śmiejącą wznieść nań wzroku, w którym nie dawno na przybycie jego radość i roskosz igrały.

Pani Starościna zapytywała go sucho, co słychać w Wilnie? Pan Starosta ciągnąc powoli *knastr* z długiego cybucha, lubo mniéj surowo z nim się obchodził, bo go lubił od dzieciństwa, ale akkomo-

*) Ani Herkules przeciw wielu nie wydoła, a tém bardziéj kobiétom.

dując się humorowi żony, nie śmiał po dawnemu go traktować. Ledwo się odważał spójrzawszy na konia pana Ludwika, zapytać wiele on ma lat? bo jako zawołany amator stadniny, téj ciekawości oprzeć się już nie mógł. Ale oboje nie dawali młodzieńcowi żadnego powodu przedłużenia odwiedzin, a nawet na skrócenie onych, pani Starościna znająca myśli i uczucia Ludwika, a podobno i córki, znalazła zawsze jakiś choć niezręczny, pretext wyprawiania jéj z pokoju.

Brał więc za czapkę gość natrętny... jeszcze chwilkę zwlekał, a nuż nie zaproszą. Ani pół słowa!... po krótkiém zatém pożegnaniu, dosiadał bieguna i wylatywał jak z procy z domu, do któregoby już i nie wrócił nigdy, gdyby Elżunia odchodząca za rozkazem mamy, nie rzuciła mu spójrzenia, po które chłopiec o sto milby pojechał, i na sto razy gorsze naraziłby się konfuzye. W takim to stanie serca i okoliczności, był Pan Ludwik Dowiat, gdy zamiast manifestu, napisał wierszyk do cudnéj Elżuni.

VII.

Rada Familijna i Gość.

Nazajutrz po rozmowie w klasztorze między dwóma braćmi, we *dworku* państwa Podczaszowstwa, uprzedzona zrana przez Skarbnika gospodyni, o mającéj nastąpić wieczorem radzie familijnéj i przybyciu na nią ks. Ambrożego, przygotowała kawę, któréj wielki imbryk stał przed ogniem na kominku, rzędem maleńkich garnuszeczków ze śmietanką otoczony. Helusia krzątała się około stolika, ustawiając na nim małe z saskiéj porcelany filiżanki. Podczaszy na kanapie dotrawiał obiad, potuszając go piwkiem, poglądał na te przygotowania, i naprzykrzał się synowiczce zmyśloną swaćbą rozmaitych swoich rówieśników i kondyscypułów szkolnych.

Ze słów Skarbnika zapowiadających to zebranie, razem ze wzmianką o panu Ludwiku, przenikliwe a interesowane kobiéty, zgadywały, że ta rada o nim toczyć się będzie. Swiadome zaś były tajemnicy jego serca, któréj on przed ukochaną siostrzyczką nie

tylko nie krył, ale owszem troski swe, cierpienia i uczucia, rad przed nią na osóbności wylewając, ulgę niejaką i pociechę znajdował. Tém bardziéj że smutne te i tkliwe skargi jego, przez usta Helusi trafiały zwykle do Elżuni, i wracały doń zawsze, przez to same powiernictwo, lecz miłą nadzieją owinięte. Stryjenka pod wielkiem sekretem, wiedziała o wszystkiém od Helenki; a tak obie życzliwy a serdeczny biorąc udział w losie Ludwika, ciekawemi były, co też o nim stryjowie radzić mają?

Pociągniem kabałę na dzisiejsze... nim przyjdą... szepnęła na ucho Helusia stryjence.

Podczaszyna uśmiechając się skinęła głową i pogłaskała twarzyczkę synowicy.

Helusia więc wyjęła ze stolika małą książeczkę, częstém widać użyciem starą, odkryła piérwszą jéj kartkę, i na kółko numerami napełnione rzucając ziarnko przenicy: „*oto na jego*“ rzekła.

Podczaszyna stojąc obok, również ciekawie śledziła liczbę na któréj ziarnko się zatrzymało...

— *Ośmdziesiąt siedm!*—szepnęły obie.—

— No czytajcież głośno co tam wypadło z waszéj kabały—odezwał się Podczaszy, a zakłopotały się kobiety, bo im się zdawało, że jegomość drzemał i nic nie słyszał.—Przeczytały więc taką wróżbę:

„W każdéj życia konjunkturze,
„Upadają tylko tchórze!“

— Wybornie!—wykrzyknęła nieuważna Helusia; bo Ludwiś nie tchórz!—

— A! to na konto Ludwika, ciągnęłyście kabałę?—przerwał znowu Podczaszy—to co innego. Ja rozumiałem, że Helusia dla siebie przeniczkę sieję.—

— At, wasan sam niewiesz co gadasz—odrzekła żona. Teraz rzuć na nią Helusiu:—

Helusia więc rzuciła powtórnie też same ziarnko.

Trzydzieści ośm! liczba parzysta, to wypadnie kabała kobiéca, mówiła szukając numeru—jest:

„O! ty podporo ludzkiego narodu! *)
„Więcéj dwudziestu będzie twego płodu“

*) Z dawnéj kabały.

— Ach! Jezus Marya Józef! obie krzęknęły.—

— No, mówił śmiejący się Podczaszy, to się rozumie *circiter;* a może licząc i z wnukami; zawsze jednak winszuję błogosławieństwa Boskiego téj, na którą tę kabałę ciągniecie.—

— Jak to będzie, to będzie, rzekła Podczaszyna, zawsze jednak kabała dobrze wypadła; bo Ludwikowi każe być stałym, a Helusi wróży małżeństwo. Jeszcze raz dla Elżuni!—

— Jakiéj znowu Elżuni?—zapytał Podczaszy.—Uprzedził odpowiedź na to pytanie, wchodzący zamaszysto i z szyrmem gość niespodziewany.

— A! pana Porucznika Dobrodzieja!—ozwali się wszyscy—jakże dawno widzianego?—

— Nogi weneruję Podczaszowstwa Dobrodziejów! Przed godziną przybyłem, i wnet pośpieszam do moich łaskawców—rzekł kłaniając się damom, a uściskając gospodarza, pan Porucznik *Stelnicki*, gracki i czerstwy wdówczyk po trzech żonach; które, traktując wojskowo i peregrynując z komendą, w rozmaitych stronach kraju zaszlubiał.—

Mógł on mieć lat ze sześćdziesiąt, ale daleko młódszym się wydał. Nosił się z żołnierska, z węgierska i z polska, a zawsze pięknie i schludnie. W kuntuszu czy w taratatce, zawsze suta szlifa błyszczała mu na ramieniu. A chociaż *szarżę* swą porucznikowską przedał jakiemuś paniczowi (boć to było prawnie i wolno), znak ten jednak, a razem całą energię, otwartą prawnomówność i wesołość, a nawet postać i minę grackę a mężną, do wysokiéj figury jego wielce przypadającą, z dawnéj swéj professyi zachował.

Nie gadaj mu do trzeciego, skoro szło o honor własny, lub krzywdę przyjaciela. Ale bez zaczepki, spokojny to był, poczciwy i wyborny towarzysz. Owszem po staroświecku i po szlachecku, każdego rad był zobowiązać, obdarować, pocieszyć i wspomódz nawet; byle nigdzie z twarzą zasępioną i zmarszczoną się nie spotkał, bo tego passyami niecierpiał.

— Nogi weneruję Podczaszowstwa Dobrodziejów moich, powtórzył, i zwracając powitanie do Helenki—a.... moja Helusieczko! Moja gołębeczko! Jak długi do stopek twych się ścielę. A kiedyż nasze wesele?—

— Zdaje się panie Poruczniku, odezwała się z uśmiechem Podczaszyna, że powinienbyś być syt konkurów małżeńskich.—

— Mościa Dobrodziko!

Noga się pląta
Będzie żona piąta!

powiada przysłowie. Ale ja z piątéj na wieki kwituję. Czwartéj zaś nie odstąpię; a tą, nie inna być musi, jak piekna Helusia; mój aniołek, mój buziaczek..... i całował czule rączki śmiejącéj się i wyrywającéj się Helusi.—

— Gracz do fartuszka!— mówił kręcąc głową pan Podczaszy.
— Choć stary, ale jary!—mówiła kręcąc głową Podczaszyna.—
— Cóż słychać na wsi?—zapytała jeszcze ona przerywając konkury gościa.—

— Wszystko dobrze Mościa Dobrodziko, wszystko dobrze. Braterstwo państwa, a rodzice mojego aniołka, zdrowi i przysyłają ukłony i pozdrowieni. Zawczora nocowałem w Dowiatowszczyznie, a wczora jadłem obiad u Starościństwa Kapinowskich. Włóczyłem się w Grodzieńskiém, opatrując to tam, to ówdzie stadniny i dobierając czwórki. Trudno, coraz trudniéj u nas o koniki. Jednakowoż przyprowadziłem cztéry kasztany brudne, ogony i grzywy konopiate, co nie wstyd i wojewodzie jakiemu zaprządzby do karocy, i cztéry kuce siwe, dla jakiego panicza na harcówkę. Ale oh! nie mam i mieć nie będę takich, jak moja niegdyś czwórka porcenelo strokatych.... Starosta chciał handlu.... ale... krótko mówiąc... nie miał przydatku, a moje konie narowiste bestye, na papier nie idą.—

— Gdzież stanąłeś kochany Poruczniku; po staremu u nas kwatera.—

— Nie, Mościa Dobrodziko, *pro hac sola vice*, to jest ten raz proszę mi darować, stanąłem w mieście; przybywam na dłuższy termin: doczekam tu zapust, a może i włoczobnego. Gospodarkę zdałem synowcowi, bo nie lubię siedzieć jak pustelnik, i kłócić się codzień z ekonomem, nie przywykłym do subordynacyi wojskowéj. Zimę więc przebędę tu w miłém towarzystwie moich przyjaciół w mieście, a na wiosną pojadę po przyjaciołach na wsi...—

W tém wszedł pan Skarbnik, a za nim wkrótce i ksiądz Prokurator; ta, że pan Stelnicki z kolei, jednego po drugim witał.

— No, rzekł ulokowawszy się na kanapie Ks. Ambroży, i popijając smakowitą kawkę, gdy i wszyscy toż samo czynili.—No panie Skarbniku, na jakież tu mnie familijne consilium zaprosiłeś. *Indukuj negotium!* mówiąc Boże odpuść, waszym patrońskim językiem.... byle tylko nie proces, bo waćpan wiesz... —

— A jeżeli Ichmość Dobrodzieje zebraliście się na jakąś poradę, więc ja mogę tu być niepotrzebnym, mówił powstając i biorąc za czapkę Porucznik.—

— I owszem, odpowiedział, przytrzymując go Skarbnik, w czas Bóg nam zdarzył tak szanownego gościa, którego doświadczenie *in his et similibus*, może nam być pożyteczne, a o przyjaźni którego dla domu naszego nie wątpiemy.—

— A, jeżeli na cokolwiek przydać się mogę, to służę — rzekł siadając na nowo Stelnicki.—

— *Inter nos loquendo* kochani bracia, mówił zatém poważnie pan Skarbnik; *ultima spes*, *et haeres* *), naszego szlacheckiego domu, jest nasz pan Ludwik... —

— Ale.... bratowo dobrodziko... zastanowił się tu i patrzał to na bratowę, to na siostrzenicę.—

Zrozumiała Podczaszyna myśl jego podejrzliwą. — Bądź brat dobrodziéj spokojny,—rzekła, umiemy my, choć kobiéty, być w potrzebie dyskretne.—

— Otoż właśnie i potrzeba, a po przestrodze—ufam!—

— Miałem tedy nadzieję—mówił daléj Skarbnik, że jako ja, po najstarszym *luminarzu* naszego rodzeństwa, który teraz świeci w kościele Bożym, (a tu wzajemne między bracią nastąpiły ukłony) odziedziczyłem, gdy nie talenta i *sciencię*, to przynajmniéj ochotę i pilną aplikacyę do patrocynii, a z czego za pomocą Bożą, cóś się i na starość, lubo maluczko, bardzo maluczko uzbierało.... i...—

(Ks. Prokurator uśmiechnął się),

i domowi naszemu nie ubyło reputacyi; tak i pan Ludwik po mnie nie odstąpi drogi tejże saméj, dziedzicząc zaufanie powszechne, którego bez chluby, *inter nos loquéndo*, nie skąpo używam, i którego dotąd chwała Bogu nie zawiodłem. Ale *homo proponit*, *Deus disponit* z pana Ludwika nie będzie ani jurysta, ani patron.... Szerokoby o tém podyszkurować można, ale byłoby to napróżno, bo już nie

---

*) Ostatnia nadzieja i dziedzic.

czas panicza brać w rezę, tém bardziéj, że mu w głowie i w sercu inne imprezy i myśli brodzą.

Dośledziłem ja wczora *insperate* intencyów i inklinacyów jego....

Pani Podczaszyna i Helenka, spójrzały na siebie przenikliwie.

— Jeżeli poczciwe i zacne, to panie Boże błogosław, odezwał się ks. Prokurator. Niech się żeni! [nie pożałujesz, mówią ludzie, za młodu ożeniwszy się, i rano wstawszy.] —

— Poczciwe i zacne, ani słowa, ale poczęte w nader trudnych i niewczesnych konjunkturach.... lubo ile miarkować mogłém, nie są one bez wzajemnéj rekognicyi....—

— Mów otwarcie Panie bracie—rzekł znowu ks. Prokurator, na co te zagadki?—

— *Inter nos loquendo*, pan Ludwik, gorącym jak widać afektem miłuje pannę *Elżbietę* Starościankę Kapinowskę. Miarkujcież teraz jak to pogodzić z zaciętym procesem, który rodzice jéj a raczéj mamunia, z ojcem jego rozpoczęła. Bez tego procesu nawet wątpiłbym o szczęśliwych w téj mierze sukcesach, a cóż dopiero?—

Wszyscy pokręcili głową, uznając trudność interesu.

— Możesz to tylko, at sobie amory, rzekł Stelnicki. Młodzi oboje, hodowali się prawie razem w sąsiedztwie, na jedném polu, to się jakoś i przyzwyczaiło. Ale teraz gdy się rzadko widują, gdy ten proces graniczny, założył i między niemi ciężką granicę; mój kochany Ludwiś.... a zna się chłopak na koniach, moich porcenelo-strokatych odchwalić się nie mógł; otoż teraz, mieszkając w mieście, nie jedną piękniejszą obaczy od panny Starościanki, i klin klinem z serca wybije.—

— O tém wątpię — rzekła Podczaszyna; to o czém brat *insperate* się dowiedział, my z Helusią od dawna wiemy. Postrzedz mogliśmy wszyscy, i brat dobrodziéj zapewne, jak się ten biedny chłopiec odmienił, jak stracił humor i wesołość, jak wybladł....—

— Ja to tylko wiem — przerwał Skarbnik, że stracił do reszty ochotę do pracy, a manifesta pisze tylko *Coram actis* panny Starościanki.—

— Nie trudno nam było dójść przyczyny téj jego zmiany, mówiła daléj Podczaszyna; a więc bardzo dobrze, że brat dobrodziéj przedsięwziąłeś wynaleść, jakąkolwiek w tém *salvę*, bo to zdrowie jego zniszczyć może; a zakładać na tém nadzieję, że czas, albo nowy przedmiot uleczy go, to próżno. Gdyby zaś jeszcze broń

Boże, Starościankę za kogokolwiek wydać chciano, jużby było po nim... Helusia chlipała na te słowa stryjenki.—

— Prawdę mówiąc — rzekł Porucznik, — dziewczyna ładna, i posiada prawdziwie pięć P., jak to panowie wiecie w starym łacińskim wierszu, a którego ja wyuczyłem się na pamięć, przymierzając go zawsze do moich narzeczonych:

„Ducere quam vallis, habeat P. quinque puella—
„Sit Pia, Pulchra, Pudica, Prudens et Pecuniosa!“ *).

O tym ostatnim przymiocie panny Starościanki wątpi kościół Boży, ale gdy piérwsze cztéry, które ja ledwo pojedyńczo w moich trzech nieboszczkach żoneczkach, i to dobrze szukając, znaleść mogłem, Elżunia równie jako i mój oto aniołeczek, który darmo swoje oczki płaczem psuje, bez kwestyi posiada; toć nie żal i pomyśleć o niéj. A choćby i spaść, to przynajmniéj z dobrego konia, jak to ludzie powiadają.

— Ale bracie panie Skarbniku, zbierając tu *Consilium* familijne, zapomniałeś najgłówniéjszéj figury, to jest samego Ludwisia. Jego trzeba wprzód wziąść na ścisłą konfessatę, a potém coś postanowić, — rzekł ks. Ambroży.

— Nie zapomniałem Mości Dobrodzieju, jest on tu podle w moim *dworku*, dałem mu tam umyślnie maleńką robotę drabowania starych mantyków; bo przewidywałem potrzebę jego tu obecności; lecz chciałem piérwéj oznajomić braci z rzeczą i przygotować ich animadwersyę; teraz możemy po niego posłać.—

Jakoż za chwil kilka wszedł pan Ludwik.

Zadziwiła go zaraz na progu uroczysta mina trzech stryjaszków, a smutna i płaczliwa siostry. Przemknęło mu po myśli, że tu iść może o wydanie jéj za pana Stelnickiego, którego tu niespodzianie znajdował; i postanowił wnet, jako brat starszy, stanąć w obronie

---

*) Na przetłómaczenie dosłówne tego łacińskiego dwuwiersza, potrzebaby dobrać pięć przymiotów niewieścich, od litery *P.* zaczynających się; ja cztéry tylko w języku naszym znaleść zdołałem: ale i tych zda mi się wystarczy do szczęścia zamierzającego żenić się czytelnika, jeżeli mu Bóg żonę z niemi zdarzy.

„Dziewczyna, którą masz pojąć niech ma pięć *P.*
„Niech będzie *pobożna, piękna, poczciwa, posażna, rostropna.*

Helusi, jeżeliby ją zmuszać chciano. Przywitawszy więc uniżenie wszystkich, zbliżył się do niéj i zapytał z cicha: — Cóż ci jest siostro? —

Helenka milczała, a stryjaszkowie poglądali na siebie zachęcając się wzajemnie oczami i rozmaitemi gestami do zaczęcia.

— *Inter nos loquendo*, — przemówił szeptem Skarbnik do Prokuratora, — Jegomości Dobrodziejowi wypada zacząć, jako głowie familji.

— Wszak go nie do zakonu namawiać mamy, — odpowiedział niecierpliwie i również z cicha ksiądz, dodając: — panie Podczaszy, tyś żonaty, więc gadaj o stanie, w którym od tylu lat żyjesz.

— Hem!... tak... tak..., — szepnął Podczaszy; nareszcie tajemniczo na ucho Skarbnikowi rzekł: — A czy nie możnaby tego na jutro odłożyć?...

— Moi kochani stryjowie, — odezwał się nakoniec Ludwik, — widzę, że tu cóś układacie, żeście się tu nie na darmo zebrali; przywołaliście i mnie, raczcie więc objawić o co idzie?

— Idzie, — odezwał się Stelnicki, przełamując piérwsze lody stryjowskich upominków, — idzie o ożenienie wasana.

— O moje ożenienie? — powtórzył zdziwiony młodzieniec, — komuż i skąd to przyszło do głowy?

— Zkąd tó przyszło, Bóg cię wie, panie synowcze — rzekł ks. Prokurator, — ale przyszło samemu tobie; bo brat pan Skarbnik dośledziwszy, jak powiada, twoich inklinacyi ku pannie Starościance Kapinowskiéj....

— Ach! ja nieszczęśliwy! — przerwał nagle i zbladł pan Ludwik.

— Trafili w sedno — przebąknął Porucznik.

— Bóg z tobą mój Ludwiku! — mówił powstawszy i zbliżając się doń Ks. Ambroży; wszyscy niespokojni, toż samo uczynili. — Bóg z tobą! nie ma w tém żadnéj winy, ani obrazy Boskiéj. Stan małżeński jest także świętym sakramentem. Rodzice twoi już podeszli, radziby cię zapewne widzieć w postanowieniu; my wszyscy cieszylibyśmy się twym losem, i odrodzeniem się z ciebie szlacheckiego naszego imienia.... Jeżeli więc szczerze serce twe skłoniłeś ku téj zacnéj pannie; próbujmy! a o ile z nas będzie, wszyscy ci pomożemy.

— Nie wyłączając i mnie od tego, — rzekł Porucznik, i uścisnął Ludwika. Ale ten milczał, oczu łzą zaszłych podnieść nie

mógł. Sam nie wiedział co mu się w głowie dzieje, jakim sposobem Skarbnik odkrył jego tajemnicę, co miał odpowiedzieć, co przedsięwziąść?...

— Kochany mój Ludwiczku, — rzekła Podczaszyna przerywając powszechne milczenie, i gładząc go dobrotliwie po twarzy: — porzuć te żale, ja wiem, że ty kochasz Elżunię, i że ona.... ciebie kocha....

— Ach! moja stryjenko, zkąd ta pewność? i na co ją tu wspominać?... — A patrzał w oczy stryjence pragnąc bodaj od niéj powtórzenia tych wyrazów, i dowodu na nie.

— No, no, już my z Helusią wiemy to lepiéj od ciebie. Wszakże to nie żadna *wexa* na pannę Starościankę; i pewna jestem, że w takim zamiarze, nie okaże ona ressentymentu dla ciebie. Z rodzicami jéj tylko, a najbardziéj z matką będzie rzecz trudna, zwłaszcza przy teraźniéjszéj z niemi twoich rodziców scyssyi. Już w tym moja kobiéca głowa nie da wam rady.

— Ale moja bywała głowa doradzi — rzekł Porucznik, — jeżeli jéj posłuchacie. Oho! nie takie rzeczy opierały się o nią! —

Wszyscy go więc otoczyli ciekawie, prócz Ludwika, który stał smutny i zadumany przy ścianie.

— Oto tak. Oj! nie masz moich porcenelo-strokatych. Szkoda i wielka szkoda!

— Mniejsza tam o waćpana porcenelo-strokate, — przerwał zniecierpliwiony ksiądz; — radź woléj co masz radzić.

— A mój Dobrodzieju, bez tego ferworu, ja i na moich siwych kucach, tegoż samego dokażę wprawdzie, ale łatwiéj byłoby z tamtemi. Jedźmy natychmiast panie Ludwiku, przez noc do Dowiatowszczyzny; ja jutro rano niby mimojazdem, i dla handlu koni, pojadę do Starościństwa; ty dasz mi do Elżuni strzelisty list, zaklinając, aby się na moje propozycye zgodziła. Jeżeli cię kocha prawdziwie, zgodzi się; natenczas powracam do Dowiatowszczyzny, kujem konie hakami naprzód, podjeżdżamy w nocy.... i Jegomość Dobrodziej czekaj na nas po jutrze rano ze stułą i agendką w swojéj zakrystyi. Pogoń za tropem naszym w piętę pogoni, a ja dostawię państwo młodych na kobierzec. Byle dobra wola Elżuni, za pomocą Boską ręczę, że się wszystko uda; bom ja w takich rzeczach *peritus et promptus*, trzecią moją żonę uwoziłem.

— A niechże nas Bóg broni od takiego żenienia naszego synowca! — rzekł żegnając się Ks. Prokurator.

— To rapt, *inter nos loquendo* — to wieża *in fundo* — dodał Skarbnik.

— At prawisz! wieża *in fundo!* kogożby tam Starostowie wsadzili? z zięciem i własną córkę. Wiadomo co nastąpi, pogniewają się i przebaczą. Ale jeżeli moja rada wam się nie podoba, to radźcie inaczéj, byle skuteczniej, o czém wątpię.

— Kochani stryjowie, — odezwał się, jakby ocucony ze swego milczenia, sam Ludwik.— Napróżnobym zaprzeczał i taił przed wami, przywiązanie moje do Starościanki. I gdyby moje uszczęśliwienie od niéj tylko zależało, możebym.... tak przynajmniéj stryjenka mówi....

— Mówię, mówię, bo dobrze znam serce i sympatię ku tobie Elżusi.

— Mógłbym i ja, — rzekł Skarbnik — zacytować na to niektóre dowody *in scriptis*...

— Dość tego kochani stryjaszkowie moi, — przerwał żywo młodzieniec; — jakkolwiek to jest, dziś próżnemi byłyby moje wszelkie o jéj rękę starania. Bóg jéj inny, szczęśliwszy zapewne los przeznaczył, gdy widocznie coraz nowe między nami stawi zapory. Niech się dzieje Jego święta wola.

— Nieboraczek!... biednińki!... — smutnie odezwała się Podczaszyna.

— Ponieważ zaś, — mówił daléj Ludwik — jako sprawiedliwie uważa stryj, nie mam żadnéj ochoty, ani powołania do jurisprudencyi; więc postanowiłem zaciągnąć się do wojska, i oddalić się z tych stron, abym i siebie, i... drugich nie dręczył.

— Jedynak do wojska! piękna *impreza!* — zawołał milczący dotąd Podczaszy; — a rodzice starzy przy kim zostaną? a my także starzy, którzy ciebie za syna mamy, co poczniem?

— Dalibóg radźcie wasaństwo, — dodała wzruszona do łez Podczaszyna, obracając się do mężczyzn.— Radźcie, bo chłopiec z rozpaczy gotów na wszystko.

Helenka także płakała.

— Cóż to złego wojskowość Mościa Dobrodziko? — rzekł pan Porucznik. Owszem, młodemu ten stan najbardziéj przystoi. Stryjaszkowie i rodzice łatwo dadzą sposób panu Ludwikowi kupienia szarży, naprzykład porucznikowskiéj; a przyczepiwszy szlifę, chłopiec jeszcze cudniejszym będzie, i nie tylko Starościankę, ale i Kasztelankę jaką do Dowiatowszczyzny przywiezie.—

— Ja opowiem Ichmościom, jak zaczynając moją służbę od towarzysza.... —

— Zaczekaj Poruczniku z *narracyą* swoją, przerwał Skarbnik; skończmy piérwiéj cośmy wzięli na rozwagę, a potém chętnie słuchać będziemy pańskiéj ciekawéj historyi. Mnie się zdaje, mości księże bracie Dobrodzieju, że nim pan Ludwik swoją żołnierkę wyszykuje...—

— Przepraszam stryjaszka, przerwał ten, ja najmniéj nie myślę odwlekać mego postanowienia.—

— Wszelkie postanowienie, odpowiedział Skarbnik, uczynione bez namysłu, wątpliwe wróży *ewenta;* a tém bardziéj postanowienie, jakby z rospaczy, do któréj *inter nos loquendo*, ja nie widzę powodu.—

— I w całém życiu ludzkiém, odezwał się Ks. Ambroży, choć ten świat padołem płaczu nazywamy, ani momentu przeznaczonego na rospacz dla człowieka, nie ma; bo to byłby moment przeznaczony dla najcięższego grzechu, to jest wątpliwości o dobroci i miłosierdziu Boskiém. A więc tego grzesznego wyrazu, tu i wspominać nie należało waćpanu panie bracie; bo to ni w pięć, ni w dziewięć.—

— Dla tego też ja dodałem *jakoby*, czego nie uważałeś *Reverendissime*, a ten wyraz modyfikuje wszystko.—

— Masz tobie! prawdziwy adwokat. No, słuchamy daléj twoich *Consiliów*.—

— Otoż życzyłbym poprobować szczęścia, i propozycyę naszą względem ręki panny Starościanki dla pana Ludwika, oświadczyć jéj rodzicom.—

Na ten niespodziany projekt, twarz Ludwika błysnęła promieniem, i wnet znowu się zasępiła.— Nie, kochany, stryju, mówił on; nie, to byłoby napróżno. Jeżeli nie dawno jeszcze mogłem sobie roić jakie nadzieje to ten nieszczęśliwy proces, zniweczył je zupełnie.—

— Proces! prawda; ale wszakże nie my go zaczęliśmy. Upodobał się panu Staroście...—

— Mów Starościnéj, przerwał Stelnicki.—

— Mniejsza oto, może i obójgu. Zaścianek od wieków nasz, w pięknéj bardzo pozycyi nad Wilją, i tuż przy wiosce Starosty, a intratny; bo przy corocznéj defluitacyi drzewa i zboża po rzece,

znaczny dochód jest tam ze sprzedaży gorzałki i rozmaitych wiktuałów, więc go sobie chcą przywłaszczyć, imaginujcie sobie państwo....—

— Zaczekaj Skarbniku Dobrodzieju, przerwał mu Porucznik z narracyą swoją, wetując temiż samemi wyrazami, za przerwanie własnéj, skończmy piérwiéj cośmy wzięli na rozwagę, a potém chętnie słuchać będziemy, pańskiéj ciekawéj historyi.—

Uśmiechnęli się oba bez gniewu.

— Prawdę mówisz Poruczniku: otoż chciałem powiédzieć, że czyniąc tę propozycyę Starościnie, postawiemy ją jakoby na rozstannych drogach do wybrania.—

— *Jakoby* — powtórzył X. Ambroży.—

— A tak *Reverendissime*, jakoby na rozstannych drogach i *inter nos loquendo*, w krytycznéj z własném sumnieniem *kontrawersyi*. Wybieraj Mościa Staroscino albo niesłuszny proceder, albo słuszne, poczciwe, i podług jéj własnego wyboru postanowienie córeczki, których *notandum* jest kilka, a posagów *pasz*. Idzie więc tylko, aby im to w dobitnéj konkluzyi na oczy postawić. Starosta, wiemy, że kocha po rodzicielsku swoją pierworodnę, i gdyby nie wysoki animusz pani Starościnéj, siłą którego *inter nos loquendo* kredensuje mężowi; a przytém jakaś ochota do procesów, za któremi imość po subseliach i trybunałach uwija się, wmawiając każdemu szérokie swe wpływy w Warszawie, zkąd kiedy niekiedy, przywozi z okienkami przywileje na *stalla* powiatowe, ale nigdy przecież obiecane starostwa: nakoniec gdyby nie nadzieja jéj, że wysoką parantelą, zastąpi córce posag, lub że ten posag, wygranemi procesami zwiększy, z samym panem Starostą byłaby rzecz łatwiejsza. Uczciwie urodzonemu szlachcicowi, sąsiadowi, dziedzicowi dobréj substancyi, a expektantowi sukcessyi *post fata*, *inter nos loquendo*, daj Boże nie rychłe, stryjaszków, nie odmówiłby on ręki panny Elżbiety; przekonawszy się zwłaszcza o wzajemnéj serc inklinacyi, dowodzącéj przeznaczenia Boskiego... Możnaby jeszcze jakoby *a latere* rzucić myśl, że posagiem *ad interim*, będzie kassata tylko procesu o zaścianek. Nic na tém Pan Ludwik nie straci, bo *nullus dat qui non habet* *), a właśnie Starościńtwo jest w takiéj kategoryi.—

— *Sapientissime argumentatum!*— rzekł Ks. Ambroży, nie pozo-

*) Nikt nie daje, kto nie ma.

staje więc nic więcéj, jak abyś sam się udał do Starosty, i wszystko to im obojgu z należytym rozbiorem przełożył.—

— Wertowałem to ja w głowie, przez całą noc *Reverendissime*, odpowiedział Skarbnik, rozważając wszystko *pro et contra*, i skonkludowałem? że mnie tam jechać nie wypada. Ja bronię u sądu sprawy brata, przeszliśmy przez *subselie*, gdzie się nie dałem pokonać. Przychodzimy teraz do trybunału; Starościna wie, że i tu ją najtężéj oppugnować będę, i przy sprawiedliwości mam w Bogu nadzieję, że jéj szyki połamię. Więc przybycie moje nie będzie jéj miłe, i propozycya z ust moich, tém trudniéj akceptowaną być może.—

— A zatém przypada użyć obcéj osoby — odezwał się Podczaszy.—

— I to nie: przed obcą osobą imość zadrze nosa, i skonfundować gotowa i swata, i swatanego.—

— Dajcie temu pokój kochani stryjowie, odezwał się przysłuchujący się w milczeniu Ludwik; po co się samym bezskutecznie narażać, i po co zasmucać i udręczać, tę, dla której.... lękam się bowiem..:..—

— Czego się lękać? — przerwała żywo stryjenka; najgorzéj będzie, kiedy się będziesz lękać. Czytaj, co dziś nam z Helusią wypadło z kabały o tobie — i to mówiąc, znalazła wnet w książeczce wierszyk wyżéj przepisany, i pokazała Ludwikowi.—

— «*W każdéj życia konjunkturze*, czytał on uśmiechając się: «*Upadają tylko tchórze.*»—

— A widzisz, i na Elżunię ciągnęłyśmy...—

— A moja mościa bratowo, rzekł Ks. Ambroży; cóż to za zgorszenie sama czynisz, i synowicy wmawiasz! Kabały, czary, i wszelkie takie gusła, są wyklęte od Kościoła Bożego: to sidła, to pastki, które szatan na łatwowierne dusze zastawia; wstydź się waćpani, i nie mieszaj do poczciwych zamiarów i rad naszych, takich nieczystych influencyi, od których abym was ochronił—dawaj imość.— Wyrwał książeczkę z rąk bratowéj i cisnął na kominek. Płomień chwycił papier, i buchnął słupem w górę.—Patrz waćpani, rzekł, porywczo podprowadzając ją do kominka: oto tak dusze w czyscu gorą za czary i gusła. A tu koło kominka pewnie szatan tańcuje teraz, chcąc wyrwać z ognia ulubioną waćpani książeczkę, ale nie dokaże tego, bo ją ręka kapłańska tam potępiła.—

Podczaszyna z przestrachem cofnęła się, i lubo mężczyźni rozśmieli się na ten gorący napominek Ks. Ambrożego, u Podczaszynéj jednak oczy łzami zaszły, a Helusia drżąca za brata się schowała.

— Proszę Imości i obowiązuję, pójść w niedzielę z panną Heleną do spowiedzi, i być na kazaniu; bo tam, gdzie idzie o zbawienie duszy, żartów nie ma. A teraz panie Skarbniku, twoje *conclusum* słuchamy.—

— Moje *conclusum Reverendissime*, jest takie: abyś Jegomość Dobrodziéj, podjął się tego poselstwa, i albo połączył tam dwie propozycye w jedno, lub je *saparatim* traktował, jak będzie wypadało.

— Przed zbliżeniem się ostatecznéj decyzyi w procesie, właśnie jest czas zagajenia kombinacyi: a jeżeli piérwsza odrzuconą zostanie, abyś wsparł ją drugą, z któréj pierwsza *se ipso* wypłynie, i w niéj się zawrze.

— Słowa pokoju w ustach brata Dobrodzieja jako kapłana, najprzyzwoitszemi będą; a jeżeliby Starościna na argumenta prawne wpadła, znajdzie *inter nos loquendo* adwersarza....

— Czy znowu chcesz mnie na drogę potępienia prowadzić?— przerwał porywczo ksiądz — zapomniałeś!....

— A Mości Dobrodzieju, odpowiedział z powagą Skarbnik; pogodzić zawziętą kłótnię między dwiema familiami, i jeszcze familie te skojarzyć sakramentem; spełniwszy taki uczynek, powiedzieć śmiało można *Laus tibi Christe!* a sposoby ku temu, ja zostawuję zupełnie wysokiéj mądrości i eksperyencyi brata dobrodzieja. *Licet* zatém *sperare*, że dla tak prawdziwéj zasługi przed Bogiem i ludźmi, i dla dobra własnéj krwi, brat swéj fatygi i łaski nie pożałujesz.—

Ks. Ambroży uspokoił się, i rozpogodził zmarszczone czoło, a po niejakim rozmyśle, obrócił się do Ludwika i zapytał:

— Powiedzże waćpan, czy *inklinacye* waćpana do panny Starościanki są prawdziwe? i czy żądasz, abyśmy o jéj rękę dla ciebie krok niejaki uczynili?

— Kochany stryjaszku, rzekł rumieniący się młodzieniec; taić nie będę przed wami, którzy tak szczérze moim losem zatrudnić się chcecie, że podług mojego serca, byłbym najszczęśliwszym w posiadaniu ręki nadobnéj téj i najlepszéj dziewczyny. Że ona sama... namyślającemu się, jak się daléj wyrazić? dopomógł porucznik.—

— Kocha ciebie. Co?—

Ludwik na ten wyraz spłonął na nowo.

— Gdyby i tak było, mówił daléj, smutném ruszeniem głowy wydając boleść wewnętrzną, cóż po tém, gdy widocznie przeznaczenie naprzeciw nas, gdy pewny jestem, że rodzice jéj na to się nie zgodzą; a nawet moi właśni, czyliż dozwolą kroku, w którymby przeciwnicy ich znaleźli zręczność poniewierki dla szlacheckiego naszego imienia.—

— Przeznaczenie — jest to nie co innego, tylko wola Boska, moje dziecię, rzekł Ks. Ambroży; a poczciwym zamiarom Bóg dopomaga. Bez woli rodziców twoich, naturalnie, że nic rozpoczynać nie będziemy. *Spernować* zaś nami, Starościństwo nie ma powodu i nie może; a nie widzę żadnéj konfuzyi w rekuzie, któréj częstokroć i najszlachetniéjsi kawalerowie uniknąć nie mogą, zresztą będę wiedział jak te rzeczy poprowadzić.

— Posłuchajcie jeszcze raz mnie starego... tfu! co chciałem mówić — dobrze, że Helusia w alkierzu, dawnego a prawdziwego swego przyjaciela. Jam nie obcy obu familiom, i chciałem z całego serca widzieć obie w pokoju i jedności, jak dawniéj bywało; a temu poczciwemu chłopcowi chciałbym także usłużyć. A zatém jeżeli wola, ofiaruję się w sekundy Ks. Prokuratorowi: dość będzie saméj jednéj kobiéty na głowę Jegomościa Dobrodzieja, i gdy ją będziesz kruszyć, ja tymczasem ze Starostą mocować się będę.

— Prosiemy, i owszem prosiemy kochanego Porucznika.—A ja, dodał Ks. Ambroży nadewszystko.

— Jutro zatém rano, czwórką moich siwych.—Oj! nie ma porcenelo-strokatych! zajeżdżam gdzie rozkażecie, i zabieram ciebie *Reverendissime*. Za godzin trzy będziemy w Dowiatowszczyźnie; a ztamtąd po obiedzie z błogosławieństwem rodzicielskiém, ruszym gdzie nas daj Boże *fortunne fata* poprowadzą; zaś w propozycyach mądrze sobie i ostróżnie poczynając, albo zajdziemy do bliższych *exwisceracyi*, albo zrejterujemy się gładko. Oj! bo ja szczwany lis!—

— Cieszę się z towarzystwa i z życzliwości Porucznika dobrodzieja, rzekł Ks. Ambroży, a zwłaszcza gdy wyrozumiewam że rzecz tę z ostróżną delikatnością ze swéj strony prowadzić masz, bo i ja takimże krokiem postępować będę. Gdy więc tym sposobem skonkludowano radę, wszyscy zabierali się do odejścia; lecz że już zmierzch po krótkim dniu zimowym zapadał, przeto Podczaszowstwo, zatrzymali wszystkich na wieczerzę.—

VIII.

Bywalec—Śpiewaki.

—Imajnujcie sobie Państwo, rzekł Porucznik; trzecią moją żoneczkę wykradałem w Borysowskim, gdym tam *lafę* na regiment mój wybierał. Ba! wszystko się ułożyło jak najlepiej; całą zimę polowałem z ojcem panienki na niedźwiedzie i łosie, bo to puszcze tam głębokie, i źwierza grubego gwałt. Wdowiec to był, i przypadliśmy sobie do humoru; ale też i córeczka jego przypadła mi do humoru; bo to fertyczne, i impetyczne było dziecko, a nie miałem jeszcze takiéj. Z powolnemi już mi się naprzykrzyło; młodać to jeszcze, myślałem; jak ją wezmę po swojemu, uchodzi się, a zostanie wrodzona wesołość, z którą miléj żyć, jak ze zmokłą cieciorką, co wiecznie piszczy i głowę suszy.

— Więc ja, krótko mówiąc, w konkury! Tatunio poznał od razu interes. „Daj waść pokój, rzekł raz do mnie, tym zalotom do mojéj Ewusi; ja jéj za ciebie nie wydam, bo ty już rycerz z regimentu Działyńskiego *), a ona kozak dziewczyna; jéj trzeba rzeźwego młokosa, a ty wdowiec i jeszcze podwójny. Kiedy już tak chcesz żonki, weź jaką podżyłą kwokę, wdowę jak sam, to się łatwiéj z sobą pogodzicie.“ Po kilku dniach, gdy widział, że perory jego nic nie pomagają, ani mnie, ani córce, więc znowu do mnie: „Jedź Waść do stu djabłów!—rzekł; lafę już wybrałeś, po co siedzisz? ja chleba nie żałuję, ale bałamucisz mnie córkę, a prawdę mówiąc, ona ciebie bałamuci; i jéj i ciebiebym żałował, gdybyście się pobrali. I to jeszcze masz wiedzieć, że posagu nie dam, bo pieniędzy nie mam, chyba kilka skór niedźwiedzich na małżeńskie łoże.“ Zacząłem więc wybierać się w drogę, ale pomyślałem, zaczekaj tatuleńku, dowiodę ja tobie, żem nie z komendy Działyńskiego!!! O posagu pogadamy

*) Była dawniéj powszechna opinia w przysłowie zamieniona, że w tym regimencie same byli niedołęgi.

poźniej; zresztą przed każdym moim ślubem śpiewałem ja jedną piosnkę:

[„Fraszka, fraszka, sto tysięcy!
Dobre dziewcze warte więcéj,“]*)

choć po ślubie inaczéj się pomyślało. Otoż, czy przez prawdziwy dla mnie afekt, czy chcąc wyrwać się z domu rodzica, bo [jak to mówią, dziewczyna każda za okno patrzy,] słowem, że Ewusia łatwiuteńko zgodziła się na propozycyę moją uwiezienia jéj.

Urządziłem wszystko ładem, wyjechałem z domu tatuni pożegnawszy go solennie, a następnéj nocy z dobranym przyjacielem podjeżdżamy tęgą czwórką karych, jak dziś pamiętam, i stajemy o kroków kilkaset od bramy, a sami piechotą, podchodzimy jak wilki po owieczkę, aż pod okna Ewusi....

Stuk! stuk! otwiera się okienko, i gołąbka w mojém ręku!... Drży jednak trochę, ale to nic — dobra nasza. Podprowadzamy ją — biegniem... już jesteśmy w pół dziedzińca.... byle za bramę... już tylko kilkanaście kroków.... gdy nagle!...

Zamilkł Porucznik, i wziął szczyptę tabaki od Podczaszego, i zażywał ją od niechcenia, prowadząc z uśmiechem oczy po zainteresowanych słuchaczach.

— Cóż się stało dla Boga?—rzekła niespokojna Podczaszyna.—

— Ot jak Imość Dobrodzika ciekawa! zgadnijcież Państwo?—

— Nagle zapewna psy wypadły—rzekł Podczaszy i wasanu poły oberwały; ludzie się rozbudzili, zdrada się odkryła. Jaka potém konsekwencya, szczególniéj dla córki, łatwo się domyśleć.—

— Trafiłeś jak kulą w płot, Podczaszy Dobrodzieju.—

— A więc cóż się stało?—odezwali się wszyscy.—

— Nagle... Stój!—

— Ach! Jezus Marya, Józef! — krzyknęły kobiety, gdy Porucznik jak z pistoletu to słowo wypalił.—

— Stójcie! powtórzył ten Herod. Stójcie! Na co tak śpieszno panie Komendancie regimentu Działyńskiego? Tym mnie, przyznam się do żywego dojadł:—Wypijcie kawę, nie zdrowo na czczo wyjeżdżać, i ruszajcie potém z Panem Bogiem **). Ja tu pomyślę, abym pustelniczego życia nie pędził. Nie będzie córki, będzie żona, i nadzieja w Bogu będą dziatki, którym dom rodzicielski jak tobie Ewu-

---

*) Dawna piosnka.

**) Prawdziwe.

siu swędzić nie będzie. Z Panem Bogiem zatém, z Panem Bogiem!— Ksiądz czeka w kaplicy po drodze, wiem o tem dobrze.—Ależ trzymaj się dobrze panie zięciu; ostrzegałem waści i teraz ostrzegam. Pilnuj żoneczki, jak lisa na przesmyku; bo *solito more*, złodzieja, lepszy złodziéj okrada, a jeszcze oficera z regimentu Działyńskiego. Cha! cha! cha! Bywajcie zdrowi!

— Mało mnie djabli ze złości nie wzięli; staliśmy wszyscy jak powarzeni. Piérwsza Ewusia odezwała się:—Czegoż czekamy? Czy kawy, na którą nas zaprasza? Jedźmy! to i pojechaliśmy. Mimojazdem w kaplicy wzięliśmy ślub, i oparliśmy się aż na Ukrainie, bo tam stała moja Pińska brygada. A tatulo jak powiedział, tak i zrobił: ożenił się i ma dzieci jak bobu; bo i dotąd z łaski Boga żyje. Ale co gorsza, że i moje *futurum* wyprorokował. Ewusia kochana wyprobowawszy peregrynacyi *insperate* rozpoczynanych, w rok potém wymknęła się i ode mnie z młodym doktorem, który jéj wmówił i nauczył jakiéjś nowomodnéj choroby, nazywającéj się *Spazmy* *). Chwała Bogu, że ona u nas szlachty nie grassuje, bo powiadają, że nasze wielkie panie, już na nie chorować zaczynają.

— Jakaż to choroba? widać kobiéca—zapytała Podczaszyna.

— Oj Mościa Dobrodziko, to szatan wstępuje w kobiétę.

— W Imie Ojca i Syna! To nie choroba, to dopuszczenie Boże, to opętanie; a wszakże ja sama widziałam, nie tylko baby, ale dziadów nawiedzonych.

— Chciałem powiedzieć sensem pana Skarbnika, *jakoby* wstępuje szatan w kobiétę. Najprzód tedy zaczyna ona złować, najmniéj przez trzy dni i trzy noce; potém poziewać, potém śmiać się i płakać razem, a potém Boże odpuść, jak nawiedzona, różne dokazywać łamańce: kurczy się, wyciąga się, przewraca oczy...

— Jakież na to lekarstwo? — przerwała niecierpliwie Podczaszyna.

— Lekarstwo! lekarstwo! ja probowałem jednego.

— Jakiegoż?

— Przypomniawszy, że nawiedzonych, leczą paskiem Św. Antoniego, odpiąłem paski od mojéj karabeli i choréj Ewusi... tu pokazał wyrazisty gest.

---

*) Właśnie czas téj powieści, przyda na period spazmowania kobiét w Polsce, była to modna choroba.

— *Inter nos loquendo, medicamentum grave!* — rzekł Skarbnik kręcąc głową.

— I pomogło Mości Dobrodzieje; serdecznie pomogło! jak ręką ujął. Tylko, że moja pacyenkta nieupodobawszy widać takiéj medycyny, wolała kuracyę swego pana doktora, i dla tego z nim uciekła, wybrawszy sposobną porę, mojéj nieobecności przy komendzie. Wyrekuperowałem ja ją wprawdzie; a pan doktor musiał potém długo sam się leczyć, nim się wylizał z mojéj od spazmów kuracyi, do któréj zamiast pasków od karabeli, użyłem boćkowskiego arkanum...

— *Medicamentum gravissime!* — rzekł znowu uśmiechając się Skarbnik, i za nim wszyscy.—Lecz już odtąd, mówił daléj Stelnicki, Bóg nam w pożyciu nieszczęścił, i wkrótce na wieki nas rozdzielił. Umarła: tylko nie ze spazmów, ale z gorączki, grassującéj tam natenczas śmiertelnie. Wieczny jéj pokój mospanie!—

Zamilkł Porucznik, pokiwał głową, i zarwał opowiadanie, bo wrzekomo ani siebie, ani słuchaczów, rozczulać nie chciał.

Tymczasem zmierzchło zupełnie; płomień zatém na kominie, nowemi zażywiono drewkami, a cała kompania na stołkach i zedelkach, obok siebie przed ogniem osiadając, uformowała półkole, a raczéj obraz na tle ciemném izby, małym tylko jednéj świéczki płomykiem wątpliwie z tyłu rozwidnionéj, a z przodu jaskrawém od komina oblanéj światłem. Na niém to grono rozmaitością twarzy, wieku i wyrazu wybitne, interesowne dla malarza dałoby wzory.

Mnich surowego oblicza, z czerwonym krzyżem na białym habicie, zajmował środek obrazu. Obok matrona, jakby z wiejskich malowideł *Teniera* zdjęta; w strojnym bławatnym kapturku, i bławatnym półsalopkiem okryta, z licem łagodnéj, prosto-dusznéj a poczciwéj niewiasty, takiéj właśnie jakiemi babki i prababki nasze bywały. Z drugiéj strony czerstwy, ze łbem wygolonym weteran, zawiesistego pokręcał wąsa, i żywe jeszcze oko, zwracał na opowiadacza, którego rycerska postawa znana już nam, a rzeźwa i dziarska, rozweselała posępny układ ogółu, upięknionego jeszcze dwiema ładnemi młodemi twarzami, wyglądającemi z cienia z za starszych.... Wnet jednak poważne te rozpłomieniły się oblicza, gdy Helusia z wdzięcznym uśmiéchem podniosła każdemu tackę z pełnemi lampeczkami.

— Lipczyk moje Dobrodzieje, dalibógże kowieński stary lipczyk! — wykrzyknął Porucznik, i smakując z rozkoszą, sam jeden dalszą prowadził konwersacyę.

— Dla czego Imość Dobrodzika—mówił obracając się do gospodyni, tak mocno oppugnujesz zamiar Ludwisia, zaciągnienia się pod chorągiew Marsa?

— Jakiego to Marsa?—zapytała Podczaszyna.

— Ej Mościa Dobrodziko, to był bożek pogański; ale to się rozumie przez allegoryę, a znaczy po prostu żołnierkę. Więc cóż to złego?—Pytałem już i teraz pytam? Dwadzieścia siedm lat traktowałem wojskowo, a cóż mi złego się stało? Służyłem ojczyznie z honorem, i jeszcze za moją szarżę kilkanaście tysiączków schwyciłem. Zwiedziłem cały nasz kraj, jak szeroki i długi; a nawet trzy razy żeniłem się, nigdy od kobiétek nie doznając ressentymentu; i jak mnie widzicie panowie, bynajmniéj nie postarzałem, bo trud Mościa Dobrodziko i praca, hartują człowieka.

— A wojna broń Boże?—rzekła Podczaszyna.

— Wojna! Ej gdzież tam ta wojna! Nie słychać dzięki Bogu o wojnie, a gdyby i zdarzyła się, to Mościa Dobrodziko, człek strzela a Pan Bóg kule nosi. Można i za piecem umrzeć bez wojny. Oddalenia zaś od krewnych i familii obawiać się nie należy: bo u nas po całym kraju zda się jedna rodzina; a gdziekolwiek godny i zacnéj krwi szlachcic zajedzie, to go wszędzie *apertis manibus* przyjmą. W Koronie, czy w Litwie, na Ukrainie czy na Rusi, jak zaczną wyprowadzać antenatów; a liczyć kto z kogo rodził się, kto gdzie bywał, kto gdzie, i komu jaką *sąlvę* uczynił? Kto z kim do szkół chodził, albo u dworu służył, albo sejmikował, albo jaką wyprawę robił: to jak po nitce dójdzie się że alboś w domu kolligata, albo wnuka czy prawnuka przyjaciela naddziada twego. A ztąd wraz i komitywa i przyjaźń, i człek jak u siebie, choć o sto mil od gniazda.

Imainujcie sobie Państwo moje, jedno zdarzenie. Po sukcessyą tam jakąś spadłą na moją drugą żonę *de domo* Zabłockę, musiałem niegdyś pojechać w Witebskie; piérwszy raz na życiu tam zawędrowałem. Wybrałem się zwyczajnie po żołniersku, bez wielkich

bagażów i ekwipażów; trójka koni, bryczka z płócienném pudłem; wyrostek rzeźwy i trzeźwy, szabla, gwintówka, i para pistoletów. Ot i wszystko — przy tém sakiewka z małym zapasem, bo ją sukcessyą naładować miałem, i patent oficerski za nadrą.

Mil z pięćdziesiąt i więcej tak odbywszy zbliżałem się już do celu, i zajechałem na nocleg do miasteczka, jak dziś pamiętam, *Czasznik;* gdzie i.... umarłem!

— Co to się ma znaczyć?—zawołała cała kompania.—

— A cóż to tak dziwnego Ichmościom, że umarłem? zwyczajnie jak człowiek! Dziwniejsza zda mi się, że zmartwychwstałem, i że żyję zdrów i wesoł, do usług Państwa Dobrodziejów, i tego mojego aniołeczka, który nam tak smacznego lipczyku dolewa.—

— Któż cię wskrzesił?—zapytał Ks. Ambroży.

— Kto mię wskrzesił? Dziadulek mego pradziadulka!—

— Co tam bałamucisz, kochany Poruczniku?—odezwał się Podczaszy; opowiedz nam wolej całą historyę porządnie.—

— A jakże Ichmość chcecie? Czy od końca idąc do początku? Czy od początku do końca? to jest: czy od śmierci do zmartwychwstania, czy od rezurekcyi cofając się do śmierci?

— Idź jaką chcesz drogą, byle *zrozumiętalnie*—odpowiedział Podczaszy.—

— No, a na czemże stanąłem?—

— Stanąłeś na noclegu w Czasznikach.—

— A tak; jak na nieszczęście trafiłem tam na *Szabas*, i zjadłem całego szczupaka, którego bogaty żydzisko w karczmie, dla siebie i swoich gości przygotował. Odpędziłem i gości i gospodarza od misy; uciekli krzycząc: — *A Kanfederat! A Kanfederat!*—A ja nad nią zasiadłem i zrepetowałem całą. Nieoszczędzałem wprawdzie i flaszki, z wyborną szabasową wódeczką, któréj także Izraelici odrzekli się; ale musieli niedowiarki urzec mnie, bo nieustannie szeptali cóś poglądając z daleka. To też w nocy, zaraz, rozchorowałem się okrutnie i wkrótce umarłem zapewne, bo nie wiem co się ze mną stało....—

— Zapewne wpadłeś w malignę, i straciłeś przytomność—rzekł znowu Podczaszy.—

— Nie przeczę—pewnie jednak, że nie byłem na tym świecie.... A gdy zmartwychwstałem i otworzyłem oczy, to znowu rozumiałem żem w raju. Oto i macie krótki rozdział historyi mojéj aż do rezurekcyi.—

Obaczyłem się więc w komnacie bardzo pięknej, na miękich pierzynach, i otoczony kilką osobami, na których twarzach jakąś życzliwość ku mnie od razu poznałem.

— Bądź dobréj myśli panie Poruczniku—rzekł jeden z nich—choroba się przesiliła, będziesz zdrów, i bądź spokojny o siebie, bo jesteś w domu przyjaciela.—

— Niechże wiem—rzekłem, komu życie winienem?—

— Bogu najpiérwéj—odpowiedział tenże sam jegomość, i Jemu składaj dzięki; a gdy się obmożesz, dowiesz się reszty. Teraz słuchaj pilnie tego pana, jest to doktor który cię ratował i nieutrudzaj niczem myśli, ani głowy.—

Jakoż doktor ten dawał mi rozmaite kordyały, skutkiem których i za pomocą Bożą, we dni kilka mogłem już siedzieć na łóżku, i codzień mi sił przybywało.

Natenczas wszedł do mnie Pan Józef Szczyt, w jego to bowiem domu w.... się znajdowałem; człek jeszcze młody, ale Pan zacny *de re, et nomine.* Z wielką księgą w ręku, i nie dozwalając mi fatygi na podziękowanie mu, albowiem warto mi było za jego dobrodziejstwa i do nóg mu się rzucić, zapytał mię, jakich jestem Stelnickich? i jakiego herbu?

— Ród nasz—rzekłem z Korony, z województwa Sandomirskiego, herbu Róża. Ojciec mój przeniósł się do Litwy, ale mamy tam jeszcze familię.

— Tak właśnie, tak. Chwała Bogu! „*Ex palatinatu Sandomiriensi, Stemmatis Rosae*“ powtarzał pan Szczyt rozpatrując się w księdze, i zapytał jeszcze.—

— Czy umiesz po łacinie panie Poruczniku?—

— *Inteligo*—odpowiedziałem.—

— Więc słuchaj: „*Anno domini millesimo.*“—

— A gadaj po polsku Poruczniku dobrodzieju—przerwała Podczaszyna.—

Kiedy Imość dobrodzika każe, to i owszem, bo dla mnie wszystko jedno; ja po łacinie jak rzepę gryzę.

Uśmiechnęli się mężczyzni, że prośba Podczaszynéj w samą chwilę dogodną dla chluby Porucznika przypadła.

— Czytał zatém pan Szczyt—rzekł daléj Porucznik, w téj wielkiéj księdze, sławnéj pamięci przodka swego, Mikołaja Szczyta, Wojskiego Połockiego, i walecznego niegdyś obrońcy Połocka, do swych

sukcesorów perorę, tak zapisaną: którą ja *praeter propter* pamiętam, i teraz przewertuję Ichmościom po polsku:

„Ktokolwiek z następców, i choćby najodleglejszych potomków moich *Szczytów*, będziesz czytał to moje pismo; wiedz i pamiętaj, że gdy w roku 1563 *), nie folgując zdrowiu memu, ani krwi w obronie Połocka, zostałem wzięty w niewolę, i zaprowadzony na Moskwę do Cara Jegomości Iwana Groźnego, gdziem przez lat dziesięć **) zostawał, obok ze mną walczący namiestnik chorągwi mojéj Justyn Stelnicki, również w niewolę był wzięty, i przez cały czas ze mną tam zostając wszelkiemi posługami i staraniem w chorobach i niedostatkach, nie raz mi zdrowie i życie ratował. A gdy po powrócie z Moskwy, miał dążyć do swéj rodziny w województwo Sandomierskie, zginął tu na pojedynku, z racyi jaką poniżéj opiszę. Tak więc Bóg mi nie dozwolił wynagrodzić mu i zawdzięczyć jako chciałem, za jego dla mnie usługi i życzliwość. Nie zapominając zatém aż do zgonu mego, o jego duszy, i na pamiątkę w miejscu, gdzie był śmiertelnie ugodzony, wymurowawszy słup ***), gdy widzę, że i sam wkrótce ten świat pożegnać muszę, zapisuję więc w tę księgę, w której całe życie moje, i wszelkie onego ewenta wiernie opisałem, i tę okoliczność; zaklinając wnuków, i potomków moich w najdalszéj descendencyi, aby najprzód w ofiarach i modłach za moją duszę, (na co i legacyę czynię stałą), nie rozłączali nigdy mego imienia od imienia *Justyna.* A nadto, jeżeli zdarzy się któremu z nich spotkać się z jakimkolwiek Stelnickim z *województwa Sandomierskiego* rodem, *herbu Róża!* a tém bardziéj z potomkiem *Justyna,* niechże pamięta, że jest w obowiązku czynić mu wszelkie pomoce i *salwy*, jakichby jego stan i położenie wymagały. Owszem niech mu opowie tę historyę, aby dobro sobie świadczone, mógł uważać jakby sukcessyę po swym przodku *Justynie.* A każdego z moich potomków, któryby w zdarzeniu nie spełnił ochotnie téj mojéj woli, na Sąd straszny zapozywam."

— Zacne panisko! — rzekli słuchacze, zacne panisko! —

— Tak, dodał Skarbnik — zacne panisko! Lecz nie mniemajcie Ichmość, aby to był u nas przykład jedyny. Ja, który z obowiązku professyi mojéj, drabuję często archiwa, rozmaitych i najznakomit-

*) Historyczne.

**) Z podania domowego.

***) Który i teraz się znajduje.

szych imion w Litwie, nie rzadko spotykam się z podobnemi zapisami wdzięczności, i przekazami onéj na potomki, oraz z takiemi zapozwy na sąd straszny.—

— Bo to trybunał nad trybunały mospanie!—rzekł ks. Ambroży; i tak jest jak powiada brat pan Skarbnik. W niejednym domu znajdziesz podobne xięgi familijnych pamiątek. Za młodu gdym służył *patrocynii*, Boże mi odpuść! równie jak dziś on, naczytałem się takowych foliałów, i nie raz w nich widziałem oczéwiste dowody poczciwości przodków naszych. A w każdym prawie testamencie, przeczytasz, to sumienne restytucye, to szczére wyznania prawdy, aż do ostatniéj chwili życia tajonéj, to przejednania pokorne a chrześciańskie, które nie jedną krzywdę wynagrodziły, nie jednéj kłótni położyły koniec, i nie jedną zasługę, jak twego przodka, poruczniku dobrodzieju wynagrodziły. Oj! bo poczciwi byli przodkowie nasi! Daj Boże i nam być takiemi.

Po téj dygressyi pana Skarbnika i księdza Ambrożego: Porucznik kończył opowiadanie.

„W domu jeszcze od rodziców słyszałem ja, co właśnie i panu Szczytowi powiedziałem, że jeden z naszych antenatów, poszedł kiedyś na wojnę moskiewską, i z niéj nie wrócił.

— Otoż jesteś tuż przy jego grobie—odpowiedział mi pan Szczyt, i gdy ozdrowiejesz, pomodlim się razem za jego duszę. Co do ciebie panie Poruczniku, przejeżdżając przez *Czaśniki*, znalazłem cię w malignie w karczmie, i dowiedziawszy się o nazwisku, poczułem, że Bóg mi nastręcza zręczność wypłacenia potomkowi długu naddziada mego, i wypełnienia woli jego, którą *sakro sankte* szanujemy.—Przywiozłem więc cię tutaj do mojego domu, który odtąd za własny uważaj, i rozkazuj mi służyć sobie w czém zażądasz.

— Zacne panisko!—powtórzyli słuchacze dla prawnuka, co piérwéj rzekli dla naddziada. Zacne panisko!

— A widzisz Imość Dobrodzika—mówił Porucznik obracając się do Podczaszynéj; że gdyby mój antenata nie traktował wojskowo, i nie peregrynował po świecie, ja umarłbym u żyda za piecem. A gdybym ja w jego tropy nie poszedł, nie poznałbym pana Józefa Szczyta, który mię i z grobu dźwignął, i nie jedną potém wyświadczył łaskę. Konkluduję więc, że stan wojskowy, młodemu, jak nie może być lepiéj, przypada, i że Ludwiś na szerokim świecie, nie długoby tęsknił po Elżuni.—

Wśród téj długiéj legendy pana Porucznika, raz i drugi napełniały się lampeczki; zajęci słuchaniém, jakby nie postrzegali rączki Helusi, kilkakrotnie przed każdym nachylającéj gąsiorka.... Gdy z daleka słyszeć się dały na ulicy, jakieś huczne głosy.

— Co to takiego? — zapytano się wzajemnie.—

— Chwilę posłuchawszy, zerwał się Porucznik i wykrzyknął: — Jak mi Bóg miły, to śpiewaki gdzieś tu blisko pod jakąś kamienicą. Brawo! Niechże nam pomogą weselić się przy lipczyku; i wyleciał za drzwi, nie uważając na mrukliwe protestacye ks. Ambrożego.—

Po chwili usłyszano gromadę na dziedzińcu, i głos Porucznika:— No Wiara! Bo katże was wié po pociemku, kto wy jesteście? Cokolwiek wesołego i żołnierskiego, obaczycie, że i we dworkach takież same talary, jak i po kamienicach. Potém uradowany wpadł do kompanii; a pod oknem dziesięcią przynajmniéj głosami, zgodnie dobranemi, nótą skocznego marsza zabrzmiała piosenka.

*

„Mości Książe, co to masz za huzary *)
„Że swe życie hazardują broniąc wiary?
„Marsz huzary! brońcie wiary!
„Marsz, marsz, pod *Rzeszowo* na Tatary.

*

„Kiedy szli huzary z pod *Rzeszowa*
„Spotkała ich zdrada Murzynowa,
„Żdrajca Murzyn! Judaszów syn!
„Już był na śmierć osądzony jako poganin.

*

„I już go prowadzą na szubienicę,
„Wtém zdrajca na głowę kładnie szlafmycę:
„I znikł psubrat chybił go kat!
„A wziął go czart—jako był wart! —

— Ależ dyszkant! Ależ dyszkant! — powtarzał Porucznik, amator jak widać śpiewu, i wesoły towarzysz nie jednego choru.—

---

*) Jaka to rozprawa pod *Rzeszowem* dała powód do téj piosenki, nie mam podania. W młodości mojéj jednak, słyszałem śpiewaną od tych, którzy się jéj od wieczornych wiejskich śpiewaków kiedyś nauczyli.

Pan Ludwik uśmiechnął się, bo poznał, że to jego kolega pan Rafał, na te aplauzy zasługuje.

— No chłopcy! jeszcze cokolwiek takiegoż—zawołał znowu Porucznik oddzierając przymarzłe okno, od którego pani Podczaszyna bojąc się reumatyzmu, odstąpiła nagle.

Więc nowa pieśń zabrzmiała.

*

„Powstań Czarnecki! przetrzyj swe powieki!
Bo gdy nie powstaniesz
Bo gdy nie powstaniesz
Zaginiem na wieki!

*

„Tuż, tuż, nad nami los pełen ohydy!
„Na nasze Tatry.
„Bieży Lew z wiatry,
„Z za szumnéj Bałtydy!

*

„Powstań Czarnecki i dobywaj szabli
„A wnet minie bieda
„Heretyka Szweda
„Wezmą wszyscy djabli *)

— Fe! fe! fe!—krzyknął ks. Ambroży zrywając się od stolika; lipczykiem bodaj do surowszéj gorliwości pobudzony—fe! fe! Imie wiecznego nieprzyjaciela naszego! *Scandalum!* I podskoczywszy do okienka, słuchajcie wy urwisze!—rzekł groźnie; kiedy macie beczeć, to już lepiejby było, gdybyście cokolwiek ku zbawieniu naszemu zaśpiewali, niżeli wspominać szatana, który was ku swawoli, i takiej nocnéj włóczędze kusi; a nie, to idźcie do stu djabłów... Aj! fe! fe! fe! cóżem powiedział?—wrzasnął uderzając się po gębie ksiądz, i wśród powszechnego śmiechu, usiadł skonfundowany przed kominem.—

Tymczasem na tę apostrofę, rumor jakby narada, wszczęła się między śpiewakami i wkrótce usłyszano:

*) Pieśń ta jest oczywiście z czasów plądrowania po tym kraju Karola XII. który zamiast Czarneckiego, znalazł pod Połtawą mściciela swoich tu zbytków. Do mojéj pamięci równąż jako i piérwsza doszła drogą.

„Któż to zważy, kto zmiarkuje?
„Chytrość ludzką spenetruje?
Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
„Oj biedaż niedola!

*

„Być poczciwym—to obłuda?
„Być wesołym—to prokuda. *)
„Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
„Oj biedaż niedola!

*

„Być rozumnym i to szkodzi
„A któż tam światu dogodzi?
„Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
„Oj biedaż niedola!

*

„W Tobie Panie ufność moja
„Niech się dzieje wola Twoja!
„Nadziejaż to, to. Nadziejaż to, to.
„Nadzieja Bóg moja! **)

— O to, to co innego—rzekł ks. Ambroży, gdy śpiew ucichł, i dobył z pod szkaplerza woreczek, z którego wyjmował rozmaitą monetę, pilnie każdą oglądając przy świécy, i nazad do woreczka chował... A tymczasem Porucznik dobył z kieszeni długi ze złota i, jedwabiu utkany, złotemi także obrączkami przedzielony *Tuitam* ***) i przez pomyłkę niby z jednego końca, z półtory kopy pięknych wysypawszy czerwieńców, na których czole wykocił się sporysz, odsypał je nazad; a potém z drugiego, z mnóstwa monety, wybrawszy holenderskiego talara, uwinął go w szpargał papieru, zapalił i rzucił przez okno śpiewakom, dodając uprzejmie: — Dobranoc Mości panowie! Więc ks. Ambroży obaczywszy hojność Porucznika, wszystkę przebrakowaną swoją monetę wsypał do woreczka, i utopił za szkaplerzem. — „*Gratias agamus, Vestrae dominationi!*" ****)—odezwał się głos basowy, zapewne promotora choru, pana organisty domini-

---

*) Prokuda—pokusa.

**) Mogę najsumienniéj oświadcyć, że wszystkie te trzy piosenki, są z kantyczek dawnych śpiewaków wileńskich.

***) Tak zwano kieskę długą, w któréj obu końcach sypano pieniądze, rozdzielając złoto od srebra.

****) Dziękujemy waszéj wielmożności.

kańskiego, i tenże zaintonował na podziękowanie jakby za talara, modną natenczas i nową, a powszechnie aż do bliższych nam czasów ulubioną piosnkę, Studenta z Krakowiaków:

„Świat srogi! Świat przewrótny!
Wszystko na opak idzie!
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biedzie!

Lecz rozum górę bierze,
Tym sobie życie słodzę,
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.“ etc.

Przepisywać całéj nie będziemy, bo zapewne większa część czytelników naszych, nie raz ją, i z większém może upodobaniem, niżeli włoskich krzyków, słuchała.—

— Nie prostéj kondycyi ludzie — rzekł pan Podczaszy — umieją po łacinie.—

— At, jakiś urwisz uciekłszy z *infimy*, zapisał się do cechu miastowych włóczęgów, i kilką słowami od *notalingwy* *) w głowie pozostałémi, przechwala się—rzekł ks. Ambroży.—

— Nie zawsze tak jest, księże bracie dobrodzieju—odpowiedział Podczaszy; znam dziś kilku zacnych obywateli, znakomitéj nawet substancyi, którzy z chudopacholskiéj grządki, dostawszy się do Wilna, ledwo w paupery Jezuickie wcisnąć się mogli. Ci dostając codzień z ich kuchni dwa garnuszki z porcyjką chleba, i kąt jakiś u któregokolwiek miłosiernego *Patra*, zarabiali na kapotki i bóty, śpiewając jak dzisiejsi wieczorem, pod oknami bogaczów, i święte i światowe piosenki; bez obrazy jednak Boskiéj i bez zgorszenia ludzkiego, a z pożytkiem dla siebie. We dnie zaś, uczyli się jak najpilniéj, wyprzedzali paniczów i wychodzili na ludzi.—

Bo gdy tak sobie wbił który gwałtem rozum do głowy, łatwo się potém znalazła dlań na świecie droga do fortuny:

„*Disce puer latine*, *ego te faciam* Mościpanie.“ **) powiedział tam jakiś panisko do ubogiego studenta, i nie na jednym to się ziściło:—„*Discebat pauper latine*, i za pomocą Boską, wyszedł potém

*) *Notalingwa.* Znaczek studencki, który dawano takiemu, który w klassie po polsku, a nie po łacinie odezwał się.

**) Ucz się chłopcze po łacinie, a ja cię zrobię Mościpanem.

na *Mościpana*. A któż wie? może i między dzisiejszemi śpiewakami jest który, dziś biedak, a kiedyś Jaśnie wielmożny!—

— Oj bywa tak, bywa — rzekł Porucznik; a na co daleko szukać? Jużcić bliżéj zda się od *paupera* do Mościpana ,jak od *Mościpana* do *Najjaśniejszego Pana;* a przecież wiedzieć Ichmość Dobrodzieje musicie ten *akumen*.

„O co za dziwne cuda Boskiéj Opatrzności *)
„Wnuk na tronie—Ojciec w krześle—a dziad Podstarości!"

Rozmowę tę poważny obrót brać zaczynającą, przerwała wieczerza, do któréj mimo usilne przynuki gospodarstwa, ks. Ambroży się nie dotknął.

— Posądziłem.... Posądziłem—mówił z cicha jakby sam siebie reflektując on; odsunął z niechęcią lampeczkę z lipcem i zachmurzył wieczerzę, co jednak nie ujęło apetytu, ni pragnienia panu Porucznikowi, lubo jego jowialność przygasiło.

Po wieczerzy, Ludwik wziąwszy latarkę, prowadził stryjaszka do klasztoru; a Porucznik dokończywszy z Podczaszym drugiego gąsiorka, wyszedł w wybornym humorze, prześpiewując na ulicy:

„Świat srogi! Świat przewrótny!
„Wszystko na opak idzie!

Jakoż i sam, jeżeli nie zupełnie na opak, to przynajmniéj nie prostéj trzymał się drogi.

IX.

Podróż.

Nazajutrz rano, mrozik wygładził ulice w mieście, i szlaki za miastem. Z jednéj kamienicy z za Ostréj Bramy wybiegła kłusem, czwórka tęgich siwych kuców, do sań po parę zaprzężonych. Mosiężne blachy na szyjach ich błyszczały przed słońcem i migały za-

*) Wierszyk podrzucony niegdyś Stanisławowi Augustowi — który przeczytawszy powiedział *„Prawda."*

jączkiem po oczach przechodzącym; takież sprzążki, cyfry i guziki, gęsto po szorach osadzone, dawały poznać, że właściciel tego zaprzęgu był znawcą i amatorem stajennego moderunku. Jakoż takim był w rzeczy saméj pan porucznik, który w sutéj delii z siwych baranków, z czapką axamitną karmazynową na głowie, któréj wierzch zwisły na bakier srébrnym kutasem powiewał, siedział na saniach z miną tęgą, bunczuczną i poważną razem, czując wrzekomo ważność poselstwa, na które się puszczał.

Na lewym dyszlowym siedział rzeźwo, i pędził siwaki zręczny chłopak, wywijając biczem i trzaskając zeń na cztéry wiatry. Miał on na sobie kurtkę zieloną, opuszystą, wilczurą okładaną, a po niéj przez piersi i plecy, jak wąż się przewijał sznur jedwabny, na którym u boku pocztarska wisiała trąbka; przepasany zaś był szerokim rzemiennym pasem, w ładunki i różne kalitki uprowidowanym. Na głowie kaszkiecik lakierowany, z kitką piór różnofarbnych, nie ogrzewał mu wprawdzie uszu, lecz go krew młoda, i konna harcówka grzały.

Gdy przejechali Ostrą Bramę, nad którą właśnie msza ś. odprawiała się. — *Pietrze! Stój* — zawołał Porucznik — konie się wryły — wysiadł, zmówił kilka pacierzy i ruszył daléj. Mijając Ratusz i rynek, dziś placem zwany—*Pietrze! otrąb się*—zawołał — *Otrąb się!* Wnet chłopak zwinął bicz, wbił go, jak ułan lancę w przygotowaną petlę u strzemienia, a chwycił trąbkę i zabrzmiał na niéj nótę pocztarską, w tonach z oktawy na oktawę przeskakujących, a jakby echem tylko powiązanych, którą odegrawszy, prześpiewał ułożone do niéj słowa w recytatywach na strój i głos dźwięczny trąbki naprowadzanych:

„Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie
I w Mińsku,
I w Pińsku;
I w Gdańsku,
I w Brańsku!
Wszędzie nas poznali
Pieniędzy nie dali!“ *).

— Vi ha hot!

Przechodzący zatrzymywali się, patrząc z upodobaniem na tę

*) Zwyczajna z owych czasów pocztarska piosenka.

gracką szlichtadę, a mieszkańcy na piętrach, przez szybki wytykali głowy. Piotr biczem przedłużał huczno i kończył swoją piosenkę.

Przebiegłszy tak wzdłuż całe miasto, za Zamkową bramą, zawrócił się na Antokol, i zbliżając się do *dworku* pana Podczaszego — *Pietrze!* — zawołał znowu Porucznik — *Pietrze—daj dymu!*

Piotr wyrwał z pasa, rzeczywiście tylko dla dymu i huku, prochem nabity pistolet, i palnął po nad głowy końskie.... Oswojona ze strzałem czwórka, zastrzygła tylko uszami; przechądzący stanęli w zadziwieniu, a Porucznik pokręcił wąsa i poprawił czapkę—Szalonego animuszu człowiek ten, mówili oni mijając go z pośpiechem.

Po krótkiém pożegnaniu się z Podczaszowstwem, uścisnąwszy i ucałowszy rączkę *Helusi* na szczęśliwą drogę, Porucznik zajechał przed klasztor antokolskich Ks. Trynitarzy.

Ks. Ambroży był w kościele, tam więc udał się Porucznik, i znalazł go przed ołtarzem ze mszą; zasiadł więc do ławki, i co pamiętał z łacińskich i polskich modlitewek, trzepał jedną po drugiéj.

Ale innéj gorliwości, innego zagłębienia się w duchu i pokornego wzywania opieki Chrystusa Nazareńskiego, przed którego wizerunkiem święta dopełniała się ofiara, były modlitwy młodzieńca, klęczącego u kratek. W sercu jego, to nadzieja, to bojaźń przeważały; ale jedną i drugą zdawał on na wolę tego, który przeznaczeniem ludzkiém włada; błagając go tylko, by w tych przedsięwziętych zamiarach, obronić raczył od smutków i zmartwień, drogie mu wszystkie osoby, a szczególniéj tę.... Czytelnik zgadnie zapewne, kto był modlący się młodzieniec, i za kogo się modlił.

Po mszy, w celi Ks. Prokuratora czekało podróżnych śniadanie; przy którém obecny Ludwik, prosił i zaklinał naprzemian, to stryja, to Porucznika, aby wyrozumiawszy najprzód wolę rodziców jego, jak najostróżniéj u Starościństwa, interes ten traktowali; i aby raczéj zupełnie go zaniechali, niżeliby mieli narazić się na głośną rekuzę, a tém samém i na niepowrótne zerwanie wszystkich jego nadziei, osnowywać się jedynie mogących, na pojednaniu kiedyś obu domów.

Prawdziwą także przyczyną tego czułego zaklęcia, było i to, że znając on wzajemność Elżuni dla siebie, drżał o jéj spokojność i zdrowie, gdyby rzeczy ostatecznie niefortunny wzięły obrót. Wolał zatém, i bardzo naturalnie, dalszą dla obojgu miłość i niepewność, przy któréj zawszeby się trzymała nadzieja, jako przy wszelkich

usiłowaniach ludzkich; niżeli miłość i rozpacz. Posłowie ręczali zatém, że mając niby na piérwszym celu pogodzenie procesu, wtenczas tylko napomną o dalszych projektach, gdy z piérwszéj traktacyi wyrozumieją, skłonnoście i dobrą wolę rodziców Elżuni.

— Jednakże to sęk tylko Mości Dobrodzieju — rzekł pomyśliwszy Porucznik,—że ktoż wié co lepsze i skuteczniejsze? I co na przodzie? to jest czy za zgodą w procesie, poszłoby wesele? Czy za weselem poszłaby łatwo zgoda? Dwa mamy lekarstwa, ale nie wiedzieć którego wprzód użyć?

— Subtelnie rzeczy bierzesz kochany Poruczniku—odpowiedział ksiądz,—i to mnie bardzo cieszy; bo przekonywam się, że z równąż mądrością i na miejscu certować będziesz. Tymczasem jedźmy, a Ludwisiu bądź dobréj myśli. Śmierć a żona od Boga przeznaczona; więc piérwszéj nikt nieuniknie, a drugą każdemu *digitus Dei* *) ukaże, choć się każdemu zdaje, że sam wybiera.

— Zostawuję sobie Mości Księże Prokuratorze Dobrodzieju na sanie—rzekł Porucznik.—podanie pod wysoką animadwersyę i teologię pańską, *dubia* moje, co do predestynacyi stanu małżeńskiego; bo kto miał trzy żony....

— Ten jest predestynowanym—przerwał uśmiechając się ksiądz,— aby na tym świecie czyściec odbył.—Siadajmy na sanie.

Pokręcił głową Porucznik, i mówił do siebie: ha! od razu mnie skonwinkował.... ale pogadamy jednak — to koncept, ale nie dowód.—Ludwik pożegnał odjeżdżających.

Ruszają: — *Pietrze! — otrąb się!* Piotr zatém uciął powtórnie dętego i wokalnego kuranta, którego niecierpliwie dosłuchawszy Ks. Ambroży, rzekł po ukończeniu.

— Wiesz co szanowny Poruczniku: ponieważ wieziesz z sobą zakonnika, któremu *cum clangore* jeździć nie wolno, ani wypada, a zatém niech ten wrzask będzie już ostatnim.

— A ponieważ mój dobrodzieju—odrzekł Porucznik, wiezie cię na swoim wozie żołnierz, któremu *clangor et rumor*, jest zawsze przyzwoitym i właściwym, więcbyś powinien uledz. Wszelako respektując wolę twoją, tylko we wrotach trąbić każę, i już od tego nie odstąpię.

---

*) Palec Boży.

Ledwo ta kombinacya na któréj *volens nolens* musiał Ks. Ambroży przestać, nastąpiła, gdy furman postrzegłszy długi ciąg fur ze zbożem naprzeciw idący, zaczął krzyczeć *„z drogi!“* i klaskać z bicza. Obciążone wozy nie kwapiły się do zjazdu w głębokie śniegi! zniecierpliwiony więc Porucznik krzyknął: — *Pietrze daj dymu!* Piotr palnął! —

— Jezus, Marya, Józef! — wrzasnął ksiądz; zerwał się i chciał z sań wyskoczyć. Co to ma znaczyć? kryminał! Czy zwarjowałeś? —

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się Porucznik przytrzymując księdza.—Siedź spokojnie mój Dobrodzieju, nie ma kryminału, to tylko doświadczony sposób uprzątnienia drogi...,

Jakoż przelęknione i konie i chłopy, szybko z drogi spychać się poczęli: to wywracali się, to brnęli głęboko, a *Piotr* przypuściwszy czwórkę *chyżego*, w mgnieniu oka wyminął wszystkich.— Ksiądz złorzeczył w duchu swojéj podróży, i zarzekał się drugiéj z podobnym towarzyszem.

— No, a teraz mój Dobrodzieju — mówił Porucznik, rozwiąż mi Jegomość moje *dubia*, względem małżeńskiéj predystynacyi.—

— Ej porzućmy to kochany Poruczniku, pogadajmy raczéj o interesie, dla którego jedziemy.—

— Nie, nie, mój Dobrodzieju, chwała Bogu, że dopadłem zręczności, pomówienia z tak mądrą a duchowną osobą.—

— Naprzykład, gdyś Jegomość powiedział, że *Digitus Dei* wybiera nam żony; więc *dubium* piérwsze, dla czego tak mało dobrych, a tak wiele złych? *Experto credo *) Reverendissime!* Trzy razy żeniłem się.... Cóż na to Jegomościa Teologia?—

Ks. Ambroży nie był głębokim teologiem; do zakonu łatwy znalazł wstęp, jako człowiek już natenczas stałego wieku, umiejący dobrze po łacinie, i mający być pożytecznym zakonowi znajomością prawa krajowego. Co więc było nieodbitém dla duchownego i zakonnika, to on rychło i łatwo pojął; ale nie wymagano odeń nauki, nad którąby lat kilka jeszcze ślęczeć musiał.

Możeby mu i łatwiéj teraz było zbyć Porucznika subtelnościami teologicznemi, któreby musiał on szanować, dla tego samego, że

---

*) Wierz doświadczonemu.

ichby nie rozumiał; ale nie mając w głowie téj, zarozumiałych szkolarzów w trudnych zagadnieniach, broni, musiał konwinkować adwersarza jak mógł; a zatém bardziéj jak niegdyś adwokat, niżeli jak teolog argumentować. Rzekł więc surowym tonem:—A kto Waćpana przymuszał dwa razy przynajmniéj, nie licząc pierwszego ożenienia, głupstwa robić i brać żonkę po żonce, jak z pilnego interesu?—

— Kto przymuszał? Kto przymuszał?—*predestynacya* mój Dobrodzieju.—*Predestynacya!* Wszystkie trzy, jedna po drugiéj były dla mnie przeznaczone.—

— Oto mi pięknie Waćpan tłumaczysz przeznaczenie Boskie! Bóg dał człowiekowi rozum i wolę. Jeżeli wola idzie za rozumem a rozum ulega ś. religii, to i w każdym przedsięwzięciu wybor będzie dobry. Ale jeżeli wola samopas brodzi....—

— To jak błędna owieczka—przerwał Porucznik, nie powinnaby trafić do celu mój Dobrodzieju. A przecięż ja trafiłem trzy razy, prawdę mówiąc jak kulą w płot; ale zawsze żeniłem się sakramentalnie, a zatém *predestynacya* mnie prowadziła, i samopas nie brodziłem. Lubo tu drugie *dubium* zachodzi, dla czego mnie trzy żony przeznaczono, a drugiemu żadnéj? Bo dajmy to, że jak Jegomość Dobrodziéj powiedziałeś, dla mnie był czyściec na tym świecie za grzechy moje; to znowu *dubium*, czy w téj pokucie przy ladajakiém pożyciu małżeńskim, więcéj się nie nagrzeszyło, niż odpokutowało? a w takim razie *predestynacya* i *digitus Dei*...

— Co Waćpan wymawiasz? Co Waćpan pleciesz?—przerwał natarczywie ksiądz: bo poznawszy, że spokojném rozbieraniem kwestyi coraz nowych Porucznika, sam się zawikła w matnię i z konfuzyą wyjdzie z dysputy, postanowił nie przekonywać lecz gromić.—

— Zły duch cię opętał!—zawołał więc, obracając się twarz w twarz do Porucznika, twoje *dubia* o woli Boskiéj względem przeznaczenia ludzkiego są *blasfema;* i w wielkie *dubium* podają sprawę twego zbawienia! Kacerz jesteś! W żołnierce to zapewne i w towarzystwie niedowiarków....—

— Towarzystwo!—przerwał wzajemnie oburzony Porucznik, towarzystwo księże Prokuratorze, to poczciwa szlachta *), proszę ich nie szkalować....—

*) Szlachta prawdziwa, służąca w kawaleryi, nazywała się *towarzystwem.*

— Kacerz jesteś, powtarzam — krzyczał ksiądz! — Twoje *dubia* to duby smalone! jesteś heretyk! a może i farmazon!!! —

— *Pietrze! otrąb się* — wrzasnął w tem Porucznik nagle i niespodzianie. —

— A to co? — zapytał zdziwiony ksiądz. —

— *Mitigans*, mój Dobrodzieju — *mitigans*. Koniec dysputy *Reverendissime!* bywałem na jezuickich dysputach, i tam zwykle zapalczywość dysputatorów przygłuszają trąby. —

— *Pietrze daj dymu!*

Rozległ się strzał aż echo poszło po lesie, przez który czwórka biegła.

A to *Reverendissime* rycerski *applauz*, tryumfu jegomości, boś mię przekrzyczał. —

Ks. Ambroży nic nie odpowiedział, obwinął się w niedźwiednię i siedział nieco obrażony; co postrzegłszy Porucznik starał się go rozdobruchać, i w dobréj już komitywie do Dowiatowszczyzny przybyli.

X.

Starościństwo Kapinowscy — Proces.

Pan Starosta Kapinowski nie był to pan wielki, ale też nie był i prosty sobie szlachcic. Imie jego liczyło się do znakomitszych w Litwie; takich, z któremi i wysoka arystokracya kolligacić się bez ubliżenia sobie mogła, koligaciła się nieraz, gdy inne względy majątku, lub osobistego znaczenia, zbliżały pół-panka do pana.

Kolligacya ta następowała zwykle przez rękę senatorskiéj córki, którą oddając szlachcicowi, pewni być mogli rodzice dostatniego jéj mienia w domu mężowskim, i jeszcze nadto poszanowania od męża, a preponderencyi między jego rodziną, do której mitrę lub inny wysoki zaszczyt wniosła.

Takim sposobem i Sapieżanka została Starościną Kapinowską; i lubo wychowana w Warszawie, na wielkim świecie, szła jednak śmiało za wieśniaka w głąb Litwy, bo poznała po spokojnym, a nawet w młodości już ociężałym przyszłym swym mężu, że będzie samowładną panią domu i jego samego; i że odwiedzinom by naj-

częstszym Warszawy, którą serdecznie lubiła, mąż nie tylko sprzeciwiać się nie będzie, ale i towarzyszyć nie zechce.

Małżeństwo to nawet nie przyszłoby nigdy nie tylko do skutku, ale ani do propozycyi, gdyby potrzeba było panu młodemu podróżować do Warszawy, i tam zalotne około panienki ponosić fatygi. Lecz bliskość dóbr na Litwie jednéj i drugiéj rodziny, ułatwiła znajomość i swaćbę, zwłaszcza, że osierocony niedawno, po śmierci ojca ze Starościca Starosta, zgadzał się zupełnie z wolą swéj matki pragnącéj widzieć syna już trzydziestoletniego w postanowieniu. Nie ożeniłby się pewnie on sam bez jéj rozkazu, lub po jéj śmierci; a panna Kasztelanka zgadzała się wrzekomo z wolą, a w rzeczy saméj z radami rodziców, przedstawujących swobodną i szczęśliwą jéj przyszłość, za bogatym łatwego charakteru mężem. Przy pomocy zatém wspólnych przyjaciół, rychło nastąpiło wesele.

Lecz młoda Starościna nie mogła odrzec się Warszawy, ani zapomnieć świetnych balów i assamblów, młodego natenczas także dworu Stanisława Augusta, na którym urodą między najpiękniejszemi jaśniała. Tkwiły jéj w pamięci słodkie zalotnego Króla słówka, któremi ją i jéj podobne dziewice, a tkliwsze jeszcze i słodsze, któremi ładne mężatki osypywał; a do których, bardziéj zapewne z próżności niż z zepsucia, wysoką wartość przywiązywała. — Co rok zatém prawie odwiedzała ona stolicę, i po kilka miesięcy, szczególniéj zimowych, tam przebywała; podobając sobie w hołdach powszechnych, składanych jéj wdziękom i życiu wytworném, naśladującém przepych i zbytki panów, otaczających natenczas dwór Monarchy sybaryty.

Pan Starosta zaś mieszkał w domu i przywykł łatwo do częstych odjazdów swéj połowicy; przed każdą tylko podróżą, gdy przez okno patrzał na przeprowadzane przez dziedziniec konie swoje do pojenia, wzdychał głęboko, i kręcąc głową mruczał pod nosem: — „Oj koniki moje, koniki! Oj karoszki moje, karoszki! Oj bieda wam. bieda! Oj Warszawa, Warszawa!“

Ponieważ każdy, by najograniczeńszych żądz człowiek, musi wszelako mieć w sobie niektóre panujące nad inne, toć i Pan Starosta lubił *konie*, *winko* i *fajkę*. Dla tego ubolewał nad końmi przd każdą podróżą, a pocieszał się butelką, fajką i nadzieją, że z oddaleniem się żony, dom zostanie cichym i spokojnym; ustaną kompanie i bankiety, któremi Imość rozweselała swój pobyt na wsi. On zaś będzie mógł obszedłszy zrana stajnie, wieczorem ciągnąć *knaster*,

popijając węgrzyna, słuchać bajek o upiorach i strachach, rozpowiadanych i powtarzanych stokrotnie, przez dwóch starych ojcowskich hajduków obowiązanych dotrzymywać mu kompanii, aż do uśnięcia w łóżku; albo przez jakiego zwokowanego z bliskiéj okolicy szlachcica, z *szecherezadowskim* talentem, za który furę zboża nazajutrz wywoził.

W takim stanie animuszu obojga małżonków łatwo zgadnąć, że rządy fortuny acz znakomitéj, szły najgorzéj. Pani Starościna zastawiała folwark po folwarku na koszta rezydencyi w stolicy: a pan Starosta nie mięszał się do niczego. Na uwagi zaś swoich hajduków, przywiązanych jak zwykle dawniéj sług starych, do rodziny swych panów, odpowiadał z równém westchnieniem jak po koniach, tak i po folwarkach: — „*Stanie dość na nasz wiek!*“ —A co panoczku zostanie dla dzieci? —pytali jeszcze poczciwce. Natenczas, patrząc na biegające około niego dziatki, przywiązany do krwi swojéj Starosta, ocierał rękawem oczy... ale dodając sobie i sługom humoru, nie bójcie się mówił —imość z Warszawy drugie większe od Kapinowskiego przywiezie Starostwo.... A tymczasem powiedzcie mi waszeć bajkę o tych trzech braciach, co to było ich dwóch rozumnych, a trzeci dureń —albo o tym starym żołnierzu, co to z Panem Jezusem spotkał się..... Oj! gdyby mnie Pan Jezus dał taką torbę jak jemu co to na zawołanie: — „*A do torby!*“ —wszystko musiało leźć do niéj i mieścić się, tobym jak on wpakował tam ze sto djabłów, i nie wypuścił dopóty, ażby mi każdy dał po tęgim koniu, i powiedział po jednéj bajce. — Oho! djabli najwięcéj i najlepiéj wiedzieć muszą o upiorach... i śmiał się dobroduszny panisko.—

— A ja będąc Jegomościem—rzekł któryś hajduk, i mając taką torbę, wsadziłbym do niéj imość, żeby do Warszawy nie jeździła.—

— Milcz wasze, co to do waszeci należy? —

Tak upłynęło lat kilkanaście, a trzeci miniony krzyżyk i kilkoro dziatek, zwyczajnym trybem ujęły wdzięków, a przyczyniły rozwagi Starościnie. Miała ona nadzieję w ich edukacyi znaleźć jeszcze powód przeniesienia się zupełnego do Warszawy, ale obrachowawszy dochody, ze smutkiem postrzegła, że pochłonięte krocie nie wrócą, a pozostałe tysiące, nie wystarczą na szerokie projekta. Natenczas nadzieje otrzymania bogatego starostwa, któremi tylko poczciwego męża łudziła, postanowiła ona rzeczywistem staraniem ziścić. Wybrała się więc znowu do stolicy, z chęcią przedsięwzięcia wszel-

kich środków, dla dopięcia zamiaru swego i podźwignienia upadającéj fortuny.—

Związki familijne i osobista przyjaźń z wysokiemi urzędnikami państwa, dobrze jéj wróżyć zdawały się. Brakło jéj zapewne zasług, jakie się na dworze rozwiązłego Monarchy nie jedném bogatém starostwem opłaciły; ale takich mimo liczne pokusy, nigdy ona na swe sumienie nie wzięła, chroniąc piękne imie rodu swego od plamy, a serce zalotne, lecz niezepsute, od zgryzoty.

Nadszedł wszakże czas, gdy rozrzutnemu szafowaniu dóbr narodowych, nie jeden głos na sejmie, a bardziéj jeszcze głos publiczny zawadzał. Pan Podkanclerzy Litewski, na którego protekcyi Starościna najbardziéj polegała, naglony przez nią kilkakrotnie, zapytał raz: — „Czy Pani się zdarzyło kiedy czytać przywileje na starostwa?“

— Nigdy — odpowiedziała z uśmiechem, oczekując z tego początku, jakiejś miłéj niespodzianki.—

— Niechże Pani przeczyta — rzekł podając jéj jakiś przywiléj, i wskazując na wyrazy: „*Mając sobie zalecone przez panów rad naszych*, *wysokie merita w ojczyźnie urodzonego*, etc.—*).

Starościna zrozumiała łatwo, że do poczciwego jéj męża, trudno było choćby pozornie nawet, zastosować te słowa; a gdy wzajemnie wspominała przykłady obdarzanych bez zasług, lub co gorsza za niegodne *merita*, pan Podkanclerzy odpowiedział zimno i poważnie: —„To bywało, źle bywało — i nadal być nie powinno.... bo taka jest wola Najjaśniejszego Pana!“

Nie jeden z wysokich dygnitarzy, sam podobne ze Starościną mając widoki, nie kwapił się kompromitować własnych, pomagając cudzym; a tak spełzły na niczem, lub na bardzo wątłych oparły się nadziejach, wszystkie jéj projekta.

Powróciła więc do domu z goryczą w sercu i z niejaką odrazą od ulubionéj dotąd Warszawy i jéj wielkiego świata, który ją tak oszukał i zawiódł.

Lecz tając w sobie jak najskryciéj uczucia i upokorzenie swoje, Starościna jeszcze głośniéj chlubę ze swych wpływów w stolicy i związków rozwodziła. I w rzeczy saméj, wpływy te, jeżeli nie były dość silne do osiągnienia starostwa, nie zawodziły ją przecież, gdy szło o jakieś *instantiales* z góry, lub o otrzymanie czczych ty-

*) Zwykły początek przywilejów.

tułów, których nieskąpem rozdawnictwem, jednano zwykle dworowi stronników po powiatach. Zaufana w taką przewagę swoją Starościna, broniła się najprzód dzielnie i energicznie od napastujących ją kredytorów; a z kolei idąc za radą jakiegoś zagorzałego prawnika, obiecującego jéj powrót folwarków przez procesa i pretensye do zastawników, a rozszerzenie onych przez graniczne spory, rozpoczęła attaki, w których nie raz list do urzędnika od Senatora, wojewody, lub ministra, przechylił sprawiedliwości szalę, i uczynił zadość nie tylko interesowi, ale i miłości własnéj litygantki.

Dochowuje się jeszcze pamięć nie jednéj takiéj pani na Litwie, która w swoim czasie, mówiąc tamtoczasowym wyrazem: „*Trybunałami trzęsła.*“ Synowica królewska, a żona jednego z magnatów litewskich, dawała tu przez czas niejaki, takiego możnowładztwa przykłady i wzory.

W takiéj kolei Starościna rozpoczęła proces z sąsiedzkim i oddawna z sobą przyjaznym domem Dowiatów. Musiemy zatém jeszcze i treść tego procesu opisać.

Jurysta Starościnéj drabując dawne mantyki ich domu, i wyszukując w nich to dowodów, to powodów do swych prawniczych planów, wynalazł przedwieczny inwentarz, w którym między wsiami tego majątku, zapisany był i zaścianek nad Wilią położony, *Nadbrzeże* zwany, teraz do folwarku Dowiatów należny. Majątek Starosty, poźniéj wprawdzie przez jego dziada nabyty, w opisaniu przy nabyciu sporządzonym nie pokazywał i nie zawierał *Nadbrzeża*; lecz w prawie przedażnem nalazły się wyrazy, zwyczajnéj formy i rutyny takich dokumentów: *z wolnością rekuperowania awulsów*, do których pieniacz uczepiwszy swą pretensyę, zapytał Dowiatów za jakiém prawem trzymają *Nadbrzeże*, avuls od majątku Starosty. Na nieszczęście, Dowiatowie których przodek pierwéj zapewne kupił zaścianek, niżeli dziad Starosty same *fundum*, nie znaleźli u siebie żadnych na to dokumentów, i okazali tylko oświadczenie po inkursyi w tym kraju nieprzyjacielskiéj, do akt ziemskich zaniesione: że Dowiatowszczyzna uległa zupełnéj konflagracie i pożodze i że dom mieszkalny, natenczas razem z całém *archiwum* spłonął. *Kwerendy* po księgach sądowych, żadnych więcéj nie przyniosły dowodów; może dla tego że w nieustannych zamieszkach krajowych, i publiczne akta równemuż w części podpadły zatraceniu; czy też, że, lubo

prawa nasze dawne, każdą umowę wieczystą, mieć chciały przyznaną, lecz zwyczaj częstokroć nieuległy prawu i na powszechnéj dobréj wierze oparty, dozwalał zwłaszcza w opisach na rzecz mniejszego znaczenia i wartości, kontentować się tylko *listem na przyznanie*, łatwo razem z samém prawem zaginąć mogącym. — Cóżkolwiek bądź jurysta, nie widząc u Dowiatów, żadnych innych dowodów na dziedzictwo *Nadbrzeża* prócz oświadczenia i dawności posessyi, którą oni także za dowód własności przedstawiali, ani na tém przestając, postanowił *rekuperować awuls* i pozwał Dowiatów o *Rehabicyą do Nadbrzeża* *), i o kalkulacyę *de asse et grano* **). Naliczając tym sposobem znakomitą summę, z tyloletniego przychodu, choć kilkaset złotowéj tylko rocznéj intraty.

Zerwała się więc dawna i wzajwmna obu domów przyjaźń, a wytoczyła się rozprawa z Ziemstwie Wileńskiém nader niebezpieczna dla Dowiatów.

Obronę naturalnie wziął na siebie pan Skarbnik, a stojąc przy wyżéj wspomnioném oświadczeniu i przy dawności ziemskiéj, podawał jeszcze w imieniu brata, jako teraźniejszego dziedzica Dowiatowszczyzny, przysięgę na to: że zaścianek *Nadbrzeże* przez antecessorów był prawnie kupiony i że papiery udowodniające to kupno, razem z domem spłonęły. Prosił więc sądu, o skasowanie pretensyi Starosty i ukaranie go jeszcze powrótem expensów prawnych.

Każda tu strona brała się na sposoby forsowania interesu; całe Wilno z ciekawością oczekiwało wyroku. Zdawało się wszystkim i najdoświadczeńszym jurystom, że po wyroku komportacyi dokumentów ***), który już był uprzedził teraźniejszą rozprawę, nastąpić koniecznie musi oczéwista decyzya, rozstrzygająca ostatecznie czyjém ma być *Nadbrzeże.*

Sala środkowa ustępową zwana, między izbami sądowemi Ziemstwa i Grodu wileńskiego, w domu niedawno jeszcze zbitym za

*) Termina prawne dawnego procesu, nie wyszły zapewne jeszcze tak dalece z powszechnéj pamięci, abym je miał tłumaczyć.

**) *Z grosza i miary*, to jest z pieniędzy i zboża.

***) Wyrok to bywał wstępny, obowiązujący prawujące się strony do złożenia na termin naznaczony pod przysięgą u sądu, wszelkich dowodów pisma i dokumentów, dla wzajemnego objaśnienia się stronom.

zamkową bramą, napełniona więc była od kilku godzin palestrą i ciekawemi oczekującemi na woźnieńskie: *„po namowie!* a żywo rozprawiającemi, każdy podług swego widzimi się o przyszłym wyroku.

W tym tłumie dwie szczególniéj osoby zajmowały wszystkich; to jest dwaj przeciwnicy w procesie. Nizki, opasły, i zapyrzony plenipotent Starościnéj, wzbudzający samą figurą swoją ochotę do uprzykrzonych mu żartów i sprzeczek, jak niedźwiedź na czystym polu attakowany od zjadliwéj zgrai kundlów, uwijał się potężnym krokiem między ogarniającą go tłuszczą, a grzmiącym słowém i groźném dąsaniem się rozpędzał kupiącą się nieustannie na nowo.— Przeciwnie Pan Skarbnik, siedział spokojniuteńki na zedlu przy ścianie, i tylko gdy przeciwnik powtórzył kilkakrotnie główne słowa swéj sprawy: *„Awulsa rekuperować! Awulsa rekuperować!"*— rzekł mu:

— To Waćpan widzę chcesz być większym potentatem od naszych Królów: bo z nich każdy przyrzeka w paktach konwentach, że *awulsa* od kraju oderwane, *rekuperować* będzie, a przecież żaden, *inter nos loquendo* tego nie dokazał. Trzeci jeszcze, również spokojny i niewzruszony, siedział na stołku u drzwi sądowych, w wytartym kuntuszu ze skrzyżowanemi na grzbiecie wylotami, i z szablą u boku *woźny*, nadstawiając ucha na dzwonek przezydencki, a surowym poglądem odrażając zbliżających się doń nieuważnie...

Dwie i trzy tak upłynęło godziny; znać było, że za drzwiami sądowemi trudno idą rzeczy. I nie dziw. Sędziowie byli jak w sieci, wątpliwością obustronnych dowodów, nie mogących sumieniu ich dać wsparcia, i silnemi wpływami obustronnych także protektorów ogmatwani. A i tam były głowy nie lada!...

Otworzyła się nakoniec izba sądowa. Tłum się wtłoczył, a regent przy kratkach, czytał już przebiegając szybko, jak pędząca taradajka prolog wyroku, to jest treść procesu i wzajemne stron dowody; na co świadomi formy pisania dekretów nie dawali baczenia; lecz gdy wyraźniéj i głośniéj zawołał: *„Judicium...* Słowo to oniemiło wszystkich, i natężyło słuch i uwagę każdego.— *„Judicium* czytał powolniéj i dobitniéj regent: „jako w sprawie kognicyjnéj, nie wchodząc teraz w oczewiste onéj rozpoznanie, akta inkwizycyi *circa jure possessionis* *), przez Dowiatów zaścianku *Nadbrzeża*,

*) O prawie posessyi.

z wolnością obu stronom wyniesienia nowych pozwów do takowych aktów, *ad rem procedenti* stosownych, determinuje."

Na taki nieoczekiwany wyrok, słuchacze chwil kilka z zadziwieniem patrzali sobie w oczy, a potém wychodząc z izby, wesołe rozpoczęli sprzeczki, kto wygrał, a kto przegrał? a zatém jaki los zakładów o trójniak i piwo?... Nakoniec opasły plenipotent *powodu* ocierając bujną rosę na licu, wykrzyknął: — „*Apelluję do Trybunału!*"— A Pan Skarbnik ukłonił się skromnie sądowi i mrucząc pod nosem: „*Circa jure.... circa.... inter nos loquendo circa.... circa...* poszedł prosto do klasztoru antokolskiego.

I w takiéj to właśnie przerwie procesu, przed blizko następującą kadencyą trybunału, do którego sprawa przez apellacyę się przeniosła, wynikł jakośmy to widzieli projekt, za którym jechał Ks. Prokurator z Rotmistrzem.

W Dowiatowszczyznie poczciwi rodzice Ludwika, rozpłakawszy się serdecznie, wszystko na wolę Boga i księdza brata dobrodzieja oddali: a tak wkrótce głos trąbki Porucznika, zabrzmiał na dziedzińcu Starosty.

XI.

Swaćba.

— Pokój temu domowi! — rzekł Ks. Ambroży, wchodząc do wielkiéj środkowéj sali, obszernego domu Starosty, w któréj przy długim stole, kobiercem nakrytym, siedział sam gospodarz, w szlafroku lekkim futerkiem podszytym, w suliatach manszestrowych na nogach, a w szlafmycy na głowie, i ciągnął długim cybuchem tytuń z wielkiéj aż na ziemi opartéj lulki. W kącie na wielkim kominie palił się ogień i rozweselał tę ogrzaną dwóma piecami salę; a służył jakby za zabawkę siedzącemu przy nim na nizkim stołku, jednemu z dwóch starych hajduków, koleją luzujących się przy Staroście, z funkcyą podnaszania żaru do fajki i rozrywania pana nieustanną poufałą gawędką, lub usypiania go bajkami.

Sala obita była cała z dołu do góry, staroświeckiém wypłowiałém już szpalerowém, z niemieckich jakichciś fabryk, obiciem, kosztowném zapewna przed laty, wyrażającem polowanie na jelenia. Myśliwi to konni, to piesi, z rusznicami lub oszczepami w rękach, w długich czerwonych frakach lub surdutach, z fryzurami czy perukami na głowach, a harcapami na plecach, poustawiani byli sztywnie po gęstym lesie okrywającym wszystkie ściany sali, oczekując na jelenia, który gnany ogarami z za kredensu rączo wysadzał. A że hajduki Starosty z Augustowskich czasów sami, saskiej też mody nigdy nieznoszoną nosili barwę; więc jednego siedzącego przed kominem, wysokiego, chudego, także w długim niemieckiego kroju a papuziego koloru, z wytartym na kołnierzu galonem, surducie, na wielkie, jak holenderskie talary, guziki zapiętym; można było wziąść wśród tych fantastycznych figur za myśliwego zeszłego z obicia i odpoczywającego przy ogniu.

Starosta powitał uprzejmie gości. O procesie z Dowiatami wiedział on jakby nawiasem i często tęsknił do towarzystwa najbliższego sąsiada, którego lubił. Hajduki nawet jego, pamiętni dawniéj obu domów przyjaźni i nie raz uraczeni w Dowiatowszczyznie, niecierpieli prawnika, który tę przyjaźń rozerwał. To ten poganin, mówili pomięszał wszystko! Za toż mu bawiącemu po kilka tygodni w domu Starosty po swojemu dokuczali: to omijając niby przez omyłkę z półmiskami, to stawiąc mu w kwaterze zamiast piwa, dzban lury z drożdżami. A to wszystko uchodziło bezkarnie, bo Starosta niecierpiący także prawnika, skargi jego żartami zbywał.

— Niedomagam księże Prokuratorze dobrodzieju — rzekł on, niedomagam, ale dodajecie mi zdrowia przybyciem waszém. I ty kochany Poruczniku wielce łaskaw jesteś na starego przyjaciela. Brałem wczora dryakiew wenecką, onegdaj kupiłem jéj cały słoik od węgrzynów. Ale prawdziwa: *„Sem z pod złotej bani, od Księży Jezuitów,”* jak oni mówili, choć nie mogli zainformować gdzie to ta złota bania? Mam nadzieję, że tym sposobem attaki mojéj pedogry do majowéj kuracyi zahamuję. Upewniał mię o tém i stary węgrzyn, zna się on, nie ma co mówić na medykamentach; ale łgarz wierutny we wszelkich innych materyach. Naprzykład: czy uwierzycie Wasańśtwo? Śmiał mnie dowodzić i zaklinał się jak szalony, że w Ołomuńcu wszystkie dachy z poliwanéj dachówki, jak u nas kafle na piecach? Nie prawdaż Łukaszu?—

— Prawda — ale Jegomość zagadawszy się zapomniał, że konie gości przed gankiem — rzekł hajduk powitawszy uprzejmym ukłonem przybyłych i jakby przepraszając za nieuwagę swego Pana.

— Dobrześ powiedział — zawołał Starosta, każ Poruczniku odejść swoim siwcom, boś zapewne niemi przyjechał; tęgie kuce, a po trąbce miarkuję, że ekwipaż musi być twój a nie klasztorny; każ im dać owsa Łukaszu.—

— I warte tego Starosto dobrodzieju — odezwał się Porucznik, bo nas dziś z Wilna do domu pańskiego przywiozły; a jednakże gdzież oni przyszli do moich porcenelo-strokatych, których Starosto gdybyś widział....—

— Znajdujemyż JW. Starościnę dobrodzikę? — przerwał ksiądz, lękając się aby stajenna dla obu upodobana rozmowa, na długo nie zaszła.

— Jest moja żona, jest, tam w pokojach.—

— Pozwoli tedy Starosta dobrodziej, że pójdę złożyć jéj moje uszanowanie.—

Odszedł Ks. Prokurator, rzucając wyraziste spójrzenie na Porucznika, jakby hasło do dzieła, do którego i sam natężał wszystkie myśli i zbierał w głowie przyzwoite i stosowne wyrazy. Hasło to, przypomniało wprawdzie cel podróży Porucznikowi, lecz sposób zaczęcia rzeczy, zależał od zręczności, któréj albo oczekiwać, albo oną rozumnie wywołać trzeba było.

— Nie także to od razu — pomyślał on sobie, usiadając przy stole naprzeciw Starosty.— A my nie mogąc razem, musiemy po kolei opowiadać dzieje téj podwójnéj konferencyi.

— No, mój kochany Poruczniku — rzekł Starosta, tyś bywalec po świecie, i wieleś dziwów widywał; powiedz mi czy to być może, co ten węgrzyn prawił, że w Ołomuńcu wszystkie dachy biało polewane. U nas piec jeden kilkadziesiąt talarów kosztuje, a wieleżby to kosztował dach? To już domy muszą być ze srebra i złota, jak w pałacu téj zaklętéj xiężniczki, o któréj Łukasz umie bardzo ciekawą bajkę. Kiedy chcesz Poruczniku to on nam ją powie.

— Nie, nie, nie tego ja chcę Starosto dobrodzieju; przejechawszy się po mrozie, lubośmy się chwil kilka ogrzewali w Do-

wiatowszczyźnie, ale jednak nie zaszkodziłaby korroboracya niejaka żołądka.

— Rozumiem — rzekł Starosta — i lubo sam po dryakwi weneckiéj nie mogę ci pomódz, bo i *Pedimontanus* *) w rozdziale o *purgansach* powiada....—

— Niech go wszyscy djabli wezmą przerwał Porucznik—ja Pana upewniam, ja! że ogrzanie żołądka, ani przed *dryakwią*, ani po *dryakwi* szkodzić nie może; tylko trzeba wiedzieć jak i czém? Ja sam przyprawię truneczek, którego wazeczkę gdy wypijem, obaczysz Starosto, że odmłodniejesz, pedogra cię nie zaczepi, a swego *pedymontana*, łgarza gorszego od węgrzynów spalisz.—Każ tylko Pan przynieść czego mi potrzeba.

A jeżeli tak zaręczasz Poruczniku, że mi twój trunek pójdzie na zdrowie, bo i *Pedymontanus* zaleca ogrzewać żołądek, to mów o co idzie.—

— A zatém Łukaszu przynieś mi głowę cukru.—Łukasz i Starosta spójrzeli z zadziwieniem.

— Nie bójcie się, całéj nie użyjem; powiedz klucznicy, że tylko mój sposób przyprawy wymaga, aby głowa cukru była całą, a kawałki nie przydadzą się. *Item* cytryn dwie, choć to zima, ale zapas być musi. *Item* muszkatową gałkę. *Item* goździków dziesięć. *Item* butelkę syropu i butelkę wina starego, jakiegokolwiek gatunku, można i węgrzyna; a wody tu na kominie przygrzejesz. Miarkuję *quantitatem* na trzy osoby, bo i ksiądz Prokurator szklaneczki nie odmówi jak mi się zdaje, a jednakże okroić się może i dla starego sługi.... rozumiesz?.. Do tego waza, łyżka wazowa, noż wielki i szklanki.—

Ostatnią obietnicą skorumpowany Łukasz, poszedł ochotnie po te ingredyencye, a przybrawszy swego kolegę Mateusza, podobniuteńkiego jemu w figurze i stroju, wkrótce wszystko akuratnie dostawił.

— Ten trunek jak uważam—rzekł Starosta, będzie *pącz!*—

— He! pącz—co innego mój dobrodzieju! Syrop, woda, i cukier, zmięszaj — masz *pącz*, to nie sztuka! A po piérwszéj szklaneczce

---

*) Książka lekarska doktora *Pedimontana*, drukowana w roku 1754 w Supraślu, długo była domową. Zawiera ona nie tylko przepisy lekarstw szczególniejsze, ale i rozmaite sekreta.

mojego trunku, obaczysz Starosto, jakie ciepło i maceracya nastąpi w żołądku i w całym korpusie.—

Gdy wszystko stanęło na stole, Porucznik musnął się po czuprynie i pokręcił wąsa; to zwyczajny wstęp jego do ważnego dzieła. Rozwinął potém głowę cukru, rozkroił cytryny, i zaczął niemi nacierać cukier krusząc nożem, przesiękły sokiem do wazy.

— Tego kordyału, kochany Starosto—mówił Porucznik nieprzestając roboty, nauczył mnie kozak.—

— Jakto kozak?—

— A tak. W czasie konsystencyi naszéj pińskiéj brygady na Ukrainie, codzień prawie zdarzało się zjeżdżać z partyami kozackiémi, strzegącémi granicy z tamtéj strony; więc bywało jedziemy z sobą z daleka, przywitamy się grzecznie, i tak daléj; a przeciągnąwszy każdy po swojéj ziemi jak żórawie, zawracamy się do siebie. Czasami damy sobie wzajemny parol, zjeżdżamy się, handlujem konie, pijemy borysza, i jak się zdarzy w dobréj komitywie.

Otoż raz w późnéj jesieni, spadł piérwszy śnieżek, i wyborna nadarzyła się porosza. Wyjeżdżam tedy z półtora smyczem strzemiennych chartów, i z kilku pocztowemi na lisy; a miałem deresza, z którego bywało wilków harapuję....

— Wilków harapowałeś! A niechże cię kochany Poruczniku! — przerwał Starosta miłośnik koni, lubo żadnego na życiu nie dosiadł. Gdzież go podziałeś?—

— A wilcy go też i zjedli. — Ale to druga materya. — Czwałujemą więc po polach tropiąc na upatrzonego, i podbliżamy się do granicy.... Patrzę aż z tamtéj strony jedzie na czarnéj szkapie z chartami i kilkunastu swojemi, Ataman jakiś, upatrując także źwierza.... Ciągniemy więc obok, patrząc na siebie z ukosa.... on z daleka nahajem kiwa.... a ja jemu figą trzęsę: „*Nie waźmiosz Lachu kota! nie waźmiosz!*“ A ja jemu: *Hola! hola! Szeszku legawego pola!* I palim obadwa z harapów.—W tém wymknął lis.... i śmiga kitą po saméj granicy jakby demarkacyę prowadził. Weżha! z obustron.... charty się złączyły i kupią za nim. My za niemi Panie! Deresz mój utulił uszy, rozciągnął się jak sarna, i puścił się jak wicher w zawiei, aż mi w uszach zaszumiało. Przytuliłem się mu do szyi, i myślę: djabła zjesz Atamanie, nim ty doskoczysz na swojéj szkapie, lis będzie mój. Ale ta chuda szkapa jego, to był szatan Mosanie, nie koń. Spójrzę, aż on leci obok, jak żmija: ogon osadził na wiatr, uszy naprzód jak dwie strzały, pianą jak śnie-

giem sieje, a grzywą śnieg po ziemi zamiata. Kozak na nim schylony do łęku, już mnie przesadza! Dereszku moje serce!—krzyknąłem ściskając go kolanami, trzymaj się! bo padniem na honorze... lecim....

Starosta zajęty tém opowiadaniem, wstał z krzesła, i opierając się na poręczy patrzał niecierpliwie i z niewymównym interesem na Porucznika. Za nim dwaj starzy hajducy, wyciągnęli szyje, i wytrzeszczyli oczy: również jak ich Pan ciekawi, i również na powieści łakomi.

— Tuż, tuż, charty za źwierzem—lis het w bok na jego stronę, a mój *Doskocz* łap go za kark, i trzęsie jak kuśnierz irchą....

— A harap! krzyczę—mój sobaka, mój lis!

— A harap! krzyczy kozak—moja ziemia, mój lis!

Osadziliśmy konie, ale ja za granicą, a on lisa już trzyma. Wnet jednak obracając się do mnie,—panie Poruczniku—rzekł, na *parol!*

— Zgoda *na parol*, i podaliśmy sobie ręce przez granicę. Pojechałem więc na pogrzebne do kwatery poczciwego Atamana, gdzie przez trzy dni handlując to psy, to konie, zapijaliśmy ten wyborny *krempulsus*, jak z niejednokrotnego potém doświadczenia poznałem *excitans*, *confortans*, a razem po kilku zwłaszcza szklankach i *mitygans.*—Dolej teraz waru Łukaszu i wsyp stłuczone aromata, to jest: goździki i muszkatową gałkę....

— No kochany Starosto, raczże spełnić z przyjacielem szklaneczkę. Skosztujcie i wy stare grzyby — rzekł podawszy szklankę Staroście, a czerpiąc hajdukom po łyżce wazowéj.

— A co?

Hajduki pokręcili głowawi smakując, i uniżenie uścisnęli kolana Porucznika.

Starosta pociągnąwszy raz zakrztusił się; otarszy potém jagody, wąsy i łzwawe oczy, pociągnął drugi raz i rzekł z przyciskiem:—A żeby nie zaszkodziło!...

W tém zajaśniała radością twarz Porucznika, uderzył się po czole i pokręcił wąsa, bo wpadł na myśl, która go od razu i bardzo naturalnie do przedmiotu poselstwa zbliżała. Czerpiąc więc i dla siebie kufel, a wychyliwszy go duszkiem:—Oj Starosto dobrodzieju!—rzekł i zatrzymał się, bo przypomniał instrukcye Prokuratora, aby ostróżnie postępował w traktacyi. — Oj kochany Starosto!—powtórzył więc raz jeszcze, podając mu znowu szklankę, i so-

bie drugą dostając z wazy.—Dajże Boże, abyśmy co najprędzéj łyknęli gorąco a serdecznie na weselu Staroscianeczki godnéj córki pańskiéj, a tak piękném i miłéj, że dalibóg!....

Przejdźmy teraz do pokojów Staroscinéj, gdzie traktacye poważniejszym i delikatniejszym szły trybem.

Niespodziewane przybycie Prokuratora, zdziwiło wprawdzie Staroscinę, ale wnet ona domyśliła się treści piérwszego, że tak powiem, rozdziału przyszłéj z nim rozmowy; drugiego nie przeniknęła, a przynajmniéj nie spodziewała się.

Po przywitaniu więc zimno a grzecznie, usiedli oboje na kanapie w piérwszym pokoju. W drugim pod oknem Elżunia szyła w krosienkach; skromnym dygiem i rumieńcem odpowiedziawszy na pozdrowienie księdza, wyszła.

— Rada jestem bardzo powitać księdza Prokuratora w naszym domu — rzekła Starościna: — zapewne odwiedziny braterstwa jego w Dowiatowszczyźnie i nam zdarzają ten honor.

— Tak jest mościa dobrodziko, zajeżdżaliśmy do Dowiatowszczyzny; aleśmy umyślnie z Wilna z panem Porucznikiem Stelnickim do JWW. Państwa wybrali się. Przybycie jednak ubogiego zakonnika nikomu honoru do domu wnieść nie może; ale wnieść może błogosławieństwo i pokój, dla którego i ja ufając w pomoc Boską, tu przybywam.

— Dziękuję bardzo za dobre intencye pańskie — odpowiedziała sucho Starościna.

Ks. Ambroży przykąsił sobie usta, bo musiał uczepiać się na nowo za słowa Staroscinéj i ciągnąć ją na swoją drogę, od któréj ona wyraźnie umknęła. A jednostajny sposób powtórzony, rzadko bywa zręcznym.—Intencye moje, rzekł więc, są jako i zawsze były najżyczliwsze dla domu JWW. państwa dobrodziejów; bo i jakże inaczéj byćby mogło, gdy od niepamiętnych czasów, rodziny nasze w sąsiedztwie i nieprzerwanéj aż dotąd były przyjaźni. Gdy mościa dobrodziko ojcowie i dziadowie nasi, na jedném polu żyli i umierali, a nigdy miedzy tego pola sobie nie przeorali; więc nie możesz JW. Pani wątpić o moich *intencyach.*

— Ja też i nie wątpię — odpowiadała zawsze również sucho i jakby z dystrakcyą Starościna. O czém się wątpi, za to się nie dziękuje.

— Raczże JW. Pani wierzyć, że powód przybycia tu mojego, z również życzliwych intencyi wypływa; a zatém na również łaskawą animadwersyę JW. Pani zasługuje.....

— Mój mości księże Prokuratorze—przerwała Starościna, — rozumiałam, że wizyta pańska, jest tylko w celu zrobienia nam przyjemności; gdy zaś uważam, że go powód jakiś inny, czy interes tu sprowadza, więc w takim razie z moim mężem mówić jegomości dobrodziejowi należy; ja kobiéta...

— A ja zakonnik mościa dobrodziko! obójgu nam zatém interesa, a tém bardziéj procesa nie przystoją. Dla tego nie porzuciłbym mojéj celi—mówił coraz żywiéj Prokurator, powstając z kanapy,—gdyby szło o jakieś światowe okoliczności, lub broń Boże o pomoc dla mojéj rodziny w kłótniach i sądach. Ale gdy przeciwnie, idzie tu o uczynienie zgody i pokoju, to JW. pani jako kobiéta, ja jako duchowny, najwłaściwiéj wziąść to przedsię możemy; owszem powinniśmy, pamiętając na słowa Zbawiciela: *„Błogosławieni pokój czyniący.“* Dla tego odsyłanie mnie do pana Starosty, rozumiem jako wyraźną niechęć pani do osiągnienia tego błogosławieństwa.... a niechęć... daruj Jaśnie Wielmożna pani co powiém... na sumieniu się zapisze...—

Tak ścisłe a niespodziane natarcie, dało poznać Starościnie, że trudna będzie rozprawa z przeciwnikiem, który dostojnością kapłańską mógł karcić i upokorzyć wyniosłą dumę pańską, jeżeliby się nią zasłaniać chciała, a pokruszyć mdłe i pospolite wykręty, jako i na samym wstępie, pokruszył one bronią duchowną.

Wzajemnie Ks. Prokurator, po ciągłym rumieńcu Starościnéj postrzegł, że za gorąco wystąpił.

To uchybienie taktu księdza, z właściwą kobiétom przenikliwością pojęła wnet Starościna; więc odzyskując stłumioną rzeźwość myśli, rzekła z szydnym uśmiechem: — Prawdziwie księże Prokuratorze nie wiém jeszcze z pewnością, o co tu idzie; ale słowa pańskie dają mi bodaj prawo do innego ewangelicznego błogosławieństwa: *„błogosławieni cierpliwi w duchu.“*

Ks. Ambroży wzajemnie stłumiony, ukłonił się pokornie Starościnie, jakby na deprekacyę, a myśląc w sobie—trafiłem z kosą na kamień.—Niech wszelkie błogosławieństwa — rzekł więc, — spływają z nieba na dom JW. państwa dobrodziejów; i bodajby codziennie Bóg zdarzał JW. pani, takie sposobności jak dzisiejsza, uczynków zjednać mogących jéj łaskę Boską i miłość ludzką. Przybywam tu

bowiem, a raczéj przybywamy, od brata mego i całéj naszéj rodziny, z pokorną prośbą o zgodę i kombinacyę w processie; a przekonany jestem, i już JW. pani nie zaprzeczy temu powtórnie, że szczęśliwy skutek próśb naszych, od JW. pani zależy. Skłoń się więc do nich mościa Starościno dobrodziko i dozwol szczéréj z sobą rozmowy, która doprowadzić nas może, nie tylko do kombinacyi w procesie i do przywrócenia dawnéj harmonji, ale jeszcze i do utwierdzenia jéj, ściślejszym.... za pomocą Bożą... węzłem....

Na te ostatnie słowa, wymawiane tak właśnie jak je napisałem, z niejakiemi dyplomatycznemi przestankami; Starościna spójrzała przenikliwie w oczy Ks. Ambrożemu, zastanowiła na nim wzrok przez czas niejaki.... może się mylę?—pomyślała nareszcie—Obaczemy daléj....

— Po spójrzeniu têm Starościnéj, Ks. Ambroży pomyślił: Aha! zaczepiłem.... Obaczemy daléj....

Ks. Prokurator, jak o têm wié już czytelnik, miał podwójną missyę: piérwszą otwartą, którą też otwarcie mógł wypowiedzieć, drugą tajemną, o której dyplomatycznie miał wyrozumiewać. Dla tego postanowił zręcznie napomykać tylko i uderzać lekko i jakby nieumyślnie w tę delikatną strónkę, a chwytać najmniejsze jéj echo, i jeżeliby nieharmonijnie i nie do zgody brzmiała, zerwać ją tak, aby urywków jéj nawet, nie zostawić w ręku Starościnej.

— Zamiary pańskie—rzekła ona po niejakiéj przerwie,—zapewne są dobre i szczere; mniemam także, że działasz pan dobrodziéj i mówisz, wyrozumiawszy pierwéj, a może i skłoniwszy brata?

— Bez wątpienia mościa dobrodziko.

— A więc zgoda bardzo łatwa: niech się zaścianek wraca do majątku, do którego jak widać kiedyś zapewne należeć musiał, a my odstępujemy dla świętego pokoju, i w dowod naszéj... naszéj.., sąsiedzkiéj... sąsiedzkiéj.., *intencyi*, kosztów prawnych, dość już znacznych...

Nie uszło uwagi księdza, to dobieranie wyrazów Starościnéj, i wybranie najobojętniejszego—to powtóre, pomyślał znowu—obaczymy daléj.

— Propozycya ta, mościa dobrodziko, jakkolwiek ciężka, zawsze mię jednak cieszy, bo jest niejakim wstępem do traktacyi mogącéj powoli doprowadzić nas do pożądanego celu. Zwykle tak bywa: *Omne principium grave*, to jest, każdy początek trudny. Nie wróżę wszakże mościa dobrodziko, aby propozycya ta przyjętą być mogła. Nie

dla wartości zaścianku: bo chociaż intratny prawdę mówiąc i z saméj *defluitacyi* nad Wilią, niemałą robi perceptę; wszakże synowiec nasz pan Ludwik, mając kiedyś Dowiatowszczyznę, folwark dostatni szlachecki, najmniéj mościa dobrodziko ze sto tysięcy wartości, a jako *ultimus haeres*, to jest jedyny dziedzic po wszystkich stryjach, upewniam JW. panię, że potroi tę wartość w gotowiznie....

— Zapominasz się Ks. Prokuratorze — przerwała znowu Starościna,—bynajmniéj nas nie interesuje sytuacya synowca pańskiego... i w żadnym sposobie interesować nigdy nie będzie—dodała z przyciskiem.

Do trzech razy sztuka, pomyślał ksiądz—a więc basta.

— Przepraszam JW. panię, ale zdaje mi się przeciwnie, że JW. pani mylnie jakoś zdajesz się stosować słowa moje; bo ja nie zapomniałem się wcale namieniając o substancyi tego, który z prawa natury, będzie właścicielem fortuny, do któréj i ten dyfferencyjny zaścianek należy. Fortuna zaś acz szlachecka, jednak taka, że ofiarą z niéj jednego zaścianku ochotnieby on okupił spokojność i... i... dobre... dobre... sąsiedzkie *intencye* Państwa Dobrodziejów.—

Tu stary hajduk wniósł na tacy, wielką szklannicę kipiącego trunku; ksiądz zmarszczył się i odsunął, hajduk pomaszerował za drzwi, i nie możemy z pewnością zaręczyć, czy z pełną nazad wrócił?

— Inaczéj mościa dobrodziko rzeczy się mają — mówił daléj Ks. Ambroży—z moim bratem; on bez sumiennego przekonania, że cudzą własność trzyma, zaścianku tego nie odda, a to przekonanie jest bodaj niepodobném. Zresztą szlachcic oddający dobrowolnie i bez wyroku sądowego, bogatszemu od siebie panu, swoją odwieczną ojcowiznę, nie mógłby oczu między braćmi pokazać. Poszukaćby zatém należało innych środków modyfikujących....

— Nie, mój księże Prokuratorze, uwalniam pana od szukania innych jakichkolwiek środków.... bo ja żadnych nie widzę, i pan to uznajesz, że bez wyroku sądowego obejść się tu nie może. Nareszcie mamy plenipotenta, z którym panowie w każdym czasie i prawować się i traktować możecie, nieudając się wcale do mnie; tém bardziéj, że ja mam postanowienie jeszcze téj zimy odwieźć moją starszą córkę do babki do Warszawy i tam ją zostawić. A tak nim wrócę, zapewne dekret trybunalski wszystkiemu koniec położy.

— Ha! pomyślił ksiądz — na dobitkę kłamstwo... Podniósłszy więc czoło, i patrząc w oczy Starościnéj: — Pani do Warszawy?— rzekł z powagą, i po niejakiém zastanowieniu, pokręcił głową.

Postrzegła Starościna, że trzymając dotąd przeciwnika na wodzy ustérknęła się na końcu; ujmując mu więc przewagi, jaką nieuważnie nad sobą nadała i kryjąc nagły rumieniec, który mimowolnie zadawał fałsz jéj słowom, Słarościna wstała i szła do drugiego pokoju.

Lecz za nią szedł i Ks. Ambroży, nie w celu jednak zawstydzenia kłamiącéj, lub ponawiania subtelnie obleczonych, lecz wzajemnie pojętych propozycyi; ale w nadziei, że traktując jeszcze otwarcie i bez ogródek o samym już tylko procesie, rozwinięciem niepewności wygranéj na stronę Starościnéj, skłonić ją potrafi do upamiętania. Zbierając się więc na wszelkie argumenta prawne,— jeszcze słów kilka mościa dobrodziko,—rzekł on, idąc za Starościną. Rozważyć należy.... Na tych wyrazach, które zwróciły Starościnę ku niemu, stanął na środku pokoju Ks. Prokurator i nagle zamilkł....

Po niejakiéj chwili milczenia, widząc Starościna, że on jakby oniemiały, oczy zwrócone na ścianę przeciwną niewzruszone trzyma, rzuciła tamże spójrzenie.... i ujrzała przyczynę osłupienia księdza, dla któréj on, zapomniał argumentów prawnych i całéj treści swego posłannictwa.

Na ścianie był obraz, wielkiego rozmiaru malowidło. Stare, zaniedbane i pyłem okryte, nietknięte po przodkach Starosty dziedzictwo, starzejące się razem ze ścianami, na które kiedy weszło? i czyjéj było ręki? właściciel nie wiedział, równie jak, kto i kiedy same ściany budował? A jednak była to ręka znakomitego mistrza! Mimo pył i zaniedbanie, wyglądające zeń postacie i twarze, tak wybitnym wyrazem oznaczały treść całkowitą obrazu i uczucia jakiemi każda, jakby natchnioną była, że obraz zastanawiał każdego, a Ks. Ambrożego jakby silném uderzeniem, od razu zbił z tropu jurystę i zapomnianym kapturem nakrył.

Treścią malowidła było świątobliwe podanie, nie jednemu może czytelnikowi memu znajome. Był to targ i cudowne kupno przez braci Trynitarskiego zakonu, statui Pana Jezusa Nazareńskiego, tego właśnie który się w ołtarzu antokolskiego kościoła znajduje,

od Arabów czy Turków, słowem od jakichciś muzułmańskich barbarzyńców. Dla czegoby i jakim sposobem w ich ręku się znajdował, chcąc wytłumaczyć, potrzebaby rozgmatwać dzieje, któregokolwiek z miast na wschodzie, niejednokrotnie i naprzemian chrześcijańskim lub mahometańskim panom uległych, i w których nie raz kościoły w meczety i nawzajem meczety w kościoły się zamieniały.

Rozważyć należy — rzekł, jakośmy to wyżéj powiedzieli, ksiądz Ambroży do Starościnéj—i w tejże chwili trafił wzrokiem na szalę, na któréj także ważyli i rozważali bracia jego duchowni, nie procesowe zatargi, ale grosz pokorą wyżebrany, dla odkupienia, nie intratnego kawałka ziemi, ale prostéj figury Zbawiciela, którego w ubóstwie i poświęceniu się naśladować zaprzysięgli. Klęczący nad deską szali z jednéj strony Trynitarz, sypał na nią pieniądze z worka, a oczy wzniesione i zwrócone na oblicze Chrystusa, jaśniały najżywszą wdzięcznością, uniesieniem i modłą; bo jeden pieniądz na szalę rzucony, przechylił gwicht za sobą. Równemże uczuciem pałają oblicza kilku braci zakonnych wznoszących czoła i ręce ku niebu i gromady skrępowanych jeszcze więźniów, którzy z niespokojnością wyglądali, azali zostanie złota na ich okup z niewoli.

Cud wyraźny napełnia zadziwieniem i trwogą chciwego Paszę i stojących za nim Muzułmanów. Jeden z nich, różniący się rysem i kolorem twarzy, zgryzotą i żalem miotany, po chrześcijańsku składa ręce do modlitwy, posuwa się ku kapłanom.... chciałby się do nich rzucić... wyznać cześć prawdziwemu Bogu, — lecz go bojaźń obecnych barbarzyńców wstrzymuje. Och! jakiż wyraz jego oblicza i oka!..

— To renegat! to renegat! poznał i wykrzyknął każdy, kto nań spójrzał. On z Trynitarzami ucieczę i powróci do swojéj wiary... do swojéj ojczyzny!... *)

Stał więc milczący i zadumany ksiądz przed obrazem. — Starościna niepojmując dokładnie tego milczenia, patrzała mu w oczy łzawą zachodzące pomroką, i na twarz wzorującą się stopniami na podobieństwo uniesienia i uczucia braci jego z obrazu. A nakoniec jakby ich naśladując, wzniósł i on ręce w górę, a łzy mu potokiem toczyły się po licu....

Zdziwiona coraz bardziéj starościna, i niepojmująca wewnętrznych udręczeń księdza, do których obraz ten dał powód: — Co się

*) Obraz ten widziałem przed 1812 rokiem, potém jego szmaty.

to znaczy księże Prokuratorze? — zapytała — zkąd takie wzruszenie? —

Jakby nie słysząc słów tych ksiądz Ambroży, zawołał głosem głębokiéj modlitwy: — O Chryste Jezu, O Chryste Jezu!... i tu mi przestroga! i tu mi grzechu mojego przypomnienie! i tu mi wyrok pokuty! Panie! dajże mi siłę w postanowieniu spełnienia jéj, i zaprzysiężonych obowiązków moich, na chwałę Twoją!...

— Nie rozumiem tego wszystkiego—przerwała Starościna wzruszając ramionami. Zdaje mi się księże Prokuratorze, że mi cóś jeszcze o interesie mówić chciałeś.

— Żadnego pani — żadnego już interesu.... wszystkie zakończyłem na tym obrazie, on mi przypomniał główny interes mego powołania i życia, o którym niestety zapomniałem, gdym dziś celę moją opuszczał. A lubo Bogiem się świadczę, że czysty i sprawiedliwy zamiar mię tu sprowadził.... wszakże.... nie tu miejsce zakonnika, mojéj reguły zwłaszcza.... Ot tam ono właściwe, gdzie ci pobożni bracia moi świętego doznali cudu, i miłosierdzia Boskiego.... Niech Bóg ku dobremu serca wasze skłania; nie kłóćcie się, nie prawujcie się, aby każdy grosz wasz poczciwie nabyty, tak był ważnym, jak ten, co tę szalę cudownie przychylił. — O Boże! daj miljony takich groszy, i dozwól tak ich użyć!...

Po tych wykrzyknieniach i modłach, ks. Ambroży znowu wpadł w zadumanie, które wpatrującą się, może raz piérwszy w ten obraz, Starościnę, obejmować zdawało się, gdy odgłos jakiegoś wrzasku, podobnego do chrapliwego śpiewu doszedł ich od sali w któréj Starostę z Porucznikiem nad wazą pączu zostawiliśmy.

— Cóż to ma znaczyć? — rzekła Starościna, i odrywając wzrok i uwagę od obrazu, odeszła śpiesznie.

Ksiądz wzruszony zrazu tym śpiewem, wrócił znowu do kontemplacyi... wkrótce uderzył się mocno w piersi, jakby kończąc gorliwą wewnętrzną modlitwę. — Trzeba jechać, pomruknął nakoniec, trzeba jechać, i wyszedł innemi drzwiami, aby rozkazać zajść saniom.

Przypomni sobie czytelnik, żeśmy zostawili Porucznika gdy czerpiąc dla siebie i dla Starosty z wazy, schwytał myśl szczęśliwą, a wstępną do poselstwa swojego. Wprawdzie łatwo zawsze trafić od szklanki do wesela, jednakże przy pierwszych haustach, Porucznik powoli i ostróżnie, wedle układu z ks. Ambrożym, pomykał się

w interesie. Ale gdy widział, że wszystkie jego *cyrkumlokucye*, Starosta wprawdzie dobrém sercem i dobrym humorem przyjmuje, ale do czego zmierzają, pojąć nie może, i gdy większa połowa wazy gorącego trunku zaszumiała mu w głowie, mieszając w niéj porządek ciężko układanych traktacyi, a przydając odwagi i energii: — po djable pomyślał on sobie, mam się męczyć? Czy ja Jezuita? abym smażył te subtelne delikatesy — *Ad rem* prosto i basta, rzekł zatém.

— Krótko mówiąc Starosto, będę ci swatać do pięknéj Elżuni, chłopca wyśmienitego, zacnéj familii, a nawet dobrze ci znajomego— pozwolisz? he?—

— Proszę, proszę, odpowiedział niedbale Starosta, któremu głowa coraz bardziéj ciężyła, a oczy zmniejszały się i ćmiły.

— A więc staroświeckim obyczajem, rozpoczynam swaćbę. To mówiąc Porucznik, zawiązał serwetę białą na szyję i końce jéj széroko na piersiach rozpuścił, wziął w rękę pełną szklankę, odszedł do drzwi i huczno wrzasnął:

„Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Stanę sobie koło progu,
Pomodlę się Panu Bogu,
I nam jedną dasz
I nam jedną dasz! *)

pociągnął ze szklanki na odpoczynek; a w tym drzwi się odemknęły i weszła Starościna.

— Co się to ma znaczyć mężu? — zapytała ona z uśmiechem poglądając na trefną figurę Porucznika.

Ten nie tracąc rozumu, i nie dając czasu Staroście do odpowiedzi, jeszcze huczniéj ryknął:

„Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Stanę sobie koło progu,
Pomodlę się Panu Bogu,
To i będzie nasza,
To i będzie nasza!

*) Obrzęd i piosnka w dawnych szlacheckich swaćbach używane.

I dopijając rzekł:—Za zdrowie Jaśnie Wielmożnéj Starościnéj Dobrodziki... a przyszłéj da Bóg teści pana Ludwika Dowiata, zacnego ze wszech miar kawalera, a pałającego gorącym afektem do godnéj i ślicznéj Starościaneczki...

Starościna spójrzała na Porucznika, wzrokiem, który czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jeżeli kiedy widział ostro zagniewaną kobietę; a w którym złość i poniewierka tak wyraźnie się malowały, że gdyby oko Porucznika nie było przyćmione i łzawe od gorącego pączu, łatwoby go dojęła i rozgniewała. Lecz on niedostrzegając wzroku, pojął jednak zamiar Starościnéj, gdy się odwróciła i milcząc szła ku drzwiom, z których była wyszła.

— Dokąd mościa dobrodziko?— rzekł więc zachodząc jéj drogę — dokąd i bez odpowiedzi nawet? Za co taka konfuzya i dla swata i dla swatanego?—

„Ożenił się równy z równą,
Pan Zamojski z Batorówną. *)

— Pan Zamojski szlachcic, ożenił się z królewną Batorówną, a czemużby Pan Dowiat równyż szlachcic, nie mógł ożenić się mościa dobrodziko z panną Starościanką Kapinowską? Kochają się oboje jak gołąbki, wiem to i ręczę Imości Dobrodzice. Młodzi — Pan Bóg pobłogosławi. Doczekasz się Starościno pociechy z wnucząt. — Ej! dajże rączynę dawnemu przyjacielowi.... i nieuważając na opór, wziął rękę Starościnéj i całował. A dalibógże pulchniutka i ładniutka jeszcze; choć ty ją łyżką jedz!... —

Starościna nie mogła się nie uśmiechnąć na takie żołnierskie koperczaki; odjęła jednak rękę, a odsunąwszy tak gorliwego swata, weszła szybko do drugiego pokoju, i drzwi za sobą zamknęła. Pogoniłby pewnie za nią rozochocony Porucznik; ale go wstrzymał wchodzący właśnie wśród tych zalecanek ks. Ambroży. — Jedźmy, rzekł on.—

— A jedźmy, bo sprawa po djable; drzwi mnie Imość Dobrodzika przed nosem zamknęła..... Jakże Starosto! czyliż dozwolisz żonie.... a — śpi nieboraczek: „*Vixit et rescit!*“ Chłysnął i zasnął! Słowa są zapisane na szpuncie „od beczki pełnéj anyżowego kordyału...— Przerwał kazanie z téj temy ksiądz, bo wziął mówcę za

*) Wierszyk może i z czasów sławnego ożenienia się Zamojskiego.

rękę i wyprowadził do sieni. — A wkrótce zabrzmiała trąbka i po niéj:

Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie,
I w Pińsku i w Mińsku,
I w Gdańsku i w Brańsku,
Wszędzie nas poznali....
A żonki nie dali!

dokończył Porucznik!—

XII.

Okrzyczano, oczerniono nasze dawne prawnictwo. Wypadki pojedyńcze niesprawiedliwości, intrygi, błędu lub przemożnych niekiedy na wyroki wpływów, złożono na karb powszechnego zepsucia. Zapomniano czynów mądrości, sumiennéj uczciwości urzędników, nieskalanéj ich cnoty i prawości bo te były codzienne i powszednie, a rozsiano przeszłe aż do naszych czasów anegdoty, któremi pamięć ojców i dziadów, w najszlachetniejszéj ich ozdobie, nieuważny dowcip niweczył.

Szlachcic ubogi, powiadają, nigdy z panem sprawy nie doszedł ani wygrał. Chociaż możnaby łatwo wyszukać i przywieść mnóstwo przykładów na dowód że było i przeciwnie, wszelakoż przychodzi na myśl uwaga, że przynajmniéj dawniéj pan, przechylając za sobą szalę sprawiedliwości, nigdy nie kładł na nią *złota*.

Wkorzeniona konsyderacya dla możniejszych, związki ich szerokie, nadzieje (że tamtoczasowego użyję wyrazu) krescytywy, sejmikowe stosunki i tym podobne względy, determinowały wprawdzie niekiedy zdania sędziów, ale nigdy pieniądze! I choćby mię o przesadzone przywiązanie do dawnych czasów posądzić miano, powtórzyć śmiało mogę na przekor, bodajby nie na wstyd dzisiejszym— nigdy pieniądze!...

W ciągu dalszym téj powieści, zdarzy mi się zręczność opowiedzenia prawdziwych sądowniczych zdarzeń, związek z jéj treścią mających. Posłuży to za dowód, że nawet wyżéj wskazanym przemożności względom, nie łatwo było łamać się z sumieniem sędziów

i zasłaniać im oblicze Zbawiciela, ze stołu sądowego na nich patrzące; że w gronie mężów wybranych, zawsze się znalazły mądre głowy i cnotliwe serca, których intryga by najtęższa wzruszyć nie mogła, i którzy piastowali godnie opiniję, zacność i dostojność całego sądownictwa i kolegów idących zwykle za ich zdaniem.

Świetném było Wilno wkrótce po wypadkach, tu wyżéj opowiedzianych. *Publicum* ze wszech stron zjeżdżało się do stolicy na rozpoczęcie nowego Trybunału, i na ostatki karnawału, zwykle najżywsze i najweselsze. *Zapusty!* sam ten wyraz, po wsiach i w mieście, rozjaśniał stare i młode twarze nadzieją zabawy, ochoty, szału nawet.... postem i pokutą potém wytrawić się mającego.

Ze wszech stron całéj prowincyi zbierali się litygancyi, po roztrzygnienie, często długo-letnich procesów, *ostateczne*: bo jak przysłowie niosło: „*od Trybunału do Boga apelacya.*“ Ze wszech stron także zjeżdżali się mamunie z córeczkami, po rozstrzygnienie, często długo-letniego oczekiwania ich losu!... a tak, napełniało się miasto rozmaitą ludnością, rojącą się tłumnie po ulicach, lub w ciężkich karocach i kolaskach gęsto przewlekających się po nich. W ciemne szczególniéj wieczory i nocy, Wilno tak różne dziś od dawniéjszego, mogłoby natenczas być wziętém za jakieś fantastyczne ruiny wielkiego grodu, w którym liczna a błędna w wędrówce karawana, stanęła noclegiem i wśród zgiełku i zamięszania, tłum jéj różnobarwny, wybierał dogodniéjsze sobie i zajmował lokaty.

Dziś ze stałych punktów rzucane długie światła na ulice, posępnie wprawdzie, lecz wyraźnie rysują miasto: natenczas w mieście pogrążoném w ciemnościach, każdy sam własne oświecał drogi, i dla tego smolne, ogniste, iskrzące się lonty, splatane w grube liny i na mocnych osadzone pałkach, przebiegały po ulicach jak meteory przed pojazdami panów, gęstym dymem i rozlatującém się na wszystkie strony zarzewiem, rozbijając mocną pomrokę.

Niekiedy kilka i kilkanaście takich ognisk postępowało na czele licznéj, brnącéj po kolana w rozbłoconym śniegu bandy i huczne wykrzykującéj wiwaty. Biada natenczas każdemu, ktoby się znalazł na drodze!... lub co gorsza, ktoby, jak naprzykład runt nocny, śmiał zaprzeczać drogi. Pochodnia natychmiast stawała się razem bronią palną i sieczną, iskrami parząc oczy, a pałkami łby i grzbiety,

niebezpieczniéjszą zaiste od dzisiejszych rac kongrewskich, lub dawnych greckich ogniów.

Na ciemnych i krętych pomniéjszych uliczkach, uwijały się gęsto latarki, zachodząc aż na dalekie przedmieścia, i jak błędne ogniki snując się między dworkami. Nakoniec rozlewało się z szynków gwarliwe i pijane mrówisko pospólstwa, omackiem około murów szukające bram swoich; aż powoli ustawały wszystkie blaski i wrzaski, a głuchą cichość i ciemność obejmującą gród uśpiony, przerywały tylko, po każdem brzmiącém uderzeniu zegarów kościelnych, głosy stróżów nocnych, podobne do muzułmańskich Muezzynów, przyśpiewujące każdéj godzinie:

„Mości panowie gospodarze,
„Już dwónasta na zegarze,
„Strzeżcie ognia i złodzieja,
„Macie Boga—dobrodzieja.“

XIII.

Wielka Reduta—Turek.

Gdyby kto chciał, jak to po wielu już wielkich miastach uczyniono, pisać historyę ulic i niektórych domów Wilna, dzieje domu Müllerów na ulicy Niemieckiéj, byłyby dziejami zabaw wyższego towarzystwa litewskiego, w rozmaitych czasach nader także rozmaitych. Byłby to ciąg obrazów interesujących bardzo, bo przedstawujących z kolei obyczaje nasze w najpowabniejszéj a razem najciekawszéj ich barwie, *wesołości narodowéj* i w sposobie jakim jéj używano. Jak dalece raz, była własną, prawdziwą, szczerą, powszechną; drugi raz, obcą, cudzoziemską, modną, obłudną; i jak naprzemian jedna drugą wypędzała z sali Müllerów. Ileż wizerunków pięknych kobiét, jaśniejących wdziękami w różnych epokach naszego miasta, zdobiły tę galeryę! wieluż z nas samych dzisiaj starych, ujrzałoby tam siebie w kwiecie młodości naszéj i przypomniało urocze jéj godziny. Ileż nakoniec, historycznych nawet wspomnień, powiązałoby się ze szczególnemi wypadkami, objętemi nieraz ścianami tego domu!...

Reduta w sali Müllerów była jedyną zabawą publiczną w Wilnie w czasie aktu mojéj powieści, i lubo świetne assamble i bale u panów zgromadzonych do miasta codzienne prawie nastręczały sposobności zabaw, tańców i wesołych wieczorów, wszelakoż najczęściéj tak się zdarzało i zwyczajem niejako było, że cała kompania zebrana w domu któregoś z magnatów, po sutéj wieczerzy, dobierała się i łączyła w motye i długim ciągiem sanek i karet oświeconych pochodniami, wlekła się na redutę. Motyant natenczas był obowiązany nie odstępować swojéj *motyi*, to jest damy, któréj ochoczym czy niechętnym na ten wieczór był sługą, i po reducie odprowadzić ją do wschodów jéj rezydencyi — szczęśliwy! jeżeli służba ta była mu po sercu! Na ostatnią więc wtorkową redutę, całe się gotowało miasto.

Pani Starościna z córką, od dwóch tygodni była w Wilnie. Pan Starosta leczył się w domu, medykamentami doktora *Pedymontanusa* z recydywy pedagry, któréj mu trunek rotmistrza napędził. Kilka już świetnych wyprawiła ona wieczorów, na których, niestety! Ludwik być nie mógł.

Straciwszy po fatalnéj swaćbie, wszelką nadzieję, a nie mogąc na nieszczęście stracić i stłumić przywiązania i miłości, sechł młodzieniec i więdniał, jak kwiat spieką spalony.

Siostrzyczka jego Helusia, wprawdzie odwiedzała pannę Starościankę, nie uważając na fochy i kwaśne przyjęcie mamy. Serdeczne przyjaciółki od dzieciństwa, nie mające dla siebie wzajem żadnych tajemnic, powierzyłyby sobie zapewne swe myśli, uczucia i zmartwienia, i takiéj chwili, za każdą swą wizytą szukała pilnie Helusia, chcąc przyjaciółce miłość i cierpienie brata przepowiedzieć, a choćby słówko pociechy mu odnieść; lecz baczne Starościnéj oko, nigdy osóbnéj im nie dozwalało rozmowy i powodem niby bawienia gości, których dom jéj zawsze był pełny, nigdy córce od boku swego oddalić się nie dozwalała. Po radośnych więc tylko powitaniach, i po łzach, które przy każdém pożegnaniu zwilżały piękną źrenicę Elżusi, mogła ona sądzić, że serce jéj przyjaciółki, ani w przyjaźni dla niéj, ani w tkliwszych uczuciach dla brata, najmniéj się nie zmieniło.

Raz jednak, gdy po czułém pożegnaniu, Helusia w przedpokoju ubierała się w futro, Starościanka postrzegłszy matkę w żywéj roz-

mowie z jednym z jaśnie wielmożnych gości, wybiegła za nią i ściskając ją czule: — „Ach! jeszcze choć jednę chwilkę z tobą!“ rzekła. Korzystając Helena z tego niespodziewanego sam na sam, szybko i cicho mówiła jéj: — „Moja ty droga! dziękuję ci; mama twoja pilnuje nas.... nieszczęśliwy Ludwik! ach! jakże on cię kocha! on umrze z rospaczy!...“

— Ludwik! Ludwik! o mój Boże! powiedz mu, rzekła z westchnieniem — powiedz.... łzy przecięły cichą mowę, doszepnięciem na ucho słów kilku kończoną, a przerwaną głosem Starościnéj wołającéj córkę. Aby ukryć swe łzy i wzruszenie, Elżusia bocznemi drzwiami do głębszych wbiegła pokojów; a Helena odeszła niosąc bratu ulgę, pociechę.... ba! czemuż nie nadzieję?

Przygotowanie się w mieście na ostatnią redutę, zależało najwięcéj na tém, że towarzystwa przyjazne sobie, łączyły się w jedne grona i układały motye i maski: mężczyzni sporządzali stosowne, często znacznym kosztem ubiory, aby nie powstydzić motyi, które także strojnie i pięknie, wystąpić starały się.

W innym czasie i humorze, Ludwik nie ustąpiłby nikomu, ani w dowcipnych wynalazkach i projektach do maskarady, ani w gustownym układzie własnego stroju; i nie jedna matka pozazdrościłaby wybranéj przezeń motyi. Ale ów niedawno wesoły, śmiały, ładny i gracki chłopiec, stracił wszystkie swoje zalety, i prócz poczciwego a cierpiącego serca i młodości, nic mu prawie z dawnych ozdób i wdzięków nie zostało.

Rodzice i stryjowie ubolewali i lękali się o zdrowie jego. Helusia, czasem z nim razem popłakała w alkierzyku, a częściéj cichą pogadanką o kochance, tak miłą zakochanemu, rozpogadzała pochmurne jego czoło; i cała ta poczciwa rodzina głęboko dotknięta i zasmucona była, losem ukochanego ich wszystkich dziedzica. Pan Skarbnik nawet, widząc co się święci, lubo zrzędził i dowodził, że gdyby pan Ludwik pilnował statutu, nie przyszłoby do tych feralnych konsekwencyi i negocyacyi, które złym swoim skutkiem, dziś mu głowę suszą.... jednak patrząc na stan boleśny młodzieńca, którego kochał, o tyle przynajmniéj, ile jurysta kochać może, często sam do siebie mawiał: *„inter nos loquendo“* źle z nim jest.... trzebaby cóś poradzić.... szedł potém do pani Dulskiéj i ją na wzwiady do Starościnéj posyłał. Starościna przyjmując uprzejmie kuzynkę, po któréj kapitalik w spadku przewidywać mogła, najmniéj się nie domyślała, że to był szpieg pana Skarbnika, przez

którego wiedział on o stałéj skłonności Starościanki dla synowca i stałej niechęci Starościnéj dla ich obu.

Od czasu jednak ostatniéj bytności siostry u Elżuni, humor Ludwika poprawił się nieco; bo ta przywiązana siostrzyczka, słówko wzięte do ucha z ust jéj, prosto bratu do serca wrzuciła, a słówko to, było widać talizmanem rzeźwiącym go z otrętwienia i troski.

Cały więc karnawał nudno schodził w Dowiatowskich dworkach; ale gdy humor ukochanego Ludwisia uległ zmianie na lepsze, to rozpogodziły się twarze i całéj doń przywiązanéj rodziny. Stryjenka zaś, *in gratiam* téj pomyślnéj okoliczności, postanowiła zakończyć przynajmniéj, weseléj zapusty i ostatni wieczór obejść suto i hucznо, podwójnie uraczając familję, przyjaciół i sąsiadów: to jest, dać smaczną wieczerzę przed północą, a po niéj wyśmienity postny z ryb i pirogów podkurek, zakończyć się mający sowitém płókaniem zębów.

Ludwik wdzięczny stryjence za ten szczery wzgląd na stan jego, a nie myśląc wcale o publicznych zabawach, przyjął na siebie zaproszenie gości. Między temi, nieposlednie miał trzymać miejsce pan porucznik, i owszem na nim zakładano największą bachusowéj ochoty i wesołości nadzieję. Do niego zatém naprzód, to jest trzema dniami przed ucztą, wyprawił się za Ostrą-bramę Ludwik, aby wszelkie zaproszenia uprzedzić.

— A witajże mi! witaj! kochany mój! dwa razy kochany!... bo i odemnie i od kogoś jeszcze.... ale niech to będzie między nami. W czas przybywasz, dalibóg w czas! wołał, uściskając Ludwika porucznik.— Patrz w jakim jestem kłopocie.... trzech żydów mam na głowie, a oni mnie. Ja im rady dać nie mogę, a oni mnie. Otoż ty i mnie i im poradzisz.—

W rzeczy saméj, na środku pokoju, około wielkiego stołu, na którym różne z jedwabnych materyi leżały żupany, kontusze, a nawet atłasy i gredytury w sztukach, stało rozmyślających z krédkami w rękach, trzech żydów.

— O cóż tu idzie?— zapytał Ludwik.

— He, widzisz,— rzekł Porucznik— wszystko to ja twoje interesa robię. Ty śpisz, a twoja dola rośnie! bo niech mię djabli porwą, jeżelibym się wdał w tę biedę, gdyby nie moja życzliwość

dla ciebie.... a zatém, nadzieja pomyślniejszych ewentów ze starościną.

Ludwik zdziwionym i niedowierzającym wzrokiem nań spójrzawszy:—kochany poruczniku, rzekł, cóż to znowu za zagadka? i jak niewcześnie onę wprowadzasz?—dodał wskazując na żydów.

— Ha! prawda, tylko co nie podrwiłem głową. Do sieni łajdaki! i czekajcie. Otoż napomknąłem ci przyczynę, dla któréj po przybyciu do miasta starościnéj, nie odmówiłem jéj kilkakrotnéj prośbie i odwiedziłem ją. Mityguje się widać baba, pomyśliłem i pofolguje zamiarom naszym. Potém raz i drugi zaprosiła mię na obiad; poszedłem i upatrywałem zręczności i szczęśliwéj godziny ku renowacyi *tandem* tego....

— Rozumiem, przerwał Ludwik z uśmiechem, bo poznał, że Porucznik chce usprawiedliwić się z wizyt swoich do starościnéj, na którą, po powrócie ze swaćby tak był obrażonym, że po razy kilka we dworku powtarzał: „noga moja w jéj domu nie powstanie.“

— Rozumiem, przerwał zatém Ludwik, i dziękuję za dobrą wolę pańską dla mnie: mam jednak, zda mi się prawo, prosić cię kochany poruczniku, abyś odtąd zaniechał wszelkich już w tym względzie insynuacyi. Zostawmy to woli boskiéj; a tymczasem, ot ja przychodzę w imieniu moich stryjowstwa i całéj naszéj rodziny zaprosić cię, abyś z nami, jako ze swemi prawdziwemi przyjaciołmi, ostatni wieczór zapustny przepędził. Kom anię będziemy mieć dobraną, przyjacielską, a poufałą; a zatém zabawimy się, da Bóg dobrze, mając zwłaszcza kochanego porucznika między nami.

— Otoż masz! a to jest półtora nieszczęścia! odpowiedział porucznik; nie tylko muszę spendować niemałego grosza na babskie bałamuctwa, ale jeszcze tracę najmilsze towarzystwo i szlacheckie poczciwe, a wesołe zapusty! Czemużeś mnie zawczora o tém nie powiedział!

— Wczora jeszcze stanął u nas projekt zabawy i mniemałem, że trzema dniami przychodząc uprzedzę wszelkie zaproszenia.

— Otoż to, że uprzedziła cię starościna, i skutkiem to jéj woli, a danego przezemnie słowa, znalazłeś mię w kłopocie, w którym wzywam twéj rady.

Na ostatnią wielką redutę, mam być *Turkiem* i dla tego muszę oporządzić się po turecku; proszę więc tu znaleźć krawca, któ-

ryby cię na baszę wystroić potrafił? Nanieśli mi tu z tandetów i ze sklepów towarów szmat; a cóż, kiedy nie znają łajdaki tureckiego kroju.

— Zgaduję rzekł Ludwik, toć pani starościna będzie Turczynką, a porucznika w motyę sobie obrała.

— He! he! nie zgadłeś braciszku, nie! Starościny motyaszem będzie JW. deputat Lidzki, którego bodaj na króla Egipskiego fortraguje, a sama ma być jakąś królową bodaj Lampartyńską. Mnie Ludwisiu pozazdrościsz... moją motyą będzie Elżusia! tak, tak! Elżusia. Ha! uśmiechasz się Judaszu! a wiem co myślisz, że mnie powinna była przyswoić sobie mamunia, a ciebie dla córeczki! prawda, byłoby to właściwiéj. Ale widzisz baba minister! oho! rozumiesz, że ona mię tak bardzo kocha, że aż z córką swata! nie, nie o tym Dawidzie, gra idzie. Ale trudny jéj był wybór między młodzieżą, dobijającą się o honor służenia do motyi pannie starościance; bo prawdę mówiąc braciszku, masz rywalów bez liku. Aby więc nikogo nie obrazić, mnie dla Elżuni wybrała i kazała oporządzić się po turecku: a łatwiejby mi przyszło mosanie konia w rzęd turecki ubrać, jak siebie samego w ich muzułmańskie szaty. Dajże więc mądrą radę, panie Ludwiku; a za to, co każesz, wszystko z pod maski wyszepcę na uszko Elżusi.

Wiész co? możeby jeszcze lepiéj było, gdybyś sam był na reducie w masce?... tylko, że cię mama wnet odgadnie, gdy się zbliżysz do córki.

— Idzie więc ci kochany poruczniku, rzekł Ludwik nie zważając na jego propozycye, o krawca, któryby ci turecki ubiór uszył.

— A tak, właśnie tak.

— Posyłajże wnet na Subocz ulicę po Benjamina, on jest moim krawcem, a. rocznym u pani Morawskiéj, anteprenerki naszego teatru. Szyje on garderobę teatralną, więc nieraz i tureckie ubiory szył zapewne; a nareszcie wziąść łatwo może na blajer: ale śpiesz się, bo nie jednemu mnie, taż sama myśl przyjść może do głowy.

— A niechże cię uścisnę! wyśmienity projekt! to mi to głowa! Masz za to jeżeli chcesz, na cały dzień moje siwe kuce. Won faryzeusze! wrzasnął otworzywszy drzwi do sieni; nie potrzebuję was. Towary zatrzymuję, jutro przyjdźcie po nie; co odkroję, zapłacę.

Posłano natychmiast po Benjamina, który przybywszy, najdoskonalszą okazał znajomość rzeczy. Porucznik ukontentowany, nie targował się o zapłatę podwyższoną bardzo, powodu, że jak po-

wiadał żyd, miał do ubrania sześciu samych turków, oprócz jasnego porucznika, dziesięciu hiszpanów, czterech murzynów i jednego dzikiego człowieka.

Wybrano zatém materye; porucznik zaklinał żyda, aby on ze wszystkich turków był najokazalszym, dodając na ostatnią konwikcyę: — słuchaj Barabaszu! albo ci zapłacę jak chcesz, albo cię zbiję na gorzkie jabłko.

Żyd zaklął się najuroczyściéj, że jasny pan porucznik będzie kontent; a odchodząc i zabierając materye dodał: — „tylko turban do mnie nie należy, a powinien być bardzo bogaty, od złota i dyamentów.“

— No, no, rób swoje Zorobabelu, a nie frasuj się o resztę, rzekł porucznik do żyda. Lecz gdy ten wyszedł, obrócił się znowu do Ludwika: — Jednakowoż to sęk ten turban; czy nie dasz znowu jakiéj rady.

— I owszem mam gotową; daj tylko złota i dyamentów, jak krawiec radził, a siostra moja upnie ci i ubierze ten turban, do którego potrzebny kadłub ja od kapelusznika dostarczę.

— Co? Helusia ubierze mi turban! A niechże mię szatan porwie, jeżeli jéj za fatygę, rączek i nóżek nie ucałuję po tysiąc razy! Co do splendorów, najdzie się u szlachcica; a do tego, zbiorę po moich kumkach i przyjaciółkach, których mam chwała Bogu prawie na każdéj ulicy, starych brylancików i dostarczę Helusi.

— Nakoniec, rzekł Ludwik, trzeba mieć krzywą tureckę karabelę u boku, i kindżał za pasem.

— No to już nie bieda, rzekł porucznik, sześciu turków mógłbym uzbroić bogatym orężem z mojéj ściany: chodź i patrz!

W drugim pokoju na całéj ścianie, szérokim kobiercem zawieszonéj, umieszczony był symetrycznie piękny, dobrany, a nawet kosztowny i liczny arsenał pana porucznika. Broni tureckiéj zimnéj i ognistéj było niemało, równie jak wszelkiéj innéj, którą z upodobaniem przeglądając Ludwik, przysłuchiwał się opowiadaniom Stelnickiego, o zaletach i dziejach każdéj sztuki. Nakoniec, zdejmując on z kółka szablę damasceńską z piękną wschodnią w jaszczur i srebro oprawą: — Mój kochany Ludwisiu, rzekł, może i tobie zdarzy kiedy po turecku się stroić, to miéj na pamiątkę od przyjaciela.

Ludwik dziękował, ale przyjmować nie chciał daru, tak znakomitéj wartości.

— Cóż to znowu u kata? zawołał Stelnicki; wy młodzi chcecie wyprowadzić z mody naszę staroświecką kordyalność i ochotę do wzajemnych dowodów przyjaźni i szlachetnego serca? Oj tak, tak! wychodzi to dziś z mody, co dawniéj było zwykłą wspaniałością u panów, a cnotą popularną u szlachty. Podoba ci się koń mój dzielny? masz go bracie! i dłoń w dłoń; a potém w obie kielich na podziękowanie za łaskawe przyjęcie, i tym podobnie. Im więcéj sposobności darów i zjednania przyjaciół, tém lepiéj, i nikt się tym nie zubożył, bo odbierał często we dwójnasób za swoje; a miłość, a życzliwość wzajemna, a dobra myśl, a wesołość i ochota, kwitła wszędzie i między wszystkiemi. Ba! dziś już inaczéj jest! a kto wie co daléj będzie?... Ale wola bozka we wszystkiém! a ty przyjm tę szabelkę, bo rekuzą zmartwisz mnie i zagniewasz bardzo. Uściskał potém młodzieńca, gdy ten spełnił jego życzenie, i pożegnali się czule.

Powracając Ludwik do domu, rozmyślał nad tą wielką redutą, wśród któréj, gdyby poszedł za radą porucznika, mógłby choć kilka słów powiedzieć swojéj ukochanéj; a rozmowy z nią tak pragnął, tak potrzebował, a zwłaszcza po doniesieniach Heleny, okupiłby ją połową życia. Lecz cóż z tego? słów kilka nie było dosyć: dłuższa zaś rozmowa, wydałaby go niezawodnie i przyczyniła zmartwienia córce, a ostróżności jeszcze większéj matce. Nagle uśmiechnął się na jakąś myśl nową, i zawrócił się na Subocz ulicę.

Nadszedł nakoniec i dzień wtorkowy, zapustny, i dnia tego wieczór — dobitka karnawału. *In fine velocior motus*, powiada stare przysłowie: *motus* ten zatrząsł całem miastem i zabrzmiał po całém mieście wszystkiemi tonami hucznéj wesołości. Na ten raz światło było po ulicach, a nawet i po uliczkach, bo ze wszystkich, a gęstych szynków rozchodziło się ono szeroko, a szerzéj jeszcze odgłos rozmaitych instrumentów rzniętych, dętych i brzęczących; tak bowiem nazwaćby trzeba cymbały, pod któremi pospolita rzesza rzeźwe wybijała hołubce. Wyższe piętra znaczniejszych kamienic i pałaców, rzęsistszemi także pałały ogniami, i dobrańszą harmonją muzyki, oznajmywały wewnętrzną tam wesołość. Odzywały się tam

i ówdzie pieśni śpiewaków i błędne po ulicach szenekatrynek kuranty; a około dziesiątej godziny ruszyły zewsząd kalwakaty na Niemiecką ulicę do pałacu Müllera na redutę.

Jedna z nich z kilkunastu karet i sań złożona, pomykała się powoli od Zamkowéj bramy. Na jéj przedzie, jechała w karecie starościna z córką, a za nią tuż basza turecki i król egipski, w saniach parą siwców ciągnionych. Za niemi dalsza kompania, która na umówioną godzinę zebrała się licznie do pani starościnéj, i tam złączona w motye i zamaskowana, mieściła się do pojazdów tak, aby mężczyzni jadący w saniach, byli zaraz za swemi motyami, dla podania im przy wysiadaniu ręki i wejścia razem na salę.

Na Niemieckiéj ulicy, gdzie wszystkie zjeżdżały się i rozmijały się kalwakaty i pojedyńcze cugi, hałas, zgiełk, tłum i zamięszanie przechodziły wszelkie opisanie. Policya jak dziś. nie czuwała nad porządkiem i bezpieczeństwem; a tak, porządku nie było, a bezpieczeństwo zależało od zręczności stangretów, i otaczających każdy pojazd hajduków, którzy z pochodniami w rękach oświecali drogę, rozpychali tłumy święcąc je iskrami i wrzeszczeli z całego gardła, przeklinając się wzajemnie, jak potępieńcy wśród smoły i ognia.

— A to czyste piekło tu, panie Lidzki! odezwał się niecierpliwie porucznik.

Nie najeżdżaj! Stój! ruszaj! do miliona krocset... Na prawo! na lewo! Gwałt! ratujcie! Bij go! trzymaj go! i tym podobne krzyki wśród trzasków nieustannych z biczów i gwaru pospólstwa pijańszego w tym dniu nad inne, w nocy i w błocie, nieprzesadzoném czyniły porównanie powyższe Niemieckiéj natenczas ulicy, do piekła.

Dowlekła się przecie kalwakata starościnéj do bramy Müllera, suto lampami oświeconéj: kareta weszła, sanie za nią wchodziły... gdy nagle wrzasnął porucznik: — Co to jest? Gwałt! złodziéj! dalibóg złodziéj!... bo ktoś z tyłu porwał mu z głowy turban. Zerwał się z sań Stelnicki, dostrzegł złodzieja wyciskającego się między tłumem na ulicę z turbanem w ręku, skoczył więc za nim....

Król egipski, zwrócił się na ten krzyk ku towarzyszowi i nie ujrzał go obok siebie; ale w tejże chwili kareta stanęła przed wschodami. Starościna z córką wysiadły, pośpieszył więc podać rękę motyi, i znalazł obok siebie baszę podającego rękę Elżusi.

— Co to było? zapytał więc jego.

— Nic, szepnął z cicha basza: omyłka — prowadź pan... Poszli więc; a za niemi kilkadziesiąt par weszło na salę, i wkroczyło w toczący się polonez.

Tymczasem porucznik pędził za złodziejem, który wyrwał pochodnię z rąk jakiegoś hajduka i biegł z nią zgniotłszy turban i schowawszy go pod płaszcz. Porucznik toż samo uczynił; schwycił pochodnię i z nią w jednéj, a z dobytą szablą w drugiéj ręce leciał za złodziejem wrzeszcząc co miał tchu: — Złodziéj! trzymajcie! łapajcie!... ale ten rzeźwo zmykał, wywijał się zręcznie między pojazdami, w tłum zastępujący mu, suwał pochodnią w oczy i torował sobie drogę wrzeszcząc także: — Trzymajcie! Na miłość Boga! trzymajcie! Djabeł wenecki! djabeł wenecki pędzi mnie — zadusi mnie! trzymajcie na miłość Boga, trzymajcie!... Porucznik tym samym sposobem bronił się od tłumów, to jest pochodnią w oczy, i łatwiéj nawet ustępowano mu z drogi, postrzegając pałasz w ręku, twarz szkaradną i ubior dziwaczny. Dostrzegł on, że przestraszał spotykanych! zdarł więc sobie maskę z twarzy, a ta opadłszy na piersi, zrobiła drugą głowę; ktokolwiek więc spójrzał na biegącego, krzyknął, Jezus Marya Józef! i odskakiwał przerażony, lub co gorsza powtarzał za złodziejem: — Djabeł wenecki! Djabeł wenecki!...

Tak przebiegli Niemiecką ulicę. Złodziéj obiegł ratusz i puścił się w dół ku Zamkowéj bramie: pojazdy nie tak już gęste, dozwalały mu trzymać się środka ulicy, po któréj brnął w rozmięszanym i wilgotnym śniegu, oglądając się coraz na goniącego porucznika, a brnącego także po kolana bez względu na atłasy i materye, w które był oszyty, i które za każdym krokiem w niwecz się obracały. Niech djabli biorą atłasy myślał on, woléj szkodka niż szkoda... na turbanie kilkaset dukatów!... a ta myśl podwajała mu siły i kroki.

Niekiedy złodziéj jakby zmordowany zwalniał biegu, Stelnicki natenczas prawie go dościgając krzyczał — stój łotrze! oddaj turban, bo ci łeb rozpłatam!!!

— Nie doczekasz szatanie! nie doczekasz djable wenecki! odpowiedział złodziéj i unosił się żywiéj.

Noc była cicha, wilgotna i ciemna, a im bardziéj oddalali się oba od środka miasta, tém mniéj było świateł: za bramą Zamkową, własne im tylko świeciły pochodnie. Porucznik cieszył się w duchu,

że złodziéj stracił głowę, i sam mu wskazuje drogę pogoni: ten obiegł po dwakroć katedrę żałośnym głosem jęcząc: „Jezus Marya! Święty Kazimierzu ratuj duszę moję! Zgiń przepadnij, djable wenecki!

Porucznikowi tchu nie stawało, krzyczał jednak na odpowiedź.— Nie! nie! zginiesz z duszą i z ciałem... Jaki taki podpiły, wlekący się z szynku, słysząc to i widząc latające około kościoła widma, przeżegnał się i zmykał. Z pod katedry złodziéj puścił się na Antokol, klucząc między stósami drzewa, którémi cały brzeg Wilji był założony: minął kościół Ś. Piotra wzywając jak wprzód Patrona Litwy, tak teraz księcia Apostołów opieki, i nakoniec dobiegając do dworku państwa Dowiatów, przewrócił pochodnię, wbił ją w śnieg, a sam wpadł na dziedziniec przez furtkę, którą za sobą zamknął z trzaskiem i zaryglował, i w którą wnet z całéj siły zaczął bić porucznik, wołając: — odemknijcie! na miłość Boską odemknijcie!...

Poczciwa, tam zgromadzona drużyna, bawiła się wesoło i poufale, racząc się trójniakiem, lipczykiem, lub winem, jak czyja wola i łaska. Matrony w drugim pokoiku, traktowały się bakaliami i likierami, dzieląc się z panieństwem, które w alkierzyku, kilku chłopców mając między sobą, swobodną, a skromną gruchały chichotkę.

Nakrywano już na wieczerzę i z niespokojnością wyglądano pana Ludwika, który miał wspólnie z siostrą gospodarzyć. Panna Helena jednak, wystarczając za matkę i za brata, pięknie się krzątała, a z figlarnym uśmiechem zaręczała, że jeżeli nie na wieczerzę, to na podkurek brat pewnie wróci.

W takie to grono wpadł naprzód zadyszany i zbłocony z turbanem w ręku znajomy nam aplikant pan Łukasz, dyszkant choru śpiewaków; położył on turban na stole, a cisnąc się w zdziwiony i zasypujący go pytaniami tłum, wyrwał od kogoś szklankę, wypił duszkiem, i posłyszawszy w tym momencie dobijanie się porucznika.— Mości panowie rzekł: miejcie się na ostróżności ostrzegam... Djabeł wenecki tu wpadnie... Może się stać jaki akt wiolencyi na mojéj zwłaszcza osobie.

W tém wpada raptem Turek z pałaszem w ręku!... Mężczyzni biorąc to za umówioną zapustną zabawkę, nie ulękli się bynajmniéj,

ale przerażone kobiety pocisnęły się w kąty i zasłaniały się mężami i swojemi i cudzemi. Nikt jednak nie poznał porucznika.

— Nie lękajcie się — to maska, mówili mężczyzni, ujmując jednak trzciny w ręce.

— Ach! ja nieszczęśliwa! dwie głowy! krzyknęła któraś imość nieznająca się na maskach. Wszystko to działo się w jednem mgnieniu oka, co po kolei opowiadaném być musi, i to właśnie główna niedogodność powieścio-pisarstwa.

Porucznik wpadłszy do izby, wrzasnął — gdzie ten złodziej? ale postrzegłszy swój turban świecący się na stole, porwał go z ukontentowaniem, obejrzał, i znalazłszy wszystkie splendory i kosztowności nietknięte i całe, poznał, że to nie złodziejstwo, ale jakiś figiel. Niemniéj jednak obrażony krzyczał: — gdzie ten chłystek? który mój turban tu przyniósł. Czego u kroćset djabłów patrzacie na mnie jak na jaką poczwarę? to ja — Stelnicki! nie bójcie się; ale wydajcie łotra, który mnie tego piekielnego figla wypłatał.

— A dalibóg, wszakci to nasz porucznik, rzekł podszedłszy i przypatrując mu się ze świécą gospodarz domu.

— Kto turban przyniósł?

— A czegoż tak się kokoszysz? czapkę tę turecką czy jak nazywasz turban, wniósł tu i postawił na stole zasapany i obłocony pan Łukasz, którego tu widzisz; a co się to wszystko znaczy, nie wiem. Widać zmówiliście się na tę komedyę.

— A to ty szubrawcze, chłystku, łotrze przeklęty!...

— Biorę na świadectwo wszystkich tu obecnych zacnych panów i dobrodziejów, rzekł śmiało pan Łukasz, srogiéj *weksy*, którą mię znieważa pan Stelnicki, poturczony niewiadomo *quali de causa?* a zatém jak widzę *relapsus* od naszéj świętéj wiary Rzymsko-Katolickiéj.

— Schowaj miecz miłościwy baszo! rzekła przerywając te zapędy Helusia, a podchodząc do porucznika ze szklaneczką mile wониejącego pończyku zacukrowaną powabnym uśmiechem i dygiem; schowaj miecz, a przyjm w tęż samą rękę z mojéj...

— Co! z twoich rączek Helusiu? z twoich pięknych miłych rączek? wykrzyknął udobruchany wnet porucznik, wypiłbym dalibóg i jaką kwaśną lurę, a stałaby mi za nektar niebieski; tém bardziéj, gdy to jest kordyał tak potrzebny do pokrzepienia mię po téj niezwyczajnéj fatydze. Z Niemieckiéj ulicy kłusem aż na Antokol! nie

lada kurs. Więc mości Łukaszu czy Matyaszu, dowiodę ci, że żartować ze mną niebezpieczno. I gdyby nie respekt na ten dom podczaszostwa dobrodziejów i tę szanowną kompanię....

— A! nie dozwalam gniewać się panie poruczniku, — przerwała znowu Helena — i mieszać nam miłą zabawę; ja wszak mam daleko większy powód do kłótni z panem, a jednak odkładam to na czas dalszy.

— Jak to? za co? mój aniołku!

— Ale jak dobrze udają komedyę! — odezwało się zgromadzenie, w mniemaniu, że ta bachusowa zabawka, dla rozweselenia wieczoru tego ułożona. Porucznik jak od razu i zagniewany i zakochany; a Helenka jaka trusia! Da już wiemy na czém skończy się! pójdzie do seraju Baszy!

— Alboż to pięknie, mówiła ona, uśmiechając się na domysły kompanii, mości Poruczniku? alboż to przystoi taka niestałość? postokrotnie oświadczać się mnie ze swemi afektami, a innéj służyć w motyę na redutę.

— Aj! aj! cóżeś mi przypomniała Heluniu! gwałt! cóżeś mi przypomniała! Co tam na reducie pomyśli o mnie starościna? co pocznie bez motyi starościanka?

— O to możesz być spokojnym panie poruczniku, — rzekł pan Łukasz; — jesteś pan tu, i jesteś pan na reducie: bo kiedy już mam prawdę powiedzieć, *adyster* taki sam basza, w téj saméj chwili, gdyś pan z bramy na ulicę wyskoczył, podał rękę wysiadającéj z karety starościance i poprowadził ją za matką do sali.

— A toż co znowu? jakim sposobem?

Helunia uśmiechała się figlarnie.

— Nawet, mówił daléj Łukasz, z damasceńskim kordem z arsenału pańskiego.

— A!... wykrzyknął nakoniec porucznik, uderzając się po czole — jest tu Ludwik?

— Nie ma, odpowiedziano; właśnie z niespokojnością go wyglądamy.

— No, teraz jestem w domu; więc to spisek! a rozumiecież, że to się godzi? że wam młodzieniaszkom wolno ze starym żołnierzem i starym przyjacielem, takie psoty dokazywać?...

— To spisek kochany poruczniku, do któregom i ja należała, rzekła Helusia, bo dwa zawoje uszyłam; więc ze mną najpiérwszy pojedynek, a Ludwiś, to wszakże przyjaciel i faworyt pański.

— Hem! prawda, kocham tego chłopca, a bodaj może i dla tego, że ma pewną siostrzyczkę...

Helusia drugą szklanką i drugim zręcznym dygiem uraczyła zagniewanego.

— Niech mię djabli porwą! oczaruje mię ta dziewczyna, — rzekł on, przyjmując lampkę.

Tymczasem całe towarzystwo, zrozumiawszy, że to nie komedya, to uwiadomione, to domyślające się całéj awantury, ostąpiło rozmiłowanego porucznika, wypiło jego zdrowie, wyściskało go serdecznie, ciesząc się i dziękując, że na cały wieczór zostanie w ich szlacheckiéj kompanii, nie wyrywając się do pańskich assamblów. Kobiéty i dziewczęta rozważały i dziwiły się jego wspaniałemu ubiorowi, upewniając, że mu w nim bardzo do twarzy: a tak rozdobruchany i rozbrojony rycerz: — Hej! bracia mili! zawołał, przy kieliszku i fartuszku, najtwardze serce topnieje jak wosk! a na dowód, że i mnie stopniało, przy tym strzelistym ogniu, błyskającym z oczek Heluni, wypijmyż jéj zdrowie, ale z jéj trzewiczka!

Na tę propozycyę Helusia wybiegła do drugiego pokoju, ale porucznik z pomocą młodzieży i tam zawinął się około jéj stopek i wnet zdobył trzewiczek, do którego wstawiwszy szklankę, spełnił pożądany *wiwat*, powtórzony z kolei przez wszystkich. Harmonia zatém i wesołość nastąpiła zupełna, a porucznik był jéj duszą.

Na reducie, basza po dwóch polonezach odprowadził motyę swą do matki i zniknął w tłumie. Maska ukryła wzruszenia starościanki, które zapewne na twarzy się malowały; drżąca jednak stanęła obok niéj. Damy się wkrótce demaskowały, a zatém ubiegających się o rękę do tańców, pięknéj odaliski, było mnóstwo. Starościna rozumiała, że porucznik znalazłszy towarzyszów, pije w bufecie, i nie troszczyła się o to: bo wszakże była to motya dla proporcyi tylko. Ale gdy równo z północą muzyka ucięła, tańce ustały i rozjeżdżać się zaczęto, starościna upatrywała go wszędzie; szukał go też napróżno pan Lidzki, aż nakoniec i niedoczekawszy się i niedoszukawszy się motyanta córki, musiała się zastąpić jednym królem Egipskim, a złorzecząc ochocie, którą sądziła być przyczyną niegrzecznego tego zaniedbania i gorzkie dlań gotując wymówki, odjechała do domu.

Po wieczerzy, a przed podkurkiem, okrzyk radośny całéj kompanii we dworku, powitał wchodzącego pana Ludwika.

— A tuś mi panie kawalerze!... zawołał Porucznik; — ale nie miał już ani czasu, ani humoru do gniewu. Uszczęśliwiony Ludwik dopiętą sposobnością przemówienia słów kilku do swéj ulubionéj i zawiązania z nią na nowo ogniw serdecznych i zwątpionéj nadziei, uległby pokornie zrzędzie starego przyjaciela, którego teraz tém bardziéj pokochał, gdy śmiejąc się Porucznik z innemi i klepiąc go po ramieniu, rzekł: — no, no, nie gniewam się już, prawdę mówiąc gracki figiel. A jednakże ten psubrat, — wskazując na pana Łukasza, na wiele się odważał dla twojéj przyjaźni: bo gdybym go dopędził, rozpłatałbym jak szczupaka.

— Oho! gdybyś mię pan dopędził! to, bo, to, było zatrudno.

— Podziękujcie zresztą oba Helusi, ona to mię rozbroiła... i niech mię djabli wezmą... zapijmyż tę sprawę.

Podkurek zakończył wieczorynkę, po któréj Ludwik owinąwszy Porucznika w futro gospodarza i włożywszy do sań jego własnych, któremi z reduty przyjechał, odwiózł do kwatery za Ostrą-bramą.

XIV.

Otwarcie Trybunału.

Dwódziestu czterech wybranych z powiatów mężów, składało pod przewodnictwem marszałka, z ichże grona wybranego, najwyższy Trybunał w Litwie: naprzemian, wprzód w Mińsku i w Wilnie, potém w Grodnie i w Wilnie mający swe sądy.

Jeszcze by się znalazło kilku przynajmniéj sędziwych starców, pamiętających owe czasy i obyczaje, od których my ustne przyjąwszy opowiadania, pismem je dziś w trwalsze zamienić chcemy pamiątki.

O zaszczyt przewodniczenia tak wysokiéj magistraturze, najmożniejsze w kraju z dostatków i imienia, ubiegały się domy. Wiadomo, że prezydujący raz w niéj książe, blizki króla pokrewny, własnemu ojcu dał sześć niedziel wieży, za ukrzywdzenie zagrodowego

szlachcica: a gdyby to nawet jak się domyślać można, był tylko umówiony dla przykładu dekret, zagładzony potém sowitém wynagrodzeniem szlachcica, zawsze jednak głos publiczny, rozsławiając czyn ten nadzwyczajny, wyborne wrażenie wywrzeć musiał na liczne w kraju sądownictwa, na krnąbrne prawom umysły możnowładców, i na popularność i uwielbienie dla imienia urzędnika, poświęcającego najdroższe związki krwi, prawu i niepokalanéj cnocie sędziego.

Mikołaj Łopaciński był obrany marszałkiem, mającego się otworzyć naonczas Trybunału w Wilnie. Przybył on kilku tygodniami piérwiéj i zajął dom swój na końcu Zamkowéj ulicy, a rynkiem małym przedziełony od zbitéj niedawno razem z Zamkową bramą, sali posiedzeń natenczas Trybunalskich, a za naszéj pamięci, Izby Cywilnéj.

Folgując wiekowi swemu i zdrowiu pedogrą nadwątlonemu, pan marszałek dla wygodniéjszego z apartamentów swoich do izby sądowéj przejścia, i korzystając z blizkiego, a przeciwległego położenia obu domów, złączył one wysokim na słupach i krytym kurytarzem, podobnym temu, jaki klasztor panien Zarzecznych z kościołem księży Bernardynów łączył *).

Lecz gdy tak się zabezpieczał od wiatrów i chłodów, nie miał równéjże ostróżności z innego względu na swoje zdrowie. Przybywszy do Wilna pociągnął marszałkowskiego obrusa, i z pańską wytwornością, ochotą i zbytkiem, otworzył dom swój publiczności. Przybycie z kolei każdego deputata kolegi swego, sutym obchodził bankietem; tak, że nim doszło do otwarcia trybunału, prezydent onego, najcelniéjsza dnia tego figura, leżał w łóżku i nóg pedogrą zbolałych ani mógł poruszyć.

Zatém pan Marcin Zaranek piérwszy *ex turno* powiatów deputat, gotował się do zaszczytu zastępowania marszałka.

Nazajutrz więc po środzie popielcowéj, wielka liczba karet przejeżdżając przez Zamkową bramę, szykowała się przed katedrą: pieszo brnął tłum już to nabożnych, już ciekawych, na wielką mszę celebrować się mającą przez biskupa, i kazanie najwymówniéjszego kaznodziei, mające być nauką i zagrzaniem sędziów do wypełnienia wysokich ich obowiązków.

*) Prawdziwe.

W kościele osobną, umyślną naprzeciw ambony ławkę, sutym kobiercem zasłaną, zajęli deputaci; otoczyła ich palestra, a publiczność napełniła świątynię.

Gdy wspaniały obrzęd mszy Św., przedzielony kazaniem, zakończył się, zasiadł pasterz na swoim tronie, a powstali sędziowie, zrzucili futra, i poważnym krokiem przeszedłszy kratki, zbliżyli się do stołu, na środku prezbyterium ubranego, na którym stał krzyż srebrny, i przy którym kapłan w komży, trzymał w ręku roztwartą księgę i z niéj przeczytał przysięgę, uroczyście i dobitnie przez każdego powtórzoną.

Po jéj wykonaniu wrócili nowi urzędnicy za kratkę i uklękli przy niéj rzędem, a biskup zstąpiwszy z tronu, i oblekłszy litą kapę, ukląkł także na stopniach ołtarza, i hymn: „*Te Deum Laudamus*“ zaintonował. Liczny kler assystujący nabożeństwu, połączył dobrane głosy ze wspaniałém brzmieniem organu, i piękny ten obrzęd zakończył.

Wyruszono zatém z kościoła. Pan Zaranek, na czele kolegów, wyszedłszy na krużganek, wziął z rąk hajduka, hebanową, złocistém okowaniem ozdobną laskę marszałkowską pana Łopacińskiego, obejrzał się na cisnącą się do zaszczytu niesienia jéj młodzież i zdeterminowany zapewne piękną postawą i wytworniejszym ubiorem pana Ludwika Dowiata, jemu onę powierzył.

Pani Starościna z córką, stała natenczas w tłumie wysypującéj się publiczności, czekając na swój pojazd; obie więc widziały jak przyjąwszy z ukłonem laskę, pan Ludwik wzniósł ją i dumne swe czoło w górę i wystąpił przed marszałka. Za nim poważne grono deputatów, nie siadając do pojazdów, bo dzień piękny i krótkość przejścia tego nie wymagały, udało się ulicą, między gromadami ciekawego ludu przez cały plac sformowanego, do swéj sądowniczéj sali. Panna Helena przeprowadzała wzrokiem marszałkowską laskę, a matka życzliwych sobie deputatów liczyła. Tłum też rozpatrywał i podziwiał tę paradę. Świetność strojów, pasy lite, bogate karabele, szpinki brylantowe i tym podobne sute ozdoby lśniły się na deputatach i na palestrze, która uważając siebie za członków wielkiego trybunalskiego korpusu, występowała zawsze z równąż świetnością do orszaku, w którym jeszcze żadnego nie ujrzałbyś fraka. Strój ten bowiem kusy i opięty, ujmował by natenczas dostojeństwu

urzędników, a powagi i zaufania powszechnego kongregacyi prawników, na których mądrych głowach, interesa całéj Litwy leżały.

Gdy się orszak zbliżał do arkad domu, pod niemi straż trybunalska uderzyła *werbel* i sprezentowała broń. Nakoniec na górze, woźny w mundur ubrany, z szablą u boku, na wścieżaj otworzył podwoje sali sądowéj i pan Zaranek krzesło marszałka, a deputaci własne, po kolei powiatów zajęli.

Pan Ludwik stanął z laską za marszałkiem; taki bowiem był zwyczaj, że na każdéj sessyi którykolwiek z młodzieży onę piastował. Na skinienie marszałka, woźny tuż stojący, na całe gardło zawołał:

— „Sądy Najjaśniejszego Trybunału W. X. Litewskiego przywołują się.“

Natenczas zbliżyła się do kratek delegacya młodzi szkolnéj, witającéj zwykle każdy nowy trybunał. Prowadził ją ksiądz prorektor, a składała się z kilku studentów, paniąt, krewnych lub synów deputackich, i z kolei wstępując na adwokacką mównicę, jeden polską, drugi łacińską, wcześnie przez patrów najtęższych oratorów wysmażone, prawili oracye.

A tymczasem między palestrą wszczął się niejaki ruch i zamieszanie; hurmem napadali na siebie wzajemnie, pytając się kto wyznaczony? kto przygotowany do koniecznéj od palestry powitalnéj mowy? Nikt. Zapusty, jak na nieszczęście przed samém rozpoczęciem trybunału przypadłe, odjęły pamięć na ten nieodbity obowiązek palestry:—„Wasan panie Janie! Wasan panie Wincenty! Wasan panie regencie!“ od jednego od drugiego rzucali się wszyscy. „Wasan mości Skarbniku!“ Skarbnik nasz machnął ręką, ani słuchać niechciał; to nie jego rzecz *ex abrupto* prawić, a jeszcze komplementa. A toż konfuzya ostateczna dla palestry! wołano z cicha, a toż kontempt dla trybunału! a to *Crimen lesae Majestatis!*.... Nakoniec okrążono tłumem młodego ale znanego *ex fluida eloquentia* adwokata, pana Mateusza Antonowicza.—Wasan panie Mateuszu!

— Nie mogę—nie przygotowany jestem, trzeba mnie było uprzedzić....

— A na miłość Boga! gadaj bo zgubisz wszystkich i siebie samego!....

Pan Mateusz spuścił oczy, namyślał się, a wtém go hurmem na mównicę wepchnięto, na któréj jeszcze miał chwil kilka do namysłu. Bo gdy studenci ukończyli oracye wprowadzono ich za kratki; deputaci ściskali ich, pieścili, a marszałek do końca sessyi całą delegacyę zatrzymał.

Pan Antonowicz zarzucił na ramiona wyloty karmazynowego kuntusza i pokręcał kruczego wąsa. Cała palestra otoczyła go kołem, jako w jéj imieniu perorować mającego i z niespokojnością trwożyła się, czyli się mu uda. Publicum nadstawiło słuch ciekawy; a gdy koło urzędu do porządku wróciło, on poprosiwszy o głos marszałka, tak mówił:

„Najjaśniejszy Trybunale!

„*Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech świeci mądrość „wasza przed całym światem! Niech świeci! Boście na to wybrani „przez braci waszych, dostojni szafarze sprawiedliwości świętéj aby „w wyrokach waszych, mądrość i cnota jaśniały jak słońce na nie„bie i oświecały nas, cisnących się *sub umbra allarum*, pod skrzy„dła opieki i wspaniałości waszéj! Witam cię zatém Najjaśniejszy „areopagu Litewski! a złożony z mężów godnych zasiadać te kurul„skie, jak owe dawnego Rzymu, krzesła! Witam was w imieniu „najuniżeńszych sług sądu waszego, prześwietnéj palestry trybunal„skiéj, uchylającéj tu czoło swoje (i wszyscy się na te słowa ukło„nili), nie tylko jako przed zwierzchniczą swą władzą, ale jeszcze „i bardziéj, jako przed mężami których zasługi znakomite w kraju, „nowém uczczone dostojeństwem, korroborują i dodają lustru nie„porównanéj dawności prozapii waszéj. Bo któż zaprzeczy wyra„zom pisma Św. wskazującym jak na dłoni ród twój JW., a godny „zastępco marszałka... Gdy bowiem Bóg wszechmocnością swoją „świat ten stwarzał, rzekł dokonywając dzieła: *Et fiat lux!* i stał „się.... *Zaranek!*

„I ty pisarzu trybunalski, głosem kolegów twoich wybrany na „to, abyś nieomylne zdania ich, w księgi nieśmiertelne wyroków wa„szych wpisywał, sprawiedliwie obok takiego prezydenta usiadłeś: „bo gdy on stworzenia świata, ty rodem twoim epoki odnowienia „téj ziemi zasięgasz. Twój to protoplasta, propagator po potopie „rodzaju ludzkiego, żeglował w arce; a gdy ta osiadła na wysokim „Araracie, powiada pismo: *Et primus Noe adoravit Dominum* „*Deum!* I piérwszy Noe był — *Bohomolcem!*

Zadziwienie i zadowolnienie powszechne z dowcipnego obrótu mowy, malowało się na twarzach wszystkich.

„Lecz czyliż może podołać moja słaba wymowa na wyjaśnienie „tak z kolei i uwielbienie wszystkich zacnych imion obsiadających „dzisiaj ten stół sądowniczy. Nie zaiste! Otwórz dzieje, kto chcesz „nauki i przykładu; jedno i drugie znajdziesz w ich przodkach! „Jedno i drugie widzisz w obecnych potomkach. A zatém powtórzę: „Najjaśniejszy Trybunale: *Luceat lux vestra coram hominibus!* Niech „świeci mądrość wasza przed światem! a gdy wszelka mądrość od „Boga jest; niech więc i wasza będzie bogobojną i sumienną; niech „w rozsądzaniu spraw ludzkich tak was prowadzi i ubezpiecza, „abyście waszę sprawę wygrali natenczas, gdy zażartym instygato„rem na nas, będzie wieczny nieprzyjaciel zbawienia naszego; „woźnym, Archanioł z trąbą; palestrą broniącą nas, patronowie „święci. Krzyż, laską marszałkowską, a marszałkiem trybunalskim, „Jezus Chrystus Pan nasz i Odkupiciel! *dixi.*“

Powszechny aplauz okrył oratora, sądy odwołano na jutro, a pan Zaranek zastępujący i za stołem sądowym i za stołem biesiadniczym marszałka, kolegów, palestrę całą i dzieci z ich przewodnikiem na obiad zaprosił.

XV.

Zabiegi.

Piérwszą z kolei sprawą przypaść mającą w trybunale, była pana pisarza W. X. L. Aloizego Sulistrowskiego, którego przypomną sobie czytelnicy Obrazów Litewskich z pamiętników Kwestarza, z Karmelitami Głębockiemi. Drugą, wnet po niéj następującą Starościnéj Kapinowskiéj z Dowiatami. Treść obu już znajoma czytelnikom. Obie zaś tak z sobą składne, że wyrok w jednéj miał być regułą do wyroku w drugiéj. W jednéj bowiem i w drugiéj szło o dawność ziemską, która odrzucona w sprawie piérwszéj, dawała wygranę Sulistrowskiemu, ale nie mogła już tém samém być przyjęta i w drugiéj, a zatém nie broniła zaścianku Dowiatów. Pan

Skarbnik zaś, powinien był w piérwszéj dawność ziemską zbijać, w drugiéj utrzymywać. Trudna nader pozycya!...

Znał dobrze krytyczne swe położenie Skarbnik, i niebezpieczeństwo procesu familijnego tak fatalnie połączonego. Wprawdzie, salaria spodziewane od pana Sulistrowskiego, po sto dukatów od wygranego tysiąca, przewyższyć we dwoje mogły wartość zaścianku; a Skarbnik dostatki swoje zawsze w głębi duszy za własność familijną uważał, bo żenić się nie myślał. Lecz toż samo przywiązanie do imienia i rodziny swojéj, nie dozwalało mu dać się pokonać w interesie, w którym nie tylko fortuna, ale i miłość własna, niewłaściwie wprawdzie, ale zwykle honorem szlacheckim ochrzczona, na szwank wydaną być mogła. Zrzekłby się on już nareszcie plenipotencyi pana Pisarza Litewskiego; zwłaszcza, że i szkrupuły księdza Prokuratora tkwiły mu w pamięci: ale cóż potém? utraciłby tylko jednego z najznakomitszych swoich klientów, a kto inny podjąłby się łatwo zastępstwa i skutek zawsze tenże sam, bo sprawy jedna po drugiéj przypaśćby jednak musiały.

Wymknąwszy się zatém z obiadu od pana Zaranka, Skarbnik powrócił śpiesznie do swego dworku, i tam jeszcze rozmyślając czas niejaki, a nic nie wymyśliwszy, szedł do klasztoru Ks. Trynitarzy do brata, do którego zawsze w twardych okolicznościach na ostateczne consilium zwykł się udawać.

Na stuknienie zwyczajne do celi, odpowiedział mu głos który nie bratnim być poznał, *rogo*, gdy ksiądz Augustyn odpowiadał zawsze *intrare:* zastanowiła go ta zmiana i nieco zmięszała. Wszedłszy, zamiast brata, znalazł w celi księdza Honoryusza, którego znał dobrze, jako bogobojnego i poczciwego zakonnika; uspokoił się zatém względem swéj szkatuły, która mu od piérwszego stuknięcia do drzwi na myśl wpadła.

— Nie znajduję księdza brata? zapytał.

— Nie, mości skarbniku, nie ma go już w klasztorze.

— Jak to mości dobrodzieju? gdzież? czyż broń Boże śmierć nagła? Onegdaj się z nim widziałem... i nogi pod nim zadrżały.

— Uchowaj Boże! uspokoj się jegomość. Ks. Augustyn zdrów; tylko, że wyjechał od nas, a mnie poruczył oddać jegomości oto ten list i szkatułę, któréj po jego odjeździe strzegłem jak źrenicy w oku i teraz w całości oddaję. To mówiąc wysunął ciężką skrzynkę z pod łóżka.

Skarbnik skwapliwie oddarł pieczęć i przebiegał list taki:

„Kochani moi bracia, panie podczaszy i panie skarbniku!

„Unikając trybulacyów i dla siebie i dla was mili bracia, wyjeż-„dżam z Litwy bez pożegnania się z wami osobiście; udaję się na „Ukrainę z groszem uzbieranym z klasztorów naszych tutejszéj „prowincyi, a ztamtąd z socyuszem, który już jest praktyk takiéj „peregrynacyi, udamy się do Krymu, lub do saméj stolicy barba-„rzyńców do Konstantynopola, dla wykupienia z niewoli braci na-„szych chrześcijan. Lubo spodziewam się, że Bóg mię swoim miło-„sierdziem zachowa i dozwoli was jeszcze obaczyć, dopełniwszy po-„winności i reguły zakonnéj i wotum mego, które na chwałę jego "świętą i na zgładzenie grzechów moich założyłem, wszakże w nie-„pewności woli jego o przeznaczeniu mojém, żegnam was wszyst-„kich trzech bracia mili, z waszém potomstwem całém; w codzien-„nych modłach moich nigdy o was nie zapomnę i waszym wzajem-„nie się polecam.—Ks. Augustyn Dowiat.

„*Post scriptum.* Jeżeli nie wrócę, testament mój znajdziecie u „ks. prowincyała naszego zakonu. Waspanu panie skarbniku życzę „być uważniejszym w swojéj patrocynii: zwłaszcza w okoliczności, o „któréj z sobą mówiliśmy. *Zważaj, że i konstytucya*" te dwa wyrazy przekasowano—*respice finem!*

Przyczytawszy ten list skarbnik, *obstupuit.* Stał milczący, zamyślony i wzdychał głęboko!

— Zabierajże jegomość swoję szkatułę, rzekł ksiądz Honoryusz.

Skarbnik jakby go nie słyszał, mówił do siebie: będzie-że tam płaczu i szlochów — będzie... *inter nos loquendo*, kto wie czy wróci?...

— Wola Pana Boga mój dobrodzieju! wola Pana Boga!

— Tak, tak, wola Pana Boga! ależ to nasz brat najstarszy!... głowa familii... i pokiwał smutnie głową: dziéj się więc wola Pana Boga, rzekł nakoniec. Szkatułę przyjm *Reverendissime* w swoją opiekę: czy u brata mego, czy u jegomości dobrodzieja, wszystko to jedno; dozwól czas od czasu nawiedzieć się... może jakie nowiny dójdą od niego do klasztoru?

Ks. Honoryusz nie życzył sobie depozytu, lecz nakoniec dał się ubłagać, niechcąc zapewna powiększać i tak już wielkiego zmartwienia pana skarbnika. Ten wracał spiesznie do siebie. Mimo idąc zaszedł do brata podczaszego i oznajmił odjazd księdza Augu-

styna: a zostawując tam smutek i szlochy, zaleciwszy także na pociechę stować się do woli Boskiéj, ruszył nie tracąc czasu do pana Pisarza litewskiego, który od dni kilku przebywał *incognito*, jako chory, w swoim pałacu na Trockiéj ulicy, rzadko przyjmując, a wcale nie oddając wizyt nikomu.

Ktoby uważał obróty tego pana przed tak ważną sprawą, zdziwiłby się, jak mało zadawał sobie fatygi, jak mało przykładał starania ku dopięciu pomyślnego wyroku, zwłaszcza w porównaniu ze starościną, któréj karetę od rana do wieczora na wszystkich ulicach widzięć można było, i któréj pokoje co wieczór napełniały się już to deputatami, już to osobami, tym lub owym sposobem wpływać mogącemi na deputatów.

Pan Pisarz litewski przyjechał do Wilna tylko dla poratowania zdrowia. *Lejboszyc* i *Szpitznagel* doktorowie wówczas najsławniejsi, odwiedzali go często zalecając dyetę, spokojność i unikanie mroźnego powietrza. Affidowanych więc tylko przyjmował przyjaciół, w których liczbie było wprawdzie i kilku deputatów, lecz cóż dziwnego być mogło w téj troskliwości o zdrowie męża tak szérokich kolligacii i tak przeważnego znaczenia w Litwie i w Koronie?

Sam marszałek trybunalski, pan Łapaciński, póki był zdrów jeszcze, nawiedził chorego: ale że Sulistrowscy i Łopacińscy w bliskiéj są konneksyi, to wszystkim wiadomo było. Wzajemnie, gdy pan Łopaciński się położył, za dozwoleniem Lejboszczyca, nawiedził go pan Pisarz litewski. Forsy więc żadnéj ze strony pana Sulistrowskiego nie było widać; i gdy pan skarbnik, który się znał na téj chorobie pryncypała, wpuszczany zawsze do gabinetu jego, zachęcał go do starania, mówiąc: „*Inter nos loquendo* JW. panie „dobrodzieju, trzebaby JW. panu widzieć się z panem Oszmiańskim, „z panem Trockim, z panem Lidzkim i t. p.“ on pokręcał tylko wąsika, uśmiechał się, i „bądź spokojny panie skarbniku, odpowie„dział: weźmiesz swoje kilkaset dukatów.“ Skarbnik się uspakajał, bo znał dobrze, że pan Pisarz litewski ani próżno, ani nadto i jednego słowa nie powie.

Ten raz jednak, szedł skarbnik nadzwyczaj wzruszony do swego dygnitarza. Odjazd niespodziany Ks. Augustyna, jego *postscriptum* dojmowały go żywo, a jeszcze bardziéj fatalne zbliżenie się procesów, w których *pro et contra* stawać musiał; i w których wygrana

piérwszego, mimo wszelkich, by najzręczniejszych sofizmów prawnych, zapisywać zdawała się przegraną drugiemu. *Nie ma dawności na dług. Nie ma dawności i na posesyę ziemi, niczém nieudowodnioną!* przekładał już na to nieraz panu Sulistrowskiemu: ale ten jak zawsze uśmiechał się tylko. Jednak teraz postanowił go Dowiat zmusić do otwartego odkrycia co myślał, i czy mógł znaleźć środek do pogodzenia trudności, dla których gotów był zrzec się nawet jego plenipotencyi:

— Nie ma pana w domu, rzekł mu otwierający apartamenta lokaj, ale wychodząc kazał abym panu oddał tę kartkę.

Na niéj tylko było ołówkiem napisano: „Proszę na mnie zaczekać.“

Pokręcił głową skarbnik; to mi człek! pomyślał: zgadł, że przyjdę.

— Do kogoż wyjechał pan Pisarz?

— Nie wyjechał, ale wyszedł z jednym tylko hajdukiem; a gdzie i do kogo? nie wiem.

Skarbnik znowu pomyślał — ha, nie chce aby widziano, gdzie jego kareta stoi... to mądrze, a chory to... więc usiadł do cierpliwego oczekiwania; wiedząc dobrze i z doświadczenia, że cierpliwość w interesach tyle częstokroć warta, co i czynna gorliwość, choć na pozór wzajem sobie przeciwne.

W mieszkaniu starościnéj, tego wieczoru nie było światła w oknach od ulicy, i lokaj, w przedpokoju każdemu przybywającemu kłamał: „Nie ma pani w domu;“ bo w oddzielnym gabinecie była ona na konferencyi; z kim? zgadnie zapewna czytelnik,— z panem Pisarzem litewskim. Znajomość ich i przyjaźń od warszawskich jeszcze czasów datowały. Oboje kiedyś młodzi, zdobili młody dwór Stanisława Augusta, i celowali między płcią swoją, urodą i dowcipem, z tą póżniéj różnicą, że pan Sulistrowski dojrzewając w lata, zalety młodzieńca wydoskonalił w rozum i powagę obywatelskiego męża, jednając ztąd sobie codzień większy wpływ u dworu i coraz przeważniejsze znaczenie między ziomkami; Starościna przeciwnie, jakeśmy o tém mówili, tracąc z czasem żywsze wdzięki i fortunę, ustąpić musiała świeższym kwiatom, wschodzącym na słonecznéj niwie. Zaufana więc w dawne i nieprzerwane nigdy zupełnie stosunki swoje z panem Pisarzem, wraz po przybyciu jego do Wilna, pragnęła ona

widzieć się z nim, i użyć jego influencyi do trybunału, tém skuteczniejszéj, że jeden interes drugim się wspierał, jeden drugiego wspomagał. Lecz na bilet zapraszający starościnéj, pan Sulistrowski w grzecznym wzajemnym, słabością zdrowia się wymówił, dodając wszelako, że pierwszéj chwili polepszenia się użyje na złożenie uszanowania swéj dawnéj i łaskawéj przyjaciółce i kuzynce; było bowiem między niemi niejakie, choć dalekie pokrewieństwo.

Jakoż uprzedził on w dniu tym starościnę, że ją odwiedzi wieczorem, jeżeli go przyjąć raczy, bez narażenia jako słabego jeszcze na liczne towarzystwo; co też było i po myśli jéj saméj.

Oboje zwrócili się myślą do Warszawskich czasów; oboje przypomnieli się młodemi i oboje manjerą układną i dworską, toaletą nawet, obudzić urok przypomnienia, i temi sposoby wartość swych postaci, z czasem nadwątloną, opromienić chcieli. Trochę zalotności w kobiécie, trochę dumy w mężczyznie łączyło się tu z widokami interesu, i oboje na jednostajne myśli nawiodło.

Wytworność i prostota pięknie ubierają i zdobią kobiétę wyższego ukształcenia; zbytek i przesada szpecą pustą, choćby najpiękniejszą głowę. Dla tego starościna w skromną czarną aksamitną ubrała się suknię, cudnie kibić jéj dawniéj giętką, dziś wspaniałą, wydającą: ale na śnieżnéj szyi kilka sznurów pięknych pereł z bogatém brylantowém spięciem jaśniało, a na ręku jednym, droga wartością i robotą złota bransoletka w kształcie węża, kilkakroć po czarnym tle się przewijała. W gabinecie srébrny, kilko-ramienny świecznik, rzucał ze stołu promienie na wielkie źwierciadło odbijające powabną jéj postać, i był jedyną ozdobą samotnego tego ustronia, przeniesionego jakby ze stołecznych pałaców, na krótki popas ładnéj kobiéty. Pańskie więc tu ostatki, sprawdzały przysłowie, przemożnością nad szlacheckie dostatki.

Pan Pisarz litewski także, który na sejmiki między szlachtę występował w kuntuszach i bogatych perskich pasach, do ładnéj kobiéty, włożył tylko z najcieńszéj ciemnéj wigoni, bez żadnych ozdób taratatkę; śpiął ją soliterem pod szyją, którą cieńkim czarnym bławatem obwinął. Ale na piersiach jaśniała mu gwiazda orła białego, świeży dowód uwieńczonéj zasługi i łaski monarszéj.

Pan Sulistrowski miał lat około pięćdziesięciu, ale był pięknym mężczyzną. Uroda spora, czoło otwarte i myślące, oko czarne, na ustach uśmiech częsty, ale prawie zawsze trochę szydny i dwuznaczny; pojmujący innych, niedający się pojmować nikomu, a w całéj

postawie i obliczu rozum i powaga wyraźne i niezaprzeczone. Po uprzejmém wzajemném powitaniu się, starościna z wdzięczném spójrzeniem podała rękę gościowi i do gabinetu go wyprowadziła: tam oboje naprzeciw siebie usiedli.

— Jakżem wdzięczna kochanemu panu Pisarzowi za tę chwilę, którą mi poświęcać raczysz, — rzekła starościna; — jakże miło mi widzieć pana polepszonego na zdrowiu, bo tego twarz pańska dowodzi i nadto powinszować nowego dowodu zasługi w ojczyznie, który na piersiach jaśnieje, a o którym ja nie wiedziałam jeszcze.

— Dziękuję Starościno dobrodziko, — odrzekł Sulistrowski ze zwyczajnym sobie uśmiechem, — za dobroć pani, a najbardziéj za wyraz kochany, którym mię uszczęśliwiasz. To mię przekonywa, że nie wyszły z jéj pamięci te chwile, gdy piękna kuzynka moja kasztelanka Trocka, po imieniu nazywała... o jakową łaskę i teraz prosiłbym, — dodał całując jéj rękę.

— Ach! szczęśliwe i miłe wspominasz czasy, kochany panie Aloizy, gdy cię tak jak chcesz mam nazywać; ale trudno mi dziś użyć téj saméj konfidencyi do wysokiego dygnitarza, która łatwo stosować się mogła niegdyś do młodego i wesołego kuzynka.

— Pani żartuje. Dygnitarz ten sam, i taki sam życzliwy krewny i przyjaciel pani, co i niegdyś pan Aloizy. .

— Wierzę temu, — rzekła wzruszona Starościna, — a jednakże jesteś pan szczęśliwą dla mnie zatém excepcyą, z tłumu warszawskich przyjaciół, których czas i honory zmieniły dla mnie zupełnie, jak tego doświadczyłam niezbyt dawno....

— Wiem o tém nieco, — rzekł Sulistrowski, — i żałuję żem nie był natenczas w Warszawie. Możeby to inaczéj pójść mogło i ukontentowało kochaną kuzynkę. Przynajmniéj szczérszą, aniżeli zwykle przy dworach radą, pomógłbym pani.

— O i więcéj jak radą, pewna jestem. Wiem ja, panie pisarzu, że cię wysoko konsyderuje dwór, bo zna twój rozum i twoje przymioty. Zna nadto, twoje związki ścisłéj przyjaźni z domem Radziwiłłowskim i osobiste, a szczególniejsze zaufanie w tobie księcia Karola; nakoniec, szérokie twe stosunki po Litwie, a zatém cię potrzebuje i jedna sobie. Zresztą, jeżeli w tym jest interes, to przynajmniéj można powiedzieć, ten raz dobrze zrozumiany i ku dobru powszechnemu zwrócony.

Sulistrowski patrzał z niejakiém zadziwieniem na to nie kobiéce rozumowanie starościnéj.

— Bo jakżeby to szczęśliwie było dla kraju, — mówiła ona daléj, — gdyby król polegał zawsze na zdaniach i radach takich mężów, jak ty panie; a nie dopuszczał przystępu do siebie chciwych pochlebców lub cudzoziemców szarlatanów, którymi się otaczać lubi.

— Przyznaj Starościno, — przerwał uśmiechając się po swojemu Sulistrowski, — że w tych pochlebnych dla mnie wyrazach, jeżeli jest trochę prawdy, jest też trochę... i gniewu na Warszawę.

— Nie zaprzeczam temu, i wcale nie zaprzeczam! bo czyż nie mam prawdziwéj przyczyny do skargi? Zawiedziono moje, na tylokrotnych przyrzeczeniach oparte nadzieje; upokorzono mię nawet... Widzisz, kochany panie Aloizy, .że cobym przed sobą sąmą ukryć chciała, przed panem objawiam. Wracając z niczém z Warszawy, tam za sobą zostawiłam radość z pozbycia się natrętnéj; tu spotkało mię szyderstwo nieprzyjaciół.

Zapłoniła się starościna i źrenice jéj zwilgotniały.

— Ale obaczymy, — rzekła żywiéj, — obaczymy! może pożałują wkrótce tego. Może poznają, że cóś przecie znaczymy między ziomkami; że zmiana z zamążpójściem imienia nie odebrała mi związków rodzinnych: może potrafię przekonać panów radnych, zwłaszcza litewskich, że przy zręczności jeszcze będę mogła odpłacić im.... Dla tego też, chciałam koniecznie widzieć się i otwarcie pomówić z panem. Mamy oboje sprawę w trybunale. Pan swoję wygrasz zapewna;. lecz pojmujesz panie Pisarzu z tego, com ci powiedziała, jak wiele mi zależy na tém, abym i ja moję wygrała. Mniejsza o ten zaścianek, o który rzecz idzie; dałabym wiele za to, gdyby ten proces nie był zaczęty: może złych rad posłuchałam.... może miałam jeszcze inny powód do zerwania wszelkich stosunków z Dowiatami...

Pan Sulistrowski uśmiechnął się znowu.

— Bądź co bądź, w stanie jak są rzeczy, muszę, powinnam mieć dekret pomyślny; bo echo tego dekretu odbije się daleko, bo zeń się gdzieś dowiedzą, że zamiary moje chociaż chybiają w Warszawie, ale nie chybiają w Litwie.

Wiem; kochany Pisarzu, że przeciwnik mój Dowiat, jest pańskim plenipotentem; wnosić zatém mogę, że obowiązywał pana....

— Jak to pani! — przerwał Sulistrowski, — do czego mię obowiązywał? do instancyi za sobą? O nie! tak ubliżającego mi słowa wyrzec onby nie śmiał i choćby śmiał nawet, jabym go nie zniósł. Cóż to? powiedzianoby, że instancyami płacę moich plenipotentów!!!

— Przypuszczając z jego strony tę śmiałość, kochany Pisarzu, ja nie ulękłam się tego. Wszakżę, niżelim wspomniała o Dowiatach, pierwiéj odkryłam ci moje wszystkie najskrytsze myśli: dowód to przekonania mego, że mniebyś dla nich nie poświęcił i że dopiero moje stosunki i starania własnemi na pomoc dla mnie, pomnożysz i wesprzesz....

Pan Sulistrowski milczał.

Starościna niecierpliwie nań patrząc, dodała: — o tyle przynajmniéj, aby procesa nasze... przeciwnych jak mi powiadano... wymagające wyroków... wzajemnie sobie nie szkodziły.

— Kochana starościno,—rzekł nareszcie Sulistrowski,—z całego serca dziękuję ci za zaufanie we mnie, a na dowód mojéj wdzięczności i jednostajnéj zawsze przyjaźni, przyjm pani otwartość moję, z jaką zdanie moje i rady, w teraźniejszym jéj kłopocie oświadczę.

— I owszem, o tę szczérość bardzo proszę i zupełnie na radach twoich polegać będę.

— Z zabiegów i starań pani około trybunału,—mówił uważnie pan Sulistrowski, — o których wiedziałem, łatwo zgadnąć mogłem, żeś ten interes wzięła do serca, i daruj starościno, myślałem, że kobiéca zwykła żądza postawienia na swojém....

— Która i was mężczyzn nie opuszcza nigdy,—dokończyła peryodu starościna.

Skłonił głowę Pisarz i kończył—więcéj niżeli wartość zaścianku wiodła panią do tak upartego procesu. Bo któż zgadnąć mógł, że w nim ukrywa się tajemnica i nadzieja ważniejszych zamiarów, które pomyślnym wyrokiem sprawy téj wsparte być mają? Ale któż pani tak mylną drogę poradził? Jeżeliś sama ją wynalazła, daruj życzliwéj otwartości przyjaciéla, idąc nią nie trafisz do starostwa....

Starościna jak ogniem spłonęła na te słowa; słuchała jednak w milczeniu.

— Chcesz pani przekonać Warszawę o znakomitości swéj przewagi na Litwie, tryumfem nad szlachcicem w trybunale? ależ kochano kuzynko, nie ten możny, komu laska trybunalska sprzyja, ale ten, kto laskę daje...—Tu pan Sulistrowski zastanowił się i pokręcił wąsika, i lubo nie powiedział: „tak naprzykład jak ja," ale starościna odgadła, że to myślał.

— Na sejmikach, starościno, nie na trybunale objawia się wyraźnie przewaga obywatelska, a tam *przeważni*, *ważnemi* bywają i

wyżéj; bo ci wpływać mogą na wybór posłów, to jest sędziów potężniejszego trybunału, przesądzającego częstokroć spory rządzących z rządzonemi.

— Drugiéj sprawy Tyzenhauzowskiéj z królem nie będzie; nie wiele więc obchodzi Warszawę, kto w Wilnie wygrywa lub przegrywa processa. Tu kochana kuzynko, skuteczniejsze byłyby influencye z góry na dół, niżeli z dołu w górę... a dochodzące tam niekiedy skargi uciskanéj szlachty przez panów, nie otwierają dziś im królewskich podwoi; owszem ściśléj je przed niemi zaprą. A tak Starościno, wierz prawdziwemu przyjacielowi, z tego względu mylnym jest plan pani; nie tylko nie ułatwi on drogi jéj zamiarom, lecz może nawet wywinąć trudności w dobrych chęciach życzliwym pani... dajmy to i mnie samemu... usłużenia jéj... w upatrzonéj godzinie...

Po tém ministeryalném z przestankami zakończeniu, zamilkł Sulistrowski. Starościna spuściwszy oczy, milczała także. — Cóż mi więc radzisz panie Aloizy? rzekła nakoniec podnosząc wzrok.

— Rada moja,—mówił znowu, zwykłym, ważącym każdy wyraz obyczajem,—rada moja, kochana Starościno, zależeć będzie od stopnia zaufania, jakie we mnie położysz.

— Zaufanie to,—przerwała Starościna,—powiedziałam już, jest zupełném i nieograniczoném, a wspartém na gruntowném przekonaniu o rozumie twoim i przyjaźni twéj dla mnie.

— I nie pożałujesz tego, kuzynko. Proszę więc, napisz bilet do swego plenipotenta z rozkazem, aby przy zawołaniu twéj sprawy, znalazł się zupełnie i bezwarunkowie podług instrukcyi, jaką mu dam natenczas.

— Jakaż to będzie instrukcya?

— To tylko pani o niéj powiem, że nie zepsuje interesu i nie skompromituje pani.

— Jednakże kochany pisarzu, chciałabym wiedzieć...

— Więc mnie nie ufasz kuzynko?

Starościna zamiast odpowiedzi, zbliżyła się do stolika i usiadła do pisania; lecz wziąwszy pióro w rękę, zatrzymała się nagle, wstała i rzekła:

— Jest jeszcze jedna okoliczność między Dowiatami a mną, któréj pan nie wiesz.

— Wiém,—rzekł uśmiechający się Sulistrowski—wiém!...

— Ach! czegoż pan nie wiesz?

— I ta okoliczność, zależąca zupełnie od wyroków Boskich a nie trybunalskich, nie przeszkadza najmniéj pani do pisania biletu.

Starościna więc znowu usiadła, i w kilka minut, bilet niepieczętowany oddała Sulistrowskiemu, który rzucił nań okiem i schował za nadrę.

— Jeszcze jedną mam prośbę do pięknéj kuzynki,—rzekł pan Pisarz litewski, całując dwornie jéj rękę.—Proszę o zwrót należnego mi długu, któremu, lubo dawność ziemska zaszła, ale gdy pani dawności za prawo uznawać nie chcesz w sprawie z Dowiatami, to pozwolisz, że i ja w mojéj pretensyi, jéj nie ulegnę.

— Cóż to jest? mów kochany Pisarzu, bo prawdziwie czy nie pamiętam, czy się nie poczuwam do niczego.

— Jak to pani? zapomniałaś więc, że niegdyś gdym w ich domu razem z moją żoną dni kilka gościł, odebraliśmy przyrzeczenie wzajemnych odwiedzin?

— A co to, to prawda, to dług nieulegający dawności; gotowam go wypłacić z lichwą i jak najrychléj.

— Jak najrychléj? a więc jutro kochano kuzynko; droga sanna jeszcze dobra, konie mam na pół drogi rozstawione.

— Intrygancie! zawołała starościna, uderzając go poufale po ramieniu, chcesz mnie oddalić z Wilna. Lękasz się gadatliwości lub niestałości kobiecéj w raz powziętych postanowieniach.

— Cha! cha! cha! rozśmiał się teraz na prawdę Sulistrowski. Lękam się, zgadłaś pani, lękam się gadatliwości, ale męzkiéj nie kobiecéj, lękam się uprzykrzenia dla *pani* nie od *pani*; bo na ileż nudnych *dla czego?* musiałabyś odpowiadać lub milczeć. Ależ wierz mi, kuzynko, nie ten główny powód projektu mego i prośby; bo prócz przyjemności posiadania cię w naszym domu, potrzebujemy jeszcze chwil swobodniejszych, niżby w mieście znaleźć się mogły, dla pomówienia o ważniejszych sprawach warszawskich, do których nas wiążą i miłe wspomnienia i... nadzieje.

— Czy się one ziszczą? czy zaręczasz mi za to? zapytała z ponętném spójrzeniem starościna.

— Zaręczam... że wszystkich dołożymy usilności.

— Dość mi na tém, jutro rano jadę do Szemetowszczyzny.

A ja, za trzy dni najdaléj, ucałuję tam rączki kochanéj kuzynki. Ale gdzież jest córeczka pani? Elżusia jeżeli się nie mylę, którąm na ręku kiedyś nosił, i którą głos powszechny porównywa w piękności z matką: radbym sam to porównanie uczynił.

— Nie straciłeś nałogu ślicznych słówek, panie Aloizy; dziękuję więc za komplement i za siebie i za córkę; ona dziś cały wieczór przebywa u krewnéj mojéj, podstoliny Dulskiéj.

Sulistrowski znowu pokręcił wąsika i uśmiechając się rzekł: no, no, a jeżeli się tam znajdzie i pan Ludwik Dowiat... wiem, że podstolina przyjaciółką jest całéj ich rodziny, a Ludwika podobno matką chrzestną.

— Wiem o tém wszystkiém, odpowiedziała starościna; ale Dulska wie dobrze o mojém postanowieniu. Odmawiać zaś jéj uwolnienia Elżusi nie mogłam, bo ona ją tak kocha.

— I jest wdową bezdzietną, kończył Sulistrowski, a ma kilkakroć do wolnego szafunku.

Starościna się rozśmiała.

— Ale, kochana kuzynko, miéj jeszcze wzgląd i na to, że Skarbnik Dowiat jest jéj najzaufańszym konsyliarzem i plenipotentem i że pewnie nie kto inny jak on, testament jéj pisać będzie, jeżeli już nie pisał.

Starościna zamyśliła się.

— Tak to, tak, mówił Sulistrowski, wikłają się częstokroć rzeczy na tym świecie. Jednakże, kochana kuzynko, splątane motki jedwabiu, wy kobiety łatwo rozwijacie; cierpliwości tylko trochę i rozwagi potrzeba.

— Któréj od kochanego kuzyna uczyć mi się przyjdzie, rzekła, opatrzywszy się z zamyślenia Starościna.

— A więc do Szemetowszczyzny, do Szemetowszczyzny na wszelkie lekcye i wzajemne nauki, rzekł, całując na pożegnanie rękę jéj pan Pisarz, i również uprzejmie pożegnany, wyszedł.

Pan Skarbnik spokojnie oczekiwał powrótu swego mecenasa. Znalazł na stole dyaryusz jakiegoś sejmu i odczytywał go, niekiedy kręcąc głową, a niekiedy kiwając oną; raz jakby podziwiając mądrość ustaw, a drugi raz użalając się nad ich próżnością.

Nakoniec doczekał się pana Sulistrowskiego.—Ha! rzekł ten wchodząc i witając Skarbnika,. wysiedziałeś tu panie Franciszku wieżę: przepraszam. Cóż tam słychać? mówią, że otwarcie trybunału udało się, a szczególniéj chwalą elokwencyę pana Antonowicza.

— Nie idzie tu o nowiny JW. panie dobrodzieju; przyszedłem przepowiedzieć panu *synopsim* *) produktu i planu, jakim jutro będę prowadził obronę sprawy pańskiéj; może zechcesz pan posłuchać, a nadto *inter nos loquendo*, jestem w krytycznéj pozycyi. Jutro sprawa pańska, a po niéj nasza.... chodziłem na radę do brata mego Ks. Augustyna, ale ten niespodzianie wyjechał do Tureczyzny, *pro redemptione captivorum* **) stosownie do reguły swojego zakonu.

Pan Sulistrowski zdziwiony ścisnął ramionami.

— Onby mnie może dał jaką radę, bo przyznam się JW. panu, że żadnéj znaleźć nie mogę. A tak, do pana już się udaję: niech przynajmniéj kto inny produkt podług mojego planu, który bez chluby wyśmienitym być mniemam, w sprawie pańskiéj przed trybunałem odbędzie, aby nie też same usta *pro et contra* mówiły w ciągu kilku godzin.

— O wszystkiém się pomyślało, rzekł pan Pisarz klepiąc go poufale po ramieniu. Synopsy twéj, i planu słuchać nie będę: zapewna go doskonale ułożyłeś. Ot woléj, przeczytaj ten *cerografik.* I podał mu bilet starościnéj.

— Cud Boski! zawołał przeczytawszy Skarbnik. Starościna więc zrzeka się procederu i zaścianku?

— Wcale nie, mości Skarbniku.

— A więc jakąż instrukcyę dasz JW. pan jéj plenipotentowi?

— Jutro rano pogadamy o tém; dziś idź do domu i śpij spokojnie.

— Wszakże JW. panie, *inter nos loquendo*...

— *Inter nos loquendo*, chce mi się także spać, wiész, że niedomagam, więc darujesz, że cię pożegnam. Do jutra, panie Franciszku, dobranoc! i wszedł do swojéj sypialni.

Skarbnik postał jeszcze chwil kilka, ścisnął ramionami i nakoniec odszedł.

---

*) Treść krótka; techniczny wyraz w dawném prawnictwie.

**) Dla wykupienia niewolników.

XVI.

Sprawa Pana Pisarza Litewskiego.

Czytelnik wie już po części o treści procesu między panem Sulistrowskim i Karmelitami Głębockiemi. Rozpoczął się on był w ziemstwie oszmiańskiém. Tam pan Sulistrowski wygrywając, przegrał; tak jak wzajemnie Karmelici przegrywając wygrali *). Urzędnicy bowiem, chcąc Karmelitom dać sposobność zaspokojenia małym kosztem pretensyi, do kilkakroć sta tysięcy procentami podniesionéj, a odjąć panu Pisarzowi powód appellacyi do trybunału, gdzie, jak łatwo przewidzieć można było, wpływ jego mógł wziąć górę nad bogatym bardzo klasztorem, zwłaszcza w czasach, gdy skargi na dostatki zakonów i duchowieństwa zaczynały być w modzie, i gdy świeży upadek Jezuitów i rozbiór ich dóbr między szlachtą, nie jeden dom zbogacił. Nakoniec, korzystając z wątpliwości praw o dawności ziemskiéj, którą się Karmelici bronili, a która nigdy prawie od rzetelnych długów nie uwalniała, przysądzili panu Sulistrowskiemu kapitał i drugie tyle (alterum tantum) procentów, z małą kwotą expensów prawnych. Karmelici więc obowiązani byli wypłacić mu tylko, z parę tysięcy dukatów, co niestanowiło nawet ich rocznego dochodu. Ale po ogłoszeniu wyroku, którego mądrość i przezorność powszechnie uznawano, obie prawujące się strony, nie były kontente. Plenipotent pana Sulistrowskiego nie wygrawszy kroci, nie wiedział co począć, w nieobecności zwłaszcza swego mecenasa, który assystencyę osobistą powiatowym subseliom i procesowi wątpliwemu, nie widząc sobie przyzwoitą, odjechał do dóbr swoich w Pińskie. Z własnego zaś domysłu żadnym sposobem apelować nie mógł, bo znał roztropność i umiarkowanie pana Pisarza, przeciw którym w imieniu jego wykroczyć byłoby gorzéj, niż mu przegrać miliony.

*) Cała treść tego processu prawdziwa.

Lecz uwolnił go z tego kłopotu ks. prokurator. Niewyrozumiały ten pełnomocnik swojego klasztoru, głośno się uskarżał na niesprawiedliwość sądu. Nieobrażeni tém urzędnicy, sprowadzili go owszem do siebie na konferencyę i jasném wytłumaczeniem przyczyn dekretu, ochraniającego ile można było zakonne fundusze, wstrzymywali go od dalszego procesu. Zdał się on zrazu pojmować życzliwość i mądrość sędziów; ale czy to przewrótne rady, czy własny jego upór sprawił, że na trzeci dzień zaniósł apelacyę, a zatém dał powód plenipotentowi Sulistrowskiego do zaniesienia wzajemnéj, (motivo) i na biedę klasztoru, przeniósł proces do trybunału.

Nazajutrz więc, po opisanych tu na przeszłych kartach konferencyach, wcześnie przed rozpoczęciem się sessyi trybunału, palestra wyższa i niższa, oraz liczna ciekawa publiczność, zgromadziła się do przestronnych izb, przyległych sądowéj trybunalskiéj sali i do saméj sądowéj; zajmując połowę jéj aż do kratek, za które nikt, prócz zasiadających tam deputatów i przysięgłych regentów przestąpić nie mógł.

— Ważna sprawa! ważna sprawa! mówiono w powszechnym gwarze: próba piérwsza trybunału!

— Cóż tam bardzo ważnego? Sprawa prosta obligowa i nic więcéj, odezwał się pan Antonowicz, który od wczorajszego powitania większéj między kolegami nabył konsyderacyi. Kiedy chciałeś być obecnym ważnéj sprawie, to trzeba było być na kadencyi grodzieńskiéj i na sprawie podskarbiego Tyzenhauza z królem!!! Chwalicie moję nieprzygotowaną wymowę; trzeba było słyszeć podskarbiego, gdy wzywał biskupa, oskarżyciela swego, do przysięgi na to, że nie korumpował sędziów! „Pioruny siarczyste! *) zawołał on, czemuż nie bijecie w tę infułę! Dwadzieścia lat blizko, jak tu się w Grodnie znajduję, a piérwszy raz stawię się w téj izbie, ażebym pokazał: *Ecce homo et opera ejus!* **). Ta to ręka, która pisze dla mnie *mane*, *tekel*, *fares* ***). Ja przysięgam, Boże mię ubij na duszy i na ciele, jeżeli kiedy korumpowałem świadków lub sędziów. Przysięgaj!

*) Dosłównie prawdziwe.
**) Oto człowiek i czyny jego.
***) Słowa znajome prorocze dla Baltazara.

klękaj! Mości księże biskupie!" Włosy na głowie powstały, kiedy piorunującym głosem to wykrzyknąwszy, porwał za rękę biskupa i ciągnął przed krucyfix. Zdawało się, że powtórzy się akcya Bolesława ze Szczepanowskim.

— Oho! ho! l o! daleko temu biskupowi do tamtego, odpowiedziano; a cóż na to Biskup?

— Biskup, nie tak impetycznie, mając wzgląd zapewne na powagę swego stanu, bronił się; a przysięgać musiał.

— Jakiż dekret?

— Daleko o tém rozprawiać, zwłaszcza, że cała Litwa wié o nim. Dziwno, że pytacie? *).

Wtém zaczęli się zbierać deputaci; dla każdego z nich od drzwi do kratek széroko rozstępowała się palestra. Wszedł i pan Skarbnik; asystował mu jeden z młodych aplikantów, niosący papiery pod pachą. Weszli także dwaj Karmelici, to jest prokurator z socyuszem i skromnie w końcu sali stanęli. A nakoniec przybył i pan Zaranek. Zasiadł trybunał. Zawołano aktorat Kss. *Karmelitów* z Pisarzem Litewskim *Sulistrowskim;* bo tu już Karmelici apelujący od dekretu ziemstwa oszmiańskiego byli stroną powodową.

Nie złamał sobie głowy obrońca klasztoru; bo głos jego osnowujący całą obronę na dawności ziemskiéj, był tylko suchem powtórzeniem oszmiańskiéj w ich sprawie repliki, tu produktem już przemianowanéj. Słuchając go pan Skarbnik pokiwał głową i pomyślał: „Nie był ten człowiek na aplikacyi u mego brata Ks. Augustyna!"

Pan Skarbnik, w każdéj sprawie większego, a wątpliwego znaczenia sobie powierzonéj, miał zwyczaj dobrze się wprzód namyślać, niżeli przystąpił do pisania głosu: rozważał on ją nie tylko pod względem prawnym, lecz i pod względem pozoru, pod jakimby sąd uprzedzić mogła. Nazywał on to *prima facies* **) sprawy. I gdy ta *facies* była dlań pomyślna, zdobił ją i że tak powiem, ubierał w prawne dowody: a gdy przeciwnie nieżyczliwém nań patrzała okiem, rozdzierał ją natenczas i drapał ostremi argumentami, aby wdzięcznie dla przeciwnika się nie uśmiechała i nie uprzedzała sądu.

Tego trafnego rozważania rzeczy i téj wybornéj metody, nauczył się od ks. Augustyna, jako wybornego arkanum prawniczego, gdy

---

*) Sprawa ta historyczne ma znaczenie w dziejach tego kraju; tu potoczne tylko znaleść mogła wspomnienie.

**) Pierwsze oblicze.

jeszcze się przy nim aplikował; a uczęszczał potém doń, jakeśmy to widzieli, nie dla poduczenia się procedury, bo w téj sam był mistrzem, ale dla rozpraw niby nawiasem rzucanych, za które chwytając się z nałogu dawny prawnik, rozświetlał ogólną postać procesu, i odkrywał z dziwną przenikliwością owę *facies* jego, o któréj dokładném, własném rozpoznaniu, Skarbnik niekiedy wątpił. Ale gdy ks. Augustyn, ta pochodnia mądrości, znikła Skarbnikowi, sam więc dokładnie rozmyślając, skonkludował plany do obu rozpraw, które niefortunnym trafem obok u sądu stanęły.

Sprawa pana Pisarza, myślał on, *prima facie* nie zaleca się. Między zakonnikami i magnatem, to raz — a jeszcze magnatem tak mądrym i tak szerokie mającym wpływy na Litwie a plecy w Warszawie. Cóż za dziw? powie publicum, że ich znękał. Oblig zanadto już dawny—to drugi raz. Wygram wprawdzie, jestem tego pewny... ale któż wie, czy dekret bez rozpisów się obejdzie?... znajdą się skrupulaci... Sąd od piérwszéj namowy rozdzieli się na partye... i z naszéj przyczyny okrzyczą trybunał na piérwszym wstępie... źle... A więc tu nietylko sąd, ale i publiczność przekonywać trzeba; potrzeba, aby dekret uznano powszechnie sprawiedliwym, a nie sfomentowanym intrygą.

Między nami a panią starościną rzecz się ma inaczéj. Tu magnat prześladuje szlachcica i pragnie mu odebrać odwieczny kawałek ziemi. Publicum krzyknęłoby za nami i intrygi babskie nicby nie pomogły. Ale zawzięty plenipotent jéj, ma zapewne nadzieję i cieszy się, jak słyszałem, bo nie umie trzymać języka za zębami, że mojemi własnemi dowodami przeciw Karmelitów użytemi, mnie konfundować będzie. Dawność mu w głowie, oszuka się... djabelnie oszuka się. Ani w jednéj, ani w drugiéj sprawie, o dawności nie wspomnę.... Owszem, dekretem naszym utwierdzić się powinien dekret Sulistrowskiego... bo też między jedną a drugą, różnica wielka! Tam oczewista i ostateczna rozprawa, nasza akcessoryjna; a jeszcze większa, i którą najdobitniéj dowieść należy między papierem i ziemią. Tu sprawa obligowa, tam wieczysta: nie idzie teraz o przyznanie tu jednéj albo drugiéj stronie własności zaścianku, ale tylko o utrzymanie dekretu ziemstwa wileńskiego, który akta inkwizycyi *circa jure possessionis* *) na miéjscu sporném decydował.

---

*) O prawie posiadania.

Tak osnowywał plany swoje pan Skarbnik i sam się cieszył z tak subtelnego rozważania rzeczy. Biegły sternik, zbliżający się do niebezpiecznego nurtu między *Scyllą* i *Charybdą*, doświadczony, wyrachował wszystkie uderzenia fali i wioseł, wszystkie chwile trudnéj żeglugi i ułożywszy nakoniec cały onéj kierunek, śmiało się puszcza w szumiące prądy; a jednak wolałby on, aby *Scyllę* od *Charybdy* szersze rozdzielało morze. Tak i pan skarbnik, niech mi łaskawy czytelnik daruje to porównanie, mimo wyborne i mądre plany, z których się cieszył i na których się ubezpieczał, wolałby jednak, aby dwie te sprawy, przynajmniéj dwie kadencye trybunalskie rozdzielały.

Po suchém zatém i na dawności szczególniéj opierającym się głosie obrońcy Karmelitów, wystąpił z własnym, Skarbnik, i stosując się do powyższych planów, dwa tylko główne punkta w nim założył i na nie jedynie uwagę sędziów i publiczności zwrócić i osadzić, że tak powiem, postanowił.

Najprzód, rzeczywistość pożyczki, porównaniem podpisów Korsaka na obligu i na zapisie funduszowym przez Karmelitów złożonym, udowodniając, dołożył nadto pracowitą kwerendę wcześnie przysposobioną, o istnieniu w tamtym czasie w województwie Połockiém, podpisanych na nim pieczętarzy, i piastowaniu przez nich publicznych urzędów, których tytuły do swych nazwisk dołożyli.

Z nieoddanéj pożyczki, wyprowadził potém naturalne następstwo procentów, i wyliczkę ich coroczną do kapitału dołączając, a od tak zwiększonego kapitału licząc znowu procenta, naliczył krocie. Erudycyjno ten-arytmetyczny rozdział głosu pana skarbnika krótkim był, bo przewidywał on niepomyślne wrażenie, jakie *summa summarum* jego, na sędziach i na publiczności uczyni i rzeczywiście uczyniło. Przedłużył go więc tylko uwagami, niweczącemi, a przynajmniéj modyfikującemi to wrażenie.

„Nie ja Najjaśniéjszy Trybunale! nie ja, wyliczyłem te procenta. Czas je wyliczył i nagromadził; czas który grosz do grosza przykłada i z maluczkich początków, największe tworzy fortuny, najznakomitsze gromadzi kapitały; czas, który procenta, jako zysk sprawiedliwy, na nowe coraz oddając fruktyfikacye, w przeciągu swym długim, nie drugie tyle, ale za kilkanaście kilkaset, a przez kilka oszczędnych pokoleń i kilkakroć oddaje. A więc jak nie byłoby nic do podziwienia, żeby z summy w owym czasie oddanéj, do dnia

dzisiejszego mnogie urosły krocie, tak równie nic dziwnego, że się dziś o nie dopominamy.”

Po takich uwagach, które oswajały i godziły niejako wszystkich z jego rachunkiem, skarbnik w drugiéj części repliki swéj, apologią rzetelności zręcznie do okoliczności zastosowaną napisał: „Rzetelność, owa najzacniéjsza i najprzedniejsza cnota ojców, dziadów i pradziadów naszych, mówił on, wyższa nad wszelkie opisy na papierze bo zapisywana zawsze na sumieniu poczciwych ludzi i temże sumieniem ewinkowaną była. Dług z taką ewikcyą przechodził z pokolenia na pokolenia; wypłacały go dzieci za rodziców, wnukowie i prawnukowie za dziadów i pradziadów; bo grosz pożyczany a nieoddany, nie tylko substancyę dłużnika, ale i duszę obciążał.”

„I czyż natośmy dziś, Najjaśniéjszy Trybunale przyszli, że ta cnota i wiara ma szwank ponieść od nas potomków, spernujących przykładami przodków naszych? i jeszcze od tych szczególniéj, których duchownéj pieczy taż wiara, cnota i zbawienie nasze oddane? Któż z was sędziowie, kto z obecnych tu poczciwych ludzi nie kwapiłby się wykupić, naprzykład z niewoli tatarskiéj, choćby ostatnim groszem, ojca lub dziada swojego? a przecież daleko gorszą, sroższą i dłuższą niewolą niewypłatnemu dłużnikowi i niewykupującym go niewdzięcznym dziedzicom jego, grozi dług tu na ziemi zaciągnięty, o który na tamtym świecie rozliczać się trzeba. Oblig wtenczas będzie cerografem na duszę, za którym skondemnowana ultymarnie pójdzie w niewolę czyscową, jakby w tradycyę *ad extinuationem* *). I takimże to więc darem dla duszy swego fundatora i benefaktora, przysługują się Kss. Karmelici Głęboccy?...”

Oczy sądu i wszystkich pod wrażeniem tych słów, zwróciły się na karmelitę stojącego w kącie. Ten spokojnie oczy w dół spuścił, ale w myśli przeklinał swoję apelacyę.

Skarbnik, z ukontentowaniem postrzegłszy wpływ powszechny swego głosu, kilką jeszcze argumentami jednostajnéj z powyższym treści i mocy, takowy zakończył.

Marszałek miał zawołać do namowy, gdy adwokat strony przeciwnéj zbliżył się do kratek i poprosił głosu. Lecz ocknął się jakby z zamyślenia ks. karmelita: szybko podszedł do swego obrońcy i usuwając go — dość! rzekł: a sam wszedł za kratę. Wchodziły tam

*) Do wybrania długu z fortuny, wyraz techniczny.

niekiedy strony w takiéj stanowczéj chwili, dla osobistego pokłonu urzędnikom i polecania się ich sprawiedliwości.

Toż samo zdał się chcieć uczynić i karmelita. Ukłonił się on pokornie całemu kołu deputatów, a przyszedłszy do marszałka i za kolana go uścisnąwszy, wprzód, nimby mu to zaprzeczoném być mogło, ujął w obie ręce srebrny krucyfix na stole przed marszałkiem stojący, wzniósł go nad swe czoło, potém ucałował gorliwie i znowu na stole postawił.

Obrót ten, z serca czy z namysłu pochodzący, zwrócił uwagę wszystkich i mógłby być *antidotem* naprzeciw głosu pana skarbnika, gdyby ten, uważając bacznie każdy krok księdza, i to wrażenie powszechne z pocałunku, nie zawołał żałośnym głosem: *Et per osculum traditavit dominum!* *). Śmiech się rozległ po sali i zawołano do namowy!

XVII.

Namowa i Dekret.

Kilkudziesięciu mężów zostawszy sami około sądowego stołu, piérwszy raz spójrzeli na siebie, a na wszystkich, prezydujący im pan Zaranek. Długa nastąpiła cichość i milczenie: nakoniec błędne źrenice przechodząc z twarzy na twarze, zjednoczyły się razem na oblicze marszałka i oczekiwały odeń piérwszego słowa. Ten znowu świadomy trybu zwyczajnego zbierania zdań sędziów w namowie, bo nie piérwszy to już raz zasiadał w trybunalskiém kole, poglądał i oczekiwał na pana Bohomolca, piszącego w wielkiéj księdze. I wszyscy więc do niego się zwrócili: rozumiejący, i może niektórzy dziwiący się w duchu, że się wyrok bez ich decyzyi pisze.

Księga ta, którą zapisywał Bohomolec, był to *Sentencyonaryusz*, w który, w sprawach większego znaczenia, lub zawilszych wątpliwościach, na sformowane przez pisarza z treści procesu krótkie i zwięzłe zapytania, deputaci zdania swoje, w kilku także słowach z ko-

*) I pocałunkiem wydał pana.

lei podpisywali. Natenczas to zwykle zaczynały się rozprawy i sprzeczki, przeciągające się czasami tak długo, że gdy prawo nie dozwalało sędziom, ani przysięgłym regentom, przed ogłoszeniem dekretu wyjść z izby sądowéj, przynoszono więc tam obiady, wieczerze i pościele, a częstokroć kilka dni i nocy sąd bywał w zamknięciu. Nieraz gdy rozróżnione zdania, w stanowcze sentencye skupić się nie mogły, lub gdy silne wpływy tak ogmatwały sędziów, że nawet w zamkniętém kole sumiennego swego zdania wyznać nie chcieli; wzywano sekretnego *turnum*. To jest: na propozycyę w Sentencyonaryuszu zapisaną, głosowano w zakryty wazon za parawanem, jak dziś na sejmikach, i próba taka nigdy nie chybiła, zawodząc zawsze nadzieje intrygantów.

Częstokroć najupartsza sprzeczka przy stole sądowym, z zadziwieniem wszystkich, kończyła się sprawiedliwą jednomyślnością w wazonie, na którym zwykle w takim razie i krucyfix ze stołu sądowego przenoszono: bo usta za stołem wspierały uwiedzioną i lękliwą wolę, ręka zaś samotna za parawanem w obec tylko wizerunku Chrystusa, szła koniecznie za głosem sumienia.

Powstał zatém pan Bohomolec i rzekł:

— Trzy w sprawie téj, przezacni koledzy, wynikają zapytania, które, gdy rozwiążemy, dekret kilkanaście tylko zajmie wierszy: *Primo*, czy skasować oblig i pretensyę pana Sulistrowskiego do Kss. Karmelitów, powodem dawności ziemskiéj i ukarać go ekspensami prawnemi? *secundo*, czy utrzymać dekret ziemstwa oszmiańskiego i sądzić na Karmelitach *cum altero tanto* *) procentów; a co zatém idzie, ukarać Karmelitów za apelacyę sześcią niedzielami wieży, na nawiązki, jako dla zakonników zamienionéj, i ekspensami prawnemi? *tertio*, czy sądzić kapitał z wyliczeniem procentów i rekambiów podług tabeli pana Sulistrowskiego, z dodaniem także ekspensów prawnych.

Znowu milczenie niekrótkie... bo każdy miał tu wewnętrzny rozrachunek. Głos pana skarbnika i argumenta jego, odsłaniające, jakeśmy to wyżéj czytali, powód wygranéj Sulistrowskiemu tam właśnie, gdzie sędziowie skrupuły i wątpliwość znaleźć mogli, niemało przykładały się w téj walce sprzecznych myśli do łatwiéjszego im układu z sobą samemi, i ustalenia przekonania, że opinia dogadzająca żądaniom pana pisarza litewskiego będzie razem słu-

---

*) Drugie tyle.

szną; że ujmując Karmelitom dóbr świeckich, ujmie się im razem i grzechu zaparcia się cudzéj własności; a zatém, że przegrana w interesie ziemskim, w interesie zbawienia ich i Korsaka, pożądaną byćby im powinna. Że kapitał mały, przez ciąg długiego czasu w krocie urasta... Słowem takie i tym podobne perswazye, wszystkie z głosu pana skarbnika czerpane, godziły większą część sędziów, z ich własném sumieniem, a dowodziły głębokiéj znajomości skarbnika,. nie tylko dróg prawnych, ale i tych dróg ukrytych, któremi do serca, a zatém i do przekonania ludzkiego najłatwiéj się trafia.

— Sądzić zatém,— odezwał się któryś śmielszy z deputatów,— summę z procentami, podług rachunku pana Sulistrowskiego.

— Sądzić! sądzić!—odezwało się kilku innych, i coraz więcéj, i coraz gęściéj to słowo powtarzało się:—sądzić! sądzić!

Pan Brasławski, na którego policzkach widać było, że zgwałcił konstytucyę obowiązującą sędziów, aby *sane mente* *) sprawiedliwość świętą szafowali, rzekł stanowczo, powstając i kręcąc zawiesistego wąsika. „Stanęło na tém i skończyło się, mosanie! popi głęboccy bogaci, stracą milion, drugi im zostanie; a i ten niepotrzebny; przysięgają na ubóstwo, a opływają w dostatkach. Doliczyć zatém expensa prawne, nawiązki za wieżę i zasądzić okrągło milion! stanęło na tém i skończyło się.“

— Ale miliona i strona nie żąda, odezwał się pan Zaranek.

— Nie żąda, ale przyjmie mosanie! stanęło na tém....

— Zastanówmy się nadto koledzy, że gdybyśmy odrzucając wzgląd na dawność, rzekł Bohomolec, uznali ważność obligu i doliczyli tylko zwyczajne od lat tak mnogich procenta, wzrosłaby znakomita już summa. Sądzić zaś od procentów procenta, byłoby to przychylać się do żądania nadto daleko posuniętego, przez obrońcę prawnego, a niewiadomego, jak mi się zdaje, samemu panu Sulistrowskiemu.

— A mnie się zdaje, odezwał się pan Trocki, że dość będzie utwierdzić mądry dekret ziemstwa oszmiańskiego.

— A, co na to, nie ma zgody, odezwało się kilku, a najgłośniéj ów stronnik miliona.

— Milion powiadam mosanie: milion i kwita. Stanęło na tem i skończyło się.

---

*) Trzeźwym umysłem; konstytucya ta zakazywała dla tego poobiednich posiedzeń sądom.

— Proszę więc wpisać tu swoje zdanie, rzekł doń pan Bohomolec, podnosząc mu sentencyonarz.

— Na nic — na nic to niepotrzebne mosanie! pisz sam, a regenci niech ci pomagają. Ja decyduję, stanęło na tém....

— Zacny kolego, rzekł przerywając ten swar Zaranek, uspokoj się i zasiądź twe miejsce. Z porządku i po kolei pytać każdego będziemy o sentencyę: tego wymaga prawo i *decorum* *) téj najwyższéj magistratury.

— Stanęło na tém mosanie... —mruczał pan Brasławski usiadając spokojnie i poglądając z ukosa na Bohomolca.

Tymczasem niektórzy rozpatrywali papiery i dowody przez skarbnika złożone: inni w cichéj między sobą rozmowie, wzajemnie się oświecić i przekonać starali.

Nakoniec rzekł pan Zaranek: — koledzy! przystępuję do zebrania głosów na zapytanie w sentencyonarzu.

Lecz tu gwar powstał daleko większy. Górował wprawdzie nad wszystkiemi głos pana Brasławskiego: Milion! milion mosanie, stanęło na tém i skończyło się. Ale w powszechnym sporze i tym żwawszym, że kilku stale głosowało za utwierdzeniem dekretu oszmiańskiego, Zaranek uważający pilnie, i w milczeniu policzający zdania, ile je wzgiełku wyrozumieć można było, uznał, że większość zdaje się być za utrzymaniem rachunku Dowiata. Uderzając więc laską marszałkowską o stół, co zjednało chwilowe milczenie: — W rozróżnieniu, rzekł, tak niezgodném i rozmaitém decyzyi waszych, mości panowie, proponuję z miejsca mojego *turnum*, na każde z osobna ogłaszane pytanie, a większość wotów za którymkolwiek, da nam *conclusum*; lubo smuci mię to i źle wróży, że pierwszy nasz wyrok od roztezek zaczynamy i ostatecznego tego środka, dowodzącego wzajemnéj naszéj nieufności użyć musimy.

Nowa ta propozycya wielką liczbę głosów zjednoczyła.— Prosimy o *turnum*, panie marszałku, prosimy! ozwało się kilkunastu.

Ale kilku przeciwnie i stanowczo odpowiedziało.— Nie! nie! mości marszałku; *turnum* sekretne, tylko jednomyślnie przyjętém być może, a my się na to nie zgadzamy i wotować nie będziemy. Ztąd jeszcze większy wszczął się zgiełk i niezgoda; któréj nie mogąc uspokoić pan Zaranek, upatrzył chwilę powszechnego zamieszania i

*) Powaga.

szepnął słów kilka jednemu z regentów na ucho; ten niepostrzeżony wymknął się tylnemi drzwiami z sali....

Wśród trwającego i zwiększającego się nawet co chwilę gwaru i sprzeczek, odemknęły się niespodzianie na wścieżaj drzwi od korytarza zbudowanego, jakeśmy to wyżéj opisali, przez pana Łopacińskiego, a łączącego mieszkanie jego z izbą sądową *), i dwóch hajduków wciągnęło do sali w krześle, na wpół-leżącego marszałka.

Zdumieli się wszyscy i umilkli na ten nieoczekiwany widok. On skinął ręką na hajduków i ci usunęli się za drzwi. Podeszła wiekiem, a cierpieniem udręczona twarz jego, nie straciła jednak szlachetności i powagi, właściwéj jego wysokiemu dostojeństwu. Włos biały spadał mu niedbale na wysokie i otwarte czoło, a oko czarne i pełne, wkrótce jednak wiecznie zawrzeć się mające, łzą się zaćmiło, gdy wyciągając rękę ku zdumionéj gromadzie, rzekł łagodnym i spokojnym, a razem uroczystym głosem: „koledzy! *moriturus vos salutat!*“ **).

Wszyscy się razem do uścißnienia ręki téj rzucili. Radość z oglądania dostojnego swego przewodnika, miarkowała się wprawdzie tém jego smutném powitaniem, i dla tego hucznym nie wybuchnęła okrzykiem. Wszakże tém czulsza i głębsza ogarnęła serca wszystkich i tkliwą a przychylną troskliwością okrasiła wszystkie oblicza.

— Bóg cię podźwignie, kochany nasz marszałku. Będziemy wszyscy modlić się za twoje zdrowie! Jeszcze ozdobisz nasz litewski Trybunał! tak każdy swoje życzenia i nadzieje dokładał.

— Kochani koledzy! Kochani ziomkowie! dziękuję wam za życzliwość i przyjaźń waszę, rzekł Łopaciński: ale gotujcie raczéj modły wasze wkrótce za moje zbawienie.... bo na przywrócenie mi zdrowia cudu chyba potrzeba; a osłodźcie raczéj ostatnie godziny moje, miłą w okrótnych boleściach pociechą i przekonaniem, że pod mojém imieniem, niestety! nie przewodnictwem, rozpoczynający się Trybunał, sprawiedliwością bezstronną, nieuległą i jednomyślnością słynąć będzie. Dajcie mi tę przy zgonie pociechę, koledzy moi! Słaby i cierpiący srodze, kazałem się tu zawieźć: bo póki jeszcze żyję, ostatnią chwilę moję poświęcić powinienem obowiązkom

---

*) Cała treść procederu tego i ta ostatnia scena jego, jest prawdziwa.

**) Umierający was pozdrawia.

moim... tak mi każe sumienie, tak wzgląd na sławę imienia mego, związanego na zawsze ze wspomnieniem tego Trybunału.

Pod laską Łopacińskiego, Trybunał, powiedzą kiedyś potomni, źle się zaczął: niezgodny w zdaniach, niesprawiedliwy w wyrokach! ach słusznie dodać będą mogli — i to Łopacińskiego dobiło!...

Wszyscy w milczeniu i oczy ku ziemi spuściwszy, słuchali tych wyrazów.

— Od piérwszego kroku waszego, koledzy, mówił on daléj, od piérwszego waszego dekretu, dekret o was napiszą Bóg i ludzie; a mnie ten dekret najpiérwiéj dojmie przed Bogiem, najsrożéj zhańbi przed ludźmi; bom ja pokrewny pisarza litewskiego. Powiedzą zatém, żeście mojemu wpływowi ulegli, żem na śmiertelnéj pościeli był jeszcze intrygantem; a przecież jako krewny i przyjaciel jego, oświadczam wam i najmocniéj zapewniam, że on od was niesprawiedliwości nie żąda, że on dobre swe imie nad miliony ceni....

A więc koledzy!...

— A więc marszałku, sam decyduj w téj sprawie, odezwało się kilku, a za niemi wszyscy. Zgadzamy się na twoje zdanie! zgadzamy się! okrzyknięto.

Łopaciński zamilkł, zmęczony długą mową swoją, i żywszem uczuciem jakie w sobie obudził. Oparł czoło na dłoni; lecz wzniosłszy je po chwili łagodniejsze i tkliwsze, rzekł: — Dziękuję wam, koledzy! dziękuję z całego serca. Zaufanie to wasze, sił i zdrowia mi przedłuża; cieszy mnie, i ulży ostatnie moje godziny. Podawał on, to mówiąc, rękę każdemu, uściskaną przez każdego czule.

— Nie słuchałem téj sprawy, przedłużał potém, więc radzić wam tylko, nie decydować mogę, lubo wiém dokładnie treść onéj. Powiedzcie mi zatém naprzód, czy sumiennie przekonani jesteście, że karta, za którą Sulistrowski żąda wskazu na Karmelitach jest sprawiedliwą i niezaprzeczoną?

— Przynajmniéj odpowiedział Zaranek, Karmelici nic takiego naprzeciw niéj nie złożyli, ani okazali, coby ją w wątpliwość podać mogło, a niweczyć dowody Sulistrowskiego. Więc jako sędziowie na tychże dowodach mający opierać nasz wyrok, nie na domysłach wspierających dawność, którą się zasłaniają Karmelici, a która raz uznana, dałaby pieniactwu nową tarczę naprzeciw wszelkim sprawiedliwym poszukiwaniom; możemy i musimy nawet uznać należność dla Sulistrowskiego, tak mi się przynajmniéj zdaje; jakże, koledzy?

— Prawda! prawda! zgoda! odezwało się całe zgromadzenie, ale wieleż sądzić?

— Gdy tak jest — decyzyę moię, a raczéj radę moję łatwo zgadniecie. Z żądań i rachunków obrońcy Sulistrowskiego, odrzućcie to, co tam zapędna gorliwość jurysty, i nadzieja zysku w miarę wygranéj wpisała... resztę wam rozum i sumienie niech dyktuje... Siły mię opuszczają — darujcie — Żegnam was!... Niech Bóg błogosławi sądy wasze!... Koledzy! przyjaciele! jeżeli kiedy niezgoda lub intryga wejdzie między was, zakłóci wasze namowy, pokazić zechce wasze wyroki, przypomnijcie mnie! Wspomnijcie na tę moję chwilę, między wami ostatnią... i pomyślcie, że duszą i po zgonie z wami obecny wasz marszałek, błaga was o jedność, sprawiedliwość, staropolską poczciwość i cnotę!...

Łzy rzęsiste potoczyły się po licach dostojnego starca i przecięły coraz słabiejącą mowę jego, i równeż potoki rosiły twarze prawie wszystkich obecnych. Na znak dany chorego, zawołano hajduków; ci zawrócili krzesło, za którém rzucili się wszyscy tłumem do uściśnienia raz jeszcze ręki oddalającego się swego marszałka. Ten na wpół zemdlony, gęstemi jeszcze łzami i smutném skinieniem czoła, odbierał i oddawał te tkliwe, a jak sam przepowiedział, ostatnie niestety! pożegnanie wielbiących go kolegów, którzy w kilka dni potém, szli smutni za jego pogrzebowym wozem.

Nie wiedziano za drzwiami sądowemi, co się działo wewnątrz: bo galerya którą przybył i oddalił się Łopaciński krytą i opierzoną była. Dziwiono się jednak i szukano przyczyny, dla czego wrzawa w namowie tak huczno słyszeć się dająca, ustała nagle, a wnioski ztąd i wróżby, przerwało otwarcie wkrótce izby i odczytanie dekretu, którym zasądzono dla Sulistrowskiego kapitał z procentami, z odrzuceniem naliczeń pana Skarbnika.

Wnet zawołano aktorat pana Starosty Kapinowskiego z Dowiatami.

Wystąpił więc na czoło palestry znajomy już nam, opasły plenipotent Starościnéj, lecz go pociągnął z tyłu za wylot od kontusza pan Skarbnik i odprowadziwszy z tłumu w kąt, dał w rękę bilet aktorki jego, z nadpisem pana Sulistrowskiego.

— Jak to? zawołał on przebiegłszy pismo — zapisać aktorat na ugodzie?

— A tak na ugodzie, odpowiedział spokojnie Skarbnik.

— Nie pozwolę na to: to intryga....

— *Inter nos loquendo*, daj Boże taką intrygę, która do ugody prowadzi; pod takim względem i wasanu dobrodziejowi intrygantem być życzę... Jakkolwiek to jest, nie możesz jegomość *irrytować* sprawy, którą aktorowie sami wstrzymać pragną.

— Biegnę do Starościnéj; proszę tymczasem nie kondemnować, bo stawamy — wnet wracam.

— Poczekaj, mój dobrodzieju, rzekł Skarbnik wstrzymując go: *inter nos loquendo* za daleka wędrówka. Pani Starościna dziś *summo mane* *) wyjechała do Szemetowszczyzny, do jaśnie wielmożnego pisarza Litewskiego.

— Nie może być; wczora około zachodu słońca widziałem się z nią, nic mi o tém nie mówiła.

— Ale po zachodzie słońca inaczéj się stało... a dziś o wschodzie, już była na Połockim trakcie, upewniam honorem jegomościa.

— Pan plenipotent otarł z potu czoło, i spuścił je ku ziemi.

— Do *komparycyi* **) zawołał znowu woźny.

Natenczas szedł on za Skarbnikiem ze smutną miną i oba sprawę na ugodzie zapisali.

XVIII.

Szemetowszczyzna.

Piękna jest szeroka Litwa nasza ***)! zawołałem ja w serdeczném a głębokiem uczuciu przywiązania do ziemi ojczystéj, i w rozważeniu piękności, jakiemi Bóg ją obdarzyć raczył!... Oh! któż bo nie kocha kraju w którym się urodził? gdzie spoczywają prochy naddziadów i rodziców jego, gdzie każda stopa ziemi urocze mu i miłe przywodzi wspomnienia, w których obłąkana myśl jego, prze-

*) Bardzo rano.

**) Do stawania u Sądu. Wyraz techniczny sądowy.

***) Brzegi Wilji.

pływa cicho i spokojnie, kojąc natrętne troski życia, lub gorzkie serca cierpienia!...]

Lecz te tkliwe, pełne słodkiego rozrzewnienia uczucia, nie zależą bynajmniéj ani się wzbudzają, wspaniałemi ani pięknemi krajobrazami, zdobiącemi ziemię. Pod nizką strzechą, którą dla ciebie dziadek twój zbudował; w ogródku wiejskim, w którym cię niańka do gałązki gronem rumianych wiszeń bogatéj, podnosiła; na małéj łączce, na którejś między kopami wonnego sianka biegał; na jakiejś samotnéj drożynie, gdzie twe młodzieńcze snułeś ideały, miłość ta obudzi się w duszy twéj, w duszy każdego poczciwego człowieka. Ogarnie go w czułe, że tak powiém objęcia, jak matka ukochane dzieci; utulać go będzie i pieścić, tkliwemi łzami obleje mu lica. Ach! oddalonemu, tęsknotą jak kamieniem, ciężyć będzie na sercu!...

Miejsca takie, są to miłe dziedziny roskoszy, wydzielane cząstkami dla ludzi, do codziennéj dla nich pociechy, do samotnego, a słodkiego pokarmu duszy. Ale dla jéj wyższego wzniesienia, dla jéj swobodnego polotu w niebiosa, Bóg sam zda się pooznaczał miejsca na globie, na które wstąpiwszy człowiek, czuje się dostojniejszém dziełem rąk jego. Mysl wzniosłą ku niemu rozwija, poznaje go i wielbi w pięknościach i doskonałościach natury i oddycha piersią przepełnioną rzeźwém życiem oblewającém go do koła. W takie wspaniałe miejsca, bogatą jest Litwa nasza...

Przed wieki, cała pokryta i zarosła lasami, w dzikiéj swéj i ponuréj piękności, mocarzom swoim pasującym się dzielnie ze srogiemi zubry, odkrywała ona codzień nowe i coraz piękniejsze miéjsca, na twierdze i grody, na gmachy dla nich samych, na bałwochwalcze świątynie ich bogom!... Dziś otwartsza i roztrzebiona kraina, w połączeniu pozostałych leśnych obszarów i niw żyżnym urodzajem okrytych, i siół i dworów tu i ówdzie rozrzuconych, i rzek i jezior ruchomemi zwierciadłami wyściełających ziemię — przedstawia nader często widoki i krajobrazy, zachwycającéj piękności, szczytnego rozmiaru, lub niewymównego wdzięku.

Zalecać je i wskazywać poszczególnie ziomkom, byłoby to wprawdzie ofiarować im obfite źródła i środki najprzyjemniejszych uczuć i wrażeń; byłoby to może zwracać pożytecznie, cele ich obcych wędrówek ku rodzinnym okolicom: lecz byłoby to puścić się na niezliczone ustępy i odnogi od głównego przedmiotu dzieła, a zawsze być przewodnikiem niedostatecznym po ścieżkach, na któ-

rych miłość swéj ziemi, dobra wola, i czułe serce, jedynie przewodniczyć powinny.

Tę więc tylko okolicę, do któréj scena méj powieści przenosi się, jedną z piękniejszych w Litwie, i należącą do takich, które mi powyższy ustęp natchnęły, wprowadzam na widok czytelnikom, z których nie jeden, albo ją przypomni, albo ją pozna kiedyś, jeżeli go szczęśliwe zdarzenie, zaprowadzi gościem w te strony.

Jest o mil kilkanaście na północ Wilna *) jezioro, Świrskiém od starożytnego miasteczka Świru, nad jego brzegami położonego i od książęcego Świrskich rodu, tu swą dzielnicę mającego, zwane. Ma ono podobieństwo do wielkiéj rzeki, bo milę szérokie, na dwie wzdłuż się rozlewa; i podróżny, złudzony jego formą, jakby po brzegu, jakiéj litewskiéj Delawary postępuje. Wysokie wzgórza, to ciemnemi bory, to krzewistą leszczyną porosłe, to nagie i ogromnemi głazami granitu orzucane, okrążają go: a z każdego całą okolicę, w coraz nowym obejmiesz obrazie.

Z jednego, dójrzysz w oddaleniu trzy krzyże na obu krańcach i nad średnicą jeziora, na wieżach trzech kościołów w borach ukrytych wznoszące się i błogosławić zdające się okolicom, nad któremi górują. Pod jednym z nich modlił się niegdyś w Świrskim kościele Batory, gdy się na północną wojnę wyprawiał. Na innym gdy staniesz, znika z przed wzroku, jak teatralna dekoracya, zasłona wiecznéj zieloności borowéj, i same gmachy kościelne **) jaśnieją odbitém po białych murach i po długich oknach, słonecznym, lub jeszcze milszym, gdy na nie w wieczor poglądasz xiężyca promieniem. Zmień jeszcze pagórek, a ujrzysz okolone zielonemi ogrody, w ich cieniu i wdzięku bielejące się murowane gmachy, lub mieszczące się roskosznie domy i budowy ***) dziedziców umiejących użyć dostatku, na ozdobę swych siedlisk i kraju. Daléj rzędem poszykowane wsie długie, lub samotne zaścianki, wesołe obiegają trzody i pracowity oborywa chłopek, a u nóg twych rozległa szyba wodna, po której lekkiemi kołysane falami, lotne ślizgają się łodzie, niosąc każda rybaka i jego fortunę. Zbłąkane za niemi oko, tonie

*) Świr, Zaświrz, Wiszniew.
**) W powiecie Świrskim.
***) Wiszniew, Dobrowlany, Bolkow.

natenczas w głębiach, lub się gubi w odległym horyzoncie, a myśl w nieograniczonéj przestrzeni.

Czémże piękniejsze są jeziora szkockie? czém powabniejsze ich brzegi? A przecież nie jeden ziomek nasz, czytając Walter-Scotta, z zapałem i upragnieniem nad niemi się unosi, a ozięble patrzy na własne... Ach! różnica nie w naturze, wszędzie uroczéj, ale w talencie autora i w poniewierce, chwała Bogu już codzień niknącéj, wszystkiego co ojczyste, co swoje...

Wśród borów rozszérzających się od jeziora Świrskiego, leży Szemetowszczyzna, majętność od starożytnego litewskiego rodu Szemiotów przed wieki założona i nazwana, a w kolei lat do różnych znakomitych imion tutejszych przechodząca. Była ona niegdyś własnością Zenowiczów, potem Przezdzieckich, nakoniec przeszła do Sulistrowskich, i dziedzicem jéj był właśnie pan Aloizy Sulistrowski, Pisarz wielki Litewski, jak w czasie kadencyi trybunalskiéj wyżéj opisanéj, tak i w pół roku po niéj.

Pół roku te przeminęło martwo i dla processu i dla romansu, będących treścią mojéj powieści. Piérwszy zawieszony na ugodzie niby, drugi na rozwodzie niby; lecz i ugoda i rozwód, nie dały sobie jeszcze ostatniego słowa. Piérwsza, pajęczą tylko jakby nicią spojona, chwiała się też jak pajęczyna od każdego powiewu humoru Starościnéj, poddmuchniętego namowami plenipotenta, i zerwałaby się może, gdyby nie wzgląd na pana Sulistrowskiego. Drugi rozdzielił wprawdzie skłonne ku sobie serca; ale te jak dwa rozjęte magnesy, nieprzerwanie ku sobie się zwracając, stałą miłością, jak niewidomym płynem magnetycznym się łączyły.

XIX.

Znowu Książe Radziwiłł „Panie Kochanku."

Podjęta z grobu i zapomnienia postać tego ukochanego niegdyś w Litwie męża, nader często wychodzi na jaw w dzisiejszym powieścio-pisarstwie naszém. Dla czego? nie dla anegdot jego pewnie,

które lubo mają wszystkie cechę dowcipu i prawdziwie narodowego naszego humoru, lub prawie w każdéj z nich jest ślad znajomości zwyczajów, podań i obyczajów ówczesnych; wszakże służyćby tylko one mogły na rozweselenie domowéj jakiéj gromadki, przypominającéj dawne czasy, ale nie na treść do dzieł poważniejszych. Nie dla opisów wspaniałości dworu jego i pańskiéj jego hojności, bo w tém mu, kilku przynajmniéj bogaczów polskich wyrównywało, a wielu się doń zbliżało. Lecz że wszystkie razem przymioty, skłonności, cnoty, wady, i śmieszności nawet w nim zjednoczone i uosobione, czyniły go, że tak powiém, symbolem już natenczas narodowego charakteru, i ostatnim prawdziwego polskiego możnowładcy, obrazem; w którego *państwie* było *szlachectwo*, to jest: zacność szlachecka, miłość braterska powszechna i głębokie do wiary przodków, a nawet do ich przesądów przywiązanie!—Dla tego w szerzącéj się naówczas u nas obczyznie, gdy z nią razem wchodzący do kraju egoizm, rozłączał panów od szlachty i zamykał przed nią bramy ich pałaców, zamek Nieświéżski stał otworem dla braci, dając nietylko dla ich osób, ale i dla ich zwyczajów i dla ich starzejących się pojęć, przytułek.

Pod takim względem, nad którym rozszerzać się nie będziemy, uważany książe Karol Radziwiłł, prócz wypadków politycznych życia jego, będzie zawsze historyczną postacią, która nieraz się jeszcze powtórzy, jako i powtarza w powieściach i obrazach, mających treścią tamtoczesne dzieje i starcie się na głowach ojców naszych, dwóch przeciwnych sił moralnego ich ukształcenia.

Dowiódł tego z niezrównanym talentem autor Pamiętników Starego Szlachcica. Zna on najdokładniéj, właśnie pod względem wyżéj dotkniętym, wiek tamten i przedstawiciela w nim cnót staroświeckich Radziwiłła, i napisał nieśmiertelny pomnik nietylko jego pamięci, lecz i własnéj między ziomkami sławy.

Podczas bytności króla Stanisława Augusta w Nieświéżu, gdy się cała rozjechała szlachta, gromadnie, jakby na wybór nowego pana, przez Radziwiłła zgromadzona i hojnie podejmowana *), pozostały ze znakomitszemi gośćmi Sulistrowski, pod którego wspólném

*) Znajomym jest powszechnie opis nader suchy bytności téj króla w Nieświéżu, podobno przez towarzyszącego mu tam X. Naruszewicza.

z Michałem Chodźką, wojskim, oszmiańskim przewodnictwem, szedł powiat oszmiański do Nieświéża; przyjaciel domu Radziwiłłów, a szacowany szczególniéj dla swych przymiotów i rozumu od księcia Karola, umyślił zaprosić go do Szemetowszczyzny i wyprawić mu przyjęcie wspaniałe, w którémby Radziwiłł króla, a Sulistrowski Radziwiłła mógł powtórzyć.

Jednego więc ranku, gdy książe otoczony przyjaciołmi, w najlepszem będąc humorze, prowadził rozmowę, niełatwo wyczerpnąć się mogącą, o festynach, oracyach, illuminacyach; o sławnym fajerwerku na stawach Nieświéżskich, przedstawującym attak Gibraltaru; o polowaniu, na którém nadzwyczajny osiłek pan generał Judycki stojąc blizko altany, na któréj był król, biegącego niedźwiedzia przebił oszczepem *) osadził na ziemi i krzyknął; „Strzelaj królu!“ Dowód takiéj siły zadziwił monarchę i wszystkich; nie strzelał jednak król, bo się lękał niebezpiecznego strzału do zwierza pasującego się z Judyckim; dobił go więc w łeb z pistoletu obok stojący Czechowicz, a król ranił innego niedźwiedzia drugą linią napędzonego na altanę.

Każdy z obecnych przyrzucał to uwagi to anegdoty do powszechnéj rozmowy. Lecz gdy która z nich zakrawała wprost lub ubocznie na ubliżenie Królowi, gdy się wymknął komu z ust *Pan Stolnik* **), książe spozierał z podełba z nieukontentowaniem i niewczesne żarty karcił, mówiąc niejako z nadzwyczajną powagą: „Panie Kochanku! Radziwiłł przyjmował Króla Polskiego!... trzeba to wiedzieć i znać, panie kochanku!“

— Tak, mości książe, rzekł Sulistrowski, i przyjęcie to godném było i gościa i gospodarza, i Radziwiłła i Króla!... Lecz czy nie raczyłbyś W. Ks. Mość doświadczyć i widzieć, jak szlachcic przyjmuje ukochanego od wszystkich obywatela?

— Co się to ma znaczyć, panie Aloizy?

— To się ma znaczyć, Mości książe, że umyśliłem prosić W. Ks. Mości, abyś mnie raczył uszczęśliwić bytnością swoją w Szemetowszczyznie, wybrawszy na to podług swéj woli czas; ale jednak niedaleki, aby się nam na pańskiéj obietnicy nie skończyło. Powiadam, Mości książe *nam*, bo prośbę tę wnoszę nie tylko od

*) Prawdziwe.

**) Tak tytułowali Stanisława Augusta, niechętni jemu, gdyż przed wstąpieniem na tron miał tytuł stolnika litewskiego.

siebie, ale i od całego powiatu oszmiańskiego, który w sowitym poczcie stawił się na rozkaz W. Ks. Mości w gościnę do Nieświeża. Raczże W. Ks. Mość być u nich wzajemnie gościem, na dowód, że jak powiadasz książe, kochasz Oszmiańczuków.

— Panie kochanku, rzekł pomyśliwszy nieco i pokręcając wąsa książe; radbym to z duszy uczynił i tobie, panie Aloizy i braciom Oszmiańczukom złożył moje homagium... ale... ale jesień....

— I polowanie, Mości książe, przerwał Sulistrowski. A długoż to będą niedźwiedzie i łosie w puszczy Żupraṅskiéj czekać na swego pana?

— A wielkaż to puszcza panie kochanku?

Sulistrowski pokiwał głową, myśląc w duchu: mój Boże! nie wie, czy wielka jego puszcza Żupraṅska?—Włok kilkaset, odpowiedział, i właśnie jéj to wychowańce dostarczają uczniów do sławnéj akademii Smorgońskiéj. Prócz tego, obejrzysz jeszcze książe, obszerne swoje dobra tamtejsze: Żuprany, Nowiosiołki, Smorgonie, których nawet w tytułach W. Ks. Mości nie ma, a które niemniéj warte są oblicza i oka pańskiego.

— Dobrze to bardzo i wdzięczném sercem przyjmuję nareszcie obligacyę twoję, kochany panie Aloizy. Wiém, żeś mój i domu mojego przyjaciel; wiem, że i substancya twoja, chwała Bogu nie uboga. Ale pomiarkuj się: mnie przyjęcie króla, kosztowało więcéj miliona i król podarował mi *janczarkę;* więc cóż ja ci dać mogę? chyba *kasselkę* *) jaką, panie kochanku **).

— Podarujesz mi W. Ks. Mość więcéj aniżeli warte są wszystkie dary królewskie, odrzekł Sulistrowski łącząc w swéj mowie i układność dworską i szczérą przychylność dla księcia, wzdziękiem głosu i całego oblicza wydającą się: podarujesz mi W. Ks. Mość najdroższe i najchlubniejsze wspomnienie, które do najdalszych moich przejdzie potomków: wspomnienie bytności Radziwiłła w moim domu.

— Panie Aloizy, rzekł wzruszony książe, ściskając rękę Sulistrowskiego; będę, będę w Szemetowszczyznie i to nie daléj, jak za kilka tygodni. *Verbum nobile!* panie kochanku.

---

*) Prawdziwe.

**) Stanisław August opatrując skarbiec i zbrojownię Nieświeżską, bogatą natenczas w oręże starożytne, darował do tego zbioru janczarkę Jana III. Jaka szkoda, że dziejopis téj bytności króla w Nieświeżu, nie opisał tego zbioru, przedstawionego natenczas w całém swém bogactwie, a który potém roztyrał się marnie.

In gratiam téj solennéj obietnicy, wesołość i księcia i całéj kompanii się podwoiła. Uderzono zatém w kielichy i dzień zakończył się staroświeckiém, *kochajmy się.*

XX.

Podróż Pańska.

Powiadają, że książe hiszpański *Medina di Celi*, mógł przejechać całą Hiszpanię, nie nocując nigdy ani na cudzéj ziemi, ani w cudzym domu. Toż samo możnaby powiedzieć o Radziwille podróżującym po Litwie. Mnogie i obszerne dobra jego, w największéj dziś części przeszły w różne szlacheckie imiona; a prawie na każdéj takiéj części, wzrósł dostatni pan i siedzi wygodnie, zbudowawszy sobie jakby dom porządny z ruin potężnego gmachu. Książe Karol, lubo pozbawiony już wielkiéj części dóbr swoich, mógł jeszcze od Niemna ku Dźwinie i od Niemna ku Wiśle podróżując, nocować prawie zawsze jak ów grand hiszpański na swojéj ziemi. Podróże jego, gdy jeszcze do nich i myśliwstwo się łączyło, szły obozowym taborem.

Najprzód z każdego noclegu, z kilkunastu konnymi wyprawowali się stanowniczy, marszałek i łowczy. Piérwszy znacząc za sobą wiązkami słomy drogę, gdy ta na manowce schodziła obierał i zajmował kwatery. Miasteczka i wsie rade były gościom, po których zawsze znaczna gotówka zostawała. Marszałek przyspasabiał żywność i wszelkle wygody dla księcia i całéj jego kalwakaty. Łowczy nakoniec jechał do lasów i kniei, i jak tamten słomą, ten gałązkami jedliny znaczył za sobą kierunek.

I takim właśnie obyczajem wyprawił się książe do Szemetowszczyzny. Sulistrowski odjeżdżając z Nieświeża zamówił w miasteczku żyda, który poleciał doń dniem i nocą dając znać o wyjeździe księcia z miejsca. A że podróż trzydziesto z górą milowa, połującemu i z liczném, a po drodze pomnażającém się codzień gronem przyjaciół, powoli posuwającego się taboru, dni z dziesiątek

trwać mogła: przeto Sulistrowski miał czasu dosyć dla zaproszenia licznéj kompanii i przygotowania się do przyjęcia tak dostojnego gościa.

Przybył nakoniec książe do Żupran i sam się zadziwił, że tak obszerna puszcza dotąd mu znaną nie była i myśliwską jego nie zabrzmiała trąbką, a w której ośmiu niedźwiedzi prócz innéj grubéj zwierzyny, na jego przyjazd osaczono.

— „Panie kochanku! rzekł on, każę aby niedźwiedzie Żupraǹskie, odtąd na zimowe leże do Albeǹskiego zwierzyǹca przychodziły, bo żadnéj o sobie wiadomości memu panu generalnemu łowczemu nie dają.“

— A kto im da charcz na tak daleką wędrówkę? zapytał śmiejąc się pan Ważyǹski, podkomorzy oszmiaǹski, zawołany myśliwy, który zajechał księciu drogę około Holszan w dobrach swoich, i jako zaproszony do Szemetowszczyzny, przyłączył się do książęcego orszaku.

— „A ci, panie kochanku, którzy dotąd skóry ich kradli i łapy ich jedli,“ odpowiedział książe prowadząc okiem z ukosa po swém zawstydzoném myśliwstwie.

Przez kilka więc dni huczne i wesołe polowanie trwało po głębokich lasach żupraǹskich od rzeki Oszmiany, szeroko aż ku Wilii rozciągających się. Głuche dotąd ostępy, rozlegały się hałasem psów, myśliwych, dojeżdżaczów, ludu spędzonego na obławy, gęstemi strzałami i tryumfalnemi rogów i trąb rozgłosy, które echa okoliczne, po suchém i pięknén jesienném powietrzu, daleko roznosząc, płoszyły strwożonego zwierza i napędzały go na siecie i strzały.

Tymczasem około zapadłych w lesie zaścianków, lub około folwarków i wsi bliższych kniejom, w których polowano, zakładano obozy. Szałasze i budy z gałęzi, okrywały rozległe pola, rozjaśnione płomieniem gęstych ognisk, przed któremi wieczerzę myśliwską dla ściągających się na nocleg tłumów gotowano.

Książe otoczony wesołą rzeszą, w najlepszym był humorze, bo dwóch ogromnych niedźwiedzi własną ręką ubił, a dwóch drugich ranił mocno i rzucających się na strzał, stojący zawsze obok niego oszczepnicy, chłopi silni i doświadczeni, przebili.

Po dziennych zatém fatygach, używał książe ochoczo i traktował hojnie bracię szlachtę oszmiaǹską, nie rozróżniając prawie wiel-

możnych od okolicznych, których mnóstwo na obławy się zgromadziło. Ogromne misy hultajskich bigosów, pieczeni, zrazów, roznoszono po szałaszach; a po nich na potuszenie, krążyły wszędzie cebry i rądle grzanego, a zaprawnego imbierem i gwoździkami miodu, dzielny naprzeciw jesiennym nocnym wilgociom i przymrozkom specyał, którego i książe dając przykład gościom nieskąpe wychylał kufle i którego skutkiem, były najprzód szumne gwary i wrzaski, a potém twarde całego obozu chrapanie.... Poglądając natenczas na ten fantastyczny obraz pola zasłanego zbrojnym ludem, wśród dogorywających ognisk, wśród warczących psów i rżących koni, wśród wozów i szałaszów, cofnąłbyś się myślą o kilka wieków i zdałoby ci się widzieć w pół barbarzyńskie hordy dawnych Litwinów, w lasach niedostępnych, pod wodzą jakiego Witenesa czy Olgierda, zebrane do niespodzianego napadu na jaką nieprzyjacielską krainę, i splądrowania jéj ze szczętem.

Tak cały tydzień przebywszy książe pod gołém niebem, pożegnał nakoniec myśliwskie tłumy i w dobrańszém przyjaciół gronie wybrał się do Szemetowszczyzny.

Jechał on długim drabiastym wozem saskim. Nacisnąwszy bobrowy kołpak na głowę i obwinąwszy się burką, ani dbał o niepogody i słoty; krytych pojazdów, a szczególniéj karety, znieść nie mógł. Wóz opakowany był bronią, a za wozem biegł uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Tak zwykle najdłuższe po kraju odbywał podróże.

W kilku lub kilkunastu wygodniejszych pojazdach jechali za nim asystujący mu zwykle z interesu, lub dla przyjemności tylko przyjaciele; ale gdyby którykolwiek z dworskich tam się umieścił, straciłby wnet łaskę u księcia i służbę. Na wozach podobnych starsi, z konia młodzi, służyć w podróżach byli powinni.

Taka zatém kalwakata od Żupran ku Smorgoniom, oszmiańskim jadąc traktem, mijała ostatni folwark Żuprański, gdy wielka gromada włościan na drodze zebrana, upadła przed zbliżającym się księciem na kolana, a najstarszy wiekiem, papier jakiś nad głowę podniósł.

— Stój, panie kochanku! zawołał książe i wysiadł z wozu.

— Co to jest dziatki?

— Suplika książe panie do was, od biednych waszych poddanych: odpowiedział czysto po polsku staruszek, schludniéj od wszystkich ubrany.

— A waść co za taki?

— I ja poddany W. Ks. Mości: służyłem pajukiem u ś. p. księcia hetmana ojca waszego, a teraz od jego śmierci, miałbym z jego dobrodziejstwa chleb spokojny na starość, ale tu nikomu zjeść spokojnie kawałka chleba nie dozwala tutejszy rządzca.

Książe czytał pilnie suplikę, a tymczasem podróżna kompania powysiadała także.

— A gdzież ten infamis? zapytał książe, zaczerwieniony od gniewu.

— Tu oto w tym folwarku, odpowiedział stary. Wskoczył na wóz książe, i—zawracaj do dworu! wrzasnął.

Wszyscy także ruszyli za nim; bo wiedząc o przyczynie i gwałtowności księcia, zwłaszcza dworzanie i blizcy domownicy Nieświéżcy, poznali po jego licu i oku, że się tam bez awantury nie obejdzie, i że go hamować trzeba będzie *)

Jakoż wpadł książe na ganek i spotkał tam właśnie ekonoma, niejakiego pana Pryżmonta, jak na jego nieszczęście, z bizunem w ręku hałasującego na parobka i obiecującego mu sto takich własnoręcznych.

— A tyś to! wrzasnął książe, ekonom tutejszy Pryżmont?

— Ja, odpowiedział przelękniony i zdziwiony razem, bo się nie spodziewał téj wizyty, a widział księcia na obławach, a zatém go poznał.

— A to ty, poganinie obdzierasz, uciemiężasz i katujesz moich chłopków, krzyczał książe trzęsący się od złości. Nie miał czasu przemówić ani słowa Pryżmont, bo go książe wyrwanym odeń kilka razy przepasawszy harapem, porwał za piersi; a ponieważ był to człek wysoki i suchy, więc go podjął jak tykę, i rzucił z ganku, tak silnie i impetycznie, że ten o kilka kroków padł na ziemię jak długi.

— A poczęstuję ja cię, panie kochanku złodzieju, tym samym traktamentem, jakim ty moich ludzi traktujesz—sto nahajów! héj wziąść go!...

*) Prawdziwe.

— Ależ mości książe, on podobno szlachcic! odezwał się któś z boku.

— A niech go tam djabli porwą i z jego szlachectwem, ale kiedy tak, dajcie kobierca! kobierca! nie odstąpię—sto huncwotowi, jego własnym nahajem, wołał rozdąsany... Tymczasem wybiegła pani Pryżmontowa z dziećmi i płacząca padła do nóg księcia... i nadjechała cała kompania.

Na widok licznych i dostojnych świadków swego ferworu, na skwir płaczącéj niewiasty, książe się miarkować zaczął.—Sądźcie panowie sami, rzekł, co za łotr! i czego on wart? czytajcie. A gdzież on, panie kochanku?...

Ale Pryżmont nie czekał traktamentu książęcego, i nim się około niego zaprzątniono, uciekł chyłkiem koło płotów, i już go więcéj nie ujrzano.

— Ale mości książe, rzekł Hutorowicz Pisarz ziemski oszmiański, czytając podaną sobie przez księcia suplikę — któż wie czy wszystkie skargi włościan są słuszne?

— Jak to, panie kochanku, stary pajuk mojego ojca niesłusznychby nie przynosił: a na co innego dowodu, jak ten kańczuk? który z rąk mu wyrwałem, i którym miał sto wyliczyć, jakiemuś tu chłopakowi. Właśnie na tę obiecankę trafiłem, i chciałbym jegomości samemu oddać tę kwotę. Mówicie, że on szlachcic: fałsz — bo tchórz, uciekł!

Rozśmieli się wszyscy na ten szczególniéjszy w takiéj okoliczności argument.

— Mikuć, zapytał książe, kto posesorem Żupran?

— Pan Kozieł, starosta oszmiański.

— A, zacny bardzo obywatel, zapewne nie wie o tym eksces ancie. Więc napisz waść do niego, że jego ekonoma zaraz ztąd wypędzam, za to, że moich chłopków uciemiężał, że gdy chce nadal trzymać Żuprany, niech ma officyalistów poczciwych i chrześcijańskich, a bogobojnych ludzi: bo już sam na to naglądać będę. Stanowniczy! rzekł potém do Bukowskiego, jużeś nam niepotrzebny, bo już dziś na noc będziemy w Szemetowszczyznie; waść więc zostań tutaj. Wyprawisz mi wnet tego łotra precz; dopilnujesz, aby zaspokoił, co do joty krzywdy słuszne włości, a potém pośpieszysz za dworem.

To mości panowie nie żart! przed sądem boskim trzeba nam będzie wszystkim odpowiedzieć, za naszych chłopków. U mnie tak,

panie kochanku: poczciwa szlachta to moi bracia, a chłopki to moje dzieci!

— Takim sposobem, mości książe, odezwał się Kossowski *), nieodstępujący nigdy dworu księcia i chcący wprowadzić go w dobry humor swym dowcipem, jak się mu to nieraz udawało: takim sposobem, każdy chłop W. X. Mości byłby naszym synowcem, na co jednak zgodzić się trudno, bo powiadają, że chłopi pochodzą od Chama, a my szlachta od Japheta.

— Od Chama pochodzą *kpy*, panie kochanku i waść do téj prozapii należysz **), odrzekł książe siadając zły i zasępiony na wóz swój; a śmiech powszechny skonfundował niewczesnego trefnisia.

Zbliżano się do Smorgoń, a książe nie ustawał we wnętrznym gniewie i wzburzeniu. Dobre i chrześcijańskie jego serce prawdziwém ozwało się wyrazem, gdy powiedział, że chłopki są jego dziećmi, a ztąd trapiła go myśl teraźniejszém zdarzeniem może raz pierwszy żywiéj obudzona, że pan mnogich włości i poddannych, mnogie też i ciężkie ma obowiązki względem ludzi równych jemu, a powierzonych mu w pieczę od Boga. Że za ich pracę należy im się czuła opieka; że może równegoż uciemiężenia od nieludzkich rządców, doznają włościanie i innych wsi i dóbr jego.

Cóż tu począć? mruczał sobie: objeżdżać wszystkich sam nie mogę, a panowie plenipotenci i komisarze? niech ich tam kat piecze!!! Przerwał te obsydye i rozmysły księcia, spotykający karawanę konno pokojowiec.

— Pan marszałek Fryczyński, rzekł on zatrzymując konia, kazał mi spotkać W. X. Mość, i raportować, że pan Przeciszewski, zastawnik Smorgońszczyzny, nie dozwolił mu rozłożyć się z kuchnią, i czeka na obiad W. X. Mości z całą kompanią.

— Niechże Fryczyński sam zje ten obiad pana Przeciszewskiego — mijać Smorgonie!

— Kahał, mości księże, czeka z dziesięcioro na wjeździe do miasteczka, a Rabin ma mieć mowę po hebrajsku do W. X. Mości.

Książe spójrzał surowo na raportującego młodzieńca i powtórzył — mijać! jedź!

---

*) Znajomy z 3-ciéj Seryi Obrazów trefniś.

**) Ta odpowiedź prawdziwa księcia, dała materyał potém Kossowskiemu do wielu anegdot. Długo bowiem przyjmował on na dworze Nieświeżskim rozmaite figury do swojéj prozapii, i wielką onéj sformował listę motywowaną rozmaitemi przyczynami.

— Akademia smorgońska, mości książe, — mówił jeszcze pokojowiec, nie postrzegłszy zapewna wzroku księcia, — przyprowadziła cztérech niedźwiedzi na dziedziniec do dworu, i mają tańczyć balet przed W. X. Mością.

— Mianuję cię, — odpowiedział żwawo książę, — rektorem téj akademii, a Fryczyński przyłoży ci patent na kobiercu. Ja z niedźwiedziami w lesie tylko mam do czynienia. Jedź! krzyknął na stangreta, — i mijaj miasteczko i dwór.

Zbity z humoru godnością i obietnicą księcia, jechał za nim spuściwszy głowę młodzieniec: został się potém w tyle za całą kalwakatą, w nadziei, że nie nawijając się księciu na oczy, uniknie humoru i patentu.

Wszystkie zatém solenności przygotowane na przyjęcie księcia dziedzica w Smorgoniach, spełzły na niczém: bo on przejechał kłusem wzdłuż miasteczka, minął dwór i pędził drogą ku Wilii, którą o pół mili przebyć trzeba było. Lecz gdy się zbliżał do jéj brzegów; dała się słyszeć muzyka i obudziła zadumanego. Postrzegłszy on namioty i liczne około towarzystwo, wysiadł też z wozu. To samo uczyniła cała drużyna... a na przeciw szedł z liczniejszą daleko pan Sulistrowski spotykający tu księcia na przeprawie. Muzyka brzmiała bez pauzy: okrzyki radośne i powitania nieustawały; więcéj półtorasta znakomitszych obywateli litewskich, z różnych okolic zebranych, mieszało się wzajem w powitaniu miłego gościa.

Twarz tylko jednego młodzieńca w żałobie, skromna i spokojna, jeżeli nie ćmiła powszechnéj radości, nie zwiększała jéj także. A młodzieńcem tym był nasz pan Ludwik Dowiat, towarzyszący stryjowi swemu panu Skarbnikowi, wezwanemu przez pana Sulistrowskiego do Szemetowszczyzny. Nie życzył sobie on téj podróży; lecz w liście pana Pisarza znalazło się *postscriptum* własnoręczne jego, obligujące i pana Ludwika, aby ze stryjem przybył.

Swieżą a boleśną stratą ojca dotknięty; on jakby obcy przybysz, przypatrywał się temu wesołemu zbiorowi, aż go stryj wziął za rękę i zaprezentował księciu, sam mu oddawna znajomy.

Pod namiotami rozstawione stoły, okryte były rozmaitą, a obfitą przekąską, która zastąpiła dostatecznie stracony obiad u pana Przeciszewskiego; po któréj, gdy jedno tylko dostojnego gościa spełniono zdrowie, muzyka odezwała się na promie wzywając do podróży, któréj pan Sulistrowski był przewodnikiem. Mil sześć jeszcze z tego

miejsca do Szemetowszczyzny; w nocy więc ledwo przybyć tam można było. Lecz pan Sulistrowski rozstawił po drodze przeprzęgi, manowce poreperował, a wjazd księcia w nocy, należał właśnie do programmatu okazałego przyjęcia jego.

XXI.

Przyjęcie — Kompromisa.

Rzadko dziś słyszymy o tych polubownych sądach, które dawniéj nader częstemi i zwyczajnemi były, i które albo kończyły najupartsze spory, albo je w samym zarodzie przyduszały. Nie dla tego zapewne, abyśmy mniéj mieli processów; nie wcale — juryzdykcye sądowe są niemi zawalone. Lecz wyznajmy szczerze, straciliśmy zaufanie w sobie samych? zaufanie, niechce mi się powiedzieć, w prawość i cnotę własną, a nikomu nie wierząc, nie możemy też nigdy dobrać sobie bezwarunkowych sędziów.

Póki w sercach było gruntowne przekonanie, że *szlachectwo* i *szlachetność* jest jeno i toż samo, że tytuł bez cnoty, jest próżnym i nikczemnym; póki przekonanie to, ściśle złączone z wiarą, i z bojaźnią sądu Bożego, nie dopuszczało wątpliwości nawet o sumieniu poczciwości szlachcica; póki nakoniec okrzyki poniewierka tego tytułu, nie wzbudziły lekceważenia i przymiotów jemu właściwych, a ztąd nie osłabiły w duszach samejże szlachty, względów na godność i wartość osobistą—póty szlachcic obierał śmiało rodzonego brata przeciwnika swego na kompromisarza i był pewnym sprawiedliwości. Lecz gdy... po cóż przeciwny temu, dzisiejszego towarzystwa kreślić tu porównowawczy obraz? i prowadzić niewdzięczną morałkę, tytułem i treścią dalszą tego rozdziału na myśl napomkniętą? po co prawić nieskuteczne komuna? idźmy raczéj za ciągiem powieści!

Późnym wieczorem przybył książe do miasteczka Szemetowszczyzny, i tam z podróżnego ubioru w oszmiański mundur się

przestroił. Od miasteczka do dworu prowadzi grobla długa na ćwierć blizko mili, a po obu jéj stronach ciągną się równejże długości szérokie i czyste kanały. Na sute jéj oświecenie pan Sulistrowski zebrał lampy ze wszystkich prawie wileńskich i okolicznych kościołów, i na płytkach, rzędem na wodzie do dna przymocowanych, nieprzerwaną illuminacyę około grobli zapalił, którą w oddaii zamykał front pałacu, rzęsiście światłem osypany i na szczycie cyfrą księcia jaśniejący.

Wspaniały ten i samą długością zachwycający widok światła rozlewającego się i podwajanego na kanałach, zadziwił i oćmił księcia i wszystkich jadących za nim. Krzyczano z pojazdów vivat! bravo! podniecane nieustanną salvą kilkunastu moździerzów we dworze brzmiących, a książe kręcił głową i mruczał sobie: „Dalibóg! to „lepiéj i piękniéj niż moje dobycie Gibraltaru, na które tylko „wiele prochu spalono, i nic osobliwego nie było.“

Wybite z głowy nad przewozem na Wilii, ponure myśli i humory księciu, tu do reszty znikły, zwłaszcza, gdy zajechał przed pałac i ujrzał się spotkanym i otoczonym piękném i świetném gronem płci obojéj: a na twarzach i ustach wszystkich, radość i ukontentowanie z przybycia jego.

Ludwik będący w tłumie i obojętném nań rzucający okiem, nagle wstrząsł się cały... niespodzianie bowiem postrzegł on na ganku obok gospodyni starościnę, a wnet tuż w licznéj gromadzie dziewic i swoję ulubioną Elżbietę, wdziękiem i urodą jaśniejącą nad wszystkiemi. Serce mu gwałtownie bić zaczęło. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o kolumnę gankową, aby nie upadł.... Wzrok w niéj zatopiony pałał mu ogniem, lub mglił się łzami.... Oh! wzrok taki jest sympatycznym, jest zaraźliwym.... i dla tego oko Elżbiety spotkało się z tym wzrokiem.... i padło na tę nieruchomą, smutną i żałobną postać, stojącą w cieniu o kilka kroków od niéj.

Oddawna nie widzieli oni jedno drugiego. Starościna wkrótce po sprawie trybunalskiéj, wyjechała z córką w odległe strony, na kolejne odwiedziny kilku domów swéj familii; może w nadziei, że się znajdzie ktoś, co zastąpi w sercu dziewicy obraz dotąd jéj ulubiony, i że ten rojony *ktoś* połączy w sobie warunki urodzenia i dostatków, w których ona jedynie szczęście dziecka i chlubę własną widziała. W urodzeniu i dostatkach szczęście dziecka!!! Zwyczajne, a jak mylne częstokroć nadzieje nieuważnych rodziców!...

Cała wiosna i część lata przeszła na takich peregrynacyach, nieuiszczających przecie widoków starościnéj: bochociaż piękność Elżusi gromadziła około niéj mnóstwo wielbicieli, żaden jednak się nie znalazł taki, któryby zajął rzeczywiście głowę interesowaną matki, a serce zakochane córki.

Gdy wrócili, dom Dowiatów zastali okryty żałobą; a cała osierocona rodzina, któréj Ludwik po śmierci ojca został głową, wyniosła się do Wilna, aby na łonie życzliwych krewnych, koić piérwsze bolesne rany, po téj stracie. Starościna zaś odpoczywała w domu i cieszyła się tryumfem otrzymanym w Warszawie, bo za staraniem pana Sulistrowskiego, ujrzała nakoniec owoc swych usiłowań; większy wprawdzie pozorem niż rzeczywistością, bo tylko przedłużenie posessyi starostwa Kapinowieckiego *post fata* teraźniejszego starosty na starszego syna. Nie zwiększało to więc intraty pani starościnéj, ale podniosło konsyderacyę, dla zwiększenia któréj ogłaszała ona i poczciwemu staroście wmawiała, sama nawet nie tracąc nadziei i nie zaniedbywając usiłowań, aby to było tylko wstępem do dalszych i bogatszych beneficyów.

Nie mogła zatém odmówić panu Sulistrowskiemu, gdy ten umyślnym listem zaprosił ją, jako kuzynkę do współgospodarstwa żonie swojéj w czasie bytności księcia; i lubo przemknęło jéj po głowie, że tam z Dowiatami spotkać się będzie mogła, lecz wnet się uspokoiła myślą, że familia w żałobie nie będzie chciała dzielić szumnych zabaw w Szemetowszczyznie, ani ją pan Sulistrowski zaprosi.

Wszakże inaczéj się stało: bo pan pisarz litewski miał sobie od ojca jeszcze czy dziada zostawiony proces z Radziwiłłami; przy zręczności więc, miał nadzieję łatwo teraz zakończyć. Karmelici też Głęboccy odzywali się o kombinacyę; z czego znowu miał nadzieję dostać gotówki potrzebnéj na pokrycie kosztów magnificencyi przyjęcia Radziwiłła. A ufając talentom i doświadczeniu skarbnika, sprowadził go także jakeśmy to widzieli razem z synowcem, pragnąc może Ludwikowi dać zręczność rozerwania się w smutku i przedstawienia księciu, pożytecznie wpłynąć mogącemu na przyszłość młodego człowieka.

Właśnie gdy oba Dowiatowie pojechali pod Smorgonie za panem Sulistrowskim na przejęcie księcia, nadjechała do Szemetowszczyzny pani starościna, a ztąd niespodziane spotkanie się obojgu zakochanych na ganku.

Widokiem Ludwika, jak iskrą elektryczną uderzona dziewica, równegoż z nim doznała uczucia trwogi, pomięszania i żywszego w sercu krwi bicia; ale kobiéty w takich nagłych wzruszeniach łatwiéj je tłumić i panować nad sobą umieją. Jednakże lica jego wybladłe i smutek na nich rozlany, tak głęboko ją dotknął, że nie mogąc łez wstrzymać, któremi piękne jéj oczy zaszły, aby je ukryć, wmięszała się do tłumu towarzyszek, weszła do pokoju i spokojną twarz przybrać starała się.

Ludwik został na miejscu. To niespodziane zjawienie, odnowiły wszystkie rany jego serca, całą moc młodzieńczego przywiązania, pognębionego wprawdzie brakiem nadziei, ale niewygasłego nigdy i cichym płomieniem trawiącego zawsze jego duszę. Odszedł nakoniec, niewiedząc gdzie idzie; ale unikając odgłosów hucznéj wesołości brzmiącéj w pokojach przy wieczerzy, do któréj właśnie, tam zasiadano, trafił aż za bramę i postanowił pójść do miasteczka, gdzie ze skarbnikiem mieli oznaczoną kwaterę, jako i większa część przybyłych gości; a nie wracając już do dworu opuścić jak najraniéj Szemetowszczyznę, choćby zostawując stryjaszka na miejscu.

Gdy tak rozmarzony i pogrążony w smętniejszych jedne nad drugie myślach, uszedł Ludwik z połowę grobli, oświeconéj tak, że ją całą prawie z końca w koniec przejrzeć można było; postrzegł biegącą naprzeciw siebie czwórkę i wnet usłyszał dźwięk trąbki, znajomą nótkę; i nakoniec:

„Byli nasi panowie,
„Na kontraktach we Lwowie.“

A to porucznik przybywa, pomyślił; i ledwo pomyślił, porucznik mijając rzucił nań okiem i krzyknął, stój!

— A dalibóg, jeżeli się nie mylę, to Ludwik!

— Tak—jak się masz kochany poruczniku?

Stelnicki wyskoczył z wozu, uściskał młodzieńca pokilkakrotnie, i nakoniec, cóż to jest? zapytał. Czy cię wypędzono z kompanii? Aż tu dochodzą wiwaty i huki, a ty samotnie wędrujesz wstecz. Prawda, tyś w ciężkiéj żałobie. Strata boleśna, nie ma co mówić! ależ taka wola Pana Boga! Pochowałeś ojca uczciwie i bogobojnie: byłem świadkiem i oddałem ostatnią posługę przyjacielowi szkolnemu jeszcze, a poczciwemu człowiekowi, jakich coraz mniéj na świecie... ale cóż robić! Szanuj teraz zdrowie własne bo w tobie jedyna podpora i pociecha matki twojéj i rodziny. Fortuna

chwała Bogu szlachecka dobra; a i skarbnik nie komuż, tylko tobie zbiera,

Wszystkich tych potocznych i zwyczajnych perswazyj porucznika, słuchał Ludwik jakby nie słyszał: na wspomnienie ojca, oczy mu łzami zaszły, i milczał.

Porucznik popatrzył nań uważnie i rzekł potém biorąc go za rękę—Ludwiku! wiesz i wierzysz zapewne; bobyś grzeszył śmiertelnie wątpiąc, żem twój i wasz prawdziwy przyjaciel. Mówiło się ci, co zwyczajnie mówić wypada w podobnych zdarzeniach, których ani cofnąć, ani poprawić nie można; i kto na szumne zdobywa się perory, których ja nie umiem, chcąc pocieszyć strapione serce syna po stracie rodzica, ten nie zna ludzi, a ja ich znam, bo nie zjednego pieca chleb jadłem mospanie! Boska to łaska czuwa nad sierotami i ich pociesza... dla tego i was nie opuści! a w niéj ufając nie oddawaj się rozpaczy, która tak dalece na twojéj twarzy znaczna, że mi się koniecznie zdaje, że jakaś nowa biéda do piérwszéj ci przybyła, i tak dwie cię razem dręczą. Wyspowiadaj się szczerze mój Ludwisiu przed przyjacielem. Może kto cię skrzywdził na honorze? Ja z tobą mospanie i ten brat szlachcic!!... tu uderzył po pałaszu, który nie dla proporcyi noszę przy boku, ale na obronę swego i przyjaciół honoru.

Tak szczera a życzliwa apostrofa porucznika, ujęła do żywego Ludwika; ścisnął on go za rękę, i dziękuję, rzekł z wylaniem się; dziękuję za twą życzliwośc i przyjaźń... nikt mię nie obraził.

— Dla czegoż uciekasz? wracaj więc—siadaj ze mną.

— Nie mogę kochany poruczniku, nie mogę!

— Oho! więc próżno ukrywasz się, jest w tém sęk! jest—i nie pojadę aż się nie dowiem, albo wrócę razem z tobą, bo cię w takim stanie opuścić nie mogę. Śmiało chłopcze! ja nie przez próżną ciekawość pytam, i muszę ci znowu, Boże odpuść, powtórzyć, żem twój przyjaciel; a wierz mi: *non sic tractantur amici!* *).

Ludwik sam nie wiedział co począć? pomyślił zresztą, że gdy Stelnicki dojedzie do pałacu, postrzegłszy tam starościnę i Elżbietę, łatwo domyśli się przyczyny jego ucieczki; a ze wstępnym i śmiałym swoim humorem, gotów będzie jakiém gorliwém a niewczesném słowem, zakłopocić Elżusię. Wolał go już więc uprzedzić.

---

*) Nie tak się obchodzi z przyjaciołami.

— Ot bo widzisz kochany poruczniku... mówił zatem przerywając się za każdem słowem, kiedy chcesz koniecznie wiedzieć dla czego odszedłem... i kiedy mnie dasz słowo, że ani wspomnisz tam o mnie przed nikiém... porucznik kiwnął głową na znak zgody — to ci powiem... żem tam niespodzianie postrzegł... starościnę.

— Starościnę!... Starościnę! wykrzyknął Stelnicki, a zatém i Elżusię!... jesteśmy w domu... to inna materya!... może ta pani znowu mię na Turka fortragować zechce!... Ale, ale pocóż uciekać? Ach! mój Ludwisiu, tyś diabelnie jeszcze zakochany! rozumiem — trudna rada z tobą — i z tą babą — przynajmniéj gdybyż wiedzieć, czy Elżusia dla ciebie stała?... wracaj jednak — wracaj — a w tym hurmie i zamięszaniu łatwo się znajdzie zręczność zbliżenia się ku niéj...

— Nie kochany poruczniku — nie wrócę: nie jestem w stanie wrócić! owszem jutro rano postanowiłem odjechać. Żegnam więc cię, i śpiesz się, bo się spóźnisz na wieczerzę.

— A gdzie macie lokatę! zapytał porucznik? bo tu zapewne trudno o kąt przy takim zjeździe: uważałem, że miasteczko pełne.

— Właśnie mieszkamy ze stryjem w miasteczku; i jeżeli nie będziesz mógł lepiéj się pomieścić, prosiemy do nas; po moim zwłaszcza odjeździe będzie wygodniéj jeszcze.

— Więc tu jest i skarbnik?

— Jest — jemu tylko powiedz kochany poruczniku, żeś mię spotkał i że ból głowy zmusił mię powrócić na kwaterę, aby mię darmo nie upatrywał i nie szukał w kompanii; więcéj zaś nikomu... dałeś słowo poruczniku!

— Rozumiem — rozumiem. No, więc do widzenia się — do widzenia się — z jutrzejszym twoim odjazdem... to *homo proponit* — *Deus disponit!*... obaczymy — wracam do was na noc. Nie trąb w bramie, bo nikt nie posłyszy dzisiaj, i ruszył.

Tymczasem książe zasiadł do wieczerzy, między gospodynią domu i panią starościną. Obie w grzecznościach i komplementach przesadzały się nawzajem: jedna z dworną i wyższą wielkiego świata delikatnością, jedwabne mu, że tak powiem i wonne sypała słówka: druga poczciwa, staroświeckich obyczajów matrona, za każdą potrawą do uprzykrzenia prosiła księcia o apetyt, i dokładała gwałtem na talerz jego wyborniejsze przysmaki.

Ale książe nie podobał sobie ani w komplementach, ani w delikatnych frykasach: na pierwsze prawie nie odpowiadał, i darmo je tracąc starościna, myśliła sobie: „Oj, słusznie cię zowią niedźwiedziem litewskim:“ a za drugie dziękując gospodyni jak mógł najgrzeczniéj, odsuwał jednak talerze, aż w trzecim daniu, które na stole rozstawiono, postrzegłszy na przeciwnym końcu kapłuna — za pozwoleniem pisarzowéj dobrodziki rzekł, życzyłbym aby ten jak mi się zdaje, kapłun, który oto tam stoi na półmisku naprzeciw księdza kanonika Brzostowskiego, i na który jego przewielebność z pożądaniem pogląda, przeszedł tu ku mnie, a zachęcać mnie do smacznego apetytu nie będzie potrzeba.

Postawiono więc wnet przed księciem żądany półmisek.

— I parę jarząbków przy nim, dodała uprzejma gospodyni.

— Ptaszki, to fraszki, rzekł książe zatopiwszy się w kapłunie; a gdy go zmógł całego i dokończył z nim wieczerzę, dano hasło z moździerza....

Wnet odemknęły się drzwi i okna przywarte dotąd okienicami od ogrodu: zabrzmiała muzyka w szpalerach, i okazał się cały ogród wspaniale oświecony, do którego kompania od wszystkich stołów powstawszy, zeszła. Na środkowéj zaś szerokiéj równinie zażegły się ognie sztuczne, i tysiące rakiet strzeliło razem w niebiosa, brylantowym deszczem napełniając horyzont i spadając na ziemię.

Vivat! téj saméj chwili rozległo się w ogrodzie, i jakby echem stokrotny powtórzone za ogrodem, gdzie tłumy ciekawego ludu, kilkanaście beczek miodu roztaczało. Vivat! książe, vivat!!! Liczne kielichy za przewodnictwem gospodarza podniosły sią na to hasło w górę i spełniono zdrowie księcia z uniesieniem.

Książe rozczulony do łez, ściskając pana Sulistrowskiego: Panie Aloizy, panie kochanku! rzekł,—deklarowałeś mi w Nieświeżu, że mnie po szlachecku przyjmować będziesz, a tu po królewsku przyjmujesz!

— Panie kochanku! dajże kielicha!

Podano na srébnéj tacy, wielki kryształowy kielich i starym węgierskim maślaczem napełniony po brzegi; wziął go książe w rękę, a podniosłszy w górę, wykrzyknął z mało-rossyjska:

„Sztob w hetoj chaty,
„Licha nie znaty!

wychylił duszkiem—a szał objął zgromadzenie. Słowa księcia z ust do ust z kielichem tymże przechodziły; pijatyka zaczęła się zapamiętała.

Pan Oskierka kasztelan, gdy mu się on w ręce dostał, wycisnął się z tłumu przed księcia, i poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie, wykrzyknął z dobitnym przyciskiem:

„Na pahibel temu,
„Kto nie szczyry jemu!

spełnił i siwego otarł wąsa — *Kto nie szczyry jemu! kto nie szczyry jemu!* wołali wszyscy i hurmem rzucili się w objęcia księcia.

Książe wzruszony i serdecznością braci i starym węgrzynem, płakał ściskając wszystkich i powtarzając bezustannie — panie kochanku! Staroświecka poczciwość! Staropolska cnota! Szlachecka krew, panie kochanku! Gdybym trupem padł, to was nie odstąpię! — Wszyscy jeden na drugim legniem trupem za ciebie książe! wszyscy!!!

Damy i dziewice przechadzały się tymczasem po ogrodzie; i te gromady białych i lekkich postaci to w jasném okazujące się świetle, to niknące w pół cieniach gęstszych szpalerów, ogarniały czarownym urokiem ten fantastyczny obraz, ten tłum szalejącéj zgrai!...

Lecz gdy zwyczajny nasz, przy ochocie podnieconéj puharem, symptomat żywszéj czułości dla kobiet objawiać się i tu począł, gdy młódsi odrywając się od gromady i błąkając się z pełnemi kielichami, rozrywali ich grona, a u stóp pięknych na klęczkach spełniali toasty; gdy u nie jednéj ledwo obroniony trzewiczek miał zastąpić miejsce kielicha — mimo pobłażliwe tych hołdów przyjęcie, osądziły poważniejsze mamy, że czas już był onych uniknąć. Zwróciły się zatém do pałacu, mijając zdaleka burzliwą rzeszę, na którą obok matki idąca Elżusia, nie po raz setny niespokojném rzuciła okiem, śledząc zjawienia, które ją na ganku spotkało. Zawsze jednak omylona, straciłaby może pewność, że ono rzeczywistém było, gdyby nie dostrzegła na ustroniu stojącego i nienależącego wcale do powszechnéj ochoty skarbnika, a rozmawiającego żywo z porucznikiem, którego także poznała; lubo oba unikając jakby spotkania się z damami, do ciemiejszego szpaleru weszli

Starościna postrzegła także obudwóch — zdaje mi się rzekła ona do córki, że oto tam poszli, jakby uciekali przed nami, skarbnik Dowiat i kochany nasz porucznik Stelnicki, niech go licho weźmie! bo mu nie mogła zapomnieć maskarady: czy nie uważałaś Elżuniu?

— Tak i mnie się zdało, odpowiedziała ona kryjąc swe wewnętrzne pomięszanie.

— Lampy już gasną, i trudno rozpoznać twarze, dla tego obie się może mylimy, bo Dowiat tu być nie może i nie powinien, sko-

rom ja zaproszona; a porucznik gdyby był, nie stroniłby od kielicha, ale piłby ze wszystkiemi razem i lepiéj od wszystkich.

Ta uwaga matki wznowiła znowu wątpliwość w sercu biednéj dziewczyny, idącéj dokończyć bezsennéj dla niéj nocy w niepewności i trwodze: a jednakowoż wzrok się ich nie mylił. Bo porucznik po spotkaniu się z Ludwikiem, przybywszy przed ganek, kiedy już wszyscy byli w ogrodzie, i postrzegłszy, że nie mógł tak dostojnie i uroczyście, jakby sobie życzył zaprezentować się gospodarzowi i przypomnieć się księciu, umyślił na jutro odłożyć swój wjazd wspaniały, któregoby dziś nie słyszano ani widziano: a teraz wejść *incognito*, wyszukać tylko skarbnika i z nim wrócić na kwaterę.

Znalazł go łatwo dalekiego od tłumu, i powitawszy z cicha, rozpoczął konferencyę o Ludwiku, którego właśnie chciał szukać skarbnik. Konferencya ta przedłużała się już od niejakiego czasu i wiele projektów przebrała, gdy się wzajemnie ze starościną postrzegli, a od któréj stroniąc, weszli do szpaleru, i wkrótce dostali się do wozu porucznika i odjechali do miasteczka.

Ochota przedłużała się jeszcze, nim węgrzyn nie zaczął ćmić oczu i trudzić języka wylewającym się serdecznym ośmiadczeniom, przywiązania do księcia i między sobą wzajemnym. Jedni siedzieli na murawie i próżno się mocowali do powstania, inni stali wprawdzie jeszcze i bełkotali jakieś staroświeckie, a niewyrozumiane oracye; inni nieprzestając powtarzać hasła pana Oskierki, ściskali bez ustanku księcia siedzącego na krześle i odzywającego się także niewyraźnie: „Ja wasz brat! Ja wasz sługa! Staroświecka poczciwość! choćby trupem paść! dość panie Aloizy, dość, panie kochanku!...

Gospodarz tylko sam jeden się oszczędzał, i za danym przez niego znakiem, znowu mnóstwo rac wzniosło się w górę, muzyka zabrzmiała marsz. — *Vivat!* odezwało się na wszystkie strony... i tak się zakończyła owa noc, jakby z *Tysiąca nocy* naśladowana; może ostatnia w Litwie, łącząca potężnego magnata a duszą i sercem szlachcica, braterstwem uczuć i obyczajów, z ziomkami bracią jego.

Dzień następny poświęcony być musiał odpoczynkowi i spokojniejszym zabawom. Kompania około południa ledwo zbierać się poczęła do dworu; skarbnik niedozwoliwszy Ludwikowi zabierać się do powrótu, rano tam pojechał, i wpuszczony do gabinetu pana Pisarza,

długą odbył z nim konferencyę. Po niéj powrócił do miasteczka, odsznurował swoję walizę, a w niéj więcéj było papierów niż manatków; wyjął z niéj dekret ziemstwa wileńskiego w sprawie ze starościną, o którego treści z początku téj seryi czytelnicy świadomi, i dekret trybunalski w sprawie Karmelitów z Sulistrowskim. Wiedział bowiem że Karmelita z Głębokiego siedzi od dni kilku w plebanii i czatuje na dogodną chwilę, zagajenia za pośrednictwem księcia kombinacyi. Włożywszy oba dokumenta za nadrę: no rzekł, poruczniku dobrodzieju, czas jest i nam stawić się na pokoje; pojazdy jak widzicie jadą tam już a jadą, a waćpan panie Ludwiku, czemu dotąd nie ubrany?

— Ja bo mój kochany stryju, jechać tam nie myślę; owszem zbieram się wnet do powrótu.

— A to *quo modo?* mówiłem, że to być może. Zarekomendowałem waćpana księciu, a więc mogą zapytać mnie gdzieś się podział? to raz; a powtóre *inter nos loquendo* odbyłem dziś *colloquium* z panem Pisarzem; ponieważ tu jest i starościna, więc może przyjść do jakichciś ewentów... i kombinacyi, za pośrednictwem takiém, któremu starościna odmówić nie będzie mogła, ani się oprzeć. A zatem prezencya waćpana jako aktora rzeczy, może być koniecznie potrzebną.

— Tfu Ludwisiu! odezwał się porucznik: gdy nie pojedziesz, zdawać się będzie, że alboś starościny się uląkł, alboś Elżusię znienawidział, a biedaczka musi cię kochać zawsze!!!

— *Inter nos loquendo*, tak mnie upewnia Pani Dulska; i namieniłem cóś o tém i panu Pisarzowi.

— A cóż on na to, zapytał Stelnicki? — Ludwik stał osłupiały.

— On na to... on na to, kiwnął głową—*sperandum* zatém...

— I cóż *sperandum?* zapytał niecierpliwy porucznik.

— *Inter nos loquendo*.... *sperandum*... że postąpi sobie roztropnie.... tak jak waćpan panie Ludwiku postąpiłbyś nieroztropnie, gdybyś nie został i odjechał. Bóg wie jakieby ztąd wnioski *publicum* wyprowadzało, a ja rozpocząwszy traktacyę interesu ważnego dla was, wstydzićbym się musiał. Dla tego suplikuję *amantissime* *), abyś się nie dziwaczył, i *sine mora* **) ubrał się i z nami jechał.

---

*) Najukochańszy.

**) Bez zwłoki.

Możeby te wszystkie ekzorty stryja i porucznika, nie zrobiły żadnego skutku, a wzmianka napomknięcia przed panem Sulistrowskim, o uczuciach jego dla starościanki, możeby mu do reszty śmiałości ujęła, gdyby słuchającemu perory Skarbnika, nie przyszła na myśl owa łezka, którą postrzegł wczora w oku Elżuni i gdyby Skarbnik nie dodał swéj wiadomości od Dulskiéj, że ona kocha go zawsze. Ta wiadomość i ta łezka, pokonała w nim trwogę, pobudziła żywą chęć widzenia raz jeszcze ulubionéj, i łatwiéj skłoniła do woli stryja, niż jego *sperandum*.

Tymczasem bryka jadąca do dworu, mijała okienka ich kwatery.—Oho! spójrzawszy na oną wykrzyknął Skarbnik, Karmelita pojechał; nie mam więc ani minuty do stracenia. Ależ księżyna ma widać dobrych szpiegów we dworze! dowiedział się zapewne, że dziś książe i wszyscy odpoczywać będą, a zatém czas najsposobniéjszy do traktacyów; jadę więc, a proszę porucznika dobrodzieja, abyś nie dopuścił panu Ludwikowi, spernować moją obligacyą i przywiózł go z sobą do dworu.

Zakładano już bunczuczny a znajomy nam ekwipaż porucznika; tylko zamiast siwych kuców, dawno przehandlowanych, czwórka ciemno-wiszniowych, roślejszych i figurniejszych była w zaprzęgu. Obejrzał on ją troskliwie, tarł sam blachy i guziki na chomątach, wbił chłopakowi woźnicy na głowę kaszkiecik z piórami na bakier, odstąpił kroków kilka dla przypatrzenia się jak to wszystko wygląda, i taką lakoniczną dawał mu instrukcyę:

—„Słuchaj!... *Cyt!* nim nie powiém *plaż!* wtenczas trzy razy *z bicza!* potém *trąbkę w pysk!* potém *piéj!* a potém aż do ganku *plaż!*“

— Ależ poruczniku, czy nie za huczno wjeżdżać będziemy?— rzekł Ludwik słyszący tę instrukcyę.

— Jak to? nie uwierzysz jak wiele zależy, na dobrym piérwszym wstępie. Wjeżdża mospanie oficer pińskiéj brygady? *quondam konfederat* mospanie! Szumno i huczno! bo tak przystoi... Znam Radziwiłła, od razu mię polubi za taki wjazd, i u wszystkich inna konsyderacya mospanie, bo jak cię widzą tak cię piszą. No idźmy ubrać się Ludwisiu, konie gotowe stać długo nie lubią.

Gdy wyszli wkrótce do wsiadania, sprzeczność obu nie tylko w wieku, lecz w ubraniach i obliczach uderzała widocznie. Porucznik ustroił się galowo, ale podług swego wyobrażenia i gustu; a przyznać trzeba było, że znał dobrze co mu do figury i twarzy

przypadało. Ubiorem chciał on zda się wytłumaczyć widzom, że był żołnierzem, że nim już nie jest, lecz, że kocha swą wojskową przeszłość i od jéj znaków odwyknąć zupełnie nie może. Na białym więc atłasowym żupanie, krótki granatowy kontusz, po wszystkich szwach i brzegach złotemi sznurkami oszyty, spiął on zamiast pasa takimże złotym szérokim pendentem, zapiętym srebrną blachą, na któréj cyfra królewska jaśniała i na nim krzywą turecką szablę zawiesił. Na lewém ramieniu suta mu szlifa, przez piersi zaś taśma z szerokiego galonu z ładownicą z blachy złotéj, błyszczały; do tego ogniem świeciła brylantowa szpinka na szyi i takiż pierścień na ręku.

— A cóż? rzekł on do wychodzącego z nim razem Ludwika, kładąc na głowę aksamitną karmazynową magierkę i poglądając na siebie z zadowoleniem. A cóż? precz od złota mospanie! u nas tak!...

Ludwikowi żałoba nie dozwalała żadnych świetnych odzieży; lecz wybierając się z Wilna, na tak gromadny festyn, musiał on garderobę swoję o ile można przysposobić do przyzwoitości. Zamiast więc grubéj ratyny, z cienkiéj i lśniącéj się sajety czarnéj, na czarnym pod spód atłasie, uszyty zgrabnie ubior polski, pasem czarnym materyalnym ze srebrną fręzlą przepasany, okrywał i odznaczał piękną kibić młodzieńca, na którego twarzy tak niegdyś żywéj i wdzięcznéj, podwójny dziś smutek w duszy mu tlejący, bladem czołem i przyćmioną źrzenicą wyrażał się oczéwiście; a jednak tym interesowniejszym czynił go, oczom dla niego życzliwym i sercom dlań skłonnym.

Gdy ruszyli, Porucznik z ukosa poglądając na Ludwika i niewiele dobrego wróżąc z jego miny: — bądź lepszéj myśli, mój kochany Ludwisiu, rzekł: pokazać się młodemu piérwszy raz na takiéj publice z twarzą męczennika, a z humorem ogranego szulera, jest to paść na opinii bez powstania; Starościnéj będzie i po duszy żeś tak z tropu zbity.

Oburzona temi słowy miłość własna młodzieńca ożywiła mu oko.

— Wszakże cię nikt do tańca nie poprowadzi, mówił daléj Porucznik, i wesołość w twojéj pozycyi byłaby również szpetną jak i ta twarz twoja do lamentów skrzywiona, a z którą Elżunię bardziéj przestraszysz niżeli za serduszko ujmiesz.

Ten argument nie był także bez skutku. Prawdę mówi, pomyślał Ludwik, trzeba nad sobą jakkolwiek panować i po wczorajszemu nie stracić głowy.

Wtém Porucznik pomiarkowawszy, pewną dostateczną dystancyę, i widząc już kompanię na ganku, zawołał: *plaż!*

Więc zaczęła się spełniać instrukcya od trzykrotnego hasła z bicza, i tak z kolei — aż po trąbce i śpiewie, z ostatnim onego trzaskiem, śpieniona czwórka stanęła wryta przed gankiem.

Nie omylił się Porucznik, gdy wróżył pochlebne dla się wrażenie ze swego wjazdu; i nim jeszcze minął bramę, widząc go i słysząc książe, zapytał pana Sulistrowskiego, przerywając zagajaną kombinacyę z Karmelitą stojącym podle. — A toć panie kochanku, jakiś gracz przybywa? Słyszycie trąbkę? wyśmienicie! Zda mi się, że to będzie Porucznik Stelnicki: on niezawodnie—zgadłbym go po znajoméj tu u nas wszędzie trąbce, ale i samego dostrzegam — któż to z nim drugi?

— To mój synowiec, — rzekł pan Skarbnik: — wczora miałem honor prezentować go księciu panu. A o którym ja dziś W. X. Mości namieniłem, — rzekł pan Sulistrowski.

— Aha! wiém panie kochanku.

Tu wysiedli oba przybyli z bryki; Porucznik przywitawszy prędko spotykającego ich gospodarza i na późniéj dalszy z nim odkładając rozhowor, stanął przed księciem, i rzekł wyciągając magierkę do kolan jego:

— „Biorę assumpt rekomendowania siebie W. X. Mości, od niedźwiedzia.... to jest od przypomnienia, żem kiedyś miał honor konsystować z moją kompanią w Łachwie, i ubić go przypuściwszy na kroków pięć, a to w oczach W. X. Mości! Białoszyja bestya — wielka jak koń! Zjednałem natenczas applauz W. X. Mości, który mi odzywa się aż dotąd w sercu... a serce to składam dziś u stóp księcia pana i dobrodzieja! Tadeusz ze Stelni Stelnicki herbu Róża, Porucznik pińskiéj brygady.“

— Dziękuję panie kochanku, panie Poruczniku, dziękuję uniżenie i serdecznie za tę jego rekognicyę, dla mnie, — odpowiedział książe ściskając go uprzejmie. — Dalibóg gracz! czy nie mówiłem? zapewne z panem Pisarzem Litewskim dawna znajomość!

— O i bardzo! dawny ja sługa tego pana: a dowiedziawszy się z powszechnego rumoru na litewskim świecie, że on będzie miał zaszczyt przyjmować W. X. Mość, w progach swoich, pośpieszyłem

abym miał także szczęście oglądać oblicze pańskie, i cieszyć się powszechną radością, z tak wysokiego i ukochanego gościa.

— Wielce obowiązany ci jestem, — rzekł Sulistrowski, — dajesz dowód żeś mój przyjaciel; a do rekomendacyi Porucznika mówił obracając się do księcia, muszę dodać, że równie tęgi myśliwy, jak i znawca na konie.

— Oho! przypomniałeś panie dobrodzieju — przerwał Porucznik moje porcenelo-strokate — nie było w Litwie i nie będzie takich drugich.

— Obaczymy, — rzekł uśmiechając się Sulistrowski, — jeżeli nie maścią to cnotą, może się znajdą podobne. Właśnie mam się chwalić przed księciem moją stajnią — kazałem wyprowadzać.

Stełnicki natenczas zaczął powitania ze wszystkiemi: większa część znajoma, winszowała mu wybornéj rekomendacyi. A tymczasem pan Sulistrowski, wziął Ludwika za rękę i stawiąc go przed księciem rzekł:

— Dozwól mi W. X. Mość zalecić względom swoim tego młodzieńca: Stracił on ojca, niechże ma opiekuna w W. X. Mości; a wart tego, bo jest z rodu najżyczliwszych sług domu księcia, i przymiotami swemi pięknemi, obiecuje zacnego z siebie obywatela krajowi i ziomkom.

— Panie kochanku, miło słyszeć taką zaletę. Pamiętam Augustyna Dowiata, plenipotenta *quondam*, mojego pana ojca księcia hetmana; jak on ci się godził?

— Stryj to mój mości książe.

— Podobno się zakapturzył — czy żyje jeszcze?

— Żyje mości książe, i teraz podług reguły swego Trynitarskiego zakonu, wybrał się do Turcyi, dla wykupienia niewolników z niewoli pogańskiéj.

— Ach! panie kochanku! po moich tam śladach chodzić będzie.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że książe nigdy nie był w Turcyi; ale że na konto kilkuletniéj emigracyi swojéj, wymyślał śmieszne anegdoty i awantury, po różnych jakoby krajach mu zdarzone, a dowcipnym i oryginalnym sposobem je opowiadał; przeto otoczyli go kołem, a ktoś zapytał: — A jakże się tam księciu powodziło?

— Rozmaicie panie kochanku — i tak owak — ale na końcu jak poznałem się z sułtanem, to tak pokochaliśmy się i do takiéj przyszli komitywy, że on mnie chciał zrobić *Kapi Agą*.

— A cóż to znaczy *Kapi Aga?*

— A to panie kochanku, ważny urząd! to po naszemu tłómacząc, permodum *sekretarz seraju.*

— Czemużeś książe nie przyjął téj ważnéj funkcyi? i jak zdaje się mającéj zkąd indąd niejakie zalety?

— A tak, panie kochanku tak! przyjąłbym, pewnie przyjąłbym; ale stoi w alkoranie, i sam wyczytałem: że kto jest syndykiem bernardyńskim, ten nie może być *Kapi Agą.*

Rozśmieli się wszyscy prócz księcia, który jak zwykle tonem prawdy i rzeczywistości, takowe swe opowiadał improwizacye.

— Powróciwszy do Nieświeża, — mówił daléj książe, — chciałem wysłać księdza Katembryka do Konstantynopola, dla nawrócenia jego sułtańskiéj mości, aby się ochrzcił i przyjechał do Litwy; dawałem i suplement na drogę i list mój do niego. Ale cóż? odpowiedział on: „niech jedzie X. Dederko, jemu bliżéj z Ołyki do Stambułu. Prawda: więc ja do księdza Dederki z propozycyą: a on niech jedzie ksiądz Toczyłowski, on biskupem *in partibus infidelium* *), jego więc rzecz nawrócić samego herszta niewiernych, i tak żaden nie pojechał; ot takato gorliwość naszego duchowieństwa względem naszéj świętéj wiary.

Tymczasem wyprowadzono konie na środek obszernego dziedzińca, w okopaną w krąg ujeżdżalnię. Na czele, wiedziony przez dwóch masztalerzy szedł dzielny arab kary, w bogatym węgierskim rzędzie, dodającym mu ozdoby i zachęcającym do próby na nim zręczności i odwagi ochotników. Mało jednak takich znaleźć się mogło; bo ogień tryskający z oczu konia, piana, ziejąca z nozdrzy i pyska, oraz silne i krnąbrne susy jego, nie wróżyły szczęśliwego losu jeźdzcowi. Przy nim kilkanaście razem stanęło koni do tego przeglądu. W owym czasie wszyscy jeszcze byli mniéj więcéj znawcami i amatorami stadnin, dostarczających możniejszym pięknych zaprzęgów i znacznéj intraty, a szlachcie choć pary co rok koników i za nie kilkudziesięciu dukatów do szkatuły: wszyscy więc zeszli na dziedziniec i opatrywali je z upodobaniem.

Stelnicki nad każdym prawie, odbywał uczoną rozprawę, o składzie, rodzie i zaletach każdego. Przyznawano mu w tym względzie znajomość gruntowną, ale nikt się nie przesadzał w pochwałach

*) W stronach zamieszkałych przez niewiernych.

któregokolwiek konia pojedyńczo, bo znał każdy, że właściciel, czekał tylko na tę pochwałę, aby wnet darowizną podobającemu przysłużyć się.

— A cóż poruczniku?— odezwał się Sulistrowski,— czy nie warte twoich porcenelo-strokatych?

— Nie ma już ich Panie pisarzu dobrodzieju! nie ma już ich i na tym świecie bodaj! a zatém *de mortuis, aut bene, aut nihil.* *)

Rozśmiano się na ten dowcipny wykręt porucznika i zgromadzono się około osiodłanego araba, któremu się i książe szczególniej przypatrywał.

— Ten koń, panie kochanku, powiedziałbym, że wyprowadzony ze stajni mojego przyjaciela sułtana, a stojąc tu osiodłany od kwadransa narąga się młodzieży naszéj, nieśmiejącéj go dosiąść. O gdybym był młódszym!

Na taką przymówkę księcia, wielu młodych kawalerów spójrzało po sobie, ale żaden nie wystąpił; widząc jeszcze, jak liczne grono dam i mężczyzn mogło być świadkiem zdarzyć się mogącego szwanku.

— Jeżeli pan Pisarz dobrodziéj pozwoli?— rzekł Ludwik przystępując do konia.

— Pozwalam z ochotą,— odpowiedział Sulistrowski,— ale życzyć nie mogę; bo widziałem nieraz, jak silniejsi zapewne od pana masztalerze, spadali zeń jeden po drugim; a nawet memu koniuszemu, który go najeżdża, nie zawsze udaje się przejechać go i pokonać.

— Obaczymy,— rzekł Ludwik i zabierał się do wsiadania.

— Brawo!— zawołał Stelnicki, zatrzymując go,— brawo! Śmiało! wiém żeś jeździec dobry: wszelakoż posłuchaj mnie. Znam konie téj rassy; miałem bułanego a dister takiego; pamiętaj, że one są miękkiego pyska: nie spinaj go zatém broń cię Boże! i ciszéj dodał, wypuść go powolnie — niech leci, a daj mu tylko dyrekcyę na groblę i trzymaj się. Spaśli go nadto, zastały jest; widać pan koniuszy nie lubi go często dosiadać: jak całą groblę przeleci po piasku, zmorduje się, a wtenczas zawróć i przyjedziesz tu jak na baranku.

— *Inter nos loquendo*, ta próba skończyć się może na złamaniu karku,— rzekł niespokojny Skarbnik.

---

*) O umarłych, albo dobrze, albo nic.

— Milcz kauzyperdo!—zawołał niecierpliwie porucznik—i wnet postrzegłszy się, dodał — skarbniku dobrodzieju nie odbieraj energii młodemu! Ludwik tymczasem już był na koniu...

Ten wstrząsł się i parsknął, rozrzucając pianę w około... kark w łęk przechylił, co mu tém piękniejszą dało figurę, i z miejsca dał kilka gwałtownych szprynglów, probując jakoby jeźdzca i używając sposobu, którym prawie każdego od razu z siebie pozbywał.

Ale nowy ten jeździec, gdy nań siadł, przyrósł zda się razem do niego.

— Ach! ach! krzyknęły w oknach damy.

— Brawo! brawo! krzyczano na dziedzińcu.

Ludwik pomny na rady doświadczonego porucznika, puścił lekko wędzidła i zaledwo dawał je uczuć drażliwym ustom krnąbrnego źwierza. Gryzł on je złośliwie, miotał się, słupił, i w takich kaprysach, susach i skokach, obszedł ujeżdżalnię.

— Brawo! powtarzano, brawo! i krzyczano dosyć! dosyć!

Ale Ludwik zawrócił ku bramie i tam dał poczuć koniowi, że niesie mężnego i silnego pana nad sobą, nie zaś lękliwego i wątpliwego barejtera. Ścisnął go mocno kolanami, trącił obcasem, cmuknął i wypuścił na groblę...

Gdyby można było zgadywać na pewno, instynkta źwierząt, powiedziałbym, że koń omylony w nadziejach, i poznawszy wartość jeźdca, postanowił teraz dowieść mu własnéj. Bo w mgnieniu oka rozciągnął się aż ku ziemi i jak prawdziwy potomek sławnych wychowańców pustyni, lotem chyba ptaków dościganych, śmignął czarny koń i czarny jeździec po długiéj grobli, i wnet znikł w oddali z oczu, ciekawie i niespokojnie nań patrzących....

Jeszcze kilka kobiécych ach! wśród których może było jedno troskliwsze, dało się słyszeć przez okno, a skarbnik rzekł do pana Sulistrowskiego.—Czy nie trzeba kogo posłać za tym nieuważnym śmiałkiem: *inter nos loquendo* lękam się...

— A któż go dopędzi mój kochany skarbniku?

— No, no, bądźcie spokojni, rzekł porucznik, ja ręczę, że wróci najbezpieczniéj; i uśmiechał się gładząc czoło, bo był kontent z mądréj swéj rady danéj Ludwikowi. Nie chwalił się z niéj jednak, chcąc zostawić wszystkę chwałę swemu młodemu przyjacielowi, z téj śmiałéj próby.

— Panie Aloizy, rzekł książe zbliżywszy się konfidentnie do pana Sulistrowskiego: to walny chłopak panie kochanku! Młoda krew,

a przy zaletach innych jakie mu przyznajesz, wart czego lepszego jak patrociniów stryjowskich. Starościna bałamuci ze swoim babskim uporem.

— To też polecam go względom W. Ks. Mości w téj szczególniéj okoliczności.

— A już ja go nie opuszczę!... daruj mu tego konia panie Aloizy.

— Z całego serca; ale pewny jestem, że nie przyjmie: sprobuję jednak.

Wytężony wzrok wszystkich i ciekawe oczekiwanie, przerwało rozmowy; krótkiemi tylko słowy ów nadzieję, ów wątpliwość, inny jedno i drugie „może wróci — może nie wróci“ wyrażał. Aż wkrótce zabrzmiał okrzyk powszechny. — Wraca! wraca!

Jakoż zbliżał się wolnym i pięknym galopem, a wkrótce przebył bramę, na spienionym ale spokojniuteńkim koniu Ludwik, i głaszcząc go wdzięcznie po szyi objechał wśród hucznych i z okien i z dziedzińca oklasków, jeszcze parę razy ujeżdżalnię, zsiadł nakoniec i oddał go masztalerzowi.

Arab parsknął, wstrząsł się i zarżał; a całe stado odpowiedziało głośném i szérokiém rżeniem, jakby chorem dzielnemu reprezentantowi ich rodu.

Spotkał go najpiérwszy książe, uścisnął serdecznie, a za nim wszyscy. Podszedł i Stelnicki: a co? rzekł on z cicha.

— Mądrze poradziłeś kochany poruczniku, dziękuję.

— Panie Ludwiku, rzekł Sulistrowski, ponieważ potrafiłeś pokonać upor i swawolę tego warjata, a u mnie nikt tego nie może dokazać, więc zmiłuj się weź go sobie; przynajmniéj go darmo karmić nie będę.

Takim sposobem oświadczając dar swój, Sulistrowski chciał jak najzręczniéj uśpić drażliwą delikatność młodzieńca.

— Dziękuję, najpokorniéj dziękuję, ale za względy tylko, których mi dowód pan dobrodziéj dać pragniesz, odpowiedział Ludwik, szczérym i wzruszonym głosem: przyjąć wszelako konia nie mogę, bo właśnie darmobym go karmił. On potrzebuje opatrzenia i starań, jakie tylko w dostatnich stajniach znaleźć może: szlachecka, żadnym sposobem nie będzie dlań dogodna, a bez tego, straci on nie tylko na piękności, ale i na rzeczywistéj swéj wartości i cnocie.

— Ja go od pana wnet kupuję, odezwał się pan Zenowicz. Dwieście czerwonych złotych....

Ludwik spójrzał nań z uśmiechem... — niech go pan kupuje u właściciela rzekł, a tym jest pan Pisarz litewski.

Ten spójrzał na Radziwiłła, wzrokiem, w którym było zapytanie, a co? czy nie zgadłem? Radziwiłł pokręcił głową.

Gdy wrócili na ganek, a książe zasiadł znowu na swém kurulskiém krześle, na którém rozpoczął był, za wspólną stron zgodą, kombinacyę między panem Sulistrowskim i Karmelitami, przeor ich, który sam tu przybył dla tak ważnego interesu, rzekł do księcia: „Mości książe dobrodzieju! słyszałem niedawno sprawiedliwą wymówkę księcia pana, wyższemu naszemu duchowieństwu, obojętności o rozszerzenie wiary naszéj świętéj, między niewiernémi. Niechże za łaskawém pośrednictwem W. Ks. Mości JW. Pisarz litewski zostawi nam dosyć funduszu, a my zakonnicy zawstydzimy wysokich prałatów, i ja sam o własnym sumptcie pojadę do W. sułtana, bylem tylko miał doń list od W. Ks. Mości."

Rozśmieli się znowu obecni. — Panie kochanku, rzekł książę do przeora, masz głowę nie dla proporcyi. Więc jakże panie Aloizy?

— Raz się zgodziłem na zdanie W. Ks. Mości i o nie sam prosiłem, więc i czekam.

— A waść księże?

— Nie pozostaje mi nic więcéj, jak powtórzyć słowa JW. Pisarza, a polecić fundusz nasz, na chwałę Boską przeznaczony, i klasztor, pod szczególną opiekę W. Ks. Mości, jako w miasteczku księcia będący, tejże wspaniałéj jego opiece.

— A masz waść z sobą *pecunium* *) panie kochanku?

— Ksiądz skłonił się nizko.

— Wyliczże panu Sulistrowskiemu pięć tysięcy dukatów — i odprawić sto mszy za duszę Korsaka, i sto drugie za pannę Sulistrowskę, aby i na tamtym świecie był pokój między niemi. To mój dekret kompromisarski!

— Dziękujemy zań W. Ks. Mości rzekły obie strony.

— Brawo! zgoda — wykrzyknęli wszyscy.

— To mi dekret odezwał się Kossowski, co i żywych i umarłych godzi.

---

*) Pieniądze.

— Panie skarbniku, rzekł z cicha Sulistrowski do Dowiatta: odbierzesz pieniądze od księdza, i zakwitujesz go z całego dekretu trybunalskiego — honorarium pańskie liczy się od wygranéj summy w Trybunale.

— Panie Aloizy, rzekł znowu książe, rozsądziłem cię z Karmelitami, ale któż nas samych rozsądzi?

— Jak to Mości książe?

— A tak panie kochanku, zdaje mi się, że mamy między sobą jakiś dawny proces, o jakąś wioskę tu w powiecie Oszmiańskim będącą. Rupejko niedawno mi o tém wspominał, gdym się wybierał do Szemetowszczyzny. O cóż tam idzie? zapewne lepiéj odemnie wiész panie Aloizy.

Sulistrowski rad był w duszy, że książe sam napomknął o interesie, do traktowania którego możeby nie mógł upatrzyć zdolnéj godziny.

— A tak jest Mości książe, prawda, mamy proces od pradziadów nam zostawiony: ale zostawmy go woléj prawnukom; a nie mieszajmy uboczną materyą, wesołych chwil bytności tu W. Ks. Mości.

— Na to nie ma zgody panie kochanku. Ja nie mam dzieci, a zatém i wnuków mieć nie będę; ale mam chwała Bogu przyjaciół; przynajmniéj niech ci będą mi życzliwi, a bez żadnego ze mną interesu. Mów więc panie Aloizy o co idzie?

— Kiedy koniecznie tego żądasz W. Ks. Mość: to niechże i tu będzie kompromis.

— Dobrze, wyśmienicie!

— A zgadzasz-że się książe na kompromisarza, którego podam?

— Zgodzę się panie kochanku, i każdego z obecnych tu akceptuję, bo wszyscy są zacni i poczciwi obywatele; daję na to moje szlacheckie słowo!

— Obieram więc na jedynego kompromisarza, w sporze między mną i ordynatem nieświéżskim... tu zamilkł jakby się namyślał...

— Kogo panie kochanku?

— Księcia Karola Radziwiłła wojewodę wileńskiego!

— Brawo! brawo! krzyknięto.

— Nie ma zgody na to panie kochanku! sam swojéj sprawy sądzić nie mogę — nie ma zgody.

— Mam słowo W. Ks. Mości, że przyjmiesz każdego kompromisarza jakiego obiorę: więc oświadczam najuroczyściéj, że ani tego szlacheckiego słowa W. Ks. Mości, ani rozprawy, ani obranego kompromisarza, ani jego dekretu nie odstąpię.

— Tak, tak, Mości książe; odezwało się wielu — *Verbum nobile!* nie ma rady.

— Wpadłem w sak panie kochanku!... niechże i tak będzie; słucham sprawy.

Sulistrowski przywołał skarbnika. Stawię rzekł przed JO. Kompromisarzem mego generalnego plenipotenta: on świadomy wszelkich moich interesów, opowie i ten dokładnie, a plenipotenta obowiązuję, aby bez żadnych dyffugiów prawnych, jak najprościéj...

— I jak, jak najkróciéj, przerwał książe.

— I jak najkróciéj, powtórzył Sulistrowski, interes takowy opowiedział; ależ mości książe, któż będzie bronił interesu W. Ks. Mości?

— Moim plenipotentem panie kochanku będzie ordynat nieświeżski: co on powié, ja za moje własne słowa uznam.

Znowu oklaski i śmiechy rozległy się — ciekawy to kompromis! Ciekawy sąd Salomona! *Inter nos loquendo*...

Śmiech znowu powszechny przerwał mowę skarbnikowi, którego przysłowie tak niestosownie do wielkiéj kompanii słuchającéj go, przypadło.

Niezmięszany skarbnik kontynuował — Wieś Świrany Mości książe, mająca chat trzydzieście, sama jedna bez dworu, leżąca ztąd o mil trzy, oddawna przysłuchuje...

— Co to jest, panie kochanku, przysłuchuje? czy jéj kto trąbi?

— To jest należy Mości książe.

— A to tak i mów, panie kochanku.

— Należy więc oddawna do Szemetowszczyzny, ale...

— Niechże i na zawsze należy i przysłuchuje rozkazom pana Pisarza litewskiego, jako swego odtąd dziedzicznego pana, bez żadnéj pretensyi księcia ordynata Radziwiłła.

Taki jest mój dekret kompromisarski! panie Aloizy, dodał obracając się do zdziwionego Sulistrowskiego *) proszę się nie przeciwić ani obżalać mego dekretu. Ordynat nieświéżski zeń bardzo kontent, i upewniam cię, że się pogniewa i zmartwi, jeżelibyś nie

*) Prawdziwe.

chciał go przyjąć; a nie możesz panie kochanku, boś sam dał także słowo szlacheckie.

— Ale W. Ks. Mość nie słuchałeś całéj sprawy: ja trzymam wprawdzie po moich antecesorach tę wioskę, ale dom Radziwiłłowski, którego dobra i prawa zjednoczyły się teraz w osobie W. Ks. Mości, długim i aż dotąd trwającym procesem, zaprzeczał zawsze i teraz zaprzecza mi dziedzictwa, mieniąc ją być tylko w zastawie, i pragnąc wykupna onéj przez zwrót summy, kilkunastu kop groszy litewskich...

— Na przeciw tego rzekł pan skarbnik, Sulistrowscy przynoszą...

— Ale ja nie chcę niczego słuchać, panie kochanku! i nie łamcie mi tym już więcéj głowy. Proszę panie Aloizy, dodał uprzejmie, kiedy mnie kochasz—koniec procesu między nami. Mikuć, napiszcie z panem Dowiattem, co tam ku temu potrzeba będzie.

— Niechże się staje wola księcia!—rzekł Sulistrowski: nowe obowiązki wdzięczności dla ciebie książe, nie zwiększą bynajmniéj życzliwości mojéj i przyjaźni, bo ta jest najszczerszą i wieczną. Uściskali się oba—Vivat! jeszcze raz zabrzmiało: a Kossowski rzekł:— to mości panowie *Kasselka* nieżświéżska, lepsza bodaj od królewskiéj *janczarki*— i dano znać do obiadu.

Po obiedzie, na którym nie obeszło się bez kielichów, spowodowanych zwłaszcza dwóma szczęśliwemi kompromisami: książe potrzebujący odpoczynku, zniknął z kompanii, aby go użyć przez czas niejaki. Nie jeden z podeszlejszych poszedł za jego przykładem, kompania przerzedziła się. Damy, u których nie było jeszcze we zwyczaju przebierać się po kilkakrotnie, i w innéj niżeli na obiad, występować na wieczorne zabawy sukni, rozeszły się to po ogrodzie, to po apartamentach rozległego domu Szemetowszczyzny.

Pan Ludwik nie zbliżając się do Elżuni, nieodstępującéj boku matki, przejmował tylko jéj nie częste ale miłe na siebie wejrzenia i własne na nią zwracał.

Korzystając z téj chwili powszechnego rozstrojenia kompanii, Sulistrowski zbliżył się do starościnéj, i zręcznie odprowadziwszy ją do drugiego pokoju, z którego ona jednak nie straciła z oczu córki:—Wiesz co kochana kuzynko, rzekł, pomoż mnie dzisiaj zabawić księcia: na jutro gotuję mu polowanie we zwierzyńcu; w następnych dniach, będą przejazdki, i inne przy tém krotofile. Lecz

dzisiaj dzień spoczynku, a nie chciałbym aby to był dzień nudy dla księcia i dla wszystkich.

— Cóż mam zrobić?

— Oto zrobmy mu jeszcze jeden kompromis — niech książe będzie sędzią między wami, kochana starościno, z Dowiattami.

Starościna zdziwiona na tę niespodzianę propozycyę, prawie odskoczyła do Sulistrowskiego.

— Czy na to mię sprowadziłeś panie Pisarzu?

Sulistrowski wrócił znowu do swego uśmiechu, i nim pokrywając porywczość starościnéj, a muskając wąsika — Moja kochana kuzynko, rzekł: zaprosiłem cię na wspólną gospodynię domu mego, pewny bardzo, że go uweselisz i ozdobisz, i nie omyliłem się. Ale nie mogę powiedzieć, żeby w tym jeszcze nie było i szczególniéjszego interesu...

— Interesu pogodzenia mię z faworytami swemi Dowiattami: prawdziwie, kochany kuzynie, dziwię się téj twojéj dla nich miłości.

— Właściwiéj starościno dziwić się bym mógł, twojéj nienawiści... Ale nie zgadłaś prawdziwego interesu, choć jest twój własny....

— Mój własny? nie pojmuję.

— Czy zrobiłem małą przysługę kuzynce, przykładając się do wyjednania przedłużenia przywileju na starostwo Kapinowieckie? zapytał on zmieniając jakoby treść rozmowy.

— Dziękowałem ci szczerze kochany panie Aloizy; i chociaż nie dla tego mi to przypominasz zapewne abym ci moje dzięki powtarzała, powtarzam jednak, bo znam, że nie tylko się przyłożyłeś, jak skromnie powiadasz, ale sam i jedynie ten interes pomyślnie dla nas dokonałeś.

— Cóż pani z tego przybyło?

— Dla nas nic wprawdzie, bo to starostwo dożywotniém jest męża mego, danêm ojcowi jego, także z przedłużeniem na syna; lecz dla naszego znowu syna, a przyszłego po ojcu starosty, przybyło intraty jakie z tysiąc talarów.

— Oh! nie o to idzie — nie rozumiesz mię jeszcze starościno, i nie przypominasz własnych celów, ważniejszych może, niżeli to szczupłe powiększenie intraty. Pomyśl kuzynko!

— Tak... tak... kochany Pisarzu, zgaduję nakoniec myśl twoję — prawda — mówiła jąkając się starościna — odkryłam ci to kiedyś: potrzebowałam bardziéj niż dochodu, i wyżéj nadeń cenię... dowod

przed litewską publicznością, przed wielą urągającemi... ubliżającemi mnie nawet... żem nie zapomniana jeszcze w stolicy. Przy zachwianym stanie interesów naszych, potrzebowałam tego dowodu, nie dla dogodzenia próżności, ale mając dzieci, córki zwłaszcza, i los ich na sercu...

— I cel ten, rzekł Sulistrowski przerywając ambarassowaną spowiedź starościnéj, jako tako dopięty. Lecz nie zapomniałaś kuzynko, o ważniejszych jeszcze zabiegach, o celu jeszcze trudniejszym, a który gdyby się udał, przekonałby nawzajem Warszawę, żeś nie zapomniana na Litwie, i że twoich żądań lekce ważyć nie należy; do czego rozumiałaś być skutecznym środkiem, okazanie przewagi swéj w Trybunale, przez wygraną sprawę z Dowiattami. A gdy ja ten środek mylnym uznałem, i gdy na mojém zdaniu z ufnością poległaś, uważam się w obowiązku wynalezienia lepszego, i wynalazłem. Oto masz kuzynko odpowiedź na twoje, daruj że tak powiém, porywcze zapytanie, dla czego tu cię sprowadziłem?

— Gniewasz się, rzekła starościna—a słowo to wymówione przez nią, z tak ujmującym wdziękiem, spójrzeniem i głosem, że rozbroiłoby Sulistrowskiego, gdyby i prawdziwie się gniewał.

— Nie, droga kuzynko, nie gniewam się, odpowiedział on całując jéj rękę. Gniewać się na ciebie! to nie podobna! Ale im bardziéj cię kocham, tém mnie czuléj dotyka brak twego we mnie zaufania.

— No, więc mów co mam robić? rzekła starościna, powoli odejmując swą rękę.

Po tém chwilowym objawie wzajemnéj krewieńskiéj czułości, pan Pisarz wracając do tonu statysty,—masz wiedzieć kuzynko, rzekł, że książe wojewoda gość nasz, jest teraz w najlepszéj przyjaźni z Królem Jegomością. Po bytności monarchy w Nieświéżu, po bliższém osobistém poznaniu się ich, po rozmówieniu się poufném, a najbardziéj po naoczném przekonaniu się Króla, jak Litwa przywiązaną jest do Radziwiłła, wpływ księcia u dworu jest nieograniczonym; i dla tego...

— I dla tego zaprosiłeś go do Szemetowszczyzny, przerwała śmiejąc się starościna.

— Nie pani—odpowiedział z powagą Sulistrowski, ja sam sobie wszędzie wystarczę; lecz dla tego zaprosiłem ciebie kochana kuzynko: bo kto w swych zamiarach warszawskich będzie się wspierać na ramieniu Radziwiłła, ten musi tam być uznanym znakomi-

tym na Litwie i znajdzie ochotnych do pomocy sobie u Króla, niełatwo mogącego odmówić takiéj instancyi. Otoż i drugi cel zbliżony, jeżeli sama dziś zechcesz do tego się przyłożyć.

— Jakimże sposobem? Staram się jak mogę bawić go i dopomagać twojéj żonie.

— Och! z tym panem pięknemi twemi słówkami, nic nie wskórasz; zapomni o nich lub ich nie dosłucha; trzeba go inaczéj zobowiązać. Widziałaś kuzynko, jak ja nie mając nic na widoku, jedno jego przyjaźń, dla ugruntowania jéj, z ochotą z parę kroci odstąpiłem Karmelitom, na jego jedno słowo: jak potém on wzajemnie zrzekł się wsi, która mówiąc otwarcie jego była dziedzictwem. Ot takie czyny oznaczające zaufanie w nim, i szacunek wysoki słów i zdań jego, biorą go za serce i do wywdzięczenia się zobowiązują. Dla tego proponując ci obranie jego kompromisarzem w procesie z Dowiattami, daję ci zręczność zjednania go na zawsze. Przegrywając nawet zaścianek, wygrasz ręczam cię kuzynko daleko więcéj. A któż wie czy przegrasz? bo wyrok zostawimy zupełnie sumieniu księcia, które jest prawe i poczciwe, a więcéj warte niż głęboki rozum u innych. Zresztą jak potrafisz odmówić, gdy Dowiattowie ten kompromis zaproponują?

— Jakże ja tu bez mego plenipotenta prawować się będę; u niego dowody i papiery; jak bez mego męża przynajmniéj. Czy to przyzwoicie?

— Bądź spokojna, wszystkiemu się zaradzi, a rozważ tylko kuzynko com ci powiedział: w rozważaniu zaś tém, miéj na względzie, żem ci prawdziwie życzliwy, i że nie zwykłem nigdy nic mówić w ważniejszych okolicznościach, nie rozważywszy wprzód wszystkiego najdokładniéj.

Odszedł, zostawując starościnę zadumaną.

XXII.

Kompromis trzeci.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Gdy się pokazał książe na pokojach, a wesoła twarz jego, objawiła najlepsze dyspozycye, rzekł do niego pan Sulistrowski.

— Mości książe, jeszcześ W. Ks. Mość nie ukończył bodaj funkcyi sędziego; jeszcze raz, jeżeli łaska spełnić ją raczysz na wieczną pamiątkę swojéj dobroci, a zaufania w tobie litewskich obywateli.

— Panie kochanku, zmordowałem się i tak, biorąc mocno na rozum, aż musiałem odpocząć: dajcie mi więc pokój, a pogodźcie się sami kto tu z was prawuje się.

— Nie mości książe, pan Ludwik Dowiatt tęgi nasz dzisiejszy jeździec, nie mając sam żadnych zasług u W. Ks. Mości, ośmiela się przez moje usta wzywać i prosić księcia na kompromisarza w procesie, jaki ma po zmarłym niedawno ojcu swoim z państwem starościństwem Kapinowieckim. Nie możesz W. Ks. Mość odmówić piérwszéj jego prośbie; zwłaszcza jeżeli obecna tu pani starościna krewna moja, równąż do księcia zaniesie.

Ludwik zbliżył się i ukłonił się głęboko Radziwiłłowi.

Tak proste na pozór przemówienie Sulistrowskiego, było jednak dobrze obmyślane; bo objawiając on niejaką skłonność swą dla Dowiattów, objawił razem i pokrewieństwo swe ze starościną: jedno nagradzało się drugiém, a wiązało ją trudnością odmówienia, a tém samém ubliżenia księciu.

Wprzód jeszcze po rozmowie z Sulistrowskim, rozważyła ona dobrze tę jego propozycyę i wyciągnęła z niéj jako wniosek: *drugie starostwo;* była więc już zdeterminowaną, i dla tego z wesołą i uprzejmą twarzą przystąpiła do księcia.

— Kuzyn mój pan Pisarz litewski, rzekła uprzedza zamiar mój, proszenia W. Ks. Mości, abyś raczył, rozsądzić nas z panami Dowiattami, bo widać, że dzień dzisiejszy, wypadł W. Ks. Mości z przeznaczenia na dobre uczynki. A lubo tu męża mego niema, bo go choroba w domu zatrzymała, lecz ja zań ręczę, że on szanować będzie wyrok W. Ks. Mości. Sama zaś, gdy się domagam téj łaski, ośmielona jestem nie własnemi naszemi zasługami, bo ich wcale nie mamy, lecz mniemaniem, że familia moja Sapiehów, z któréj się rodzę, może zasługuje na względy W. Ks. Mości, których ja dziś wzywam.

— Mościa starościno dobrodziko, gdyś Sapieżanka z domu, to nawet w konneksyi z sobą jesteśmy, bo nie sięgając dawniejszych czasów, w których się nieraz Sapiehowie z Radziwiłłami łączyli, nie ma lat sta, jak *Salomea Sapieżanka*, wojewody Mścisławskiego Jerzego Sapiehy, z Połubieńskiéj rodząca się córka, była *primo voto* za *Szczuką* podkanclerzem,' *secundo* za *Nowosielskim* starostą luboszańskim, a z tym rozwiodłszy się poszła za *Jerzego Radziwiłła* wojewody nowogródzkiego. A wzajemnie *Karolina Radziwiłłówna* z Sanguszkówny rodząca się, córka Karola Radziwiłła, była za Kazimierzem Sapiehą hetmanem litewskim.

— Aleź W. Ks. Mość *erudyt* jak uważam w genealogii swego świetnego domu, odezwał się pan Chalecki podczaszy oszmiański.

— A tak panie kochanku, tak; każdy szlachcic powinien znać swoję progeniturę i wiedzieć z kim połączony, aby się tém lepiéj kochać wzajemnie i aby nic takiego nie czynić, coby jego parentelę wstydziło. Waćpan naprzykład panie podczaszy jesteś także mój krewny.

— Chlubnie mi to byłoby bardzo, ale chyba, mości książe, po powszechnym ojcu naszym Adamie.

— Otoż nie tylko po Adamie, ale i po *Annie Kunegundzie Chaleckiéj*, córce *Kazimierza Chaleckiego*, miecznika litewskiego, a żonie *Alberta Radziwiłła*, niedawno nawet zmarłéj w Annopolu. Ale to była z rzeczyckich Chaleckich, a oszmiańscy jak pokazuje się, nic o tém nie wiedzą.

— A czyż spadła tam na mnie jaka sukcesya, po zacnéj kuzynce? zapytał podczaszy.

— Oj nie, panie kochanku, bo cztéry córki zostawiła.

— Niechże w Bogu spoczywa?

Popisywałby się jeszcze i daléj książe ze swemi heraldycznemi wiadomościami, które w rzeczy saméj posiadał i których na portretach w zamku Nieświeżskim mógł się codzień uczyć, gdyby mu starościna nie przerwała mówiąc:

— A tak mości książe, korzystając ze związków, do których się z chlubą przyznaję, prezentuję najprzód W. Ks. Mości młódszą odemnie kuzynkę, to jest córkę moję, na którą także spada zaszczyt tego świetnego pokrewieństwa.

Xiąże spójrzał ciekawie na dziewczynę, lecz niezdolny do pięknego, choć widocznie tu potrzebnego komplementu, ukłonił się tylko grzecznie, a Elżusia dygnęła nizko.

Starościna spójrzała dumnie na Ludwika, wyrażając w tém spójrzeniu: „gdzież tobie do kuzynki Radziwiłłów, rodzącéj się z Sapie-„żanki!!!“

— A z kolei mości książe, rzekła po téj prezentacyi starościna, ponawiam prośbę moję, abyś raczył przyjąć na siebie rozsądzenie ostateczne procesu naszego.

— A widać już, że jak mówiłaś starościno dobrodziko, dzień ten z predestynacyi na mnie wypadł; o cóż więc idzie?

— Mości książe, rzekł Sulistrowski, tu musisz W. Ks. Mość wziąść się gruntowniéj, i wyrok swój prawdziwie po sędziowsku na piśmie ogłosić: bo choć dokumentu na ten kompromis nie ma, ale gdy obie obecne strony, z zupełną ufnością, i w obliczu tak mnogich a zacnych świadków, wzywają księcia za sędziego — przeto *propria oris confessio, stat pro scripto* *) i to w dekrecie zapisanym być powinno. Nie prawdaż panie Skarbniku? waćpan znasz te rzeczy najlepiéj.

— Tak, odezwał się Skarbnik, w niedostatku formalnego opisu, inaczéj być nie może i będzie ważném.

Książe się skrzywił, bo gdzie szło o pisanie, tam mu niewielka brała ochota.

Co poznawszy Sulistrowski rzekł: — i dla tego W. Ks. Mość raczysz sobie dobrać regenta lub sekretarza.

— A przecież mam własnego, panie kochanku. — Mikuć, waść regentem tego sądu.

— Mówiłem ci panie Aloizy, rzekła starościna z cicha do Sulistrowskiego, że nie mam tu ani plenipotenta, ani papierów: któż

*) Własne ustne wyznanie, staje za pismo.

będzie za mnie i czém dowodzić? Na miłość Boga do czego to mnie prowadzisz?

Pan Pisarz się uśmiéchnął po swojemu i rzekł: bądź spokojna kuzynko.

Postawiono więc stół w osóbnym pokoju, pięknym go zakryto kobiercem, a na nim srebrny krucyfix: książe zasiadł za nim z powagą, a Mikuć stanął za krzesłem z piórem za uchem.

Pan Skarbnik wystąpił przed stół ten i rzekł: „W imieniu obe„cnego tu synowca mego, aktora rzeczy składam najuniżeńsze dzię„ki W. Ks. Mości, że tym szlacheckim interesem, wysoki swój a „pański animusz zajmować dozwalasz. Lecz go tłumaczyć széroko „i dowodzić nie będę, składam tylko W. Ks. Mości dekret ziemstwa „wileńskiego, którego prolog rzecz całą *pro et contra* najdokładniéj „wyjaśnia; a odrzekam się tam wyrażonéj decyzyi, bo ostatecznéj „ze względów i sprawiedliwości Jaśnie Oświeconego kompromisarza „oczekujemy."

— Potrzeba panie Skarbniku odczytać ten prolog, rzekł Sulistrowski, aby strona przeciwna wiedziała, czy cokolwiek na jéj krzywdę opuszczonego w nim nie ma.

Skarbnik zatém najuważniéj i najsumienniéj, nie zmieniając nawet głosu, bez żadnych własnych uwag lub dodatków odczytał go; my zaś znajoméj treści powtarzać nie będziemy.

Starościna słuchała pilnie i wszyscy obecni; skinęła ona potém głową na Sulistrowskiego, a ten rzekł: „oddajemy teraz sprawę do namowy."

— I my także, rzekł Dowiatt.

Wszyscy więc wyszli; drzwi zamknięto, a został książe z Mikuciem.

— No, i cóż waść na to, panie kochanku? rzekł książe do Mikucia.

— Czekam rozkazów i decyzyi W. Ks. Mości.

— Patrz tylko żebyś nie podrwił głową, bo to nie żart, przed takiém publicum napisać dekret.

— Będę się starał nie zawstydzić W. Ks. Mości.

— Po niejakim czasie i namyśle, rzekł książe. Oto tak, panie kochanku: niech będzie i wilk syt i koza cała, a niech znają, że

u mnie decyzya jak z procy. *Niech baba bierze zaścianek*, *a ja Dowiattowi zapłacę!...*

Mikuć stał nieporuszony.

— Pisz więc panie kochanku! czego czekasz? wszak mię rozumiesz.

— Rozumiem mości książe; ale to nie będzie dekret; będzie to dar W. Ks. Mości, z którego dla obu stron wyniknie konfuzya; i suponuję, że Starościna nie przyjmie zaścianku, jakby *gratis* sobie danego, a Dowiatt nie przyjmie zapłaty, tracąc bez przyczyny zaścianek — tak będzie kompromis bez dekretu.

Xiąże pokręcił głową. Masz waść racyę; nie przyjął konia, nie przyjmie i pieniędzy; ale wbiłeś mi klina — poczekaj, pomyślę inaczéj. Jakoż myślał książe, wąsa pokręcał, chodził po pokoju, nakoniec rzekł:

— A już nie ma inszéj rady panie kochanku, rozważywszy wszystko, jak dać Ludwikowi Dowiattowi przysięgę na to, na co i ojciec jego, jako w tym dekrecie stoi, onę sobie podawał. Niech ją wykona i przy nim zaścianek — i za cóżby nie miał wykonać, polegając na sumieniu ojca. Drożéj tego nie kupić, mówi dawne przysłowie. Starościnéj poradziwszy się z panem Aloizym, potrafię to późniéj wynagrodzić; ale tego waść w dekrecie nie pisz.

— O teraz co innego, rzekł Mikuć; jest dekret i podług mojéj ekwanimii, sprawiedliwy; za pół godziny ogłosimy go, i weźwiemy do przysięgi pana Dowiatta.

— A widzisz waść jak dobrze wymyśliłem: piszże teraz, a prędzéj, bo nie lubię siedzieć długo samotny, jak wieżę albo rekolekcye.

Mikuć człowiek zdolny prawdziwie, w skutek swych zdolności, a rekomendacyi i prośby księcia, zaszczycony przez króla w Nieświeżu indygenatem szlachectwa, nie dał długo nudzić się księciu. W pół godziny był dekret gotowy, napisany zwięźle, a jednak dokładnie i zrozumiale, w konkluzyi naznaczający Ludwikowi Dowiattowi, jako dziedzicowi majątku i praw wszelkich po swym ojcu, przysięgę, jaką i zeszły ojciec sobie był podawał, na tém, że zaścianek Nadbrzeże nabyty był przez przodków ich prawnie i sprawiedliwie; lecz że na takowe nabycie papiery i dowody spaliły się razem z całym

domem w Dowiatòwszczyznie, czego i zaniesione dawno oświadczenie, dowodzi.

Po wykonaniu takowéj przysięgi wnet przed kompromisarzem, dekret kasował na zawsze pretensyę starościństwa o zaścianek: lecz w razie niewykonania onéj, oddawał tenże zaścianek starościństwu, nie sądząc na żadną stronę, jako w sądzie polubownym, expensów prawnych, lub naliczeń intraty.

Gdy książe podpisał dekret, Mikuć otworzył pokój, i weszła najprzód Starościna prowadzona przez pana Sulistrowskiego, a za niemi cała ciekawa kompania, i między nią pan Ludwik za stryjem. Odczytany wyrok, krótkie potém milczenie, huczne przerwało brawo — książe uśmiechał się i pokręcał wąsa.

Starościna bladła i czerwieniała naprzemian; sama niewiedziała jak się ma znaléźć i postąpić. Przenikający ten jéj kłopot Sulistrowski, podszedł naprzód nieopuszczając jéj ręki, a zatém ciągnąc ją prawie za sobą, i rzekł: radzi jesteśmy z dekretu, i dziękujemy za niego W. Ks. Mości.

Książe spójrzał na Starościnę, i z twarzy jéj chociaż uśmiechającéj się niby, poznawszy niezgodność z oświadczeniem Sulistrowskiego, spójrzał na niego i pokręcił głową.

Wysunął się z tłumu Skarbnik, lecz go zatrzymał Ludwik.— Kochany stryju, rzekł on: rzecz mnie się osobiście tycze, dozwól więc mnie samemu i tłumaczyć się.

— *Inter nos loquendo*, mruczał Skarbnik, wsuwając się znowu w gromadę, niech gada, może w nim się odkryć niespodziany talent elokwencyi. A zaścianek nasz!

— Również mości książe rad jestem z wyroku odezwał się Ludwik, i dziękuję za niego najpokorniéj.

— A zatém, rzekł Mikuć, wzywa pana JO. kompromisarz do wykonania naznaczonéj przysięgi—i podsunął krzyż na brzeg stołu.

— Przysięgi nie wykonam!

— Jakto panie kochanku? zapytał go zdziwiony książe.

Pan Sulistrowski wzruszył się również zdziwiony, a wszyscy na niego oczy zwrócili. Skarbnik wyskoczył znowu z tłumu, stanął obok Ludwika, lecz go skromnie ręką odsuwając młodzieniec,— „tak mości książe! rzekł: dziękuję najpokorniéj za sprawiedliwy wyrok, przyjmuję go sercem czystém i spokojném, poddaję się warunkom jego dobrowolnie, i niewykonywając przysięgi, odstępuję za-

ścianek, bez złéj woli lub gniewu na wygrywających, Bogiem się na to świadczę!

Drogą mi jest pamięć ojca mojego! poczciwość jego była niepokalaną! prosta, szczéra a głęboka wiara, była jego sumieniem; honor szlachecki w codziennych życia przygodach był mu przewodnikiem. Przyświadczcie synowi chlubiącemu się z cnót ojca, znający go niedawno, a obecni tu zacni obywatele! mógłbym więc zda się w imię jego cnoty i sprawiedliwości, wykonać tę mi naznaczoną przysięgę. A wszakże nie uwłaczam jego pamięci, za którąbym ochotnie ostatnię kroplę krwi mojéj przelał, gdy jéj nie wykonywam: bo gdy on przed sądem Boskim już stanął, modły mu tylko odemnie na ulgę tego wyroku się należą, nie zaś przysięga, jakkolwiek sprawiedliwa, ale w którą sama odległość czasu, by najsubtelniejszy błąd wprowadzić mogła, i najskrupulatniejsze sumienie omylić mimowolną niewiadomością. Ojcze mój! rzekł on nakoniec, wznosząc w górę oczy łzą zamglone, cnoty i wiary uczyłeś mnie mową i przykładem; niechże to będzie dowodem, żem wierny twéj nauce! Niech to będzie ofiarą na pokój méj duszy w tém życiu, a twojéj w wieczności!“

Piękne, szczególniéj natenczas, gdy tę apostrofę mówił, i jaśniejące, że tak powiem miłością synowską, oblicze młodzieńca, zapłomienione było uczuciem pałającém mu wewnątrz! a to uczucie rozlało się po zgromadzeniu i po twarzach sędziwych ojców, wspominających lub patrzących na własnych synów, wspominających na zmarłych swych rodziców! Wszędzie tkliwość wrodzona wybiła się łzami na lica.

Nie było oklasków — milczenie w sali: ale starsi weterani podchodzili tłumem do Ludwika, ściskali go tkliwie, całowali w czoło, i nie jeden przeżegnał go jakby błogosławiąc i dziękując mu w imieniu wszystkich ojców, za ten przykład poczciwości, miłości synowskiéj i wiary, którą oni nad wszystkie światowe zalety w młodzieńcu cenili, i którą we własnych dzieciach, również prawdziwą i głęboką widziećby chcieli. Młodzi także ściskali go za ręce, a w każdém ściśnieniu był dlań zakład szczéréj i stałéj przyjaźni. Była to scena, tkliwa razem i uroczysta. Książe siedząc jak przykuty za stołem i oparłszy głowę na ręku, patrzał na to wszystko stale; a ze wzroku jego i milczenia, Mikuć stojący na boku skromnie, ze zwiniętym w ręku dekretem, wróżył na pewno, i szeptał innym, że dotknięte

do żywego poczciwe serce księcia, wybuchnie wnet, jakimś pamiętnym, a godnym dnia tego czynem.

Pan Sulistrowski, na którego ręku wspierała się starościna, pogodne i wesołe spójrzenie oprowadzając po wszystkich, uśmiechał się, nie zwykłym swym ironicznym, ale swobodnym i miłym uśmiechem, a pieścił piękny swój wąsik; bo lubo i on nie przewidywał tego, co się stało, wszakże zadowolnionym był wewnętrznie, że protegowany przezeń u księcia młodzieniec, tak godnie ziścił rekomendacyę jego. Starościna tylko sama jedna, blada i ze spuszczonemi w ziemię oczyma stała niewzruszona. Pomięszało się jéj w głowie: uczuła bowiem, że czyn Ludwika, w jednéj chwili tak go wysoko stawił w szacunku publicznym, a tém samém taką jéj saméj w konsyderacyi czynił szczerbę, że wszystkie jéj projekta wielkiéj doznać mogły mitręgi, jeżeliby nagłym jakim pochopem, nie zdołała się wzbić, nad tę powódź uwielbień dla Ludwika. Szybko więc w głowie, jak szuler szukający w całéj talii karty mającéj mu odegrać zabity parol, przerzucała ona myśli, jedną po drugiéj.

Nakoniec Elżunia w gronie dziewic w drugim pokoju, widząc przez otwarte podwoje, tryumf ulubionego, i słysząc wprzód jego czułą apostrofę, ocierała bujne krople łez, po jéj ślicznych jagodach płynące. Nie wzbudzało to w nieświadomych jéj uczuć towarzyszkach żadnego podejrzenia, bo i kilka innych również roztkliwienie ogarnęło. Ale piękne serce Elżuni, nowém, tajemném, a niezłomném ogniwem łączyło się z Ludwikiem w téj chwili.—O! będę jego żoną! albo niczyją!—myśliła ona.

— Mości książe,— rzekł uścisnąwszy czule, jako i wszyscy weterani Ludwika, pan Oskierko, oparty na kilofie jedną ręką, a drugą za pas w boki założywszy, z tryumfem niejakim i chlubą: mości książe! mamy jeszcze chwała Bogu poczciwą młodzież.

— Tak, mamy,— przerwał mu książe, budząc się z zadumania i powstając z krzesła—mamy chwała Bogu, mamy panie kochanku! umiejmyż ją kochać. Uścisnął potém Ludwika, i biorąc go za rękę prowadził przed starościnę. Szedł młodzieniec nie mogąc się oprzeć księciu; starościna widząc zbliżających się, chciała także uniknąć spotkania i jak mniemała pojednania, lecz ją trzymał Sulistrowski.

Książe stanął przed nią z powagą, a uroczyście rzekł:—Mościa starościno! oto jest godnéj krwi szlachcic, a mój od dziś dnia przyjaciel, w którego imieniu proszę dlań o rękę córki twojéj, kochana moja kuzynko!

— Co to jest mości książę? — krzyknęła starościna.

Ludwik także chciał swą rękę wyjąć z żelaznéj dłoni księcia, ale nie zdołał.

— A tak! tak panie kochanku! *Radziwiłł swatem! za panem Dowiattem!* A dalibóg słyszycie waćpaństwo? A toż ja wiersze powiedziałem, wyśmienicie udało się!

— Brawo książe nasz! brawo!

— Mikuć, zapisz to waść u siebie, bo wróciwszy do Nieświéża, poszlę te kadencye do Słonima panu hetmanowi Ogińskiemu, który pisze piękne opery, a ze mną chciał iść o zakład o *Białynicze* *), że ja na życiu żadnego wiersza nie skoncypuję; proszę zatém wszystkich tu obecnych zacnych obywateli, abyście mnie w potrzebie przyświadczyli.

Po tym ustępie, który rozśmieszył wszystkich, wracając znowu do poważnego tonu książe: — I cóż na to mościa starościno? rzekł.

— Nie spodziewałam się téj propozycyi od W. Ks. Mości, zwłaszcza po przyznaniu mię swoją krewną.

— A gdybyś była moja pani i moją rodzoną siostrą, tobym życzył schować mitrę do kieszeni, a wydać córkę za poczciwego szlachcica, a zatém równego urodzeniem każdemu księciu. A co lepszego pan Morawski? a przecież moim jest szwagrem, choć zająkliwy! A sama moja pani kuzynko, wszakżeś Sapieżanka....

— Tak mości książe, ale....

Sulistrowski w téj chwili odszedł.

— I jakież *ale?* panie kochanku, perorował daléj książe, chyba jedno *ale:* to jest, — ale czy się zgodzi na to godna córka asani dobrodziki? bo jeżeli chciałaś napomknąć mościa starościno o fortunie...

— Mości książe, przerwał Ludwik, którego stan był do nieopisania.

— Panie kochanku, milcz waść i stój!... bo mościa starościno, czyim Radziwiłł swatem i przyjacielem, tego żona także starościną być może... i ten nie złamie sobie głowy dobijając się krescytywy i substancyi.

— *Inter nos loquendo*, mości książe dobrodzieju, — odezwał się zbliżając pan skarbnik, mamy się szlachecko, ale dostatecznie; a komparując *aktiva* i *passywa* rozumiałbym....

---

*) Białynicze, wielkie dobra, w połockiém natenczas województwie.

— Oto przyprowadzam, — zawołał wtém Sulistrowski wiodąc Elżbietę, — najwłaściwszego sędziego w téj sprawie.

Lekkim okraszona rumieńcem, ale pogodna i spokojna twarz dziewicy, oznaczała również spokojny wewnętrzny jéj stan duszy i stałe postanowienie nieukrywania swych uczuć, w téj stanowczéj na całe jéj życie chwili. Ośmielił ją jeszcze i utwierdził kilką słowami Sulistrowski, gdy ją determinował aby z nim razem szła do matki; a dodały odwagi towarzyszki szepcząc na ucho odchodzącéj: śmiało! śmiało! piękny i poczciwy chłopiec!

Starościna rzuciwszy okiem na przychodzącą córkę, zdziwiła się jéj spokojności i swobodzie; a uprzedzając księcia: — moja córko, rzekła tonem, pełnym powagi i niejakiéj dumy, książe Jegomość używając, a ciszéj dodała z suchym uśmiechem do księcia, bodaj nadużywając, prawa pokrewieństwa tak dla nas chlubnego, oświadcza w imieniu obecnego tu pana Dowiatta, żądanie...

— Prośbę, panie kochanku, prośbę Mościa starościno.... prośbę o twoję rękę, dokończyła starościna. — Ty wiesz dobrze myśli rodziców twoich w tym względzie, rodziców, pragnących jedynie twego szczęścia, a lubo tak wysokie wdanie się...

— Moja droga matko, rzekła Elżbieta ujmując jéj widocznego kłopotu odmawiania księciu, a sama nie zdołając już panować nad bijącém gwałtownie sercem, i zasłaniającą się łzami źrenicą; — moja droga matko, znam dobrze i wiém myśli twe i postanowienia, ulegam im zupełnie i z pokorą, bo was kocham tak szczerze! tak czule! i z całéj mojéj duszy!!! Żądającemu więc ręki mojéj młodzieńcowi, odmawiam.

Ludwik się zatrząsł — Radziwiłł go ścisnął za rękę.

— Daruj mości książe, posłuszna jestem jak powinnam woli rodziców moich. Ale moja droga matko, mówiła daléj dziewica, zbierając wszystkie swe siły na to trudne wyznanie, na te słowa, które gdyby zamilczała, nadzieje związku jéj z Ludwikiem znikłyby już nieodwrótnie. Wymówićby ich jednak nigdy nie zdołała, gdyby jéj uczucie dla niego ożywioném i podnieconém stokrotnie nie zostało w téj jednéj chwili, w któréj cnota, wiara, i prawość serca jego tak jawnie się wydały, i chwalebnie powszechném uwielbieniem były uwieńczone. — Jego żoną, albo niczyją, wyrzekła natenczas w duszy Elżbieta; a gdy niespodziewanie tuż wynikł moment, ostatecznego dla niéj kroku, energia tém postanowieniem natchniona i wsparta,

przemogła bojaźliwość dziewiczą i ośmieliła usta do śmiałego objawienia stanu serca.

— Ale moja droga matko! mówiła zatém Elżbieta, innego żoną ja nigdy nie będę; posłuszna tobie, odrzekam się skłonności moich od dzieciństwa powziętych... daléj już mówić nie mogła, i z rzewnym płaczem rzuciła się na łono matki.

— Mościa starościno rzekł książe, któż tu nadużywa praw swoich? czy ja, który dwójgu kochającym się poczciwie, chcę wyjednać szczęście i błogosławieństwo rodzicielskie? Czy imość dobrodzika, która doli swojego dziecka zaprzeczasz? A to, panie kochanku, tragedya!

Ludwik stał osłupiały obok księcia, ze wzrokiem jakby obłąkanym a utkwionym razem na matkę i córkę spojone w jedném objęciu.

Porucznik postrzegłszy taką jego postać, podszedł doń, i szeptał mu na ucho tkliwym głosem przyjaciela: — Ludwiczku upamiętaj się; — a szmer głuchy po zgromadzeniu rozchodzący się, przygotowywać zdawał, ogólny atak na starościnę, w sukurs usiłowaniom księcia, który mówił daléj: — W Bogu nadzieja, panie kochanku, a tymczasem, po oświadczeniu tak szczerém i tak razem cnotliwém, bo z wolą rodziców zgodném panny starościanki, a które na całą Litwę naszą sławném będzie, oświadczam ja także, ja, panie kochanku! że ktobykolwiek śmiał swatać się do niéj, na przekor jéj sercu i postanowieniu, ze mną, ze mną, panie kochanku! a głos jego był grzmiącym i stałym, ze mną mieć będzie do czynienia! — Vivat nasz książe! okrzyknięto, wszyscy my sekundanci W. Ks. Mości.

Książe wstrząsł natenczas mocno rękę Ludwika, którą dotąd trzymał, i dumnie pokręcił wąsa.

Starościna wzruszona także, bo jakżeby mogła dotrwać tylu razem wrażeniom, chciała odejść z córką; ale zatrzymał ją Sulistrowski. Szepnął on jéj na ucho: „gubisz córkę, siebie, i wszystkie twe nadzieje i widoki.” Ukłonem wyrazistym zatrzymał on także na miejscu nieukontentowanego, a poglądającego z podełba na starościnę księcia.

— Kuzynko, rzekł on, dzień ten i scena ta, nie może się tak skończyć, i zastanowić się na peryodzie obecnym, bo w sercu i twojém, i córki twéj, i księcia, i nas wszystkich, zostałoby gorzkie wspomnienie. Matka, rodzice żądają zawsze szczęścia swo-

jego dziecka, tylko, że upatrują dla nich szczęście, częstokroć okiem własnym, wiekiem i światem skoszoném; a Bóg inaczéj to widzi, i w sympatyach młodzieży przeznaczenie swe objawia.

— Gadasz jak Katembrynk panie Aloizy, przerwał książe.

— Bo i tu właśnie jest toż samo mości książe. I dla tego potrzeba pobłażać troskliwym myślom matki względem losu swego ukochanego dziecka; tak jak matka powinna pobłażać i mieć wzgląd na skłonnoście uległéj zupełnie córki, poświęcającéj te skłonnoście jéj woli! a w których nie tylko nie ma nic nagannego, lecz owszem, które wzajemna cnota, tak jawnie okazana, tém bardziéj jednoczy i gruntuje. Dla tego moja kochana kuzynko...

— I moja także, panie kochanku!

— Racz się zgodzić na to, aby ten poczciwy i zacny młodzieniec był odtąd deklarowanym ambijentem do ręki twéj córki, a wysługującym względy wasze rodzicielskie....

— Byle tylko nie tak długo jak Jakób za Rachelę, panie kochanku.

— Nie mającym, przedłużał Sulistrowski, jeszcze waszego zezwolenia, które zupełnie od woli waszéj zależeć będzie, ale mającym za sobą swą cnotę i prawość, serce panny i dostojne swatostwo księcia, a tém samém jego opiekę i przyjaźń dla domu waszego... a przy tych słowach ostatnich ścisnął rękę starościnéj.

— Brawo! Brawo! Starościna dobrodziko, wyborny projekt— okrzyknięto zewsząd.

— Jakże moja kuzynko? toż moja instancya i przyjaźń nic u ciebie nie ważą, rzekł książe biorąc jéj rękę i trzymając ją w oczekiwaniu. Starościna się uśmiechnęła. Uśmiech ten był hasłem powszechnéj wesołości....

Radziwiłł swatem,
Za panem Dowiattem!

zawołano chorem: Vivat!

— Dajże kielicha, panie kochanku, rzekł Radziwiłł.

W kilka potém miesięcy, gdy się żałoba Dowiattów ukończyła: pod wieczór pięknego letniego dnia, kilkunastu wytwornie ubranéj młodzieży na dzielnych koniach, jechało pięknym orszakiem ze dworku na Antokolu pana Dowiatta. Na ich czele jako przewodnik kalwa-

katy harcował pan porucznik Stelnicki błyszczący od szlif, blach, taśm złotych i pendentów, na porcenelo-strokatym tarancie, którego gdzieś wielkim kosztem okupił; za nim jechał pan Ludwik na karym arabie, któręgo musiał nakoniec przyjąć w podarunku od pana Sulistrowskiego, za niemi liczna gromada towarzyszy, i nakoniec masztalerzy.

Przejechawszy tak oni kilka ulic między ciekawemi widzami, zawrócili się na Trockę i zsiedli przed pałacem pana Pisarza litewskiego, rzęsistém oświeceniem wewnątrz jaśniejącym. Za ich tam wejściem zabrzmiała muzyka, a pytającym się na ulicy, nieświadomym powodu téj uroczystości, odpowiadali świadomsi — A to dzieviczy wieczór panny starościanki Kapinowieckiéj wychodzącéj za mąż za pana Ludwika Dowiatta, tego co to jechał na karym koniu.

— Czemu nie? bogata para, mówiono: panna wzięła po śmierci jakiéjś ciotki Dulskiéj, kilkakroć sto tysięcy, a panu młodemu stryjaszek, mecenas trybunalski, podobno drugie tyle odliczył. Radziwiłł zaś przyjął tę wspólną summę i dał obojgu za bezcen w zastaw wielkie dobra w Słuczczyznie; on to bo podobno zeswatał to małżeństwo.

Już się zciemniało; tłum patrzący z ulicy w okna drugiego piętra, rozszedł się nakoniec, gdy kompania liczna w salonach raptem się do okien zbiegła—bo pod niemi na ulicy zaśpiewano kilkunastu dobranemi głosami, w których dyszkant celował:

„Zakładajcie konie kare!
I chorem: „Złącz Boże tę parę!
„Zakładajcie konie gniade!
I chorem: „Do ślubu niech jadą!
„Zakładajcie konie siwe!
I chorem: „Daj Boże szczęśliwie! *)

*) Dawne weselne sztrofki.

Koniec.

OBRAZY
LITEWSKIE.

SERYA SZÓSTA.

Nowe Pamiętniki Kwestarza.

przez

Brata Rafała Karęgę.

LIST AUTORA DO WYDAWCY.

Łaskawy Dobrodzieju!

Wydałeś waszmość pan dobrodziéj na *publicum* raptularze nieboszczyka brata naszego, *fiat pax* poczciwéj jego duszy *Michała Ławrynowicza*, ochrzciwszy je mądrym tytułem *Pamiętników Kwestarza;* i zakon nasz czuje za to dla waszmość pana dobrodzieja wielką estymę i powinną *rekognicyę*; ale że *nie święci garnki lepią,* jak powiada przysłowie i nasz ksiądz *Kustosz* dobrodziéj, więc i ja idąc w ślady nieboszczyka brata Michała postanowiłem opisać moje kwestarskie dzieje; *in praeterito* wszakże, bo to już od lat kilkunastu przestałem téj włóczęgi, i w moim podeszłym wieku służę Bogu spokojnie, choć świece ucierając na jego świętych ołtarzach w naszym kościele.

Zkąd zaś ta pisanina przyszła na mnie, klaryguję to na początku *per modum w introdukcyi,* i odsyłam całą tę skrypturę moją jegomości dobrodziejowi, oddając oną w zupełną opiekę i manudukcyę pańskę: a jeżeli się zda waszmość panu dobrodziejowi promować i mnie także do druku, to jeden

tylko kładę warunek:—Powiadają ludzie że waszmość pan dobrodziéj za swoję fatygę miewasz *certum quantum* do kieszeni; otoż jeżeliby i ta moja praca ten szczęśliwy ewent jegomości dobrodziejowi przyniosła, proszę niezapominać i o Bernardynach.

Nakoniec czytałem ja nieraz w starych a mądrych księgach, których po naszych klasztorach chwała Bogu nie brak, zaraz na piérwszéj karcie, różne deklaracye do Zoilów; widać że ich dawniéj wiele było na świecie, i że szanowni *auctores* nie lubili ich; a może i teraz wyrwie się który jak *Filip z konopi* na mnie biednego, więc i ja skoncypowałem dlań, taki komplement.

Do Zoila.

„Zoilu! jeśli zechcesz otwarcie czy nurkiem *)
„Brać na kieł, by szwank wzięła ta poczciwa księga,
„Masz wiedzieć—że ją bronię paskiem i ogórkiem
„A ostrzegam zawczasu.—*Brat Rafał Kargga.*“

Ten który się pisze jegomości dobrodzieja najniższym podnóżkiem—*Ut supra.*

---

*) Widać że tu autor miał na celu niepodpisujących się recenzentów.

I.

Introdukcya.

Rok temu, jak wszyscy wielu nas jest w klasztorze, siedzieliśmy wieczorną dobą na wielkim ganku naszym przed furtą, i popijaliśmy szumiące piwko marcowe, za zdrowie naszego ks. kustosza dobrodzieja, który znając się dobrze na *Alchimji*, sam imformował brata kanaparza, a razem i piwniczego w naszym klasztorze, jakby najlepiéj piwo miał uwarzyć; jakoż i udało się wyśmienite.—Wieczór był piękny w maju, i już było po nieszporach, a nasz ks. kustosz dobrodziéj lubo i zakonną *proeminencyą* i mądrą bardzo głową nad nas wszystkich, a nawet i nad najstarszych definitorów góruje, gdy jednak w wesołym jest humorze, to lubi zabawić się z nami poufałą konwersacyą, ot tak, to o tém to o owém; każdy z nas cóś swojego dorzuca, a gdzie jest kilkunastu ludzi w dobréj komitywie i ze spokojném sumieniem, to im wszystkim tam wesoło jest i dobrze.

Otoż gdy tak się zabawiamy, zajeżdza przed nas bryka dwiema nędznemi szkapami zaprzężona, płótnem cała pokryta, a za woźnicę siedzi żydek obdartus, ale z pod płótna wyskakuje jakiś bardzo polityczny jegomość... wprawdzie cóś także na żyda zakrawa, ale bez pejsów, bez jarmułki, nie w łapserdaku jakim, ale w pięknym surducie i w kapeluszu zajęczym. Wszelakoż był to także żyd, a znał go już ks. kustosz, bo bywając w Wilnie, zachodził czasami do jego księgarni; zatém go i powitał.

— O! jak się masz panie Rubin? przecież i nas przypomniałeś.

— A jakże mości dobrodzieju? a jakże?—mówił pan Rubin trochę z żydowska, i spodziewam się że tu dobrze utarguję; aj bo mam nowiuteńkie dzieła, *to ach!* niech tylko jegomość dobrodziéj i wszyscy księża dobrodzieje obaczą.

— A to nowa rzecz, mówiliśmy między sobą, książki po kraju rozwożą żydzi! pokaż, pokaż, zawołaliśmy chórem.

Więc Rubin z pomocą swego furmana wyciągnął ciężkie dwie skrzynie z bryki, i postawiwszy je przed nami na ziemi, otworzył.

— Proszę wybierać, rzekł, towaru chwała Bogu *co ach!*

Zaczął się więc jakby rabunek książek Rubina.

Niechaj sobie co chcą mówią libertyni, ale w każdym klasztorze znajdują się wszakże ludzie rozumni i nabożni, którzy zwłaszcza w terazniejszych czasach, łapczywemi są do książek. U naszego ks. kustosza naprzykład, stoi szeroka szafa z książkami jego własnemi; i u ks. kaznodziei także, no i u nas nieraz książka jaka ciekawa chodzi od celi do celi; i mnie się na końcu dostanie, choć nie wiele uczonemu bratu. Powiadają że tego dawniéj nie bywało, to nie prawda; bo zkądżeby wzięły się te stare foliały któremi u nas dwie cele zawalone.—Ale to niechaj sobie.

Otoż nasz stary ks. definitor, *notabene* jubilat, chwycił jedną książkę i przeczytał tytuł *Pamiętniki Szatana.* Tfu do djabła! krzyknął on, i rzucił ją w oczy żydowi – to ty pogański synu wozisz, dodał z gniewem, to chyba w piekle drukowano, i sam autor tamże!

— Nie mości dobrodzieju, odpowiedział Rubin, w Warszawie, *to co ach!* sławne dzieło! to w katalogu stoi rubli sześć, ale ja spuszczę.

— „*Pamiętniki Kwestarza*“—przeczytał ksiądz kustosz na tytule.

— *Pamiętniki Kwestarza* powtórzyliśmy wszyscy z zadziwieniem: a którego?

— No, *to co ach!* dzieło nowiuteńkie, rzekł znowu Rubin; w katalogu stoi rubli dwa, ale ja spuszczę.

— Jakiegoż Kwestarza? zawołaliśmy znowu.

— A ja co wiem? odpowiedział *Rubin;* to musi tam być na piérwszéj karcie.

— Wydane przez *Ignacego Chodźkę*, rzekł ks. kustosz: mam piérwsze serye Obrazów Litewskich tego autora, więc i tę kupię dla kontynuacyi.

— Czy on Bernardyn? czy on był kwestarzem zapytał znowu ks. jubilat.

Uśmiechnął się kustosz — A czy ten był *djabłem*, kto napisał *pamiętniki djabła* rzekł:

— Kat jego wie kto to napisał, i wiedzieć tego niechcę — odpowiedział jubilat; ale zdaje mi się, że trudno opisać to, czego nie praktykowaliśmy; więc Pamiętniki Kwestarza, kwestarzby tylko i opisywać mógł, gdyby było co do opisania, lub gdyby kwestarze pisać umieli.

— A *reverendissime*, odezwałem się ja; nie wszyscy kwestarze są tacy jak rozumiesz ojcze.

— Aha, rzekł on, waszeć niby to mędrszy. — Otoż księże Ambroży, rzekł znowu kustosz, przeczytamy najprzód, i dowiemy się kto to napisał a może i kwestarz jaki — toby nam wielki zaszczyt przyniosło; bo kiedy kwestarze piszą dzieła, to cóż *jubilaty i definitory!* a jeżeli autorem jest jaki świecki człowiek, naprzykład sam pan wydawca, to będzie nam materya *ad disputandum*, czy się on znał na rzeczach bernardyńskich i kwestarskich? czy przeciwnie nie w swoje wdał się; a w takim razie wytrzem mu kapitułę, jako piszącemu fałszywie o naszéj. Ks. Ambroży kiwnął głową popijając piwko mussujące szumno, i wszyscy także za przykładem starszyzny cynowe nasze, staroświeckiéj mody, wychylając kufelki, zabawialiśmy się rozpatrywaniem książek. — Ks. kustosz kupił kilkanaście, i ten i ów po dwie, po trzy, jak komu stało w kieszeni. — Ale nie ma co powiedzieć na pana Rubina, miał wielki wzgląd na nasze ubogie kalitki, i spuszczał bardzo od cen drukowanych, które przy targu każdéj książki, w katalogu okazywał; a tak, pięknego grosza od nas wybrawszy, kilka jeszcze kuflów piwa wysmoktał: spakował potém resztę książek, i przyrzekając nam częstsze odwiedziny, powlókł się daléj rozwozić mądrość po świecie.

II.

Ciąg dalszy Introdukcyi.

W kilka dni potém zawołano mnie do ks. Kustosza, znalazłem tam razem i ks. Ambrożego; a obu w jakiejś żywéj dyspucie. —

Gdym wszedł, umilkli—a ks. kustosz podając mi książkę rzekł:— No *charissime frater Rafaele* (bo tak mię czasami w łaskawości swéj nazywał) przeczytaj waszeć te książki. *Pamiętniki Kwestarza*, któręm onegdaj kupił, a nad któremi teraz obszerną rozprawę z ks. jubilatem odbyliśmy; waszeć kiedyś kwestowałeś, przypomnij więc tamte swoje dzieje i napisz także swoje pamiętniki: ks. Ambroży dowodzi, że tego niedokażesz, a ja mówię że „*nie święci garnki lepią*"—że i nasz brat Rafał ma oléj w głowie, choć nie pokrytéj kapturem, że nawet częściéj się nad książką znajduje, niżeli tam nasi niby to luminarze. Liznąłeś widać w szkołach i łaciny trochę; jednėm słowem masz wszelkie ku temu dziełu kwalifikacye którym ks. Ambroży zaprzecza.

— Wcale nie zaprzeczam mój dobrodzieju, odpowiedział jubilat: *concedo majorem* ale *nego minorem* *), jakto dawniéj powiadano; to jest nie brak tu zdolności, ale brak treści. Owszem wiem zkąd inąd, że brat Rafał zdałby się na kaznodzieję, może lepszego od wielu innych, jak tego dał dowod gdy raz jeżdżąc po kweście trafił do pewnego plebana na jakiś fest wielki w jego kościele, aż tu nagle zasłabł ksiądz, mający mieć kazanie...

— No, to pewnie wziął jego manuskrypt i przeczytał — przerwał ks. kustosz.

— Otoż to, że nic pisanego nie było: bo to był z takich kaznodziei i oratorów, którzy z natchnienia Bożego bez przygotowania się i bez pisma mówią: gdy więc żaden z obecnych księży nie mógł podjąć się do takiego zastępstwa *ex abrupto*, bo każdy z pisma kazać przywykł, pleban uczepił się kwestarza, to jest brata Rafała.

— I cóż? zapytał kustosz obracając się do mnie.

— A cóż *reverendissime*, odpowiedziałem; nie mogąc oprzeć się prośbom i molestacyom poczciwego a zakłopoconego plebana, westchnąłem do Boga, aby mię wspomógł na chwałę swoją, i wziąwszy ewengeliczkę w rękę, szedłem śmiało przez kościół; a takie zaufanie jakieś we mnie wstąpiło, że to był cud Boski dobrodzieju.

— Jakiż tekst wziąłeś?—pytał uśmiechając się kustosz.

Przypadła ewangelia o cudownem rozmnożeniu chleba i ryb, otoż naturalna treść o miłości chrześcijańskiéj i o jałmużnie; więc

*) Termina dawnych scholastycznych dysput — zgadzam się na założenie — lub przeciwnie przeczę wnioskowi.

karcąc jak należało przeciwne temu grzechy, to jest skępstwo, nieludzkość i twardość serca, zaklinałem słuchaczy, aby odtąd dla zbawienia dusz swoich i dla odkupienia grzechów, nie żałowali jałmużny dla biednych, a zwłaszcza dla sług bożych, ubogich duchem i mieniem, jako my Bernardyni.

— No *charissime*—rzekł znowu Ks. kustosz, powiem ci prawdę, żeś podwójnie zgrzeszył: najprzód nie będąc kapłanem, nie możesz bez szczególnego zezwolenia mówić kazań, a powtóre—kwestowałeś z ambony: a to ani *decet* ani *licet* *), więc powinienbym cię za to teraz nawet wsadzić *w ciupę* gdyby ciupa była jeszcze w modzie.

— *Mea culpa reverendissime?*—rzekłem całując go w rękę: *confiteor:* ależ temu lat ze dwadzieścia z górą, i mnie się zdawało, że w tém nie było nic złego: dałem ludziom grzesznym naukę i razem zręczność do zbawiennéj poprawy.—Jakoż słowa moje, nie padły na płonną ziemię; bo gdy po sutym obiedzie, którym pleban swych kollatorów uraczył, poszedłem z talerzykiem, to wszyscy przypomnieli kazanie, i talerzyk rublami zasypali: a cóż lepszego dokazałby i jaki teolog?

— Wsadź mię w *ciupę reverendissime*,—rzekł tu *insperate* do ks. kustosza ks. Ambroży, wsadź mię w *ciupę*. obliguję!

Kustosz spójrzał nań z zadziwieniem, i kręcąc palcem, co to znaczy, rzekł.

— Czyż mię nie rozumiesz? wsadź mnie w *ciupę*—i kwita.

— Co ci się dzieje ks. Jubilacie? za co? i na co? zkąd ci to do głowy przyszło?

— Za co?—znajdzie się łatwo,—odpowiedział jubilat. Ot często mię rano nie widzisz w chórze, ani na jutrzni, ani wieczorem na nieszporach; powiadacie stary zalenił się, bo stary,—zalenił się—ot i wina gotowa: a gdybyś jeszcze ks. kustoszu dośledził czemu się zalenił? znalazłbyś czasami i miarkę przebraną w konsolacyi... słowem godzienem *ciupy*, i sadź mię śmiało *reverendissime*, nie zawiedziesz sumienia.

— Rozumiem,—rzekł kustosz chcesz siebie poświęcić na przykład młodszym.

— To, to, to—zgadłeś *reverendissime: mądréj głowie, dość na słowie*—*Ciupa* mości dobrodzieju, *miserere* i *sequeris* z dyscypliną,

*) Ani przystoi, ani się godzi.

wszystko wyszło z mody, dla tego źle z nami i bardzo źle! trzymamy się to niby reguły zakonnéj; ale reguła nas jakoś się nie trzyma. Dawniéj im kto uczeńszy u nas bywał, tém był świątobliwszy, tém bardziéj pilnował klasztoru, i w gronie braci znajdował pociechę i chlubę ze swéj mądrości. Teraz pożal się Boże! jak tylko któremu z nas uda się powiedzieć jedno i drugie dobre kazanie i rumor pochlebny rozejdzie się o nim, a szczególnie w mieście jakiém, to wnet go pycha szatańska obejmuje i wymyka się mości dobrodzieju z klasztoru samopas na świat, aby posłuchać pochwał szczerych czy nie szczerych, za któremi potém tęskniąc, coraz bardziéj a bardziéj zaniedbuje i obrzydza swą celę, i spokojny klasztorny żywot. Za starszemi idą młodzi, i tak choć furty nie zamykaj; a klasztor jak gąbka naciąga światowości, która zda się że już po korytarzach naszych wieje. Otoż gdyby to mościa dobrodzieju, przydybawszy którego choćby jubilata, a tém bardziéj którego młodzika, wracającego *post silentium* do klasztoru, przeprowadzić go przez *miserere cum flagello*, *ad corpus delicti aplicando* *), i tu ręką wytłómaczył swoją łacinę, któréj sam już jeden między nami po staremu do swéj mowy zwykł dorzucać jeszcze:

— A potém, —mówił daléj, — po światowych specyałach i pirożkach cukrowanych, w *ciupę* jegomościa na tydzień, na chleb suchy i na wodę, ze stosownemi rokolekcyami duchownemi!... obaczyłbyś mości dobrodzieju jaki to wyśmienity z tego nastąpiłby skutek, jak wszystkoby powróciło do dawniejszéj zakonnéj *obedientii*, i do dawnych naszych poczciwych a pobożnych obyczajów.

Tu mocno i po kilkakrotnie zażył tabaki, bo już to jego zwyczaj, gdy cokolwiek z ferworem dowodzi, zasypać argumenta tabaką, jakby piaskiem skończone kazanie.

Ks. kustosz słuchając téj perory, to się uśmiechał, to kiwał głową, i nakoniec rzekł:

— Wiele jest prawdy w tém cóś powiedział *reverendissime:* jest niejakie rozwolnienie reguł, nie tylko u nas, ale i po innych zakonach; wszakże zgorszenia chwała Bogu niesłychać; owszem *reverendissime*, jeżeli się cóś chybia w pozorach, to jednak grunt za łaską Bożą ulepsza się; i niewiem na jaką stronę padłaby wygrana z porównania dzisiejszego religijnego usposobienia duchowieństwa, ze

*) Z biczowaniem grzesznego ciała.

stanem owego czasu, gdy monachomachia okrywała śmiesznością rutynę scholastyczną klasztorną, i stare nałogi.

— *Monachomachia!* — przerwał porywczo ks. Ambroży, — *monachomachia* mości dobrodzieju, dzieło libertyńskie. Biskup Warmiński w piekle po uszy, że swoich talentów, które na chwałę Boską poświęcić był powinien, użył na pohańbienie sług Bożych. *Jan Kochanowski* tłómaczył psalmy dawidowe, a nie pisał herezyi.

— Ha *reverendissime*, — rzekł kustosz — Krasicki, jako chrześcijanin, katolik, tém bardziéj jako biskup, niewcześnie poematem swym potakiwał niedowiarstwu zarażającemu natenczas cały świat, i naszą biedną krainę; gdy przeciwnie walczyć naprzeciw niemu wszelkiemi siłami woli, rozumu i serca był powinien; a jako pasterz, poprawiać swą trzodę, nie zaś ją osławiać, podając broń w rękę nieprzyjaciołom kościoła i wszelkich religijnych instytucyj: wprawdzie na usprawiedliwienie swe mówi on:

„Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych:
„Smiejmy się z głupich, choć i przewielebnych."

Ale nie przyszło mu na myśl, że głupich uczyć łagodnie i oświecać nie zaś ośmiewać ich i urągać się im należy; chybił więc swej roli i swego obowiązku, dał się unieść potokowi powszechnemu, a był zapewne przekonany, że wpłynie skutecznie na reformę obyczajów zakonnych, którą potrzebną być sądził: reszty dokonała owa szalona pokusa, to jest *Poezya* dowcipem podniecana. — Tak się zrodziła *Monachomachia*, szczególniéj grzeszna, że nie w czas była dla *Religii*, a w czas dla *niedowiarstwa:* i ztąd właśnie tak szeroka jéj popularność; ztąd nie mała liczba naśladowców, którzy niedorównywając Krasickiemu talentem ni dowcipem, silili się na poemata, i złośliwość tylko z mętnych źródeł francuzkich pożyczaną, czerpali. Ztąd *Organy Węgierskiego*, których zapewne i nie czytałeś *reverendissime*, dedykowane nawet Krasickiemu.

— A gdzież to był ten Węgierski organista? — przerwał ks. Ambroży — niechby on sobie i pisał po węgiersku; po co mu do nas?

— Ks. kustosz uśmiechnął się i kontynuował daléj:

Ztąd *Bibeida* Rajmunda *Korsaka* nie drukowana dotąd, i drukować się już zapewne nie mająca. — Ztąd Poema *Sprzeczki* w wy-

jątkach tylko znany *): i tym podobne ciągłe lub urywkowe, na duchowieństwo miotane obelgi i czernidła, których się zepsuta natenczas i rozwiązła publiczność z upodobaniem chwytała, a które jeżeli doszły, lub gdyby doszły do Krasickiego, zraniłyby głęboko, pewny jestem, jego poczciwe zkąd inąd i obywatelskie serce.

— A zkądże przyszło jegomości dobrodziejowi czytać te bałamuctwa?—zapytał ks. Ambroży.

— O mój ojcze, rzekł poważniéj ksiądz kustosz: lat trzydzieście wieku mego strawiłem na świecie, nim mię Bóg do zakonu powołać raczył; trudno więc było w owych czasach młodości mojéj, uchronić się i ominąć trucizny, którą się jak owocami najdojrzalszéj mądrości lub dowcipu traktowano, i którą z każdym kęsem chleba powszedniego, pożywać że tak powiem, trzeba było: szczęście moje żem znalazł na nią *antidotum* u nóg Zbawiciela; że łaska Ducha świętego wypaliła aż do dna w sercu mojém zarody złego, któreby pewnie potępiły nakoniec mą duszę, teraz oczyszczoną i pełną wiary świętéj, a umocnioną dwudziestoletnią służbą u ołtarza, i codzienną przed nim ofiarą; oddam ją Bogu w nadziei nieograniczonego miłosierdzia Jego. Tu wzniosłszy ręce i oczy w górę, rzekł jakby w modlitwie—„*Qui redemisti perditos—noli condemnare redemptos*“ **).

Staremu naszemu Jubilatowi łzą zaszły powieki, i jakby w zachwyceniu zawołał.

— *Reverendissime custos! dixisti verbas augustas* ***)—a chwytając nagle rękę kustosza, ucałował ją i do piersi przycisnął.

— Ojcze co czynisz? — zawołał kustosz: — nam to, nam należy całować rękę weterana naszego i bogomodlcy, rękę która nas niedawno błogosławiła i uściskała głowy nasze, na twéj prymicyi zakonnéj; pięćdziesiąt lat pracujesz gorliwie w winnicy pańskiéj, niech cię Bóg wspiera na drugie tyle, i wzajemnie ujàwszy rękę starca, ucałował ją czule.

— *Satis*, rzekł stary ocierając oczy, *satis*, bo się rozbeczę jak dziecko.

— I mnie też zrobiło się tak razem żałośnie i miło, żem chciał obu

---

*) Wyjątki te były niegdyś w Tygodniku Wileńskim.

**) Który odkupiłeś zgubionych, nie potępiaj odkupionych.

***) Najszanowniejszy kustoszu, rzekłeś słowa szczytne. — *Custos*, znaczy strażnik—opiekun.

patrom do nóg upaść, ale mi tego nie dopuścili, i tak wszyscy trzéj zamilkliśmy, ale w duszy radzibyśmy byli jeden drugiemu, jak to powiadają, nieba przychylić.

Po chwili takiego milczenia odezwał się znowu ks. kustosz:

— Ale zboczyliśmy z drogi: miałem ci dowieść ojcze, że stan dzisiejszy ducha zakonnego i zakonników, mimo niejakiego rozwolnienia reguł i form, lepszym jest i grutowniéj religijnym, niżeli w owe czasy, gdy ks. Biskup Warmiński, zawzięte dysputy nasze wyśmiewał. Bo niechżeby kto teraz choć równy a nawet wyższy odeń talentem, zebrawszy wszystkie wady i usterki klasztorne, chciał napisać z nich poema żartobliwe; pewny jestem, że tegoby nie dokazał, dla braku treści; a co nie wzbudza śmiechu, to wzbudza litość albo uszanowanie, albo jedno i drugie razem; i to oboje uczułby on dziś w nas się rozpatrując bez uprzedzenia. — Nie mamy zapewne teraz tak ścisłych *ascetów*, jakich dawniéj, między zakonnikami szczególniéj, nie mało znajdowało się; *kateny* *) równie jak *ciupy* wyszły z mody, ale za to wiara gorliwa i gorliwość o wiarę jest w sercu każdego: i zda się, że łaska oświecająca i uświęcająca, skupiona w ówczas na niektórych, teraz chwała Bogu rozlewa się na wszystkich. Wierzono dawniéj po większéj części bez rozbioru, obserwowano regułę i obrzędy z rutyny; dziś wierzemy sercem i przekonaniem, a każdy akt modlitwy i świętych a wspaniałych obrzędów naszych, dla tego buduje wiernych, dla tego czyni na nich głębokie wrażenie, że sami głęboko niém przeniknieni jesteśmy.

— Mówisz *Reverendissime* jak Salomon,—przerwał ks. Ambroży,— ale mości dobrodzieju *nulla regula sine exceptione* **).

— Tak jest,—rzekł kustosz, i być inaczéj niemoże, gdy sprawa z ludźmi, a nie z aniołami: ale w Bogu nadzieja, że przy Jego opiece, światowość która nas jeszcze się czepia, odpadnie od nas jak szata zbutwiała; a błogosławiony habit, cela spokojna i samotna, pokora i prostota, staną się ulubionemi każdemu zakonnikowi; tak, że bez przymusu i surowości wróci wszystko do dawnych reguł i karbów.

— Amen! Mości Dobrodzieju, rzekł ks. Ambroży, Amen! i

---

*) Katena—pas druciany ostry, którym się pokutnicy po nagim ciele przepasywali.

**) Żadna reguła bez wyjątku.

mocno pociągnął tabaki, a ja dla rozweselenia ojców tak mądrzo zarozumowanych, rzekłem.

— Kiedyż wszystko ma się wracać do dawnego obyczaju, to zdaje mi się *reverendissime*, że zacząćby najpierwiéj należało od bernardyńskich porcyi *„Frater an vides me?* *) pytano dawniéj u obiadu na przeciw siedzącego brata: a teraz możnaby zapytać: *„Frater an vides portiam meam?“* **).

Zaśmieli się oba ojcowie, a ks. kustosz dodał:

— Ot widzisz ks. Ambroży, są w nim zarywki kwestarskie, więc,—rzekł obracając się do mnie i oddając książki,—więc czytaj i potém pisz; pod staroświecką *obedientią* przykazuję waszeci: a co napiszesz, przynoś tu częściami do mnie, będziemy z ks. Ambrożym sądzić twą pracę i po professorsku podpisywać *„Lectum et corectum“* ***).

Powróciłem więc do celi, i najpierwiéj spisałem na świeżo, i *praeter propter* dosłównie, mądrą ojców rozmowę, bo słuchając całą gębą, i mając chwała Bogu lokalną pamięć, nieopuściłem ani słowa, a tym samym służy mi to za *introdukcyę*, i razem objaśnia zkąd na mnie to przyszło.

III.

Brat Michał Ławrynowicz.

Mój miły Boże! kiedy to ja spójrzę do danych mi książek, aż od pierwszéj karty dowiaduję się, że to raptularze naszego nieboszczyka brata *Michała Ławrynowicza*, którego dobrze pamiętam, i którego śmierci nawet byłem świadkiem w *Bienicy;* bom tam natenczas był w szkółce, w któréj pauperów okazujących inklinacyę do zakonu, nauczano służby bożéj i początkowych nauk, nawet po trosze łaciny. A jeżeli który z dyscypułów, przez swą pilną aplikacyę i pojętność, dawał dobrą o sobie nadzieję, to go na wyższe *studia* wy-

*) Bracie czy widzisz mnie?
**) Bracie czy widzisz moją porcyę?
***) Czytano i poprawiono.

syłano do Wilna, zkąd po latach kilku nowicyatu i nauki, wychodził na kapłana, a czasem i na wielkiego teologa.

Otoż pamiętam, że w kilka miesięcy po przybyciu swojém do *Bienicy*, jakoś to już na stoku zimy, a przybył latem, umarł brat Michał z gorączki, która natenczas wszędzie grasowała, a najwięcéj około traktu, którym całe wojsko francuzkie nazad się wlekło i marzło, a od którego Bienica blizko.

Żałowano bardzo w klasztorze brata Michała; bo choć on był *titulo* kwestarz tylko, jednak respektowanym był wielce, bo miał głowę nie dla proporcyi. A jako niegdyś dworak i wersat, w interesach klasztornych, zwłaszcza *majoris importentia* *) lepiéj często niż który *pater* poradził. Pamiętam nawet siwego barana, którego on uczył na prewadyra do kwesty; jadł on już chleb z rąk i na pamiątkę Michałem go nazywano: porwał go potém wilk, z wielkim żalem nas wszystkich, szczególniéj klasztornych studentów, których on był faworytem.

Mówiono i to, że ks. Puciata spowiednik brata Michała, zabrał po nim wiele papierów i całych seksternów ściśle zapisanych: mniemano natenczas, że on jeżdżąc po świecie zbierał rozmaite *perskrypcye* to doktorskie, to kucharskie, i odkazał je widać przy ostatniéj spowiedzi swemu ojcowi duchownemu; ale i ks. Puciata wkrótce także *fatis cessis*, więc i zapomniano o wszystkim. Teraz wszystkie te cyrkumstancye przyszły mi na pamięć, gdy też same seksterniki wydrukowane są na mojém ręku; i przeczytałem je od deski do deski — Niechże w Bogu spoczywa poczciwy brat nasz Michał Ławrynowicz, a fama o nim i o zakonie naszym, niechże za błogosławieństwem Boskiém, *crescit et multiplicatur in secula seculorum* **).

Zatém i mnie w jego ślady iść potrzeba: ksiądz kustosz nałożył *obedientię*, i już ze trzy pióra zgryzłem myśląc tylko jak zacząć: pamiętniki te gorzéj mi jeszcze głowę zawracają, różne obudzając refleksye: spiszę je więc wszystkie i ks. kustoszowi zaniosę: niech sądzi i dyryguje, a może mnie od tego kłopotu uwolni.

Moje Refleksye.

Już mi nie o to idzie, żem się ja nigdy z memi zdolnościami do pióra nie probował; bo owo kazanie, którem *ex abrupto* powie-

*) Większego znaczenia.

**) Rośnie i rozszerza się na wieki wieków.

dział, tém samém że się udało, dowodzi że nie było moje własne, ale łaską Ducha Ś. we mnie natchnięte. Nie mogę także powiedzieć: *„w szkole nie bywałem i rószczki nie widziałem,“* bo i mnie wysłanoby niegdyś jak wielu innych z Bienicy do Wilna na *studia*: lecz jam natenczas osądził, że mnie dość nauki, i uparłem się przy swojem; a że nie było komu popędzić mi rozumu do głowy, i przekonać mię że go mam niespełna, więc tak jakoś i zostało się: za to rosła codzień we mnie taka miłość do mojego stanu, do klasztoru, do kościoła, że nieustannie prosiłem aby mię co najrychléj paskiem Ś. Franciszka przepasano i wotum moje przyjęto; a gdy to się stało, nacieszyć się nie mogłem.—Bóg świadkiem, że odtąd ani razu nie pożałowałem tego; bo i cóżbym robił na świecie? Otbym gdzieś wykierował się może na jakiego *pisarza prowentowego*; piękna funkcya, i piękna kondycya! Tu zaś chodząc około mądrych i pobożnych ojców, słuchając ich przestrog i nauk, codzień w głowie mi świetłało; a mając czasu na zbycie, przyszła za dobrym przykładem i ochota do książek: odzywało się w pamięci *„Surge puer, sume librum, perlege, sapere aude;“* *) być mądrym ośmiel się! Więc i ośmieliłem się... do mądrości to wprawdzie daleko, ale przecież i z głupstwa jakoś wybrnąłem, tak, że i nie wstyd było patrom za socyusza niekiedy mię przybierać; a że to często się zdarzało, i nakoniec we zwyczaj jakoś weszł, więc i polityki światowéj pokosztowałem trochę, i poznałem chwała Bogu co *licet i decet* **) między ludźmi: jak to powiedział ks. kustosz.

Niechże mię jednak Bóg broni od pychy! to piérwszy gradus do piekła: zawszem ja tylko brat Rafał, *humillimus servus* pokornego naszego zakonu, a refleksye te dla tego tylko czynię, że poczuwam się w możności, jak i kto inny, a może za pomocą boską i lepiéj potrafię opisywać kwestarskie moje włoczęgi. Tylko wszakże przy wszystkiém tém co mnie Bóg dał z natury, lub nadarzyła nauka, żadnym sposobem komparować się nie mogę z nieboszczykiem bratem Michałem; bo proszę uniżenie, gdzież teraz takie dwory, w jakich on wprzód jak marszałek réj wodził, a potém na swéj dropiatéj objeżdżał? Gdzież panowie jak Radziwiłł? do którego i mniéj bogatsi, ale ze swéj wspaniałości, pobożności i pańskiego życia po-

*) Wstań dziecię, weź książkę, przeczytaj, być mądrém ośmiel się.—Wypisy dawniejsze na klassę 1-szą.

**) Wolno i przystoi.

dobnemi byli? Gdzież ten animusz, rezon i humor, z którym brat Michał już do klasztoru wstąpił, a potém w peregrynacyach swoich wszędzie go znajdując, akcenta własne mieszał z cudzemi — a nadto opisywał wiele takich rzeczy i ewentów w kraju, o których ani mi się śniło, i ledwo coś o nich od starych naszych patrów posłyszeć można; i to wiedzą z nich niektórzy, że dzwoniono, ale nie wiedzą w którym kościele? — Gdzież ta wesołość i swoboda umysłów?... powiadają, że teraz *światło* panuje, ale Boże odpuść, gdzież tam? teraz *ciemność* panuje; a przynajmniéj bardzo wielka pochmurność — Gdyby było światło, toćby rozweselało ludzi: kiedy słońce pięknie świeci, to aż miło spójrzeć w oczy każdemu; a kiedy chmurą zajdzie i nie ma pogody na świecie, to nie ma i na twarzach ludzkich: więc kiedy nie ma teraz wesołości, to nie ma i światła — konkluzya zdaje mi się oczewista.

Kwestarze podług dawniejszéj mody, bywali właśnie takimi, jakimi był brat Michał: pokorny ale *versat* — skromny ale *faceciosus* — *werydyk*, ale roztropny: umiejący i ze szlachtą się bratać, i u panów [stawić się *modeste* ale *honeste*.] — Powiadają nawet, że jeden taki kwestarz, stanął aż przed królem, i cały konwent swój z kłopotu wybawił; było to jakoby takim sposobem.

Któryś król przejeżdżając mimo *któregoś* z naszych bernardyńskich klasztorów, postrzegł nadpis na facyacie: „*Providentia Dei;* *)
zawołał zatém gwardyana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten nadpis?

— Miłościwy królu — odpowiedział on, rozumiemy to, że żyjemy *ex providentia Dei*, to jest z opatrzności Boskiéj, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem.

Zakon nasz niemoże posiadać dóbr ziemskich, więc nie orząc ani siejąc, z łaski dobrodziejów żyjem.

— Dobrze, — rzekł król, — obaczymyż jak żyjecie, — i weszedł do klasztoru w gościnę, z całym dworem na obiad.

Naturalnie, dla takiego gościa, ks. Gwardyan nie żałował co miał najlepszego: a że dyspensa i sklep uprowidowane były porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny ale dobry i smaczny; i skosztował zapewne bernardyńskiego trójniaku: ale po traktamencie rzekł do gwardyana, i do assystujących mu ojców.

*) Opatrzność Boska.

— No, widzę że *providentia Dei* opatruje was hojnie: teraz więc musicie mi dowieść żeście jéj godni, to jest żeście mądrzy i pobożni, i że taż sama *providentia*, nie tylko daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze dusze oświeca i karmi. Zatém macie mi odpowiedzieć na trzy pytania.

Primo — Ilem ja wart?

Secundo — Jak daleko z ziemi do nieba?

Tertio — Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których jeżeli mi na każdą tę kwestyę przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę że *Providentia Dei* was wspiera, i żeście godni téj opieki; owszem będę sam dla was jéj narzędziem: ale jeżeli pytań tych nie rozwiążecie, wypędzę was z klasztoru, jako ludzi chwalących się fałszywie łaską opatrzności, któréj nie są godnemi.

Trudno opisać jakie zamieszanie stało się w klasztorze, po takim gorzkim koncepcie króla. I jubilaty i definitory, najtęższe teologi suszyli sobie głowy, i nieschodzili z konsyliów, na których od rana do wieczora siedzieli, ale nic wymyślić nie mogli: a tu *tempis tempi*, czas się skępi, i trzeci ostatni dzień nadszedł, a odpowiedzi jak niema tak niema; było ich może ze sto, ale żadnéj takiéj, którąby króla skonwinkować mogła.

Wtém wszedł na walną radę, w refektarzu zebraną, brat kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cożeście ojcowie uradzili, czy macie responsa dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich, poznawszy on, że sprawa idzie jak z kamienia:

— No *reverendissimi* — rzekł — kiedy *sapientia* wasza tak feluje, to pozwólcie mnie stanąć przed królem jegomością, może ja was uratuje, i dowiodę żeśmy nie...

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie; ruszyli się hurmem z ław, i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzie ma dać królowi?— a niektórzy kiwając wątpliwie głową odzywali się:

— My nic nie wymyślili, a waszeć masz być mędrszym od nas?

— Odpowiedzi moich, — rzekł kwestarz, — wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne skoncypujecie: ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powiadam wam posyłajcie po mnie, bo już nic lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Argument ten był nieodbity, więc i stanęło na tém, że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem.

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ rzekł on wchodząc, bo już to pewnie od tego zaczął.

A król pewnie odpowiedział:

— „Na wieki wieków“ i postrzegłszy go, przypomniał onegdajszą gościnę, i rzekł: przychodzisz zapewnie księżulu z responsami na moje kwestye.

— Tak jest, najjaśniejszy Panie, odpowiedział z nizkim pokłonem kwestarz,

A więc król zasiadł na tronie, i włożył koronę zwyczajnie jak król, a koło niego cały dwór od złota i srebra, aż w oczach kwestarzowi zaćmiło się, jednak nie stracił fantazyi.

— No, rzekł król, *Ilem ja wart?*

— Szacujemy waszą królewską mość *dwadzieścia dziewięć srebrników*, odpowiedział kwestarz, Zdaje się że bez krzywdy, kiedy jednym tylko srebrnikiem mniéj od naszego Zbawiciela.

Król spójrzał po dworzanach, nie było co odpowiedzieć.

— *Jak daleko z ziemi do nieba?* zapytał znowu król.

— Moment drogi, miłościwy królu, *skonanie!* odpowiedział kwestarz, idzie tylko oto, aby nie zbłądzić, i nie trafić do piekła; od czego aby Bóg ustrzegł waszą królewską mość, my niegodni słudzy jego, gorliwie modlić się będziemy.

Król pokręcił głową.

— No, ostatnie pytanie: *co ja myślę?*

— Wasza królewska mość myślisz, mówił kwestarz, że kiedy mnie tu wysłali, to ja muszę być bardzo mądry teolog, a ja prosty brat *pałkuć* — kwestarz, do usług waszéj królewskiéj mości.

— *Bravo!* zawołał król, i wszyscy za nim: *bravo!* wygrałeś sprawę: że *providentia Dei* opiekuje się wami i nie opuszcza was w każdym kłopocie; potém zaprosił go wzajemnie na obiadek i nakoniec sowicie obdarzonego odesłał.

Ot to mi kwestarz! ale powtarzam, teraz takich nie ma, bo nie ma szkoły na nich, a tą szkołą był świat; i choć który wyjechał

z klasztoru *„simplex Dei amicus“* *) to w każdym prawie domu szlacheckim, a tém bardziéj pańskim, znajdując prócz samych gospodarzy zawsze jeszcze mościpanów z professyi kwestarzów tylko bez habitu, którzy wędrując od komina do komina, i fałdrując tym co ich karmili, odpłacali swym dobrodziejom za chleb, wyprawnym językiem. Brali oni zwykle biednego kwestarza w obróty, nim go tak nie wyuczyli, że potém i sam się im obronił, i ich konfundował jeszcze: ztąd powstały owe jowialne anegdoty i dykteryjki kwestarskie, o które teraz trudniéj jak o barany; gdy wszyscy i wszędzie jęczą jak dusze czyscowe, choć częstokroć bez widocznéj przyczyny; zmora jakaś padła na świat cały: zkąd? i dla czego? ja nie wiem.

Choćby więc kwestarz miał głowę Salomona, nic nie dokaże, gdy ani własnéj, ani cudzéj podjąć wesoło nie może; a gdyby zresztą i zdobył się na jakiś koncept, to cóż?.., ot mi przychodzi na myśl komparacya: często dobre stalowe krzesiwo, sypie iskrami jak żarem; cóż? kiedy gąbka się nie zapala, bo przemokła i gniła; otoż syp koncepta i akcenta jak z rękawa, cóż, kiedy one nie rozjaśnią śmiechem żadnéj twarzy bo wszystkie żółte i kwaśne, jakbyś je z przemokłéj hubki ulepił; zblakowało towarzystwo ludzkie i kwita: a konsekwencya z tego wszystkiego czysta: że jeżeli pan wydawca powiedział, że pamiętniki brata Michała Ławrynowicza mają się tak do pamiętników *Grumdrypa* spisanych przez księdza biskupa Warmińskiego (o którym onegdaj tak gorącą słyszałem rozprawę) jak *kwestarz* do *biskupa* **), to moje do pamiętników Ławrynowicza mieć się będą jak *żebrak* do *kwestarza*. Obaczemyż co na to powie ks. kustosz dobrodziéj.

IV.

Colloquium 1-sze u ks. kustosza. Admonicye.

Dałże mi naukę ks. kustosz dobrodziéj! bo gdym przeczytał moje refleksye, które bardzo approbował ks. Ambroży, on trzęsąc głową rzekł:

---

*) Prosty przyjaciel Boski.

**) Przedmowa do Nowych Pamiętników Kwestarza.

— Na co waszeć taką pstrokacizną, to jest tak częstemi łacińskiemi makaronizmami nastrzępiasz i szpikujesz swój styl. Czy ci polskich wyrazów brakuje?

— Ja *reverendissime* myśliłem, że po bernardyńsku pisząc, tak koniecznie potrzeba, byle *zrozumiętelnie.*

— A niech cię licho! wrzasnął znowu ks. kustosz zatykając uszy, zkąd wyrwałeś tę *zrozumiętelność.*

— A wszakże to nie makaronizm, odpowiedziałem.

— To gorzéj, to barbaryzm, mówił grożąc mi palcem, a ja rozumiałem że na mnie za barbaryzm *ciupę* odnowi.

Rozśmiał się ks. Jubilat na taki jego ferwor, i on się sam zatém udobruchał; więc zaczął refutować moje refleksye.

— Z twoich uwag bracie Rafale widać, że ty główną zaletę kwestarza na dowcipie zasadzasz; czyż to jego całe rzemiosło aby tylko rozśmieszać i brać, a prościéj mówiąc wydrwiwać barany? dawniéj bywało nakształt tego i to coś napisał w tym względzie, jest po większéj części prawdziwém....

— I owszem w całości, w całości prawda, przerwał ks. Ambroży, zażywając tabakę.— Dajmy na to że prawda, mówił daléj ks. kustosz; ale szczególniéj w tém, że zmora jakaś jak mgła ciężka padła na świat, i na ludzi, że jak bardzo trafnie acz popularnie wyrazić mu się udało, towarzystwo ludzkie *zblakowało.* Barwa nasza bowiem starodawna, rodzinna, niegdyś jasna, czysta, łagodna i żywa razem, oblekająca jakby w szatę weselną wszystkich, zwlekła się jakoś i z młodzieży i ze starych; dziś młodzież szaleje częstokroć, ale się nigdy nie weseli; a na każdego starca teraz zwykle ponurego spójrzawszy, powiesz przysłowie „*głowa miejsca szuka.*“ Dawniéj taka głowa, będąc pewna miejsca swego w królestwie niebieskiém, na ziemi igrała wiele z młodzieżą, rozsiewając z zebranego w długim wieku zapasu, ziarna i nasiona dowcipu, swobodnéj wesołości i miłości wzajemnéj; było to *otium cum dignitate* *) *ot co jest!* jak powiadał nieboszczyk ksiądz kustosz opiekun i przyjaciel brata Ławrynowicza, *ot co jest!* ale dla czegoż tak jest? dla czego? rozwiąż tę kwestyę ks. Jubilacie.—Bo taka wola Pana Boga, odpowiedział ks. Ambroży.

---

*) Odpoczynek z powagą.

-- Naturalnie, że taka wola Pana Boga, bo nic się bez niéj na świecie nie dzieje, wszelakoż wolno nam jest rozmyślając i zastanawiając się nad sobą samemi, szukać fatalnych przyczyn i grzechów naszych, których skutkiem bywa gniew Boży: jest to rachunek sumienia publicznego, rzadko kiedy zmazany skruchą i poprawą, i dla tego zawsze prawie okupowany pokutą; pokutujemy więc i teraz.

A czy nie mówiłem *reverendissime?* czy nie mówiłem że źle z nami? przerwał ks. Ambroży: jak pobrataliśmy się ściśle ze światem: jak wyszła z mody *obedientia* i *reverentia* dla starszych: jak *ciupę* zamurowano bodaj po wszystkich klasztorach....

— Ale nie oto idzie ks. Jubilacie, przerwał wzajemnie kustosz, nie oto idzie; obyczaje nasze zakonne, klasztorne, różniły się zawsze i różnić się muszą od świeckich, to inna materya; gorzéj że cały świat jak w *ciupie*, a idzie o przyczynę czém on na to zasłużył?

— Niedowiarstwo mości dobrodzieju! niedowiarstwo! rzekł gorąco ks. Ambroży.

— Ha! w ogólności tak *reverendissime*, tak, niedowiarstwo jest to wątpliwość: a wątpliwość, jest to niespokojność, niespokojność zaś nigdy swobodną ani pogodną nie była; wewnętrzny więc stan towarzystwa jest, a przynajmniéj był nie dawno takim, i bez wątpienia ztąd początek złego; bo ludzie straciwszy ufność w Bogu, poczęli ufać sobie samym, i powodować się pochopom, żądzom i namiętnościom: a te wprowadziły ich w stan nieustannego pożądania, wprowadziły na dolę trudów, starań, zamętu, nadziei, bojaźni, a co najgorsza samolubstwa, obojętności na los bliźnich i na wszelkie względem ich chrześcijańskie obowiązki. Prawda, że z takowéj pracy powszechnéj, wynikło wiele pożytecznych wynalazków dla świata, ale cóż? kiedy razem z przybytkiem pożytków, przybywa daleko więcéj gorącéj i nieograniczonéj chęci posiadania, do któréj też same pożytki i wynalazki kuszą. Oto jest powszechna dziś choroba towarzystwa ludzkiego: jest to trawiąca gorączka, któréj symptomatem widocznym, jest owa niespokojna i zrzędliwa ponurość, która nas objęła i na którą się uskarżamy.

— A lekarstwo *reverendissime?* lekarstwo na to jakie? zapytał ks. Ambroży; bo jużciż sądzę, że choroba ta nie jest śmiertelną: chyba że skończenie świata blizko.

— No ks. Jubilacie, odpowiedział ks. kustosz, Bóg sam tylko wie godzinę, w któréj każe zabrzmieć Archanielskiéj trąbie, a lekarstwo na chorobę tę znajdziesz na każdéj karcie naszéj Ś-téj Ewangelji; do nas to kapłanów należy podwójny obowiązek, ogłaszać i zalecać ludziom w naukach naszych to lekarstwo: a w modłach codziennych błagać Boga, aby raczył sprawiać serca ludzkie, ku przyjęciu onego i przyswojeniu; *zaufanie w Bogu!* i *umiarkowanie w żądzach!* oto w ogólności dwa *specyfiki;* drugie wyrabia się z piérwszego.

— Prawda *reverendissime* prawda, rzekł Jubilat, *„nisi dominus custodiverit civitatem, frustra vigilat qui custodit eam.“* *) bez nadziei i zaufania w Bogu, nic nie będzie.

— Zdaje mi się wszelako, mówił daléj ks. kustosz, że się zbliżamy do przesilenia i materyalnie i duchownie: umiarkowanie przyjdzie z przesytu; a bardziéj może z niedostatku... jak będziemy goli, dodał śmiejąc się, to będziemy i skromni i spokojni.

— Ale nie o tém dawidzie, gra idzie: zabrnęliśmy daleko od materyi; waszeć bracie Rafale odrzeknąć się chcąc honoru autorskiego, wynajdujesz preteksta, które ci lenistwo na ucho szepce; mówisz że nie mogłeś po świecie dzisiejszym, czy onegdajszym, gdyś po nim się włóczył, nazbierać kwestarskich treści do opisywania: a ja ci powiadam, że je masz gotowe w twej głowie *„Puść myśli na rozwagę, jak plewy na sito“* gdzieś tam powiedziano: **) jeździłeś przecie po domach ludzkich nie po budach niedźwiedzich: czasy i obyczaje zmieniają się, to prawda; ale jednakże w każdym okresie czasu, ludzie i obyczaje takie jak są — *są;* Nieprzewidując nigdy, że cię kiedyś do ich opisywania tak dobrze jak zmuszą, nie zastanawiałeś się zapewne nad tém cóś widział, lub co ci się zdarzało; uwagi zaś twoje teraźniejsze nad tém wszystkiém, gdybyś je wypisywać chciał, po niewczasie nieudałyby-ci się może, i... tu machnął ręką.

Zrozumiałem ja ten *mach* jego, kiwnąłem głową, a on się uśmiechnął.

— Pisz więc bracie Rafale, mówił znów ks. kustosz: przypomi-

---

*) Jeżeli Bóg nie opiekuje się towarzystwem, próżno ten pracuje kto je strzeże.

**) Zabłocki.

naj i pisz; a my z księdzem Jubilatem z twych pism i przypomnień, sami moralne sensa wyciągniemy.

— Kiedy będzie z czego, dokończył ks. Jubilat, i zażył tabaki.

V.

Kwesta. Wyjazd.—Brat Piotr.

„Adsis inceptis benigna Virgo meis!“ *) Tak zaczął niegdyś swe raptularze brat *Michał Ławrynowicz*, gdy był jeszcze świeckim człowiekiem; więc tém bardziéj mnie który habit noszę tak zaczynać należy: ale sam początek mojéj peregrynacyi, zupełnie inny był niżeli jego, on się spotkał najpierwiéj ze wspaniałym a pobożnym rycerzem; a ja—Panie Boże odpuść!

W lat, jak mi się zdaje, piętnaście zacząłem ja kwestę moją z klasztoru Bienickiego, po najściu francuzów i po śmierci brata Michała: byłem już natenczas *maturus*, bo czwarty krzyżyk kończyłem; a jednak był jeszcze długi certament w klasztorze nad tém, żem był za młody na kwestarza: ale nakoniec wyprawiono mnie, i w bardzo podobnym paragonie jak kiedyś brata Ławrynowicza; z tą tylko różnicą w zapasach, że on miał zawsze puzderko pełne i zawsze dolewane wyśmienitą staruszką, którego ja nie potrzebowałem; w głowie zaś miał dworski rozum i rezon, bernardyńskim humorem korroborowany: a u mnie jakiż był zapas na kwestarskie experymenta? kilka pieśni światowych, które czasem podochocony nasz organista wyśpiewywał; a ja się od jego nauczyłem, kilka wierszy szkolnego gatunku, ot i wszystko: a wszakże i to się przydało w niektórych kazusach, jakie niżéj opiszę.

W każdym klasztorze jest osóbny wóz kwestarski, mocny, dobrze okuty i ładowny: na teraźniejsze czasy dość jednego, dawniéj po trzy razem wyprawiano, bo nieraz z drogi dwa pełne wracały do klasztoru, i potém znowu gdzieś łączyły się z kwestarzem po drodze; kałamaha więc drabiasta i szeroka, koń stary i chudy, gotowy gość na cudzy obrok. Prewodyr rogaty tuż za wozem, i

*) Przybądź w pomoc Matko miłosierdzia poczęciu méj pracy.

nakoniec wiozący mię sługa klasztorny; nie taki jednak jak ów Marcin brata Michała, zwykły woźnica kwestarski, *gadativus sine fine*, i prawiący rozmaite. światowe historye, bo mój przeciwnie najczęściéj milczał jak ściana: i kiedy niekiedy tylko niby ze snu obudzony, obdarzył mię jedną półodpowiedzią za kilka moich kwestyj.

Był to *neofita*, nie dawno z Wilna do naszego klasztoru przysłany, długa o nim historya. Piotrem go ochrzczono, a był on synem jakiegoś wielce mądrego rabina wileńskiego; ojciec chcąc go widzieć na swojém miejscu głową jakiegoś ich tam Sanchedrynu, uczył go wszelkich tajemnic żydowskiego niedowiarstwa, a najbardziéj utwierdzał go w nienawiści ku chrześcijanom, i ku najświętszemu Zbawicielowi naszemu. Nie dokończył on wszakże swéj nauki i umarł zostawując młodego Abela nad talmudem biorącego na *gimorę*, nie mogącego jednak zrozumieć jeszcze hebrajszczyzny doskonale, bo to jak mówią bardzo trudny język, tak, że nie wszyscy rabini nawet gruntownie go pojąć i zrozumieć mogą. Był zaś w naszym klasztorze ojciec *Hromyko*, uczony bardzo i pobożny zakonnik: peregrynował on aż dó ziemi świętéj, i przemieszkiwał lat kilka w samém Jeruzalem, w klasztorze naszym bernardyńskim tam przy grobie Pańskim będącym; wróciwszy zaś potém do ojczyzny, obrał sobie ciągłą rezydencyę w Wilnie i siedział w celi spokojnie i pokornie jakby pospolity bernardyn: umiał on *expeditissime* po hebrajsku; tak, że często w zawiłych sensach, których rozplątać nie mogli, żydzi udawali się doń, i prosili aby im tłómaczył ich własną mowę: nieodmawiał się temu nigdy ks. *Hromyko*, bo przy każdéj takiéj nauce miał zręczność tłómaczyć im z własnego ich tekstu błędy ich, i konwinkować absolutnie, tak względem próżnéj ich nadziei doczekania messyasza, jako i we wszelkich bajkach i bałamuctwach w ich *misznach* i *talmudach* nagromadzonych.

I *Abel* więc takąż samą drogą za starszemi trafił do ks. *Hromyki:* a poznawszy się z nim dobrze, coraz to częściéj na te lekcye przychodził: bo ks. *Hromyko* w krótkim czasie więcéj go nauczył niżeli rabini przez lat kilkanaście: uwierzył więc on najprzód w głęboką mądrość swego nauczyciela, a potém powoli tak doń przywykł, że go pokochał jak swego rodzonego ojca, a nawet czyściéj może i gruntowniéj; dla tego, jak sam potém, mówił, że gdy ojciec zalecał mu nienawiść ku wszystkim ludziom, którzy nie tak jak żydzi wierzyli, to ks. *Hromyko* dowodził mu przeciwnie, że wszyscy

ludzie są braćmi, a zatém że wszystkich kochać należy, a każdy błąd tajemniczych talmudowych bałamuctw, zbił nie tylko pismem ale i zdrowym rozumem.

Krótko mówiąc *Abel* ochrzcił się nakoniec, i stawszy się z *Abela Piotrem Paschalskim*, bo w dniu paschy czyli wielkiéjnocy przyjął *chrzest Ś-ty*, i niechcąc się odłączać od swego ojca w Chrystusie, przy nim w klasztorze naszym wileńskim zamieszkał.

Póki żył ks. *Hromyko*, wszystko szło dobrze: *Paschalski* codzień bardziéj przyzwyczajał się do klasztornego życia, i wkrótce powziął chęć gorącą wstąpienia do naszego zakonu. Zezwolono na to chętnie, bo miano nadzieję, że przy ochocie jego do nauk, a instrukcyj ks. *Hromyki*, dójdzie on do wysokiéj sciencyi w kościele Bożym. Lecz na nieszczęście jego wkrótce ks. *Hromyko* umarł, więc nowy klasztorny *frater* zostawszy bez jego opieki, codzień wyraźniéj zmieniał się, tak, że go wkrótce poznać było trudno; bo prócz tego, że z żalu i tęsknoty wybladł i wychudł, ale rzucił nauki, i tułał się po klasztorze jak mara, do nikogo słowa nie przemawiając: podsłuchano tylko przypadkiem, że często sam z sobą prowadził rozmowy dla nikogo niezrozumiane bo po hebrajsku; wyśledzono także, że niekiedy zamknąwszy się w swojéj celce, siedział zatopiony nad księgami także hebrajskiemi, których miał i własny zapas, i po ks. *Hromyce* pozostały: ztąd osądzono, że on jest na drodze niebezpiecznéj, i że albo zwarjuje, albo co gorsza, zgubi swą duszę i do żydostwa wróci; postanowiono zatém wysłać go z Wilna do któregokolwiek na wsi klasztoru, w nadziei że wolna aura, ostudzi mu głowę, i zrektyfikuje umysł zwichnięty.

Przybył on więc do *Bienicy*. Ks. gwardyan nasz wiedział już o wszystkiém, i nie wiém dla czego mnie szczególniéj poruczył, abym nań miał oko i niejakąś opiekę: dla tego starałem się poznać, co zacz w nim i z nim jest? ale w nim już szatan siedział i dręczył go, wziąwszy go właśnie jak na uzdę i ciągnąc k'sobie, choć on jeszcze jakby oburącz trzymając się nauk ks. *Hromyki* przy dobrém się upierał. Z takich szalonych kontrowersyj między Ewangeliją i talmudem, taka w jego głowie stała się mieszanina, że częstokroć w sobotę zapomniawszy się kiwał się w kącie po żydowsku, a w niedzielę modlił się z płaczem, przepraszając Pana Boga za sobotę. Ku mnie on więcéj niżeli do kogokolwiek w klasztorze przywykł; bo też i ja podług instrukcyi ks. gwardyana, starałem się ogłaskać go nieco: więc gdy się dowiedział że ja mam puścić się

na kwestę, oświadczył że mię nieodstąpi i razem ze mną pojedzie.

— Być to nie może bracie Pietrze, rzekłem — kwestarz sociuszów nie wozi i niepotrzebuje; a nie praktykowało się jeszcze, aby dwóch kwestarzów na jednym wozie jeździło.

— Ja, rzekł on, będę jegomościa furmanem; bo mnie zawsze tak jak nieboszczyka Hromyki *jegomościem* nazywał, chociem go za to gromił, bratem mu się deklarując; ale już to tak i zostało.

— To jeszcze gorzéj, odpowiedziałem, — chyba jeden drugiego wozić będziemy, bo obadwa bracie Pietrze równi jesteśmy.

— Równi, czy nie równi, odpowiedział on, to nic nie znaczy; ja sobie taką pokutę naznaczyłem: pokora grunt wszystkiego!— mówił ks. ojciec mój: kto się poniża, podwyższon zostanie, powiedział Chrystus; a rabin *majmonides*....

— Co ty pleciesz? co ty bluźnisz? przerwałem mu ostro; jak ci to razem do głowy przyjść mogło? piękna komparacya? Chrystus i rabin jakiś!

Piotr z zadziwieniem spójrzał mi w oczy, jakby nie pamiętał co powiedział: widać że biedny niepostrzegał się nawet, jako go zły duch z dobréj na złą drogę gładko sprowadzał.

Po chwili milczenia, rzekł on znowu: pojedziem mój jegomość, pojedziem, a kiedy mnie tu zostawisz, to weźmiesz grzech ciężki na swoje sumienie; bo jegomość za jedne wrota, a ja za drugie: nie będę tu żył z ludźmi, którzy mię wychrztą i relapsem nazywają, wszak jeszcze ślubu z habitem nie wziąłem, mogę więc przeodziać się: włożę kapotę i powiozę jegomościa, bądź łaskaw dobrodzieju wyjednaj mi to u ks. gwardyana.

— Cóż było robić? poszedłem zatém do ks. gwardyana, i gdym mu powiedział o co idzie: wysłuchawszy mnie, pokiwał on głową i rzekł: niech jedzie z Panem Bogiem; jak ja uważam nie dobędzie on bernardynem, a może i nie dowozi cię do końca; zgadł jak prorok, ale o tém niżéj *in ordine* mojéj peregrynacyi.

Puściliśmy się więc z bratem Piotrem w podróż: smutno mi jakoś zrobiło się, gdym przejechał bramę klasztorną, obejrzałem się na kościół, to tak jakbym rodzoną matkę opuszczał; ale wnet zmówiłem „*pod Twoją obronę...*“ modlitewkę moją faworytkę w utrapieniach, i wnet weseléj mi w oczach się zrobiło.

— A dokąd jechać? zapytał Piotr.

— Przed siebie bracie, odpowiedziałem; dla kwestarza każda droga swojska, każda chata — gościna.

VI.

Piérwsze spotkanie — Pan Assesor Ptaluteczku — i Szlachcic na łopacie.

Piérwsze niegdyś spotkanie brata Ławrynowicza z zacnym i wspaniałym rycerzem *Chomińskim*, dobrze mu prognostykowało na dalszą kwestę: moje, jak dziś pamiętam, wcale inaczéj mi się wydarzyło. Wypadało mi przejeżdżać przez miasteczko blizkie Bienicy, w tym samym dniu, gdy tam był kiermasz; a lubo ze wschodem słońca wybrałem się z klasztoru, chcąc przebyć miasteczko nimby tłum się zebrał, jednak mi się nieudało, i musiałem przeciskać się już przez rynek i ulice; a nawet *prewodyra* mojego *rogacza* wziąść na powroz, aby między wozami nie zbłąkał się i nie przepadł. Wyjechałem przecież na szeroki gościniec za miasteczkiem i już sobie powoli bez przeszkody wlokąc się, mijałem i chłopków i szlachtę, a nawet i zegarkowych mościpanów śpieszących na kiermasz, jak na odpust jaki; nie jeden zatrzymał mię, pozdrowił grzecznie, i dwuzłótkę jeszcze wsunął mi w rękę, aż tu z daleka słyszę najprzód dzwonek, a wnet postrzegam chmurę pyłu na drodze; więc usunęliśmy się trochę na bok, nadlatuje trójka: szkapki chłopskie aż rozciągają się do ziemi, a na kałamaszce w sterczącéj słomie siedzi jakaś zawzięta figura, i ze skręconego jak waltornia cybucha puszcza gęsty dym w około, jakby mu mało było kurzu, który go okrywał.

— Stój! krzyknął on, postrzegłszy mnie, stój ptaluteczku! i własnemu chłopowi zatrzymać się kazał: potém hec z kałamaszki i prosto do mnie.

A minaż jego mina! ni to jeż, ni to sowa, czyste Boże odpuść straszydło weneckie! Będzie tu kuso koło mnie! pomyślałem: bo

i po kołnierzu, i po bizunie przez plecy jak ładownica przeczepionym i po zacięciu, poznałem, że to pan assesor.

— Zkąd popie? wrzasnął on.

— Z Bienicy mój dobrodzieju.

— A dokąd? ptaluteczku.

— Na cały Boży świat, mój dobrodzieju.

— A masz pasport ptaluteczku?

— Mam.

— Pokaż, bo widzisz kto ja jestem.

— Widzę, i oto mój pasport, rzekłem podnosząc mu na oczy krzyż, który na piersiach nosimy.

— Stropił się jegomość i raptem przeżegnał się; ale wkrótce opamiętał się poganin, i rzekł:

To koncept kwestarski: to pasport do nieba; ale tu pokaż ptaluteczku inny, bez którego po ziemi wędrować nie można.

— Innego nie mam mój dobrodzieju, odpowiedziałem pokornie.

— No, to zawracaj, zawracaj bez ceremonii do miasteczka; a ztamtąd przy assystencyi przyzwoitéj, odeszlę cię na starą kwaterę; kto wie nawet, czy ty bernardyn? może ty szpieg jaki przebrany? podejrzana figura ptaluteczku a jeszcze i zwierzęta wodzisz za sobą. Na to trzeba osóbnego dozwolenia; bo nie dawno wyszło rozporządzenie, że niedźwiedzi wodzić nie wolno.

— Ach! pomyślałem, co tu przyczepek i kruczków na jeden raz.—Toż zdaje mi się baran, rzekłem uśmiechając się.

— Baran! baran! tak tobie zdaje się, a może to i wilk w baraniéj skórze: odpowiedział on serjo.

— A mój dobrodzieju, rzekłem, gdyby to był wilk, toby po drodze zaczepiał i napadał jadących spokojnie.

Zamiast odpowiedzi buchnął on mi dymem w oczy, na kwitę widać za tę moję do wilka przytyczkę.

Tymczasem spójrzałem przypadkiem na wóz pana assesora; aż poznaję furmana: był to dziesiętnik z bliziuteńkiéj od nas wsi, Zaskiewicz, i nawet bratczyk pobożny naszego kościoła, daje mi on znaki na dłoni wcale zrozumiałe; nie widział tego Pan assesor, bo tyłem do swego wozu był obrócony, gdy się rozprawiał ze mną.

Domyśliłem się łatwo jaką mi salwę nastręcza sługa znający widać dobrze sentymenta swego pana; więc idąc za tą radą daną mi na migi: wiesz-co panie assesorze? rzekłem, odczep się ode-

nie, sam znasz, że mnie nie słusznie turbujesz; jedziesz na kiermasz, ot woléj wypij tam za zdrowie bernardynów butelkę wina, i wsunąłem mu w rękę te kilka złotówek, któremi mię niedawno poczciwi ludzie obdarzyli.

Scisnął, jakby stopił w garści: no, rzekł wnet udobruchany, niech cię licho ptaluteczku! masz zapewne kwestarskie puzdro w wozie, dobądź, zapijem tę sprawę.

— Ani piję, ani wożę, mój dobrodzieju.

— Czy tak? toż ty widać prawdziwie *podezrytelna* figura, a nie kwestarz, kiedy jeździsz bez podróżnego krempulsu: modny z ciebie bernardyn! a ten twój furman kto? coś mu z oczu nie po naszemu patrzy, kto on? *generis chamutyni?* co?

I nie czekając odpowiedzi już odchodził, gdy mi przyszedł do głowy koncept, który moje złotówki wyzwolił i nazad mi je wrócił.

— Mój dobrodzieju, ozwałem się więc zatrzymując go, pytałeś mię o pasport...

— No, nie gniewaj się ptaluteczku; to moja powinność, przerwał mi.—

— Nie tylko nie gniewam się, mówiłem daléj, ale chcę jeszcze memu dobrodziejowi naraić zręczność zapytania się o pasport pewnego jegomościa, którego wartoby pociągnąć na antabę, bo nie jednemu assesorowi zalał za skórę; a pasportu pewnie nie ma.

— Jak to? gdzie on? kto on? zapytał rzeźwo.

— Oto jegomość wypatruj na kiermaszu szlachcica po dawnemu noszącego się, w kuntuszu granatowym dobrze wytartym, w czapce na bakier, podsiwiałego już dobrze, ale tęgiéj jeszcze i czupurnéj miny; wścibia się on wszędzie gdzie tłum; gdzie piją, grają w karty, gdzie czasami policya sądzi kiermaszowe sprawy; jegomość wiesz, tu garścią pokazałem do kieszeni, i szpieguje wszystko: a potém *hajda* na swoją czarno-księżską łopatę i leci z raportem do Wilna, do panów szubrawców, urwipołciów tam jakichciś, tak jak i on sam; a ci, niech ich licho, drukują to wszystko co tydzień jak z pilnego interessu w swoich *Brukowych wiadomościach*, które zapewne i jegomość dobrodziéj mogłeś czytywać, bo prawie co dom u nas, to znajdziesz tę przeklętą półarkuszówkę: jest ona i w naszym klasztorze; a szlachcic na łopacie wymalowany tam na wierzchu z podpisem „*leci a leci*“ bodajby kark skręcił! bo to on widać roznosi te półarkuszówki i z góry rozsiewa po świecie; otoż pewnie on jest i na tym kiermaszu: zdaje mi się nawet żem go widział

w tłumie; zlustruj tylko jegomość gromadki koło zielonych stolików, koło bilardów, zajrzyj w ciemne ciupki gdzie zwykle w cichości konsolują się pończykiem ichmość panowie czynowniki niższego choru, a znajdziesz go pewnie i poznasz; więc go wraz *łap* za kark! I pokaż ptaluteczku pasport! nie ma, pokaż dekret jaki ty szlachcic? nie ma, jak tu przybyłeś? na łopacie, dawaj łopatę i w piec ją: a samego jegomościa w turmę, niech nie lata samopas, i nie szkaluje zacnych ludzi. Między nami mówiąc, dodałem z cicha, szubrawcy go wykupią; i tu znowu pokazałem garścią do kieszeni *).

Pan assesor słuchał mię jak osłupiały, wytrzeszczył oczy, i cybuch z gęby wypuściwszy trzymał w ręku niedbale; a gdym skończył, słuchaj! wrzasnął: ty panie ptaluteczku, pałkuciu, czy djabli cię wiedzą jak tam ciebie nazywać i kto ty jesteś? znam ja wszystko! czy ty rozumiesz że ja taki dureń, że wierzę w szlachcica i jego łopatę? Ale może to ty sam włócząc się po świecie zbierasz plotki, i tym urwisom z pod ciemnéj gwiazdy, szubrawcom, dostarczasz nowinek: może to i ty napisałeś niedawno w Brukowych Wiadomościach wydrukowany *sąd Salomona* **) jakoby to mój sąd; tak, że mnie teraz wszyscy w powiecie *Ptaluteczkiem Salomonem* nazywają; ale mniejsza oto: masz twoje złotówki, i rzucił mi je w oczy, znaj że cudzego niechcę! ale pamiętaj ptaluteczku, że kiedy znajdę w Brukowcu nasze dzisiejsze spotkanie się, to tak mi Boże dopomoż, zrobię tobie takie dzieło, że cię ani szubrawce, ani cała wasza kapituła bernardyńska nie wyplącze; jedź do djabła!

— Umyślnie do jego nie pójdę, rzekłem śmiejąc się, i kłaniając się nizko, chyba gdzie spotkam się z nim na drodze. A więc bądźże zdrów ptaluteczku.

— No, no, wrzasnął on grożąc mi cybuchem; jeszcze mię drażnisz! i poleciał nareszcie, a my także powlekliśmy się daléj.

---

*) Nadto znajome w owym czasie i teraz pamiętne jeszcze *Brukowe wiadomości* i wędrówki szłachcica na łopacie czarnoksięzkiéj dostarczającego do pisma tego najważniejszych artykułów.

**) Na pewnym jarmarku, włościanin przedał wołu, i przegrał pieniądze wszystkie w kubki jakiemuś szalbierzowi; przyszedł więc na skargę do assesora, który odebrał pieniądze od szulera, i wsadził go w kłodę za to, że oszukiwał włościan; a pieniądze wziął sobie, za karę chłopakowi, że szulerował. *Brukowe Wiadomości* opisały fakt ten, i nazwały to *sądem Salomona.*

— To jakiś *haman! Holofernes!* mruczał z cichą po swojemu brat Piotr.

VII.

Pan i Poddany.

Już kilkanaście baranów biegło za *rogaczem*, a zbliżałem się i chciałem na noc dosięgnąć do *Wołożyna*, gdzie jest także nasz klasztor, i gdzie oktawę Bożego ciała przebyć postanowiłem: gdy nam szyna na kole pękła; szczęście że blizko jakiejś karczemki, przy któréj i kowal się znalazł: więc kilka godzin spełzło na reparacyi, i słońce brało się już pod zachód, gdyśmy daléj wyruszyli; możebym jednakże dobił się w nocy i dostukał się do bramy klasztornéj, ale się razem z ciemniało i zachmurzyło się tak, że choć palcem w oko; trudno było, bo ani jechać w pociemku, ani na nocleg się przytulić nie było jak i gdzie? baranki nasze biedne nie widząc ani nas, ani wozu, skupiły się w kuczkę i beczały żałośnie: a tu na dobitkę burza grzmiała już nad nami, i błyskawice jak biczem smagały po oczach; poleciłem się więc opiece Matki Boskiéj i postanowiłem stać na miejscu. Wtém, zapewne za Jéj miłosierdziem, postrzegliśmy z boku, nie bardzo daleko od nas kilka światełek, a szczególnie jedno jaśniejsze nad inne: poznaliśmy zatem, że to być musiała wioska jakaś, do któréj jakkolwiek dostać się potrzeba było, bo i deszcz bujny, kroplisty jak zwykle przed ulewą moczyć nas począł, i pioruny coraz gęściéj i bliżéj uderzały.

Nie zważając więc jak? i kędy? zawróciliśmy się do tych światełek, trzodkę naszą spuszczając na co Bóg zdarzy. Wkrótce po roli oranéj i po sianożątkach jakichciś, dobiliśmy się do płotów, i trzymając się podług przysłowia jak *ślepy płotu*, domacaliśmy się przecie do wrót, i wjechaliśmy w ulicę wioskową.

Z zadziwieniem posłyszałem dzwonek z drugiego końca wioski do nas zbliżający się; a po dźwięku loretańskim domyśliłem się, że to święty *Viatyk* zbliża się do którejkolwiek chaty: i rzeczywiście zbliżał się do téj saméj właśnie, z któréj okienek światełko przewodniczyło nam w ciemnościach; a teraz stało się dla mnie gwiazdą betlejemską, bo mię przywiodło przed Boga.

Posłyszano widać i w chacie ten święty odgłos dzwonka, bo wyszli wszyscy z latarnią na podwórko, a przy jéj blasku postrzegłem na przeciw siebie, jakby mnie drugiego: przybywał to bowiem z Panem Bogiem kapłan naszego zakonu z klasztoru Wołożyńskiego o milę ztąd odległego. Powitał on mnie Krzyżem Świętym; a ja uwenerowałem na kolanach tego wielkiego gościa, który ni w karecie ni w sajecie, ale na prostym wózku i na piersiach ubogiego zakonnika przybywał: a przecież przynosił chłopkowi skarb, jakiego żaden pan, ani potentat tego świata dać nie może, skarb najdroższy, to jest *spokojną ostatnią godzinę.* Ale to cud prawdziwy, że chmury zapewne od dzwoneczka świętego, rozchodzić się poczęły: noc rozwidniała, a grzmoty uciekając od jego dźwięku, z daleka tylko jakby z gniewu pomrukiwały.

Weszliśmy zatém do chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł kapłan na progu.

— Na wieki wieków! odpowiedział głosem słabym, ale wyraźnym leżący na łóżku chory; i już tém samém poznałem, że to był gospodarz domu, i ojciec całéj gromadki, bo nikomu innemu w chacie nie wolno odpowiedzieć na takie pobożne powitanie, jak tylko samemu gospodarzowi: to jego przywiléj i attrybucya u włościan naszych.

Kapłan obejrzawszy chorego, i znajdując go do spowiedzi gotowym, rozkazał płaczącéj żonie jego, aby otworzyła świronek, dla ulokowania na zbożu świętéj *Eucharystyi.*

— Niech, rzekł on, dawca na swych darach spoczywa i błogosławi je: *) co uczyniwszy powrócił do chaty, z któréj wszyscy wystąpiliśmy, bo przyszło do spowiedzi chorego.

Niebo tymczasem rozpogodziło się zupełnie: noc się zrobiła piękna i jasna; poszliśmy więc oba z bratem Piotrem, na odszukanie naszéj trzodki po śladach kędy do wsi przybyliśmy: zacząłem wołać po imieniu naszego *prewodyra: Rogacz! Rogacz!* odezwał się on z daleka, a za nim cała gromadka, jakby nas na ratunek wzywała: na zawołanie moje powtórne i bliższe, *Rogacz* przywykły do mojego głosu i ręki, przybiegł ku mnie ochoczo ze swoją kompaniją; więc całą trzodkę odprowadziliśmy szczęśliwie do wioski.

---

*) Zwykły obyczaj w Litwie w podobnych zdarzeniach.

Około Bożego Ciała noc krótka: cała biedna czeladka téj chaty nie zmrużyła oka, z całéj wsi nawet poschodzili się gospodarze dowiadując się o zdrowiu sąsiada: a tymczasem nim spowiedź odbyła się, nim kapłan odczytał z chorym zwykłe modlitwy przed Świętą Komuniją, a potém Litaniję do Najświętszéj Panny, o szczęśliwą śmierć, którą wszyscy uklęknąwszy w chacie za nim powtarzaliśmy, to już i na brzask się wzięło; wkrótce słońce ogniście weszło, i kapłan właśnie ostatnie mu udzielał namaszczenie: oh! pomyślałem sobie, ostatni raz słonko w jego okienko dla niego zaświeciło! ale wkrótce ujrzy on słońce, które nigdy nie zachodzi!... Natenczas mogłem już obaczyć dobrze, i rozeznać oblicze umierającego. Nie był to człowiek zgrzybiały, ale schorzały: bladość śmiertelna na twarzy, ale w oczach jeszcze życie: i Bóg mu zachował do końca łaskę swoję, bo przytomnie modlił się i rozmawiał aż do skonania.

Był to widać człowiek roztropny i poczciwy a wielce pobożny; znał zbliżającą się śmierć swoję, a wszystko co mówił jak dziś pamiętam, bo wszystko było do przykładu, i daj Boże każdemu tak umierać, jak ten prosty a szczery wyznawca naszéj wiary świętéj.

W chatce było czysto i schludno, przybrano ją widać na przybycie kapłana: wysypano świeżym ajerem, stoł nakryto białym obrusem, a ławy i zedelki cieńkiemi namiotkami; nakoniec zapach jałowcu palonego na przypiecku, rozchodził się aż po dziedzińcu, i jakby kościelnym kadzidłem napełniając powietrze, do ekzekwialnych pobudzał myśli. Żona dogorywającego biedaka, z żalu płacząc rzewnie, a ze zwyczaju głosząc nad nim swe lamentacye, najotwarciéj mu śmierć blizką wyśpiewywała.

— Dość, kochana moja Krystyno, rzekł on, dość: wiém, że wraz Bogu ducha oddam, a chcę jeszcze i ciebie i dziatki nasze pobłogosławić.

W tém drzwi się otworzyły, wbiegła młoda panienka i rzuciła się Krystynie na szyję; a dziewczyna, starsza córka umierającego, chwyciła jéj ręce, i zachodząc się od płaczu całowała ję. Krystyna była mamką panienki, jakem się potém dowiedział, a Magdusia siostrą jéj mleczną.

— Mameczko moja kochana! siostrzyczko moja Magdusio: nie płaczcie! mówiła panienka, sama szlochając; Pan Bóg może podźwignie Marcina, a was pocieszy: dziadunio mój was nieopuści....

Konający chwycił ją także za rękę, i do ust przytulił.

— Panienko kochana! Marynio nasza! rzekł on, i ty nie masz matki, i ty sierota! klękaj tu razem, ja i ciebie pobłogosławię razem z mojemi własnemi dziatkami: bo i kocham cię jak własne dziecię moje.

Panienka uklękła obok Magdusi, i przy nich syn starszy już mężczyzna i kilkoro młodszych; choremu jakby życia przybyło: podjął się o własnéj sile, złożył ręce i wzniósł je w górę, a wzdychał głęboko, widać modlił się w duchu. W takiéj postaci znalazł go wchodzący do chaty pan téj wioski. Gdy ujrzał on na co trafił, przykląkł i sam z cicha między gromadką tak, że go zatopiony w westchnieniach do Boga Marcin niepostrzegł; lecz gdy zniżył ręce i zwrócił oczy na klęczących ujrzawszy natenczas między niemi i pana swojego.

— Ach panie mój! ojcze mój! zawołał on, i ty tu z namil niechże i ciebie Bóg błogosławi! W Imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!

Pan i dziatwa uchylili głowy, gdy on przeżegnał wszystkich.

— Przyszedłem kochany mój Marcinie, rzekł pan, obaczyć jak się ty masz po lekarstwach, które ci onegdaj doktor zostawił.

— Oh! nie panie, nie! ja znam, mówił umierający, ja znam po coś tu przyszedł: przyszedłeś pożegnać starego swego i wiernego sługę. Niech ci Bóg zapłaci wszystkie łaski i dobrodziejstwa twoje! ojcze mój! dziatki moje tobie w opiekę oddaję!!!

Pan ocierając łzy, Marcinie, rzekł, jeżeli już cię Bóg do chwały swéj powoła, ja ci przyrzekam, ja ci przysięgam, że dzieci twych nieopuszczę, i wnukom moim pod błogosławieństwem umierając zalecę, aby potomstwo wiernego sługi mego, w nędzę i biedę niepopadło: służyłeś mnie od lat dziecinnych moich i twoich: potém chciałeś mieć chatę własną, i gospodarzyłeś poczciwie, pohodowałeś dziatki w bojaźni Bożéj. A jeżelim ja w czém tobie zawinił, odpuść mi po chrześcijańsku! daruj dla miłości Pana Boga! zawsze cię kochałem, i teraz kocham; a wkrótce zapewne i ja pójdę za tobą!

— Ach! i ja ciebie panie i ojcze mój kocham: żal mi ciebie, z kim ty bezemnie pogadasz, jak bywało zemną? kto ciebie pocieszy i rozdobrucha? kto z tobą razem na mogile twego jedynego dziecka, Litaniję świętą za jéj duszę odmówi? nie płacz panie, nie płacz! ja wraz przed Bogiem stanę, i modlić się będę razem z nią za ciebie. Dziatki moje dziatki! ciężko mnie porzucać was! Żyjcie poczciwie; oto wasz drugi ojciec!.. Oj Boże! i odpadł na łóżko...

Pan trzęsąc się z żalu jak osina, ledwo wymówić mógł „do widzenia się Marcinie!" i wyszedł; a wkrótce i sługa ten poczciwy spokojnie oddał Bogu ducha.

Wnet potém przybiegł chłopiec ze dworu, i mnie tam zaprosił, pojechałem więc; odbył się nazajutrz pogrzeb Marcina kosztem dziedzica, na którym i sam pan podkomorzy z wnukami (taki był tytuł tego pana) i wszyscy dworscy służebnicy jego znajdowali się; a gdy trumnę do ziemi spuszczano, piérwszą garść piasku rzucając on rzekł.

— „Masz Marcinie ostatnią tę odemnie za twą wierność zapłatę; resztę niech ci Bóg w niebie doliczy."

Po trzydniowym u pana podkomorzego odpoczynku, obdarzony kilką baranami, puściłem się daléj: a z tego zdarzenia przekonałem się, i każdemu powiem, że są jeszcze na świecie i poczciwi słudzy i dobrzy panowie.

VIII.

Farmazony.

Wołożyn *) jest już blizko Niemna, za którym Nowogródzki powiat sławny pszeniczką, i obfitością wszelkich bożych darów. A lubo bracia nasi klasztoru Nieświézkiego dobrze się tam pożywiają około książąt Radziwiłłów i swych możnych panów, wszakże postanowiłem i ja tam poprobować szczęścia, i udało się, nie ma co powiedzieć; a jednak wolałbym i nogą za rzekę nie stąpić, a było to tak:

Wielkie stada owiec pasą się tam po polach, a lubo to owce drogie, bo na nich wełna jak jedwab' i piękne pieniążki biorą Nowogrodzianie za tę wełnę, jednak nie żałowano ich i dla kwestárza, a nim dojechałem do Nieświéża nazbierała się taka gromadka, że już z nią daléj jechać niepodobna było.—Poradziłem sobie jednakże, bo zajechawszy do klasztoru naszego Nieświézkiego, gdzie mię wdzięcznie przyjęto, uprosiłem tamtejszego ks. kustosza, że z kopę moich baranów przyjął w lokatę, i na paszę ze swojemi połączył. Tak więc

*) Wołożyn majątek Tyszkiewiczów w powiecie Oszmiańskim.

zostawiwszy z dziesiątek przy sobie dla kompanij *Rogacza*, puściłem się daléj; bo w tych bogatych stronach i kalita napełniła się sporo, i miło było jeździć po tak pięknym kraju.

Tak od komina do komina, a dworów tam gęsto, zajechałem do pana marszałka *Niepokojczyckiego*. Zacne panisko! było to w sobotę: na stole mięsa ani odrobiny, ryb dostatek; lecz że sama imość suszyła soboty, więc jéj respektem i cały obiad był postny.

— Wiesz co kochany kwestarzu, odezwał się do mnie wśród obiadu pan marszałek, zostań dziś u nas, jutro niedziela, dzień także nie do podróży. Mamy chwała Bogu domową kaplicę, i naszego szanownego księdza Jerzego kapelana, który cię przyjmie na kwaterę; a za to, posłużysz mu jutro do mszy, i odbędziemy razem nabożeństwo, odpoczniesz sobie, a w poniedziałek, jeżeli zechcesz koniecznie, z Panem Bogiem!

— Zawsze staram się dobrodzieju, odpowiedziałem, abym w niedzielę gdziekolwiek na mszę trafił; jeżeli więc wola i łaska pańska tak się mi szczęśliwie nadarza, akceptuję pokornie propozycyę, bylem się księdzu kapelanowi dobrodziejowi nie naprzykrzył z kwaterunkiem.

— A w Imię Ojca i Syna! rzekł staruszek kapelan; chyba i z baranami chcesz wleść do mojéj izby, to już natenczas byś mnie wycisnął, a inaczéj pomieściémy się.

— Więc zgoda, dodała pani marszałkowa, matrona wspaniała, i pani jakich teraz nie widać: a gdy będziesz odjeżdżał księże kwestarzu, obacz się i ze mną, wynajdę i ja cokolwiek na chwałę Boską.

Tym więc smaczniéj zajadałem szczupaka, i wybornėm popijałem piwkiem, a odmawiałem wina, do którego ngląc mię pan marszałek powtarzał dawne przysłowie „*post pisces, vinum misces.*“

— Nie kwestarski to trunek jaśnie wielmożny panie,—odpowiedziałem—„*Cerevisiam bonam, et magnificum donum*“ *) to i wszystko czém kwestarz kontentować się powinien.

— Oho,—rzekł marszałek,—widać że choć młodyś jeszcze, bywałeś w szkole dawnych kwestarzy, bo masz koncept na pogotowiu; nasz kwestarz Nieświéżski, to tylko *pastor bonus* swoich baranów, i nic więcéj.

---

*) Piwo dobre, i dar wspaniały.

Cały zatém ten dzień, i nazajutrz niedzielę przebyłem jak w raju, i nabożnie i wesoło. Był to dom pański, który komparować możnaby do domu pana starosty opisanego przez brata Ławrynowicza, choć może nie tak wielkiéj *substancyi i ostentacyi*. Na mszę ś-tą zgromadził się cały dwór, i oficyaliści wszyscy za przykładem obojga państwa swoich, modlili się pięknie i gorliwie, aż serce rosło patrząc, po staroświecku, po chrześcijańsku, a jednak, lecz o tém niżéj.

Gdym w poniedziałek wybierał się w dalszą peregrynacyę moją, pan marszałek dał mi parę dukatów; a imość zawoławszy mnie do siebie: weź, rzekła, bracie kwestarzu, tę sztukę płótna mojéj fabryki domowéj i mojego blechu, na tuwalnie do ołtarzów waszego kościoła; a jakież to płótno! precz i holenderskie.

Nie umiejąc już jak dziękować za takie przyjęcie i za taką hojność: każ, rzekłem, jaśnie wielmożna pani dobrodziko odemknąć kaplicę, niech jeszcze raz w niegodnéj mojéj modlitwie poproszę Boga za wasze zdrowie i długie lata.

Tak się i stało; po czém wyprawiłem się za bramę, lecz gdym folwarczny dziedziniec przejeżdżał zastąpił mi drogę pan *Pszonka* ekonom tutejszy, któregom już widział w kaplicy, trzymając w ręku szynkę jak łopatę: masz na drogę mospanieńku, rzekł rzucając tę ćwierć kabana do kałamaszki.

— *Deo gratias*, rzekłem.

— *Ad felix videndum mospanieńku* i kwita! odpowiedział.

We dwa tygodnie potém, przejechawszy powiat Nowogródzki wszerz i wzdłuż, a niekiedy i na ukos, podbliżyłem się umyślnie w sobotę pod Nowogródek: bo w przeszłą niedzielę jakoś tak fatalnie się zdarzyło żem został beze mszy: więc już w następną postanowiłem solennie się pomodlić.

Zostawiwszy więc brata *Piotra* z wozem i baranami w pobliższéj wioseczce u jakiegoś poczciwego gospodarza, sam piechotą poszedłem do miasteczka i dążyłem prosto do kościoła.

— Pójdziemy razem księże kwestarzu, rzekł ktoś dopędzający mnie; obejrzałem się, aż to pan marszałek, mój onegdajszy dobrodziéj, a z nim też kilku innych panów; niektórzy znajomi mnie także, bom do nich zajeżdżał; po solennych więc a pokornych z méj strony salutacjach, marszałek dowiedziawszy się jak i po co przybyłem rzekł:

— Po nabożeństwie bracie Rafale do mnie na obiad proszę; a nawet, mówił uśmiechając się i poglądając na swych towarzyszy, nie źle trafiłeś do Nowogródka, możesz się tu dziś porządnie obłowić.

Nic nie wiedziałem co to miało znaczyć, ale ujrzawszy w kościele liczną frekwencyę obywatelstwa wytłómaczyłem to sobie *ad mentem* słów pana marszałka, choć to zupełnie co innego znaczyło. Stawiłem się więc podług rozkazu po nabożeństwie do dworku jego: ale znowu niespodziewanie na dziedzińcu spotkałem onegdajszego dawcę szynki, kochanego pana *Pszonki* ekonoma marszałkowskiego, który rad był bardzo temu spotkaniu; i jemu zatém rozpowiedzieć musiałem, jak i dla czego tu się znalazłem, i że idę na obiad do jego pryncypała.

— Dajże pokój mospanieńku, rzekł on, jak się tam pomieścisz? dziś u pana marszałka pół powiatu na obiedzie.

— A cóż mam zrobić? zapytałem.

— Chodź *mospanieńku* do mojéj stancyi, mam pieczeń uczciwą, którą mi moja imość na drogę dała, a i z pańskiéj kuchni podsuplementują nam przysmakami; posilisz się należycie, bo to widzisz, *mospanieńku*, marszałek swoim dworem, a ja swoim: on tu marszałkuje, a ja len i siemie jego przedaję. Żydki kaducznie zacięli się ale i ja swego nieodstąpię; przyjdzie bodaj przenocować. No więc proszę za mną *mospanieńku;* a po obiedzie możesz pójść i do pana: powiesz mu żem ja cię zwerbował, i że jadłeś jego obiad, choć z innéj misy. Kompanija u niego trwać będzie aż do wieczora, bo ja wiem co się tam u nich święci, i pokręcił głową, to jeszcze i na kwestę stanie czasu *mospanieńku.*

Akceptowałem zatém projekt pana. *Pszonki:* a nadto tak on cóś mi na poczciwego człowieka wyglądał, tak mi postura jego podżyła a w staroświeckiéj kapocie przypadła do serca, żem wolał jego pieczenię, niżeli pańskie specyały, za które możeby mi jeszcze w tłumie, konceptami kwestarskiemi wypłacać się trzeba było; a których u mnie pasz.

Stancya pana ekonoma była w kuchennéj oficynie; byliśmy więc w samém gnieździe marszałkowskiego obiadu: okrajały się zatém i dla nas dostatnie porcye; aż tu wchodzi lokaj galonowany, i stawiąc przedemną butelkę wina mówi:

— To pan marszałek dla jegomościa przysyła.

— A zkądże wie pan marszałek, że ja tu jestem? zapytałem.

— Pan nie widząc jegomościa, siadając do stołu zapytał nas, czyśmy nie widzieli bernardyna, którego na obiad zaprosił: a my jegomościa już znamy, i patrzaliśmy jak pan ekonom prowadził jegomościa do siebie, więc i opowiedzieliśmy to panu: pan i goście żałowali bardzo, że nie ma kwestarza: potém cóś z sobą po francuzku gadali, i nakoniec pan dał mi tę butelkę, kazał zanieść jegomości, i powiedzieć że prosi jegomościa nieodmiennie, abyś był u niego na godzinę ósmę wieczorem.

— Nie mogę, rzekłem, muszę do wozu mego i do baranów powracać,

— Nie czyń *mospanieńku* tak, rzekł *Pszonka:* jeżeli marszałek każe ci być u siebie o ósméj wieczorem, to nie bez racyi, i zapewne sowite dla ciebie gotuje żniwo: nieodmawiaj więc: baranów *mospanieńku* przez noc wilk niepozrze wszystkich, a musiałeś zresztą dobrze ich tam gdzieś zalokować; przenocujesz zaś *mospanieńku* tu u mnie; łóżko w pogotowiu i kwita.

Przypomniałem ja wtedy co mi pan marszałek powiedział gdym się z nim spotkał, że w dobry czas do Nowogródka trafiłem, i że mogę się tu nie źle pożywić.

— Niechże i tak będzie, rzekłem: powiedz jaśnie wielmożnemu panu, że spełnię jego rozkazy, ale tę butelkę odnieś nazad, bo widać on zapomniał, że ja wina nie piję.

— A to co *mospanieńku*, zawołał *Pszonka*, biorąc butelkę do rąk własnych: jaka to poniewierka łaski pańskiéj. Owszem powiedz Jakóbie panu, że kwestarz pokornie dziękuje za konsolacyę.

Uśmiechnął się Jakób, uśmiechnąłem się ja: a pan *Pszonka* nalał szklankę, łyknął do połowy, posmakował, głową pokręcił i rzekł:

— *Wybornissime mospanieńku!* Gawędziliśmy zatém z popijającym marszałkowskie winko poczciwcem, gdy ja zapytałem go nakoniec.

— Czy nie wiesz panie Antoni (bo tak mu było na imię) dla czego to tak licznie tu zebrało się dziś obywatelstwo?

Pszonka na to pytanie spójrzał mi ostro w oczy, jakby go nagle osa ukąsiła, i pociągnął od razu taki haust, że całą szklankę połknął aż do dna; potém zamyślił się trochę i rzekł:

— A wasyndziejowi *mospanieńku* na co ta wiadomość? może wiem, może nie wiem, ale nosa w sprawy pańskie nie wścibiam, i [znam dobrze cnotę nad cnotami, a życzę pamiętać *mospanieńku*, że ciekawość pierwszy gradus do piekła.] Idę, mówił daléj, wstając i biorąc czapkę, dobijać targu z żydkami o len, a wasyndzieja *mospanieńku* czekam z łóżkiem po konferencyi z marszałkiem i kwita.

Nie rozumiałem coby w taki ferwor wprowadziło raptem pana *Pszonkę;* ale nie myśląc nad tém długo postanowiłem pójść z paciorkami do zaścianku, gdziem mój oboz zostawił, wiorst z parę niedaleko, a na ósmę powrócić, co i spełniłem, uregulowawszy tam wszystko z bratem Piotrem; na zachód słońca znowu byłem w stancyi pana ekonoma; doczekałem tam aż ósma na wieży kościelnéj wybiła, i natenczas poszedłem do pana marszałka.

Tenże sam lokaj drzemał w sieni, a obudzony mém wejściem wprowadził mię do piérwszego pokoju, i poszedł donieść panu o mém przybyciu; przychodząc wnet marszałek: dobry wieczór, rzekł, uprzejmie podając mi rękę: czemużeś z nami razem niechciał jeść obiadu?

— Najpokorniéj dziękuję jw. panu, odpowiedziałem, zawszem ja jednak pańskim chlebem syt.

— No, a teraz dajcie tackę kwestarzowi, rzekł on do służby, którą wnet podano, i chodź za mną.

Wieczór był ciemny i chmurny, przeszliśmy prawie po omacku, i stanęliśmy przed bramą domu, od którego chociaż był na dziedzińcu, świeciło aż na ulicę; tam przy latarni zatrzymał mię pan marszałek i rzekł:

— Stój tu w bramie przy latarni, i każdemu wchodzącemu pokaż talerzyk, postoisz z godzinę, a próżnego nie odniesiesz: masz na początek i rubla na talerzyku położył.

Nie smakowała mi jakoś taka kwesta, do żebraniny podobna; dla czegoż mnie między kompanię nie wprowadził? pomyślałem i chciałem odejść; oh! i bodajbym był tak uczynił!!! ale znowu przyszło mi na myśl, że niewdzięcznie bym sobie postąpił, i zagniewać bym mógł mego dobrodzieja.

Gdy tak waham się w myślach, nie wiedząc co uczynić, nadchodzi jakiś jegomość.

— A tacka księże kwestarzu? rzekł on.

Wysunąłem ją; on mi na nią drugiego rubla położył, i odszedł.

Zrozumiałem natenczas, że to rzecz umówiona widać na obiedzie u pana marszałka: bo zkądby on wiedział że ja mam tackę? zostałem zatém na miejscu, a zajrzałem przez bramę na dziedziniec. Stał tam blizko budynek nie mały, z którego wszystkich okien świeciło jak na roraty, i do którego coraz to nowi wchodzili goście, a każdy uśmiechając się, lub pozdrawiając mnie grzecznie, kładł rubla na tackę; to mnie tylko dziwiło, że chociaż tam kilkadziesiąt osób weszło, tak że ja garść już rubli z tacki do kieszeni przesypać musiałem, cicho jednak było wewnątrz, i szmer jakiś tylko do mnie dochodził.

Nagle, uderzając mię ktoś po ramieniu z tyłu, zaszeptał:

— *A mospanieńku*, i wasyndziéj tu pod farmazońską bramą? może *mospanieńku* myślisz sfarmazonić się także, ale ostróżnie! ostrzegam ostróżnie! proby djabelnie ciężkie! każą na ćwieki skakać, przez ogień iść, przez wodę brnąć, ze szkieletem trupim siedzieć w pociemku! niedotrzymasz *mospanieńku*, niedotrzymasz — i kwita.

Obejrzałem się więc, i postrzegłem przy świetle latarni pana *Pszonkę*, którego zgadłem wprzód i po mowie jego, ale nie rozumiałem co on mówił, tém bardziéj, że wydał mi się być podpiłym; widać że borysz dobitego targu o len zmieszał się mu w głowie z marszałkowskiém winem.

— Co wasan gadasz? rzekłem, jakie farmazony? tu mnie postawił pan marszałek z talerzykiem, na który ot kilkadziesiąt rubli zebrałem od gości wchodzących do tego domu; kto tu mieszka?

— He, he, he, rozśmiał się *Pszonka*, kilkadziesiąt rubli! kilkadziesiąt rubli; obaczym czy jutro nie znajdziesz pełnéj kieszeni trzasek zamiast rubli; oho! czy słyszysz *mospanieńku?* czy słyszysz? rzekł chwytając mię za ramię.

— Słyszę, rzekłem, zdaje się że młotkiem stukają, jakby ćwieki wbijano do ściany.

— Cicho *mospanieńku;* na miłość Boga cicho! bom ja głośno mówił. Oj ćwieki! ćwieki! ale nie do ściany wbijają tam ćwieki. Widzisz wasyndziéj *mospanieńku*, sądzą oni tam zdrajców, i za karę wbijają im ćwieki do łbów; djabeł potém zalecza te rany tak, że i znaku nie ma; ale już taki człowiek, tak często zbija się z tołku, że i my choć nie farmazony, przecież ten jego defekt poznając, mówiemy: *„on ma ćwieka we łbie;“* a to zdrajca farmazon zaklętym

ćwiekiem piętnowany. Lecz jeżeli jeszcze raz zdradzi, to oni jego portret przebijają nożem, a choćby on był wtenczas i na drugim końcu świata, to już nie wykręci się, i wnet jemu *caput* i kwita.

Oho! słyszysz *mospanieńku*, łańcuchy! dalibóg łańcuchy brzęczą! ahu! ciemno! wszelki duch Pana Boga chwali! i przeżegnał się drżący *Pszonka*.

Na ten brzęk łańcuchów, i mnie jakoś dreszcz przeszedł po skórze: przeżegnałem się także.

— Otoż teraz, szeptał przerażony *Pszonka*, otoż teraz *mospanieńku* sam Lucyper z łańcuchami zawitał, otoż teraz sam szatański rozgardyasz. Żegnaj *mospanieńku*, żegnaj na miłość Boga! zawsze to jednak ręka wasyndzieja duchowna i koło ołtarza chodzi; żegnaj ten dom przeklęty, bo dalibóg i dotrzymać trudno tu, strach! i uciekać trudno; bo nogi jakoś niestatkują. Oto wlazłem *mospanieńku: ni u zad*, *ni u piered*, i kwita.

Sam nie wiedząc co robię, przeżegnałem ten dom.

— Ehe! otoż masz! rzekł nagle *Pszonka* chwytając mię za pasek, otoż masz! świetluteńko znowu, oto dogodziłeś im widać krzyżem świętym. Dogodziłeś *mospanieńku!* a bramy piekielne nie poruszą go, jak powiada nasz ks. kapelan....

— Idźmy ztąd, rzekłem ja nakoniec, bo choć nie rozumiem co tu się dzieje, i co wasan prawisz, ale coś tu jest bodaj niedobrego.

W tém jakiś jegomość idący przez ulicę z latarnią w ręku postrzegł nas i mijając rzekł:

— A co tu robicie? i bernardyn jakiś! szpiegujecie jak uważam farmazonów? no strzeżcie się gdyby oni was razem z sobą na łysą górę nie porwali, i rozśmiał się.

— Mości dobrodzieju, rzekłem ja zatrzymując go, powiedz mi, zmiłuj się, bez ogródki; czy to prawda że w tym domu zebrani są teraz farmazony?

— Najprzód księżulu, odpowiedział on, nie farmazony, ale *frankmassoni*, a po polsku *wolni-mularze;* a ten dom to ich *loża*, czyli miejsce zbierania się tego towarzystwa.

— W którym *mospanieńku* djabeł króluje, przerwał *Pszonka*.

Rozśmiał się znowu ten jegomość i zmierzywszy nas obu swą latarką od stóp do głowy, rzekł:

— Mogę was moi panowie upewnić, że tyle oni z djabłem się znają co i wy, ale nie podsłuchujcie, bo to na uczciwych ludzi a zwłaszcza na duchownych to nie przystoi.

Odeszliśmy więc, strach czy borysz, poplątał nogi *Pszonce* tak, że musiałem go podprowadzać.

— Ratuj *mospanieńku*, mówił on, ratuj i kwita.

Doszliśmy przecie bez szwanku do kwatery.

Po kilku słowach owego nieznajomego jegomościa, nie mogłem już wątpić, że ruble moje są farmazońskie; a zatém bez długiego namysłu postanowiłem odnieść je rano panu marszałkowi, ale mi w głowie pomieścić się nie mogło, jak to stać się mogło, że taki pobożny chrześcijanin i katolik jak on, należał do takiéj piekielnéj sekty. Nie wiedziałem ja wprawdzie, i po dziś dzień nie wiém, co oni tam robią w tajemnicy, ale wszakże słyszałem, że to wyklęte heretyki, i na wspomnienie *farmazona* zawsze jakieś mrówie przejmuje człowieka.

Wysypałem więc moje ruble na stół, nie licząc nawet; było ich blizko sta.

No, no, piękne pieniążki! rzekł *Pszonka:* cały rok jeżdżąc tyle nie zbierzesz; tylko czy wiesz *mospanieńku* jaką inkluzę ma farmazoński rubel? nigdy jego nie wydasz.

— Jak to? zapytałem.

— A tak *mospanieńku;* kupuj za niego co chcesz i płać, on znowu u ciebie w kieszeni; jeden sposób pozbycia się takiego wiecznego gościa jest, że trzeba go włożyć w worek pszenicy, i z nią razem przedać, to już pójdzie w świat i nie wróci się.

Śmiałem się z takich wszystkich zabobonów, które plotł *Pszonka:* *) bo mając krzyż święty na piersiach, nie lękam się szatana, ni wszelkich spraw jego, ale jednakże do pieniędzy dotykać się nie śmiałem.

— Mniejsza, rzekłem, o te ruble; wydawać ja ich nie będę, bo i przyjmować nie myślę, i do klasztoru ich nie powiozę.

Pszonka ciekawie patrzał mi w oczy.

— A cóż *mospanieńku* z niemi zrobisz? zapytał.

---

*) Zabobony powszechne między pospólstwem o frankmassonii.

— To już mnie wiedzieć, odpowiedziałem, ale powiedz mi jegomość, jak tu pogodzić pobożność i przykładny chrześcijański ład w domu pana marszałka, z jego farmazońsтwem; czy spowiada się pan marszałek?

— Jak to *mospanieńku* czy spowiada się? cóż to wasyndziéj myślisz, czy on niedowiarek jaki? Prócz wielkanocnéj, przynajmniéj cztéry razy na rok i pan i sama imość nasza, i panicze gdy są w domu, i cały dwór, przystępujemy do Ś-go Sakramentu: oho! dałby nam ducha ks. kapelan, gdyby który chybił.

— A jednakże pan marszałek farmazon: a zatém jak sam mówiłeś ma z djabłem konszachty, więc jakże to pogodzić?

— Jak pogodzić *mospanieńku?* jak pogodzić? mówił to poziewając, to kręcąc wąsy i namyślając się *Pszonka: Mospanieńku... Mospanieńku;* widocznie nie mógł mi dać rezolucyi, nakoniec rzekł: a kiedy nie możesz pogodzić, to i nie godź.

Rozśmiałem się znowu na taką solucyę mojéj kwestyi, i zapytałem jeszcze.

— Czemuż mnie jegomość nie ostrzegłeś, i nawet nie chciałeś odpowiedzieć na moje pytanie, dla czego tu się zebrała tak liczna kompanija panów? choć wiedziałeś oczewiście, że to wszystko farmazony, i wszyscy przybyli tu do swojéj *loży*, jak tam nazywają.

— Wiedziałem *mospanieńku*, wiedziałem, ale i ja ocierając się między niemi, nauczyłem się po farmazońsku dotrzymywać sekretu.

— Nie zawsze jednak, odpowiedziałem, nie zawsze: bo tam pod bramą wygadałeś mi jegomość wszystko podobno, co wiesz.

— Oho *mospanieńku*, to 'co inszego; tam pod bramą pewnie mnie djabeł za język ciągnął, bo tam *in circuito* tego domu jego panowanie.

— Ej, rzekłem, czy nie borysz to tylko na len rozwiązał jegomości usta?

Nie rozgniewał się poczciwy *Pszonka*, owszem uśmiechając się rzekł:

— Jedno przy drugiém *mospanieńku*, jedno przy drugiém, ale teraz borysz ten ciągnie mnie oto tu: a zatém dobranoc *mospanieńku!* i jak stał wyciągnął się na łóżku; ja uczyniłem toż samo, na przygotowaném osobném dla mnie, odmówiwszy moje paciorki, i przykrywszy habitem farmazońskie ruble.

Nigdy nie miałem nocy takiéj niespokojnéj; „*sen mara, a Pan Bóg wiara*“ mówiłem ja sobie przebudzając się bez ustanku od snów jakichciś piekielnych. To ruble na stole pod habitem burczały jak koty, albo sykały jak węże, to znów jakiś straszny farmazon szeptał mi coś na ucho, i młotkiem stukał w głowę; to byłem w jakimś lochu między trupami, a każdy trup do mnie się wyszczerzał, że aż pot zimny mnie oblewał; chciałem już obudzić pana *Pszonki* chrapiącego na całą izbę, ale mi wstyd jakoś było: doczekałem przecież dnia, i tém bardziéj poznałem, że mnie z temi rublami nie wozić się, bo bym z bezsenności i strachu umarł bez czasu.

Gdym więc obaczył, że u pana marszałka okienice już były otwarte, poszedłem doń niosąc pieniądze w chustce.

— A witam, rzekł on, witam! dzień dobry, w czas trafiasz kochany bracie na kawę, jakże wczorajsza kwesta?

— Odnoszę ją JW. panu, i wysypałem ruble na stół.

— Jak to? co to znaczy? zapytał zdziwiony marszałek.

— JW. panie, rzekłem, daruj! i nie gniewaj się, ale ja tych pieniędzy przyjąć nie mogę, i nie liczyłem nawet.

— Dla czego?

— Oto bo.... bo, jąkałem się sam nie wiedząc jak tu powiedzieć, oto bo, (nareszcie odważyłem się) bo to pieniądze farmazońskie.

— Cha, cha, cha, rozśmiał się marszałek do rozpuku, ach! głupiś mój kwestarzu, głupiś! jałmużna zkądkolwiek pochodzi, jest zawsze dobrym uczynkiem.

— Jw. panie, rzekłem ośmielony, i faryzeuszowie dawali jałmużnę.

— Zwarjowałeś, rzekł z niejakim gniewem marszałek, ktoś tobie bałamuctwa w głowę nabił, a ty wierzysz i odrzucasz dar pożyteczny i z najlepszych chęci wam ofiarowany. A po krótkiém zastanowieniu się dodał: wiesz co? jesteś jak cię poznałem roztropnym i poczciwym człowiekiem; zostań sam *wolnym mularzem*, to się przekonasz że tam nic przeciwnego naszéj świętéj religii nie ma, ja sam ciebie wprowadzę, rzekł powstając.

— Ach! *Jezus, Marya, Józef!* krzyknąłem i uciekłem za drzwi.

Słyszałem znowu śmiech marszałka, pożegnałem się na prędce z *Pszonką*, nie odpowiadając nawet na jego kwestye, i nieoglądając

się ruszyłem śpiesznie za bramę, w bojaźni aby mię marszałek nie dognał i gwałtem nie zrobił farmazonem.

Gdym wyszedł za miasteczko, jakby mi kamień spadł z serca, i spokojny dostałem się do moich baranów.

Kiedy wróciłem później do klasztoru, gwardyan nasz tamtoczesny ks. Borejko, który już dawno w Bogu spoczywa, witając mię łaskawie, bom więcéj kopy baranów przyprowadził, rzekł: ale *charissime*, nie tylko barany ale i ruble kwestowałeś; przysłano nam tu sześćdziesiąt cztery ruble srebrne pocztą, zebrane przez waszeci w *Nowogródku*. Nikt tu nie podpisał się na posyłce, zrozumieliśmy ztąd, że nie jednego to człowieka tak sowita ofiara, ale musiała być składka jakaś; cóż z tego, kiedy nie poszła nam w pożytek.

— Jak to? zapytałem ciekawie.

— Ot tak, pojechałem do Oszmiany, aby odebrać z poczty te pieniądze, a razem uprowidować się w rozmaite klasztorne potrzeby, na zakupienie których, w sam czas przychodził ten sukurs. Tam przyjęte na poczcie ruble odliczywszy, wpuściłem z workiem do kieszeni w habicie; ciężyły one mnie, wiesz waszeć że chwała Bogu głowy sobie nie zakrapiam, więc czujny zda się i baczny byłem na mą kieszeń przechodząc przez targ. Jednym razem poczułem że cóś w niéj lekko, szust tam rękę.... nie ma worka, osłupiałem!!! obejrzę się około siebie.... nie ma nikogo, wywracam kieszeń — caluteńka, ani najmniejszéj dziurki; chybaż djabelska to sprawa, pomyślałem, zrobiłem kwereś po targu, ale to nic nie pomogło: jedném słowem, *dictum factum*, pieniądze przepadły; a ja wróciłem do domu, z czém i wyjechałem, to jest z próżną kieszenią.

Natenczas ja opowiedziałem ks. gwardyanowi całą procedencyę tych rubli; ściskał on ramionami, dał mi burę za kwestę pod bramą, i nakoniec kiwając głową, powtórzył kilka razy: *male parta! male parta!*

IX.

B a j r o n i s t a.

Zawsze i od wrót samych, poznać dawniéj można było, do jakiego wjeżdżałeś dworu, i jakiego gatunku mieszka w nim gospodarz?

Teraz trudniéj to przychodzi, bo i w tym jakaś jednostajność się zaprowadza: na dziedzińcach przed tém równych, czystych i zielonych, teraz zasadzają krzaki rozmaite, gęsto a w niełądzie, tak, że choć tam budy staw na cietrzewie. Gdybyż to tylko u możnych panów, to z panem bogiem, oni mają komu dopatrzyć ich gospodarstwa, ale i brat szlachcic stroi swój dziedzińczyk w *pląby* czy *klomby* (bo dalibóg nie wiem dobrze jak tam te zarośle po modnemu nazywają) i widzieć nie może z domostwa swojego, ani swéj czeladki, ani swéj stodoły, ani swojego spichrza; a imość dobrodzika jakby zrzekła się widoku swych krówek, swych gęsi, kaczek i indyków, na które wszakże dobrze patrzećby powinna, zasłania je lasem, wązkie tylko w nim wycinając ścieżki, które jeszcze z pańszczyzny wyczyszczać i piaskiem żółtym wysypywać potrzeba. Za czasów mojéj kwesty tego nie było, jeszcze zwłaszcza u szlachty, a przynajmniéj nie tak powszechnie jak dzisiaj; powiadają że tym sposobem kraj pięknieje i kwitnie, ale po moim słabym rozumie i po staroświeckim przysłowiu *„nie sławna chata wuhłami, ale pirahami“* mnie zdaje się że kraj każdy dostatkiem, gospodarstwem, obfitym urodzajem bożych darów, a nie ogródkami pod oknem i na dziedzińcach kraśnieje, kwitnie i sławi się.

Bywało gdy wjeżdżam na jaki dworzec szlachecki, spotyka mię najpierwéj *pies;* szczeknie on kilka razy, jakby oznajmując panu o gościu, a jeżeli nie rzuca się na konia i baranów, i sam jest dobréj tuszy i karmiony, to już dobry znak: bo tu gospodarz dba widać o sług swoich wiernych i nie żałuje im chleba; a nadto gdy wszędzie gdzie okiem się rzuciło schludno, ogrodzono, opatrzono, nakryto, i choć *ubogo ale chędogo;* gdy wnet baranki moje rozbiegały się po dziedzińcu bez przeszkody, to już pewny byłem, że i one dostaną kompanistę, i konik dostanie obroku, i sam kwestarz choćby trafił po obiedzie, znajdzie zwykłą porcyę *„na bernardyna“* *). Ale kiedy do szlacheckiego domku wjeżdżasz przez murowaną bramę; kiedy zamiast poczciwego gospodarskiego sobaki, wyskoczy na przeciw ciebie chudy chart, albo wyjące gończe, i barany twe rozpędzać poczną, gdy po małym dziedzińcu szeroka do ganku wycięta droga; słowem, gdy wszystko na co spójrzysz

*) Gospodynie dawniejsze wydając obiady kucharzowi, dorzucały zawsze porcye zapaśne, na niespodzianego gościa: i to się nazywało *na bernardyna:* a weszło w przysłowie.

małpuje pańskość: to już nie jedź po téj drodze i zawracaj konia; bo tam u gospodarza najczęściéj pustki w *komorze*, w *oborze* i w *gumnie*, a w głowie pstrokato. W głowy takie albowiem dwojakiego gatunku zajeżdża *państwo* i łamie w nich klepki; albo tam znajdziesz hardopyszka z zadartym nosem, który z tobą i mówić nie zechce, albo, co najgorsza i najczęstsza między młodemi paniczami, znajdziesz tam *per modum* filozofa, co to *ni do Boga*, *ni do ludzi*, który ci duby smalone pleść będzie, i takie niesłychane sentencye, że od nich uszy zatknąwszy ucieczesz;—prawdziwe filozofy mospanie: są to niby panowie i bogacze na *mądrość*, jak inni są panowie na fortunę i pieniądze. Otoż jeżeli który jest prawdziwie mądrym, to i dobrze; ale mają oni swych adherentów i naśladowców między licznym autorskim chorem, jak tamci między szlachtą, którym chce się koniecznie paryerować z tém mędrcami: więc w konsekwencyi dostają zawrótu głowy jakby kto im wbił do łba owego farmazońskiego ćwieka, o którym mówił *Pszonka*, a ja śniłem.

Te wszystkie refleksye i konkluzye moje, wynikły z doświadczenia — *experto crede* — jak powtarza często nasz stary definitor; a na dowod opiszę tu moją jedną taką wizytę i rozprawę z takim filozofem, któremu dałem bernardyńską admonicyę, szkoda tylko że nie bernardyńskim paskiem.

Po Nowogródzkiéj farmazońskiéj sprawie, postanowiłem zwrócić się już do domu, i dążyłem do Wołożyna po zostawione tam moje barany, zajeżdżając wszakże to tam to ówdzie po dworach, w których jeszcze nie byłem.

Dnia jednego przed południem, przemyśliwając o obiedzie, dojrzeliśmy na boku z drogi białe kominy, więc drożyną ku nim wiodącą, zawrócił się brat Rafał.

Wkrótce wyjechaliśmy w ulicę brzozową i przybyliśmy przed wrota. Tam stanąłem podług zwyczaju, i piechotą udałem się do dworu; a lubo żaden pies na przeciw mnie nie wyskoczył, jednak dziedziniec cały zasadzony krzakami, nie dobrze mi jakoś prognostykował; wszedłszy w te zarośle, posłyszałem, w gęstwinie głos wykrzykujący.

— O *Baranie! Baranie!* Boski *Baranie!*

— Oho, pomyślałem sobie, postrzeżono mię widać z daleka, i gotują już barana; a pobożny gospodarz nazywa go boskim, jako ofiarującego się dla sług bożych. Na ten głos więc puściłem się przez krzaki, stanąłem przed młodzieńcem leżącym i rozrzuconym na nizkiéj kanapce z darni; obwinięty niedbale w bławaty, miał on na głowie czerwoną sukienną jarmułkę, jak u Tatarów widywałem, a na nogach papucie złotem i jedwabiem w różne esy i floresy wyszywane; leżała też przy nim książka jakaś, szpargał papieru i ołówek.

Gdym się pokazał, spójrzał on na mnie, ale jak? aż mnie mróz przeszedł; nawiedzony, czy co, pomyśliłem; i nie spuszczając ze mnie tego obłąkanego a płomienistego wzroku, który mnie wskróś przeszywał, ani odpowiadając na moje zwykłe „*Niech będzie pochwalony.*“

— Mnich! zawołał, mnich? zkąd tu?

— Nie mnich, odpowiedziałem, ale pokorny bernardyn kwestarz.

— A! rzekł, włóczęga żebrujący na próżniaków!

— Nawiedzony, pewnie nawiedzony, pomyśliłem znowu, bo bluźni.

Sam nie wiedziałem co począć, bom nigdy nie widział nawiedzonego; więc i ciekawość brała, i strach razem, nakoniec przeżegnałem go.

— Co to jest? za co mię żegnasz? zapytał.

— Boś nawiedzony młodzieniaszku, rzekłem, bluźnisz, zły duch przez ciebie gada.

— A tak, rzekł on na wpół powstając, nawiedzony, masz racyę; ale nawiedzony duchem, którego ty nie znasz i niepojmujesz: duchem światłości, nieśmiertelności i chwały!

— Nie, nie nawiedzony, pomyśliłem sobie: bodaj tylko warjat— piękniem wpadł! ukłoniłem się więc, chcąc uciec.

— Stój! zawołał on, stój! doczekaj mojego ojca; on ci zapewne da barana.

— Ha, więc to nie jegomość jesteś tu gospodarzem? rzekłem nieco ośmielony.

— Fe, co za głupi wyraz, *jegomość*, znieść go nie mogę: nazywaj tak mojego ojca, gospodarza, który jako człowiek pozioméj inteligencyi, gospodarzyć tylko umie, i mnie chciałby do téj nędznéj ziemi, i do pracy nad nią gwałtem nachylić.... Matka, poczciwa

niewiasta; broni mię przed ojcem, choć mię nie rozumie... Kocha mnie: ale cóż mi po jéj miłości? pospolitość? głos natury—i nic więcéj.

Teraz zrozumiałem po trosze co to za ptak? trzebaż go jednak zgromić, pomyśliłem, bo czwartego przykazania nie szanuje.

— Górno latasz młodzieniaszku, przerwałem więc, górno latasz! nazwałeś mię włoczęgą, a poczciwych zakonników próżniakami; sam zaś widać jesteś hultajem, i będziesz włoczęgą, bo na chleb sobie zarobić nie będziesz umiał, ale nadto, grzeszysz śmiertelnie poniewierając tak rodziców twoich, którzy w tém tylko chyba są winni, że ci nie dali poczciwego chrześcijańskiego wychowania, i na modnego filozofa wyhodowali.

— Nie, nie, bracie kwestarzu, odezwał się głos za mną, i wyszedł z za krzaków mężczyzna podżyły, spokojnéj i poważnéj postaci a szlachetnego lica; pokłoniłem się mu pokornie, bom poznał wnet gospodarza domu a on rzekł.

— Witam, witam serdecznie niespodziewanego gościa, powracając z pola obaczyłem za bramą twoich baranów, domyśliłem się więc że cię tu znajdę, a podchodząc dosłyszałem ostatnich słów twoich, pobudzonych widać niedorzeczną elokwencyą mojego syna. Wychowanie staraliśmy się dać mu bogobojne a przyzwoite, i w domu własnym nie miał innych przykładów; cieszyłem się widząc w nim od dzieciństwa ochotę do książek, a jeszcze bardziéj cieszyłem się, że się okazał zdolnym do cudzoziemskich języków, w których, jak wszyscy mówią, daleko większa mądrość niżeli w naszym.

Synek tymczasem uśmiechał się szyderczo, niepowstając nawet przed ojcem.

— Ja, mówił daléj ojciec, żadnego cudzego języka nie umiejąc, nie mogłem dośledzić co on czyta, a tym czasem on się przemądrzył, i wychowanie jego...

— Wychowanie moje! wychowanie! przerwał porywczo młodzik zrywając się z siedzenia; ojcze! nie rozumiesz mnie! ja się sam wychowałem! Duch mój, który długo dręczono nędzną rutyną, uderzony jak iskrą elektryczną słowami nieśmiertelnych wieszczów, a szczególniéj tego orła Albionu *Bajrona*, poczuł swą siłę i możność, i objawił się we mnie i mnie samemu gieniuszem poezyi....

— Czy rozumiesz księże kwestarzu? zapytał mię ojciec.

— *Preter propter* mości dobrodzieju: tylko tego *orła z Albionu* nie spenetrowałem.

— A już mi on uszy tym orłem prześwidrował; on tak nazywa poetę angielskiego *Bajrona*.

— A który mię nauczył, perorował daléj młodzik, patrzeć z wysoka jak on, na świat i ludzi — i jak on, pogardziłem światem i ludźmi — a odtąd....

— A to mi kaznodzieja! pomyślałem.

— Odtąd, przerwał mu ojciec, stałeś się próżniakiem i rarogiem, i cobyś miał mnie staremu pomagać w domu i za domem, to marnujesz wiek swój młody, nas smucisz, a ludzi śmieszysz.

— Ludzi! zawołał znowu porywczo syn, ludzi! Oto moje wyznanie wiary o nich, posłuchaj ojcze, i ty *głupcze w habicie*, więc porwał szpargał swój z ziemi i czytał z ferworem:

„O wy ludzie! wy psy! wy gorsi
Od psów: bo chytrzy i skorsi
Napaść, i kąsać i dusić;
Kto się wam podda — o nie ja!
Nie — próżna wasza nadzieja,
Do pracy dla was mnie zmusić!
Nie — jam nie wół wasz do pługa,
Jam nie niewolnik, nie sługa,
Bym z skarbów, które mam w sobie
Wam miał nieść podłe haracze!
Wrzeszczycie że nic nie robię,
Że wiodę życie próżniacze.
Wrzeszczcie — czcza wasza rachuba!
Próżniactwo moje — to chluba!
To roskosz dla mnie! nie przeto
Że mi lenistwo smakuje.
Nie! lecz że wielkim poetą
Być mogę — jestem — bo czuję
Że nim być mogę — lecz niechcę,
Boście wy tego nie warci,
Jak pieśni anielskiéj czarci!

Złoto mię, cześć wasza nie łechce:
Oklask wasz — hańba nie chwała!
A moja pociecha cała

Jest w têm, że ku naszéj sławie
Mogąc dać tyle, nic z siebie
Nie dam, i nic nie zostawię:
Lecz wszystko z sobą zagrzebię.

Tak, jakbym właśnie dla tego,
Chciał skarby świata całego,
Posiąść, jego mądrość całą,
I wszystkie tak zwane cnoty,
By nic wam z nich nie zostało:
Wy nizkie, ciemne istoty! —*)

— A co? słyszałeś panie bracie? rzekł obracając się do mnie ojciec, słyszałeś? mleko mu pod nosem nie oschło, a już znienawidział świat i ludzi, którzy mu nic złego nie zrobili.

— Syn jegomościa dobrodzieja chorym jest, rzekłem.

— A dla Boga, gdzież tam? zdrów, zdrów jak koń, je za dwóch, zwłaszcza matczyne przysmaki, która na nieszczęście wierzy w jego rozum, i pieści go jak osobliwość.

— Pleciesz mnichu, odezwał się i sam wierszopis: jam zdrów i na ciele i na umyśle.

— Otoż to młodzieńcze, rzekłem, że na umyśle nie spełna zdrów jesteś.

— Cóż to? zwarjowałem?

— Nie, do tego jeszcze nie przyszło, ale przyjść może; jeże i pan ojciec nie użyje prędkiego sposobu i lekarstwa.

— Jakież to lekarstwo? zapytali oba: ojciec troskliwie, a syn z miną uszczypliwą.

— Ja umiem na pamięć perskrypcyę, rzekłem, napisaną niegdyś dla młodzieży, przez ks. biskupa *Naruszewicza* wierszem, i jeżeli wola będzie posłuchać, to powiem.

— Wierszem?— zawołał zdziwiony młodzian:—*Naruszewicz* dobrze władał językiem.

— Nie wiem jak on władał językiem,— odpowiedziałem,— ale dobrze uczył władać narzędziem bardzo pożytecznêm na choroby młodości.

— No mów tę ciekawą *perskrypcyę* księże kwestarzu, rzekł ojciec, słuchamy; a więc stanąłem w kroku, i myśląc: no pani-

---

*) A. E. Odyniec.

czu! oddam ci za *głupca* w *habicie*, — z równym jako i on swoje wiersze fervorem zacząłem:

Oda do Bizuna.

„O z wieków cudotworny synu byczéj skóry!
„Złych duchów exorcisto! poprawco natury!
„Stróżu durnéj młodzieży!
(i kłaniając się wierszopisowi nizko, niedomawiając, rzekłem)
„Proszku doskonały,
„Na upor, muchy w nosie,
(iterum ukłon głową i ręką)
„Miłosne zapały.“

— Głupiś popie, z twemi wierszami, rzekł młodzik i chciał odejść, ale ojciec zatrzymał go biorąc za rękę i mówiąc: — Nie Teodorze, nie, kwestarz słuchał do końca twoich wierszy, więc i ty jego dosłuchać musisz — zatém kontynuowałem.

„Pod jakimkolwiek słyniesz na świecie imieniem,
„Czy cię kozak nazywa plecionym rzemieniem,
„Czy lach basem bolesnym, czy swym obyczajem,
„Dziki z krymu pohaniec ochrzcił cię nahajem,
„Tyś był wszystkiém przed czasy, gdy hruby sarmata
„Nie wysyłał po rozum do obcego świata
„Swych dzieci, ale przodków chwalebnym nałogiem
„Bez wielkich kosztów, miewał kańczuk pedagogiem.

„Moc twoja jak misterne dłoto, pracowicie
„Krzesząc wiory i w martwe pienki wlewa życie:
„Ty polor, ty lustr dajesz i wdzięki powabne,
„Ty w grzeczną młodzież Bartki zamieniasz niezgrabne;
„Rura, niechluj, basałyk, wnet francuzem został,
„Gdy z kółka makarem, pan ojciec wychłostał!
„Gdzież twe szerokowładne znikło panowanie?
„Płaczą rzewnie strapione boćki i ormianie:
„Byłeś na dworach między najdroższemi sprzęty,
„Wecując na kobiercu
(tu giest i ukłon do panicza)
„Młode wiercipięty.

„Aż miło wspomnieć jak to bywało przed laty,
„Kiedy usiadł za stołem marszałek wąsaty,
„Na sądy z czerwonego w żupanie atłasu;
„A dobywszy groźnego z pod żołądka basu,
„Zgromadzonym mołojcom na gody niewdzięczne
„Wyliczał z kalendarza, zasługi miesięczne:
„Tyś z słowem grubiańskiém wyrwał nie ostróżnie.

(Tak naprzykład jak i panicz dopiero, nazywaiąc mię głupcem w habicie).

„Tyś swój i pański chował sprzęt nie ochędóżnie.
„Tobiem mocno zakazał z panfilem się bratać.
„Tobie szachrować.— Tobie pokryjomu latać.
„Tyś plotkarz.—Tyś łgarz czysty — a tyś natręt zbytni.
„A waści zasmakował bardzo trunek żytni.
„Panicz się troche przekradł. A ten miły szpaczek,
„Po co tu o północku zalatał do praczek?

„Więc gdy wszystko opowie na te opłakańce
„Wtém pleczyści za kmotrów wnidą potrzymańce:
„Iwan Karet podporca, kwiat między hajdony,
„I pajuk jegomościa, Marcin podturczony,
„Toż Matiasz masztalerz, stangret Opanasy,
„Zdolne męże z niédźwiedziem w silne iść zapasy:
„Zaszczepią drzwi na rygiel, kloc po środku stanie
„Hałas, tertes, obietnic świętych ponawianie!..
„A on licząc po ćwierciach bolesne dziesiątki
„Samorodnym indychtem wrażał cnót pamiątki.
„Oddycha, przypomina, nieodstąpi kęsa
„Póki się leniwego nie narąbie mięsa.

„Bito wszędy, i młodź też lepszą była bita,
„Czego pijar nie dobił, albo jezuita,
„Dwory poprawowały: a gdy duch zacięty,
„Nie dał się zgiąć na szkolne i na dworskie pręty;
„Wam żolnierze ostatnia zlecona robota,
„W waszym ogniu dać jeszcze probę tego złota!

„Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi,
„Tracił wiek wpółszalony zwolna swe nałogi;
„Aż się też pożegnawszy z namiętności tłumem,
„Począł za przewodniczym iść tylko rozumem.“

— A tego przewodnika i tobie młodzieniaszku życzę, rzekłem na końcu i pokłoniłem mu się pięknie.

— A co? rzekł ojciec śmiejąc się serdecznie, to lepsze niż twój *bajron*.

— To barbarzyństwo, wykrzyknął on, niegodne uszu ludzi wysokiéj intelligencyi, a kala świętość poezyi, gdy się nią śmie nazywać.

— Ale zkądże księże kwestarzu nauczyłeś się téj perskrypcyi?

— Bo nam niegdyś uczniom szkoły klasztornéj nasz ks. professor zadawał to na pensę, a skoro kto pensy nie wydał, to mu ją w praktyce wrażał.

— Wybornie, rzekł znowu ojciec, tu jednak lekarstwa twego użyć nie możemy, bo go w całym domu niema.

— A mości dobrodzieju, odpowiedziałem, gdy idzie o zdrowie godnego syna pańskiego damy temu radę; u nas w klasztorze zdarzają się takož kazusy podobnych chorob, wypada czasami albo złego ducha exorcyzmować z głowy durnéj młodzieży, albo muchy im z nosa wypędzać, albo twardy upor miękczyć: to w braku samego lekarstwa używamy bardzo skutecznie naszego domowego surrogatu, to jest bernardyńskiego paska z ogórkami. — *Purificat mentem* *) mój dobrodzieju i doskonale leczy, więc i ja oto udzielę mojego, do wiadomego użycia.

Rozśmiał się znowu ojciec, zasłużyłeś na barana kochany kwestarzu, rzekł, zasłużyłeś i każę ci najtłuściejszego wybrać; syn odwrócił się i pogwizdywał pod nosem; raptem krzyknął:

— Barany! barany! przebóg barany!

Spójrzeliśmy, alić trzodka moja rozbiegła się po krzakach, i chciwie objadała listki.

— Przebóg! wykrzyknął znowu pan Teodor: jam te krzewiny własnemi rękami sadził! własnym potém i własnemi łzami polewał! a teraz nędzny zwierz je niszczy.

— Niechby i zupełnie zjadł, rzekł ojciec, bo Bóg wie na co one tu potrzebne, zasłaniają mi tylko gospodarkę.

— Pan Teodor pobiegł skwapliwie wypędzać baranów, a rzucił niedbale swój szpargał na ziemię, który ja podjąłem, to i został aż dotąd u mnie. Ujmując kłopotu poecie wziąłem prewodyra za rogi, i wyprowadziłem za bramę; za nim poszła cała gromada, do któréj

*) Czyści umysł.

zacny gospodarz wnet swojego barana dołączyć kazał; a lubo zatrzymywał mnie na obiad, wszakże unikając niemiłych dysput, zostać niechciałem, i zalecając tylko moje lekarstwo dla synala, pożegnałem ojca.

COLLOQUIUM DRUGIE U KS. KUSTOSZA.

X.

Idea i Fantazya — Potok podziemny.

Niecierpliwy ks. kustosz po razy kilka pytał mnie, czy daleko postąpiłem w méj pracy? a nakoniec onegdaj w niedzielę rzekł mi:

— No *frater Rafaele*, przynieś waszeć dziś wieczorem do mnie coś już napisał; będzie ks. jubilat, bardzo on ciekawy twego autorskiego talentu, i zaprosiłem pana prezydenta, naszego sąsiada: znasz jaki to godny i rozumny weteran; on będzie wybornym a praktycznym sędzią naszym, posłuchamy i pogadamy

Przyszedłem więc podług tego rozkazu wieczorem, niosąc pod pachą mój seksternik. Pan prezydent powitał mię łaskawie, ksiądz jubilat uśmiechał się poglądając na mnie z ukosa i zażywał tabakę, a ks. kustosz dał mi szklankę herbaty w rękę.

— Znajomy, rzekł kustosz do prezydenta, panu nasz brat Rafał, lecz teraz rekomenduję go jako naszego domniemanego autora; opowiedziałem panu jaką mu zadałem pensę, obaczemy teraz jak ją nam wyda?

— Słuchamy, rzekł prezydent.

— Siadaj więc bracie, oto tu między nami, rzekł kustosz mieszcząc mię przy stole, i zaczynaj.

Trochę mię mitrężył ten pan prezydent, ale przeżegnawszy się nabrałem serca; rezolutnie zatém zacząłem lekturę, i kontynuowałem ją bez przerwy. Gdym za każdym rozdziałem odpoczywał i popijał herbatę, ks kustosz powiadał tylko: daléj! daléj! i tak aż do końca, a gdym wszystko przeczytał, ks. jubilat spał zwiesiwszy głowę na piersi; pan prezydent brwi marszczył i przykąsywał usta, a ks. kustosz poglądał to na mnie, to na prezydenta, tarł czoło i widocznie namyślał się, a wszyscy milczeli.

— No, jakże tam daléj? *wecował na kobiercu młode wiercipięty*, przemówił ocknąwszy się jubilat; widać zasnął był na tym wierszu; rozśmieliśmy się wszyscy. Nakoniec po namyśle, rzek ks. kustosz:

— A widzisz bracie Rafale, żem ci dobrze powiedział, gdyś się bronił od pisania, żeś nie po budach niedźwiedzich, ale po ludzkich domach kwestował, a w niejednym dotykałeś i ocierałeś się o rozmaite kwestye towarzyskie, z których każda przyczynia się do obrazu czasu w którym kwestowałeś i do dzisiejszego jako sukcessora po tamtym. Dziś niektóre z tych kwestyj dojrzały i przeszły *w czyn*; niektóre są pod nieustannym rozbiorem, niektóre się przerodziły, ulegając tak nazwanemu *postępowi*, który jest godłem naszego wieku; ale zarody prawie wszystkich szczególniéj codziennych i powszednich, przebijały się już natenczas. Wszystko dziwnie i nagle zmienia się i przemija w naszym czasie, mówił daléj ks. kustosz, w naszych towarzystwach, w naszych obyczajach, w naszém codzienném nawet życiu. Kilka zaledwo dziesiątków lat rozdziela kwestę Ławrynowicza od kwesty brata Rafała, a jakże one dalekie obrazem i pojęciem. Kwestarz nie mędrzec, pobieżne tylko widoki snują mu się przed oczyma; on jeżeli je zbiera i opisuje, nie wchodzi jednak ani rozważa głębiéj ich przyczyn, ani ducha z którego się one rodzą; ale obrazy Ławrynowicza tego nie wymagają; one odzwyczajonym nam i z podań już tylko świadomym tamtych czasów, oryginalnością, kolorytem i prawdą same biją w oczy i same się tłómaczą, a przywiązują wspomnieniami jeszcze niewygasłemi w sercach. Twoje, któreś przeczytał, i dalsze jeżeli je pisać będziesz, są i być muszą tém, czém i jakie było towarzystwo w czasie twéj kwesty; bezbarwne prawie, zamierające, żadnemi szczególniejszemi faktami nie odznaczające się: tak, że gdyby ktokolwiek książkę twą, jeżeli ją napiszesz, złączywszy z pamiętnikami brata Ławrynowicza, czytał jednym ciągiem, różnicę tak widoczną pierwszego dzieła od dalszéj kontynuacyi, przypisać by mógł różnicy talentu autorów. Ty sam w twych ekskuzach, któremiś od pracy wymówić się chciał, brak treści kwestarskiéj przywodziłeś za przyczynę, a jednakże z widocznego teraz porównania was obu, i głębszego pojęcia rzeczy téj wynika krótka i zwięzła definicya, razem i różnicę między wami, i przyczynę téj różnicy obejmująca, to jest: Ławrynowicz kwestował po *fantazyach*, a ty po *ideach.*

— *Non intelligo reverendissime* *), ozwał się ks. jubilat.

— W rzeczy saméj mości ks. kustoszu, to jaśniejszego potrzebuje wytłumaczenia, rzekł pan prezydent: bo zdaje mi się że i *fantazya* bez *idei* być nie może.

— Nie prezydencie, mówił daléj kustosz, nigdy dzieckiem fantazyi nie była *idea stała;* następuje ona zwykle, i u nas nastąpiła po zniknieniu téj wesołéj przewodniczki życia, i gasi jéj ostatki, ale nic po niéj w spadku nie bierze sobie, ani przyswaja. *Idea* gdy ogarnie całe narody, staje się *duchem czasu*; fantazya biega od narodu do narodu i gości tylko w każdym czas niejaki: u nas bodaj najdłużéj gościła.

Życie pełne, szerokie, swobodne, niewyrozumowane, braterskie i szlachetne, dobroduszne i szczere; rozmaite codziennym czynem i animuszem, choć podobne powszechnym narodowym obyczajem. Takiém było życie ojców, a tém bardziéj dziadów naszych, po którego ostatkach kwestował brat Michał. Ale gdy ono powoli gasnąc, znikło nakoniec...

— A dla czegoż? i jakim sposobem znikło? przerwał prezydent.

— Oho! o tém szeroko święty *Dawid* pisał, odpowiedział kustosz, i sam panie prezydencie lepiejbyś to niżeli ja wytłómaczył. Komu siódmy krzyżyk na czole, i kto nie w murach klasztornych, ale publicznie żyje, ten musiał być obecnym i ostatniemu między nami tchnieniu ducha przeszłości i swobodnéj *fantazyi*, i napływowi obcych *idei*, które nas samych w sobie zasklepiły.

— *Idea* więc jakem to powiedział następuje po *fantazyi* lecz nie dziedziczy po niéj: z *fantazyą* jednoczemy się naturalnie, z *ideą* sztucznie; z piérwszą sercem, instynktem, z drugą rozumem, a raczéj rozumowaniem. *Fantazya* naśladuje, *idea* zaraża: *fantazya* raz zamarła, nie wskrzesi się już bodaj nigdy; *ideje* rodzą się jedne z drugich, wiążą się, spokrewniają się, różnią się i jednoczą, walczą niekiedy z sobą, i godzą się, giną nakoniec częstokroć, ale zawsze złém lub dobrém potomstwem obdarzają ludzkość i towarzystwo. My po przejściu narodowéj *fantazyi*, własnych nie wyrobiliśmy *idei;* cudze były gotowe rozszerzone po całéj Europie, więc je małpim obyczajem przyswoiliśmy sobie; już na zarody téj *idei* zachodniéj walczącéj u nas natenczas z pańskim poczciwym animu-

*) Nierozumiem.

szem, natrafił i brat Ławrynowicz w domu starosty. Wkrótce opanowała ona wszystkie klassy społeczności naszéj, rozumie się prócz chłopów, bo ci po francuzku nie uczyli się, i odtąd owczym pędem brnęliśmy za cudzoziemszczyzną.

— Aleśmy przecie ks. kustoszu dobrodzieju dobrnęli dziś do swojego, przerwał znowu prezydent.

— Tak, rzekł kustosz, jak zapatrzyliśmy się na obcych, zajętych tylko sobą, chwalących się własną przeszłością, a poniewierających naszą; chwalących się własnym sensem i rozumem, a nam go odmawiających; trafiliśmy za łaską bożą na *ideę*, abyśmy się także rozpatrzyli w sobie i za sobą, abyśmy do własnych nie do cudzych głów chodzili po rozum: i na *drugą*, również szczęśliwą, abyśmy do nich to tylko naśladowali i przyswajali sobie, co nam pożyteczném i właściwém być osądziemy.

W takim rozbiorze znaleźliśmy chwała Bogu obfity skarb cnót rodzinnych dotąd zaniedbany i poniewierany, i mądrości rodziméj dotąd nieuszanowanéj; więc z zadziwieniem przekonaliśmy się, że nie mamy czego zazdrościć obcym, że jako ziemia własna, własnym chlebem nas wykarmić może, tak i cnoty własne mogą wykarmić duszę naszą i wznieść ją ku wszelkiemu dobru i wszelkiéj doskonałości, byle je z miłością i pracą uprawić i zaszczepiać. Pojęcia te są dziś powszechne i najpiękniejsze dają owoce, a jeszcze piękniejsze nadzieje, ale nie było jeszcze ich ani zarodu gdy kwestował brat Rafał. — Po wielkim paroksyzmie wojennym, był to u nas czas chorowitéj niedołężności; trącał się więc on o rozmaite *ideje*, to nie rozważnie przyswajane w młodzieży, jak naprzykład *bajronizm:* to o jakąś manię bez celu i bez skutku upowszechnioną, jak naprzykład *frankmassonia* u starszych; to nakoniec o pospolite wady samolubstwa, jak u pana assesora *ptaluteczku;* które obrazy obyczajów, w krytykę zmieniają.

— Trącił się jednak, rzekł prezydent, i o jedną poczciwą, to jest ojcowskiego obejścia się panów z poddannemi, która dziś zmieniła się w *czyn* świadczący w obliczu Boga i ludzi, że chętnie i ochotnie poświęcamy nasz interes na ofiarę chrześcijańskiéj ludzkości, a zatém że ją mamy w duszy i w sercach.

— Tak, trafił na dom jeden, rzekł ks. kustosz, do którego zły przykład nie doszedł.

— Dom jeden! przerwał powstając rezolutnie przezydent, i dom jeden mówisz ks. kustoszu, i jesteś w błędzie; a podzielasz

błąd ten z wielu innemi, których zdaje się bydź zadaniem ubliżać przeszłości i teraźniejszości naszéj, ukrywać w cieniu wszystko co dobre, a objawiać wszystko co naganne, i z których każdy jak doktor złowróżby, okazując wrzody na skórze pacyenta, chce dowodzić, że w nim cała krew zepsuta. Tymczasem tak nie jest; byliśmy słabi, nierozważni, niekiedy nadpsuci obcymi przykładami, jakeś to sprawiedliwie powiedział ks. kustoszu, ale nigdy źli z natury. *Fantazye* nawet nasze, gdyśmy byli samemi sobą czasami swawolne, ale nigdy nie były złośliwemi: bo gruntem serc naszych jest, i była zawsze wiara prawdziwa i szczera, a we wszelkich codziennych zdarzeniach i postępkach, wysokie oszacowanie siebie samych, swojego imienia, swéj dostojności, a jednėm słowem swojego szlachectwa, na piérwszym były względzie. To *drugie* uczucie, modyfikowało się *piérwszem*; i dla tego zło było u nas wyjątkiém, wyjątki te nawet były rzadkiemi, i dla tego imiona wyjątkowe w tym względzie, okryte nienawistną pamięcią doszły podaniem aż do naszych czasów; a gdyby były i częstsze, to wyjątki nie stanowią całości, bo całość była zawsze poczciwą.

Znam ja, bo przez wiek mój długi byłem świadkiem wszystkich przejść i przemian stosunków naszych z włościanami; przepowiem więc je wam najszczerzéj, abym wywiódł cię ks. kustoszu z mylnych wyobrażeń, dość dziś zresztą pospolitych, a tyczących się szczególniéj wewnętrznego ducha, i uczuć naszych w téj sprawie. Dzieje te są bez głośnych faktów, uważny tylko postrzegacz notować je i zatrzymywać mógł w swéj myśli; jest to śledzenie źródła i tajemniczego biegu podziemnéj krynicy, która gdy się wydobędzie na powierzchnię ziemi, wszystkim już staje się widoczną, a idzie tylko o wiadomość, czystem-li jest źródło zktórego bierze początek?

— Jeżeli woda téj rzeki jest czystą i słodką, to i źródło być musi dobre i czyste, odezwał się przecie ks. jubilat.

Wniosek bardzo naturalny, mówił daléj prezydent, a jednakowoż w téj okoliczności od wielu zaprzeczany: zejdźmy więc do tego źródła.

Patryarchalnemi były stosunki naszych przodków z poddanemi; cóż znaczy to słowo *patryarchalność*, to nie niewolnictwo. Jest to miłość i łagodność chrześcijańska ze strony rządzców, a przywiązanie i ufność ze strony rządzonych; i taki w rzeczy saméj był niegdyś stosunek między panem i chłopkiem jego.

Urodzenie rozdzielało te dwie kasty głęboką przepaścią, ale tę przepaść zapełniała miłość chrześcijańska, za którą idąc przebywali ją panowie i z ojcowskiém sercem wnosili do chat włościan swoich troskliwość, radę, pomoc wszelką, i pociechę; przechodzili ją wzajemnie i włościanie, niosąc śmiało do dworu swoje potrzeby i troski, pewni opieki i wsparcia. Prócz tego wzmacniały tę zobopólną życzliwość okoliczności domowe, zwłaszcza w miernych szlacheckich rodzinach. Tam niańka panienki, tam faworytna sługa pani, wydana za mąż za faworytnego myśliwca jegomościa, tam dziatwa wiernego włodarza, na którego staraniu i poczciwości, całe pańskie gospodarstwo i cała chudoba leżały; i temu podobnie a tak dalece, że słudzy i poddani dobro i mienie pańskie nazywali *nasze*, i dla tego chętnie strzegli go i na nie pracowali; a pan mówiąc *moje chłopki*, wymawiał to nie w znaczeniu własności, ale w takim jak się mówi: *moje dzieci*, *moi bracia*, to jest, w myśli serdecznéj, która wszystko co kocha przyswaja.

— Złote czasy panie dobrodzieju, złote czasy! rzekł ks. kustosz—ale...

— Rozumiem, przerwał nie dając mu dokończyć prezydent, chcesz mówić, ale czy wszędzie tak było? No, to miejże na uwadze ks. kustoszu, że ogół narodu i ducha powszechnego, nie zaś szczegóły maluję: a jak świat światem i ludzie ludźmi, wszystkich na jedną formę nie ulejesz; lecz w téj okoliczności i naówczas, jakem to już nadmienił, mała bardzo liczba od téj formy odskakiwała.

Otoż macie gniazdo owéj podziemnéj krynicy, któréj biegu dośledzamy, a któréj czyste wody wpłynęły jeszcze i do serc naszych w dojrzalszéj naszej młodości; bo uczucia te patryarchalne przelewając się w obu klassach z pokolenia na pokolenie, jeszcze i do nas starszych doszły.

Lecz wkrótce potok nasz wrył się w mniéj czyste warstwy, a mówiąc zrozumialéj, stan wyobrażeń moralnych zmieniać się począł; a stan materyalnych potrzeb wkradającym się zbytkiem codzień zwiększany, do coraz ściślejszego zajmowania się gospodarstwem i ciągnienia zeń coraz większych dochodów przymuszać począł dziedziców, a zatém i do coraz ściślejszych obowiązków włościan. Rwały się więc już wprawdzie ogniwa pięknego wieńca łączącego dotąd właściciela roli z temi którzy mu plony z niéj

zbierali, lecz z tegoż samego pilniejszego i czynniejszego gospodarowania wynikł zdrowy wniosek i *idea*, że od stanu zamożności włościan zależał i stan dziedziców; a tak interes zastąpił serce. Skutek materyalny prawie tenże sam, bo wzbudzający takąż samą troskliwość pana o byt jego chłopków, ale moralnie zeszliśmy daleko niżéj. Na objaśnienie stanu tego i różnicy przychodzi mi na myśl przykład. Oto dajmy, że we wsi jakiéj pomorek na bydło zabił co do sztuki dobytek włościan; dziedzice w obu peryodach wsparliby gospodarza, ale dziad i ojciec kupiliby mu natychmiast krówkę dojną aby miał mléko dla dzieci, i swego wydatku za dług by mu nie policzyli, syn zaś kupiłby mu wnet parę wołów, aby miał czém i pańską i własną ziemię orać, i wydatekby swój na dług włościaninowi zapisał: oba więc by go wsparli, może nawet drugi skuteczniéj, ale piérwszyby tylko wdzięczność i modły nieszczęśliwego zjednał.

Tak interes wybudzony wzrastającemi potrzebami, wprowadził w gospodarstwa szczelniéjsze obejście się i rachunek codzienny oziębiający i zniechęcający włościan; za nim weszły niedowierzanie i nieufność ku panom, od któréj bardzo już blisko do nienawiści....

Ale kraj jednakże ubożał; właściciele ziemi upadali i bankrutowali, majątki wielkie rozdrabiały się na małe schedy, na miéjscu jednego pana, rodziło się kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt nowych panków; a każdy na swoję rękę męczył odłogi sobie wydzielone, aby mu jak najobfitsze rodziły plony. Przyczyny tego powszechnego natenczas bankructwa i wynikłego ztąd drobiazgowego podziału kraju, czyli eksdywizyów, są jeszcze w świeżéj pamięci; i to inna materya któréj dotykam dla tego tylko, że w tym fatalnym trzecim peryodzie, potok nasz wrył się w najgorszą warstwę, to jest w napływową. Improwizowani bowiem nowi dziedzice napłynęli na ziemię, bez innych celów i usiłowań, jak wynagradzania sobie przymusowo na niéj lokowanych kapitałów. Usiłowania te powiększyły zapewne massę ziarna w kraju, ale też powiększyły i pracę około niego, a zatém i znoje włościanina, poglądającego na nowego pana z którym go żadna przeszłość nie łączyła, nienawistnie, a często z poniewierką, jeżeli zwłaszcza był to parweniusz, w którym ekonomski pierwiastek przebijał się w każdym kroku (a takich było

bardzo wielu); i nastąpiło jakieś rozstrojenie, w którém zdawało się, że los włościan najmniéj nie obchodził właścicielów; a jednakże w tymże samym czasie, potok nasz zaczął wybuchać na wierzch, i to inicyatywą saméjże szlachty.

Peryody te ściśle ograniczać się nie dają: wszelkie bowiem *ideje* jak mgły lub chmury nieograniczają się regularnym zakresem: z jednéj strony nikną, z drugiéj się rozszerzają, tu się rzedzą, tam gęstnieją; ale za niemi jest słońce, które częstokroć gorętszym promieniem niespodzianie i na wskróś je przebija. Tak właśnie i tu się stało; wśród téj powszechnéj a pozornéj jednak otrętwiałości na losy włościan, przypadły sejmiki gubernskie 1817-go roku, na które po dziesięciu delegatów, to jest czoło z każdego powiatu wybierano. Z mojego byłem sam między niemi, więc jak dziś pamiętam, gdy na jednéj sessyi wniesiono projekt uwolnienia włościan z poddaństwa. Okrzyk powszechnéj zgody zabrzmiał w sali; jedna tylko znalazła się oppozycya, a ztąd niejakie zamieszanie spowodowało zawieszenie wyborów; lecz po dniach kilku znowu otworzono izbę, a uwiadomiony o wypadku błogosławionéj a nieśmiertelnéj pamięci Cesarz Aleksander, przyjąwszy łaskawie i pochwaliwszy zamiary szlachty, rozkazał zapytać każdego z nich, czyli się zgadza na zniesienie poddaństwa? Marszałkowie więc powiatowi rozesłali delegatów z tém zapytaniem do wszystkich obywateli: jakiż rezultat okazał się z obliczenia odpowiedzi? dobrze pamiętam liczbę nawet, oto za uwolnieniem było podpisów *1,469*, przeciwnych zaś osób *80*, widzicie więc różnicę ośmdziesiąt na przeciw półtora tysiąca. Zaiste nader mało wyjątków!

Potém zdawało się, że wszystko ogłuchło, ale *idea* postępem czasu wzmocniona, którą się i rząd przejął już, trwała jednak. Z niéj wyniknęła regulacya inwentarzy i powinności włościańskich; a czynność ta, uchylając nadużycia dziedziców, dała poznać włościanom, że samowolność panów względem nich ustała, że i panowie mają władzę nad sobą, do któréj oni w krzywdach swych uciekać się mogą; jakoż i uciekają się rzeczywiście.

Tak powoli szły rzeczy ku ostatecznemu rozwiązaniu, które oto teraz daj Boże szczęśliwie się dokonywa. Wszystko to, mówił daléj prezydent, jest już dzisiaj przeszłością, treścią do dziejów tego kraju, ale w tych dziejach nie można zostawić piętna hańbiącego na pamięć całéj klassy narodu, która na nie nie zasłużyła, któréj prawość i chrześcijańskie cnoty, objawiały się zawsze w téj materyi

szczerze otwarcie i szlachetnie, któréj zatém obwiniać i spotwarzać nie godzi się za grzechy pojedyńczych indywiduów.— Niech cierpi kto zasłużył, ale nie wszyscy za jednego lub za kilku!!!

— Teraz nastąpią inne peryody, — przedłużał prezydent — daleko ważniéjsze; bo tu wejdzie na scenę i w nowe życie klassa ludności, nie liczona dotąd w narodzie, dla któréj szranki dobrowolnie i ochotnie sami otwieramy. Prawa które dla niéj i dla siebie piszemy, któż wie czyli w praktyce dostatecznemi się okażą? nie raz je może zmieniać jeszcze przyjdzie po doświadczeniu, a jakikolwiek los ztąd dla nas wypadnie, obyśmy w każdéj przemianie zachowali tę prawość sumienia, i tę czystość duszy, która ojcom i dziadom naszym zastępowała prawa, a nam uległość prawom ułatwi.

Skończył prezydent, i po niejakiem milczeniu odezwał się ks. jubilat.

— *Dixisti sermonem* *) panie prezydencie.

— Które, dozwól pan, rzekł ks. kustosz, że ja skończę.

Przepaść tę, mówił on zatém, o któréj rezonowałeś prezydencie, między szlachtą i włościanami, a którą niegdyś zapełniała miłość i życzliwość wzajemna, na któréj potém interes wątłe położył kładki, dziś ją ma zapełnić prawodawstwo, i tak ją zasypać i wygładzić, aby po niéj obu stronom bezpiecznie przechodzić można było: niestety! może tylko dla wzajemnych rozrachunków... a bodajby nie dla wzajemnych sporów i kłótni. *Quid leges sine moribus?* **) powiedział kiedyś stary *Cycero*.

— Z téj temy, przerwał znowu jubilat, choć nie ewangielicznéj, możnaby wziąć kazańko osobne i długie. *Quid leges sine moribus?* powiada mędrzec pański, a któż tam będzie wertował wszystkich mędrców pańskich, dla zadania fałszu kaznodziei!

— I od razu kłamstwem zacząć naukę, rzekł kustosz.

Jubilat uśmiechnął się i zażył tabaki.

— Otoż ja kazania mówić nie myślę, kontynuował kustosz, bo mi nie idzie o filantropiczne komunały, których dziś wszędzie nasłuchać się można. Potrzeba ofiar! potrzeba ofiar! wykrzykują

---

*) Powiedziałeś kazanie.

**) Co po prawach bez obyczajów?

dziś i powtarzają jedni za drugimi; ofiarując je ponieść w uszczupleniu dochodów swoich. O! nie w tém najgłówniéjsze ofiary, do których przygotować się powinniśmy. W obyczajach właśnie naszych znajdziemy co ofiarować mamy. Potrzeba najprzód odrzec się miłości własnéj, i owéj *buty pańskiéj*, z którą się rozkazywało poddanym swoim, a któréj nie było ni w sercu, ni w słowach, ni w obejściu się z chłopkami przodków naszych, w owe czasy, które po opisaniu twojém prezydencie złotemi nazwaliśmy. A nie jest to jedna z najmniéjszych ofiar! między dumném i szorstkiém *rozkazuję* do którego nawykliśmy, a grzeczném, jeżeli nie pokorném, *proszę*, stoi pycha i samolubstwo, z któremi codzień się kłócić, i codzień je poskramiać przyjdzie.

Potrzeba będzie odrzec się *lenistwa;* mamy jeszcze wielki kapitał, któregośmy prawie nie dotknęli dotąd, to jest *pracę:* da on nam lichwę, ale użyć go trzeba pilnie, i niedać się w niéj zastępować najemniczym, a nigdy szczerym usługom; pracować myślą, okiem i rozsądkiem własnym około samych siebie i około własnéj ziemi, która naówczas zrównoważy nam pewnie i nagrodzi ubytek, łatwo dotąd przychodzących dochodów.

Potrzeba nakoniec odrzec się fałszywego wyobrażenia, jakiego bez rozwagi trzymamy się, lub zdajemy się trzymać, o włościanach naszych: *klassa ta ciemna*, *nie rozumna*, *nie oświecona*, powiadamy: a przecież chłopek ma dosyć rozumu na swoją potrzebę, rozum ten jego składa się z naturalnéj *przenikliwości* i *ostróżności* w stosunkach z panami: piérwsza wspiera się drugą, ulega on rozkazowi, bo musi, ale w duszy osądzi ten rozkaz sprawiedliwie i trafnie. Obie te własności jego, poczytujemy mu za wady, które jednak udowodniają, że on zrozumiał dobrze stan swój dzisiejszy i swe dzisiejsze położenie, i stosować się doń umie; ale i tu przez siebie samych tylko wpłynąć nań i poprawić go możemy. Niech włościanin w sercu i w każdym kroku pana znajdzie zawsze i nieodmiennie szczerość, sprawiedliwość i dobroć, niech przenikliwością swoją nigdy w nim niczego innego niedopatrzy i nie dośledzi; a pozbędzie się tém samém téj ostróżności i nieufności od któréj, jakeś dobrze powiedział prezydencie, nader już blizko do nienawiści.

Krótkie to warunki w téj materyi, ale główniejsze; na nich zakon i prorocy, i spełniając je o panowie! podług słów *Lewity*,

„Będziecie jeść chleb w sytości, i bez strachu będziecie mieszkać w ziemi waszéj" *).

— Mówiłem jak świecki obywatel, rzekł prezydent, dokończyłeś kustoszu jak duchowny katechista; z pomiędzy mnóstwa uwag, prawideł i proroctw, wybrałeś zdaje mi się treść samą, i zredukowałeś ją do ścisłych trzech przestróg. O jak dobrze byłoby, gdyby każdy szlachcic gospodarz przyswoiwszy sobie, i do własnéj pozycyi zastosowawszy twoje wnioski, ziscił tym sposobem słowa *Lewity.*

— Gdybyż je słyszano, lub czytano, rzekłem.

— I cóż z tego? rzekł kustosz, czas, doświadczenie, wypadki powszechne, zamieniają i leczą częstokroć ludzi z chorób moralnych, książki zaś i nauki na mało się tu przydają; im częściéj powtarzane, tém mniéj cenione. Stary morał w książce, jak stara odzież, rzuca się w kąt na pastwę szczurom. *Kommunały* nowy wyraz weszły dziś w modę, i rzucony jak klątwa na samą nawet najprawdziwszą prawdę, gdy się ona zbyt często słyszeć daje; toż samo spotkałoby i nasze sentencye. Ale zkądże brać nową mądrość w rzeczy dziś powszechnie i przez wszystkich traktowanéj?

— Wszakże, kochany ks. kustoszu, mówił po zastanowieniu się niejakiém prezydent, nie byłem od tego, aby naszą dzisiejszą *dyssertacyę*, wasz przyszły autor wpisał w swoje dzieło: *„Gutta carit lapidem, non vi, sed saepe cadendo"* **) jak wiesz o tém ojcze: niech choć jeden z tysiąca przyjmie te nasze *kommunały* do serca, a jednem tysiącznem złego z pośród nas ubędzie.

— Chybaż sami ichmość dobrodzieje wpiszecie do mego raptularza, to coście mówili, odezwałem się; bo chociaż dzięki Bogu na pamięci nie szwankuję, ale takim długim kontrowersyom niedotrzymam, a swoim nędznym rozumem niedopiszę.

— Niechże tak i będzie, *ad majorem dei gloriam* panie prezydencie, czy zgoda? zapytał kustosz.

Prezydent skinął głową, i w kilka dni potém skopijowałem już tylko co oddany mi przez ks. kustosza seksternik.

Koniec części piérwszéj.

---

*) Lewityk, księga 111, rozdział 26-ty.

**) Kropla przebija kamień, nie siłą ale często padając.

CZĘŚĆ DRUGA.

XI.

Zdzieciniały.

Zajechawszy do *Nieświża* po moje barany, odpoczywałem tam dni kilka jak we własnym klasztorze, a słysząc opowiadania wielkich dziwów, które niegdyś tu na zamku Radziwiłłowskim za panowania tam książąt odprawiały się, poszedłem obejrzeć go: oh! niewiedziałem ja natenczas, że po tym zamku chodził niegdyś brat nasz *Ławrynowicz*, że w tych salach odbywała się sławna kapituła i pokuta ojców naszych tamtoczasowych; a tobym z większą jeszcze ciekawością i uwagą wszystko tam rozpatrywał.

Ale żył jeszcze stary dworzanin księcia Radziwiłła, tegoż samego syndyka naszego, pan *Bukowski* *): zapoznałem się z nim w klasztorze. Mieszkał on w miasteczku, w swoim dworku, ale codzień po mszy świętéj zachodził do księdza kustosza na ranny posiłek; a potém po kolei od celi do celi odwiedzał ojców, którzy go bardzo szanowali, jakoby jaką drogą relikwię po Radziwiłłach im zostawioną. Razem on z nimi i do refektarza, i na konsolacyę, tak, że więcéj żył między bernardynami, niżeli w swym dworku: ot już to zwyczajnie starzy mają sympatię do klasztorów.

*) Rzeczewiście żył jeszcze w Nieświżu szatny księcia Karola Radziwiłła *Bukowski*, w owym czasie, który na tę kwestę przypada.

Więc staruszek ochotnie podjął się być moim konduktorem po zamku. — Miłyż Boże! wszystko tam było w ruinach, wzdychał głęboko Bukowski rozpowiadając mnie. To sala hetmańska! To sala królewska! To pokoje paradne. W tym pokoju wszystkie sprzęty i meble były z lanego srebra. To kaplica zamkowa." — A jakżeby poznać że to kaplica? ani śladu ołtarzy, a w kącie jednym kupa gruzów ze szlifowanych rozmaitych kamieni, z których i ołtarze i ściany i obrazy nawet, jakby malowane układanemi były. A wieleż to tych obrazów i portretów dawnych zrzuconych w jednéj izbie na kupę? wieleż to żelaza i zbroi połamanych? któremi cały pułk w kirysy ubraćby można było.

Zaprowadził mnie potém Bukowski do lochów pod zamkiem. Tu, rzekł on wskazując na sklep poboczny, zamurowane były skarby Radziwiłłowskie... Daléj stały ogromne skrzynie z papierami i księgami. Na dziedzińcu leżały dwie długie harmaty: było takich kilkadziesiąt na wałach zamkowych, mówił Bukowski, i nakoniec zaszedł do komnaty na dole, któréj okna zasłaniały się wysokiemi wałami zamkowemi tak, że choćby w dniu najpogodniéjszym ona przyćmioną być musiała.

Tu rzekł on, ostatni raz usługiwałem panu memu i dobroczyńcy, księciu Karolowi Radziwiłłowi Wojewodzie Wileńskiemu; olsnął on biedny na starość, obrał więc sobie to pomieszkanie, do którego słońce nie dochodziło, i nie raziło zbolałych jego oczu: odjechał potém do *Białéj* *) gdzie go miał leczyć jakiś zagraniczny okulista, ale z tych leków oczy jego zamiast uzdrowienia, zamknęły się na zawsze, i powrócił nasz ukochany książe do swojego Nieświża w trumnie...a ja szatny jego, dodawał ocierając z łez oczy, i szat nań śmiertelnych nie włożyłem.

Gdyśmy wychodzili z tych ruin, orzeł Radziwiłłowski z miedzi wykuty, i na wieży zamkowéj na żelaznym pręcie utkwiony, obracając się od wiatru zaskrzypiał przeraźliwie; Bukowski stanął, obrócił się doń, zdjął czapkę, i patrząc nań, a smutnie kiwając głową: jęcz, rzekł, jęcz orle sławny! gniazdo twe upadło.... „*sic transit gloria mundi*" **).

---

*) *Biała*, dobra Radziwiłłowskie w królestwie Polskiém.

**) Po roku 1813-m zamek Nieświzki był rzeczewiście w takim stanie w jakim go tu opisuje kwestarz. Późniéj staraniem administracyi, któréj naczelnikiem był pan Mikołaj Malinowski, zamek został zrestaurowanym i zamieszkałym.

Nigdy, nigdy nie zapomnę tego staruszka od téj uroczystéj chwili, i teraz stoi on mi przed oczyma, z uchyloném czołem przed orłem Radziwiłłowskim.

Od środy do niedzieli przegościwszy tak w Nieświżu, postanowiłem po nabożeństwie wyjechać; byłem więc i na kazaniu, a przysłuchiwałem się tém pilniéj, że już poznałem księdza kaznodzieję, który po *obedientii* wybierał się właśnie do klasztoru naszego Bienickiego; a zatém chciałem osądzić, czego z ambony słuchać będziemy. Mówił on bez pisma, co mu Bóg natchnął; nie pamiętam już z jakiego tekstu, ale wszystkim stanom dawał *ad intende;* a gromiąc wszelkie nałogi, bił szczególniéj na lenistwo, i wszystkich do pracy, podług przeznaczenia każdego na świecie nakłaniał. Co panom to panom, co chłopkom, to chłopkom; a od tych nie daleko stawiąc i okoliczną szlachtę, któréj pełny był kościół, a dawne fumy i hajdamactwa wybijając jéj z głowy, zawołał w zapale swéj metaforycznéj elokwencyi: „Przekujcie teraz, bracia mili, oręż na lemiesz, i tym uprawiajcie wasze niwy ojczyste!“ i tam daléj.

Nim się wybrało, nim się pożegnało, to i słońce dobrze zaszło za południe; a więc na prędce skosztowawszy barszczu w refektarzu, wywlekliśmy się powoli z miasteczka. Trzodka moja złączona z baranami, które tu z depozytu zabrałem, podwoiła się i nie małéj mi przyczyniała mitręgi; tak, że postanowiłem zaraz przynająć w jakiéjś wiosce chłopaka dla dopędzenia jéj przynajmniéj do *Wołożyna* *), gdzie w klasztorze naszym, już lepszą miałem nadzieję pomocy.

O półtory mili od Nieświża, zdarzyła się okolica szlachecka.

Od razu poznałem że to nie wioska; bo taki to i kominy gdzie niegdzie białe na dachach domostw, i okienka większe w świetlicach, i bramki na zawiasach zamiast wrót prostych, i ogródki i wiszniaki zieleniły się. Kiedym kwestował to jeszcze były te ostatki ochędóstwa po okolicach; a choć już często niektóry domek stał podparty pod wszystkie ściany z kominem skrzywionym na dachu i z szybami pobitemi, przez które wiatr świstał; to jeszcze można było komparować, że to stary szlachcic włożył na bakier dawną swoję konfederatkę, wziął się w boki, i stoi sobie czupurno, po-

*) *Wołożyn*, miasteczko Tyszkiewiczów w powiecie Oszmiańskim.

gwizdując wesołą piosnkę „*Cztéry kąty, a piec piąty*“ „*Oto to ja pan, i o nic nie dbam!*“ — Taką nadrujnowaną okolicą była i ta w któréj się zatrzymałem, nie dla kwesty, bo zwykle nie naprzykrzałem się tam, gdzie zamożności nie widziałem; lecz właśnie tu postanowiłem postarać się, o poganiacza moich baranów. Zostawiwszy więc wóz i trzodkę na dyrwanku wszedłem sam na ulicę i na dziedziniec do dworku, który piérwszy mi się nadarzył.

Dajże Boże przypomnieć com tam widział i słyszał, bo najtrudniéj spamiętać i opisać to, w czém i jest rzecz, i nie ma rzeczy: w czém i jest sens i nie ma sensu. Niechże już sobie ks. kustosz sens moralny tu wyciąga, a ja przystępuję do *narracyi.*

Siedział na szerokiéj *pryźbie* *) osypanéj około domu, staruszek siwiuteńki jak gołąb; musiał mieć lat ze sto, a przynajmniéj blizko tego. Na twarzy i na czole nigdzie u niego nie było marszczków, bo skóra żółta jak pargamin, tak przyschła do szczęk twarzy i głowy, że jéj na marszczki nie stało; oko jednak biegało mu żywo, i na siłach nie zdawał się upadłym, bo rzezwo się krzątał około fabryki, którą na téjże pryźbie z kilkoletnim chłopcem wnukiem swym czy prawnukiem prowadził. Budowali oni wielki pałac ze szczepek i osypywali piaskiem, aby go mocno ufundować w ziemi; ale zdziwiłem się bardzo, że obok dziadka leżały dwa pałasze bez pochew; jednego koniec złamany i podsmalony służył widać za ożóg do pieca, drugi cały, ale zupełnie rdzą pobity. Gdy mię postrzegł stary chwycił za swoje pałasze i krzyknął: — nie dam! dalibóg nie dam!

— Niech będzie pochwalony, i t. d. rzekłem.

— Na wieki wieków mościjanie, odpowiedział on, ale taki pałaszów nie dam.

— Mój jegomość, rzekłem, nie mogę zrozumieć co u jegomościa w głowie; na co mi twoje pałasze, zabierać ich nie myślę.

— Tak, a czemuż dziś na ambonie wykrzykiwałeś mościjanie: „*Przekujcie oręż na lemiesz!*“ ja wraz zrozumiałem, że to znaczy abyśmy z naszych starych pałaszów porobili *narogi.* Stary zdziecinniał!

---

*) *Pryzba.* Tak nazywają osypanie około chat z ziemi, odarnowane zwykle, na którem we dni pogodne ludność włościańska, słońcu usiada i grzeje się.

powiadają na mnie, zdziecinił! a przecież i teraz rozumiem, po cóś tu księże kaznodzieju przyjechał; chcesz dopilnować tego przekonania i napędzić nas do kuźni.

— Bój się Boga staruszku, rzekłem, jam nie kaznodzieja, jam kwestarz, i nawet nie z Nieświzskiego klasztoru, chociaż byłem tam dziś na nabożeństwie, i na tém kazaniu, którego widać i jegomość słuchałeś.

— A słuchałem, słuchałem; bo mnie co niedziela wnuczek mój starszy wozi kałamaszeczką do kościoła. Czyż my nie mamy innego żelaza na narogi? czyż koniecznie psuć na to nasze staroświeckie szabelki?

— Kaznodzieja, rzekłem, chciał przez to wyrazić....

— Oho ho, przerwał mi stary, ja wiem co on chciał przez to wyrazić *mościjanie:* oto że nam dość wojować, a orać ziemię potrzeba. Oho ho, a co powiedzą na to panowie dygnitarze?

Tu powstał, i lubo drżał na nogach, jednak rzeźwo chwycił za pałasz, i krzyżując nim w powietrzu, wykrzyknął:

„*Gdy pałasz obce mierzył granice*"

I po niejakim namyśle jakby przypominał.

„*Ustąpić musiał i wąs fryzurze.*"

A to z dawnéj pieśni, którą i ja umiem, na pochwałę wąsów, rzekłem.

— Nie prawda *mościjanie!* zawołał przyciskając mocno to swoje przysłowie i ze złością tupając nogami, nie prawda, nie ustąpił! nie ustąpił! won niemcze z fryzurą!

„*Żem jeszcze szlachcic, pokręcam wąsa.*"

I rzeczywiście pokręcił wąsa swego, spłowiałego wprawdzie i zaniedbanego zupełnie, ale sutego jeszcze i gęstego.

— A teraz, a teraz mówią, ustąp *mościjanie* pałaszu lemieszowi. To czémże mierzyć będziem obce granice?...

— Nie dawno pan Antoni *Zbrożek* i pan Filip *Stańczyk* sąsiedzi nasi pokłócili się o niwę, czyja szersza? bo od wieków wiecznych powinne być obie równe. Po długich certamentach i kwestyach, zgodzili się na przyjaciół. Ja mościjanie jako najstarszy wiekiem, byłem *superbitrem umitate* (superbitrem unanimitate) wybrany. Cała okolica wysypała się za nami na pole, bo w tém sęk na czyim stanie.

— Jakiś tam *stupidus mościjanie* krzyknął: Przemierzyć krokami! Otoż zaczęła się processya po miedzach. Pan Stańczyk po

swojéj granicy suwał jak niedźwiedź, a po zbrożkowéj skakał jak sroczka. Pan Zbrożek przeciwnie, wielki moderat i polityk, maszerował równo i poważnie po obu granicach, ale miał osóbną numeracyę dla siebie, a osóbną dla pana Stańczyka. Sobie liczył kroki: *dwadzieścia dziewięć*, *dwadzieścia dziesięć*, trzydzieście i znowu daléj mościjanie:—*trzydzieście ośm*, *trzydzieście dziewięć*, *trzydzieście dziesięć*, czterdzieście; a Stańczykowi liczył po naszemu: więc ja skonkludowałem, że z tego nic nie będzie; że trzeba przemierzyć po świętéj sprawiedliwości, ale nie krokami *mościjanie*, bo każdy z ichmościów litygantów, i ichmościów adherentów, kroki swe podług swéj inklinacyi miarkował, sekundując jednéj albo drugiéj stronie. Ale czémże mierzyć? Komornika gdzież tam szukać; a gdyby i był, to wiadomo, że gdzie łańcuch przejdzie, tam pięćdziesiąt lat trawa nie rośnie; powrozem? to chłop mierzy, łokciem? to żyd mierzy; ferowałem więc dekret aby przemierzyć pałaszem, po szlachecku *mościjanie*. Zdzieciniały! krzyknęli wszyscy, zdzieciniały! ale ja nie uważając na to, przyniosłem wnet mój oto ten pałasz, i sam swoją osobą *mościjanie*, przemierzyłem obie miedze. Pokazało się że niwa pana Zbrożka szerszą była na półtora pałasza od niwy pana Stańczyka; ot i przegrał pan Zbrożek; wnet więc lemiesz zrównał co pałasz przemierzył, i odtąd święta zgoda między panem Zbrożkiem i panem Stańczykiem. Niechżeby *mościjanie* tak było między pałaszem i lemieszem; a to zaraz kuć, przekowywać! a kiedy *mościjanie vice versa* przekują czasem *lemiesz na oręż*, co wtenczas będzie? he?

Tymczasem szlachta przechadzająca się na ulicy, ujrzawszy za wrotami moje barany, a mnie rozmawiającego ze starcem, zaczęła się około nas zbierać. Wszedł piérwszy wysokiéj postury, suchy i dobrze podżyły jegomość; w szaraczkowéj długiéj aż po pięty kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu na głowie, i z kijem sękatym w ręku, po jego maszerunku punktualnym, i po minie nastrojonéj poważnie, domyśliłem się ze słów staruszka, kto to był, i zgadłem, gdyż powitał mnie mówiąc z uniżeniem ręki do kolan:

— *„Asana dobrodzieja, sługa i podnożek—Antoni Zbrożek.*

Odpowiedziałem, również uniżając rękę.

— *Upadam do nożek*—brat *Rafał Karęga, po barany sięga;* to jest: bernardyn kwestarz z klasztoru Bienickiego.

Jak długi, *na usługi*, rzekł znowu pan Zbrożek uśmiechając się, i dodał, miło spotkać się z mądrym człowiekiem, bo to „*similis simili gaudet.*“ *) A zatém submitując się asanu dobrodziejowi, na nocleg do siebie zapraszam, bo pana *Borsuka* gospodarza tego domu nie ma, wyjechał w Słonimskie do familii, a ten nasz zdziecinniały *Matuzal* jego ojciec, u którego [w głowie jak w pietuchowie....]

— Nie, mój dobrodzieju, przerwałem, słuchając konwersacyi tego staruszka, poznałem ja, że jego głowa jest jak nasz klasztor Bienicki; niektóre w nim cele ze starości zrujnowane i zapadłe, ale niektóre dobrze się jeszcze trzymają i są zamieszkałe.

— *Dwadzieścia dziesięć*, odezwał się stary kopiąc znowu pryźbę: ale mój pałasz *mościjanie*, skonfundował tę nową arytmetykę! i rozśmiał się jak dziecko, gdy mu figiel jaki uda się.

— Jasiu, mówił potém do wnuczka, teraz będziemy kopać staw wielki około zamku, tak jak w Nieświeżu, i postawim bramę na grobli, a zamkniem ją szczelnie, i żadnego kowala nie puścim do zamku.

— Ale dziadulu, odezwał się wnuczek, dziś niedziela, kopać nie można.

— A prawda moje dziecię, prawda, i pogładził dziecinę po głowie.

Tymczasem za panem Zbrożkiem weszło i więcéj szlachty; wszyscy starsi wiekiem, bardzo pięknie i politycznie zemną się zapoznawali, młodzi zaś poświstywali sobie tylko, na nic nie zważając, a niektórzy podszedłszy do staruszka, dworować sobie zeń zaczęli, ale nie pozwolił on im długo téj zabawki, powstał on nagle i chwytając za pałasz.

— A *kysz* błaznota! zawołał, a *kysz!* bo nauczę was *mores* i rewerencyi dla siwéj głowy! czy ja niewidziałem żeście nawet zakonnika niepowitali i nie uczcili przynajmniéj krzyża świętego który on ma na piersiach. Oho! dawniéj mościjanie sto na kobiercu za takie *wituperye*...

Chłopcy rozśmieli się i uciekli.

Co to jest ojcze Szymonie, zkąd i na co te pałasze dobyłeś? zapytał pan Zbrożek.

---

*) Podobny z podobnym cieszy się.

— A pytaj się waszmość *mościjanie* u kaznodziei księży ber nardynów Nieświézkich.

Natenczas opowiedziałem panu Zbrożkowi i wszystkim słuchającym, jak sobie wytłómaczył starzec kazanie dzisiejsze, na którém prawie wszyscy oni byli, ale żaden widać tak pilnie go niesłuchał, ani tak pojął jak zdzieciniały. Opowiadania mego lubo zdawał się on nieuważać, siedząc na pryżbie i kiwając tylko głową, jednak gdym skończył, zapytał:

— Cóż powiesz na to *mościjanie?* co powiedzą na to panowie dygnitarze?

— Jacy tam dygnitarze wleźli tobie w głowę ojcze Szymonie? odezwał się Zbrożek: żeś za młodu z niemi sejmikował, i doznawał ich faworów, to ci się zdaje że oni i teraz żyją jeszcze i prewodyrują szlachcie; a tu ani dygnitarzy, ani dygnitarstwa dawno już niema.

— A gdzież podziało się *mościjanie?* czy francuzi zrabowali? zapytał z zadziwieniem starzec powstając i niespokojnie patrząc nam w oczy; niecierpliwie czekał odpowiedzi, któréj nikt z nas dać mu nie mógł, nawet i najmędrszy z całéj gromady pan Zbrożek; aż któryś ze szlachty, tyle bodaj znający się na dygnitarstwie ile i my wszyscy:

— A cóż to za dziw? rzekł, marudery rabowali kościoły, obdzierali ołtarze, to i dygnitarstwo kiedy gdzie napadli mogli zabrać. Musi to być rzecz bogata *dygnitarstwo:* sam widziałem u jednego kawałek pasa litego Słuckiego ze złotémi fręzlami, zapewna go gdzieś od jakiegoś dygnitarstwa oderwał.

Starzec usiadł znowu, namyślał się, przecierał czoło, i głową potrząsał, rzekł nakoniec.

— Rabowali kościoły... obdzierali ołtarze.... prawda, pamiętam.... A czy jest jeszcze w Wilnie Najświętsza Panna Ostrobramska, i Pan Jezus Antokolski?

— Jest, jest, odpowiedzieli wszyscy.

— Jest, mówił stary, jest, no, to wiary naszéj świętéj nie zrabowali.

Potém znowu się namyślał, znowu tarł czoło, jakby mu w głowie cóś trudnego było, i potém znowu zapytał:

— A czy są jeszcze pańskie dwory *mościjanie?*

— A jużcić są, choć nie takie jak dawniéj, odpowiedział Zbrożek.

— Są, to dobrze, a czy śpiewają tam *„Zawitaj ranna jutrzeńko“* i *kochajmy się?*

Zbrożek wzruszając ramionami rzekł:

— Prawisz, ojcze Szymonie [ni w pięć ni w dziewięć, i piąte przez dziesiąte,] aż mnie wstyd za asana.

— Aha! piąte przez dziesiąte, waszmość *mościjanie* znowu do swéj arytmetyki. No, otoż bo, i znowu powstał starzec, i coś jakby nadzwyczajnego zaświeciło mu w oczach, bo kiedy tam śpiewali *„Zawitaj ranna jutrzeńko! i kochajmy się!“* mówił on uroczyście jakoś i poważnie, to i modlili się jak bracia... i kochali się jak bracia i szeroko, szeroko, jak siatka w węzełki wiązana ta *fraternitas* rozciągała się po kraju.... Ale kiedy to idzie tam dziś *piąte* przez *dziesiąte*... to i... to i dygnitarstwo *mościjanie* przepadło.... i szlachectwo idzie ni *w pięć* ni *w dziewięć.*

To powiedziawszy, stary usiadł i opuścił głowę; znaczno było że się wysilił, wziął swoje pałasze na kolana, a patrząc na nie kiwał głową i rękami oczy ocierał.

My z panem Brożkiem patrzaliśmy jeden na drugiego.

— Zdzieciniały, rzekł nakoniec Zbrożek, zdzieciniały! Już teraz nic więcéj niepowie, znamy jego naturę; gdy tak usiądzie i płacze, to już milczy jak kamień. Pódźmy więc, suplikuję asana dobrodzieja na gospodę do mnie. Bywaj mi zdrów ojcze Szymonie! zawołał Zbrożek, i za nim wielu innych szlachty.

— Bywaj zdrów staruszku! powtórzyłem i ja.

Ale starzec ani oczu na nas nie podniósł.

W O Ł O Ż Y N.

XII.

Podanie Żydowskie—Tak i nie.

Ponury i milczący zwykle brat Piotr, oniemiał jeszcze bardziéj, gdyśmy się nazad zawrócili; niechciało mu się wracać do klasztoru, gdzie go z pogardą nazywano i traktowano. Wprawdzie mruczał on coś sobie czasami, ale nie mogłem nic dosłyszeć: zdało mi się

raz że po hebrajsku i zgromiłem go, więc znowu milczał. W Nieświżu znikał on po razy kilka z klasztoru, a całą sobotę niewiadomo gdzie przebył.

— Oj czy nie szabas on tu tylko z żydami odprawia, rzekł mi tamtejszy kustosz, gdym mu całe *curriculum vitae* tego nowego chrześcijanina opowiedział; niespokojny zatém chodziłem do późnéj nocy po miasteczku, dopytując się o niego.

Nazajutrz znalazłem go krzątającego się jak zwyczajnie około wozu: na zapytania i wymówki moje nieodpowiadał, lecz gdy zadzwoniono na mszę, poszedł skwapliwie do kościoła i modlił się gorliwie; pomyśliłem zatém, że bodaj on dwóm panom służy, niewiadomo tylko któremu wierniéj.

Pan Zbrożek dostawił mi chłopaka rzeźwego, a ten wziął z sobą do pomocy domowego swego kundla, i tak obadwa pomagając jeden drugiemu, utrzymywali w kupie moją owczarnię; nakoniec zbliżyliśmy się do Wołożyna.

Na wjeździe pod miasteczkiem, spotkała nas niespodziana mitręga, jak zawierucha jaka. Tłuszcza żydów wszelkiego wieku, starych i młodych, nawet mnóstwo małych bachurów wrzeszczących przeraźliwie, i pędzących się za jednym także żydem, który uchodził przed niemi, wprawdzie spiesznym krokiem, ale nie tak jakby się ich lękał, lub od nich uciekał; i żydzi nie tak biegli, jakby go dopędzić, lecz raczéj jakby go wypędzić i wystraszyć a przeprowadzić tylko chcieli.

Na ten hałas kundel nasz szczekać, rzucać się i wyć począł; barany się rozbiegły, a my ogłuszeni takim rozgardyaszem zatrzymaliśmy się na drodze. Wtém żyd pędzony obrócił się ku ujadającéj za nim tłuszczy i stanął, aże blizko naszego wozu, więc mogłem nań uważnie rzucić okiem.

Nadzwyczajna to jakaś była figura, od razu poznałem, że to człowiek z cudzéj ziemi. Wysoka uroda, twarz śniada jakby cygańska, powiedziałbyś że słońcem spieczona, oko ogniste jak węgiel rozpalony, broda czarna i gęsta. Jeszcześ to nic, bo i między naszemi żydami możnaby na podobnego natrafić, ale szaty jego różniły się bardzo od zwykłych izraelskich. Miał on bowiem na głowie *per modum* jakiegoś zawoju czerwonego, i czerwonym szerokim pasem po czarnéj aksamitnéj czamarze był opasany, a na ramio-

nach miał płaszcz krojem i kolorem podobny do takich pod jakiemi węgrzyni apteczki swoje noszą. Płaszcz ten przy śpiesznym jego pochodzie podwiewany wiatrem pół drogi zajmował; niosł on wielką księgę pod pachą, a długi kosztur w ręku. Gdy stanął i obrócił się, żydzi tchórze stanęli także, mniejsze bachury nawet uciekać poczęli. On wtenczas księgę i kosztur kładąc na ziemi, wziął w obie garście piasku, podjął obie ręce i oczy w górę, wyrzekł głośno i uroczyście jakieś hebrajskie wyrazy, i sypnął piasek na żydów.

— Gwałt! krzyknęli żydzi jednym głosem.

— Gwałt! krzyknął z niemi razem mój brat Piotr i przeżegnał się; ja sam przeraziłem się szczególniéj jego piekielnym wzrokiem jaki z piaskiem cisnął na żydów. On tymczasem podjąwszy swój kij i księgę, poszedł daléj, a ośmielone żydostwo krzycząc *Orur! Orur!* *) i wzajemnie sypiąc nań piaskiem, ruszyło za nim w tropy.

— Co to znaczy? rzekłem zdziwiony do Piotra, czy nie *hamana* oni pędzają.

— Nie, odpowiedział, nie, święto hamana jeszcze daleko.

— A cóż to byłoby u licha? co znaczy ten piasek? i co on powiedział, sypiąc go na nich?

— Oh, oh, rzekł brat Piotr, to straszne słowo! bardzo straszne; przeklął on ich.... przeklął aż do dziesiątego pokolenia.

— Któż on jest?

— Nie wiem, nie wiem, ale był on niedawno w Nieświżu, mówił jąkając się Piotr.

— Zkąd to wiesz bracie?

Piotr nieodpowiedział, ale ja poznałem że on w Nieświżu bratał się widać z *synagogą*, i wyciągnąłem zły prognostyk, że bodaj stanie się tak, jak mówił nasz gwardyan wyprawując mnie z nim na kwestę: *wilcza natura do lasu ciągnie.*

Gdy ta burza minęła nas i daléj się poniosła, zebraliśmy się jakkolwiek i dojechaliśmy w południe na sam obiad do klasztoru; tam opowiedziałem cały ten mój wjazd do miasteczka, a gdym opisywał posturę wypędzanego żyda.

— Czy nie *Ahasferus* zjawił się tu w nasze okolice? rzekł ks. gwardyan. Zaproszę ja dziś tutejszego rabina wieczorem na

*) Przeklęty.

piwko; człek to arcy mądry po żydowsku, a bardzo roztropny i poczciwy po naszemu; żyjemy z sobą w dobréj komitywie, on nam opowie co to było?

Nie odmówił wezwaniu ks. gwardyana starozakonny mędrzec wołożyński.

Gdy on szedł przez miasteczko do klasztoru, byliśmy na ganku, i widzieliśmy jak gromady żydów zastępując mu drogę, cisnęli się doń jedni przed drugiemi, całując kraje szat jego: zapraszany niskiemi pokłonami wstępował on do niektórych domów, a tymczasem ks. gwardyan wszedłszy z kilką ojcami i ze mną do swojéj celi, mówił mi.

— *Wołożyn*, to Rzym dla żydów litewskich, i rabin wołożyński nigdy dla nich nie umiera; od dawna bowiem w jednéj tu rodzinie godność ta i mądrość przechodzi sukcessyą z ojca na syna tak, że zmiany nie znaczno. Mój przyjaciel pan *Salamon* ma już syna żonatego i wnuka, więc dynastyi jego na długo stanie. Zewsząd tu zwożą bachurów na naukę do szkoły; najbogatsi *morejni* mają sobie za wielki honor kiedy mogą powiedzieć, że ich syn jest uczniem *rabina wołożyńskiego;* a dla ubogich żydków nieboraczków, na koszta ich tu życia i utrzymania, znajdziesz w każdym żydowskim domu, zwłaszcza po miasteczkach, przy drzwiach obok *jerozolimskiéj* i *wołożyńską* karbonkę.

Starych także żydów zjeżdża się tu wiele, nawet z dalekich krajów, i siedzą często po lat kilka nad księgami, których mnóstwo tu się znajduje i codzień przybywa; bo chociaż Salomon od nikogo i nic dla siebie nie bierze (a mógłby mieć krocie, gdyby przyjmował pieniądze i dary które mu codziennie ofiarują), ksiąg jednakże nieodmawia, i dla tego furami tu je zwożą. Ale cóż to niestety znaczy? mówił wzdychając ks. gwardyan, są to wszystko magazyny niewierności żydowskiéj: *Talmudy*, *Miszny*, *Gomory* i inne podobne temu bałamuctwa. Salomon jednak czyta i łacinę, a bodaj rozumie i po grecku: słowem byłby mądrym prawdziwie, gdyby był chrześcijaninem.

— Przerwał tę rozmowę sam wchodzący rabin..

To znowu drugi żyd nie taki jak inni: nosił on na codzień żupan z takiéj saméj białéj opony, jaką żydzi tylko w szabas idąc do szkoły na siebie kładą, i w niéj przyszedł tu w gościnę. Nawet

kapelusz miał biały, a pod nim jarmułkę ze złotogłowiu, i pas z takiejże litéj materyi: wszystko to attrybuta jego patryarszéj godności, na którą go, jak powiadają, siedmiu najmędrszych z całego świata rabinów w Amsterdamie koronowało. Figura sucha, widać nad księgami zawiędła, i nic osobliwego, ale gdy zaczął mówić, to byś go słuchał cały dzień, i zapomniał że słuchasz żyda; tak czysto po polsku, i tak argumentalnie rzeczy wywodził.

Nie pamiętam co się tam w konwersacyi między nami toczyło na początku, ale gdy piwko zaprawione cytryną, muszkatową gałką i cukrem z cynamonem, udobruchało mędrca, ks. gwardyan zagadnął go w kwestyi rannego w miasteczku rozruchu.

— Co się to dziś stało panie Salomonie? jakiego to żyda cała wasza ludność wypędzała z Wołożyna? brat nasz oto ten kwestarz bienicki, spotkał się z tym tłumém, i widział dziwnego jakiegoś człowieka; a po opisaniu jego figury, przyszło mi na myśl, że to może *Ahasferus*, *) widziałem go kiedyś... malowanego, waćpan wiesz panie Salomonie kto on jest, i dla czego bezustanku iść musi? więc może i tu do nas zawitał.

Rabin uśmiechnął się tylko i haust kaliszanu pociągnął.

Więc powiedz nam jeżeliś łaskaw, co się to znaczyło? rzekł gwardyan.

Salomon długo kiwał głową i milczał, a gdy gwardyan powtarzał pytania i prośby:—Na co ichmościom ta wiadomość potrzebna? odpowiedział, ja upewniam że to nie był *Ahasferus*, bo go nigdy na świecie nie było i nie ma.

Mniejsza czy on jest, czy go niema, mówił znowu gwardyan, dysputować o to nie będziemy, to nie artykuł wiary; ale jest w tém jakaś tajemnica, któréj nam powiedzieć niechcesz: wszelakoż rozruch w miasteczku był nadto jawny, ukryć tego nie można, i nie jeden waćpana zapyta o przyczynę.

— Dla czegoż mnie koniecznie? rzekł Salomon.

— Bo wszyscy wiedzą że tu nic między starozakonnemi bez woli i wiadomości twojéj się nie dzieje.

— A gdybym i powiedział, rzekł po niejakim namyśle rabin, cóż ztąd? kiedy mnie ichmość nie uwierzycie.

— To coś ciekawego! dla czegoż nie uwierzym.

---

*) *Ahasferus*—Żyd wieczny tułacz.

— Bo nie uwierzycie.

— A sam czy wierzysz panie Salomonie? zapytał gwąrdyan, i patrzał mu w oczy:

Rabin wzajemnie patrzał w oczy księdzu, a my wszyscy na nich obu.

Nakoniec znowu po namyśle rzekł Salomon wskazując na zegar wiszący na ścianie.

— Czy wiecie co mówi ten zegar?

Obstupuit ks. gwardyan, i my także zdziwieni spójrzeliśmy na zegar.

— A cóż? czy nic nie słyszycie? pytał znowu rabin.

— Cóż tu można posłyszeć—odpowiedziałem ja pendał czyka i nic więcéj.

— Tak, czyka, ale czykając on cóś mówi.

— Nie rozumiemy tego zegarowego języka, rzekł gwardyan: wytłómacz jaśniéj panie Salomonie, tę jakąś swoją widać Salomonowę *hiperbołę*.

Rabin powstał, i z powagą rzekł:

— Penduł mówi nieustannie—*Tak*, *nie*—*Tak*, *nie*—*Tak*, *nie*—*indeks* idzie nieznacznie jednostajnie i powoli. A waga ciągnie na dół. Teraz rozumiecie?

Pokręciliśmy głowami.

Więc uroczyściéj jeszcze i z ręką ku zegarowi wyciągniętą mówił Salomon.

— *Indeks* to życie! idzie godzinami, jednostajnie, powoli nieznacznie; *waga* w dół ciągnie do mogiły! a *penduł* to myśl ludzka waha się nieustannie na dwie strony:—*Tak*, *nie*—*Tak*, *nie*, to jest *wierzy*, *nie wierzy*—*wierzy*, *nie wierzy!!!*—Kiedy *waga* stanie na dole, *indeks* ustawa na zawsze *penduł* staje: tylko niewiadomo wtenczas na któréj stronie był on raz ostatni: czy na *nie?* czy na *tak?*

Zadałże nam do myślenia! jakoż milczeliśmy wszyscy, a on usiadł. Lecz ks. gwardyan opamiętawszy się rzekł:

— *Hiperboła* twoja i *Komparacya* głęboka, ale się do nas nie stosuje, bo my wierzemy twardo i szczerze.

— Tak, odpowiedział rabin, wierzycie twardo i szczerze, co wasze, a nie wierzycie twardo i szczerze co nasze: ale są rzeczy ni wasze ni nasze, które pokażą się ludziom, zadziwią, przelękną niekiedy, i zginą potém na zawsze, czy na długo? jak naprzykład

i wasz *Ahasferus*... Wy to nazywacie *zabobonem;* a jednak w te zabobony wierzycie i nie wierzycie— *Tak, nie* — *Tak, nie*.....

— Jakto, rzekł żwawo gwardyan, ja mam wierzyć w zabobony!

— Nie wierzysz tu, w celi swojéj, odpowiedział Salomon, ale pójdź księże gwardyanie sam jeden o północy pod kościół, do sklepu między trumny; dla czegoż tam drżeć będziesz jak w febrze? dla czegoż serce twoje bić będzie jak młotkiem? dla czegoż ci włosy na głowie powstaną? wszakże tu w celi nie wierzysz w upiory, a czemuż ich w sklepie się lękasz?

— Téj *proby nieprobowałem*, rzekł uśmiechając się ks. gwardyan, ale cóż to należy panie Salomonie do dzisiejszego rozruchu w miasteczku?

— Jakto? czyż nie mówiłem że nie uwierzycie temu cobym powiedział o przyczynie tego rozruchu, czyż mię nie zapytałeś ks. gwardyanie, czy ja sam wierzę?

Gwardyan pomyślił nieco i rzekł:

— A! teraz rozumiem, konsekwentnie rozumiem twe paraboły i komparacye. Mów więc panie Salomonie, mów jak wierzysz, my, uwierzym.... że ty wierzysz.

— I to nie koniecznie, rzekł znowu Salomon, bo gdy *waga* życia mojego stanie u dołu, nie wiadomo na któréj stronie będzie raz ostatni *penduł:* czy na *Tak*, czy na *Nie?*

Ks. gwardyan podolewał szklanki, usiedliśmy wszyscy, a Rabin zaczął.

— Jest na świecie rzeka *Sambatie*.

— Nie słyszałem o takiéj rzece w żadnéj Europie, gdzież ona? i w jakiéj części świata? zapytał gwardyan.

— W téj, któréj jeszcze nie odkryto, odpowiedział rabin.

— A jakże wiesz że jest ona, kiedy jeszcze nieodkryta? rzekł znowu gwardyan uśmiechając się, i rozumiał że skonfundował żyda, ale ten zapytał go wzajemnie a poważnie:

— A czy już wszystko odkryto co Bóg stworzył?

Tém pytaniem sam skonfundowany gwardyan zamilkł.

— Otoż za tą rzeką, mówił daléj Salomon, jest kraj żydowski, w którym od śmierci Mojżesza żyje starozakonne plemie, nie należące do żadnego z dwónastu naszych pokoleń, bo to familia samego Mojżesza.

— Zkądże oni tam? zapytał któryś z nas.

— A jeżeli mam cały Talmud wam tłómaczyć, to i do jutra niedowiecie się kto był ten żyd wypędzony dziś z miasteczka? i za co go wypędzili?

Upewniliśmy zatém pana Salomona, że już mu przerywać nie będziemy.

— Ponieważ tedy początek téj historyi, mówił rabin, od ziemi i rzeki jeszcze nieodkrytéj nieudał się nam, to zaczniem inaczéj, od własnéj ziemi, i od własnego Wołożyna.

Może temu lat sto, a może i więcéj, wszyscy żydkowie Wołożyńscy zebrani byli na mogiłach i modlili się Bogu za dusze swoich ojców, gdy wszedł pośród nich młody żydek ze skórzanym workiem na plecach; a chociaż wynędzniały i obdarty, jednak wnet go wszyscy poznali i przypomnieli, a najpierwiéj jego własny ojciec, któremu on upadł do nóg. Był to bowiem *Jankiel* pierworodny syn ubogiego żydka szklarza z miasteczka, ale wnet wszyscy odskoczyli odeń ze strachem, gdy on rozwiązawszy swój worek, wyjął z niego głowę ludzką świeżą, jakby dziś odciętą, i przed rabinem położył.

Gwałt! gwałt! krzyknęła cała gromada. Ale Jankiel wyjął z zanadra jakąś karteczkę i pokazał rabinowi; rabin spójrzawszy wstrząsł się i zawołał mocno, aby się wszyscy ucieszyli i uspokoili.

Natenczas Jankiel prosił rabina, aby dał wszystkim *chejrym* na sekret, aby potém wszystkich odprawił, a został tylko sam z kilką starszemi i z ojcem jego; co gdy się stało jak on żądał, Jankiel rzekł obracając się do głowy:

— „Przysiągłem tobie że cię zaniosę na mogiłę ojca twojego, i „w niéj cię pochowam.“

Włożył sobie potém pod język ową karteczkę którą rabinowi okazał, wziął głowę i poszedł prosto, jakby od dawna wiedział, do kamienia wrosłego już w ziemię, i po dziś dzień tam leżącego, na którym wykute imię jakiegoś dawno pod nim spoczywającego Abrahama. Dziesięciu ludzi ledwoby tę plitę dźwignęło, on podjął ją jedną ręką, wygrzebał tam potém dół głęboki, dobrał się aż do kości ludzkich, zapewne tego Abrahama, i wśród nich złożywszy przyniesioną głowę, znowu zarył wszystko, i tym samym kamieniem przywalił.

Patrząc na te cuda, zdziwieni rabini i starsi, ledwo oczom swo-

im wierzyć mogli: nakoniec odeszli wszyscy do domu rabina, a tam Jankiel taką im o sobie opowiedział historyę.

— Pamiętacie zapewna, jak lat dwie temu, przyjechało do nas dwów żydów poważnych, jakoby z Jerozolimy, i mówili że ich wysłał ztamtąd, bardzo bogaty i bardzo sławny kupiec tamtejszy, aby mu przywieźli z naszego kraju, z którego jakoby i sam był rodem, zięcia do jedynéj jego córki, po któréj on dawał posagu tyle złota, ile ona sama waży; a po jego śmierci, wszystkie jego bogactwa i miliony zięciowi dostać się miały. Tylko chcieli koniecznie aby żydek ten młody, był pierworodnym synem u swych rodziców, i gdyby był już poduczonym dobrze, to jest, aby znał wszystkie punkta reguły i modlitwy naszéj religii. Ojcu dawali wiele pieniędzy, i obiecywali że syn jego co rok go złotem osypywać będzie.

Więc na mnie wypadło jechać z nimi: bo byłem u ciebie ojcze pierworodnym, bom z łaski twojéj Rabbi umiałem właśnie tak jak oni chcieli wszystkie punkta i modlitwy nasze, bo nakoniec było nas u ojca sześcioro, i żyliśmy najczęściéj z jałmużny, a z ojcowskiego szklarstwa trudno było i na chleb zarobić. Jednakowoż ojcze, nie zaprzedałeś ty syna, i nie wziąłeś od nich pieniędzy; choć byłeś i jesteś pewnie i teraz ubogim; pobłogosławiłeś tylko i oddałeś mnie jak *Izaaka* na ofiarę, ale Bóg mnie jak *Izaaka* wybawił.

Jechaliśmy długo i długo, płynęliśmy potém długo i długo, znowu jechaliśmy przez pustynie długo i długo, a wszystko na wschód słońca; aż nareście stanęliśmy nad wielką rzeką, którą przepłynąwszy przybyliśmy do wielkiego miasta. Tłum narodu nas spotkał i witał; ale nie rozumiałem ich mowy, a myśląc że jesteśmy już w Jeruzalem, zdziwiłem się że naszego hebrajskiego języka nie słyszę. Zapytałem o to moich opiekunów, ale oni nic nie mówiąc zawieźli i wpuścili mnie do szkoły bardzo wielkiéj i wspaniałéj, i w niéj mnie jednego zamknęli.

Strach mię objął, w głowie mi się pomięszało, i wpadłem w sen głęboki.

Niewiem jak długo spałem; gdym się przebudził, znalazłem przed sobą stół zastawiony różnem najlepszém jedzeniem; ale ja nicze-

go dotknąć niemogąc i rzewnie płacząc, wołać zacząłem wielkim głosem.

O ja nieszczęśliwy! O cóż się ze mną stanie?

Na te moje wykrzyknienia odpowiedział mi głos z muru. „To się z tobą stanie, co się stało i ze mną: utną twoją głowę, i postawią tu na miejscu mojéj.“

Znowu bardzo się przeląkłem, i odbiegłem od tego gadającego muru. Ale tenże sam głos mówił daléj:

— „Nie lękaj się, nie lękaj się, ale słuchaj mnie i zrób wszystko co tobie każę, a ja cię wybawię od zguby, a siebie z tego więzienia. Wiedz albowiem że ty nie jesteś w Jeruzalem, ale w mieście bez nazwiska za rzeką zaklętą *Sambatie*, za którą żadną cudza noga zajść nie może. Mieszka tu pokolenie żydowskie z familii samego Mojżesza, które przy jego śmierci odłączyło się od ludu Izraelskiego, i któremu on ten kraj konając odkazał, a mieszkać tu będzie aż do przyjścia Messyasza, który już ich ztąd wyprowadzi i z całem Izraelem połączy. Ponieważ zaś oni nie wiedzą i nie znają zakonu naszego, ani świąt, ani modlitw, ani obrządku, które potém Bóg nam podał, więc wysyłają co lat sto, kilku swoich do krajów gdzie najwięcéj żydów, szczególniéj prawowiernych jak nasi w Litwie, aby tam namówili jakimkolwiek sposobem żydka młodego i pierworodnego, a zatém wykupionego *) a poduczonego dobrze, i aby go tu przywieźli; tu zaś ucinają mu głowę, i stawią ją w téj szkole i w téj szafie, ale kładą jéj pod język słowo Mojżeszowéj kabały, to jest *słowo życia*, przez które on niegdyś wszelkie cuda czynił; przez które faronowskich czarnoksiężników zwyciężył, i wodę na pustyni ze skały wyprowadził. Głowa więc ta ożywia się natenczas, i odpowiadać musi na wszelkie ich zapytania: tak jak i ja odpowiedziałem na twoje, gdyś wykrzyknął co się z tobą stanie?“

— Oto słowo kiedy słowo! oto *verbum!* mówił śmiejąc się gwardyan, musisz je zapewne znać panie Salomonie. Zmiłuj się, zrób nam jaki maleńki cudzik.

Rabin powstał, spójrzał obrażonym wzrokiem na gwardyana, i rzekł:

— Słowo to znasz sam księże!

---

*) Za każdego pierworodnego syna żydzi płacą okup Lewitom: to jest jednemu z pokolenia Lewitów najbliżéj natenczas znajdującemu się.

— Jakto? zapytał zdziwiony gwardyan.

— Słowo to, mówił poważnie rabin, jest... *Bóg!* ale aby ono cudotworczém się stało„ potrzeba aby usta człowiecze godne były je wymawiać, i dla tego..... i dla tego księże gwardyanie.... my obadwa cudów nie zrobim. Znowu skonfundowany gwardyan zamilkł.

„Takim sposobem opowiadał dalej żydek wołożyński swemu rabinowi i starszyźnie, powtarzając im słowa uciętéj głowy; takim sposobem wiedzą *Zasabatejczycy* wszystkie punkta i reguły naszego zakonu; a dla tego co lat sto odmieniają oni głowy, że w ciągu takiego czasu może się tu między nami stać i postanowić cóś nowego o czém stara głowa niewie.

Teraz, mówił mi tenże sam głos, przystąp śmiało do téj szafki; otwórz ją, a nie trać czasu; dwa dni przespałeś, dziś trzeci kończy się; na trzecim zaś muszą oni koniecznie swoje zrobić. Zginiesz zatém jeżeli opóźniać się będziesz.

Ośmieliłem się więc i otworzyłem szafę.... Ale cóż się zemną stało, gdy tam ujrzałem tę głowę gadającą: osłupiałem i z miejsca ruszyć się nie mogłem. Znowu mnie zatém ona głowa dodając odwagi rzekła:

Jankielu synu Szlomy wołożyńskiego, widzisz że wiem kto jesteś, wiedz także żem i ja z Wołożyna, i mnie tu niegdyś tak jak ciebie przywieźli; nielękaj się więc, ale przysiąż że mnie zaniesiesz do ziemi i miasteczka gdziem się urodził, i zkąd sam jesteś, i tam mnie w mogile ojca mojego pogrzebiesz. Dajeszże mi na to *chejrym?*

— Daję, odpowiedziałem już śmiało, daję!

No, teraz zbij to szkło, wyjm z pod mojego języka karteczkę pargaminowę, na któréj napisaném jest słowo kabały, i włóż tę karteczkę sobie pod język; potém włóż mnie do worka swego skórzanego, w którym przywiozłeś tu swoje *Tfilim* *) i wychodź ztąd. Nikt cię nieobaczy ani zatrzyma: wszystkie i wszędzie drzwi i bramy tobie się otworzą, rzeki przed tobą się rozstąpią, jeść ani pić nie będziesz żądał, i sam niewiedząc jak, staniesz w Wołożynie na nasze święta *Jom-Kipur* **). Tam znajdziesz wszystkich naszych

---

*) Znaczy w ogólności rzecz świętą, a w szczególności żydzi tym wyrazem nazywają swe pasy rzemienne i małą skrzyneczkę z dziesięciorem, którą na łeb przywiązują, gdy się modlą.

**) *Jom-Kipur*—Dzień expiracyi za dusze zmarłe.

na mogiłach, słowo to nakoniec zaprowadzi cię prosto nad kamień ojca mojego i podniesie ten kamień przed tobą.“

Spełniłem to wszystko jak widzieliście, i oto jestem między swojemi, dokończył Jankiel z radością, i znowu ojcu i rabinowi nogi całował, a rabin spisał całą tę historyę według jego słów: wydrukowano potém pismo rabina, i książeczkę tę mamy tu u siebie w Wołożynie *).

— A domyślam się teraz, rzekł gwardyan, domyślam się, to pewnie dzisiejszy wygnaniec był *Sabatejczyk*, i przyszedł tu po nową głowę. Zgadłemże panie Salomonie?

— Zgadywasz ks. gwardyanie, odpowiedział rabin, tak jak i ja zgadywałem, patrząc pilnie na wszelkie tu jego kroki i obróty, a najbardziéj na jego staranie i podmawianie kilku młodych bachurów z méj szkoły, aby z nim jechali.

— A czemużeś go wypędził? rzekł znowu gwardyan; trzeba go było zatrzymać a wziąść na *antabę*, niechby nam pokazał drogę do swego zaklętego kraju.

— A to na co? odpowiedział Salomon, kwestarza byście tam swego nieposłali, a przyjdzie czas, gdy wszyscy o téj drodze dowiemy się.

— Kiedy? zapytaliśmy razem.

— Wtenczas, mówił znowu powstając i z powagą rabin, wtenczas gdy się nam wszystko co było, co jest, i co będzie odkryje!

— To jest kiedy? powtórzył pytanie gwardyan.

— Gdy umrzesz! zawołał rabin, uroczystym głosem podnosząc oczy i ręce w górę, gdy umrzesz!!!

Wszyscyśmy oniemieli na tak niespodziany argument; milczeliśmy i szklanek nawet do ust niepodnosząc, jakby nam pieprzu do kaliszanu sypnął. Salomon dopił spokojnie własnéj, powiódł po nas oczyma, ukłonił się i wyszedł.

Nazajutrz wybierałem się już w drogę, gdy mi chłopak wzięty z okolicy oznajmił, że brat Piotr od wczorajszego wieczora zniknął. Przeraziła mię ta wiadomość, bo podejrzywając go o powrót do Judaizmu, miałem jakoś na sumieniu, żem go z klasztoru wy-

*) Tytuł hebrajski téj książeczki—*Saramelach*.

wiozł; prześledziwszy więc całe miasteczko, gdym się go nigdzie niedopytał, postanowiłem pójść do rabina i ściśle jego wyekzaminować o moim zbiegu. A że wczora poznałem jaka to mądra głowa, i jak trudno mi będzie wyprowadzić go w pole, jeżeli sam dobrowolnie wyjść nie zechce, uprosiłem więc ks. gwardyana aby poszedł zemną.

Gdyśmy doń weszli spotkał nas uprzejmie i uśmiechając się zapytał: Pewnie przyszliście ichmość szukać swego Piotra.

— A tak, rzekł gwardyan, więc wiesz panie Salomonie gdzie on jest!

— Tak, nie—tak, nie—odpowiedział rabin wskazując na zegar wiszący i u niego na ścianie, tylko ręczam że go niema w Wołożynie.

— No panie Salomonie, mówił serio ks. gwardyan, proszę nieżartować i wrócić nam naszego zbiega.

— Gdybym go wam zabrał, tobym go i wrócił, chociaż prawdę mówiąc, nie jest on ani wasz, ani nasz.

— Jakto nie nasz? zawołałem, Piotr jest ochrzczonym!

— Sam przecież uznał, że nie jest ani waszym ani naszym; bo poszedł za trzecim.

— Za kim?

— Za Sabatejczykiem.

— Jakto być może? zawołaliśmy oba zdziwieni.

— A tak niezawodnie, ręczam.

— Czyś go widział panie Salomonie?

Po chwili milczenia i z niejakim przymusem rzekł rabin: widziałem.... widziałem go na rozdrożu—*tak, nie*—*tak, nie*—błąkał się... ścigał tajemnice rozumem.... naciągał nadto tę zerdzewiałą sprężynę życia ludzkiego.... więc i pękła...

— To się znaczy że zwarjował? zapytałem.

— *Tak, nie—tak, nie!*

— A czy wiesz panie Salomonie, rzekł nakoniec zniecierpliwiony gwardyan, i wiesz zapewne, bo czytasz wszelkie księgi, a nawet bodaj greckie, że była w Grecyi sekta filozofów, tak nazwanych *sceptyków*, którzy o wszystkiém wątpili. Czy mieli oni rozum?

— *Tak, nie—tak, nie!*—odpowiedział rabin jeszcze poważniéj.

— Tfu! tfu! wykrzyknął gwardyan; Salomon się rozśmiał i odeszliśmy z niczém.

Po takiéj odpowiedzi Salomona, nie było mi już po co gonić za warjatem. Ks. gwardyan Wołożyński dał mi swego klasztornego woźnicę, a przy pomocy chłopaka danego mi przez pana Zbrożka, przebyłem szczęśliwie mil kilka, pozostającéj mi drogi, i pędząc przed sobą więcéj kopy baranów, tryumfalnie zawitałem do *Bienicy.*

XIII.

Są twoje—ale to nie ty.

Nie dał mi długo wypoczywać w klasztorze nasz ówczesny ks. gwardyan: w kilka tygodni po moim powrócie rzekł on do mnie: *Gratias tibi* bracie Rafale za twą kwestę, opatrzyłeś obficie naszą dyspensę, a nawet i naszą kalitę. Ale zima się zbliża, potrzeby się powiększają; bo gdzie z półkopy ludzi nakarmić codzień, napoić i odziać przychodzi, tam zapasy nie długo trwają; jedź więc znowu bracie miły. Na południu, chociaż spotkałeś się z farmazonami, i choć farmazońskie pieniądze nie poszły nam na pożytek, jednak ci Bóg poszczęścił, jedźże teraz na północ: nie długa będzie twoja wędrówka, bo już piérwszy *ber* *) w połowie; kilka tygodni *wentylacyi* nie zaszkodzi waści a klasztorowi pomoże; wybieraj się więc bracie, i bez zwłóki ruszaj.

Nazajutrz zatém już byłem na wozie, i dyrekcyę podróży mojéj podług rady ks. gwardyana na północ obróciłem. Na południu *palisto*, na północy *lesisto*. Na południu *gliniasto*, na północy *piaszczysto*. Na południu, wieś przy wsi, dwor przy dworze; na północy mil kilka ujedziesz, i to jeszcze ciemną puszczą, nim trafisz na gniazdo ludzkie, ależ za to te gniazdo szerokie! panowie liczą tam na tysiące włok swoje obszary i lasy; a gdyby kwestarz zamiast baranów, mógł od nich brać łosiów, wilków i niedźwiedzi, toby kopami dzikiego zwierza za sobą prowadził. Oto byłaby osobliwość!

Na furmana nająłem sobie mieszczanina z naszego miasteczka; podżyły już to był człowiek i wprawdzie rozmówisty, ale gdzież

*) September i tak daléj; cztéry miesiące kończące się na *ber.*

mu do woznicy, który niegdyś brata Ławrynowicza woził; a jednakże wiedział on i opowiadał mi historyę fundacyi naszego tu kościoła i klasztoru. Wierzył on nawet w owe skarby ukryte i zaklęte w grobie fundatora, ale to mi wyszło natenczas z głowy i z pamięci; i aż oto teraz po przeczytaniu Pamiętników Kwestarza, jam sobie przypomniał to podanie, a ojcowie w klasztorze o niém się dowiedzieli. Piérwszy raz rzuciliśmy okiem na konterfekt *Kociełła*, zapylony, i w zakrystyi w kącie wiszący, a przy nim i na worki, jakby na kopije tych, których autentyki pełne złota, on sam strzeże *).

Puszczając się na południe zostawiłem *Wilię* za sobą; więc teraz jadąc na północ, miałem ją przed sobą i przebyłem brnąc dalej a dalej i doświadczając codzień hojności chrześcijańskiéj tamtejszych panów.

Wszakże nadspodziewanie króciéj trwała ta *wentylacya* moja, na którą mię ks. gwardyan wyprawił, i która nie miała mi zaszkodzić, a przecież bardzo zaszkodziła. Oho! *Homo proponit — Deus disponit!* Zachorowałem bowiem w drodze tak mocno, że ledwo żywy dowlekłszy się do klasztoru naszego w *Drui*, i zalokowawszy się tam w infirmarium, odprawiłem mojego Macieja z wozem i baranami do domu, a sam poleciwszy się miłosierdziu Matki Boskiéj, do któréj od lat dziecinnych mam szczególniejsze i doświadczone modlitewki, i opiece ojców moich i braci w Chrystusie, czekałem na łóżku co mi Bóg przeznaczył.

W téj więc nieodległéj peregrynacyi mojéj, jedno ledwo takie spotkało mię wydarzenie, które przypomnieć sobie i wpisać tu muszę; ależ bo i napadłem na gniazdo!!!

Dni jesienne coraz krótsze; starałem się więc zawsze jak najwcześniéj lokować się na noclegi, abym w tych lesistych stronach nie błądził *nocyma* po srogich puszczach i rojstach.

Jednego zatém wieczora, jeszcze nawet przed zachodem słońca, zajechałem do jakiegoś poczciwego a ciepłego chłopka w pośród pięknych borów na zaścianku żyjącego; i trafiłem doń na *łaźbiny*, to jest gdy on pszczółki swoje, to w ogródku to w borze na barciach podbierał. Nietylko on mię ochotnie przyjął, i sutą wieczerzą uraczył, ale jeszcze sporym jaszczem pięknéj patoki obdarzył; nazajutrz zaś rano wybrałem się rozpowiedzianą przezeń drogą do

*) Pamiętniki Kwestarza.

wielkiego a blizkiego jak on mówił dworu, bo u nich mil kilka to sąsiedztwo; i około południa wyjechawszy z lasów na pole, ujrzałem ten dwór, prawda wielki, murowany; więc zawróciłem się ku bramie z dobrą nadzieją, że miłościwie jak zwyczajnie u bogatych dobrodziejów przyjętym będę, i że wypocznę sobie dzień jakiś, bo już mię choroba nagabała.

Wraz za bramą na dziedzińcu droga się rozdzielała na dwoje: jedna się zawracała do pałacu przed ganek, druga szła prosto aż do drugiéj dość odległéj bramy, za którą rozlegały się obszerne ekonomiczne zabudowania. Tam moje miéjsce, pomyślałem, bo tam pewnie mieszka pan ekonom czy pan kommisarz, z któremi najczęściéj u wielkich panów kwestarskie odbywają się sprawy; jechałem więc prosto przed siebie. Dziedziniec jak suknem atłasowym zasłany, taka piękna i czysta na nim murawa, którą moje barany skubać zaczęły.

W tém posłyszałem z ganku wołanie:

— He! co to? kto tam waść? a stój mosanie! i postrzegłem biegącego ku mnie lokaja z pałacu. Wysiadłem więc co najprędzéj z wozu, i zacząłem spędzać owce moje z murawy.

— Pan prosi jegomościa do siebie; rzekł zasapany w biegu lokaj.

— Zajadę, rzekłem, do ekonomii, i ztamtąd wnet upadnę do nóżek jaśnie wielmożnego pana.

— Nie, nie, odpowiedział *servitor*, proszę jegomościa zawrócić wóz pod ganek, i samemu iść za mną, bo tak pan kazał.

— Ale bo widzisz mój bracie moja trzodka popsuje murawę.

— To nic, mój jegomość, odpowiedział on, to nic. Nasz pan lubi owce, i ma ich z tysiąc, czy bodaj więcéj; często tu na dziedzińcu kopami ich przypędzać każe, i z ganku na nich pogląda, lub z owczarzem sam je rozpatruje; murawa potém jeszcze lepiéj rośnie.

— A cóż tam mosanie za rozhowor prowadzicie? krzyknął znowu głos z ganku; kiedy ja kazałem zawrócić, to i zawracaj mosanie; więc bez dalszych wymówek zawróciłem podług rozkazu.

— Czy to wasz pan taki srogi i gniewliwy? zapytałem u idącego obok mnie lokaja.

— At sobie pan! odpowiedział on kiwając głową niedbale. Ja tu niedawno na służbę się dostałem, i niedługo pobędę, bom przywykł u prawdziwych panów służyć.... a ten bodaj także nie

dawno wlazł do pałacu, to i nie umie jeszcze w nim siedzieć. At spanoszały sobie pan! i machnął ręką.

Nie było już czasu do dalszych kwestyj bośmy się zbliżyli do ganku, na którym oczekiwał nas jaśnie wielmożny.

Była to *facies* szczególniejszego gatunku: średniéj tuszy i urody, łeb széroki i łysy, tak przynajmniéj z daleka postrzegłem; ale gdym już był przed nim, ledwom się nie przeżegnał z zadziwienia ujrzawszy czarną gęstą i wichrowatą czuprynę na jego głowie. Czy tak obrosł w mgnieniu oka? lecz że ten cud potém kilka razy przedemną się powtarzał; że on kilka razy i zdejmował i wkładał sobie na głowę tę czuprynę jak czapkę, więc teraz żadnéj gęstéj czuprynie na głowie podstarzałego ćwika nie wierzę. Oczy on także raz zakrywał pięknemi w złoto oprawnemi ze szkła zielonego okularami, to zdejmując je z nosa i z za uszu, patrzał jasno, tak: że raz bywał łysym i ślepym, a znowu kędzierzawym brunetem i ostrowidzem. W téj ostatniéj postaci, to jest gdy marszczki na łbie i pod oczami pozakrywał, młódszym był o lat dziesiątek przynajmniéj, niż gdy się stawił w naturalności; bo wtenczas miał pewnie sześć krzyżyków pełnych, lub i przepełnionych. Ubrany w aksamitną sobolem czy tam innem jakiém futerkiem obłożoną czamarkę, zastępującą widać szlafrok, siedział on na ganku w szerokiém krześle, popijając kawę ze sporego kryształowego, bogato w srebro osadzonego kubka; a paląc lulkę z długiego aż do ziemi cybucha, wielkim bursztynem rozpychał sobie usta. Pan, całą gębą pan! ale że mu z lica i z postaci nie łagodność i wspaniałość pańska, na któréj poznałem się przecież w moich włóczęgach po rozmaitych wielkich i małych dworach, ale jakaś buńczuczność i hardość wyglądała, a to przymioty zwyczajne nie samych wielkich panów, ale raczéj wielkich sług wielkich panów, to i jego pańskość podejrzaną jakoś mnie się wydała, zwłaszcza po odezwaniu się o nim sługi jego.

— He! co mosanie? wilk na nasze barany! zawołał on, złapałem cię na przesmyku! a znamy tu podobnych tobie z *Drui*, z *Bucławia*; a waść zkąd? he! co?

— Z *Bienicy* jaśnie wielmożny panie.

— Aha z *Bienicy*, wiem, to w Oszmiańskim: widzę zaś roztropny, znasz *mores* i respekt jaki się komu należy; tak, *jaśnie wielmożny*, bo byłem *vice*... ale na co mam się tłumaczyć, gdy sam to

poznałeś, więc dobrze, piękne już masz stadko owiec, he? co mosanie?

Za wozem bowiem moim, szła i moja trzodka, a na jéj przodzie wielki baran od pana *Brochockiego* mnie dany, któremu na szyi uwiązawszy dzwonek, na *prewodyra* przyuczyłem.

— Zkąd masz tego barana popku? zapytał pan: wygląda coś na merynosa he! co?

— Ze Słucczyzny panie dobrodzieju.

— Zgadłem, tam najpiękniejsze owczarnie; trzymaj go za rogi, rzekł do lokaja, czemu łatwo poddał się mój biedny *prewodyr* bo był do rąk przywykły.

W mgnieniu oka pan siedział konno na baranie; oszłapił go mocno, i rozchylał gęstą jego wełnę.

— *Infantado!* jak mi Bóg miły *Infantado!* zawołał on co chcesz popku za tego barana he! co mosanie?

— Niewiem jw. panie co to jest *Infantado?* ależ na baranach nie jadą, rzekłem, bo mi żal zrobiło się mego rogacza, który upadł pod jezdzcem i zabeczał.

— No, no popku nie lękaj się; nie zacisnę go, nie zacisnę; ale wiesz co? handel! dwie sztuki za jedną! dwa barany za jednego! he! co mosanie. A za każdém takiém *he! co?* bystro on na mnie rzucał okiem wyzywając jakoby na odpowiedź, któréj najczęściéj nie czekał, i sypał jak z rękawa własne zalety i pochwały.

— Nie mogę odpowiedziałem dogodzić żądaniu jw. pana, bo bez *prewodyra*, któż mi trzodę za wozem poprowadzi?

— No pomyślim i pomiarkujem się, rzekł on zsiadłszy z barana, i dopijając swą kawę: jedź tam na ekonomię, mówił potém, wskazując ręką memu furmanowi drogę, a waść popku, ponieważ podobasz mi się, zostań tu. Zjesz przecie obiad z nami, o jakim w klasztorze ani ci się przyśni, i za klasztorem nie często. Tu szepnął cóś na ucho małemu kozaczkowi, który się podwinął na ganku, a ten pobiegł na folwark.

— Oj, hardopyszek to jakiś, pomyślałem; poczekaj, przytnę ja tobie. Weneruję stopy jw. pana rzekłem, i dziękuję za ten honor, któryby mnie spotkał za stołem pańskim! ale wysokie progi na moje nogi; sam jw. pan przekonałeś się że znam *mores* i respekt, ale znam i od siebie, i dla siebie; popek niech zasiada z panem; ale prosty brat kwestarz bernardyński, podług swéj ubo-

giéj kondycyi, znajdzie i u dyspozytora pańskiego dostateczny posiłek... więc i ja ruszam za moim wozem.

— He! co mosanie, przerwał mi skonfundowany trochę pan, he! co? aha! stój! tak, nie popek, nie; ale brat kwestarz, cha, cha, cha, a kaci was wiedzą kto z was starszy. Ale mniejsza o to, zostań tu kwestarzu, i koniec rzeczy; a ponieważ jest to godzina w której obchodzę i lustruję całą moją administracyę, więc chodź za mną: obaczysz i przed ludźmi powiesz co ja mam, i kto jestem.

Nie należało mi go daléj obrażać, dość że sam od pospozycyi się obroniłem; więc owszem ciekawie poszedłem za nim na tę lustracyę.

Rzeczka oddzielała dziedziniec pałacowy od ekonomicznego; na niéj most murowany, który przeszedłszy pan, stanął w pozyturze, i obracając się ku mnie z miną ukontentowaną: he! co mosanie? zawołał: miasteczko pop... nie, nie, kwestarzu, miasteczko! nie prawdaż? mury! mury! A gdybyś tu był przed kilkunastu laty gdy dobra te należały do wielkiego wprawdzie, ale po dawnemu niedołężnego pana, tobyś widział same ruiny; ale jak się te ruiny dostały w moje ręce, oho! wnet ruch! z panem rachunki, a z majątkiem moderunki; aż nakoniec panam mosanie wykwitował, a majątek wymurował... ale dla siebie, he! co?

— A cóż? rzekłem, kiedy Pan Bóg po sprawiedliwości błogosławił, to i dobrze, ale... i zamilkłem.

— No cóż ale? zapytał on ciekawie.

Ja milczałem uśmiechając się tylko.

— He! co? zgadywam myśl twoją, ale kiedy djabeł pomagał, chciałeś powiedzieć.

Kiwnąłem głową.

— Ha, jeżeli i pomagał, mówił on daléj śmiejąc się także, to nie proszony ani dziękowany.

— At tak, jaśnie wielmożny panie, dodałem, z łaski swojéj, i po przyjacielsku.

Rozśmieliśmy się oba.

— Nazywają mię dorobkowiczem, parweniuszem, ale ja drwię z tego; zazdrość mosanie, zazdrość ludzka.

Tak dyszkurując zbliżyliśmy się do budowli wielkiéj, z któréj szerokiego komina, gęsty dym walił kłębami; gdyśmy drzwi otwo-

rzyli i weszli, nie mogłem ani kroku postąpić, ani rozpoznać się gdzie jestem; tylko co wspominając przeklętego nieprzyjaciela dusz naszych, rozumiałem żem wpadł właśnie do jego państwa. Para jakaś gęsta i ciężki duch zajęły mi i zamgliły oczy: huk, puk, szum, świst odurzył mię zupełnie; widziałem tylko przed sobą jakieś wielkie ognisko, a nad nim i w około, i na dole i na górze i po całéj téj zamroczonéj otchłani, jakieś przewijające i smolnemi płomieniami błyskające straszydła.

— Ach! Jezus, Marya, Józef! krzyknąłem; gdzie ja jestem?

— He! co? czego wrzeszczysz? jesteś w browarze parowym; odezwał się głos pana, ale utopiony gdzieś tam daleko odemnie w tém piekle, chodź tu!

— Z miejsca ruszyć się nie mogę, krzyczałem znowu, ratuj mię pan na miłość Boga, i każ ztąd wyprowadzić na świat Boży.

— He! co? kto tam jest? a prowadźcie tu kwestarza.

Na ten rozkaz zjawiło się przedemną dwóch żydów; jeden świecił pękiem rozpalonego łuczywa, a drugi mnie prowadził, to po wschodkach w górę, to po wschodkach na dół, aż nakoniec wszedłem do izby, gdziem na nowo ujrzał światło dzienne.

— A chwałaż Bogu! zawołałem oddychając wolniéj i przecierając oczy; a chwałaż Bogu, żem się między ludzi. dostał. Po co mię tu pan wprowadziłeś?

On mi śmiechem najprzód odpowiedział, a potém rzekł: Wprowadziłem cię tu na bernardyńskie śniadanie; ot patrz jak wódeczka potokiem z za ściany do beczki płynie; ręczę ci że wyśmienita; łyknij! podajcie kieliszek kwestarzowi.

Żydów około nas było pełno, i jeden z nich, podstawił czarkę pod rurę, z któréj wódka płynęła, i podawał mi pełną.

— Najprzód ja wódki niepiję, rzekłem, a gdybym i pił, to bym przyjął z rąk pańskich, ale nie z pogańskich.

— Oho mosanie, masz swoje *ale*, rzekł pan.

Żyd tymczasem przykrył czarną dłonią, skłócił mocno i szumnie pieniącą się gorzałkę i podnosząc na oko panu, mówił z chlubą: Perły jasny panie! perły!

— Hę! co? piérwszy raz jesteś w browarze parowym? zapytał on mnie.

— Daj Boże i ostatni jw. panie.

— A to czemu? to grunt i dowód gospodarki wielkiéj i zamo-

żnéj; u małéj szlachty tego nie obaczysz: *) patrzaj co tu kuf, a wszystkie pełne takich pereł z jakimi się ten barabasz chwali.

— Dozwól mi jw. panie wyjść ztąd, rzekłem, tylko proszę przewodnika, bo sam nie trafię.

— No, no, pójdziemy razem, odpowiedział pan, i otworzył drzwi osobne, których niewidziałem; *insperate* zatém ujrzeliśmy się na dziedzińcu, nie przechodząc przez te przeklęte labirynty. Więc na dalszą puściliśmy się lustracyę.

W stajniach pyszne konie, cugi i zaprzęgi. W wozowniach wspaniałe karety, i rozmaitego blajeru kolaski, bryki i wozy. W oborze krówek najpiękniejszych aż miło spójrzeć; a w owczarni gwałt! tuzin klasztorów bernardyńskich cały rok wykarmiłbyś baraniną.

Spichrze, które odmykać kazał, bodaj umyślnie dla okazania mi dostatku swojego, zasypane ziarnem od dołu do góry, słowem wszędzie gdzie mnie poprowadził, obfitość i ład. Ale też i rygor! czuj duch! panowie oficyanci bez czapek szli za nami, pokornie; a jak się pan odezwał, *he! co?* to wszyscy *szarf*! jak gimejni przed generałem. Jednakże te *he!* co! uprzykrzyło się mnie; bo za każdém pochwaleniem się, a chwalił się co krok swoim bogactwem, pytał mię zawsze, i pobudzając do podziwiania wszystkiego, patrzał w oczy i powtarzał swoje: he! co? mosanie?

Nieodpowiadałem za każdym razem i milczałem, bo już namyśliłem dlań generalną odpowiedź, to jest dawny wierszyk, którego razem z kilką innemi, i razem, z ową odą, uzdrawiającą zwichnięte młode głowy, niegdyś nauczyłem się; a którego, choć mi niewróżył szczęśliwéj kwesty, ale zamilczećbym go nie mógł: konceptu gdy raz wejdzie na język, gładko nazad nie połkniesz.

Gdyśmy już wracali do pałacu, zaszedł nam drogę tenże sam lokaj i podając panu list! z poczty? rzekł.

— A! to od mojego Michasia, odezwał się on, łamiąc pieczęć.

— Mam kwestarzu, syna jedynaka.

— Niech Bóg hoduje na pociechę pańską, rzekłem, uchylając głowę.

---

*) Potém gorzelnie parowe rozpowszechniły się; ale natenczas rzeczéwiście tylko po wielkich majątkach je urządzano, a niedokładność początkującéj maszyneryi, wnętrze ich podobném czyniło do tego obrazu. *(P. W.)*

— Już wyhodowany mosanie, mówił on daléj, a szprytna sztuczka! Jak tylko przeszedł szkoły, że tam gwiazd nie liczył, i tylko liznął wszystkiego po trochu, więc nie sposobiąc go daléj na wielkiego filozofa wnet pchnąłem w świat, do kancellaryi w gubernii; pensyjka wprawdzie nie wielka, no ale . . . ale . . . są z boku, niewinne akcydensiki.... Grosza mu nie daję, niech panicz sam pracuje i uczy dorabiać się chleba, tak jak i ja się dorobiłem, i ja grosza niemiałem w jego wieku.

— Ale on mosanie oho! jak poczuł pot, jak zaczął to pisać, to skrobać, to i wyskrobał się na człowieka! rozum nad lata. Dwudziesty drugi rok mu ledwo, a głowa mosanie, niech go licho! jak zacznie prawić i prawić, to aż moja pęka. Otumanił okolicznie wszystkich moich sąsiadów, i teraz on plenipotent w gubernii prawie wszystkiéj tutéjszéj szlachty; osobliwie do wywodów *gracz!* i wszystkich ma w kieszeni....

— Czy nie on sam w kieszeni u wszystkich? przerwałem niby żartem.

— Na jedno to wychodzi, mówił uszczęśliwiony tatulek ze swego synka, na jedno wychodzi; on im służy, a oni mu się przysługują, ręka rękę myje. Kiedy zaś do nas zawita czasami, to matka aż skacze około niego z radości; bo to mosanie elegant bryżysty! batystowy! *) Zegarki, piérścionki, bursztyny na cybukach! a wszystko to ztąd, mówił stukając w łeb palcem ztąd!

Ot i teraz błazen jak się wykierował? donosi mi że odkomenderowany na sekretarza do kommissyi rekrutskiéj.... to od razu kapitalik mosanie, he? co?

A co najlepsza, że dla siebie nie żałuje, nie skąpy, nie, ale na bok w cudzą rękę grosza nie puści! nie żal takiemu i fortunę zostawić.

„Jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn“ pomyślałem: tymczasem zbliżyliśmy się do pałacu.

— Proszę za mną mosanie, rzekł on, i weszliśmy do pokojów.

Pańskie, prawdziwie pańskie komnaty; napatrzyłem się ja wprawdzie takich w Nowogrodzkiém i w Słuckiém; ale tutéjsze bodaj czy nie przewyższyły tamte. W piérwszéj zaraz ujrzałem z pię-

*) Natenczas były w modzie, bryże batystowe karbowane na piersiach u mężczyzn elegantów.

ciu kwestarzy w wielkich lustrach wiszących po ścianach; obrazów w złotych ramach jak do ołtarza, tylko że świeckich a nie świętych, mnóstwo: i czegoż tam jeszcze niebyło? Boże zmiłuj się!

Postrzegając moją admiracyę, — he! co mosanie! zawołał pan; to nie w waszych celkach... No widziałeś kwestarzu jak ja gospodaruję, teraz rozpatrz się jak ja mieszkam. Pójdę tymczasem przebrać się na obiad, bo widzisz mosanie, wynidzie na pokoje i moja żona z córkami.

— A wszakże jw. pan mówiłeś, że masz syna jedynaka.

— Naturalnie, syn gdy niema brata liczy się jedynakiem — i wyszedł.

Nieulegając temu zaproszeniu rozpatrywania jego pańskich apartamentów, siadłem sobie spokojnie blizko drzwi, i czekałem obiadu, który stawał się mi coraz pożądańszym, zwłaszcza po tak długiéj przechadzce. Siedziałem tak z godzinę, aż się znowu pokazał znajomy mi lokaj, ale przebrany także na przepych, i błyszczący od galonów jak obrazek.

— Proszę na obiad, rzekł lokaj.

— Ach mój bracie, odpowiedziałem, jakże ja tu pójdę, po tych slizgawicach i kobiercach?

— At, nieuważaj jegomość, mówił on, idź śmiało, jegomość po kościele chodzisz pokornie, to co innego, a tu . . . znowu machnął ręką; a ja znowu żałowałem, żem z nim więcéj pogadać niemógł.

W sali długiéj i szerokiéj, przynajmniéj jak nasz refektarz, znalazłem już siedzących około okrągłego stołu: pana, panię, i panięta; dla mnie nakryto na osóbnym stoliku przy kredensowéj szafie. Nigdzie mię jeszcze niespotkała taka konfuzya i szlachecki ambit odezwał się we mnie. Poczułem że mi policzki gorzały! po myśli przemknął mi pochop—*odejdę*, ale chwała Bogu habit odpowiedział zostań—a pokora zakonna? Wnet więc pokonana pycha jako grzech śmiertelny, i ja ukłoniwszy się pokornie okrągłemu stołowi, i odmówiwszy zwykłe *benedicite* usiadłem za moim. Wtenczas spójrzano na mnie, spójrzałem i ja na wszystkich. Jegomość przestroił się zupełnie, czuprynę nawet czy inną włożył, czy też samę uczesał i ufryzował na nowo, słowem wyglądał i bogato i czupurno, i brzyżysto i buchasto!

Imość i córeczki w bławatach, obok jeszcze kilka kobiet, niewiem już z jakiéj nacyi, bo gadały cudzemi językami jak nawie-

dzone, a wszystkie ciekawie na mnie poglądały: imość sama przymrużając oczy, córeczki nie śmiało i z ukosa, a te inne kreatury *generis feminini* wytrzeszczonemi oczami, jakby mnie urzec chciały. A może i urzekły, bo przecież od tego obiadu gorzéj mi się na zdrowiu stało. Obiad był wyśmienitym, i byłby jeszcze smakowitszym, gdyby go swemi pochwałami sam gospodarz nie psuł; do każdéj bowiem potrawy wbijał on jak dwie koście ostre, swoje he! co? i jeszcze kwasił dodatkami, których już i niepamiętam.

— He? co mosanie? na waszych przystawkach w klasztorze takiéj sztuki mięsa nie obaczysz; jedz mosanie popku, chcę mówić kwestarzu, jedz! bernardyni wiadomo pasi-brzuchy, a ty jak uważam delikatnie tylko kosztujesz. Gabryelu, dołoż kwestarzowi jeszcze jednego zraza, i nalej mu szklankę madery, téj którą ja sam piję.

— A gdym się bronił od tak wielkich porcyi.

— Pij! mówił on, pij! wino wyborne; a z całym swoim konwentem mojéj piwnicy nie wypilibyście; pij mosanie, nie żałuj!

— Ej, myśliłem ja, słuchając razem i téj uprzejmości, i tego chłubstwa, i téj rubasznéj poniewierki; ej nabiegasz ty na moje wierszyki, jak zając na cel strzelca.

Dla tego choć się obiad skończył, i kompania okrągłego stołu, niby to żegnając się, muchy około nosa opędziła, ja chociaż podziękowawszy, mógłbym ich razem i pożegnać; że przecież rachunek nasz z panem niebył jeszcze skończony, a sam on nieprzestawał zemną konwersować, owszem jakby umyślnie rozmowę przedłużał, więc i ja niekwapiłem się za drzwi.

— He! co mosanie? rzekł on uśmiechając się; przepraszam za obiadek: możeś głodny kwestarzu.

— Syt jestem aż nadto jw. panie, odpowiedziałem kłaniając się uniżenie.

— Bo to mosanie jeździsz po rozmaitych dworach i panach, co w jednym obaczysz opowiadasz zapewne w drugim.

— Tak jw. panie, przerwałem, jeżeli cokolwiek postrzegę ku zbudowaniu ludzkiemu, to dobry przykład roznoszę po świecie; ale jeżeli przeciwnie, to plotkarzem nie jestem.

— Otoż to mosanie, otoż to, i dla tego właśnie oprowadzałem cię wszędzie, abyś ludziom opowiadał, co to jest ład i gospodarność, nawet u wielkich panów; a zatém jak ubogi szlachetka nasz skromnie trzymać się powinien.... więc będziesz miał kwestarzu

co opowiadać, i co tu pochwalić, nieprawdaż mosanie, he? co! mówił z uśmiechem, i klapiąc mię łaskawie po ramieniu.

— A tuś mi! pomyślałem ukontentowany.

— Tak, rzekłem, tak jw. panie; ale w téj okoliczności, przyszedł mi na pamięć dawny wierszyk; staroświecka to wprawdzie poezya, ale tu gdy idzie o pochwały domu pańskiego, zdaje mi się że przypada raźnie.

— Dobrze, dobrze, oto mi prawdziwy kwestarz, z konceptami a nawet z wierszykami; zarobisz barana, zarobisz, mówił on nie zgadując treści mojéj perory, i rozumiejąc zapewne, że to będzie dlań penegiryk. Żono, dzieci, zawołał, a chodźcie tu, posłuchajcie poezyi bernardyńskiéj.

Poezy! poezy! odezwały się one z zadziwieniem i podeszły ku nam z drugiego końca sali.

Więc mówiłem:

„Chcesz bym cię chwalił mospanie,
Ale czy pochwał nam stanie?
Bo tu trzeba chwalić ciebie;
Nie zaś co masz ku potrzebie,
　　Piękne twe cugi, karety
　　Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Przepyszne też twoje szaty,
Owe sajety bławaty!
Drogą igłą haftowane,
Za najprzedniéjsze są miane.
　　Z ślicznych korunek mankiety
　　Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Kuchmistrz twój jest wyśmienity,
Z każdéj potrawy człek syty:
Pod twém srebrem stoły mdleją,
Wina strumieniem się leją;
　　Przepyszne wety, pasztety
　　Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Codzień z wielkich dóbr przychody,
Płyną jak ze zródła wody:
Wszyscy przed tobą czapkują,
Bo w szkatule złoto czują.
　　Pełne worki i kalety
　　Są twoje — *ale to nie ty!*"

„Pokaż żeś jest sprawiedliwy,
Żeś na cudze nie jest chciwy:
Prawowierny, bogobojny,
Ku nędznym że jesteś hojny;
Jak ujrzę te twoje cnoty,
Wraz rzeknę — *O co to, to ty!*“

Gdym skończył jegomość przez czas niejaki patrzał na mnie bystro: potém zdjął czuprynę z głowy i położył na stole... ja odstąpiłem dwa kroki w tył on potarł czoło, i stanąwszy figurnie rzekł rękę ku mnie podnosząc:

„Baran dobry na kotlety:
Ale ja go zjem — *nie ty!*“

He! co mosanie? krótko, węzłowato i *ex promptu!* a tymczasem *popku fora ze dwora*, wskazał mi drzwi i odszedł, a za nim imość i cała czereda.

Po takiém pożegnaniu, niebyło po co dłużéj tu popasać; pośpieszyłem więc na ekonomię! gdyby nie moja poezya, miałbym tam zapewne wygodny nocleg. Zdziwił się mój Maciéj gdym mu kazał zaprzęgać, a oba zdziwiliśmy się jeszcze bardziéj, gdyśmy postrzegli że nasz *prewodyr* ostrzyżony.

Co to jest Macieju? — zapytałem, jak i kiedy to się stało? czyś sam dozwolił zdjąć przed zimą kożuch z naszego poczciwego *Rogacza?*

— A w Imię Ojca i Syna! odpowiedział Maciéj; jakto ja miałem dozwolić? toż rabunek dobrodzieju! domyślam się: mnie na obiad zawołali, a tymczasem zawinęli się tu z nożycami, około naszego barana... ale ja im tego nie daruję; to moja szkoda, ja niedopilnowałem, to ja i dójdę tego interessu, idę do samego pana.

— Daj pokój Macieju, rzekłem, daj pokój; widziałeś że na rogaczu naszym, pan siedział i wełnę jego rozpatrywał, więc postrzyżyny te bez jego rozkazu stać się niemogły, a ja przypominam że gdyś ty odjeżdżał od ganku, on cóś szepnął kozaczkowi swemu, i ten poleciał za tobą na folwark, on to musiał nieść dekret na naszego *prewodyra*. A więc bez dalszych kweresów, wyjeżdżajmy ztąd co najrychléj, aby nam na rozdrożu noc gdziekolwiek nie zabiegła, wszak to już zmierzcha. Nim mrozy nadejdą, Pan Bóg nowy kożuch *rogaczowi* sprawi.

— Jak wola jegomościa dobrodzieja, odpowiedział Maciéj, wyjeżdżajmy, ale ja radzę wrócić po wiadoméj drodze do zaścianka gdzieśmy taki wyśmienity nocleg mieli; poczciwy chłopek przyjmie nas znowu najżyczliwiéj i najlepiéj, ręczę jegomościa; świetlica czysta i ciepła, wypoczniem wygodnie, a jutro mając dzień Boży przed sobą, rozpytamy się drogi na *Druję* *) gdzie dobrodziéj odpocząć chcesz, i do któréj jak mi tu powiedziano, jest mil pięć czy sześć,

Zgodziłem się na ten projekt Macieja; dowlekliśmy się do zaścianku; jak on przepowiedział, tak się i stało, chłopek przyjął mię jak ojca, a Macieja jak brata. Przenocowaliśmy wprawdzie bardzo dobrze, ale nazajutrz gorączka już mię objęła, i nawpół żywy, jak to wyżéj opisałem, dostałem się do *Drui*.

Colloquium trzecie u ks. Kustosza.

XIV.

Spotykając się ze mną na kurytarzu, znowu zapytywał mię prawie codzień ks. kustosz:

— A jakże tam idzie bracie Rafale twoja skryptura? coś waszeć próżnujesz? [pośpieszaj powoli, *festina lente*, jak tam powiedział stary *Horacyusz*,] bo my czekamy; a uprzedź mię wcześnie kiedy mam zebrać *Auditorium?* to jest zaprosić znowu pana prezydenta i naszego ks. kaznodzieję, który wymawiał mi onegdaj, żem go na piérwsze posiedzenie nie wezwał.

Tak kurstany bez ustanku, przysiedziałem fałdów i w jedną sobotę oznajmiłem ks. kustoszowi, żem na jutro gotów. A więc nazajutrz w niedzielę ks. kustosz zaprosił pana prezydenta z nabożeństwa na obiad do swojéj celi; pod wieczór zaś i mnie zawołano; zatém z raptularzem moim w ręku, przyszedłem.

Pan prezydent powitał mię jako i piérwiéj uprzejmie, i z uśmiechem podając mi rękę.

— *Salve!* — rzekł — *Salve doctissime auctor!* *)

— Oho! już i *doctissime*, odezwał się ks. kaznodzieja, czy nie za wysoko mości prezydencie dla kwestarza.

---

*) *Druja* — Miasteczko w Lepelskim powiecie Obywatela *Miłosza*.

**) Witaj, uczony autorze.

Oh bo to *rigorosus pater!* ten nasz kaznodzieja, słowa niedaruje gdy nie według jego myśli.

— Dowiodę ci ojcze kaznodziejo, odpowiedział prezydent, żem w powitaniu brata Rafała, nie przesadził, i że niezapomniałem jeszcze mojéj łaciny. Do ciebie rzekłbym — *Sapientissime pater* — *Doktryna* bowiem i *Sapientia* (nauka i mądrość) nie są to synonimy blizkiego znaczenia: wprawdzie piérwsza jest matką drugiéj, ale też bywa ona niekiedy i bezdzietną; dla tego wiele mamy uczonych, a nie mądrych przeto. Nadto, mój mości dobrodzieju, nauka nie z jednych tylko książek drukowanych się czerpie; świat jest wielką księgą, któréj praktyczne rozdziały przebiegał brat Rafał, więc jest on w nich *doctus*, i nam właśnie takie rozdziały z téj księgi czytał i ma czytać.

Ks. kaznodzieja, czy to przez konsyderacyę dostojnéj persony pana prezydenta, czy to używając *pro hac sola vice* *) jezuickiego argumentu, *per silentium*, **) który, jak dowodzi ks. Jubilat, wielce niekiedy w dysputach pożytecznym bywa, dość że nie prowadząc dalszych kontrowersyj zamilkł. A tymczasem ks. kustosz uporządkował nas wszystkich po dawnemu przy stole, porozstawiał przed każdym szlanki z herbatą, i sam usiadłszy obok prezydenta:

— Czytaj, rzekł do mnie, słuchamy.

Więc i zacząłem, a gdym po rozdziale *Zdzieciniałego*, potrzebował nieco odetchnienia, i położywszy sekstern na stole, herbatę moję ostygłą popijać zacząłem, ks kustosz przerywając milczenie słuchaczów:

— Cóż na to, panie prezydencie? zapytał.

— A cóż? a cóż *reverendissime*, mówił namyślając się prezydent, znowu kwestarz podług słów twoich ks. kustoszu, trącił się o kwestye żywotne naszego towarzystwa: jedne mu się odzywają jak echa z głębi przeszłości, drugie jak fałszywe tony ówczesnego czasu, przedłużające się aż do dzisiaj, inne nakoniec, które materyalnie czy duchownie, żyją w sercach i umysłach naszych, a zatém wpływają na codzienne nasze kroki.

I tak naprzykład, jeden ten wyraz *Kochajmy się!* który tak głęboko wpojonym był w treść życia naszego, że nawet w głowie

*) Na ten raz jeden.

**) Dowód przez milczenie.

starej i zdziecinniałej, w której już wszelkie wyobrażenia zatarły się, czerstwo się jeszcze odezwał, jakże wielkiego jest znaczenia w dziejach, obyczajach, a nawet w naturze naszej!!! Żaden naród takiem się niepószczyci; bo żaden niemiał go swém godłem, żaden go tak niepojął i nieprzyswoił jak my, a nawet my sami dziś się ledwo na niém poznajemy i odkrywamy wartość jego, jak dzieci znajdujący w puściźnie po śmierci matki drogi klejnot, drogi talizman ich dobra, na który za życia jéj nie zwracali uwagi i oszacować nie umieli, chociaż w czasie dni godowych, i uczt rodzinnych, błyszczał on na jéj czole. W świeckim znaczeniu, słowo to, następowaćby powinno wraz po pieśni *Bogarodzicy;* tak jak miłość wzajemna ludzi między sobą, następuje i rodzi się z miłości Boga, i jak obie panując w sercach naddziadów naszych, stawały się pobudką tak codziennych domowych, jako i publicznych ich czynów. Były waśnie i kłótnie między nami, były — to prawda; bo kiedyż i gdzie między ludźmi być może wieczna jedność i zgoda? ale wśród największych zawziętości, nigdy głos kapłana wzbudzający w sercach w imię Boga miłość i pokój, napróżno i bez skutku nieodzywał się. Słowa święte wysokich pasterzy kościoła biskupów, koiły ogniste gniewy rwących się częstokroć na bratobójcze walki możnowładzców, a spory i kłótnie braci szlachty, poczciwy pleban zwykle pogodził, przywiódł zwaśnionych do konfessyonału, i potém razem z niemi spełnił kielich miłości i pojednania: *Kochajmy się!*

— *Eloquentissime!* panie prezydencie dobrodzieju, *Eloquentissime!* zawołał ks. Jubilat zażywając tabakę i pokręcając głową.

— Mniejsza czy *eloquentissime*, ale *verrissime*, wierzcie mi; a jeżeli ze wzruszeniem to opowiadam, to dla tego że pamiętam dobrze, gdy ten kielich braterskiéj miłości, bywał jeszcze i w mojém ręku....

Onegdaj powiedziałeś ks. kustoszu i sprawiedliwie, że porzucając obce naśladownictwo, znaleźliśmy chwała Bogu obfity skarb cnót rodzinnych, które mogą wznieść duszę naszą ku wszelkiemu dobru i wszelkiéj doskonałości, byle je z miłością i pracą uprawiać i rozszczepiać. Prawda, znaleźliśmy ten skarb w przeszłości naszéj, w dziejach naszych, gdy się on nam był zatracił, i dostawszy go, jak się dziś nań zapatrujemy, i jak go używamy? treśćby ta była do ważnego dla nas zastanowienia; bo naprzykład dajmy to, że w składach dawnych, zarzuconych znaleźliśmy starą pradziadowską karmazynową ferezyę. Wyborna sajeta! doskonały gatunek, nie zbutwiała bynajmniéj, i bardzo użyteczną nam być może, owszém

trwalszą jeszcze da odzież od dzisiejszych półsukienek, ale kolor i krój odmienić potrzeba: piérwszy jest nadto jaskrawym, drugi do dzisiejszego obyczaju nieprzypada. Otóż o dobroci i doskonałości odszukanego materyału, niema dziś sporu, lubo spor taki, młode wnuki poczciwych naddziadów z ujmą i oczernieniem ich pamięci niedawno jeszcze wiodły, lecz dziś głosy i pióra prawie jednozgodne przyznają mu zalety; idzie tylko o przefarbowanie go i przykrojenie stosowne do dzisiejszych czasów; zdania i rady w tym względzie są nader rozmaite.... *postęp*...

Gwałt panie prezydencie! przerwał porywczo ks. kaznodzieja, jakby ukąszony od żmii, gwałt! jeżeli nowy *postęp* będzie farbować i kroić naszą poczciwą staroświecką ferezyę, to będziemy z niéj mieć na końcu poblakłe rękawice, ale z nich już karmazynowéj ferezyj nie zrobim. Przyznam się panu, że pracuję teraz nad długiém kazaniem potępiającém ten wyraz i szkodliwy wpływ jaki na otumanione głowy w naszym wieku wywiera.

Uśmiechnął się prezydènt i rzekł:

— Rozmyśl się ks. kaznodziejo, nim ze swém kazaniem wstąpisz na ambonę, rozmyśl się dobrze, bo potępisz wyraz dziś święty, a przynajmniéj poświęcony, a potępisz niesprawiedliwie. [Wskazuj drogę po któréj *postęp* iść ma, ale nie stawaj mu na drodze, bo go niewstrzymasz. Obali cię nieprzepartą swą siłą i zdepcze; sile téj niéma dziś *nec plus ultra.*]

[Każdy wiek ma swój *postęp* bo instynkt szukania dobra i szczęścia, instynkt odgadywania tajemnic stworzenia, doskonalenia się własnego, jest wlanym od Boga w naturę ludzką, i jest najszlachetniejszą władzą jego duszy; nieustanne więc rozwijanie się téj władzy, jéj usiłowania dościgania coraz nowych prawd i idei, nazwano *postępem* ludzkości,] i wyraz ten, daruj ks. kaznodziejo, ja właściwym i nieuległym potępieniu znajduję.

— A tak *postęp* podług pana, rzekł kaznodzieja, jest zawsze dobrém dla ludzi.

— Bywa i złém, odpowiedział prezydent spokojnie popijając swą szklankę, to jest, bywa on na złéj drodze; ale że *zło* nie ma zasady w prawach boskich, razem z ludzkością stworzonych, a zatém chwała Bogu skutki i czyny *zła* nie są ni wieczne ni długie. Ludzie w perjodzie jego panowania przechodząc przez cierpienia i

nieszczęścia, gdy zeń wybrną, tém jaśniéj pojmują prawdę, tém ją troskliwiéj wcielają w swe prawa i czyny, że tuż za sobą mają do porównania chmurę czarną którą przebyli, a którą promień nowego słońca przed ich retrospektywnym wzrokiem rozbija, rozkłada, i szkaradne jéj wnętrze rozświeca.

Półdziewiętnasta wieków mija, gdy Bóg postanowiwszy w przedwiecznych wyrokach swoich dźwignąć ludzkość z odmętu niepewności i błędu w którym tonęła, pociągnął ją z bałwochwalstwa na drogę objawionéj przez siebie wiary, i w prawach téj wiary dał pewne, stałe i nieomylne środki doskonalenia się w dobrém, tak jednemu człowiekowi, jako i całéj rodzinie ludzkiéj: to jest drogi prawdziwego *postępu*. Czyż i takiemu postępowi zaprzeczać i złorzeczyć będziesz ks. kaznodziejo?

— No, panie prezydencie, ozwał się ks. kaznodzieja, to zupełnie co innego, to zupełnie co innego.

— Jak to co innego?—mówił znowu prezydent, to najpiérwsza kolebka prawdziwego *postępu*, to dana skala z niebios, na którą mierzyć go potrzeba, to niewątpliwa proba jego doskonałości lub błędu; a ztąd znowu niewątpliwa wróżba gdzie on trafi i dokąd ludzkość zawiedzie. Krwawe prześladowanie chrześcijaństwa naówczas, było tylko protestacyą bałwochwalstwa przeciw *postępowi* ludzkości!..

Tu ks. kustosz powstał, wziął ze stolika swego arkusz papieru, ołówek, i przed sobą położył.

— A to na co? — zapytał prezydent.

— Wspomogliśmy łaskawy nasz panie prezydencie dobrodzieju, pamięć i dzieło naszego brata Rafała, spisując dlań onegdajsze nasze rozprawy; dzisiejsze jak uważam, poważniejszy jeszcze przybierają obrót, a więc redakcya ich będzie trudniejsza bez notat na gorąco, że tak powiem z ust przyjętych; dozwól mi zatém prezydencie być stenografem twoich sentencyj, powiedział z uśmiechem ks. kustosz.

— A więc postanowiłeś koniecznie ks. kustoszu, rzekł z równymże uśmiechem prezydent, abyśmy mieli udział w sławie autorskiéj naszego brata kwestarza.

— Sam, prezydencie dobrodzieju, onegdaj to zaproponowałeś.

— Prawda, i teraz się nie odrzekam, w sumiennem przekonaniu, że rozbiór nasz kwestyj codziennych, podręcznych, że tak się wyrażę, powszedniego życia naszego, jakkolwiek pobieżny i krót-

ki, bo innym w potocznéj rozmowie naszéj być nie może, rzuci jednak tam i ówdzie promień choćby mdłego światełka na drogę tego życia i ciemniejsze na niéj zakręty, i głębsze wądoły rozważnym podróżującym odkryje.

Zdaje mi się prezydencie, rzekł znowu kustosz, że zbiegacie się z ks. kaznodzieją na jednostajne myśli, tylko że on swoich nie miał jeszcze czasu nam objawić: szkoda że nam swego nie przyniosł kazania, pewny jestem że nieznaleźlibyśmy tam bezwarunkowego potępienia *postępu*.

— Potępiam *postęp*, ozwał się żywo ksiądz kaznodzieja, potępiam *postęp* zuchwały, bezwzględny, zarozumiały, dumny swą wiedzą jak szatan, i wierzący w siebie jak szatan; poniewierający wszelką by najcnotliwszą przeszłością, którą spotwarza, czerni i depce: rozumujący z religią, i na przeciw religii, a w rzeczy nie mający żadnéj... O! poznasz łatwo w towarzystwie człowieka zarażonego takim *postępem*! poznasz go po upakarzającém spójrzeniu jakie rzuca do koła, poznasz pos łowach pysznych, szumnych, a ciemnych, przez połowę jakby z przymusu wymówionych, a przez połowę połkniętych i zamilczanych, dla domysłów o głębokiéj nauce, i niedoścignionéj przez gmin mądrości jego; a gdy nakoniec zmusisz go wyjść z tych zasadzek na czyste pole, i odkryć jawnie swe zdania i myśli, gdy go w najgłębszych wnioskach jego utopii dosięgnąć pragniesz... wnet się ostawi w około jakby puklerzami stałowemi, na których tajemnicze godła jego potęgi wielkie słowa *filozofii*, *filantropii* i nakoniec *postępu* ujrzysz wyryte, i z za téj twierdzy tak potężnie i zuchwale sypnie on na cię jak gradem kamieni *fanatyzmem*, *obskurantyzmem*, *retrogradyzmem*, że cię ogłuszy zupełnie: kamienie te gmin pospolity a uwiedziony podejmie, i nim się opamiętasz już cię ukamienuje....

Ludzie tacy są to zlepki z ostatków Wolterowskiéj, ośmnastego wieku bezbożnéj szkoły, i dzisiejszego racyonalizmu, w utylitarne wrzekomo skupiającego się sofizmata; szerzą oni, szczerze czy nie szczerze, wszystko to jedno, niebezpieczną propagandę, ucząc w imię idei i zarozumiałéj pychy, która ją zwykle wspiera, a częstokroć i w imię ukrywającego się w głębi osobistego egoizmu, poświęcać dobro powszechne, i usprawiedliwiając wszelkie, by krwawe nawet środki dla obranych przez siebie celów i nadziei, zabijać teraźniej-

sze pokolenia na ofiarę przyszłym. U nich to właśnie z popiołów odradzać się mają *fenixy*. Taki ja *postęp* potępiam, takiemu postępowi jako kapłan chrześcijański z obowiązku sumienia i przekonania mego złorzeczyć muszę tém bardziéj, że widzę młode pokolenie nasze uwodzone głosem i piórem tych fałszywych proroków, lecące za niemi, nie drogą religijnego i moralnego doskonalenia się w cnotach, ale *per saltum mortale* w otchłań namiętności wzburzających towarzystwo ludzkie...

— A po śmierci lecące do piekła. *Amen!* przerwał zdziwionemu mówcy ks. jubilat.

— Jak to do piekła? jak to *Amen!* odezwaliśmy się wszyscy ze śmiechem.

— A tak *Amen!* powtórzył jubilat, bo przeklęci zgorszenie czyniący i koniec kazania.

— Nie może być ks. jubilacie, rzekł ks. kustosz, przecież naszym właśnie obowiązkiem jest ochraniać dusze od potępienia wiecznego, i zbłąkane owieczki odszukiwać i wracać do trzody Chrystusowéj.

— A niech ich tam kto chce odszukiwa, rzekł jubilat mocno zażywając tabakę, moje *conclusum* do piekła i kwita.

Uśmiechnął się razem z nami prezydent, lecz wnet poważniéj mówić zaczął: Przeciw takiemu *postępowi*, i takim postępowcom, jakich odmalowałeś, powstawaj z duchowną bronią ks. kaznodziejo; tylko jeżeli jéj teraz użyjesz, nie będzie ona ściśle właściwą, i rażąc *individua* nie dosięgnie do głębi mass, ani do głów przodować im mających, bo w nich nieznajdzie zasad i konwikcyj, które masz gromić.

Za życia naszego, które początkiem i końcem w dwa wieki się rozszerzyło, to jest w 18-tym się zaczęło, a w 19-tym dobiega, tyle na oczach i pamięci naszéj weszło, wykwitło, panowało, i przeszło idei, tyle razy duch czasu zmieniał swą mglistą formę, że na umyśle twoim ks. kaznodziejo, który z powołania twojego wpatrywać się, rozważać i pojmować musisz wszystko w towarzystwie, wybitniéj uwięzły wady i postacie, szerzące między ludźmi *zło*, z którém ty w naukach swoich, bój codzienny do upadłego toczyć musisz; ztąd na obrazie twoim skupiłeś na jedną postać, i na jeden czas, cechy i piętna ludzi rozmaitych czasem i pojęciem, a główne-

go celu i wyrazu rozprawy naszéj, to jest dzisiejszego *postępu* prawie nie dotknąłeś.

— Jak to panie prezydencie? przerwał zdziwiony kaznodzieja.

— A tak, mówił daléj prezydent. Twój naprzykład *filozof* rezonujący o religji i przeciw religji, jest prozelitą przeszłego wieku, a takich dziś między nami zwłaszcza, trudno spotkać. Twój *mędrzec* prowadzący ludzkość choćby przez krwawe proby do celów przez siebie obranych, nie jest naszą figurą; jest on ideologiem zachodnich krajów.... i tam nawet z towarzystwa wypchnięty, i wraz z jego nauką potępiony.... My wierzymy z poetą *)

„Gdy przychodzą w świat geniusze,
„Innym rzeczy wiodą torem:
„Nikt przez mordy i katusze
„Nie był wieków dyktatorem!

Twój nakoniec drugi *mędrzec* połykający własne wyrazy, jest tylko *fanfaronem* każdéj propagandy obiecującéj mu osobistą między niedowarzonym gminem powagę; a lubo pojedyńczych takich ludzi można jeszcze dopatrzyć w społeczeństwie, i ostrzegać o nich należy, wszelakoż możemy być spokojnymi, że nie pociągną oni za sobą przekonania ogółu, i nie stoją dziś, ani staną kiedykolwiek na świecznikach narodowych; ani przyświecą szlakowi po którym idzie ludzkość ku lepszemu losowi, to jest szlakowi dzisiejszego *postępu*.

— Przewodnikiem *postępu* 19-go wieku jest *Krzyż*, mości księże kaznodziejo! tak *Krzyż!* podjął go okrwawionego z ruin świętych ołtarzy opamiętały człowiek, i wzniósł na czoło téj processyi ludów, dążących do powszechnego chrześcijańskiego kościoła, i do braterskiego w nim zjednoczenia.

Postęp dzisiejszy minął karawanę przęszłowieczną wlekącą się za nim skrzypiącym obozem, ze składem dawnych zardzewiałych dźwigni, któremi ówczesny duch czasu wzruszał społeczeństwo; dawnych lekarskich materyałów, któremi je truł, rozumiejąc że je leczył; dawnych rozpraw i książek, z których uczył ludzi rozumu!!! rozumu bez wiary, bez pokory, bez miłości... Przetrząsł on obóz ten szukając w nim czegokolwiek pożytecznego dla siebie, i nic albo prawie nic nie znalazłszy, odtrącił ze zgrozą i pogardą

*) Z. K.

ten magazyn błędów i zepsucia, a poszedł dalej za swojem świętem godłem...

— Ks. kaznodzieja słuchał z uwagą słów prezydenta wpatrując się pilnie w twarz jego żywiej wzruszoną. Ks. kustosz notował, ks. jubilat pokręcał głową i coraz żywiej zażywał tabakę.

— Ale z tego ogólnego poglądu na świat, mówił dalej prezydent, z tego chwilowego rzutu oka na to pole powszechne, na którem duch *postępu* w odetchnieniach, że tak powiem, całej ludzkości oczewiście się dziś objawia; na którem słowa i księgi najznakomitszych mędrców, mnożąc się około słów Chrystusa, zaklinają przeciwne prądy, gdzieniegdzie jeszcze nurtujące społeczność, zwróćmy się do siebie samych i tym samym rzutem oka główniejsze cechy własnego naszego pod tym względem położenia przebieżmy.

— Trudno mi bardzo, jak widzicie skupiać i ściskać w treściwe rezultata tak rozmaite ideje i tak rozmaite dążenia ludzi, choćby ku jednostajnemu celowi, na udowodnienie tych rezultatów, lub na ich historyczne wywody; tomy napisaćby należało; na własnej nawet niwie, myśl goni za tysiącem szczegółów, i gwałtem ją cofać trzeba do głównego przedmiotu, aby się w rozdrobieniu nie zgubiła.

— Oho, panie prezydencie, to i mnie się zdarza, gdy nad jakiem kazaniem głowę suszę, przerwał kaznodzieja.

— *Zło* czy *dobre*, kontynuował więc prezydent, wyradzające się w ognisku wszelkich moralnych i duchowych potęg, pojęć i idei zachodniej Europy, słabszem zawsze do nas dochodzi promieniem. Mnogie tego przyczyny ,każdy z nas rozumie, wyliczać tu ich zatem nie myślę.... dla tego czyśmy się psuli, czy naprawiali, zwierzchnie tylko warstwy społeczeństwa naszego, rej w niem wiodące, wzruszały się i burzyły, lub się uspakajały i lepszały. Dla tego, gdy zarażone niedowiarstwem francuzkiem, wyższe pozycyą towarzyską i cywilizacyą cudzoziemską głowy, wchodziły do świątyń Pańskich by wydać wojnę Bogu w jego własnych domach, to ludek nasz prosty, to szlachta bracia, to starcowie pobożni, ojcowie i dziadowie nasi, śpiewali tamże szczerze i gorliwie *„Od powietrza, głodu, moru i wojny“* suplikacye; jakby błagając Boga aby nas uchronił od wszystkich tych klęsk, które się na narody zbuntowane przeciw jego prawom wylewały.

Nawa więc losów naszych, miała swój religijny balast, który jéj zatonąć nie dał, i z którym dotrwała, aż inny powiew zupełnie przeciwny tamtemu, zadął w jéj żagle, i przyniósł nam *postęp* z Krzyżem, jakem to powiedział na znamie i godło; dziś więc i u nas, jako i wszędzie, *postęp* jest *chrześcijańsko-duchownym.*

Nie idzie jednak za tém, i nie mówię, aby już wszyscy uwierzyli, i z pokorą a skruchą padli na kolana przed ołtarzem żywego Boga; nie, bóstwo wieku przeszłego, *rozum* ma jeszcze, i ma wielu swoich zwolenników, ale nie *wyznawców* przecie, ani *apostołów.* Wątpliwy, idzie dziś w milczeniu po tejże saméj drodze co i wierzący; walczy on sam z sobą, i sam w sobie, ale się z tą walką otwarcie nie wydaje, i nie jest to w nim faryzejską obłudą, ale tylko jest to wątpliwość, jego samoistnego rozumu.

U jednych wiara jest żywa, szczera, pobożna, błagająca zbawienia wiecznego, i upewniająca im to zbawienie; jest potrzebą i pokarmém duszy: u drugich jest wyrozumowanym warunkiem życia tu-ziemskiego, towarzyskiego, jest przekonaniem, że bez niéj nie ma poręki ani zasady bezpieczeństwa powszechnego, nie ma tarczy naprzeciw rozuzdanym namiętnościom ludzkim. U piérwszych religia jest *dogmatem*, u drugich *systemą*, zmuszającą ich wszakże z równąż czcią jako i prawowierni, uchylać czoło przed krzyżem. A więc przeciw ludziom takiego wątpliwego sumienia, pomieszanych wprawdzie w postępowym orszaku, ale bardziéj pchniętym niżeli swobodnie w nim idącym, dla ich własnego dobra, mów twoje kazanie ojcze!

— To mości prezydencie, będzie tylko proste kazanie przeciw niedowiarstwu, i nic więcéj, rzekł ks. kaznodzieja.

— Tak, ale wsparte argumentami właśnie ze źródła, któreś zatrutem być sądził, czerpanemi; to jest z dzisiejszego *postępu*, ale bez teologicznych subtelności, ale utrzymujące jednych, a gromadzące drugich na drodze, na któréj w wyraźnych faktach objawia się duch Boży, i na któréj należy dziś stawiać tylko, że tak powiem, *drogo-skazy*, abyśmy się z niéj nie zbili, i nie zbłądzili na manowce.

Drogoskazy takie potrzebnemi są szczególniéj dla młodych ludzi; bo starzy poczciwi bogomodlcy ich nie potrzebują, a stare grzeszniki nie spójrzą ani się zastanowią nad niemi.... Wszakże jest *młodzież* i *młodzież:* nasza, ma defekta i wady rozdzielające się i stopniowane, jako i ona sama w towarzystwie — ale to inna

materya; pod względem zaś jaki rozbieramy, denominacyę tę dziś upowszechnioną *„młodzież“* ja nie znajduję ściśle właściwą: nazwanie takie nie ma jakoś dojrzałego znaczenia, i tę niedojrzałość mglistą i bezbarwną, na samąż młodzież rozciąga. A jednak, w ukształceniu moralném, często młodzieniec wyższym jest od starego rutynisty; dałbym tu więc raczéj nazwę i razem definicyę *„młode pokolenie,“* bo w taką definicyę wejść mogą *in corpore* nie tylko młodzi z wieku, ale i wszyscy, których sprawiedliwie czy nie, oskarżają dziś że ideje postępowe za bezpieczne i praktyczne granice posuwają. Jakkolwiek bądź, przyszłość należy do tego pokolenia.

— Przyszłość, panie prezydencie, należy do Boga, przerwał ks. Jubilat.

— Tak, niezawodnie tak, mości księże jubilacie, mówił daléj prezydent, ale czyny nasze ściągają na nas z nieba gromy albo promienie łaski, i tym sposobem na przyszłość naszą wpływać możemy.

Otoż do nas należy zdać w czerstwiejsze ręce tego pokolenia, teraźniejszość naszą, ze skarbem przeszłości, który nosiémy w naszém łonie. Skarb ten składa się głównie *z wiary i miłości;* przyjęliśmy go od dziadów i ojców naszych, piastowaliśmy go w różnych przemianach losu zdajmy go czystym i niepokalanym synom i wnukom naszym, zdajmy w tym skarbie razem wszystkie uczucia nasze rodzinne, obyczaje nasze, mowę naszą. Uczucia te utwierdzone dziś chrześcijańską formą postępowego wieku, rozwiną się w sercach młodych z zarodów, które tam natura wlała; a żadne szumne deklamacye, żadna błyszczącemi sofizmatami natkana elokwencya, nie wyrugują ich ztamtąd ani zastąpią.

Zdajmy im nakoniec i ten wyraz *kochajmy się!* nietylko jako hasło braterskiego toastu, ale bardziéj jako godło braterskiéj jedności, która w złéj doli krzepi, dobrą ustala i dwoi...

„Concordia res parvae crescunt,“ odezwał się znowu ks. jubilat.

Prezydent skinął głową, i po niejakim przestanku, rzekł:

— Ale niestety! są indywidua, kupią się nawet gromadki, które potępiając ten wyraz *kochajmy się*, i to uczucie święte, które on oznacza, zastąpić go chcą i zalecają przez *kąsajmy się!* owszem własnym przykładem probują go w praktyce.

— Żartujesz chyba prezydencie, przerwał ks. kustosz, alboś gdziekolwiek wizytował dom warjatów, i tam gromadkę taką kąsającą się znalazł: „*Quos vult perdere Jupiter—dementat!*“ *)

— Nie, ks. kustoszu nie; jest to gromada obłąkanych wprawdzie, ale w których zarozumiałość z nieszczęściem pogodzić się nie daje; a w téj walce podobni także do warjatów szalonych, tłuką wszystko choćby najdroższe, szarpią wszystko choćby najniewinniejsze. Kąsać nieprzyjaciela, nie po chrześcijańsku to wprawdzie, ale po ludzku: czémże są zresztą wojny? więc to rozumiem; ale zalecać i wzbudzać nienawiść, jako systema prowadzące do dobrego, ale targać ogniwa braterskie, i rzucać klątwy złośliwe i potwarze bez wyrozumiałości i przekonania, ale karmić się i żyć tylko jadem.... tego pojąć nie umiem, bo tego ani rozpacz, ani nieszczęście usprawiedliwić nie może.

— Nieszczęście, przerwał ks. kustosz, robi częstokroć z serca człowieka pustynię, w któréj jednakże duch Boży najszczytniéj się objawia.

— Tak, rzekł prezydent, ale po któréj i szatan niekiedy harcuje; bo *złość* i *pycha* to jego właściwe przymioty, i on jeden tylko zdolny tak głęboko niemi zarazić i zepsuć serce, a oślepić rozum człowieka, aby zeń zrobić apostoła powtarzającego ludziom, nie *kochajmy się*—ale *kąsajmy się!* spotwarzajmy się! obrzydzajmy wszelką pracę dla dobra ziomków i kraju podjętą: słowem, gryźmy się wzajemnie i najzajadléj, aż póki krwią własną nie zalejemy téj ziemi, i żaden z nas na niéj nie zostanie.

— A to mości dobrodzieju, rzekł ks. jubilat, przeznaczają oni nam los owych dwóch sławnych chartów księcia Radziwiłła, panie kochanku, tak zjadłych i zawziętych, że się na śmierć zagryzli, i tylko z nich dwa ogony zostały się.

— Uśmiechnęliśmy się wszyscy, ale jakoś gorzko nam było na duszy. Po niejakiém milczeniu odezwał się ks. kaznodzieja.—Gdy są gdziekolwiek na świecie tacy apostołowie, których głos chwała Bogu nie przeszedł naszéj klauzury klasztornéj, a o których musisz wiedzieć panie prezydencie; to jakaż broń naprzeciw nim? jaka rada?

— Prezydent z zachmurzoném czołem, ale z powagą, i widocz-

*) Kogo chce Jowisz zgubić—rozum odbiera.

nie z wewnętrznego przekonania odrzekł:—odpowiem ci księże kaznodziejo słowami poety:

„Rada jest jedna; sumieniowi swemu
„Czynić zadosyć—każdy po swojemu,
„Każdy jak może—resztę zwierzyć niebu!" *)

A ztamtąd nakoniec przyjść musi miłosierdzie dla wszystkich, a dla nich *upamiętanie!*

Wieczór już był późny. Prezydent więc pożegnał nas, a dalsze czytanie i rozmowę odłożono do przyszłéj niedzieli.

Colloquium czwarte.

XV.

Raniéj niż przedtem bo wraz po nieszporach kazano mi stawić się do ks. kustosza, i wnet rozpoczęła się lektura, tylko nie od mojéj kwestarskiéj narracyi, ale od przeczytania daryuszu onegdajszéj rozmowy, którą ks. kustosz *verbum ad verbum* spisał.

Dziwił się pan prezydent, dziwiliśmy się i my, jak tego dokazał.

— Notowałem, rzekł on, — *per abbreviationem* co się mówiło, a dokładając pamięci, łatwiéj potém wydecyfrowałem moje hieroglify; gdy skończył, na mnie przyszła koléj.

Przeczytałem więc mego rabina Salomona, i jaśnie wielmożnego pana, który mi rogacza ostrzygł, a gdy daléj kontynuować chciałem: stój, rzekł mi ks. kaznodzieja, bo i nad tém cośmy wysłuchali pogadaćby należało, stanowić to może ciąg dalszy onegdajszéj rozmowy, a za łaską Bożą da mi nową treść do kazania. Bo zważ panie prezydencie, ten jego mędrzec wołożyński ze swojem *nie* i *tak*, czyż nie jest rzeczywistym obrazem owych ludzi wątpią-

*) Odyniec —Dramat Barbara.

cych, którzy w pańskiéj processyi postępowéj, idą za wiarą chociaż bez-wiary, idą za krzyżem chociaż się nie żegnają.

— Jest między niemi podobieństwo, chociaż nie *tożsamość*, odpowiedział prezydent. Żydzi są u nas dotąd klassą wyjątkową towarzystwa; zlewają się oni gdzieindziéj z całą massą ludności przyswajającéj ich w miejscową narodowość; nastąpi to z czasem i u nas, ale dotąd oni tu pilnie strzegą swéj własnéj narodowości, opartéj na dwóch głównych zasadach, to jest, na ich religii i na ich interesie; więc nie należą jeszcze u nas żydzi do naszéj postępowéj processyi, patrzą tylko na nią z boku, a rozumniejsi pojmują że długo, krótko, muszą się do niéj, jeżeli nie duchownie, to materyalnie wtłoczyć. Salomon zatém nie zaczerpnął swojéj wątpliwości, swego *nie* i *tak*, z systematycznego anti-chrześcijańskiego zepsucia, ale ze zwykłéj słabości rozumu ludzkiego, nie wspartego objawieniem: zresztą najprawowierniejszy i najpobożniejszy między nami nawet, może mieć chwilę zwątpienia...

Ależ niech Bóg broni każdego, aby ta chwila nie była mu ostatnią, jak ją wróży każdemu Salomon. Zwątpienie u wrót wieczności!!! to czy nie gorzéj jak piekło?.. przeklęte! trzykroć przeklęte księgi i ludzie, którzy to zwątpienie obudzają....

— Błogosławieni umierający w Panu! przerwał ks. kustosz. W tumanach okrywających i teraźniejszość i przeszłość człowieka, dwa tylko punkta stałe i pewne można, i trzeba mieć na oku: *Krzyż* i *grób!* w nich jedyna nadzieja i uspokojenie myśli i serca. My, którzy z powołania naszego patrzemy często na ostatnie godziny ludzkie, widziemy nieraz z przerażeniem, tę rozpacz i trwogę jaka ogarnia wątpiących przy skonaniu... i przeciwnie to zaufanie, tę spokojną chrześcijańską rezygnacyę, z którą wierni zbliżają się i przygotowują się do swéj ostatniéj godziny.

— Nigdy naprzykład nie zapomnę śmierci i czynu przedśmiertnego kapłana, a pamiętnego w naszym kościele biskupa, ks. Jana Cywińskiego. Mieszkałem natenczas w klasztorze naszym wileńskim; pasterz ten względnym był na mnie, i dozwalał mi częstego do siebie wstępu, a więc gdy zachorował, i gdy poznano że już nie wstanie z łóżka, pośpieszyłem doń, abym choć nieudolną posługą moją około niego okazał mu wdzięczność moją i błogosławieństwo jego otrzymał. Chwile jego były policzone; on sam czuł to i poznał, ale przytomność i spokojność umysłu nie odstępowały go. Modliliśmy się przy łożu jego! Oh! jakże gorliwie i szczerze mo-

dliliśmy się! On, póki mu siły pozwalały, modlił się razem z nami; a gdy choroba zmogła w nim głos i piersi, natenczas w milczeniu złożywszy ręce do pacierza słuchał nas, i wznosząc oczy na obraz Zbawiciela na przeciw umieszczony, tonął, że tak śmiało powiedzieć mogę, w Bogu i w wieczności.

Nakoniec czując się coraz słabszym, kazał przenieść siebie na szerokie poręczowe krzesło, a zawołać wszystkich swych służących: przeszło ich kilkunastu; spójrzawszy oni na swego dogorywającego już ojca, bo takim był on dla nich rzeczywiście, padli na kolana. Łzy potoczyły się po wybladłem licu pasterza.

— „Dziatki moje, rzekł on, umieram. Dziej się święta wola „Boska! Ale nim umrę, chciałem was wszystkich pożegnać pobło-„gosławić, podziękować wam za wasze wierne usługi, i prosić was „abyście mi odpuścili i darowali, jeżeli któregom z was obraził lub „skrzywdził... nie z namysłu lub ze złości, świadczę się Bogiem „przed którym wraz stanę, ale jeżelim zgrzeszył jako człek uło-„mny, darujcie mi dziatki moje! proszę was, błagam was, darujcie „dla miłości Pana Boga!“

Natenczas płacz rzewny rozległ się w około: starsi i równowieczni z panem słudzy jego, przez całe życie będący przy nim, więc przywykli doń i poufalsi, pełzli na klęczkach i całowali mu ręce.

— „Wstań rzekł on, do kuczera swego, wstań Adamie i chodź „ku mnie.

„Rok temu czy więcéj, gdym cię ukarał, zasadzając na trzy „dni na chleb i wodę“...

— Bo wart tego byłem jaśnie wielmożny panie, przerwał chlipający Adam, bo wart tego byłem! Cały tydzień piłem w zapor; to jakieś dopuszczenie Boże było na mnie: nie było nawet komu zawieść jegomościa do katedry.

— „To prawda, wszystko to prawda, mówił biskup, chciałem „ci obrzydzić twój nałog, a jednak nie umrę spokojnie, nim cię „mój stary sługo nie przeproszę. Więc przebacz mi poczciwy „Adamie! daruj!...“

— A daruję, dalibóg daruję, choć nie ma czego.

— „Dajże mi rękę na zgodę.“

Adam podał rękę.... i nim się opamiętał, biskup podniósł ją do ust swoich, i kilkakrotnie ucałował.

Kuczer oderwał rękę, jakby z żaru, i rycząc z płaczu, padł jak snop u nóg biskupa.

Wszyscy my zdumieni i rozrzewnieni do głębi, tym czynem pokory chrześcijańskiéj, a właściwiéj powiem Chrystusowéj, poczuliśmy się jakby ogarnieni świętością jakąś, promieniającą od oblicza tego prawdziwego namiestnika Chrystusa *).

— Dzięki ci ks. kustoszu, rzekł prezydent, za ten obraz uroczysty razem i święty; bogdajby on służył przykładem i wzorem, zwłaszcza w naszym wieku, gdy pokora wśród chrześcijańskiego nawet dążenia społeczności, nie jest wszakże cnotą przodkującą mowom i czynom naszym.

— Oh! bo to najtrudniejsza cnota, panie prezydencie dobrodzieju, rzekł kustosz; może tylko jeden bernardyn kwestarz bywał pokornym, albowiem duma i prośba wzajem sobie nie przystają; ale i ten odcinał się zwykle, gdy go już bardzo poniewierać chciano, w codzienném zaś towarzystwie ludzkiém nie dojrzysz jéj prawie nigdzie; a przeciwnie co krok trącać się przychodzi o szorstką i twardą skorupę miłości własnéj i pychy, pod którą jak pod tarczą żołwia słabota i głupstwo się tai.

Pokora prawdziwa nigdy i nikogo nie poniżyła, bo obok niéj idzie zawsze szlachetna prawda, która ją podnosi. *Pycha* jest chorobą chroniczną rodzaju ludzkiego, nazwania jéj rozmaite: *duma*, *zarozumiałość*, *próżność;* są to objawy tejże saméj choroby, mniéj więcéj sobie podobne w codzienném życiu, a religia jednym wyrazem *pychy*, i jednėm piętnem grzechu śmiertelnego ją oznaczyła. Siedlisko jéj w głowie, *antidotum* w sercu, po które jednak nigdy prawie nie sięga człowiek, bo to jest głównym symptomatem téj choroby, że im kto bardziej chory, tém się zdrówszym być sądzi.

— To jest, przerwał ks. jubilat, *subintelligitur* **) po prostu, że im kto głupszy tém dumniejszy.

— *Praeter propter* tak ***), kontynuował ks. kustosz, aleś zredukował definicye moje na bardzo pospolity choć prawdziwy wniosek. Nie ku temu ja przecież zmierzam, chcę bowiem powie-

---

*) Opisanie tego prawdziwego czynu zeszłego ks. biskupa Cywińskiego mniemam, że nie jest właściwém w Obrazach Litewskich. *(P. W.)*

**) Rozumie się.

***) Mniéj więcéj.

dzieć że twoja prezydencie processya postępowa, ma swój także łazaret, pełny chorych moralnie, i ciągnie go za sobą. Panująca w nim słabość jest właściwie *pycha* i zarozumiałość, a zarażonych nią najwięcéj ludzi z młodego pokolenia, któremu, jak powiedziałeś prezydencie, przyszłość nasza powierzona. Zwykłe to wprawdzie w każdym wieku wady młodości, ale w naszym, choroba ta dosięgła tak wysokiego stopnia, że bogdajby nie oznaczyła nas w potomności swą cechą, barwą i skutkami.

— Ale księże kustoszu dobrodzieju, rzekł prezydent, z ogólnych obrazów wieku i towarzystwa, schodźmy zawsze do siebie samych podobni do wędrowca, który przebiegłszy obce kraje do własnéj wraca zagrody i w niéj się rozpatruje. Można bowiem napisać całą księgę ogólników bardzo mądrych i sprawiedliwych, któréj nikt przecież do końca niedoczyta, można w najdłuższém kazaniu zebrać wszystkie morały i najświątobliwsze sentencye, a nikogo jednak nie nawrócisz, ani wzruszysz, jeżeli nie trafisz w serce słuchaczy. Aby nas przekonać, leczyć i poprawiać, potrzeba trafiać jak w cel, w nas samych; to jest, obudzając w każdym głos sumienia i prawdy z nim się w naukach jednoczyć; natenczas, i tylko natenczas, skutek niezawodny, bo nie masz sprawiedliwszego trybunału na czyny nasze, jak ten, od Boga w duszy ludzkiéj ustanowiony...

— Wychodzisz i sam na ogólniki panie prezydencie dobrodzieju, przerwał wzajemnie ks. kustosz uśmiechając się.

— Tak, ale z tych ogólników wniosek, mówił prezydent, abyś symptomata chorób moralnych nie po całym świecie, ale po naszéj własnéj młodzieży badał, i z niéj wybierał kandydatów do twojego łazaretu. Ciekawy jestem czy ją znasz dobrze? i nakoniec jeżeliż mamy być współautorami brata Rafała, pożytecznymi dla czytelników i obyczajów naszych, mówmyż *ad hominem*.

— Czy ja znam młodzież naszą? przerwał potrząsając głową kustosz, o znam ją, znam panie prezydencie! znam ją i kocham... a dla tego właśnie że kocham, tém goręcéj pragnę jéj udoskonalenia i dobra.

— Niedawno powiedziałeś panie prezydencie, że jest *młodzież* i *młodzież;* domyślna to różnica, ale rzeczywista i oczewista... a przywiodła mi na pamięć dawną z jakiejś małéj komedyjki piosen-

kę, którą śpiewał niegdyś towarzysz młodości mojéj, dziś stary jako i ja, a setką mil od Litwy oddzielony; zapomniał on jéj może, lecz ja i piosenki i śpiewaka nie zapomniałem.

— Na scenie, stary legionista powraca po długiem oddaleniu do rodziny, i zapytany co widział na obcéj ziemi? odpowiada:

„Widziałem rodaków wielu,
Co nad brzegami Sekwanny.
Nauki mając na celu,
Im każdy z nich był oddany.
Żądając tego jedynie,
Być czynnym w każdéj godzinie,
Korzystać w każdym rodzaju,
Nabierać światła i sztuki:
A wziąwszy różne nauki,
Roznieść je w ojczystym kraju!
Widziałem grono nie małe;
Są to próżniacy, wietrznicy,
Których zatrudnienie całe,
Zbijać bruki po ulicy.
Szafując wspaniale złotem,
Które ojciec zbierał z potem:
A zwiedziwszy cudze kraje,
Wnoszą na ojczyzny łono,
I szkatułę wypróżnioną,
I zepsute obyczaje!“

— A dalibóg ks. kustoszu, rzekł prezydent, widocznie sam skoncypowałeś te wierszyki, patrząc na nasze każdo-wiosenne emigracye litewskie do Paryża.

— Nie, nie, prezydencie, jest to jedna z pamiątek świeckiéj młodości mojéj; wszakże i dziś mogłaby pożytecznie być wpisaną do *memorandum* każdego młodego wyjeżdżającego za granicę, aby pamiętał co ma tam zbierać i z czém do kraju wrócić.

— Jest to dowolna dygressyjka ks. kustoszu dobrodzieju, rzekł ks. kaznodzieja, wprawdzie stosowna *ad rem tractandam,* ale nie odpowiadająca na ciekawość pana prezydenta, czy znasz młodzież dzisiejszą i jéj defekta?

— Prawda, mówił kustosz, prawda tém prawdziwsza, że wietrznictwo tamtoczasowéj młodzieży, nie jest wadą dzisiejszéj. Natenczas płynęło ku nam z zachodu, jakeśmy to już nieraz powiedzieli, niedowiarstwo, bezbożna filozofia, bezrozumne trzpiotalstwo, z materyalném zepsuciem i wzgardą wszelkiéj towarzyskiéj

moralności połączone. Teraz młodzież, albo jak pan nazywasz, młode pokolenie, wzięło za godło *pracę* — bardzo pięknie! ale obracając ją ku osobistym jedynie widokom i korzyściom, jedzie do obcych wrzekomo dla doskonalenia się i przyswojenia coraz tam nowych i coraz pożyteczniejszych wynalazków, a w rzeczy nasiąka i i w praktyce uczy się *egoizmu racyonalizmem* usprawiedliwiającego się, mając już w sobie saméj rolę dobrze usposobioną do przyjęcia tego zgubnego zasiewu.

Bo też pobłażliwy pogląd dzisiejszy na młodzież naszą, wprowadza ją od razu na fałszywą drogę; od razu bowiem przyswajają sobie młodzi ludzie prawo dyktowania praw towarzystwu; od razu sądzą się dojrzałémi, i sto razy mędrszémi od swych ojców, których doświadczeniem gardzą, a przestrogi poniewierają, i *pychą* ze swéj mniemanéj doskonałości nadęci, razem i piérwszym grzechem śmiertelnym się obciążają, i czwarte przykazanie gwałcą. Nigdy tyle co dziś nie napisano książek duchownych i moralnych dla dzieci i młodzieży poświęconych, a nigdy towarzystwo nie było bardziéj materyalném; nigdy związki rodzinne i domowe nie były tak wątłémi. Dziecko wyrasta na młodzieńca, i wnet dom rodzicielski, ciasnym jest dla niego, wnet mu się obrzydzają proste a poczciwe obyczaje rodzinne; obrzydza mu się ziemia, która go wykarmiła, wnet przymus by najmniejszy, choćby władzy najłagodniéjszéj pana *ojca* a dziś *papy*, ciąży mu; idzie więc w swiat gonić i wrażać w siebie teorye i utopie uczące ludzi co się im od towarzystwa należy, ale nie tego co się wzajem należy od nich towarzystwu. Pragnie on powszechnéj dyscypliny ubezpieczającéj ich przeciw innym, ale nie obowiązków któreby ich zmuszały do uległości dla dobra innych: słowém, wchodzi właśnie do owego łazaretu postępowego naszego wieku, o którym powiedziałem wyżéj.

— Mówiłeś ks. kustoszu, odezwał się ks. kaznodzieja, o klassie wyższéj, bogatszéj i oświeceńszéj narodu; ale jest plaga, która padła na klassę uboższą, nie tyle zamożną: która nie z systematu utylitarności, ale z potrzeby pracować musi, któréj synowie idą także w świat szukać nie *chleba*, ale *pieniędzy*. *Chleb* jest to rzecz bardzo prosta, bardzo poczciwa; nasyca ale nie pokusza, uspakaja głód, ale nie poduszcza żądzy ani namiętności, i poczciwą też pracą łatwo zarabiać się daje; *pieniądz* przeciwnie, wzbudza pragnienie, a nie zaspakaja go, owszem coraz je powiększa, tak jak każde pragnienie gorączkowe. Bóg też mając na pieczy dobro człowieka

którego stworzył, rozsiał ziarna na powierzchni ziemi, a kruszcze zachował w jéj głębi, aby nie łatwo mu było dostać się do tego materyału wszelkiego zła na świecie.

Prezydent uśmiechając się przerwał:—retoryczny to ks. kaznodziejo i dowcipny domysł zamiarów Stworzyciela, ale do czegoż zmierzasz?

— Oto do tego prezydencie, że gdy młodzież nasza jedna w wyższém usposobieniu i polocie grzeszy dziś pychą, to druga niższego chóru *chciwością* czyli *łakomstwem* na grosz cudzy a źle nabyty.

— Znowu grzech śmiertelny, odezwał się ks. jubilat; jak uważam multyplikujecie pekkatorów obficie!

— I tu z pod słomianéj strzechy, kontynuował kaznodzieja, nie zważając na tę przerwę, z okolic naprzykład lub z dworków szlacheckich wyrywa się młody chłopiec, kosztem ciężkiéj ojcowskiéj pracy wychowany, i wpada między ludzi jak cygan na kiermasz... Pracę poczciwą, szlachetną i uszlachetniającą, znalazłby każdy i we własnym domku, bo gdzież jéj człowiek nie najdzie, gdy w prawości serca i szczeréj chęci ująć się jéj zechce? Praca za stolikiem czy za pługiem, czy około pługa, gdy jest cnotliwą i szczerą, jednostajnéj jest wartości, i jednostajnego dla społeczeństwa pożytku; ale pogardza on tą ostatnią, a skwapliwie chwyta się piérwszej, bo z niéj miły grosz rychléj i rzeźwiéj płynie: a mówiąc słowem zrozumialszém, i jak powiadasz panie prezydencie *ad hominem*, taka młodzież ciśnie się zwykle do kancelaryów popychana nawet przez swych własnych rodziców. Słyszałem nie jednego ojca cieszącego się jak ów jw. *vice*, z umieszczenia syna w jakiejś juryzdykcyi i mówiącego jak tamten: „pensyjka wprawdzie nie wielka, ale są z boku *akcydensiki*, któremi się on kieruje.“ Otoż te nieszczęśliwe *akcydensiki* pokuszając go codzień do grzechu przeciw siódmemu przykazaniu, stają się nałogiem, to jest drugą naturą, i domoralizują wielką liczbę młodzieży, która jako nie skrępowana stalszemi miejscowémi obowiązkami, mogłaby właśnie składać klassę administracyjną, lub gospodarczą dla narodu; ale na to, głównie potrzeba aby była poczciwą. Tu gangrena idzie z dołu, wtenczas gdy z góry ciśnie nas mgła jakaś niefortunną przyszłością brzemienna.

Zaczepił się i brat Rafał o tę kwestyę u jaśnie wielmożnego *vice*, i dał nam treść do teraźniejszéj rozmowy: cieszy się tam *dorobkowicz* że synek idzie po téj saméj drodze, która się jemu tak szczęśliwie poszykowała.

Po krótkiém milczeniu, zabrał głos pan prezydent ów modyfikator opinij naszych patrów.

— Oba kochani ojcowie, rzekł on, zgodzilibyście się zapewne na wyjątki z waszych ogólnych obrazów, ale ja zgodzić się nie mogę; bo *nego majorem* chociaż *concedo minorem *)* mości dobrodzieju: to jest zgadzam się na trafność i prawdziwość waszych postrzeżeń w towarzystwie, ale ja liczę je właśnie za wyjątki; ogół zaś innym być sądzę.

Nie będę mówił o młodzieży niższego choru, jak ją nazywasz ks. kaznodziejo, lubo jéj liczba mnoży się codzień niestety, chociaż ich wszystkich nie do łazaretu postępowego, ale do domu poprawy odsyłaćby należało, lecz się zastanowię nad tą młodzieżą naszą, która wyższa światłem pojęciem i dostatkami, odziedziczy po nas, a nawet teraz zagarnia duchowną i moralną wśród nas przewagę. Przypatrzmy się jéj, tylko przypatrzmy się bez uprzedzenia, przypatrzmy się gasząc i w sobie samych pochopy do wkorzenionéj w nas samych dumy i pychy do któréj z wieku i doświadczenia mniemamy mieć prawo. Były zawsze obyczaje młodzieży różniące się od starych wiekiem, niekiedy jako i dziś epoką czasu; i dla tego napisano tyle książek o młodości i młodzieży, że z nich liczne biblioteki złożyćby można; lecz my ściągamy wszystko do jednego naszego narodowego mianownika, i do czasu w którym żyjemy.

Najprzód, gdzieżeś dziś widział młodego człowieka bezbożnego, a przynajmniéj niedowiarka?

— A zdarza się panie prezydencie, zdarza się, odpowiedział kaznodzieja.

— Zdarza się, mówił daléj prezydent, więc to wyjątek.

Gdzieżeś widział młodego człowieka, któryby ci przewrótne i swemu przekonaniu kłamiące objawił ideje? Ideje te bywają częstokroć przesadzone, rażone błędami wieku, niebezpieczne lub niepraktyczne, ale nigdy chytre, nigdy samolubne, a zawsze szlachetne, zawsze z poświęceniem się własném, zawsze z ofiarą i ogniem, jaki się nigdy nie zapali w człowieku zużytym lub zepsutym; młody jest nieraz ślepém narzędziem, ale nigdy rozmyślnym złego promotorem.

I w rzeczy saméj zdarzało mi się niejednokrotnie zbadać głębiéj młodych ludzi deklamujących z zapałem najexcentryczniéjsze

---

*) Tłómaczenie na początku téj książki

teorye, i doszedłem z zadziwieniem i ze zgrozą nawet, że teorye te i pomysły natchnięte im i podpowiadane były, jak studentom na lekcyach, przez ukrywających się za niémi chytrych suflerów, łudzących ich pozorami dobra, w istocie zaś własny a nie społeczny interes mających na celu. Ale objaw powszechnie jaką ideę piękną, pożyteczną, chrześcijańską, szlachetną, dobroczynną, a obaczysz jak się około niéj skupi zacna młodź nasza; i gdy dojrzalsi będą się zastanawiać, rozważać, stosować, młodź ochoczą pracą skutek jéj przyśpieszy. Dla tego ją nie łazaretem postępowym, ale raczéj przednią strażą postępowéj krucyaty, dążącéj dziś, jakem to powiedział, do powszechnego chrześcijańskiego kościoła, nazwaćby należało.

Przednia straż niekarna, krnąbrna, nieroztropna, zarozumiała w sobie, często się unosi i ginie... Ale i natenczas doświadczeniem i rozwagą główny korpus wzbogaca.

Tu podano panu prezydentowi bilet; przebiegłszy go,—przybyli do mnie,—rzekł on, goście; muszę wnet odjechać: maszże jeszcze bracie Rafale dalszą kwestę?

— O mam, mam, odpowiedziałem wskazując mój sextern.

— Fatygujemy cię, łaskawy nasz prezydencie dobrodzieju, odezwał się natenczas ks. kustosz.

— I owszem, rzekł prezydent, i owszem; nigdy nie przykrzy mi się miłe towarzystwo, i rozsądny, a umiarkowany rozbiór kwestyi tak interessujących.

— A więc, rzekł kustosz, we środę fest zwiastowania Najświętszéj Panny Maryi; racz prezydencie dobrodzieju przyjąć po onegdajszemu naszą bernardyńską porcyę, a potém lektura.

— Zgoda, odpowiedział prezydent, i pożegnał nas.

Colloquium piąte.

XVI.

Wstąpił dziś na ambonę nasz ks. kaznodzieja; otoż, pomyślałem w duchu, wypali on nam swoje kazanie naprzeciw *postępu*, ale

widać zmoderował się w zdaniu po słowach pana prezydenta i wcale się inaczéj zwrócił.

Ma to do siebie nasza święta Ewangelia, że z któréjkolwiek karty zaczniesz ją rozważać lub tłumaczyć ludziom, zawsze i łatwo trafisz do wszystkich cnót na świecie, a szczególniéj do miłości Boga i bliźniego, na czém cały *zakon* i *prorocy*. Otoż ks. kaznodzieja wysławiając pokorę Przeczystéj dziewicy, i tekst ten z którego zaczął kazanie: „*Oto ja służebnica pańska*, *niech mi się stanie podług słowa twego*“ wymównie i pokilkakrotnie w różnych obrótach powtórzywszy, napadł *e contra* na przeciwny grzech téj cnocie, na *pychę*. Tu już poznałem że *colloquie* nasze weszły aż na ambonę, i tém uważniéj słuchałem postrzegłszy w ławkach i pana prezydenta zwróconego ku kaznodziei i pilnie weń wpatrującego się.

On, pognębiwszy i na wieczne potępienie skazawszy *pychę*, żywcem już wziął sentencyę ks. kustosza: „Bracia, mówił, siedlisko „téj śmiertelnéj choroby duszy naszéj jest w głowie, lekarstwo na „nią w sercu! rozum to nasz ludzki, im słabszy tém zarozumiał„szy zaślepia nas. Rozum, gieniusz nawet, bez wiary, jest tylko „obraźliwą miłością własną; a wiara bez najgłówniejszéj téj cnoty, „bez *miłości* jest tylko natrętném domaganiem się u Boga nieza„służonych darów i dobrodziejstw.“

— Oho, pomyślałem znowu, dalibóg trafi do *kochajmy się!* „A więc *wiara* i *miłość* bracia moi, a w nich i z nich rodząca się „*nadzieja*, idzie jako trzecia cnota czyli łaska niebios wskazująca, „że kto ma w sercu dwie piérwsze, ten ufać może i w trzecią, „tak w teraźniejszym doczesnym żywocie, jako i w wieczności. „Amen!“

— No, gładko zakończył, rzekłem w sobie.

Zeszliśmy się więc po obiedzie do ks. kustosza.

— Winszuję ci, szanowny nasz kaznodziejo, rzekł prezydent po przywitaniu się, twojéj dzisiejszéj nauki. Postępowe kazanie mości dobrodzieju, postępowe.

— *De tuis donis, tibi offerrimus* *) odpowiedział uśmiechając ks. kaznodzieja.

*) Z twoich darów, tobie ofiarujemy.

— *De colloquiis nostris, de colloquiis reverendissime!* odpowiedział prezydent, i mówił dałéj:

Jedną z najpiękniejszych *missyi* na świecie, któréj często zazdroszczę, jest to nauczać głośno w świątyni pańskiéj lud cnoty i prawdy. *Missya* ta święta, nie jest dość pojmowaną przez wypełniających ją: mówię to w ogólności, gdyż szczęśliwych, pełnych gorliwego zapału, namaszczenia i talentu kapłanów i kaznodziei, mamy chwała Bogu niemało, którzy tę *missyę* spełniają z prawdziwym dla dusz wiernych pożytkiem, pojmując ten wyraz głębokiego znaczenia: *Missya!*

— Ach! panie prezydencie, odezwał się ks. kustosz, dziś czy nie zanadto już missyonarzy? bo każdy zwłaszcza autor potrzebnéj czy niepotrzebnéj książki, każdy szczególniéj poeta, zasługujący na to imię, czy nie, każdy nakoniec który chociaż jeszcze nie pisze, ale przygotowywa się na przyszłego mędrca i nauczyciela prozą czy wierszem, przyznaje sobie missyę nadziemską, ogłasza się posłańcem natchnionym, wieszczem; a co za tém idzie, mającym prawo do cześci, chwały i wysokiego dostojeństwa w narodzie; tak dalece, że słowo to *missya* spowszedniało dziś, jak modna czapka na wielu głowach na bakier wrzucona. O zaprawdę panie prezydencie, są to wszystko kandydaci do mojego łazaretu, zwłaszcza że zwykle łączą w sobie i główną chorobę wieku *zarozumiałość* czyli pychę, którą dziś ks. kaznodzieja tak na ambonie wychłostał; a napełniliby ten łazaret ludno, bo więcéj bodaj teraz natchnionych geniuszów, niżeli prostych poczciwych ludzi, to jest autorów i poetów, niż czytelników.

— Masz słuszność kochany kustoszu, rzekł prezydent; *ale* bo nic bez *ale* na tym bożym świecie.

Pracować nad powiększeniem szczęścia człowieka, to jest nad ulepszeniem i udoskonaleniem jego samego, bo jedno idzie za drugiém, i jak nie ma prawdziwie doskonałego, tak i prawdziwie szczęśliwego nie ma, jest, zda mi się, szczególnym obowiązkiem tych, którym natura dała większą łatwość pojmowania, myślenia i przekonywania innych, to jest przeznaczyła ich na nauczycieli, a prosto mówiąc na autorów: a że takim ludziom zwykle wlaną jest i ochota rozpowszechniania swych myśli, więc tém samém w zarodach swéj natury mają oni *missyę* do ludzi i dla ludzi.

Lecz tu rzeczywiście jest wielu wezwanych, a mało wybranych; bo jakże mało objawia się na świecie ludzi prawdziwie zdolnych przerzucić imię swoje aż za wieki, i wrazić je nie tylko współczesnym głęboko w usta i w serca, ale aby i rodzące się pokolenie już je do przyjęcia także w usta i w serca gotowem się znalazło.

W dziewiętnastym wieku, pióro wydało otwartą walkę wszelkiéj potędze, i zwycięża każdą; ale do téj walki gromadząc liczne kohorty i zapewniając im żołd sowity, nawerbowało ludzi rozmaitych, pożytecznych i szkodliwych, zdolnych i niezdolnych, prawych i zepsutych; którzy nie rozumiejąc czy nie chcąc rozumieć interesów ludzkości, z najszlachetniejszego i najdostojniejszego literackiego zawodu, utworzyli zawód rzemieślniczy, handlujący płodami myśli i wyrabiający towary, jakie w danym czasie, i w danėm usposobieniu powszechnych wyobrażeń, na biržach umysłowych całego świata najlepiéj się popłacają...

— Chrystus wygnał ze świątyni Salomona kupujących i przedających, przerwał kustosz.

— Brawo ks. kustoszu, *ad casum* rzekłeś, kontynuował prezydent, zdaje się nawet, że to wygnanie spełnia się już stanowczo, jeżeli się nie spełniło; towar spadł na cenie, bo kupujący poznali się na gatunku... Ale nigdy odmiany ducha czasu tak widocznie i raptownie nie następowały po sobie jak dzisiaj: gwoli im piszący odmieniają front swojego szyku, i przed ludźmi poświęconémi wyższym pojęciom, mającemi lub mniemającemi mieć *missyę* w takiéj lub owakiéj formie oświecania ludzi, i zaspakajania upragnień ich duszy, występują dziś specyaliści pracujący nad przymnożeniem środków ulepszających byt materyalny ludzi; i ci ostatni przeludniają piérwszych.

W głębsze wszakże rozwagi nad literaturą dzisiejszą powszechną zaciekać się nie myślę; kto śledził i zna jéj ruch i rozwój, niech te kilka ogólnych postrzeżeń do szczegółów zastosuje; mniemam że je mylnemi nie znajdzie; ja bym tego i niepotrafił zapewne.

— Oho ho, u pana taka biblioteka, odezwał się ks. jubilat, tyle książek; co za dziw że jegomość dobrodziéj taki mądry, choć na professora! może co i piszesz?

Prezydent uśmiechnął się po swojemu, a uśmiech jego zawsze wychodzi na Salomonowe *tak* i *nie*.

— Co do nas, rozpoczął znowu prezydent, powiedziałem onegdaj, że *zło* i *dobro* słabszym tu zawsze od zachodu przenika

promieniem; takim więc promieniem uległo i piśmiennictwo nasze; nim się między nami zażegło własne ognisko, i czystém światłém nie uderzyło w oczy. O tém już mówiliśmy, a lubo u nas chwała Bogu, na rzemiosło nie wyszło, lecz w każdym razie na swojéj nawet pracując niwie, i z własnych treści piszący, nasi nie mogą się odjąć wpływowi powszechnych idei, tak łatwo dziś i szybko z wiatrem, powiedzieć można, roznoszących się po całéj kuli ziemskiéj. Ztąd godło czy piętno czasu odbijać się musi koniecznie i w piśmiennictwie naszém, rozmnożoném dziś w książki i niezliczone rozprawy, w przedmiotach pożytecznych wprawdzie, ale tyczących się po większéj części *chleba naszego powszedniego;* i u nas więc jako i wszędzie, talent ustępuje w cień, a naprzód interressowana utylitarność.

Niedawno autor nasz znakomity, umiejący dostrzedz przenikliwie wszelkie odcienia i zmiany, na jakie się zanosi w towarzystwie, jedną ze swych powieści przedstawiającéj niedorzeczność tych egzagierowanych i nieuważnie stosowanych teoryj obcych ekonomicznych, zabieg do naszego kraju, zakończył zawołaniem: „*Nie zabijajcie ducha!*“ *).

Zawołanie to, pojmują pewnie w każdym względzie ci, których głos wewnętrzny pobudza, a talent usposabia i ułatwia pracę, powtarzam, nad powiększeniem szczęścia człowieka przez udoskonalenie jego samego: a nawet nad przysporzeniem mu miłych wrażeń, osładzających nieraz gorzkie godziny życia. Takich ludzi mamy chwała Bogu nie mało, pojmujących swoją *missyę*...

— Po co się krzywisz ks. kustoszu? zdaje się żem wytłómaczył, co przez ten wyraz rozumiem; a dodam jeszcze, że próba czy ją ma autor lub poeta rzeczywiście, jest łatwą i zrozumiałą dla czytelnika: niech tylko w jego pismach i życiu, szuka śladów jego uczuć osobistych, których pod zewnętrzną formą dzieła czy życia, ani autor, ani człowiek nigdy tak ukryć nie zdoła, aby się dostrzedz nie dały. *Każde bowiem dzieło powinno być wyznaniem wiary autora, a życie jego praktyką téj wiary.*

Jeden z piszących dzisiaj, w poufnéj niedawno do mnie korrespondencyi, tak się wyraził:

---

*) Kraszewski — Dwa Światy. Powieść.

„Pamiętaj bracie krzewić cnót wzory,
„Poczciwych naszych naddziadów,
„Wskazywać mądre życia ich tory
„Obrazem żywych przykładów.
„Serca poruszać tkliwém wspomnieniem,
„Miłością ludzi je poić;
„I téj miłości łagodném tchnieniem
„Gorycze życia ukoić!
„Ku temu słabe me pióro wiodę,
„To godło myśli mych stałe:
„I od mych ziomków chcę za nagrodę,
„Osięgnąć miłość—nie chwałę!“ i t. d.

Kto więc szczerze te dwa ostatnie wiersze wyznać, i położywszy rękę na swém czystém sercu, zastosować je do siebie może, taki nosząc w niém szczerą miłość dla ludzkości i braci, a w dziełach swoich jakiejkolwiek treści, nauczając jéj, i dowodząc własnym przykładem *), taki mówię, może osięgnąć ich wzajemność, wdzięczność i szacunek... a jeżeli i zawiedzie się w tych swoich najdroższych nadziejach, co jednakże w zdrowéj części narodu stać się nie może, to przynajmniéj umrze spokojny, że spełnił swą *missyę* na ziemi.

Wszyscyśmy umilkli.

— No bracie Rafale, odezwał się przerywając to milczenie prezydent, za długośmy się rozgawędzili, teraz na ciebie koléj. Czytaj ciąg dalszy twéj kwesty.

Wziąłem się więc do czytania i zacząłem:

„*Rok tysiąc ośmset trzydziesty*... Ks. kustosz odebrał mi z rąk nagle raptularz, i ołówkiem, którym notacye swe przez cały ciąg naszych *colloquii* robił, podpisał *koniec*.

— Jak to koniec! rzekłem zdziwiony. Oto pięknie! jeszcze tak wiele zostaje historyj; toż jeszcze powrót brata Piotra z za rzeki Sambatiéj i wiele innych okoliczności i ewentów mojéj peregrynacyi.

Ks. kustosz powtórzył: *Koniec*.

---

*) Niech ten co o cnocie gada,
Sam także cnotę posiada!

Leon Borowski.—(Nota Wydawcy).

Koniec.

PRZYPISY.

Wolno-mularstwo na Litwie.

Brat kwestarz trafił w Nowogrodzkim na *Wolno-mularstwo*, wszędzie po Litwie natenczas rozpowszechnione tak dalece, że nie tylko w Wilnie loż kilka, lecz prawie w każdém główniejszém powiatowém mieście, były loże *massońskie* *); ztąd liczba inicyowanych była bardzo wielką, i obraz wewnętrznych ówczesnych dziejów i obyczajów tego kraju, nie mógłby się obejść bez napomknienia przynajmniéj o instytucyi nadającéj w kilkoletnim okresie, pewny ruch i niejakąś tajemniczą barwę publiczności litewskiéj.

Do tego więc obrazu postanowiliśmy dorzucić te krótkie wspomnienia; tém bardziéj, że z licznego tłumu braci z któremi się niegdyś prawie wszędzie i prawie codziennie spotykało, żyje dziś

---

*) W Wilnie—*Gorliwy Litwin*, *Dobry Pasterz*, Loża Niemiecka, *Orzeł Sławiański*, Loża Rossyjska, *Szkoła Sokratesa*, Loża prowincyonalna, *Doskonała jedność;* w Mińsku — *Pochodnia północna;* w Grodnie — *Przyjaciele ludzkości;* w Nieświeżu—*Szczęśliwe oswobodzenie;* w Słucku—*Władysław Jagiełło;* w Nowogródku — *Węzeł jedności;* w Rosieniach — *Palemon.* Na Wołyniu w Dubnie—*Doskonała tajemnica*, *Zorza wschodnia* i loża prowincyonalna; w Rafałowie—*Cnota uwieńczona;* w Żytomierzu—*Ciemności rozproszone;* w Białymstoku—*Złoty pierścień.* Prócz tego w Wilnie były loże kapituły wyższéj, udzielające stopnie mistrzów wybranych aż do Kawalerów Różowego Krzyża (Rosecroix), to jest najwyższego stopnia w Zakonie. Całe zaś Wolno-mularstwo Litewskie należało do wielkiego wschodu, to jest do zwierzchnictwa warszawskiego, którego wielkim mistrzem był natenczas *Stanisław Kostka Potocki.*

ledwo kilku starców, którzy sami podobni w losie do idei wolnomularskiéj, przeżyli swój wiek i ważność. A wszakże zdaniem mojém i to *meminisse juvabit*, chociażby tylko dla wiadomości, żeśmy już przeszli przez tę zabawkę, która jednak po całéj Europie jeszcze się rozwleka, i w poważne szaty martwy skielet ubiera. Nie będziemy wchodzić w głębsze rozpoznanie instytucyi zakonu *wolno-mularzy*: „*Ziemia wielce przysięgała*, powiada stary Talmud Żydowski, *że żadnéj na niéj nie będzie tajemnicy*“ i przysięgi téj, tak w fizycznym jako i w duchownym względzie, ziemia wiernie dotrzymuje. W piérwszym, coraz to nowe odkrycia praw natury, dają coraz nowe rezultata na korzyść ludzkości; w drugiém, żadna myśl by najtajemniejsza, skoro się wciela w czyn, nie ukryje się przed śledczém a przenikliwém okiem. Dla tego też założenie to talmudyczne sprawdziło się i na *wolno-mularstwie;* straciło ono zupełnie swój urok; nie tylko dla tego że nie mało wydano książek, wyjawiających wszelkie rytuały obrzędów i znaki tajemnicze, po których się poznają bracia, lecz jeszcze bardziéj dla tego, że to *arkanum* mądrości i szczęścia dla ludzi, jakoby jedynie w łonie zakonu tego pielęgnowane, a strasznemi przysięgami zaklęte, jest tylko chmurami średniowiecznéj pomroki oćmione, i przez wielką liczbę samychże adeptów dojrzeć się nie mogące światło, mające kiedyś w jedno braterskie ogniwo zespolić cały ród ludzki.... a które jednak daleko jaśniej bije i rozpromienia z ołtarzy chrześcijańskich, niżeli z symbolicznego kościoła Salomona, nad którego duchownem odbudowaniem wolno-mularze wrzekomo pracują.

Loże wolno-mularskie istniały już w Wilnie w końcu przeszłego wieku; gdy się w drugim dziesiątku teraźniejszego odnowiły, żywym jeszcze przeszłości świadkiem był brat *Kościałkowski*, zacny i dostojny starzec, od którego można było zapewne mieć interressowany w téj materyi pamiętnik, gdyby kto natenczas o pamiętnikach myślał. To jednak pewném, że loża *Gorliwego Litwina* była wskrzeszeniem i jakby dalszym ciągiem dawnéj pod témże samém osóbném nazwaniem w Wilnie będącéj; znaki nawet też same zachowała *). A gdy liczba coraz zwiększająca się braci wskazywała

*) W Muzeum Wileńskiem znajdują się znaki prawie wszystkich loż Litewskich.

potrzebę rozdziału, z niéj się natenczas roiły inne loże tu, i na prowincyach.

Cokolwiek tylko dostojniejszego w jakiejkolwiek klassie towarzystwa po całéj Litwie liczyć się mogło (prócz żydów) wszystko się to ubiegało, o chlubne natenczas imię massona a które wszakże nie zbyt łatwo się otrzymywało. *Światowy* podawany zwykle przez któregokolwiek z braci za kandydata, podlegał najprzód kilkotygodniowemu niewiadomemu dlań śledzeniu, przez dwóch lub trzech wybranych na to członków loży, do któréj wejść pragnął; a lubo śledzenie to o znanych i dobrze opinią powszechną zaleconych ludziach (bo innych niktby proponować nie śmiał) było raczéj formalnością prawami przepisaną, niżeli ścisłém tych praw wypełnieniem, wszakże bywały zdarzenia, że niespodzianie odkrywało defekta lub czyny kandydata tajemne dla publiczności, a takie, dla których mu wstęp do towarzystwa musiał być zaprzeczonym. Natenczas mistrz katedry nieogłaszając w loży pism sprawozdawców, i proponującemu tylko objawiając treść owych, palił je. Gdy zaś przeciwnie, a co najczęściéj bywało, śledzenia okazały się przychylnémi śledzonemu, mistrz katedry ogłaszał tajne wotowanie. Trzy czarne wota miał on prawo władzą piérwszego młotka (mówiąc wyrażeniem rytualném) zamienić na białe, i tém samém zdeterminować przyjęcie. Większa liczba przeczących wotów odraczała recepcyę: siedm zaś takich zamykało na zawsze lożę przed proponowanym, a nawet wszystkie loże całego wschodu *), bo wszystkim komunikowano wypadek taki, i imię odrzuconego.

Tak rozpowszechniające się towarzystwo po kraju, obudziło na się pilniejszą uwagę duchowieństwa, które bez względu na to, że na czele onego w Wilnie stał mąż duchowny ks. Michał D.... prałat katedry Wileńskiéj, powodowane instytucyami kościelnemi, i bullą jednego z papieżów potępiającą wolno-mularstwo, jako instytucyę, przeciwną zasadom religii chrześcijańskiéj, i podkopującą je tajemnie, ogłaszać zaczęło publicznie z ambon, że każdy chrześci-

*) Każdy naród, gdzie zakon istnieje, ma swój *wschód narodowy*, to jest władzę najwyższą: i swego wielkiego mistrza. We Francyi teraz w. mistrzem jest podobno książę *Murat:*

janin wchodzący do loży ciężkim grzechem swe sumienie obarcza, i nadzieję zbawienia traci.

Jak dalece ugruntowaną jest ta i dotąd trwająca w duchowieństwie opinia o *massoneryi*, rozbierać nie będziemy, a nie rozbierano i natenczas: bo większa część, ba! największa liczba braci wyższych i niższych stopni, najmniéj nie łamała sobie głowy, trudném rozgmatwywaniem ciemnych symbolów, obrzędów, i dwulicowych nauk i explikacyi, w które jak we splątany kłębek, obwiniętém jest słowo téj Salomonowéj zagadki. Ale tenże sam prałat D.... mistrz katedry *Gorliwego Litwina*, postanowił bronić zakon, którego był najznakomitszym członkiem; i w tym celu napisał i drukiem ogłosił broszurę pod tytułem: „*List rabina Lizbońskiego, do Rabina brzeskiego, z dyalektu Rabińsko-Talmudzkiego wytłómaczony*“ *). Umieszczamy go tu w całości, bo w małéj liczbie egzemplarzy natenczas odbity, i braciom tylko rozdany, jest dziś razem i bibliograficzną i historyczną, rzadką pamiątką:—

*) W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego, Typografa Wileńskiego Imperatorskiego Uniwersytetu.

LIST

Rabina Lizbońskiego do Rabina Brzeskiego

Z dyalektu Rabińsko-Talmudycznego przetłómaczony.

Abraham Ben Nahasson niegodny Rabin w Lizbonie.
Izaakowi Ben Moszech uczonemu Rabinowi w Brześciu.

Pozdrowienie.

„Z prawdziwą uprzejmością i pociechą przyjąłem braterską twoję odezwę pod dniem 14 miesiąca *Kisleu*, roku przeszłego pisaną. Najuprzejmiéj ci dziękuję uczony Rabinie za ten dowód braterskiego affektu z jakim mnie uwiadamiasz o dobrém powodzeniu braci w północnéj waszéj krainie pielgrzymujących. Niech będą nieskończone dzięki najwyższemu Jehowah, że wedle przedwiecznych swoich obietnic, ulubione sobie plemie Abrahama po całéj przestrzeni ziemi rozproszone, w swojéj świętéj opiece utrzymuje i rozmnaża. Niech będą dzięki nieśmiertelnemu waszych stron nowemu *Szelomach* (Salomonowi), który potomków Izraela dobroczynną opieką swoją zaszczyca. Niech go wielki *Jehowah*, najmędrszy *Adonaj* i najpotężniejszy *Elohim Cebaoth* jak najdłużéj zachowuje, i we wszystkich zbawiennych zamiarach jego wspiera.

Pytasz mnie uczony Rabinie co myśleć o towarzystwie tajemném, bynajmniéj do religii nienależącém, pod nazwaniem *Chafszym Goderym*, niedawno u was zjawioném. Dziwno mi kochany bracie,

że to, o czém wielu sławnych naszych nauczycieli pisało, przed wszystko przenikającą mądrością twoją dotąd zostało zakryte... Wiedz zatém, uczony kolego, że nie z ustnego podania, pospolicie w przechodzie z pokolenia do pokolenia odmieniającego istotnę prawdę, ale z zostawionych nam pism od czcigodnych ojców naszych, ta niczém niezaprzeczona wywiązuje się wiadomość.

Po okropném spustoszeniu świętego miasta *Jeruszalaim*, przez potężnego natenczas króla *Nebukadnecar*, gdy nieszczęśliwy nasz król Sedecyasz oślepiony, z całym wybranym ludem zaprowadzony został do krain Babilonu, przez siedmdziesiąt lat niewoli, synowie cnotliwych Izraelitów pomiędzy narodami nieznającémi prawdziwego Boga urodzeni i wychowani, utracili znajomość praw świętych, osłabili się w duchu religii, zapomnieli obrzędów z nieba podanych i rozwolnili się w dobrych obyczajach do tego punktu, że wszelkie nieprawości rozlały się pomiędzy nimi, jak woda w rozlewie wiosennym, tak dalece, że żadna tama popędu nawalności wstrzymać nie mogła.

Jakoż pomiędzy tylą tysiącami uprowadzonego w niewolę ludu, jednego tylko, mądry i uczony Rabinie, znajdujesz *Tobijasza*, który nieskażoną cnotę w pośród powszechnego zepsucia zachował, i za to wieczną w narodzie naszym zjednał dla siebie pamięć. Po skończonym, wyrokiem Najwyższego zamierzonym, zakresie siedmiudziesiąt lat niewoli, wzbudził Bóg ducha Cyrusa, który przodków naszych ze czcią uwolnił, dla odbudowania zburzonego najwyższemu imieniowi jego poświęconego kościoła. Powróceni do ojczystych siedlisk, synowie Izraela, po większéj części pomiędzy narodami nieznającemi prawdziwego Boga urodzeni i wychowani, przynieśli z sobą wygładzoną pamięć praw świętych, osłabioną religiję, zaniedbanie obrzędów, i rozwolnione obyczaje, tak dalece, że zapomnieli o związkach braterskich, które nie tylko szczególne pokolenia ale lud cały z jednego szczepu pochodzący, wspólną miłością łączyć były powinny. Pokazały się pomiędzy nimi występki narodom bałwochwalczym właściwe, jako to: zazdrość, chciwość zysków, oszukaństwa, zdrady, złodziejstwa, rozboje, zgoła wszystkie najgorsze wady, jakie z zaniedbania prawideł religii, z wygórowanego samolubstwa, i z prywatnego źle zrozumianego interesu, wyniknąć mogą. Cierpieli na tém bardzo książęta ludu, a *Nechemijasz* syn *Helcyasza*, najwyższy kapłan Boga żywego, z bracią swoimi kapłanami, przez gorliwe opowiadanie praw Boskich, usiłował zwrócić ich na prostą

drogę przykazań pańskich; ale powszechne zepsucie szeroko już było korzenie swoje rozpostarło, i szczątki Izraela stały się zupełnie od prawideł ojców swoich odrodzonémi i jakoby moralnie zakopconémi Murzynami, których i ziele *Borith* wybielić niezdoła. W tak zepsutém położeniu wybranego i niegdyś od Boga ukochanego narodu, ojcowie nasi duchem Bożym natchnięci, szanowni starcy ludu, a szczególniéj *Nechemiasz* kapłan, *Zorobabel* potomek królów, *Saraja*, *Rechelaja*, *Mardochaj*, *Belsan*, i wielu innych, postanowili pomiędzy sobą utworzyć osóbne towarzystwo cnotliwych ludzi, cześć Boga, miłość bliźniego, i usiłowanie o ciągły postęp w cnotach moralnych, za najpiérwszy cel skojarzenia się swojego mające, a dla zupełnego odosobnienia się od zepsutych i samémi tylko namiętnościami powodujących się współrodaków, postanowili składać towarzystwo tajemne, mające pewne umówione znaki, po których mogliby się poznawać po całéj przestrzeni ziemi, i ustanowiony zamiar wzajemnéj dobroczynności i wzajemnego sobie dopomagania bez omylenia się dopełniać. Towarzystwo to, uczony i szanowny bracie, w Europie i w całym świecie od dawna kwitnące, a u was nowo teraz zjawione, jest bardzo dawne i sławnych narodu naszego dosięga wieków. Przed ustanowieniem piérwszego króla w Izraelu, już ono istniało, i *Saul ben Cys*, znajdował się pomiędzy *Bene Nebiim*, to jest pomiędzy *synami Proroków*, pokolenie, zakonny związek, i tajemna nauka, do naszych doszły wieków. Stowarzyszenie to, w późniéjszych czasach odnowione, znajome było w narodzie naszym, pod nazwaniem *Rehabitów*, *Terapeutów*, i *Essenczyków*, to jest ludzi, od wszelkiego oswobodzonych uprzedzenia, ściśle trzymających się praw Boga i one w całéj surowości jego pełniących, którzy oddzielili się od powszechnego rozwolnienia i osóbne pod hasłem cnoty, utworzyli zebranie. To cnotliwe stowarzyszenie się od pokolenia do pokolenia przechodząc, doszło do naszych wieków. Za czasu Makhabeuszów, *Alcymus* i inni odrodni od pokolenia naszego ludzie, starali się to gniazdo cnoty przytłumić; pomimo atoli najdzielniejszego o to usiłowania, nic dokazać niemogli. Za czasów panowania Idumejczyków, doktorowie nasi członki wielkiego *Sanhedrynu*, nieznając prawdziwych stowarzyszenia tego zasad, chcieli je zniszczyć i u pospolitego ludu podać w ohydę, najczarniejsze i najniedorzeczniejsze rzucając na nie potwarze. *Jason Ben Heliah*, najwyższy natenczas kapłan, pospolitém uprzedzony mniemaniem, a sam zgłębić jego niemogący, starzec w prawidłach *Faryzeuszów* wychowany i ślepo im

wierzący, rzucił był na to cnotliwe towarzystwo przeklęctwo *Cheremu*; ale późniejszy po nim następca, *Baruch Ben Abed*, głęboko uczony i żadnemi nieuprzedzający się przesądami, którego uczone pisma w wielkiém są i być powinny w synagogach naszych poważeniu, zniosł takowy niesprawiedliwy wyrok, i dozwolił ludziom poczciwym, iść za popędem cnotliwych uczuć serca. Jakoż towarzystwo to, na czystéj cnocie i prawdziwéj moralności ufundowane, nie już pod nazwaniem *Rehabitów*, *Essenczyków* lub *Terapeutów*, ale pod trwającém dotąd imieniem *Chafszym Goderym*, doszło do naszych czasów i coraz się więcéj pomnaża, bo prawdziwa cnota, zawsze ma wielkie i dzielnie do siebie pociągające powaby.

W małém pisemku za panowania Heroda Idumejczyka, przez uczonego jak mówią doktora *Gamaliela* wydaném, czytam, że sławny *Jezus z Nazaretu*, którego naród nasz na krzyż potępił, a nauka jego po całym prawie rozeszła się świecie, do tego cnotliwego stowarzyszenia należał, i prawidła onego zkąd inąd doskonałe, więcéj jeszcze sprostował, przepisując mu, ścisłą miłość bliźniego bez uwagi na stan i kondycyę człowieka, przebaczenie urazy, darowanie winy, i kochanie nawet nieprzyjaciół; i tę naukę do tego, dawniéj nigdy niesłyszanego posunął stopnia, że prawo najmędrszego z zakonodawców poprawując, mówi: *Słyszeliście że napisano jest* *), *oko za oko*, *ząb za ząb*, *ja zaś mówię wam*, *nie opierajcie się złemu*, *i jeżeli kto cię uderzy w prawą szczękę nadstaw mu i drugą*, *i gdy kto chce ci przez prawo odebrać twoję suknię*, *oddaj mu i płaszcz* **). Ta wygórowanéj i prawie nadzwyczajnéj moralności nauka, jest równie zasadném prawem towarzystwa *Chafszym Goderym*, które ściśle pilnując się nauki Jezusa Nazareńskiego, i w żadne dogmatyczne niemieszając się sprzeczki, zasługuje na powszechny szacunek i uwielbienie. Niewiem jakie są teraz w kraju waszym tego towarzystwa prawidła, dawniéj albowiem każdy ktokolwiek wierzy w Boga, w nieśmiertelność duszy, w pewność nagrody lub kary w życiu przyszłém, miał prawo być jego członkiem, jakoż i ja mam zaszczyt do niego należeć: a chociaż chrześcijanie za czasów wojen krzyżowych, nowy towarzystwu temu nadali kształt, i niektóre swoje religijne do niego przystosowali obrzędy, istotny atoli zamiar jego jakim jest, cześć Boga, miłość bliźniego, wierność dla monarchy, wza-

---

*) Exod. 21, 24. Levit 24. Deuter. 19, 21.

**) Math. C. VI.

jemna pomoc i postępowanie w cnotach, nienaruszenie pozostał. Życzę ci przeto kochany kolego i bracie, ażebyś starał się być do tego cnotliwego zgromadzenia przypuszczonym. Prawda, że powszechna pogarda jaką naród nasz we wszystkich prawie krajach zostaje okrytym, spływa i na najzacniejszych jego członków, ale cnotliwi *Chafszym Goderym*, wszystkich ludzi, jakiegokolwiek narodu i kraju, za braci uważają i jako braci kochają. U nich, kij pasterski i prosta siermięga równo są uważane jak berło i purpura królów: a każdy bogaty czy ubogi, byleby był poczciwym, jednostajne do serca ich ma prawo. Cóż może być kochany kolego, pożyteczniejszém na świecie, jak towarzystwo, które wszystkie narody po całéj przestrzeni ziemi rozproszone, w jednę braterską połącza społeczność, i jednę ze wszystkich synów Adama utwarza familią. Ja który ci to piszę, z wypadku okoliczności, znajdowałem się w Afryce, nieuwierzysz bracie mój jakiéj pociechy i jakiego osłodzenia przykrości moich doświadczyłem, znajdując i w téj odległéj krainie braci, którzy za prostém daniem znaku, takimi się dla mnie w całéj obszerności tego znaczenia okazali, cieszyli mnie w troskach, najuprzejmiéj przyjmowali, ofiarowali mi nawet z majątku swojego pomoc, któréj dzięki Bogu niepotrzebowałem, ale ich dobre chęci poczytuję za prawdziwe dobrodziejstwo z zasad związkowych wynikające.

Oto jest uczony Rabinie i zacny mój kolego, szczera i z gruntu przekonania mojego pochodząca odpowiedź, którą ci na zapytanie twoje przesyłam.

Pokój niech będzie z tobą.”

Miesiąca Syrwan d. 5, roku
podług małéj rachuby 576
w Lizbonie.

Pismo to wszakże zamierzonego przez autora nie dopięło celu; nie przekonało bowiem uprzedzonych przeciw towarzystwu, i w naciąganych wyraźnie a wrzekomo historycznych ogólnikach, nie dostarczyło towarzystwu broni, ani puklerzów przeciw uprzedzonym, a tylko rozdrażniło jeszcze bardziéj duchowieństwo wyrzucając autorowi że nawet Chrystusa zrobił massonem *). Więc groźniéj je-

*) Była odpowiedź na list ten napisana przez ks. Korzeniewskiego kaznodziei ówczesnego dominikańskiego drukowana lecz się jéj teraz doszukać nie można.

szcze ozwały się ambony, a szczególniéj Dominikańska, tak, że nakoniec musiano postarać się o zakaz rządowy, aby nadal wolno-mularstwo nie było kaznodziejską treścią.

Po przejściu téj zewnętrznéj burzy, nowa się wewnątrz samegoż towarzystwa utworzyła (1819). Kilkunastu z braci członków loży Gorliwego Litwina postanowiło zreformować wolno-mularstwo litewskie: przewodniczący temu zamiarowi brat *Kazimierz Kontrym*, napisał obszerną rozprawę, dowodzącą niestosowności przestarzałéj instytucyi do ducha i oświecenia wieku; niestosowności przysięgi, przez którą przysięgający dozwala się być zabitym, jeżeliby zdradził tajemnicę, co naturalnie wykonaćby się nigdy niemogło; niestosowność obrzędów i prób niepotrzebnych, a często śmiesznych: słowem wypowiedział wszystko to, co natenczas i dzisiaj naprzeciw wolno-mularstwu sprawiedliwie powiedzieć można. Lecz gdy słuchacze pilnie śledząc słowa jego, oczekiwali wniosku jaki z nich wypływać zdawał się, to jest projektu zamknięcia zupełnego lóż i zaniechania towarzystwa na Litwie, z podziwieniem usłyszeli projekt *reformy* tylko; składając drugą część rozprawy, wrażenie z piérwszéj całkowicie zgasił.

I w rzeczy saméj niezręczny reformator, jako i wielu jemu podobnych, okazawszy w treściwem rozumowaniu zdolność sądzenia, wyrokowania i po wyroku skazującym rujnowania i obalenia, zdolności budowania, czy roztropnego przebudowania nie dowiódł. Loża jego miała się zwać *„Gorliwy Litwin reformowany.“* Przysięgę, miało zastąpić: *słowo honoru*, Formy rytualne i znaki, jedne odrzucał, drugie podług upodobania na wywrót przeinaczał i przyjmował; obowiązki także braci względem towarzystwa, i wzajemnie między sobą, rozwolnił w takim stosunku, jak się ma *słowo honoru* do przysięgi. A nadto tworząc lożę samoistną bez hierarchii i i zwierzchności, zrywał tém samém związek ze wschodem narodowym, jak naprzykład Luter zerwał związek z Rzymem, któremu uległość wypowiedzieć musiał, gdy się Rzym nie reformował. Słowem, obalał zakon, który samą starożytnością poważny, niepożyteczny już wprawdzie w głównych i głębszych dążeniach i zadaniach wieku i społeczeństwa, (jak to wyżéj namieniłem) ale pod względem wpływu na indywidualne obyczaje, na dobroczynność rozlewaną hojnie z lóż na cierpiącą ludzkość, nakoniec pod względem

tytułu braterstwa jednoczącego mniéj więcéj obcych sobie klassą, urodzeniem, dostatkiem, a nawet narodowością ludzi; nie mógł być zastąpionym przez jakieś *fac-simile* towarzystwa, nieokreślającego ani dążeń, ani obowiązków, i w istnieniu swém (gdyby istniało), zależącego bardziéj od fantazyi i dobréj woli członków onego, niżeli od przyjętych stałych reguł i zasad.

Interressującém wszakże było posiedzenie (loża) na którém fakt ten się objawił. Przewodniczył natenczas loży *Gorliwego Litwina*, mistrz katedry Mianowski, professor w oddziale medycznym Wileńskiego uniwersytetu; w kolei prac zwyczajnych, ku końcowi posiedzenia przed zbieraniem jałmużny, szło zwykłe zapytanie od mistrza katedry, czy który z braci nie ma do wniesienia jakiéj propozycyi. Zapytanie to dla tego zawsze poprzedzało jałmużnę, że najczęściéj przynoszone bywały propozycye dobroczynnego jéj użycia, a gdy cel proponowany wymagał hojniejszego wsparcia, natenczas mistrz katedry do hojniejszéj też składki zachęcał braci; mistrz więc obrzędów obszedłszy lożę z workiem do którego każdy wkładał swą kwotę, odnosił wszystko na stoł przed mistrza katedry, ten zaś wezwawszy brata jałmużnika, przeliczał z nim pieniądze, i oddawał mu je, dla użycia w części lub w całości podług postanowienia loży.

Ale wróćmy się do sceny reformacyjnéj: gdy więc *mistrz katedry* Mianowski zapytał o propozycye, powstał z kolumny uczniów brat *Kazimierz Kontrym.* Znany on był i szacowany powszechnie dla swéj prawości, umiarkowania, czystych obyczajów i nauki *); gdy więc się zbliżył do światła i obszerny rozwinął rękopis, uwaga wszystkich nań się zwróciła, bo taki człowiek nie mógł z czémś małoważném wystąpić....

Blizko godziny trwało czytanie rozprawy, którą wyżéj w skróconym zarysie podaliśmy. Nowość i nieoczekiwana treść przedmiotu, odbijała się na zdziwionych obliczach słuchaczy; skończył i głuche milczenie objęło lożę....; przerwał je Kontrym, i postąpiwszy na środek między kolumny zawołał: „kto z braci jest mojego zda- „nia niech raczy wystąpić i połączyć się ze mną.“ Kilkunastu powstało, i stanęło obok niego.... Większego wrażenia, i większéj liczby stronników, a może nawet jednomyślnéj zgody spodziewał się

*) Opis to jest naocznego świadka.

Kontrym: teraz więc nie wiedział co dalej począć, i czekał umówionego zapewne zawczasu od mistrza katedry hasła. *Mianowski* milczał.... powiódł okiem po siedzących na wschodzie, to jest w półkrąg około niego, braciach wysokich stopni i dostojnikach zakonu.·... Lecz nic na ich twarzach nie wyczytawszy, nie mógł własnéj ukryć niecierpliwości i wzruszenia: a wtém *Kontrym* odezwał się znowu:

„Przewielebny mistrzu, czekamy zdania twojego."

Zatém drżącym głosem przemówił nakoniec Mianowski, i nową niespodzianką zadziwił lożę:

„Zgadzam się zupełnie, rzekł on, ze zdaniem brata *Kontryma:* „a ponieważ widzę, że loża nie zdaje się podzielać tego zdania, „więc... więc..." jeszcze bardziéj się jąkając: „więc składam „młotek téj katedry, w ręce twoje najdoskonalszy mistrzu katedry „loży prowincyonalnéj Litewskiéj, i łączę się z braćmi uznającemi „potrzebę reformy wolno-mularstwa."

Tu oddał młotek, to godło swego urzędu, siedzącemu obok bratu *Dłuskiemu*, a sam powstał i przeszedł do gromadki około *Kontryma* skupionéj, lecz nikt za nim.... Stanąwszy zaś między kolumnami odezwał się znowu: „Bracia kochani!..„ Ale młotek dostał się w ręce doświadczonego i pewnego siebie mistrza; nie dał on pola wymowie Mianowskiego, bo znał niebezpieczeństwo téj chwili; uderzył młotkiem, i przerywając słowa jego zwrócił uwagę ku sobie: „Bracia, rzekł uroczyście Dłuski, ponieważ ogniwa „jedności naszéj zrywają się tak niespodzianie, połączmy się więc „jeszcze ściślejszemi węzły; i w tém połączeniu, wezwijmy wielkie„go budownika światów, aby zakon nasz wolno-mularzy, chwale „jego i dobru bliźnich poświęcony, chronić raczył od niezgody, „upadku i krzywo-przysięztwa. Wzywam lożę do sformowania *bra„terskiego łańcucha!"* Wnet powstali wszyscy, i podając sobie zwykłym obrzędem ręce, spletli ten łańcuch, a Reformatorowie widząc się odosobnionemi i za kołem, wyszli z loży. Natenczas Dłuski, a za jego promotorstwem wszyscy, odmówili głośno rytualną modlitwę, po któréj wszystko wróciło do zwykłego porządku. Tak grożące rozprzężenie loży, zręcznym obrótem Dłuskiego, ściślejszym jeszcze ją zjednoczyło związkiem.

Poświęćmy nadto słów kilka krótkim nader dziejom téj reformy.

Kontrym, *Mianowski* i *Jakób Szymkiewicz*, ułożyli wcześnie swój plan i programmat działania; byli to ludzie uczeni, dobréj wiary, i powszechnym (jakem to o piérwszym z nich powiedział) otaczani szacunkiem; ale do przyprowadzenia w czyn swego przedsięwzięcia, to jest założenia i utrzymania nowéj loży, do gorliwego zajęcia się zakładem, wymagającym nieustannego czuwania, i poświęcenia mu czasu i kosztów nie małych, nie byli zdolni: wreszcie obowiązki ich świeckie *) niedozwalały im takich ofiar i ciągłych zatrudnień; kilkunastu zaś innych byli raczéj osobistemi ich przyjaciołmi, niżeli stronnikami nowéj reformy, a więc tém mniéj na nich liczyć można było.

Wszelakoż *Gorliwy Litwin reformowany* ukonstytuował się, lecz po kilku posiedzeniach bez pewnego lokalu, a po kwaterach członków odbywanych, gdy zaledwo ich stało na zajęcie urzędów w loży koniecznych **) i gdy nowych bynajmniéj nie przybywało, a zatém gdy i żadne recepcyjne dochody nie wpływały, które zwykle stanowiły główną podstawę kassy każdéj loży, i fundusz znacznych na jéj utrzymanie wydatków: przeto posiedzenia te z tygodniowych przeszły na miesięczne, potém na dowolne i coraz dłuższe termina odkładane, pełzły powoli, i nakoniec spełzły ostatecznie.

Témczasem wielki wschód narodowy, uwiadomiony o tym wypadku w massoneryi Litewskiéj, delegował namiestnika wielkiego mistrza, brata *Ludwika Platera* do Wilna, aby na miejscu zbadał umysły, i jeżeli można, wrócił do loży Gorliwego Litwina jedność i odrywających się braci. Lecz *Plater* przybył do Wilna, gdy już reforma, jakem to wyżéj opowiedział, sama przez się gasła i żadnemi niebezpiecznemi nie groziła następstwami dla towarzystwa: gdy zaś powrót pojedynczych członków, musiałby ich narazić na ponowienie recepcyjnych obrzędów i przysięgi, na co by się żaden z nich nie zgodził, i gdy zapraszani na ucztę braterską dla *Platera* wydawaną nie przyszli nawet, przeto i żadnych już z niemi nie zagajano traktacyi.

---

*) *Kazimierz Kontrym*—Sekretarz Rządu Wileńskiego Uniwersytetu, Mikołaj Mianowski—professor tegoż uniwersytetu i doktor medycyny, Jakób Szymkiewicz—Doktor medycyny, szerokiéj bardzo praktyki.

**) Urzędnicy w loży byli. 1) Mistrz katedry. 2) Dwóch dozórców. 3) Mówca. 4) Sekretarz. 5) Jałmużnik. 6) Mistrz obrzędów. 7) Dwóch Sztuartów, w ogóle osób 9 prócz braci służących.

W takim stanie było wolno-mularstwo Litewskie (1820 r.) gdy między wielkim wschodem petersburgskim i warszawskim, o zwierzchnictwo nad niém zaszły niejakie spory, a że spory te nadarzały łożom tutejszym rozmaite trudnoście, przeto wynikł projekt utworzenia wielkiego wschodu Litewskiego, ku czemu liczba braci i loż po całéj prowincyi istniejących, aż nadto była dostateczną.

Doprowadzenie zamiaru tego do skutku, wymagało jednak znakomitego kapitału, lecz i ta przeszkoda znikła; bo brat *Narcyz Olizar*, oświadczył gotowość ofiarowania 15,000 rs. na kupienie domu, w którymby zakład ten wygodnie mógł być pomieszczonym: jakoż i przysłał tę summę, za którą kupionym został dom niegdyś Kossakowskich, dziś Zawadzkich na bernardyńskim zaułku.

Lecz nim te wszystkie projekta skutek swój wzięły, loże wolno-mularskie z rozporządzenia rządowego, w całém imperyum, a zatém i w Wilnie zamkniętemi zostały *).

Posiedzenia wolno-mularskie są trojakie: *Symboliczne—Prowincyonalne i Obrzędowe.* Piérwszych jest głównym przedmiotem przyjmowanie członków; drugich wszelkie rozporządzenia, tyczące się ogólnego interesu loż wszystkich całéj prowincyi; trzecie otwierają się tylko w dniach uroczystych zakonu, lub pamiątkowych dla loży, albo nakoniec na cześć jakiegoś dostojnika czy mistrza, któremu bracia pragną dowieść swéj wdzięczności i uwielbienia.

Dzień Ś-go *Jana*, jako patrona wolno-mularzy, obchodzonym jest stale i wszędzie w zakonie, gdziekolwiek on na świecie istnieje; jest to więc święto coroczne rytuałem oznaczone. Prócz tego każda loża obchodzi zawsze rocznicę swego założenia, imieniny swojego mistrza katedry, i inne tym podobne obrane lub nastręczające się dnie, w których wszelkie talenta, Malarstwo w przezroczach, Muzyka w hymnach i śpiewach, Poezya w deklamacyach, Wymowa w pięknych a stosownych do obchodu przemówieniach, jaśniały w lożach i nadawały rzeczywistą świetność i piękność posiedzeniom kończącym się zwykle wspaniałemi ucztami.

Na zakończenie tych krótkich wspomnień, i dla niejakiego wyobrażenia tych właśnie loż obrzędowych, umieszczam tu jeszcze, pozo-

*) Kassy loż wszystkich Wileńskich razem złączone, wynoszące kilkanaście tysięcy złotych, oddane zostały Wileńskiemu Towarzystwu Dobroczynności.

stały mi w pamięci: „*Wiersz Obrzędowy* przez brata *Kazimierza Brodzińskiego* ułożony, w święto imienia mistrza katedry loży Warszawskiej pod osobném nazwaniem *Świątyni Izys*, brata Ludwika Osińskiego.“ Będzie to podwójna pamiątka: to jest wolno-mularska, i literacka, objawiająca talent naszego znakomitego poety, jeszcze w klassycznym jego peryodzie:

Chór.

Kapłanko mularzy święta,
W łonie wieczności poczęta,
O prawdo! niech twe natchnienia
Ożywią mularskie pienia.

Śpiew.

Tajemna jest twoja brama,
Mądrość trzyma w niéj pochodnię;
Blask jéj zniesie cnota sama,
W proch przed niemi nikną zbrodnie.

Chór.

Kapłanko mularzy święta—i t. d.

Piérwszy uczeń—*recitativo*..

O ty mądrości filarze,
Ty co obok siedzisz tronu:
Proszą Cię wolno-mularze,
Powiedz nam chwałę zakonu!

Deklamacya namiestnika.

„Gdy szczęsne fatum ludzkie porzucało plemie,
Chmura nocy z błyskami otoczyła ziemię:
Gdy znikły pod żelazem Saturnowe plony,
I w burzy runął kościoł prawdzie wystawiony,
Wtenczas jak Noe w Arce od niebios wybrani,
Z zatopów zaród prawdy unieśli kapłani.
Mądrość im sterowała, w żagiel dęła *siła*,
Piękność *) burze łagodząc Argusy uśpiła.

*) *Mądrość—Siła*—i *piękność*—Trzy przymioty zakonne.

Pod berłem nocy spał świat w milczeniu głębokiém,
Prawda wyszła, i z światłem szybkim przeszła krokiem,
A z tém sen przedłużając jéj moc tajemnicza,
Wzbudziła mężów prawych godnych jéj oblicza.
Głos jéj kornie na skrzydłach tajemnic niesiony,
Wieki wiekom, a stronom podawały strony:
Wnet się zeszli mularze licznego narodu,
Od zachodu na północ, z południa do wschodu;
Rozciągnęli budowę trwałą nieśmiertelnie.
Z tronów zeszli królowie, wzięli z niemi kielnie!
Jéj obwód i kościoły i trony zamyka,
Tam jest cześć i dla bóstwa i praw śmiertelnika:
Jéj ołtarze już ziemi zajęły przestrzenie,
Gdzie blask rzuca, złość mdleje, ustępują cienie.
Gdy pyszne niegdyś grody, teraz porze radło,
Kiedy tysiąc towarzystw i narodów padło,
Zakon nasz wolny, mocny przez zgodę jedynie,
Spokojny, cichy, wiedzie mur po téj ruinie....
Jak słońce zawsze jedno, stałe, i spokojne,
W kuli świata rozlewa strugi światła hojne,
Gdy piorun niosąc błyski, które chwila nieci,
Grzmi, śpieszy aby zgasnął wtenczas gdy zaświeci.
Zakon pewny w zasadach, w skutkach nieomylny;
Prawie jak czas—tajny, nieustanny, silny.
On to kiedyś opasze ziemię w łańcuch zgody,
Z nim od morza do morza uklękną narody,
I z wielkim hymnem niebios wstrząśnie się sklepienie,
Z prawdy krytéj przez wieki, opadnie odzienie:
A gdy pierzchną ciemnoty aż na świata końce,
Niebo dachem świątyni, lampą będzie słońce!

Chór.

Cześć tobie, o władzco świata
Coś ulubił zakon sobie:
Niech nas twa wieczna oświata
Wiedzie drogą cnót ku Tobie!

Śpiew.

Chwała twoja o zakonie!
Niech z ust do ust wiecznie idzie;

Chwała tobie co na tronie
Sterujesz berłem w *Izydzie.* } Chór—bis.

Drugi uczeń—*recitativo.*

Równość zgodzie życie daje,
Przez zgodę siła powstaje:
Powiesz nam siły filarze,
Jak są złączeni mularze? } Chór—bis.

Deklamacya I-go dozórcy.

Kiedy duma na karku podłości niesiona
Świętą jedność z ludzkiego wypędziła grona,
Kiedy z rodzinnych szranków równości i zgody,
Lud rozdzieliły stany, wyznania, narody;
Gdy przesąd oczy związał, przemoc ręce spięła,
By ludziom cechę rodu braterskiego zdjęła:
Kiedy człowiek poniżon, jak narzędzie czynny,
Myślał myślą drugiego, czynił jak chciał inny:
Wtenczas wzniósł się nasz zakon, gdzie blask prawdy świeci,
Tu pod dachem rodzinnym gromadzą się dzieci;
Tu duma w więzy spięta leży w jego sieni,
Na którą płaczą w świecie, ludzie poróżnieni;
Tu w progu tłuką kielich z światową goryczą,
Tu smutnych dzwonów czasu przestrogi nie liczą:
A świętym tajemnicy okryci obłokiem
Codzień jednym do wschodu zbliżają się krokiem:
Tam z nadzieją o przyszłym szczęściu ziemi nucą,
Które jéj Bóg dał niegdyś—mularze powrócą:
Tam litość, nieodstępna od pracy bogini,
Łzy pociech w świecie zbierać wychodzi z świątyni:
Miłość bratnia równości ozdobiona cechą,
Zewnątrz im murem, wewnątrz pierwszą jest pociechą;
Wśród nich szczerość, przy boku łagodności chodzi.
Ona mowę serdeczną, do serca przywodzi:
Szczerości! jakże szczęście tego miejsca głosić,
Gdzie z tobą mówić wolno, gdzie cię lubią znosić?
Wesołość, córka światła, cnót, i niewinności,
Przy powadze zakonu, szanowana, gości:

Jéj wdzięki ni powagi, ni siły nie zmniejszą;
Piękność czyni prawdziwszą, a prawdę piękniejszą.
Tu człek w świecie cierpianą zasłonę z ocz traci,
I przy świetle we wszystkich poznaje swych braci;
Czyli tam, kędy słońce szczerym ogniem ciska,
Czy gdzie ludzie dalecy natury ogniska,
Tu w zgodzie do jednego gromadzą się stołu,
Spuścizną matki światła dzielą się pospołu:
Tu w ogniwach braterskich wszyscy sobie blizcy,
Jeden wsparty na wszystkich—a na jednym wszyscy.

Chór.

Cześć Tobie o władzco świata — i t. d.

Dwu-śpiew.

Przyjm dzięki Izydy synów,
Ty coś nam dał mistrza wzorem!
Niech zdążym do pięknych czynów,
Jego radą, jego torem.

Deklamacya.

Uderz w dłoń Przewielebny! niech oznaki święte
Tłumacząc serca czuciem ku niemu przejęte.

Trzeci uczeń — *recitativo.*

Co przy trzecim siedzisz młocie,
O ty piękności filarze,
Gdy dziś cnotę czczą mularze, } bis.
Powiedz, o mularza cnocie. }

Deklamacya II-go dozórcy.

Człek z czuciem i pojęciem na brzeg życia wchodzi,
Lecz ciemny, słaby, musi oddać się powodzi;
A gdy dzika namiętność pcha łódkę od lądu,
Doradczy rozum usnął na łonie przesądu
Tak człek jak mara, szybką nogą w grób przeminie,
I on nie poznał życia — i po nim ślad zginie.
Szczęśliwy, komu w życiu, na morzu goryczy,
Opiekuńcza mularstwa gwiazda przewodniczy.

Jazon zą runem, Uliss za Itaką dąży,
Mularz po głębiach myśli, za prawdami krąży:
Świat myślą, a miłością objął całą ziemię,
Jednéj celem jest wieczność, drugiéj ludzkie plemie.
Jak gdy Morféj senliwy mak sieje po osi,
Opiekuńcza noc nad nią swą zasłonę wznosi;
Tu szle wiatry z ochłodą, ówdzie spuszcza rosy,
I skromny blask księżyca wiedzie przez niebiosy:
Tak wolny mularz rzuca hojne światło rady,
Nędzę morzy przez litość, błędy przez przykłady:
Oświecona w nim cnota uczy życia użyć
I przez samo użycie na przyszłość zasłużyć;
W wszystkich wiarach chęć jedną dla Twórcy uznaje,
Cnocie jednéj nad drugą piérwszeństwa nie daje;
A bacząc czém on z ludźmi, z nim ludzie złączeni,
Czci wolność, i niewolę powinnością ceni.
Lecz po co szukam wzoru? mamy go przed sobą:
On jest chwałą Izydy, zakonu ozdobą,
On jest przykładem, naszym przewodnikiem razem,
I mój pędzel szedł tylko za jego obrazem.

Trój-śpiew.

Próżno na piasek słońce szle oświaty,
Zła ziemia nic nieurodzi.
Próżno grunt żyzny wyprowadza kwiaty.
Tam, gdzie słońce niedochodzi.
Tak próżne światło tam gdzie niema cnoty
Próżna cnota, wśród ciemnoty.
Szczęsny, kto łącząc cnotę przy rozumie,
Jedno drugiem wesprzeć umie!

Deklamacya 1-go dozórcy.

Jako dąb najzuchwalszy z niewolników czasu,
Co sam dzieje pamięta, tajemnego lasu;
Obok jego drzew tysiąc wzniosło się do góry,
Przez wieki w słońce patrzał i rozpraszał chmury:
Tak ty dziś młot dzierżący Izydy zaszczycie,
Drugie półwieku pędzisz wśród zakonu życie:
Tak ty dzieje Polskiego opowiadasz Wschodu,

Pamiętasz dni pogodne — i burze narodu.
Wieluż przed tobą wzrosło, i znikło w zakonie?
Dziś kiedy młotem władasz na Izydy tronie,
O szanowny kapłanie dzisiéjszego święta,
Jakiem czuciem twa dusza musiała być tknięta,
Gdy ten, którego uczniem tworzyłeś zakonu
Znowu ucznia narzędzia podawał ci z tronu.
Uścisk mistrzów i uczniów, jaki w szczęsnéj dobie
Po dwa razy nawzajem dawaliście sobie,
Niechaj dziś w trzecim miłym dla braci obrzędzie,
W imię wszystkich raz trzeci powtórzony będzie;
Niech się stanie uściskiem wszystkich braci społem,
My bratniego łańcucha opaszmy go kołem.

Chór.

W tym świętym obwodzie braci,
Przepędzaj wiecznie wiek złoty!
Niech ci nasza miłość płaci } Chór — bis.
Twoje zasługi i cnoty! }

KONIEC.

ZAKOŃCZENIE
OBRAZÓW LITEWSKICH.

Dopisawszy ostatniéj kartki tego tomiku kończącego moje Obrazy Litewskie, złożyłem pióro... i spójrzałem na cały ich zbiór z zadowolnieniem, obejmującém zwykle każdego pracującego, po ukończeniu pracy. Z rozrzewnieniem i wdzięcznością, myśliłem o pobłażliwém przyjęciu przez ziomków, téj mojéj dla nich ofiary, i tkliwém, a jakby ostatniém wspomnieniem żegnałem się ze snującemi się po mojéj wyobraźni osobami, pod których to opieką, to wpływem, pielęgnowała się niegdyś młodość moja, i których z za grobu, po kolei do siebie wzywałem na wzory cnót i obyczajów ojców naszych, mających być przykładem nam i potomkom....

Lecz czyliż pisma te moje, dójdą rąk potomków? Czyliż mają dość wartości i wdzięku, aby odpowiedziały pospolitemu godłu *utile dulci* *), ale najwłaściwszemu każdéj podobnéj książce, i zapewniającemu jéj długotrwałą między ziomkami pamiątkę? Czyliż trafię do serc wszystkich? Wszystkich!.... to niepodobna! do serc przynajmniéj wybrańszych, niezarażonych wpływem mętnych idei, i takich którym cnoty naddziadów, ich wiara i prostota miłe są i drogie; którzy je pielęgnować we własnych sercach pragną, i którzy pojmą i uczują, że pisząc te obrazy, za każdym prawie wierszem, sercam się także swojego radził. Serca, w którém miłość przeszłości poczciwéj, z gorącém życzeniem dobra moralnego dla współczesnych ziomków, ściśle połączone.

---

*) Pożytek z przyjemnością.

Ta wątpliwość, to pognębiając moję miłość własną, to na niéj wsparta chyląc się ku nadziei, znużyła niepewne myśli moje, jakby ojca usiłującego odgadnąć przyszłe losy ulubionych swych dzieci. Znużenie to objęło ciało i duszę: piérwsze usnęło, druga nie przestała marzyć jakby na jawie...

I ujrzałem się w domku mojego dziadka.

Taż sama nizka strzecha, też okna różnoszybne, ten ganek staroświecki i od niego w różne strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa *). Ten ogródek zakwitły pod oknem w siarczyste gwoździki i nagietki, zdobiące dawniéj w niedzielę i uroczystości głowy wiejskich dziewic i ramy świętych obrazów w pokojach....

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości jeszcze pochyliło.

Dzień się zniżał ku zachodowi, i w oddaleniu dawał się słyszeć odgłos dzwonu kościelnego; a bliżéj w domku, jakby zaczynane i przerywane znowu tony i słówka dawnych piosnek, to pobożnych, to światowych, których echa odzywały się w przeszłości mojéj, i które pamięć moja i serce kończyły....

A co najbardziéj, tenże sam krzyż, pod którem tylekroć z dziadkiem moim, proste a gorące odmawiałem paciorki i pod którym teraz... jego samego ujrzałem!

Siedział na kamieniu w téj postaci, jak go raz ostatni za życia widziałem; oparty na nieodstępnéj swéj podporze, kiju prostym, mosiężną skówką pokrytym, zdawał się życzliwém okiem poglądać na mnie, zbliżającego się ku niemu nieśmiało...

— Czegoż się trwożysz moje dziecię? rzekł on, chodź do mnie po dawnemu i usiądź obok, a niespokojne twe myśli zbierz w jedno westchnienie do Boga, o szczęśliwy skutek usiłowań twoich...

Czas wielkiéj próby przyszedł na plemię wasze moje dziecię; zepsucie otacza was zewnątrz i weszło wewnątrz was, i trawi tam wszystkie wasze cnoty rodzinne, przy których gdybyście w téj próbie wytrwali, wyszlibyście z niéj z niepokalaną duszą, czystą i usposobioną do wszelkich odmian i wypadków, jakie czas spełniający przeznaczenie Boskie, na ten świat sprowadza!

---

*) Domek mojego dziadka. Serya I-sza.

Dla czegoż ten domek mój, w którym cię wypielęgnowałem, stoi dotąd mocno trwale? bom go na dawnych i odwiecznych fundamentach postawił; bo ich nie wyruszyłem z głębi ziemi, do której wrosły; bo ich nie zastąpiłem kruchą i niewytrawioną gliną, któraby się już dawno rozsypała i domek by mój upadł!

Wieki i lata przemijają moje dziecię, a w nich zmieniają się myśli ludzkie, zamiary, postanowienia, nadzieje i losy... Ale są rzeczy i zasady, które się nigdy zmienić nie mogą, których płoche usiłowania ludzkie nie wzruszą, bo one są pod opieką Ducha Bożego, który jest duchem prawdy wieczystéj i nieodmiennéj. Którego my wyznając i wielbiąc w szczerości serca i duszy, prostaczkowie w porównaniu z waszem rozumném pokoleniem, nie odstępowaliśmy właśnie tych odwiecznych zasad jego mądrości danych ludziom, dla ich prawdziwego tu na ziemi i tam w niebiosach szczęścia. Nie poniewierajcie więc przykładami naszemi. W doskonałości waszéj coraz jakoby wyższéj, którą się chlubicie, nie zapominajcie że my, w gorliwéj wierze naszéj, w cnotach z niéj wypływających, to jest, w miłości powszechnéj i braterskiéj między sobą, w skromnéj mierności i prostocie domowego pożycia, a w szlachetnéj prawości postępków, znajdowaliśmy tę swobodę i spokojność umysłu; w biédach i przygodach, to zaufanie w opiekę i wolę Boską, jakich wy, w głębokich dociekaniach waszych i w wątpliwém mędrkowaniu, nigdy nie znajdziecie!...

— Ot co jest! prawda panie strażniku dobrodzieju, ot co jest!...

Zwróciłem oczy i ujrzałem stojącego obok, znajomego mi opisanego w Pamiętnikach Kwestarza, X. kustosza bernardyńskiego.

— «Wy zaś *skryptorowie*, mówił daléj dziadek mój którzyście przedsięwzięli nauczać ziomków waszych, i którzy bronicie pamięci, obyczajów i przymiotów naszych, stójcie, jak dawniéj my szlachta na granicy dyfferencyi, aby napastnik i uzurpator ani kroku za nią nie stąpił. Stójcie i strzeżcie tak, aby obca, zła i niechrześcijańska zaraza, nie wzmogła się coraz nowemi posiłkami i nie wyrugowała do reszty z serc wszystkich, rodzinnéj poczciwości waszéj. A póki skryptury i księgi wasze, z taką miłością czułą i serdeczną, i z takiém życzeniem dla braci waszych pisać będziecie, z jakiemi stary dziadulek naucza katechizmu swoje małe wnuczęta i broni je od zgorszenia; z jakiemi naprzykład ja ciebie nauczałem, póty nie lękajcie cię Zoilów; bo .

„Nié zginie wiecznie żywa
„Święta Chrystusowa wiara!
„Nie zginie mądrość prawdziwa,
„I poczciwość nasza stara!“ *)

ot co jest! prawda! ot co jest! odezwał się kustosz... i ja się ocknąłem.

*) Godło z piérwszéj Seryi.

Koniec.

SPIS RZECZY.

Obrazy Litewskie Serya IV.

Obrazy Litewskie Serya V.

Obrazy Litewskie Serya VI.

CZĘŚĆ DRUGA.

PRZYPISY.